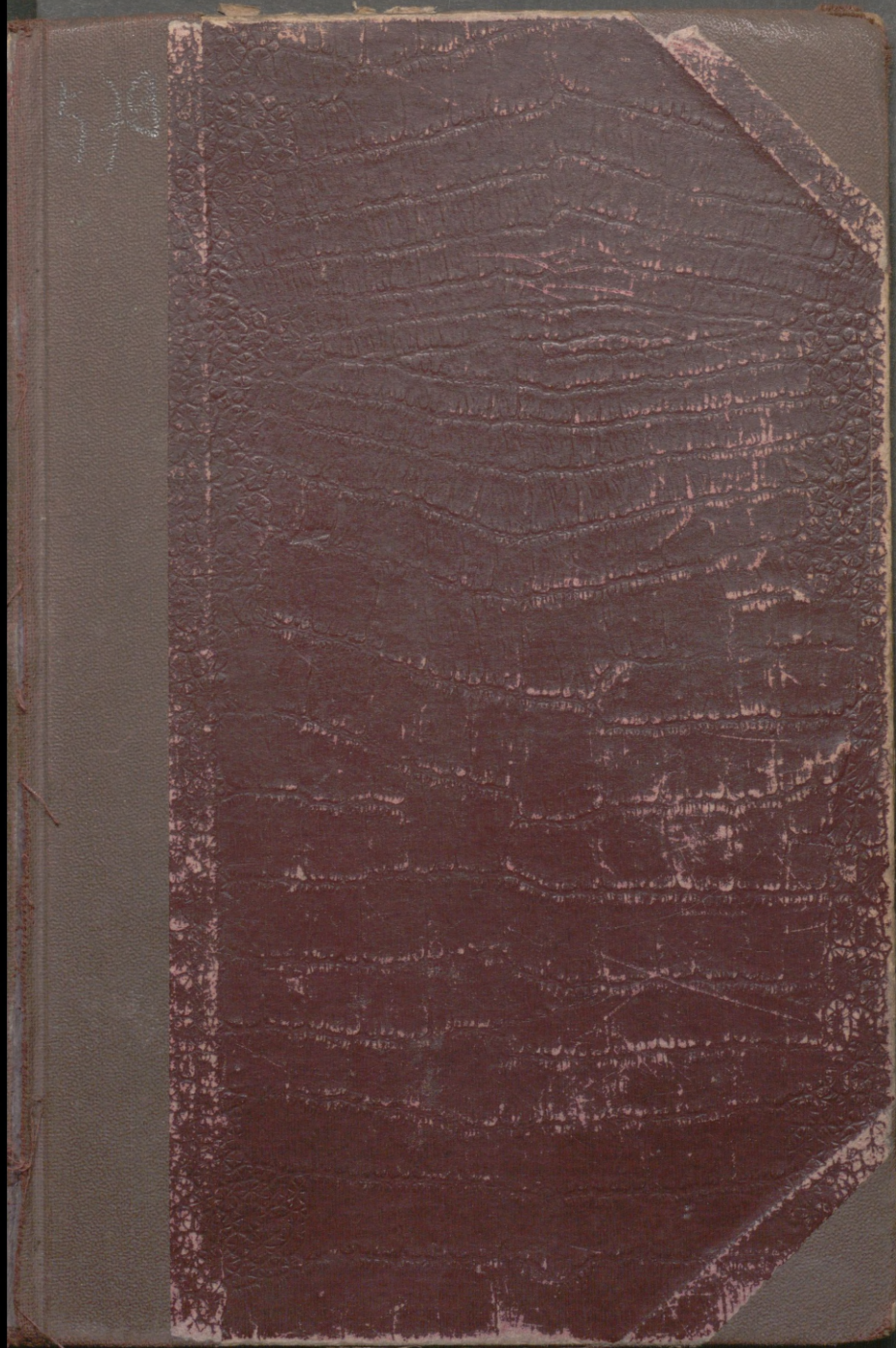




Grey Scale #13



A 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

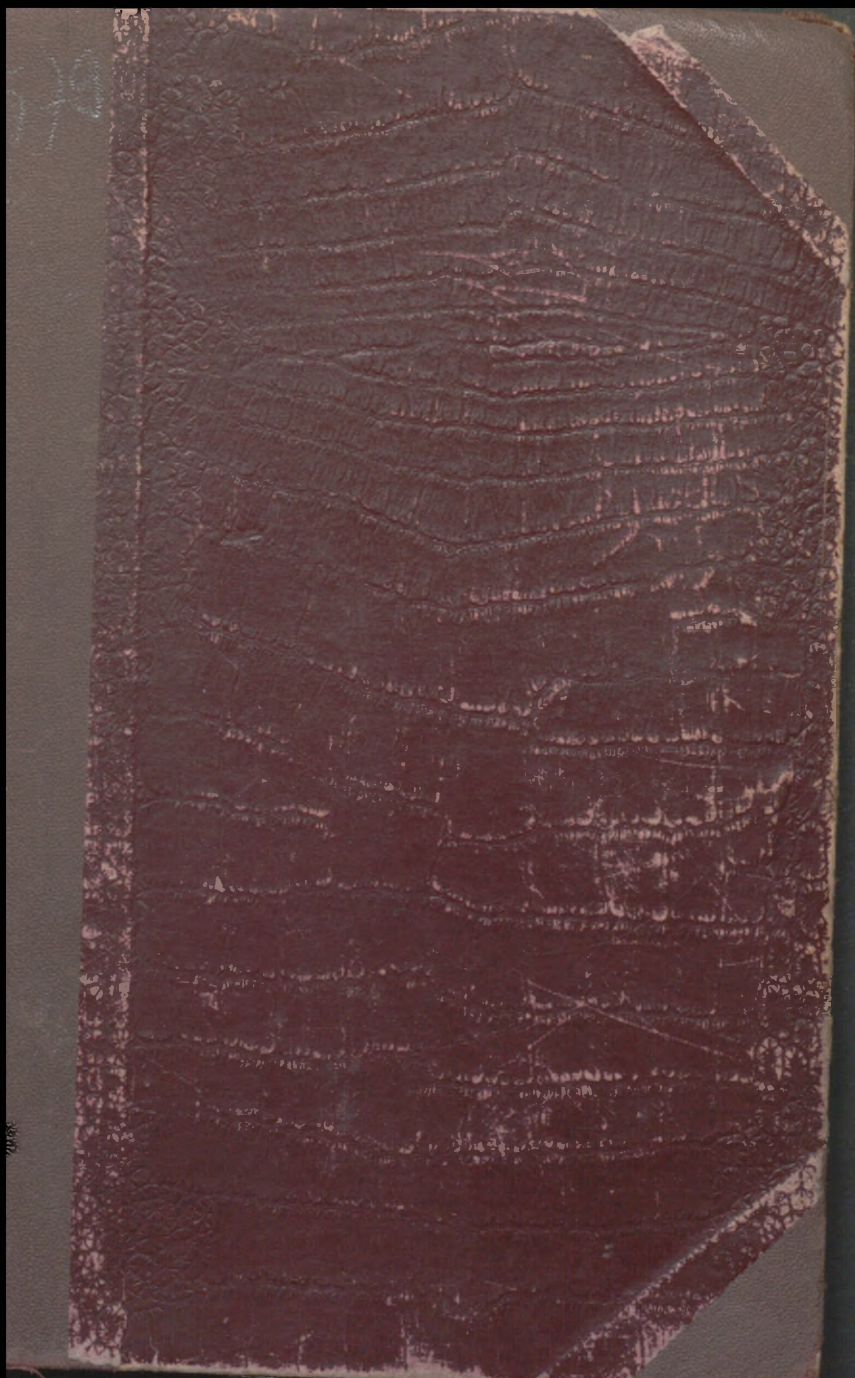


Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





Biblioteka Wojskowa

Korpusu Kadetów Nr. 2

Im. Marszałka Edwarda

Śmigłego-Rydza

13225/
17

ELŻBIETA Z ZALESKICH DOROŻYŃSKA

NA OSTATNIEJ PLACÓWCE

DZIENNIK Z ŻYCIA WSI PODOLSKIEJ
W LATACH 1917—1921

Z PRZEDMOWĄ
ARTURA GÓRSKIEGO

1048.



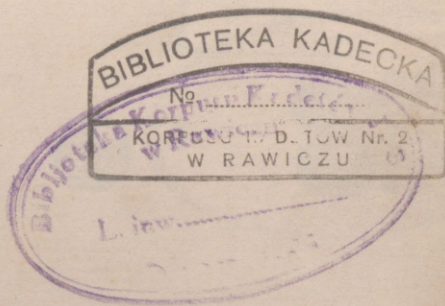
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

122

10
21

BIBLIOTEKA DZIECIĘCICH DOROZEMIA
NA OSTATNIEJ
PLACÓWCE

NA OSTATNIEJ PLACÓWCE



ELŻBIETA Z ZALESKICH DOROŻYŃSKA

NA OSTATNIEJ PLACÓWCE

DZIENNIK Z ŻYCIA WSI PODOLSKIEJ
W LATACH 1917—1921

Z PRZEDMOWĄ
ARTURA GÓRSKIEGO



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

884-3

WYDZIAŁ BIBLIOTEK I MUSEUM

WARSZAWA

PLACÓWCE

~~132257-~~



9845/2

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.” — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.” — KATOWICE

DRUK KLAMKOWSKIEGO I RAJSKIEGO
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

1925

PRZEDMOWA

Leży przede mną książka już odbita, nie rękopis — zatem rzecz zwrócona czołem do czytelnika. Przestała być własnością Autorki, straciła swoją wyłączność, należy do ogółu. Wywołuje to we mnie odmienne ustawienie się — i już nie z rękopisem przychodzi mi rozmawiać, ale z czytelnikiem.

Sama książka nie rozmawia z nikim. Nie dba o lektora, nie myśli o nim. Jest to pierwsze wrażenie, otrzymane już z początkowych stronic. Wypadki idą same, jak cienie, przez czującą substancję duszy. Z wypadkami idą osoby. Nikt ich nie przedstawia, nie opisuje. Tylko ta czująca substancja ściemnia się lub jaśnieje w słowach krótkich, jakby przyciętych ustami. Nie prowadzi nas tu nikt za rękę, nikogo nie rekomenduje; nie zwracają tu na nas poprostu uwagi. Jesteśmy wpośród wypadków groźnych i krwawych zostawieni sobie. Nikt tu nie myśli o stylu ani kolo-

rycie. Tu wogóle niema kolorytu. Jest tylko treściwa linja. Słowo rysuje kontury, nabrzmiałe wyrazem niedopowiedzianym, a linje tych konturów są z żywego cienkiego nerwu. Podnosi to wrażenie tragizmu.

Czem osiągnięto to? Prostotą środków, biorąc rzecz od zewnątrz. Biorąc od wewnątrz — powagą charakteru.

Wstępu tu żadnego niema. Jesteśmy postawieni odrazu pomiędzy płonące dwory. Na stopy podolskie rzucona panna, samotna, patrzy na „śmierć rodzinnego domu“. Możnaby całej książce dać ten tytuł, gdyby nie te kamienie, dźwigane do odbudowy na niewieścich plecach, strzegących placówki. Ta śmierć domu odbywa się na jej oczach, przy biciu dzwonów cerkiewnych. Ze stajen wyprowadzają konie, ciągną z wozowni powozy. We dworze nie dokończono wywłaszczenia, obecność panny przeszkadza. A jest sama, nikogo przy niej. Śmierć chodzi koło niej na palcach — a jednak nie uderza. Dlaczego? To zagadka. Widzimy, jest zupełnie sama. Prawda, jest stary zarządca, przyjaciel i opiekun — ale tylko przez kilka dni. Nerwy nie wytrzymały — topi się. Mężczyzna nie wytrzymał, a ta samotna panna wytrzymuje? Już drugiego dnia w diariuszu swoim notuje: trwać jednak trzeba do ostatka i mieć w Bogu nadzieję.

O co tu naprawdę chodzi w tem wytrwaniu na dnie otchłani? Czy o własność? Ależ to aż nadto wi-

doczne, że sama obecność tej panny żadnego wpływu mieć nie może na dalszy rozwój wypadków. Jest to tylko prowokowanie śmierci, a wszakże życie jest droższą własnością.

Tak. To prawda. Ale jest coś droższego, niż życie; to mianowicie, co nadaje życiu wartość, cenę. Nie mówi się o tem na głos w tym diariuszu polskiej panny kresowej. Tą wartością jest miłość do ziemi. Stary polski mocny animusz serca. Można po nim rozpoznać polskość. Ziemia nie jest tylko warsztatem dochodowym, farmą. To jest matka. Wielka, święta macierz, pełna cudów, godna czci. Kiedy w urzędzie statystycznym Stanów Zjednoczonych podjęto badania nad psychiką immigrantów różnych nacyj, wymieniono przy Polakach, jako jedną z cech głównych: szlachezny stosunek do ziemi. Polski ziemianin, choćby pięciomorgowy, zabiera z sobą to uczucie w świat, za morze, sadi je w ziemię jak szczepki i wrasta w jej grunt z korzeniami tego drzewa. A kobieta jest potrójną tradycją.

* * *

Ta to miłość idzie przez książkę obok Autorki od pierwszej kartki do ostatniej. Kiedy cierpienia piętrzą się ponad wytrzymałość, cierpienia fizyczne takie, jak głód, zimno, brak światła, brud, praca ponad siły,

i gorsze od nich — cierpienia moralne, wówczas spotykamy się z okrzykiem: Boże! żeby można wyjechać! Ale gdy pragnienie się ziszcza, przychodzi ociąganie się i żal. Odzywają się skrzypce, owa viola d'amore, a w niej dwie struny cudne: cud młodości własnej, i cud młodości świata, wiecznej młodości ziemi i nieba. „Taki czarodziejski świt przez splątane gałęzie parku, taki miraż podolskiego stepu... Tylko śpiewać, wielbić, modlić się“. Tak, to jest miłość religijna. „Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy... Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże, na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym, gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże wydaje się krwią i płomieniem krzywym, a gdzieś daleko grzmi burzaków morze“. To wielki mistrz wziął skrzypce w rękę — a te same, te same leżały i leżą w każdym kresowym dworze. I w tej książce słysząc brzęczenie ich strun, dobrze nam znanych. Miłość stęskniona chodzi cichymi stopami po tych cienkich nitkach, rozpiętych nad przepaścią, nad otchłanią serca. I znów wracamy myślą do wielkich śpiewaków tej ziemi stepowej, która tyle umiłowania wzbudziła w polskim narodzie. Jakież ogrom był tych umiłowań, jeśli obudził taki ogrom cudu pieśni? Gdzie i kiedy drugi raz na świecie znaleziono takie słowo dla miłości kawałka ziemi? Gdyby ta ziemia czucie miała, gdyby słyszała te

pieśni, które się nad nią w polskiej mowie unoszą i wiecznie unosić będą, czy nie zechciałaby sama należeć do tych, którzy ją najgłębiej ukochali? A może tak kocha miłość, która ma głuchą świadomość grożącej utraty? Lecz jeśli co nie ginie, jeśli co ostoi się zniszczeniu, to miłość chyba. I tę ten naród lacki zabrał z sobą i wciągnął w księgi tak cudne, tak pachnące wyczarem, jakby w nie wciągnął i zabrał całą Ukrainę. Otwórzmy Beniowskiego, Srebrny Sen Salomei, Marję: ona tam jest, jej ciało stało się słowem i zamieszkało między nami.

Dlaczego tedy była tak tragiczną ta miłość do ziemi, którą razem z nami inny naród, jej syn pierworodny, zamieszkał? Dlaczego taki obrót wzięła? Czy to nie dowód wyraźny, że dwa narody na tej samej ziemi żyć nie mogą? A możemy tylko razem żyć nie umieli?

I tu przechodzimy do drugiego motywu tej książki.

*

*

*

Dział Kadecki

Wszystkie dwory podolskie rozgromione naokół, kto z polskiego ziemiaństwa nie schronił się do miast, został zamordowany. Wiatr hula po pustych, odartych pokojach, w których wzrastały całe pokolenia. Bibliotekami pali w piecach lud ukraiński. Jedna polska panna ostała się w tej pustce po rzeziach i pożarach, ży-

je w dworze swoim, strzeże go, trwa na stanowisku, wyjechać nie chce. Chce zaprzeczyć całej olbrzymiej rzeczywistości historycznej. Śmierć krąży nad jej głową, skrada się nocą pod okna dworu, podchodzi brutalnie w biały dzień, igra z nią, błaznuje czasem. A jednak nie uderza. Zdumienie ogarnia przy czytaniu tych kart lapidarnych. Z mężczyzn nikogo przy niej — aż dziwno. Czasem dojeżdża dopóki może, „najlepszy z kuzynów“, mimo że daleko mieszka, później przekrada się kilkakrotnie, narażając głowę, przez granicę w przebraniu włóczęgi, jak w ukraińskich powieściach Sienkiewicza. Wydana na łup wsi, potem rządów ukraińskich, potem sowieckich, bytuje w tej anarchji różnego fasonu przez lat cztery. W czasie tego rządzi domem, ma służbę, prowadzi szkołę we dworze, czuwa nad szkołami polskimi w całym powiecie, zakłada nowe szkoły, przechowuje w domu swoim liczne ofiary politycznych wyroków — i wychodzi cało z tego piekła, z tej grozy każdodziennej, mimo walki o swoje prawa, o swoją polskość, o swoją indywidualność. Jak się to stać mogło, czem się to tłumaczy? Jeśli nie ostali się inni, dlaczego ostała się ta samotna, jedna polska panna? A jeśli ostała się ona, to dlaczego nie ostali się inni? Czy ten lud w jej wsi był lepszy, wyjątkowy może? Ależ czytamy w tym samym pamiętniku opis ubicia czterech bolszewickich żołdatów; bito ich

kijami i kopano nogami od godziny trzeciej po południu do ósmej, podawano sobie z rąk do rąk, zastrzelono dopiero po pięciu godzinach znęcania się. Ukamienowano dwóch chłopów i babę poza wsią. Ten lud umie i lubi zabijać. A ta panna polska chodzi wpośród nich, nawet ochraniana w razie grożących niebezpieczeństw.

Rozwiązanie tej zagadki znajduje czytelnik dopiero pod koniec diariusza. Sam, sięgając pamięcią w przeszłość niedawną a tak odległą, przypominam sobie, co znajoma mi osoba z kresów opowiadała z wizyty w domu Autorki tych kart. Było to na kilka lat przed wojną. Widziała ją w fartuchu lekarskim, klęczącą u nóg kobiety wiejskiej; oczyszczała ranę i przewiązywała bandażem. Kobieta narzekała na ból i ranę. „Bo żeby to na swoim — skarżyła się na głos — ale na dworskiem!“ Podziwiano cierpliwość tego to młodego doktora nie z musu. Poczynamy teraz pojmować, dlaczego to dwór Halzbijowiecki ostał się i stoi, a w nim pani Lila Zaleska przez lat cztery. Jeżeli ustąpić musiała wkońcu, to nie przed ludem, nie przed własną wsią. Odeszła ze zwycięstwem moralnem. Takiego zwycięstwa niema nawet w dziełnej, wspaniale napisanej, jakby przez Baśkę Wołodyjowską z konia dyktowanej książce pani Szczuckiej. Poczuję wielką ulgę w duszy po przeczytaniu tego diariusza panny Zaleskiej, wyda-

VIII

nego przez panią Dorożyńską. Powiem prawie, że książki takiej czekałem. Po wszystkich próbach rozwiązania antagonizmu między dworem a wsią czyto szabłą ułańską, czy policją z kozakami carskimi, czy rzezią i grabieżą, czy bolszewickim ukazem i czerezwyczajką, czekałem próby najprostszej, tej, która w to złożone i zawikłane zagadnienie patrzy jako na stosunek człowieka do człowieka — i rozwiązuje je sercem. Metodą najstarszą, najprostszą, najłatwiejszą zdałoby się, najtrudniejszą jednakowoż niestety. A to NIESTETY leci przez stulecia i wyje jak Eryńja.

* * *

Lecz sięgnijmy do diarjusza.

„Jeden z moich pacjentów — (czytamy), inteligent wiejski, powiedział mi kiedyś: Was, panienko, tylko medycyna uratowała. Na pewno ma słuszność. Gdy spojrzę w przeszłe swe życie, najwyraźniej widzę logiczny bieg wypadków, który już wtedy się układał, przygotowując obecne położenie. Rozbawionej, rozpięszczonej, pełnej aspiracji artystycznych, skąd przyszło mi do głowy przed laty chodzić na kursy samarytańskie, odbywać praktykę w klinikach, studjować książki medyczne? Zapewne, był to owczy pęd i moda, ale moda, która u mnie lata trwała, przeradzając się w sumienną pracę i poważny obowiązek. Przecież na dłu-

gie lata przed wojną sława moja „doktorska“ znana była w okolicy, ambulatorjum zaś moje w Gruszcze przepełnione chorymi, dla których znajdowałam zawsze czas i pomoc, pomimo kpinek i śmieszków mego otoczenia. To moje „doktorowanie“ nie było jakąś szlachetną pozą, jakimś spędzaniem czasu wiejskiej panny. Nie, robiłam to nieraz z przymusem i wysiłkiem, jako rzecz konieczną i poważną; może już wtedy pracowałam nieświadomie nad ocaleniem siebie i najdroższych dla mnie miejsc“ (str. 348).

Czyta się ten ustęp jak jasny komentarz na marginesie ciemnego życia wypisany. Zadajmy sobie teraz pytanie: coby było, gdyby tak byli postępowali wszyscy, tam, za Zbruczem i Dniestrem? Przykład podobny znam jeszcze tylko jeden: młody ziemianin, Polak w ziemi połtawskiej, trwa dotąd w swoim dworze, nietknięty, szanowany. Bo gdzie jest przyczyna, jest i skutek. Kto dawał duszę, odbiera duszę. I dopiero to jest kultura — najwyższa, godna szlachetnego narodu kultura. Nie rozmowy w salonie o ostatnich książkach od Perrina czy Colina z Paryża i nie przebywanie przez zimę na Rivierze. Nie to, ale życie razem, po bratersku, przy wspólnym warsztacie pracy. Trzeba w ten stosunek wnieść ludzkość. Nie wystarczy nie czynić źle, nie wystarczy czynić dobrze. Trzeba zbliżyć się do ludzi po ludzku,

do tych ludzi, którzy przez los wspaniały zostali nam powierzeni. W tem jest ogrom odpowiedzialności, ale i ogrom godności i zadowolenia. Dwór i wieś, to jak małżeństwo, rodzaj sakramentu. Poprawność stosunku nie wystarcza, tu trzeba serca i szacunku. Kawalek ziemi to nie jest prywatna chusteczka kieszonkowa. To jest Kawalek Ojczyzny, zatem i kawałek historii. Kto tego nie czuje, nie pojmuje, ten niech się nie zbliża do ziemi. Dwór to tylko najstarszy człowiek gminy. A czy było tak? Patrząc na życie nasze na kresach, przyznać się muszę dziś, że miałem zawsze nieustępliwe, podświadome poczucie zbliżającej się katastrofy. Trzeba było mieć dębową zwartość charakteru, aby nie ulec panującej tam atmosferze.

Mówiono, że chłopstwo ukraińskie to dzicz. Cztery lata tam siedzimy co najmniej, i lud pozostał dziczą? Wykazywano, że zwraca się on przeciw tym, którzy mu czynili dobrze. Ten zarzut przypomina mi dzieci, co to zasadziwszy pestkę, przybiegają za pół godziny, wyjmują ją z ziemi i patrzą czy już wschodzi. Natomiast dzieje tych czterech lat diariusza uczą nas raczej optymizmu w stosunku do ludzkiej natury. Patrzymy z miesiąca na miesiąc, jak węzły między wsią a panną ze dworu zacieśniają się, jak sumienie człowiecze bierze górę. Ale też trzeba było nato tej genialności w postępowaniu z ludem, jaką podziwia-

my w Autorce. Jaki to wymowny szczegół, kiedy panna Zaleska przyjeżdża ze swej wsi do rozgromionego dworu rodzinnego i, napotkawszy gromadę chłopów, którzy wypiłowują deski ze ścian jej domu, mówi im spokojnie: Boże pomahaj! Chłopi rzucają narzędzia i odchodzą w zawstydzeniu. Albo to leczenie „wrogów“, to jest chłopów, którzy w czasie pierwszych pogromów dybali na jej życie; chodzenie po wsi od chaty do chaty w czasie epidemji, dreptanie pośród chorych aż do opuchnięcia nóg; albo wspólna z rodzicami żałość nad śmiercią dzieci. Później, kiedy bolszewicy pytają chłopów urągliwie i podchwytnąco: Co wy tak tę waszą pannę kochacie? — chłopci odpowiadają przezornie: my jej nie kochamy, ale ona nam potrzebna. Służba indagowana, dlaczego służy u panny we dworze, odpowiada, że nie służy, tylko pracuje wspólnie. I nie było kłamstwa w tem. Wzajemny braterski stosunek ludzi do siebie rozwiązywał tu głębiej zagadnienie pracy, niż to czyni komunistyczny stosunek do własności. Ford tłumaczy w swoim pamiętniku, że nawet chłopca do posyłek, z chwilą, jak go zgodzi do przedsiębiorstwa, uważa i traktuje jako współnika — i raz przyjętego do fabryki nie wydała. W ten sposób tworzy się rodzina pracy.

Pani Dorożyńska, mając na każdym kroku sposobność do poruszenia tych zagadnień, pomija je

w swej książce milczeniem. Nie lubi dyskusyj. Lubi robotę pozytywną, zakłada szkoły, opiekuje się działką i nauczycielkami, leczy swą wieś, przytula przybłądów, osłania banitów, organizuje szpital we dworze, jest ciągle na usługach i ciągle w rozjazdach. Wprawdzie zastrzega się nieraz, gdy chodzi np. o leczenie, jakoby czyniła to z zamiłowania. Robi to tylko „z poczucia obowiązku i litości“. Gdyby jej „życie pozwoliło, robiłaby co innego“. Ale życie nie pozwala, a sama sobie nie pozwoli również. Wiemy jednak, że leczyła i wtedy, gdy życie pozwalało i ku czemu innemu wabiło. Pani Dorożyńska ma duszę zbiorową w sobie, czuje z ogółem i za ogół silniej i rzetelniej niż ci, co ją przychodzą pouczać o doskonałości nowych rządów ludowych. W najgorszym położeniu nie opuszcza rąk, gdy słyszy, że jej szkołom coś zagraża, lub gdy trzeba ludzi ratować; z lacką zawziętością broni tych swoich pól duchowego obsiewu — i ta jej energia imponuje. Potrafi się przeciwstawić wszędzie i skutecznie, bo ma poczucie wartości swojej pracy. To daje jej poczucie wartości własnej, pewność siebie. Niema w niej nic z tego, co spotykało się nieraz w naszych paniach na kresach, oczadzonych wpływem rosyjskości: wysokie ideały w marzeniach, a na codzień życie bez wartości. Ta panna polska sama jedna broni placówki kulturalnej do ostatka, bo ta kul-

tura, w pracy polskiej, w słowie polskiem zawarta, to cały sens i urok życia, cała ostoja dla duszy, łamanej przez instynkt brutalny.

Dyskutować jednak Autorka pamiętnika nie lubi. Może to nawet i szkoda; słyszała tyle, takie prowadzono z nią lub przy niej rozmowy. Niema z nich w dzienniku ani śladu. Nie było zresztą czasu na notowanie. Dziennik był zajęty w przewidywaniu śmierci co dnia, miał być spuścizną dla najbliższych, aby mieli „pamiętkę i wierny obraz przeżyć“. Pisany był też pod wrażeniem traceniam pamięci na skutek wielkiej depresji — a później stał się powiernikiem chwilowych wrażeń. I ta doraźność jest jego cechą. Jest tam wszystko, bez kontroli, bez panowania nad sobą. Jest serce, jest wola, jest miłość, przywiązanie, jest i przygnębienie i gniew, są nerwy i krótki jak strzał błysk nienawiści. Trwa to moment—a potem równowaga wraca, zasadniczy instynkt duszy bierze górę: ochraniać, osłaniać, wyrozumieć, wybaczać, ratować. Kłoby chciał wyłapywać słowa przeciw Autorce, uczynić to może z powodzeniem. Wymyśla ona nieraz hadiukom twardo, wzgardliwie, wypiera się wszelkich dla nich uczuć — żeby na drugi dzień napisać coś wprost przeciwnego, a tego samego dnia jeszcze podreptać późną nocą do wsi do chorych. Powinna się ta lacka panna nazywać: Dobrogniewa.

I Żydom też się, oczywiście, dostaje po drodze. Bolszewikom zato gotowa ścinać głowy polskimi kosami. Ale jak są chorzy, to ich leczy, i na pewno z całą zawziętością.

Dziś dwór w Halzbijówce stoi cały, jest w nim zapewne nadal szkoła i czytelnia — niema tylko tej osoby, która stanowiła jego duszę. Odjechała, by siły i życie całe oddać własnej ojczyźnie. Ukraina fara da se. Tęsknota. serdeczna pani Elżbiety Dorożyńskiej zapewne tam pozostała — ale dusza jej należy do nas, jest z nami. Nie przesadzamy przyszłości, przywiązanie szczerze czyni cuda. Co do mnie jednak, wyznam szczerze, że wolę jedną wieś polską na zachodzie Rzeczypospolitej, niż cały powiat na wschodzie. Wchodzimy w okres migracji do Polski. Tu jest nasz prawy gniazdowy dom. Dwóch ojczyzn mieć nie można — poza Bogiem, który, jak Mickiewicz to określił, jest drugą naszą ojczyzną. Wyszliśmy niegdyś z tego domu na kresy nad Dnieprem i Dźwiną; do tego domu dzisiaj, do Polski piastowej wracamy. Obcy kolonizują nam naszą własną ziemię, wypierają nasz lud za ocean, — a my się chcemy zabierać do kolonizowania ziem innych? Skolonizujemy wpierw naszą własną ojczyznę. Ileż tu jest jeszcze do zrobienia!

Pod tym względem książka pani Dorożyńskiej jest prawdziwym tego procesu dziejowego wyrazem. Koń-

czy się ona powrotem Autorki w granice Rzeczypospolitej. Witamy ją w tych granicach, jak żołnierza, który ostatni zeszedł z powierzanej mu placówki, i przywiózł z sobą rzecz najcenniejszą, wyniesioną z pożogi dziejowej, przywiózł dzielne, szlachetne, zahartowane, wierzące i wierne serce. Za taką dzielność, za taki dar, widzę dziś jedną tylko nagrodę, jeden dar wzajemny, jaki przypięćbyśmy mogli na piersi, co tak odważnie stała naprzeciw śmierci: mały znak *Virtuti Militari*. Niestety — statuty kapituły orderu nie pozwalają na to, wymagają służby w mundurze, w pułku, na froncie. *Respublica litterarum* niemi nie rozporządza. Centurjon naszej kultury sam w czynie swoim, w poczuciu własnem, nagrodę całą znaleźć musi.

Artur Górski.



I.

8-go listopada 1917 r.

Jestem w Gruszce. Porzuciłam moje ciche hałz-bijowieckie kąty, wezwana alarmującym listem. Sytuacja jest zła, a chłopci coraz zuchwalsi; wzięli się już do niszczenia lasów, a dezorganizacja zupełna. Co-prawda, wszędzie tak samo, albo jeszcze gorzej: ileż już dworów zrównanych z ziemią, ile napadów, ile mor-dów! Bolszewicy górą. Wszędzie bratobójcze walki; prawdziwy dzień sądu.

Nie jesteśmy pewni życia; co chwila spodziewać się można napadu, albo podpalenia zarówno od swoich chłopów, jak i od wojska, włóczącego się teraz bandami.

Żyjemy niby wśród wilków i szakali; nie można się opędzić od złodziei, którzy kradną bezczelnie w biały dzień, co się da. Chyba pod ziemię wszystko schować, ale i z pod ziemi wygrzebią, bo przecież i umarłych z grobów wyciągają i obdzierają.

9-go listopada.

Chłopci rozpędzają całą służbę i wypędzają z chat skarbowych, w których mają podobno umieszczać in-

walidów. Dziś w nocy pobito na folwarku stróża, pilnującego resztek rozgrabionego zboża.

Więś odgraża się, że dwór rozbiją, być może, że i rznąć będą; czyż nie dowiadujemy się codziennie o nowych morderstwach?

Jutro jadę na narady z bratem moim Czesławem, ale co tu pomogą narady, wszak jesteśmy bezbronni. Trwać jednak trzeba do ostatka i mieć w Bogu nadzieję; jeżeli zginiemy, znajdą się mściciele naszej krzywdy, co upomną się tu kiedyś o nasze prawa.

Wszyscy jesteśmy w przededniu śmierci, więc, Boże, Twego miłosierdzia nam trzeba.

22-go listopada.

Już się zaczęło. Powróciwszy z Mohylowa, zastałam pogrom folwarku. Rozbijanie drzwi i okien, niszczenie budynków. Postanowiłam wywozić meble. Wszystko to jedna straszna męka: pakowanie rzeczy, zbieranie gratów, chowanie cenniejszych przedmiotów i pieniędzy. Uczucie grozy ustawicznej i okropnej śmierci, wiążącej nad głową. Ze stajen wyprowadzają konie, z podwórza ciągną powozy. Żaden pokój do siebie niepodobny; wszystko przewracane. Łóżko Mamy wyniesione i krucyfiks i obrazy; resztki te, które chciałam tak zachować, jak były za Jej życia. Szafa i skrzynie z przyborami malarskimi, nietknięte od Jej śmierci, teraz w pośpiechu przewracane, spakowane. Przeżywam śmierć Gruszki, mojego rodzinnego domu. Gdym dziś klękała na miejscu, gdzie stało łóżko Mamy, pierwszy raz oddawna zaszlochałam. Taki ból, taka

bezgraniczna niedola... Całe życie leci gdzieś w przepaść.

3-go grudnia.

Przyjechało 15-tu kozaków, sprowadzonych z Jampola nibyto dla ochrony dworu, w którym się też rozlokowali.

Noc przed ich przyjazdem była straszna. Cała wieś rzuciła się na folwark: szarpanie dachów, wyłamywanie murów, wywożenie żłobów, belek i resztek zboża. Huk i turkot jak w czasie szturm. Bicie w dzwony, które najstraszniejszą grozą przejmowało.

Byłyśmy na wszystko przygotowane, co chwila oczekując najścia na dom; ale zanadto byli zajęci folwarkiem.

Całą noc chodziłam dokoła dworu, pilnując; służba się pochowała, stróżów dawno niema.

Wczoraj w nocy obudził mnie nagły blask, bijący w okna. Pokazało się, że to chłopci podpalili stajnię, gdzie stały konie kozackie. Dyżurni, którzy mieli czuwać nad naszym bezpieczeństwem, spali tak mocno, że nawet nie zbudził ich kwik własnych koni, żywcem płonących w stajni. Spaliło się dziesięć koni. Naturalnie, rozpacz była straszna. Myślałam, że będą się mścili na wsi. Woleli jednak swoje pretensje ku nam zwrócić. Zażądali dziesięć tysięcy odszkodowania; ponieważ ochraniaли „pamieszczików“, więc teraz niechaj „pamieszcziki“ im natychmiast zapłacą. Gdy p. Duszyński, zarządzający, nie chciał im płacić, grozili mu aresztem i obiecywali, że się z nim po kozacku roz-

prawią. Jeden z nich jednak, otrzymawszy łapówkę, uspokoił swoich towarzyszy, i ci zgodzili się na trzy tysiące, z dodatkiem jednak kwitu do Hałzbijówki, by im tam wydano najlepszego szpaczka z czwórki. Kiedy się ociągałam z pisaniem, powiedzieli: „Piszcie siej czas, a to jediem i wsie łoszadi zabierom“. Banda rozbójników taka sama, jak i inni! Prostu siłą fizyczną, gdyż kozak popychał mię, abym prędzej pisała, wymusili wszystko i pojechali do Hałzbijówki. Umieram ze strachu, co oni tam zrobili, wiadomości żadnych nie mam.

Po wyjeździe kozaków zostaliśmy nawet bez tej pozornej obrony. Na noc pojechaliśmy do Słobody*); byłam pewna, że już tego biednego dworu nigdy nie zobaczę. Dzięki temu, że w domu nocowało jeszcze paru maruderów, nie zdecydowali się chłopci na pogrom.

Pan Duszyński pojechał do Mohylowa, prosić o pomoc wojska polskiego. W Słobodzie stało dwunastu żołnierzy z dwoma oficerami z piechoty polskiej. Prosiłam oficerów, aby mi choć paru żołnierzy dali do obrony, ale nie mieli prawa tego zrobić.

Och, ten wieczór! biedna Gruszka opuszczona, ja w Słobodzie bez żadnej już nadziei dostania pomocy.

Wtem przyszedł chłopak z wiadomością, że drogą do Gruszki pojechało 27-miu ułanów polskich! Natychmiast udałam się tam i rzeczywiście zastałam pełen

*) Majątek w najbliższem sąsiedztwie.

dom wojska. Nieporządek, rozgardjasz, ale przynajmniej jest obrona. Właściwie to wojsko polskie nie ma w założeniu zadania bronięcia obywateli, jedynie po wsiach rozlokowuje się dla furazu i formacji; ale sama obecność wojska polskiego powstrzymuje chłopów, którzy nie śmieją zbliżyć się do dworu, zato z folwarku resztę desek i blachy wynoszą. Chwilowe to ocalenie, i sytuacja jest wciąż groźna. Biedne to wojsko, gdy resztę furazu i naszych zapasów zje, pójdzie dalej, a potem co? — Chłopi zemszczą się jeszcze gorzej; wciąż odgrażają się, że p. Duszyńskiego zabiją.

Wszystko wydaje się snem i fantazją: wojsko polskie w Gruszce! codzień wieczorem odmawiam i śpiewam z żołnierzami modlitwy; w salonie prowizoryczna kaplica, w pokojach pustka i nieład. Przez cały ten czas pakowałam meble i wysyłałam do Mohylowa. Mój Boże, wszystko powywlekane brutalnie, poprzewracane. Mam wrażenie, że każdy grat ożył i skarży się, że mu się krzywda dzieje, że go ruszają z miejsca, na którym tyle lat w spokoju przeżył. Nieraz przy pakowaniu ręce mi opadają: każdy obrazek, każdy drobiazg — to, na co dawniej nie zwracałam uwagi, prawie nie widziałam, teraz zdaje się przemawiać tłumem wspomnień i prosi, by go ochronić i ustrzec od zagłady.

4-go grudnia.

Muszę jechać do Halzbijówki; dostałam wiadomość, że i tam się coś niedobrego przygotowuje. Tu nic więcej zrobić nie mogę; żegnaj Gruszkę, może na zawsze? — Wojsko zostaje jeszcze.

6-go stycznia 1918 r.

Wszystko, co najokropniejsze, uderzyło we mnie. Biedny mój p. Duszyński nie żyje! Już miesiąc jak go niema. Biedak, słabsze miał nerwy ode mnie, nie mógł przeżyć zniszczenia Gruszki i tej grozy śmierci, która ciągle nad nim wisiała. Już z Gruszki wyjeżdżał nie-normalny, ale wśród nawału zajęć i nieszczęść nie zwracałam bardzo na to uwagi. W Halzbijówce zupełna melancholja go opanowała: siedział całymi godzinami bez ruchu, wpatrzony w jakiś daleki punkt, a kiedy chciałam go pocieszyć i rozruszać, podnosił na mnie błędne oczy, z których łzy kapały, i szeptał: „Gruszki już niema, to nie koniec; wy nie wiecie; będą się działy jeszcze straszne rzeczy“. Czwartego dnia po przyjeździe do Halzbijówki poszedł na spacer i nie wrócił już. Utopił się w Murafie. Najlepszy, najwierniejszy przyjaciel! Jedyny mój opiekun. Dobry mój biedny Duszek! Znów jedna ofiara więcej do niezliczonej listy męczenników.

Zostałam samiutka; rozpacz mię ogarnia, jak sobie dam radę; tyle spraw, tyle interesów, o których pojęcia nie mam.

W dzień śmierci biednego p. Duszyńskiego Gruszka została zupełnie rozbita. Byłam tam potem z Franem, który przyjechał na pogrzeb p. Duszyńskiego i potem dojeżdżał parę razy. On, najlepszy z kuzynów, stanowi teraz jedyną moją pomoc. Nadużywam tego zacnego serca, bo tak daleko mieszka i swoich spraw ma tyle, ale ja sobie w tem piekle sama rady dać

nie mogłam i taka mu wdzięczna jestem za przyjazd i pomoc.

Biedna nasza Gruszka, nasz stary, dobry dom, ileż szczęścia, radości, ile życia tuliła w swych murach, a teraz grób pozostał.

Okna potłuczone, kawałki mebli rozrzucone po podłodze, jakieś sprzęty, jakieś kłaki powypruwane; stosy podartych książek, kupy błota, szkła, papierów. Wiatr wchodzi wybitymi oknami, drzwi nigdzie niema, więc bezkarnie wałęsa się po pustych pokojach, szleszcząc obdartymi tapetami; tak samo na cmentarzu rozmawia z szarfami mogiłnych wieńców.

Przez trzy dni grzebałam się w tych rumowiskach, odnajdując fotografie, listy, książki — resztę zgromadziłam na stos i spaliłam.

Podłe chłopcy, gdy się dowiedzieli, że przyjechałam z Franiem, zaczęli podrzucać zrabowane meble; chodząc po ogrodzie, spotykaliśmy na śniegiem zasypanych alejach fotele i krzesła, które zdawały się równie nieszczęśliwe i przepełnione wstrętem, jak i my.

A tu przeżywam znów konanie, i czeka mię pogrzeb. Halzbijówka w przededniu pogromu. Pułk Zamurski armji cofającej się z Besarabji rozlokował się tutaj. Byłam pewna, że ostatnia godzina wybiła. Szczęściem tylko jedną noc przebyli i poszli dalej. Falę — moją ukochaną wierzchówkę wykradłam i schowałam na wsi.

Po strasznej nocy niepokoju szczęśliwie byliśmy, że się na tem tylko skończyło. Naraz wpadł Justek z wiadomością, że nowi kwatermistrze przyjechali i są

już w moim pokoju. Gdyśmy weszły do sypialni, pięciu drabów plądrowało już po szafach i szufladach. Pytając, czy jestem „chozajka“, dwóch przytknęło mi rewolwer do skroni z krzykiem: „dawaj dieńgi“! Uspokoiłam ich, że wszystko im oddam, aby tylko nie niszczyli i nie rozbijali. Wciąż pod eskortą rewolwerów zaprowadziłam ich do gabinetu i otworzyłam biurko, ale suma, znaleziona tam, nie zadowoliła ich, zaczęło się więc wodzenie po pokojach z nieodstępnymi rewolwerami i szukanie po wszystkich kątach i zakamarkach. Po długiej wędrówce wróciliśmy wkońcu do sypialni, gdzie cała służba i domownicy spędzeni byli i rewidowani również. „Tawariszci“ sumiennie opróżniali szafy i komody, a nawet drobiazgi z toalety, nawet mydło z umywalki nie uszło ich łap. Oswoiwszy się z sytuacją, zaczęłam się upominać o oddanie niektórych rzeczy. Udało mi się wyprosić pled, grzebień, pół funta herbaty i suknię służącej Józki. Powiązawszy rzeczy w toboły z kołder i prześcieradeł, wynosili je na fury, przed stajnią stojące, poczem, krzyknąwszy do zgromadzonych chłopów: „a teraz idźcie zabierać resztę“, pośpiesznie wyjechali. Narzuciwszy jedyny pled, jaki mi został, wybiegłam na podwórze. Gromady chłopów stały niepewne i niezdecydowane; starsi naradzali się, młodsi zaglądali do okien, z bezczelnością włączając na ganek, rozsiadając się na ławkach, ale do domu wejść nie śmieli. Po chwili zobaczyłam baby, wynoszące kwiaty z oranżerji: ach, ten obrzydliwy gest, trzymający bezbronne, nieszczęśliwe rośliny za włosy i otłukujący z pośpiechem doniczki — znam go dobrze z Gruszki.

Helę z dziećmi i ojcem wysłałam do cukrowni do Honorówki, a sama pilnuję tych ukochanych kątów; czuję, że jedynie moja obecność trzyma je jeszcze w całości. Wieś złowroga i niespokojna, bandy chodzą po ogrodzie, łamią, niszczą moje ukochane drzewa, łążą popod okna, jak dzikie zwierzęta węsząc odpowiedniej chwili, by się rzucić.

Już czwartą noc nie rozbieram się; chodzę po tych opustoszałych pokojach, biednych, ogołoconych z obrazów i mebli, bo co można chowam lub wywożę. Tak samo biedna Gruszka wyglądała w przeddzień śmierci. Czyż i te ukochane kąty ten sam los czeka? Czuję, że walczę rozpaczliwie, że wydzieram coś drogiego z rąk śmierci, ale już tyle ukochania mego ta zimna śmierć mi wydarła, pewnie i to ostatnie zabierze. A wrasta mi to coraz bardziej w serce, jako wspomnienie i jako symbol wszystkiego, co było drogie. Zdaje się, że z każdą godziną, która ma teraz wagę lat, kocham coraz więcej te biedne, bezbronne mury.

11-go stycznia.

Już dziesięć dni upływa, jak żyję tem strasznem nieludzkim życiem, nie rozbieram się zupełnie, całe noce czuwam, a dopiero nad ranem kładę się na dwie godziny; w dzień „ujadam“ się z chłopami, którzy mię zamezczają. Co chwila grozi pogrom. Wczoraj w nocy przyjechał Czesław, oni biedacy już od miesiąca rozbici i wygnani wraz z ojcem siedzą w Mohylowie. Cenniejsze rzeczy z zamurowanej skrytki wydobyliśmy, i tej samej nocy wywiózł je Cześ do Mohylowa.

Dziś w nocy chłopci dobrali się do kurnika, w którym schowałam meble, - musieliśmy je nagwałt w największej tajemnicy wynosić zpowrotem do dworu. A wszystko robi się ze służbą, której nie jestem pewna, i na której łasce pozostaję zupełnie.

Wezwano mię na „schod“ *); nie przypuszczając nic złego, poszłam, drepcąc po błocie w dziurawych kaloszach, w mizernej chuście na ramionach. Na placu koło kancelarji cała wieś była zebrana. Weszłam spokojnie w tłum i zapytałam, czego chcą ode mnie? Na to mi powiedziano, że właśnie oni chcą wiedzieć: „jaka jest moja dumka?“ Z całą naiwnością zaczęłam im przekładać, że mojem zdaniem najlepiej byłoby założyć we dworze szpital, albo przenieść kancelarję wiejską, i w ten sposób przetrwalibyśmy te niepewne, burzliwe czasy. „Aha, to wasza dumka — odezwało się kilku chłopów — a nasza, żebyś się wynosiła precz, do trzech dni żeby z ciebie śladu nie było we dworze“. Choć kipiało we mnie wszystko z oburzenia, starałam się wytłumaczyć, że nie mają prawa i sumienia wyrzucać mię w czasie zimy z mego własnego domu, i ograbioną zupełnie. Ale słowa moje przygluszały coraz większe wrzaski i protesty. Widząc, że żadne targi nic nie pomogą, powiedziałam: „kiedy więc tak uważacie, dobrze, ale dajcie mi przynajmniej czas do wywiezienia mebli“. „Nie, meble nasze, to nasza praca“ — zaczął wrzeszczeć rozjuszony tłum — to, co jej było, zabrali żołnierze, niech się tak zabiera,

*) Zebranie wiejskie.

jak stoi". Z coraz większą wściekłością przypadały do mnie baby i żołnierze niedawno przybyli z frontu. „Krowopijka, złodziejka! jak śmiała ziemię narodną wydzierżawić i od narodu brać za nią pieniądze!” — Bóg dał mi siły, stałam zupełnie spokojna, wkońcu, chcąc przerwać tę niebezpieczną scenę, powiedziałam: „Bronić się nie mam sposobu, bo was gromada, a ja samiotka” i odeszłam. Tłum zrobił wąską uliczkę, i wśród wrzasków, śmiechów i podszczuwań zaczęłam iść ku domowi. Szłam wolno, spokojnie, ale zdawało mi się, że lata mijają, a ja wciąż idę wśród tego obmierzłego, szarego, zięjącego zaduchem i nienawiścią tłumu; i jak we śnie dojść nie mogę do domu, który gdzieś majaczy białością ukochanych, upragnionych ścian. Wkońcu doszłam i, zamknąwszy za sobą drzwi, rozszlochałam się, jak dziecko okrutnie krzywdzone.

Dziś przyszedł komitet wiejski załagodzić tę sprawę; tłumacząc, że nie wszyscy są zdania, aby mię z dworu wyrzucać, że niektórzy żałowali mię, ale na burzliwym schodzie nie śmieli mię brać w obronę; że oni sami chcą, abym została. Wiem, o co chodzi: w jesieni wydzierżawiłam im ziemię i część pieniędzy wzięłam, boją się zatem, że jak wyjadę, to pieniądze ich przepadną. Wręcz im powiedziałam, że niech mi pozwolą mieszkać we dworze, a ja im pieniądze oddam, ale nie zaraz, gdyż wiedzą, że jestem przez bolszewików ograbiona. Ciekawam, co ze mną zrobią? Ale, choć zostanę, czuję, że od pogromu nie ustrzegę; zanadto wieś rozjuszona, a żołnierze rej wodzą. Dziś rozgromili folwark — początek zrobiony. A ta dzicz



tak się roznamiętnia do grabieży. Wszystkie już wrota, wszystkie furtki, wszystkie drzwi w oficynie porzucane. Z godziny na godzinę oczekuję swego losu. Co oni ze mną zrobią? czy rozgromią, czy zabiją, czy znęcać się będą? Bądź co bądź nie opuszczę cię, domku mój kochany, i może zginiemy razem. Niech się dzieje wola boża. Czasem ogarnia mię niewypowiedziany wstręt do życia, niechęć do wszystkiego. Sił fizycznych mam coraz mniej, boję się, że wkońcu, tak jak biedny p. Duszyński, zwaruję. Chciałabym tylko, aby ta katastrofa, która wisi nade mną, prędzej nadeszła, bo już dłużej nie wytrzymam.

Gdy przypominam swą przeszłość, zdaje mi się to takie dalekie, jakby w innem życiu jakiś sen, który się majaczył kiedyś; że byłam otoczona kochającymi ludźmi, którzy mię psuli i dogadzali, że byłam wesoła, beztroska, ładnie ubrana, wśród wykwintu i wygody; że wszystko było piękne, radosne, wypieszczone dla mnie: i drzewa, i kwiaty, i ściany, i meble. Przypominam sobie tyle drobiazgów, na które w tamtem życiu nie zwracałam nawet uwagi, bo je uważałam za tak naturalne i konieczne, a które teraz wydają mi się takie cenne, bo niemożliwe do osiągnięcia. Mogłam sobie swobodnie grać, czytać, śpiewać, haftować, chodzić, jeździć, mogłam swobodnie oddychać i żyć — hej, miły Boże! gdzie to było? czy to ja ta sama dzisiejsza nędzarka, która w sierocem osamotnieniu czeka wyroku od motłochu, a jutro może być wygnana, jak pies, na ulicę. — Nic to, wszystko przetrwa! tak, wszystko przepadło, wszystko się zmieniło: duch zo-

stał ten sam, mój własny, świadomy siebie, poddany jedynie wyrokowi bożemu czy w szczęściu, czy w niedoli. Duszy mi nie wezmą, nie zatracą.

15-go stycznia.

Chociaż dotychczas nie wyrzucili mię z domu, ale los mój i moich biednych gratów bardzo niepewny. Napisałam więc do Czesława, aby przyjechał i wywiózł co się da; pocziwy zjawił się przedwczoraj w nocy z czterema furami. Zaczęliśmy w największej tajemnicy ładować meble na wozy. Trzeba nieszczęścia, że tej samej nocy jeden z chłopów przyszedł wykraść powóz, z całą bezczelnością i spokojem wyciągnął go sobie z wozowni w naszych oczach, a jednocześnie dokładnie przyglądał się wozom, na których już część mebli była złożona. Byliśmy w najwyższym stopniu zażenowani i stropieni, a ten bezczelny drab wytoczył powóz i pojechał na wieś. Nie było czasu do stracenia, w najwyższym pośpiechu zaczęliśmy meble wnosić do dworu zpowrotem, i ogarnęła nas rozpacz. Zjawiło się zaraz paru chłopów, dopytując się, co się dzieje? Chcąc się ratować Czesław powiedział, że jest rządcą z Dzygówki*) skąd wywozi rzeczy i tu na popas się zatrzymał. Gdy się rozwidniło, poszedł do komitetu i to samo oznajmił. Fatalne głupstwo zrobiliśmy, bo naturalnie Czesława chłopci poznali; zaraz komitet przyszedł do dworu, zaczął indagować służ-

*) Majątek w sąsiedztwie nawpół już rozgromiony.

bę — no i cała prawda wyszła najaw. Oboje w domu czekaliśmy, co z tego wyniknie, a tymczasem coraz więcej chłopów gromadziło się koło stajni. Naprzód przystali po Czesława, chciałam iść z nim razem, ale mię nie puścili, dopiero po długiej chwili straszego czekania, którą, padłszy na kolana, na błagalnej modlitwie spędziłam, przyszli po mnie; gdym weszła na podwórze, zobaczyłam Czesława bladego jak ściana, siedzącego na schodach. Odetchnęłam — żyje! — A nad nim rozwścieczone chłopstwo wrzeszczało i wygrażało. Gdy mnie zobaczyli, posypały się i na mnie wymyślania, że lud chciałam okraść i okłamać: „etapem ich w Jampil westy!“ „samosud, samosud!“ dały się słyszeć głosy. Ciarki po mnie przeszły. Wśród wrzasku i tłumu kazali nam iść, jak skazańcom, do kancelarji. W ciągu drogi miałam czas i możność zbliżyć się do kilku życzliwych chłopów i błagać ich, aby Czesława przynajmniej ratowali, że to ja go namówiłam, że jest niewinny, że ma czworo dzieci. Chłopi kiwali nieznacznie głowami i dawali do zrozumienia, by przyspieszać kroku. Jednakże tutejsi ludzie nienajgorsi. No, nareszcie jesteśmy w kancelarji, i tego wstrętnego tłumu niema. Tu się zaczęła już spokojniejsza rozmowa: chłopi z oburzeniem i wyrzutami wytykali mi oszukaństwo, ja im na to odpowiadałam, że po schodzie, na którym mnie odsadzili od wszystkiego, nic innego mi nie pozostało, jak wykradać swoje własne rzeczy. Po długiej rozmowie nastrój stał się spokojniejszy. Wytłumaczyłam im, że, jeżeli ja zawiniłam względem nich, to oni jeszcze więcej mnie skrzywdzili; że jeste-

śmy ludzie omylni, że powinniśmy sobie wzajemnie darowywać. Obiecali, że Czesławowi pozwolą spokojnie wyjechać, ale żeby się nie ruszał ze dworu bez ich pozwolenia, bo za tłum nie ręczą. Gdyśmy wrócili do domu, po pokojach wałęsały się jeszcze resztki drabów, którzy w czasie naszej nieobecności plądrowali wszędzie, bębniłi na fortepianie i kradli resztę drobiazgów. Że wtedy nie zrobili pogromu to cud! Nazajutrz pozwolono nareszcie biednemu Czesławowi wyjechać, ale jeszcze w bramie zatrzymali go chłopci i zabrali karabin i zapasową uprząż. Bogu dzięki, żeśmy z tej awantury wyszli cało.

Byłam pewna, że to niefortunne wywiezienie rzeczy wzbudzi znów chłopskie apetyta i niepokój o „pańskie dobro“. I następnej nocy oczekiwałam pogromu. Ale jakoś po scenie w kancelarji stosunki się polepszyły. Z komitetem jestem w przyjaźni; pokazywałam im meble, które chciałam wywieźć, tłumaczyłam, że dla nich wartości nie mają, a dla mnie są drogie, jako pamiątki po najdroższych osobach.

Wieś najwyraźniej podzieliła się na dwa obozy: jedni poczciwsi chcą dwór ocalić, kancelarję, albo szpital tu urządzić, ale, nim się zdecydują, tymczasem gorsza partja pogrom zrobi. Chwilowo są jeszcze zajęci folwarkiem, resztki murów tam jeszcze rozbijają. Remanent rozkradli, a większe maszyny i narzędzia zwieźli na plac przed kancelarję ku uciesze dzieci wiejskich, które odkręcają wszystkie śrubki, łamią i niszczą. Chłopi powybiali tylko lepsze konie; reszta chuda, stara i ślepa została wygnana z rozbitych budynków i włóczy

się to biedactwo samopas po ulicach i porykuje z głodu i z pragnienia, że aż serce się kraje.

Mam choć pozory bezpieczeństwa: komitet daje mi dwóch stróżów na noc.

17-go stycznia.

Na wsi wre walka dwóch partyj o dwór; z folwarkiem już się uporali, chcą mnie wyrzucić i pogrom zrobić. Moja partja nie chce do tego dopuścić, chcą urządzić tę nieszczęsną kancelarję, której się doczekać nie mogę. Od paru dni do dworu nie przychodzą; jedyne wiadomości mam teraz od Karola *), który teraz, nie służąc, stał się moim tajnym doradcą; na przeszpiegi chodzi po wsi, a o szarej godzinie cichaczem zjawia się i relację zdaje. Ciekawam, która partja zwycięży? — pewnie zła. Stróżów już mi komitet nie daje, jestem więc znów bez żadnej opieki. Niema żadnej nadziei, żadnej pomocy, żadnego nawet cienia władzy; wszystko to i tak jakimś cudem trzyma się do tej pory.

19 go stycznia.

Znów błysk nadziei. Chłopi trochę się uspokoili, dobra partja narazie wzięła górę, nie zdecydowali się na kancelarję, ale znów przynajmniej mi dali stróżów. Jednak jest tu dużo porządnych ludzi, którzy są dla

*) Mój służący.

mnie dobrze usposobieni; kokietuję ich, jak mogę: za łapy z każdym się ściskam, częstuję papierosami, poję herbatą. O Boże, aby tylko przetrwać, aby tylko ocalić, co mi zostało na ziemi najdroższego.

Takie dziwne i niepodobne do niczego życie tu prowadzę; siedzę, jak w więzieniu, pod kontrolą chłopów. Sypiam na małej kanapce, bo łóżko zdemolowane, i pościeli nie mam. Ranki spędzam w szkółce, którą znów uruchomiłam; ta praca broni mię od szaleństwa. Dzień cały upływa na gadaniu z chłopami, którzy ciągle przychodzą to z prośbą, to z groźbą, to z ostrzeżeniem, to ze złą nowiną. Nieszczęście wciąż wisi nade mną, a każda godzina upłyniona to jakby rok męki poza mną. W spokojnych chwilach zapadam z wyczerpania w jakiś półsen: nie tracę przytomności, a jednocześnie mającą mi się najrozmaitsze fantastyczne historie.

Od paru dni zaczęłam przypominać sobie moją deklamację; gadam ukochane wiersze i zapominam wtedy o wszystkim, żyję sztuką i poezją, która staje się realniejszą od życia samego. W cudnej muzyce słów odnajduję dzieje duszy mojej, dzieje, których samabym wyrazić nie umiała, chyba krwią serdeczną wypisaćbym potrafiła. Niech będzie błogostawiona sztuka, to źródło czystej pociechy, niech będzie błogostawiony każdy kwiat, i każdy suchy liść, każdy twór boży; niech będą błogostawione męki, tęsknoty, upadki i wzloty, niech będzie błogostawiony dzień, niech będzie błogostawiona noc, która splywa na wolną duszę człowieka.

się to biedactwo samopas po ulicach i porykuje z głodu i z pragnienia, że aż serce się kraje.

Mam choć pozory bezpieczeństwa: komitet daje mi dwóch stróżów na noc.

17-go stycznia.

Na wsi wre walka dwóch partyj o dwór; z folwarkiem już się uporali, chcą mnie wyrzucić i pogrom zrobić. Moja partja nie chce do tego dopuścić, chcą urządzić tę nieszczęsną kancelarję, której się doczekać nie mogę. Od paru dni do dworu nie przychodzą; jedyne wiadomości mam teraz od Karola *), który teraz, nie służąc, stał się moim tajnym doradcą; na przespiegi chodzi po wsi, a o szarej godzinie cichaczem zjawia się i relację zdaje. Ciekawam, która partja zwycięży? — pewnie zła. Stróżów już mi komitet nie daje, jestem więc znów bez żadnej opieki. Niema żadnej nadziei, żadnej pomocy, żadnego nawet cienia władzy; wszystko to i tak jakimś cudem trzyma się do tej pory.

19 go stycznia.

Znów błysk nadziei. Chłopi trochę się uspokoili, dobra partja narazie wzięła górę, nie zdecydowali się na kancelarję, ale znów przynajmniej mi dali stróżów. Jednak jest tu dużo porządnych ludzi, którzy są dla

*) Mój służący.

mnie dobrze usposobieni; kokietuję ich, jak mogę: za łapy z każdym się ściskam, częstuję papierosami, poję herbatą. O Boże, aby tylko przetrwać, aby tylko ocalić, co mi zostało na ziemi najdroższego.

Takie dziwne i niepodobne do niczego życie tu prowadzę; siedzę, jak w więzieniu, pod kontrolą chłopów. Sypiam na małej kanapce, bo łóżko zdemolowane, i pościeli nie mam. Ranki spędzam w szkółce, którą znów uruchomiłam; ta praca broni mię od szaleństwa. Dzień cały upływa na gadaniu z chłopami, którzy ciągle przychodzą to z prośbą, to z groźbą, to z ostrzeżeniem, to ze złą nowiną. Nieszczęście wciąż wisi nade mną, a każda godzina upłyniona to jakby rok męki poza mną. W spokojnych chwilach zapadam z wyczerpania w jakiś półsen: nie tracę przytomności, a jednocześnie mającą mi się najrozmaitsze fantastyczne historie.

Od paru dni zaczęłam przypominać sobie moją deklamację; gadam ukochane wiersze i zapominam wtedy o wszystkim, żyję sztuką i poezją, która staje się realniejszą od życia samego. W cudnej muzyce słów odnajduję dzieje duszy mojej, dzieje, których samabym wyrazić nie umiała, chyba krwią serdeczną wypisaćbym potrafiła. Niech będzie błogosławiona sztuka, to źródło czystej pociechy, niech będzie błogosławiony każdy kwiat, i każdy suchy liść, każdy twór boży; niech będą błogosławione męki, tęsknoty, upadki i wzloty, niech będzie błogosławiony dzień, niech będzie błogosławiona noc, która splywa na wolną duszę człowieka.

23-go stycznia.

Ciągła męka! Jedyne trzyma mię myśl, że walczę o coś drogiego i pięknego, jeżeli nie dla siebie, to dla innych, dla kraju, dla samej istoty walki o rzeczy prawdziwe i piękne.

Biedny domina mój niepodobny do siebie; ściany ogołoczone, meble w nieładzie porzucone; pustka i groza wieje ze wszystkich kątów, a ja włóczę się wśród nich w strasznym, okropnym osamotnieniu.

Nie mam nafty, muszę więc długie szare a właściwie czarne godziny spędzać bez światła. Wtedy snują się myśli: wspomnienia świetlane i drogie, albo beznadziejność obecnej chwili szarpie serce świadomością, że wszystko, co było drogie, skończone — wszystko odeszło, opuściło! Jak ja teraz żyć potrafię? Nie wiem. Nie widzę formy ani sposobu, jak pchać dalej tę taczkę: a jednak trzeba i będę, będę o ile sił starczy, godnie i pięknie.

24-go stycznia.

W doli ludzkiej pierwsza faza to żywy ból, szarpanina, ale jednak żyje się tym bólem i tą męką; potem następuje ocknienie, jakby zastanowienie na zimno, że niedola taka wielka i że trwać może zawsze; to jakby po gorączce zapamiętałego bólu stwierdzenie na trzeźwo — otworzyły się oczy na bezbrzeżne morze smutku, i dusza łamie się w beznadziei i tęsknocie; a potem już cicho, z rezygnacją przebywa się to szare,

rozlewne morze. Zdaje się, weszłam w ten trzeci okres cierpienia.

27-go stycznia.

Dziś znów obiecują, że mię zabiją: chłopci tutejsi i żołnierze z Mironówki *) mają przyjść w nocy. Powiedział mi to jeden z komitetowych stróżów i oznajmił, że dziś stróżować nie będzie, bo się boi o swoje życie. Radził mi, abym w domu nie nocowała, ale mnie już wszystko jedno; mają mnie zabijać, to w moim własnym domu i byle już prędzej. I niebardzo już wierzę w te gadaniny, a ponieważ jestem przeziębiona i mam gorączkę, więc z domu nie chce mi się ruszać. Chłopi chcą się koniecznie mnie pozbyć i dlatego umyślnie puszczają różne strachy, abym się przerażała i wyjechała, ale niedoczekanie ich!

29-go stycznia.

Od paru dni ślicznie i ciepło, jakby wiosna; fiołki mają pączki, posadziłam parę krzaczków do wazonu, mech zakwitną.

Straszą mnie wciąż śmiercią; niszczą oficyny i resztki z powozów obdzierają. Czy to nie wszystko jedno? Żeby tylko moje fiołki zakwitły.

Chodzą pogłoski, że Rumunja i Austria posuwają się. Nie wierzę już w żadne wybawienie — męka ta będzie trwała aż do śmierci, jedyne wybawienia.

*) Sąsiednia wieś, gdzie resztki cofającej się armji kwaterowało.

30-go stycznia.

Wciąż nowe wieści nadchodzą, które od nadziei rzucają znów w głąb czarnej nieświadomości. Jestem odcięta od całego świata, nikt do mnie, ani ja nigdzie ruszyć się nie mogę. Wszystkie wiadomości mam jedynie od służby, albo od chłopów, są więc zabarwione specyficzną głupotą, pogmatwane i przesadzone. Ale, nie mając innych, muszę i takie wysłuchiwać i denerwować się ciągle. Do tego doszło, że kiedy wśród ciszy usłyszę kroki kogoś ze służby, zbliżające się do mego pokoju, dostaję nerwowej drżączki; ktoś już idzie opowiadać mi drażniące bajdy, które mię wyrywają z moich dumań i narzucają wstrętą, obrzydliwą terazniejszość. Ale natura moja jest tak zawzięta, że, pomimo ciągłych alarmów i szarpiących niepokojów, umiem w jednej chwili odsunąć to wszystko od siebie i znów duszą podróżuję w odległe kraje i czasy, gdzie tak mi dobrze, jedynie dobrze. Zdaje się, że to daje mi siły i możliwość przetrwania tych wściekłych warunków i nie-wpadnięcia w kompletny rozstrój nerwowy.

Dziś cały pułk wojska polskiego *) zjawił się w Jampolu. Powstał straszny alarm wśród chłopów, że to „pańskie“ wojsko idzie ich bić. Część „hadów“ chce łączyć się z bolszewikami i brać od nich broń. Stróże znów nie chcą przychodzić, bo cała wieś dybie na ich życie zato, że „panienki“ pilnują. Jutro mają tu zjechać wojska bolszewickie; w Mironówce bolsze-

*) Z organizacyj odeskich.

wicy wyłączają armaty, bo będzie bitwa z Polakami, słowem: groch z kapustą! Wszystko zdenerwowane, przerażone, a ja muszę uspokajać i tłumaczyć, ja, której naprawdę jedynie grozi niebezpieczeństwo, a która na całą obronę mam tylko modlitwę na ustach i medalik na piersiach. Więzienne moje życie trochę się zmieniło. Bawił tu tydzień cały Franc, drogi, kochany chłopiec! Pomimo tak trudnej i niebezpiecznej komunikacji dotarł do mnie. Zaopiekował się mną i moimi sprawami, a ja byłam tak szczęśliwa, czując kogoś bliskiego przy sobie.

14-go lutego.

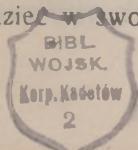
Byłam dziś w Honorówce, wiadomości są pewne, że Austriacy się zbliżają. Boże, daj nam już to wyzwolenie! Wszyscy rażniejsi i silni nadzieją.

16 go lutego.

Sytuacja polityczna coraz lepsza: bolszewicy nagle uciekają. Austriacy są już w Mohylowie i podobno w Kijowie, lada dzień będą w Jampolu. Więc kończy się nasza męka? Czy to prawda? Czy to podobna? więc jeszcze po ludzku żyć będziemy?!

17-go lutego.

Zupełna wiosna, słońce grzeje niebywale. Zabrałam się do czyszczenia drzew. Oj, nie miałam ja nadziei, że coś jeszcze w tym ukochanym ogrodzie robić będę. Może jestem jedyna na ogromnym obszarze, której dane jest siedzieć w swoim domu i z wiosną



brać się do roboty w swoim ogrodzie — wszyscy przecież są wyrzuceni. Jakie to dziwne, niesamowite wrażenie: wszędzie pustka, martwota, tylko ja jedna odgrzebuję, odchuchuję zatajone, załężnione życie.

Austrjacy są na pewno w Mohylowie i podobno w Kijowie. Nie wiem, co z tego wszystkiego wyniknie dla nas? Jeżeli rzeczywiście Ukraińcy z Niemcami zgodnie działają, to nam, Polakom, będzie tu bardzo ciężko. Nabiedujemy się jeszcze!

21-go lutego.

Sen, czy bajka? Coś zupełnie nieprawdopodobnego!

Przedwczoraj przyjechała Hela z Honorówki, odwiedzić po długim niewidzeniu pustelniczkę. Najspokojniej opowiadamy sobie ploteczki polityczne i śmiejemy się z bajki, że jakoby polskie legjony z Galicji mają tu przyjść.

Raptem przed gankiem zjawiają się żołnierze konno: „Austrjacy?“ „Nie, chyba Polacy z Sorok“. Wybiegłam dowiedzieć się, co za jedni. Gdy weszłam do sieni, stało tam już trzech wojskowych, ale i przy bliższem przyjrzeniu się nie mogłam rozpoznać, co to za wojsko. Zimnie i obojętnie spytałam po rosyjsku, czego sobie życzą? „Panno Lilo, czy pani mnie nie poznaje?“. Patrzę na te postacie, od których, pomimo bolszewickich szyneli, wieje zachodem, wieje swojskością. Patrzę na tego, który mię przywitał, jak dobrą znajomą: surowy, zmęczony wyraz twarzy podkreśla jeszcze wyraźniej czarna, zwichrzona broda, tylko

oczy jakieś znajome, młodzieńcze. Lecz napróżno pamięć wyteżam, myśli się mącą, nie wiem, nie poznaję, nie rozumiem. „Jestem Malinowski, z Krakowa“. „Ach, więc naprawdę legjony galicyjskie“! I zaciskając nędną chuścinę na głowie, naraz wybiegłam. Obudziła się we mnie kobieta. Przecież Malinowski, to ten miły chłopiec, doskonały danser ze świetnych krakowskich czasów.

Okazało się, że przyjechali przygotować kwaterę dla brygadjera Hallera, który za pół godziny miał tu zjechać. W krótkości opowiedzieli mi swoje dzieje i dzieje kraju, bo przecież ja w tem odosobnieniu nic nie wiedziałam, co się na świecie dzieje. Opowiadali mi, jak to z powodu traktatu brzeskiego i oddania przez Niemców Chełmszczyzny, z powodu represyj, jakich się w kraju i w armji dopuszczali Niemcy, legjony założyły protest, a dowiedziawszy się, że mają być rozbrojone, w nocy, rozpaczonym, bohaterskim czynem opuściły armję austriacką, i przerznęły się przez front. Obozy, artylerja i większość wojska została zagarnięta przez Austrjaków, niewielkiej tylko części udało się przedrzeć. I oto bez pieniędzy, bez zapasów, w obcym, wrogim kraju, ścigana przez Austrjaków, osaczana przez bolszewików, prze naprzód ta garstka junaków połączyć się z tutejszemi legjonami, aby już teraz iść ramię obok ramienia, a nie mierzyć do bratniej piersi i ginąć z bratniej ręki, niewiadomo za jaką sprawę w nienawistnych rosyjskich i niemieckich szeregach. Idą tułacze, jak przed stu laty, zapatrzeni w gwiazdę Polski, pełni wiary, że ich ta gwiazda do Ojczyzny wolnej

doprowadzi. Chcą zebrać wszystko, co polskie z tej strony kordonu, stworzyć armję silną, zdyscyplinowaną i, zabrawszy z sobą wszystkich wygnańców, takim miljonowym taborem wrócić do Polski. „A gdy wystąpimy na kongresie z liczną, silną armją, muszą się z nami liczyć“ kończy z siłą Malinowski. Ale teraz losy ich są tak strasznie niepewne; niewiadomo, z kim walczyć będą, w kim znajdą przyjaciela, a w kim wroga? To jedno tylko wiedzą, że na sobie polegać muszą i że Polskę odbudują swemi rękami, a nie obietnicami obcych państw. Wszystko co polskie, z krańców świata ściągnąć, poruszyć, zatargać całym krajem, by się budził z letargu i skupiał w jedno wielkie, ofiarne serce! O Boże! czyż wybiła naprawdę godzina? Chyba teraz, albo nigdy!

Zatętniało przed oknami, i sztab z brygadjerem Hallerem na czele zajechał. Byłam zupełnie oszołomiona, serce omal nie wyskoczyło z umęczonej piersi. Boże, więc to ci, o których czytaliśmy przez cztery lata, których sławą żyjemy? Nadzieja nasza! Bohaterzy nasi! Więc to są ludzie, którzy naprawdę z Polski przybyli? Mój Boże, ten miesiąc temu był w Krakowie, ten przed paru tygodniami pożegnał narzeczoną w Warszawie! Więc tak niedawno tam byli?

Wspierając laską utrudnione kroki sztywnej nogi, wszedł brygadjer Haller. Ręka mi drżała, gdym ścisnęła tę dłoń silną, bohaterską, drogą! Pomimo dostojnej, wojskowej postawy, ma w sobie coś ujmującego, łagodnego, co każe go kochać podwładnym, jak ojca rodzzonego, choć wyciągają się, jak struny, w naj-

większej subordynacji w chwilach służby. Pokazało się, że znam wiele osób z jego rodziny w Krakowie, że mamy wielu wspólnych znajomych.

W jednej chwili wytworzył się nastrój miły, bezceremonjalny, a ja pokochałam go, jak ojca, i z uwielbieniem patrzyłam na tego rycerza, co, broniąc Honoru Ojczyzny, poszedł na tułaczkę, wierny tradycjom nieśmiertelnego ducha polskiego.

We dworze zakwaterował brygadjer z dziesięciu oficerami, z pułkownikiem Żymirskim na czele; reszta rozkwaterowała się na wsi, gdzie powstała straszna panika: pługi, brony, pokradzione drzwi i żłoby, wazony z kwiatami, a nawet gałęzie poobłamywane z nieszczęśliwych świerków utonęły w Murafie. — Tak się „Hadiuki“ nastraszyły wojska polskiego.

A jakież dziwny traf skierował ich do Halźbijówki: wyjechawszy z Mohyłowa, nocowali w Gruszcze po chatkach, gdyż dwór zupełnie zrujnowany! Ściany w chatkach ozdobione były pocztówkami, zabranami w czasie pogromu. Czytając wszędzie moje nazwisko, Malinowski przypomniał sobie dawną danserkę krakowską i od chłopów się dowiedział, że „panienka“ mieszka w całym dworze w Halźbijówce. Prosił brygadjera o pozwolenie odwiedzenia mnie, a brygadjer nie tylko pozwolił, ale marszrutę na Halźbijówkę skierował.

Witając się, byliśmy wszyscy wzruszeni: ja, że dożyłam oglądania polskich wojaków w tym dworze, który przez tyle tygodni bronił się od zagłady, jakby w przeczuciu honoru i nagrody, jaka go czekała. Oni, — że nareszcie po dwunastu dniach jazdy znaleźli niespo-

dziewanie polski dwór cały, a w nim żywą, prawdziwą gospodynię jego.

Dom cały zmienił się w obóz: w każdym pokoju oficerowie studjują mapy, piszą lub dyktują rozkazy; co chwila wbiegają i odchodzą gońcy z raportami i z pismami. A ważne i doniosłe sprawy tu się rozstrzygały. Chodziło o połączenie się z wojskiem naszym, stojącym w Sorokach*) pod dowództwem pułkownika Stankiewicza. Pułkownik Żymirski jeździł w tej sprawie do Sorok i wrócił pod przykrem wrażeniem rozkładu bolszewickiego, jaki się wkraść do tego wojska. Cała nadzieja, że poddadzą się komendzie i dyscyplinie brygady, która ma zjechać do Sorok, aby tam reorganizacji dokonać.

Zbieraliśmy się jedynie przy posiłku, gawędząc długie chwile; każdy swoje przygody opowiadał, wynętrzał się, co mu na sercu leży. Zobaczyłam wtedy, że pod ich bujną fantazją kryje się rozpacz, cała rozważna i zimna świadomość ciężkiego położenia. Ta szalona troska nie o swój osobisty los, lecz o sprawę, dla której wszystko poświęcili. Niejeden mówił mi ze szczerością i z żalem w oczach: „jeżeli ta akcja się nie uda, wszystko stracone, bo przecież nikt nie dopomocze, a druga taka chwila już się w dziejach nie zdarzy“. Każdy z nich wyjęty jest z pod prawa, może więc tylko wrócić do wolnej, niepodległej Ojczyzny — i tem już

*) Miasto w Besarabji, wówczas już pod rządami rumuńskimi.

tylko oni żyją, ta myśl jedynie ich prowadzi i rozświetla te wychudłe, przemęczone, biedne twarze.

Czasami powiększali nasze grono oficerowie, na wsi kwaterujący, i ks. kapelan Konopka, typowy ksiądz wojskowy: w mundurze, w butach, twarz osmalona od wichrów i kul, a w oczach płomień zapału i miłości prawdziwego sługi bożego. Szczególnie miły i wzruszający był wczorajszy, pożegnalny wieczór. Do kłusek z makiem, które wzbudziły zapał i ogólną radość, podałam dwie, jedyne butelki likieru, jakimś przypadkiem ocalone.

Humory się poprawiły, serca rozgrzały. Pułkownik Żymirski wystąpił z mówką, w której skreślił dolę ich tułaczą i nadzieje na przyszłość, zakończył zaś zwrotem do mnie, podnosząc moje zasługi, dzielność i odwagę. Pili moje zdrowie, potem ja wzniosłam toast na ich cześć, pijąc jednocześnie zdrowie wszystkich bohaterów polskich. Kazali mi wpisać się do dziennika brygady; podpis mój wypadł pod rachunkiem furazu i może wśród cennych dokumentów wojskowych przechowa się długie lata. Strasznie jestem z tego dumna.

Nastrój tego wieczora był, jak w prawdziwym obozie: od bardzo podniosłego i wzruszającego przechodził w wesoly i żartobliwy. Posypały się anegdotki i dykteryjki żołnierskie, ale kochane chłopaki ani jednym słowem nie przekroczyli odpowiedniej miary. Pułkownik Żymirski, ogromnie wesoly i rozmowny, zabawił nas opowiadaniem historii swoich siedmiu słoń, z którymi się nigdy nie rozstaje; a nawet tej pamiętnej

nocy w ostatniej chwili przełożył je z kufierka do plecaka, ażeby się z nimi nie rozstawać; treny i wszystkie rzeczy zostały zagarnięte przez Austriaków, a choć koszuli na zmianę nie ma, nie traci humoru.

Umieraliśmy ze śmiechu, kiedy nam pokazywał starannie w bibułkę pozawijane owe słonie, opowiadając, jakto w okopach miały one specjalną półkę z czerwonym dywanikiem, jak ordynans je odkurzał, mył i kąpał. I widać przyniosły szczęście dzielnemu wojakowi, bo pomimo siedemnastu ran, z których dwie były niemal śmiertelne, żyje pełen humoru i fantazji.

Malinowski siadł do fortepianu i zaczął grać; grał zapamiętałe, z miłością, z rozkoszą, bo biedne żołniersko stęskniło się za muzyką. Popłynęły piosenki wojenne; śpiewali chórem, i mnie uczyli tej, którą pierwszy raz słyszałam: „O mój rozmarynie“.

Powstawszy, zaśpiewaliśmy Rotę, a dzielne chłopaki tak silne głosy miały, że mój biedny domek aż trząsnął się, poruszony zapalem tych młodych, szlachetnych piersi. Zakończyło się walczykiem, którego musiałam zatańczyć, aby stwierdzić pochwały o moim tańcu z czasów krakowskich. Ale tu zaszło intermezzo nadzwyczajne: wpadła Józia zgorszona, każąc iść spać, bo „panienka zmęczona“. Zerwali się biedacy, aby mówić dobranoc, ale zatrzymałam ich, wyrzuciwszy Józję za drzwi. Przeprosiłam ich za tę dziką awanturę, z której po chwili wszyscy szczerześmy się śmieli. Wytworzyła się fałszywa sytuacja wskutek tego, że zawsze służbę uczyłam odnosić się do wojska z wielką ostrożnością i nieufnością. Utrzymywałam ich w tem

usposobieniu i co do tych przybyszów, nie chcąc wtajemniczać służby, co to za jedni i skąd przybyli; ale jednocześnie nie mogłam ukryć swego wzruszenia, szczęścia i radości. Tego moi ludzie zrozumieć nie mogli, a już zupełnie im się w głowie nie mieściło, że oddałam swoją poduszkę dla brygadjera, jedyne prześcieradła oficerom, że kazałam pokoje posprzątać, a co najgorsze, że nie szczędziłam im resztek swych zapasów śpizarnianych. O Boże, toż jabym siebie pokrajała na kawałki, duszębym oddała, aby nakarmić tych biedaków, aby im dobrze było w moim domu! A jakże oni się cieszyli tą kawą z kozuszkami, kluseczkami, kapustą kwaszoną i tem, że mogli, wstawszy od stołu, podziękować gospodyni; boć ta moja stara chatyna im dom rodzinny przypomniiała, a ja niejednemu pewnie matkę, siostrę, lub narzeczoną.

Dziś przy śniadaniu na wyjeźdźnym układali ostatnie plany, gdzie się będą koncentrowali i organizowali; nie jest to łatwe. Trzeba przeprowadzić agitację tu, wśród społeczeństwa, aby jak największa ilość szła do legjonów. Dla zainteresowania umysłów oficer Birnbaum ma jechać do Kijowa z odczytem; na mnie też włożyli obowiązek, abym wszędzie agitowała i pobudzała ducha; zachęcali mnie do pracy, twierdząc, że już czynami swemi zapisałam się do legjonów, trwając i broniąc placówki polskiej, jak najlepszy żołnierz. Boję się ogromnie, czy nie będzie niechęci ze strony naszych obywateli; nie rozumieją, nie odczują, nie dadzą się porwać bohaterskim tchnieniem, a tu przecież tylko sze-

rokie objęcie sprawy i śmiały gest może uratować położenie i wyciągnąć z niego najlepsze korzyści. Czy się uda, czy się połączymy wkońcu wszyscy, czy stworzymy silną armję, czy nasi polscy żołnierze z rosyjskiego wojska dadzą się zreorganizować, czy wejdą w dyscyplinę legjonów?

I wyruszyli ci moi junacy. Żegnali mię jeszcze serdeczniej, niż witali, dziękując za gościnę, za ten dom, w którym się ogrzać mogli. Czułam, że te poczciwe serca żołnierskie troszczą się i niepokoją, że mnie, samą kobietę znów tak zostawiają, wtedy gdy ich bytność pogorszy niewątpliwie moje niebezpieczne położenie. Ja im też z serca dziękowałam za ich junacki czyn, i zato, że mi tu kawałek Polski przynieśli, że obudzili we mnie nadzieję, chęć życia, czynu i pracy.

Wsiedli na koń i, długo, ślicznie salutując, wyjechali za bramę, udając się do Jampola.

A ja tu teraz siedzę i zastanawiam się: byliż oni rzeczywiście? nie byłaż to halucynacja zmęczonego mózgu? Tu u siebie, w Halzbijówce miałam wojsko polskie? mogliż oni dokonać tego wszystkiego? naprawdę mówili mi o Polsce?

Miałam dziś list od Franca, w którym donosi, jako radosną nowinę, że Austriacy z Niemcami posuwają się. Mój Boże, jakże ja od wczoraj zmieniłam orientację.

Przerwał mi pisanie przyjazd Heli. Z Honorówki cała młodzież zapisuje się do wojska w Sorokach. Ach, żebyż jak najwięcej szło z wiarą i zapałem!

23-go lutego.

Co chwila od nadziei do rozpacz, od wzruszeń najpodnioslejszych do zniechęcenia, apatji i obrzydzenia. Rumunja zawarła z Austrią pokój i wobec tego nie chce trzymać na swoim terytorjum wojsk polskich; muszą biedacy ustąpić z Sorok, iść w stronę Kijowa. Żydzi mówią, że Niemcy chcą ich okrążyć. Boże ratuj! nie daj, by na marne poszła ta szczytna, bohaterska ofiara. Co z nimi teraz będzie? Gnani, otoczeni wrogami! Zdaje się, że piędzi ziemi niema, gdzieby we względnym spokoju odpocząć mogli!

10-go marca (nowego stylu).

Jesteśmy zrównani z nowym stylem. Co za przyjemność! Dwa tygodnie wykreślone z życia. Byłam dziś w Jampolu, widziałam ostatki wojska naszego, które wychodziło na wschód. Znów otucha wstępuje, nie jest tak źle: coraz więcej zbiera się ludzi i broni. Podobno Francja daje pieniądze. Podobno jeszcze dwa oddziały przedarły się i śpieszą połączyć się z Hallerem. Pod Wapniarką ma nastąpić spotkanie z Austriakami, będzie bitwa. Boże, prowadź ich i błogostaw; niech tu, wśród nieprzyjaznych warunków tworzą podwaliny potężnej armji polskiej.

Sypią się plotki, a ja je wszystkie łowię chciwem uchem: w Rosji jest już podobno car „Michaił“, podobno jakaś armja, złożona z Czechów i Słowaków, dąży połączyć się z naszymi. Nie wiem, czy to opty-

mizm, czy chwilowe podniecenie, ale jestem pełna nadziei i dobrych przeczuć.

11-go marca.

Dziś przyjeżdżał z Gruszki „Dziad“ *) z Simonem **). Dziad z propozycją, abym mu dała kartkę, upoważniającą go do odbierania od chłopów zagrabionych uli. Powiedziałam mu, że się do niczego nie mieszam i kartki żadnej nie dałam. Simon otrzymał od komitetu kawałek skarbowej ziemi na sadybę, przyjechał prosić mię o potwierdzenie tej darowizny. Zdumiałam, gdy mówił: „Jeżeli panienka pozwoli, to zacznę budować, jeżeli nie, to nawet nie popatrzę w tamtą stronę. Choć się komitet rozporządza, ale to przecież nie jest ich, tylko panienki“. Gdy mu tłumaczyłam, że ja teraz nie mam prawa mieszać się do tych spraw, że moja kartka nic nie znaczy, odrzekł: „Teraz ja im nie pokażę, ale jak będzie porządek, to tylko panienki pozwolenie i podpis będzie coś znaczył“. Z tego wszystkiego widać, że chłopci nie wierzą w zagarnięcie ziemi. Opowiadał mi Simon, że gruszańscy chłopci ogromnie żalują, że zrobili pogrom. Gdy weszło wojsko polskie, powstała panika, i jeden na drugiego wskazywał, choć ich o to nikt nie pytał. Dziś spotkałam w ogrodzie chłopca, który zaczął się tłumaczyć, abym go nie posądzała, że przyszedł kraść. Czyżby się tak tłumaczył jeszcze dwa tygodnie temu? Nadchodzi nasza godzina.

*) Stary stróż.

***) Dawny furman.

12-go marca.

Znów zmiana w wiadomościach. Hela mi dzisiaj całą ich moc przywiozła. Najlepsze nasze siły z armji rosyjskiej pod dowództwem Muśnickiego przeszły do Królestwa, w pozostałych formacjach dezorganizacja kompletna, legjony skazane na zagładę. Podobno te dwa oddziały, które się jeszcze przedarły przez front, zupełnie zniszczone przez Niemców. Niestety w naszym społeczeństwie dla naszych formacyj wojskowych panuje obojętność zupełna; wszyscy witają Niemców, jako wybawicieli i organizatorów porządku; każdy rad, że załatwić będzie mógł swoje interesy, a że tam gdzieś garstka szaleńców idzie w nieznaną drogę z okrzykiem „Polska“ na ustach, to cóż nas to obchodzi?! Podobno Francja wcale im pieniędzy nie dała; podobno bolszewicy chcą się z nimi łączyć, aby tłuc Niemca. Wszystko pogmatwane, sprzeczne, niewiadome. I takie rozdwojenie w uczuciach: naturalnie, ja sama będę się cieszyła, gdy chłopom nosów przytrą i każą wszystko oddawać, ale przecież ten Niemiec nas gnębi w Królestwie, przecież ściga nasze rodzone, jedyne wojsko, i dopóki jego się nie zdusi, Polski nie będzie.

Niemcy podobno zmuszają Ukrainę, aby się zrzuła Chełmszczyzny; czy to na skutek protestu? czy może jakiś manewr djabelski? Tyle wiadomości sprzecznych, nieprawdopodobnych! Co z tego będzie? O, Boże, aby tylko Polska była! Wobec tej doniosłej kwestji moje osobiste sprawy błędną, i już nie umiem się cieszyć spokojem i porządkiem, który ku nam z ramienia

Niemców idzie. A przecież zdawało się, że to będzie chwila taka radosna.

14-go marca.

Byłam dziś w szkole Jampolskiej i Sewerynowieckiej*) na inspekcji. Zaniegadałam okropnie moje obowiązki prezesowskie**), trzeba się wziąć energicznie do pracy, która jest konieczna i jedynie tu celowa. Na niedzielę zwołałam posiedzenie szkolne w Jampolu; ciężko mi teraz bardzo, gdy tyle towarzyszy pracy ubyło.

W polityce typowa pogoda marcowa: wczoraj chłopcy byli już tak pokorni, że wybierali się do mnie z przeprosinami i z prośbą o oddanie im ziemi w dzierżawę, dziś znów zjawił się jakiś „wilnyj kozak“, który im tłumaczy, że wszystka ziemia ich, że wszyscy ludzie równi, ale Polaków i Żydów trzeba wyrzucić z Ukrainy. Gdy wracała z Jampola, wjeżdżając do bramy, słyszałam właśnie dzikie okrzyki radości na cześć tych postanowień. Właściwie nikt nic nie wie, wszyscy są obalamuceni, i każdemu się zdaje, że będzie prawa dyktował; a tylko Niemcy z djabelską umiejętnością korzystają z sytuacji.

*) Sewerynowka, majątek pp. Boguckich, niedaleko Jampola. Po pogromie właściciele dołożyli wszelkich starań, aby szkołę uruchomić, co prawda już nie we dworze, zupełnie zrujnowanym.

**) Byłam prezesem jampolskiego koła Macierzy szkolnej, która na Podolu była założona zaraz po rewolucji 1917 r.

18-go marca.

Wiosna — ruch, zmiany: bolszewików ani śladu, Austrjaków coraz więcej przybywa. I moja pustelnia też się kończy: przyjeżdżała Janina Niemirowska z Cześławem.

Minął więc okres mojej zupełnej samotności, okres najokropniejszy, najstraszniejszy, a jednak ja, jak zwykle z kawałkiem życia, które odpada na zawsze, zegnam się ze smutkiem i niepokojem.

Przełom zupełny, więzienie moje skończone; jechać już można do Warszawy, pisać do Krakowa; wszyscy się ruszają, zaczynają żyć, oczekują większych zmian. Nasze wojska gromadzą się i skupiają. Boże ich prowadź!

I jam się tego doczekała, że komitet przyszedł się pytać, co mają robić z ziemią: czy płacić za dzierżawę, czy brać na spółkę? W czułych słowach zapewnijają, że zawsze uznawali mię za swą dziedziczkę; a jakże niedawno ciągali po kancelarjach i za własne meble arestować chcieli!

Tak dziwnie, że te zmory pogromowe minęły: znów tak, jak w jesieni, zbieramy się i swobodnie radzimy nad sprawami oświatowymi.

24-go marca.

Musiłam pojechać do Dobranki *) z powodu kłótni między nauczycielką a babami, które wzajemnie

*) Wieś w powiecie Jampolskim ze szkołą Macierzy.

na siebie naplotkowały. Trzeba było między nimi zrobić zgodę. Namęczyłam się długo, zanim doprowadziłam do spokoju wzburzone umysły niewieście i uprosiłam nauczycielkę, aby została do końca roku. Ale zato miałam nagrodę, egzaminując dzieciaki, które się garną do nauki, a rodzice też szczerze cieszą się ze szkoły. Opowiadali mi z najwyższą radością i dumą, że gdy przechodziły legjony nasze, żołnierze tak się cieszyli, słysząc mowę polską, że z dziećmi śpiewali pieśni i namawiali, by z nimi szły do Warszawy; a dzieciakom aż oczy błyszczały na samą myśl tej propozycji. Mój Boże, więc ten duch polski wszędzie ożywia i łączy rozbitków, rozsianych po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej. Pewnie taki zapadły kąt, jak Dobranka, nigdy nie słyszał rozmowy polskiego dziecka z polskim żołnierzem, chyba kiedyś dawno, w odległych czasach. Pocziwi ludzie, przyjmowali mnie tak wdzięcznie, dziękowali, że się o ich dzieci troszczę, i przy poczęstunku gawędziliśmy sobie mile.

Rada ukraińska stanowczo ogłasza, że ziemia bez wykupu przechodzi do chłopów; łąduje się, że zostawiają sadyby, ale na pewno nikt nic nie wie. Ten dziecinny rząd wygłasza swoje memorjały tak niejasno, w jakimś dzikim, skomplikowanym narzeczu, że trudno się domyśleć, o co mu chodzi. Chłopi biorą ziemię, ale są zdenerwowani, niepewni. I ja również nie wiem, czy rozpocząć roboty w ogrodach, czy też czekać jeszcze, czyje to będzie? Co chwila wyłaniają się jakieś nowe kwestje, które trzeba zaraz rozstrzygać i decydować bardzo mądrze i ostrożnie, bo każdy najmniej-

szy nietakt może za sobą pociągnąć mnóstwo konsekwencji. Wszystko w takim naprężeniu! Ma się wrażenie, że jakiś szaleniec poplątał kłębek nici, a teraz strach pociągnąć za którąkolwiek, aby jeszcze gorzej wszystkiego nie pogmatwać.

7-go kwietnia.

Spędziłam cały tydzień w Mohyłowiu. Tyle tam biedaków, rozbitków, wyrzuconych na bruk; ciśnie się to wszystko w brudnych mieszkaniach, w niewygodach, aż mi wstyd, że mam cały duży dom. Wszyscy są zdenerwowani, nie wiedzą, co z sobą robić; czekają jakiegoś końca, ale jakiego i kiedy? Pierwszy raz po pogromie i wyrzuceniu z Lipczan widziałam Ojca; serce mi się kraje, gdy patrzę na tę wynędzniałą twarz o dziwnie bolesnym wyrazie. Biedne Ojczyisko! Powraca już do zdrowia po strasznych wstrząśnieniach pogromu lipczańskiego, ale się zrobił z niego zupełnie zgrzybiały, złamany staruszek. A męczyli go chłopci, z którymi pięćdziesiąt lat przeżył, którzy rośli w Jego oczach, darzeni opieką i dobrodziejstwami. Taka jestem szczęśliwa, że już teraz będę mogła Ojca wziąć do siebie, że tu już może żadne niebezpieczeństwo grozić mu nie będzie.

Wiosna nastąpiła zupełna, dni cudne, ciepłe, jasne! Biegam po ogrodzie i zdaje się, że strząsam tę straszną zimową zmorę, że zaczynam nowe życie. Porządkuję mieszkanie, wypakowuję rzeczy, ustawiam meble — wszystko wydaje się snem: i ta przeszłość z okropne-

mi nieszczęściami, i ta rzeczywistość taka dziwna, zagadkowa, chwiejna.

12-go kwietnia.

Przedwczoraj przyjechał Ojciec, mój biedny, kochany staruszek. Cieszy się wsią, powraca do zdrowia, szczęśliwy jest, że go zabrała z tych brudów i ciasnoty mohylowskiej. A dla mnie to największa radość, że mam tę drogą osobę, o której myśleć będę, o każdym najmniejszych drobiazgach; mam dla kogo dom prowadzić, dysponować obiadem i kłopotać się, aby był dobry. Przyjechał z Ojcem jego pielęgniarz, też biedak; uciekł z wojska bolszewickiego i w Mohylowie umierał poprostu na bruku, z radością więc wziął miejsce pielęgniarza, choć o tem żadnego pojęcia nie ma, gdyż w Warszawie kształcił się na technika, a marzył o scenie. Zaludnia się mój dom i staje się schroniskiem dla rozbitków i wszelkiej biedy: Ojciec, Bagiński, który posiada jedynie to, co ma na sobie, Irena, biedna suchotnica, Józia histeryczka, która prosi, aby ją zatrzymać, bo nie ma gdzie się podziać. A nawet na trawnikach pasie się koń, który zdychał z głodu po pogromie folwarku, gdyż chłopci starych i ślepych koni karmić nie chcieli. A szkółka, a te dzieciaki, które po lekcji radosne i szczęśliwe biegają po ogrodzie; a chorzy, którzy, jakgdyby „między nami nic nie było“, znów przychodzą do dworu po porady i lekarstwa. Gdy się to wszystko razem zważy, trzeba stwierdzić, że przecież ten dwór samo tylko dobro ludziom dawał i daje,

i może go właśnie Bóg dłatego ocalił, aby dalej tradycje utrzymywał i posłannictwo swoje wypełniał.

Czuję całą doniosłość swego stanowiska: powinienam promieniować wyrozumiałością, dobrocią i pokojem na pamiątkę tych wszystkich gniazd; abym dawała godne świadectwo ich szlachetnej, zaginionej pańskości.

15-go kwietnia.

Mam wrażenie, że w ciągu tych paru szalonych lat przebyłam przełomową granicę mego życia. Gdy się obrócę wstecz, widzę się szczęśliwą, beztroską, otoczoną miłością i opieką najtroskliwszych serc, które odsuwały ode mnie wszelki ciężar, szarzyznę i brzydotę życia. Teraz — osamotnienie, twarde obowiązki i za wszystko odpowiedzialność, którą sama ponosić muszę.

Chłopi naradzają się jeszcze, czy zostawić mi ogród; mogą mię wyrzucić, bo sytuacja wciąż jest niepewna: żadnych rezolucyj ani praw, ani rządu, ani władzy. Niemcy z nami się nie liczą, a ich polityka, zdaje się, z zaprowadzeniem porządku na Ukrainie nie idzie w parze.

5-go maja.

I doczekaliśmy się jaśniejszych dni! Prawo własności wrócone. Z ramienia Niemiecznaczony jest hetman, nibyto ukraiński, który pod dyktandem Niemiec, stylem panującego pisze memorjały w duchu starego porządku.

17-go maja.

Trzeciego maja urządziliśmy obchód polski w Jampolu. Jak zwykle miałam roboty mnóstwo, bo wszystko musiałam sama zarządzić i o wszystkim myśleć. Ale dobrze i pięknie wszystko się udało; zadowolenie ogólne i tysiąc rubli zarobku na Macierz. Na przedstawieniu było dość dużo wojskowych austriackich; rozmawiałam z dwoma Polakami ze Lwowa, ale nie konkretnego dowiedzieć się od nich nie mogłam.

Wczoraj zjawił się tu oficer z wojsk rosyjskich; pokazało się, że Polak, obywatel z Kujaw: wraz z dwoma oficerami z armji austriackiej chcą uciekać do legjonów. Muszą zrzucić mundury, ale, naturalnie, biedacy nie mają za co sprokurować sobie ubrania. Przyszedł więc do mnie z prośbą, abym mu ofiarowała spodnie, propozycja absolutnie niewykonalna dla mnie, gdyż Ojca i biednego Bagińskiego nie mam w co ubrać. Po naradzie tragi-komicznej ofiarowałam mu 50 rs. na kupienie spodni. Biedak był rozczulony i wdzięczny niesłychanie. A niechże was Bóg prowadzi i doprowadzi do tych najukochańszych, najdzielniejszych tułaczów naszych!

Z chłopami zupełnie dzikie i samorodne stosunki się wytwarzają: tu wydzierzawiłam chłopom ogrody za dobrą cenę; z Gruszki przyjeżdżał specjalny delegat prosić mię o piśmienne pozwolenie na urządzenie przedstawienia w „pańskim“ dworze; a jednocześnie chłopci w Mironówce*) zaaresztowali mój wóz z ludźmi,

*) Majątek mój, sąsiadujący z Halźbijówką.

którzy przyjechali po drzewo do mego własnego lasu. Słowem, zupełna kasza.

Jutro jedziemy z p. Bagińskim na obchód do Mohylowa, tam znów mam deklamować; zdaje mi się, że już nie sztukę, ale jakieś dobroczynne rzemiosło uprawiam.

31-go maja.

Chłopi zaczynają dostawać za swoje. Kaczkówka *) urządziła zbrojne powstanie, w odpowiedzi na co Austriacy zbombardowali i spalili wieś. Przeraziło to wszystkich chłopów, i skutkiem tego była dzisiejsza delegacja, która, bijąc w pokorę, przysłała mię prosić o wstawiennictwo do komendanta, aby ich nie karał. Odpowiedziałam, że życzeniem mojem jest, aby nikomu gwałt się nie dział, że chcę żyć z nimi w zgodzie i w porozumieniu; o ile więc nie będą się sprzeciwiać władzy, a wszystkie zrabowane rzeczy odniosą, to zgodnie i spokojnie rachunki pokończymy. Jakże oni teraz inni, jacy pokorni i uprzjmie; prosili, bym im przebaczyła, „tak, jak Bóg grzechy przebacza“. Ci, którzy najwięcej zawinili, nie śmieli przyjść, tylko przez ową delegację zapytywali, czy życzę sobie, aby gromadnie przyszli mię przeproszać. Oświadczyłam, że zbyt przykre byłoby dla mnie przypomnienie zimowego „scho-du“, więc im przebaczam, ale widzieć nie chcę.

W czasie pogromów nabrałam pogardy i niechęci do chłopów, teraz zupełnego wstrętu. Jak oni prędko

*) Wieś w powiecie Jampolskim najbardziej bolszewicka.

spokornieli; jacy wszyscy teraz cisi i niewinni — to jest obrzydliwi!

W poniedziałek odbył się w mojej szkółce egzamin i popis. Przyjechała na tę uroczystość nauczycielka z Jampola i asystował Skrzyński *). Zdziwieni byli rozwojem i postępami moich dzieci; winszowali mi i podziwiali. A ja się tak bałam, że Skrzyński, jako wykwalifikowany pedagog, skrytykuje moje uczenie.

Cały dzień był zajęty tą uroczystością. Dzieciaki moje kochane odpowiadały śmiało, deklamowały, czytały wypracowania, pokazywały roboty. Przyszło też dużo matek i ze wzruszeniem przysłuchiwały się popisom swych dzieci, a w dowód wdzięczności obdarzyły mię kurami, jajami i kołaczami.

We wtorek miałam delegację chłopów gruszańskich, zapraszających mnie do Gruszki dla porozumienia i stworzenia jakiegoś wspólnego *modus vivendi*. Jeździłam więc tam we środę i cały dzień spędziłam. Jakże ja dziwnych i najrozmaitszych uczuć doznawałam: rozdierającego smutku i jasnych, pogodnych wspomnień dawnej, dobrej Gruszki; a na każdym miejscu postać Matki mej, jak żywa, stawała. Wielką miałam pociechę, że ogród nic niezniszczony, tylko zaniedbany rozrósł się jeszcze bujniej. Zato dom zionie pustką, ruiną i grobem; oślepleni oczyma powyrywanych drzwi i okien spogląda w rozkwitły ogród. Dawniej stanowiły harmonję — teraz rozdarcie: umarłe wspomnienia,

*) Nauczyciel moich siostrzeńców, którzy przyjechali wraz z nim z Mohylowa na dłużej.

rzeczywistość straszna i nowe życie, powstające na świeżych łzach i krwi. Te sprzeczne uczucia ciągle duszę mą szarpały, ach, jak szarpały!

I miałam złudzenie, że, idąc ulubioną aleją, zobaczę we drzwiach salonu Mamę, że z drugiej alei zajdzie mi drogę ktoś z domowników, że życie wkoło zadźwięczy, pełne, jasne życie gruszańskie!... Tymczasem nic... pustka, głusza... a ja sama jedna, otoczona chłopami, żydami, targująca się o sad.

I wszystko mi się wydało okropnym snem, który się rozwieje: jedno zaklęcie jakieś wystarczy, a wróci pogodne, radosne życie dawnej Gruszki. Jeszcze nigdy ogród nie wydał mi się tak piękny, jak teraz, gdy zaczął w nim panować czar rzeczy umarłych.

Objeżdżałam pola, byłam w winnicy i w lesie; chłopci oprowadzali mnie wszędzie i oddawali wszystko.

Po powrocie w szkole zastałam całą gromadę. Zaczęły się znów tłumaczenia, że nie są winni; pytali się, jak zarządę z ziemią, kiedy zagrabione rzeczy mają znosić? Podobnie, jak w Halźbijówce, odpowiedziałam ogólnikowo, że chcę żyć z nimi w zgodzie, że mścić się nie będę, ale trzeba, aby i oni dołożyli wszelkich starań, aby wspólne życie ułożyło się jak najlepiej, i abym nie była zmuszona udawać się do energiczniejszych środków i do pośrednictwa władzy, czego sobie zupełnie nie życzę. Rozmowa ta toczyła się w szkole, gdzie stoi fortepian i lustro, zabrane w czasie pogromu.

Umęczona i wyczerpana poszłam do ogrodu i na kamiennej ławeczce naprzeciwko domu zjadłam jakieś

pozywienie, które mi Iwaś przyniósł. Ja — w Gruszce, popasająca wśród pustki i głuszy — nikt nie wyszedł, nikt nie zawołał! Tylko drzewa kochane, świadki dawnej radości, cicho szumiały nad głową, tylko róże, cudem ocalałe, rozkwitem pierwszych pączków pocieszały mnie, że odrodzi się wspomnienie rąk, które je sadziły, że pamięć nie umarła. Taka byłam wzruszona, gdy pod oknami zobaczyłam osypany pączkami krzak najpiękniejszej róży, niegdyś kochanej i pieszczonej! Glicynje, choć nie rozpięte, ale w kwieciu; magnolie, choć w zimie nie były okryte, żywe i całe. Narwałam resztek tych kwitnących niedobitków i zawiozłam Matuśce mojej. Opowiedziałam i wyplakałam Jej wszystko, co na sercu leży.

Wróciwszy, zastałam w Halzbijówce mnóstwo Austriaków, którzy przyjechali rozbrajać wieś. Rozlokowali się we dworze, jak u siebie w domu, i podobno bardzo niegrzecznie dopominali się o pokoje. Trzeba było chłopców z nauczycielem wyrzucić na to, aby pan pułkownik miał piękny pokój na jedną noc. Choć duszę nurtuje żal i gorycz na wszystko co podłe, niemieckie, zdradą i podstępem niszczy nasze bohaterskie legjony, musiałam być bardzo uprzejma, bo oni tu porządek zaprowadzają i wiele od nich zależeć może w unormowaniu stosunków z chłopami. Zaproсили mię, abym zasiadła z nimi przed domem i była obecna przy znoszeniu broni przez chłopów. Kto nie oddawał dobrowolnie, dostawał w skórę. Ojciec jednego chłopca, którego bito, przybiegł do mnie, błagając, abym się za nim wstawiła; i rzeczywiście, udało mi się go wyprosić.

Korzystając z władzy, zapowiedziałam staroście, aby wieś zniosła skradzione mi rzeczy; w jednej chwili zaczęło się znoszenie tych gratów nadzwyczaj komiczne. Każdy w strachu przed Austryjaczami specjalnie do mnie się skradał i pod połą lub też w worku składał swoje *corpus delicti*: najrozmaitsze drobiazgi, kawałki uprzęży, latarnie od powozów, znalazły się też i półszorki Czesława. Na podwórze przyciągnięto brek; — każdy był pokorny, uniżony, zgięty we dwoje i błagający o przebaczenie. Każdemu powtarzałam, że nic mu nie będzie, wymagam tylko oddania zagrabionych rzeczy. Skończyła się nareszcie ta nieprzyjemna przeprawa. Oficerowie w ogrodzie zasiedli do obiadu; dochodziły mię wesole głosy i śmiech. — Och, tak ciężko, nieznośnie na duszy!

Po wyjeździe Austryjaków pokazało się, że na patelni*), którą zdołałam uchronić przed bolszewikami, obdarta jest skóra z siedzenia. Zaraz pojechałam do Jampola i szturmowałam do wszystkich oficerów i pułkowników. Mocno zawstydzeni, obiecali przeprowadzić śledztwo. Rzeczywiście, na drugi dzień zjawił się oficer z raportem, że skóra jest, ale niestety — przecięta! Pułkownik bardzo przeprasza i pyta, jakiego żądam zadosyćuczynienia? Powiedziałam, że najprostszego, to jest, aby mi rymarz wojskowy naprawił patelnię. A że tego dnia byłam w Jampolu, zaszłam więc do pułkownika i wyraziłam mu jeszcze swe niemiłe żdzi-

*) Powoziki spacerowe, używane na Podolu.

Na straconej placówce.

wienie, że pogromcy bolszewików jednak mają wspólne z nimi cechy postępowania.

Dziś przyszedł rymarz i szkodę naprawił.

3-go czerwca.

Mnóstwo mam zajęć, ani chwili wolnej; coraz mniej sił. Dawniej czerpałam je w skupieniu i samotności. Stwarzałam sobie swój własny świat, który mi zastępował rzeczywistość i wynagradzał ciężar i ból chwili obecnej. Ale na to, abym mogła wejść w taki świat, muszę spędzić jakąś szarą godzinę przy fortepianie, muszę w zupełnym spokoju poszeptać ukochane wiersze, muszę w samotności powłóczyć się po mrocznych alejach, muszę się dobrze każdemu krzaczkowi i kwiatu przypatrzeć. — A to teraz jest niemożliwe!

II.

15-go listopada 1918 r.

I oto pół roku minęło, i nie napisałam tu ani słówka, a przecież tyle przez ten czas przeżyłam. Trzeba choć trochę sobie przypomnieć i uporządkować ten długi okres.

W czerwcu chorowałam na tyfus plamisty. Nie-wiele pamiętam; pewna byłam, że umrę; wydałam więc wszystkie rozporządzenia, powysyłałam listy i depesze,

wyspowiadałam się i kazałam się wywieźć do baraku jampolskiego. Wóz, wymoszczony sianem, kwitnące krzewy na dziedzińcu i grupy ciekawych chłopów na wiejskiej drodze... Potem — brudne ściany, drażniące okropnie, twarde łóżko szpitalne, a dalej — kilka tygodni zanurzenia się w majakach gorączki.

Choć stan był beznadziejny, Bóg mi zostawił życie: widocznie przeznaczone mi jest coś jeszcze spełnić, czegoś dokonać. Po powrocie do przytomności to ogromne szczęście zobaczenia Adama i Franca! I te snopy róż, moich kochanych *Maréchal Niel*, które mi z Halzbijówki przywożono. Gdy siły pozwoliły mi opuścić szpital, miałam wrażenie, że powracam do domu z jakiejś dalekiej, kilkoletniej podróży; a pamięć ostatnich przeżyć zatarła się, rozwiła, zbłękitniała. Całe lato upłynęło mi na rekonwalescencji. Otoczona najpoczciwszą opieką Janiny, wśród słońca i ciepła wracałam do życia, ciesząc się ciszą, spokojem, kwiatami i troskliwością zyczliwych, dobrych ludzi. Wszelkie interesy i przykrości odsuwano ode mnie. I do prawdy, teraz z zazdrością myślę o tym okresie jasnego, przymusowego odpoczynku.

We wrześniu jeździłam w sprawach Macierzy do Winnicy. Pierwszy to był mój wyjazd w świat po rewolucji i po pogromach. Winnica przepętliona znajomymi; mnóstwo ziemiaństwa. Jakże oni inaczej wyglądają teraz, gdy im zabrakło tła dworów, parków i pałaców rodowych. Jeździłam głównie poto, aby się porozumieć w sprawie szkolnej, która jest w opłakanym stanie. Na posiedzeniu, w czasie którego prze-

mawiałam, przedstawiając fatalny stan finansowy Macierzy w naszym powiecie, uchwalono podatek narodowy w sumie 50 kop. z dziesięciny, a z tego dopiero część przeznaczono na Macierz. Kropla to w morzu, ale cóż robić! Następnie przedstawiłam konieczną potrzebę pomocy i współpracy, cały bowiem powiat pozostaje jedynie na opiece siedmiu proboszczów i mnie ósmej. Postanowiono przysłać mi inspektora, na którego dotąd czekam nadaremnie.

W moim okręgu z Macierzą fatalnie się dzieje: Ja nie mam sił i zdrowia objeżdżać szkółek. Nauczycielki przez całą zimę puszczone samopas, pobałamuciły się; po wsiach rozwija się propaganda rusińska, trzeba jej przeciwdziałać, a tu się nic nie robi — i niema komu, i niema za co. Wyjazdy i wszelka komunikacja jest utrudniona. Proboszczowie zniechęceni, lud też zniechęcony — położenie fatalne. Drażni mię to, gniewa, i szamocę się wśród tego wszystkiego, nie mogąc nic poradzić.

Podróż do Winnicy zaszkodziła mi, musiałam dwa tygodnie przeleżeć; w czasie tym miałam tarapaty z Austrjakami, którzy się rozlokowali u mnie na dłużej. Teraz wydaje mi się to drobnostką, ale wtedy drażniły mię i męczyły te ciągłe targi i ciągła styczność z żołnierzami.

Wkońcu doczekałam się szczęścia, o którym od czterech lat marzyłam: we wrześniu przyjechała Manunia z Anuską. Iluż doznałam wrażeń, witając te kochane istoty; gdym je ścisnęła, szlochania uspokoić nie mogłam — mój Boże, tyle się zmieniło, tyle przeżyło!

Po paru tygodniach pobytu Manunia *) z Adamem wrócili do Krakowa, zostawiając mi Anusię **) na parę tygodni. Coraz lepiej poznaję tę krysztalową, młodocianą duszę; takie kochane dziecko! Teraz, gdy ciągle razem przebywamy, zbliżam się do niej coraz bardziej; a chociaż nas lata i ogrom przeżyć rozdziela, bliskie sobie jesteśmy niestychanie. Dobrze nam bardzo razem: ona podziwia i admiruje swoją „ciotkę“, „swoją maleńką“, a ja pragnę dać jej wszystko, co mam najlepszego w duszy.

Miałyśmy wkrótce po wyjeździe Adamostwa, jak tylko ułożę interesy i sprawy szkolne, też wyruszyć; tymczasem tak się wszystko wikła i gmatwa, że nie wiem, kiedy ten wyjazd nastąpi. Austriacy się cofają, rewolucja w Austrii zmusza ich do opuszczenia Ukrainy. Żołnierze, zarażeni bolszewizmem, cofając się, zabijają i łupią, jak za najlepszych bolszewickich czasów. Gruszkę rozgromili, zboże zabrali; całe gospodarstwo, z trudem wznowione, zniszczyli; meble, te resztki, oddane przez chłopów, doszczętnie połamali; konie, uprząż, siodła pozabierali. Biedna Gruszka przeżywa trzeci pogrom: był chłopski, bolszewicki, teraz austriacki. Jakiego gatunku i narodowości będą jeszcze?

Gdy zabrakło Austriaków znów bandy zaczęły głowy podnosić. Biednego dyrektora Ciechomskiego ***) w drodze z Wapniarki zabito. Panika padła na

*) Siostra moja Kirchmayerowa.

***) Córka jej.

***) Dyrektor cukrowni w Honorówce.

Honorówkę. Nas wszyscy namawiają, abyśmy uciekali do Jampola. Narazie przemogłam strach o Ojca i Anuskę i nie usłuchałam namów. O ileż mi teraz trudniej zdobyć się na spokój i obojętność, gdy mam na swej odpowiedzialności kochane istoty.

Żyjemy w zawieszeniu i niepewności: poczty nie chodzą, koleje prawie stanęły; wszelkie porozumienie ze światem jest niemożliwe.

Oczekujemy tu z dnia na dzień przyjsia wojsk angielsko-francuskich, i tylko temi wieściami utrzymuje się względny spokój wśród chłopów. A na świecie co się dzieje! Austrii już niema; Wilhelm abdykował. Nibyto jest pokój, ale oby ten pokój nie był straszniejszy od wojny. Skończy się walka narodów. Zacznie się stokróć zażartsza i straszniejsza walka kast i partyj. Podobno w Austrii powtarza się dosłownie rosyjski dramat bolszewicki. Taki straszny, okropny lęk o Polskę. Co się tam naprawdę dzieje? Czyżby demagogja, bolszewizm i wszelkie warcholstwo wzięło górę? Boże, gdy nam dałeś łaskę zmartwychwstania, daj, niech się okazemy godni tej łaski. Obdarz ludzi dobrej woli siłą i rozumem. Ocal Polskę, jak arkę Noego, z popopu pomieszanych pojęć i uczuć, w którym tonie stary świat. Niech nasza Polska zmartwychwstała będzie, jako żywe świadectwo Twej prawdy, jako zaranie Twego przyszłego Królestwa na ziemi, jako śmiały protest przeciw podłości szatana, pobratanego z marnością ludzką. Niech Polska młoda, obudzona ze snu wiekowego, wytrwale stoi przy sztandarze wiary i miłości.

26-go listopada.

Nie wybrnąć nam z tych fatalności! Zakotłowało się wszystko na świecie. Nietylko w Austrii, ale i w Niemczech rewolucja; teraz oni przeżywają rozkosze bolszewickie. Tu, na Ukrainie, tworzą się wojska hajdamackie, a właściwie rezunów i złodziei; wszędzie mnóstwo agitatorów, wszystko zionie nienawiścią do Polaków i obywatelstwa. Znów w naszej okolicy zaczęły się pogromy. Podobno oddział hajdamacki przybył do Gruszki; obawiam się tam jeszcze jednego pogromu. Chłopi znów zhardteli. Przychodziła gromada z pretensjami o kapustniki*), a z tonu ich mowy i zachowania widać, że znów nabrali odwagi i bezczelności. Wciąż nadchodzą wiadomości niejasne i coraz groźniejsze. Podobno w Mohylowie jakieś nieznane wojska wypędziły zwolenników Skoropadzkiego, osadziły dawnego starostę i dawny porządek. W Jampolu wręcz przeciwnie: staroście kazano się rzec godności, a władzę objął dr. Malowanyj, wstrętny warchoł ukraiński.— W tej chwili miałam wiadomość, że do Jampola przyszły bolszewickie czy też petlurowskie wojska, rozbrajają kozaków hetmańskich i oddają broń ludności. We wsiach wszędzie to samo się dzieje. Już jeżeli nas teraz nie wyrzną, to będzie dobrze. Czuję się tak strasznie zdenerwowana i poprostu w głowie mi się mąci, gdy sobie pomyślę, że Ojciec i Anuśka są na mojej odpowiedzialności. Co robić? Jak uchronić ich przed niebezpieczeństwem?

*) Ogrody na warzywa.

Po przeszłym roku zdawało mi się, że już drugiej takiej męki nie wytrzymam; tymczasem męka znów nadchodzi, tylko stokroć gorsza, bo połączona z lękiem o drogich. Czy mi sił wystarczy? Czy te rozklekotane nerwy wytrzymają długo? A muszę okazywać spokój, aby otoczeniu nie odbierać odwagi. Dotąd podziwiają mię, że taka beztroska i wesoła, a ja naprawdę już upadam pod brzemieniem tego wszystkiego.

A jaka nienawiść rodzi się w człowieku do tych chamskich, wstrętnych, ciemnych dusz! A jak oni nas nienawidzą! Cała atmosfera przepelniona okropną, żywołową nienawiścią, którą chyba krew przyciąsi. — Ale czyja?...

Parę dni temu jeździłam do Czerniowiec na zjazd przedwyborczy do Centralnego Komitetu Polskiego w Kijowie. Nasz komisarz, który wyjechał z Jampola, nie mając ochoty powracać tu teraz, uznał za najwygodniejsze dla siebie upoważnić mię telegraficznie do przeprowadzenia wyborów. Rzecz charakterystyczna: jedynymi przedstawicielami obywatelstwa z całego powiatu były dwie kobiety: p. Salomea Jaroszyńska i ja.

27-go listopada.

Taki strach opętał ludzi, że chodzą jak nieprzytomni, niemożliwe plotki roznosząc. Najbardziej boi się służba i stwarza antypatyczną atmosferę strachu. Wolałabym rozpuścić ich wszystkich; przynajmniej miałabym spokój, a im nie wydawałoby się, że, poświęcając się dla mnie, narażają swe życie.

Tak mi bardzo żal biednej Anuśki; ona jeszcze nieprzyzwyczajona do takiego życia; dzielnie się trzyma i pogodnie, ale jednak czuję, jak jest zdenerwowana i przerażona. Pan Bagiński też miną nadrabia. Wczoraj wieczorem doskonale odczuwałam, jak jedno przed drugim udawało spokój, jak wśród żartów i wesołej pogawędki trzepotała się ich niespokojna myśl. Jeden tylko Ojciec temi przewrotami się nie wzrusza, i nic go nie wyprowadza z codziennego trybu.

Wczoraj przyszedł p. Żukowski*) z radosnemi wiadomościami, że Malowany Hańko**) i cała banda petlurowczyków w Jampolu zaarrestowana, że dawny starosta hetmański wrócił, i lada chwila mają wejść Rumuni, którzy od niedzieli są już w Mohylowie. Niestety, dziś jest zaprzeczenie tego wszystkiego. Prawie co chwila sprzeczne wiadomości. Można oszaleć!

Wczoraj pod wpływem dobrych wieści cały wieczór grałam; coraz częściej zasiadam teraz do fortepianu; muzyka to moja radość, ukojenie, źródło siły; jej powierzam wszystkie uczucia, szarpiące duszę, i coraz lepiej się z nią rozumiemy.

29-go listopada.

Wczorajszy wieczór i noc znów pełne trwogi i niepokoju. Podobno zbliża się ogromna banda z Krywo-

*) Znajomy mój z Jampola i oddany nasz przyjaciel, który w czasie okupacji austriackiej zajmował się mojemu interesami.

**) Sąsiad, zapiekły Ukraińiec.

ruczką*) na czele. Jampol cały uzbrojony, wystawiono kulomioty i armaty. Mój biedny Karol nawpół przytomny; mówiłam mu, żeby szedł do domu, ale on w poczuciu obowiązku nie chce odejść. Dla dodania mu animuszu dyżurowaliśmy: pół nocy — ja z Anuską, pół — Bagiński. Zrobiliśmy to więcej dla śmiechu, niż dla obrony. Jakoś nie czuję takiej grozy, jak przeszłego roku; zdaje się, że to tylko słaby oddźwięk minionych okropności. Ale jak sobie pomyślę, że Anuska może się stać jaka krzywda, zimny dreszcz przerażenia mię ogarnia.

3-go grudnia.

W sobotę przyjechał instruktor do szkół, o którego tak gwałtownie się dobijałam w Winnicy, a teraz nie wiem, co mam z nim zrobić. Nigdzie ruszyć się nie można. Dobrze zwierzchnikom moim siedzieć w Winnicy i rozkazy przysyłać: „Wysłać instruktora po powiecie, kupić mu konia i wózek, nająć mu furmana, płacić pensję 600 rs. miesięcznie“. A kto ma to wszystko zrobić i jakimi środkami? Co zdziałać można w obecnych warunkach?

Inspektor egzaminował naszą szkołkę, w której teraz Anuska i Bagiński są pedagogami. Egzamin wypadł bardzo dobrze.

Pan Żukowski przywiózł grobowe wiadomości: petlurowcy zajęli cały kraj; są już w Mohylowie i w Jampolu, z którego starosta i cała załoga hetmańska ucie-

*) Bandyta z Kaczkówki.

kła statkiem ku Odesie. W Mohylowie była bitwa; okoliczni chłopcy pomagali petlurowcom przeciw hetmańczykom. Grabieże i napady okropne. Słoboda rozgromiona, ekonom. z Gruszki uciekł, bo chcieli go zabić. W Jampolu porozlepiane wezwania, aby się wszyscy gromadzili do Petlury dla walki o ziemię i wolę; że ciemiężyciele panowie będą karani, a ci którzy od „nieszczęsnego ludu“ brali odszkodowania lub Austrjaków sprowadzali, odpowiedzą głową.

Hajdamaczyzna w całym rozkwicie. Pachnie to rzezią i całym przeklętym aparatem czasów rezuńsko-bolszewickich. Położenie moje jest rozpaczliwe: Ojciec, Anuśka, Bagieński, czy ja mam prawo tak z nimi tu siedzieć? Pan Żukowski namawia, żebym z Anuśką wyjechała do Jampola. Jakże ja tak Ojca mogę zostawić? Bo staruszek za nic nie chce się ruszyć. A zresztą, jak się tylko dowiedzą, że „panienka“ uciekła, cała służba się zaraz rozleci, a wtedy będzie to sygnałem do pogromu. Siedzieć — to znowu narażać Anuśkę na straszne niebezpieczeństwo, a przecież Adam na wyjeździe z całym zaufaniem oddał mi ją pod opiekę. Wyjechać wszystkim, pomimo oporu Ojca, to już bezwarunkowo skazać ten dom na śmierć. Więc tyle przeszłorocznej męki poszłoby na marne? to byłoby coś potwornego! Najlepiej byłoby, gdybym mogła Anuśkę umieścić w jakimś miejscu bezpiecznym, a sama śmieiej trwać tu do ostatka; wszystko mi już jedno, z czyjej ręki zginę — przecież i tak śmierć od roku krąży wokół mnie i rzecz dziwna, że dotąd jeszcze mię oszczędza. Ale wiem, że to dobre, złote

dziecko nie zechce mię opuścić; i rozumiem ją doskonale. Więc co ja mam robić? Co naprawdę uczynić powinnam? Boże!

4-go grudnia.

Zaczynają się preludja przedpogromowe: wykradanie okien z oficyn, łamanie balkonu w szkółce. Jakie to jest okropne czuć się znów otoczoną wrogami; prawie fizycznie czuję na sobie każdą ich nienawistną, złą myśl.

Wczoraj znów zaczęło się pakowanie i chowanie cenniejszych rzeczy. I to kto? Anuśka moja biedna z energją i spokojem zabrała się do tego. Byłam chora, więc z łóżka kierowałam wszystkim i przyglądałam się mojej kochanej dziewczynie. Więc Bóg nie oszczędził i jej tych obrzydliwych wrażeń. Patrząc, jak to biedactwo pakuje te same rzeczy, tak samo, z tą samą Józją, miałam wrażenie, że to jakiś sen, przedstawiający mi ciągłość życia mego w tych samych okrutnych, bezmyślnych formach, tylko moje miejsce zajęła Anuśka i tak samo ze spokojem i pogodnem czołem spełnia wszystko, co jej mus i straszne okoliczności każą. O Boże, niechbym ja już się męczyła, ale nikt więcej. Nie spodziewałam się jednak, że tak będzie; myślałam o tej porze odpoczywać wśród swoich, oddychać zachodniem powietrzem i spokojem. Ale zamiast pakować rzeczy do Krakowa, znów muszę je kryć, chować nikczemnie przed zbójami, złodziejami, z tą tylko różnicą, że tego roku będą to rezuny, hajdamaki, gdy przeszlego byli wielkorusczy bolszewicy.

W rezultacie, mówiąc poprostu, bez wschodnich me-
tafor: jedni i drudzy to tylko zwyczajni złodzieje, roz-
bójniki, przebrzydła czerń.

5-go grudnia.

Wczoraj znów przyjechał pan Żukowski z jeszcze
straszniejszymi wiadomościami. Po miastach wszędzie
aresztowania i morderstwa Polaków. W Mohylowie
zabity Krassowski*); mieszkanie Jaroszyńskich zrabo-
wane doszczętnie. Niepokoję się o Cześciów. W Win-
nicy to samo się dzieje. Wszystko to są pantoflowe
wiadomości, gdyż jesteśmy odcięci od świata: ani ko-
leje, ani poczty, ani telegrafy, ani telefony nie działają.
Żeby już mieć jakie wiadomości, co się dzieje z Ta-
dziem i Francem. Ciągłe oczekiwanie z godziny na
godzinę czegoś strasznego; fantazja, podniecona nie-
pokojem, snuje najpotworniejsze obrazy, które prześlą-
dują dniem i nocą.

Podobno we Francji rewolucja! Gdyby to była
prawda, oznaczałoby to koniec możliwego życia na
ziemi, a początek piekła, panowania międzynarodówki,
ciemnego motłochu, kierowanego żydowskim łajdac-
twem i niemieckim okrucieństwem. Nie mogę jednak
uwierzyć w tę rewolucję, wierzę że minie zawierucha,
przyjdzie wybawienie. Nie wiem, czy to naprawdę
przecucie, czy tylko nadzieja, ten nieuleczalny nałóg
biednej duszy ludzkiej.

*) Obywatel z pod Mohylowa.

6-go grudnia.

Przysłał mi p. Żukowski oficjalistę z Borówki, aby zabrał instruktora do Czerniowiec. Młody chłopak, był w bitwie pod Kaniowem; Haller żyje! Bogu Najwyższemu dzięki! Z taką miłością i zapałem opowiadał nam o nim! Wydobył z kieszeni wycinek gazety legjonowej z opisem pierwszej rewji wojska polskiego. Biedny, wytarty świstek papieru, w którym drży pełne nadziei serce polskie, i na sercu żołnierza polskiego, jak talizman, noszony! Ogromnie rada byłam i szczęśliwa z bytności tego chłopca; przyniósł nam pocieszające wiadomości, przynajmniej to, że Haller żyje i trwa.

Nie odesłałam z nim instruktora; przecież nie miałyby sensu, gdyby będąc tak blisko, nie objechał szkół okolicznych dlatego, że czasy są bardzo straszne, i że petlurowcy wzięli górę. Strasznie będzie zapewne jeszcze długo w tym kraju, a pomimo tego, właściwie zaś dlatego właśnie tem energiczniej potrzeba działać. Więc posłałam go dziś do Jampola, a jutro pošlę do Sewerynowki i Olfanówki. Takbym chciała, żeby mu się ten początkowy objazd udał! Innej rady niema, tylko rzemiennym dyszlem będzie objeżdżał powiat: chłop wreszcie będzie wołał zawieźć go do sąsiedniej szkoły, niż mieć u siebie i karmić; i dla niego bezpieczniej z miejscowymi ludźmi podróżować.

Przychodził dziś starosta wiejski po lekarstwo; zapewniał, że, dopóki on będzie na stanowisku, żadnej napaści i nieporządku obawiać się nie potrzebują. Wie-

rzę, że mówił szczerze, ale cóż on poradzi, jeżeli przyjdzie banda? Ech, wszystko w rękę Boga!

7-go grudnia.

Zupełnie niepotrzebnie postął p. Żukowski Brunickiego *) do Gruszki zpowrotem. Banda napadła, rozbiła śpichlerz, a biednego Brunickiego zabrano i popędzono piechotą do Mohylowa; co się z nim stało, niewiadomo. Robimy wszelkie starania, aby go ocalić, a więc: „dyrektorjat jampolski“ postął do „dyrektorjatu mohylowskiego“ rozporządzenie, aby Brunickiego żywego wypuszczono. P. Żukowskiemu też grozi areszt; radzą mu, aby uciekał, ale on dotąd siedzi wytrwale.

Dziś jeździł pan Bagieński do Jampola i przywiózł dla odmiany pocieszające wiadomości, że jakoby napewno przyjdą za tydzień Francuzi. Już nam ich tyle razy obiecywano, ale do tego doszło, że każda plotka, nawet możliwość powstania dobrej plotki dodaje otuchy i pociechy. Jeżeli Halzbijówka, a wraz z nią i my ocalejemy z tego potwornego potopu, to naprawdę będzie cud. Ja już na wszystko zobojeźniałam i nerwy wyczerpane mam do ostatka: z najwyższym wysiłkiem zabieram się do każdej roboty, a wydanie najmniejszego rozporządzenia kosztuje mię niesłychanie.

9-go grudnia.

Dziś holesna rocznica śmierci biednego pana Duszyńskiego. Jakież to był straszny, jaki rozpaczliwy

*) Ekonom.

dzień! Rok upłynął, taki ciężki, taki niestychanie ciężki! Jedynie lato, okres mojej choroby, a potem rekonwalescencja były wytchnieniem w tej udręce.

Żadnych wiadomości od nikogo; jestem niespokojna o Czesia, Tadzia i Frania. Plotki krążą, że w Mohylowie działy się straszne rzeczy, że obywateli ziemskich kłuto, topiono, mordowano. Czekamy jedynie zmiłowania bożego.

Instruktora posłałam do Olfanówki, stamtąd do Podlesówki i Dzygówki. Każdy powie, że to szaleństwo teraz zajmować się szkołami; ale choć to może śmieszne, ja uważam, że trzeba ciągle działać, a im trudniej, tem więcej! A trudno i ciężko okropnie.

11-go grudnia.

Wczoraj nareszcie miałam depezę od Tadzia. Od początku tej petlurowskiej awantury pierwszy znak życia ze świata. Przynajmniej on bezpieczny, ale za to o Czesia niepokój wzrasta.

14-go grudnia.

Zatraca się miarę czasu, sens życia, zdrowy, normalny sąd; serce i duszę opanował jedynie niepokój. I z tego błędnego koła rodzą się widma, straszne twory wyobraźni, która, kto wie? może nawet nie dorównywa rzeczywistości. Najokropniejsze są wieczory: po dniu przeżytym z musu, ot tak, aby go tylko przepchać, nadchodzi wieczór przy ciemnej, kopczącej lampce, niepokój wzrasta, sen odbiega, i tyłkoby się całą noc na kłęczkach błagało Boga o zmiłowanie. Praw-

dziwą mam pociechę z mojej Anuśki; dzielna i szlachetna natura, a przytem ma ten sam sposób, co ja, reagowania na wiele rzeczy: ta sama zawziętość i zaciętość w bólu i cierpieniu, ta sama wrażliwość na stosunki zewnętrzne, ta sama potrzeba, aby wszyscy dookoła byli zadowoleni, uśmiechnięci i pogodni. Poznając coraz lepiej tę młodą duszę, mam wrażenie, którego chyba matka doznaje, patrząc na swe dziecię, że to młode stworzenie—to jakby odbicie moje, jakby ciąg dalszy mojej istoty. Moja to krew, moja rasa.

Urządzamy na święta szopkę, przygotowujemy dzieciaki, odbywamy próby, szyjemy kostjумы ze starych firanek i parawanów. Wszystko to w innych czasach dawałoby mi bardzo wiele zadowolenia, teraz tylko męczy i przygnębia. Jedynie pod naciskiem obowiązku i dlatego, że właśnie w obecnej chwili tak trzeba, zabieram się do tego.

Boże jakież to będą wiadomości, może dziś, może jutro? Pragnę ich, a jednocześnie drzę przed niemi.

A życie tymczasem przejeżdża się po mnie i poniewiera, jak samo chce: wszystko zdobywać trzeba z takim nieznośnym trudem! Każde źdźbło słomy, każde ziarno zboża wyprosić i wykłócić muszę u ekonomów honorowieckich *); tam po śmierci biednego dyrektora wyższa administracja się rozleciała, a rządy wzięły w swe ręce ekonomusy. Gdzież te czasy, kiedy wszystkie interesy załatwiano za mnie, kiedy mia-

*) Od fabryki honorowieckiej, jako od dzierżawców mego folwarku, należała mi się słoma i zboże.

łam do czynienia z ludźmi tylko dobrze wychowanymi, nie mając pojęcia o marności i brutalności ludzkiej!

15-go grudnia.

Szczęśliwy, błogosławiony dzień! Miałam list od bratowej mojej Czesławowej; żywi i cali. Cześ zdołał uciec przez Dniestr i siedzi w Otakach *). Bogu Najwyższemu dzięki! A jakże straszne rzeczy działy się w Mohylowie: na ulicach mordowano, grabiono, rozbijano mieszkania. Miałam też dziś depezę od Franca; siedzi bezpiecznie w Konstantynowie, tam trochę spokojniej. Więc przynajmniej żywi są ci, o których najwięcej drżałam. Ale położenie wciąż jest groźne. Petlurowcy wszędzie biorą górę.

Ale zato z Polski dochodzą pogodniejsze wieści. Naród nasz okazał się godny wielkiej, dziejowej chwili: odrzucił parwenjuszowsko-spekulanckie burdy, stał się wielki, jednolity, wolny i równy. Myśl, że tam sercem i rozumem budują Polskę, dodaje sił, aby wytrzymać to piekło, w którym teraz jesteśmy pogrążeni.

Dziś była wspólna spowiedź świąteczna całej szkółki; moja dzielna Hanka piechotą poprowadziła dzieciaki do Jampola.

18-go grudnia.

Nadeszły warsztaty z Kaczkówki **); zacznie się nauka tkactwa w szkółce. Mój Boże, gdyby było spo-

*) Miasteczko w Besarabji.

***) Właścicielka Kaczkówki, p. Rakowska, po pogromie, wyjeżdżając, oddała mi swoje warsztaty tkackie.

kojnie i gdyby mieć dużo pieniędzy, ileby tu można zrobić! A teraz wszystko chwywane, tymczasowe, wyrywane przemocą z największym wysiłkiem.

Gdyby nie Anusia, nie wytrzymałabym tych wielkich, małych i najmniejszych trosk, z którymi muszę się szamotać.

19-go grudnia.

Dlaczego te rzeczy miłe, kochane nie powtarzają się nigdy, a wstrętne, nieznośne wracają w tej samej formie, np. czasy obecne takie są podobne do zeszłorocznych. Tak samo chłopstwo ma nadzieję zabrać ziemię, z taką samą bezczelnością rości różne pretensje. Wczoraj właśnie miałam półtoragodzinną rozmowę z największym złodziejem i drabem hałzbijowieckim. Rości on sobie nieuzasadnione niczem pretensje do chaty dworskiej, a nibyto przyszedł mię uprzejmie prosić o sprzedaż takowej; ale pod pokrywką grzecznego prośby kryła się pogróżka. Sprytnie, z iście wschodnią przebiegłością wykladał mi, zwracając się jako do pani i do dziedziczki, że właściwie wszystko zależy od woli ludu, i jak „obszczestwo“ *) postanowi, tak będzie — może mię i z dworu wyrzucą, albo zostawią dwa pokoiki na mieszkanie..... Oj naiwna, chamska brutalność! Dziś miałam śmieszny przygodę w Jampolu. Wiozłam strzelbę na przechowanie do siebie, naturalnie starannie ukrytą na dnie powozu. Wysiadłam na

*) Zgromadzenie wiejskie.

chwilkę przed jakimś sklepem, tymczasem zaś zbliżył się oficer petlurowski z propozycją, aby go woźnica zawiózł na drugi koniec miasta. Wybiegłam ze sklepu przerażona, aby nie dopatrzył strzelby, a widząc, że nie wybije mu z głowy tej jazdy, wołałam sama wsiąść i odwieźć go. Jak się pokazało, pijany oficer wziął ten mój pośpiech za wynik wrażenia, jakie na mnie uczynił, i zaczął mi w czasie drogi mocno nadskakiwać, dopytując się, skąd jestem. Z rozpromienionym uśmiechem prowadziłam tę miłą rozmowę, jednocześnie popędzając konie, ile się dało. Wreszcie wysiadł, nie zauważywszy strzelby i, bełkocąc coś niezrozumiale, podał mi łapę, może splamioną krwią jakiej polskiej ofiary.

21-go grudnia.

Potrzebna mi jest do życia atmosfera miłości i przyjaźni; gdy mię otacza nienawiść, niechęć, albo tępa głupota, poprostu ginę. I teraz, mając ciągle do czynienia z marną hołotą ludzką, sama marnieję, zatracam się; czuję onieśmienie i nieufność do siebie; bezczelność ludzka poprostu mnie tropi. Prawdziwa ośłoda i pociecha to Hanka moja droga; ona, biedactwo, też męczy się okropnie.

23-go grudnia.

Wczoraj przybyła partja petlurowców z Mohylowa do Jampola; nocowali w Białej*). Sąsiedztwo mniej

*) Wieś oddzielona tylko Murawą od Halzbijówki.

przyjemne, więc naturalnie i noc była niebardzo miła. Rok temu tak samo nie sypiałam z obawy przed bolszewikami. Bohaterscy petlurowcy opowiadali w Białej, że w Mohylowie oddawali bandom chłopskim panów, aby się z nimi rozprawiły za pobieranie kontrybucji i ucisk nieszczęśliwego ludu. Można sobie wyobrazić, co się tam działo! O, ta bezsilność nasza i zupełne zdanie się na łaskę motłochu.

Przychodziła tu delegacja z „bumagą“ *) zbierać składkę na wojsko petlurowskie, a w „bumadze“ tej napisane było, że wojsko to konieczne jest dlatego, aby lud otrzymał ziemię i zgnębił obywateli. I oni bezczelni do mnie z tem przychodzą, abym podtrzymała hajdamaków, co moich i mnie samą rznąć będą. A jednak musiałam dać! O, nędzo tego wszystkiego!

24-go grudnia.

Dziś wigilja. Jak dziwnie smutno i ciężko.

Podobno w Odesie są Francuzi, Anglicy, Włosi i Hallerczycy. Co z tego wszystkiego będzie? A tymczasem Ukraińcy szczują w swoich piśmidłach na Polaków; wymieniają miejscowości, gdzie się szkoły zakłada i gdzie bywają instruktorzy.

25-go grudnia.

Święta. Wieczór wigilijny smutno nam zeszedł. Myśl wędrowała po wszystkich zakątkach ziemi, gdzie znajdują się drogie istoty, i biegła w zaświaty, do

*) Dokumentem.

tych najdroższych, którzy już odeszli. Czulo się przy sobie atmosferę dobrych, serdecznych, stęsknionych myśli, które otaczały nas niezliczoną siecią, wiążącą wszystkie nasze rozproszone serca i tu na ziemi, i tam w zaświatach. Jakaś siła miłości, która, zdawało się, zwalczała czas, przestrzeń, wszelkie przeszkody i okropne warunki! Jak oni tam w Krakowie muszą się niepokoić! Dzieciątko Przenajświętsze, które dzisiaj wstąpiło na ziemię nieść pokój ludziom i miłość, błogosław im wszystkim swą dziecięcą, boską ręką, osłaniaj od złego!

Dziś rano była Msza święta we dworze; Ojciec się spowiadał. Zeszło się dużo katolików i cała szkoła. Śpiewaliśmy kolędy przy moim akompaniamencie na fisharmonji. Tak uroczyście i ładnie wszystko wyglądało: prowizoryczna kaplica; ołtarz ustawiliśmy w oszklonej wnęce salonu, wśród zieleni wazonów; Marjan *) i pan Bagieński służyli do Mszy; Dziadunio na fotelu, przy nim Hanka, podtrzymująca Go przy klękaniu; dalej służba i gromadka ludzi ze wsi, a w końcu salonu, naprzeciwko ołtarza—ja przy organkach, otoczona chórem dzieci. Wszystko to razem stanowiło śliczny obrazek, nad którym unosiło się błogostawieństwo boże. Po Mszy z dziećmi i z ich rodzicami poszliśmy do szkoły, gdzie odbyło się rozdawanie cenzur; ja naturalnie musiałam przemawiać do dzieci i rodziców. Niech sobie mówią, co chcą, ale praca ta daje wielkie zadowolenie i wyniki jej są ogromne.

*) Służący mego ojca.

Trzeba było widzieć miny dzieciaków i rodziców przy czytaniu cenzur, jak to wszystko z zainteresowaniem słuchało! Jedna dziewczynka i jej matka zalewały się łzami z powodu, że ojciec nie pozwolił jej przez całą jesień chodzić do szkoły. Zapowiedziała, że ucieknie z domu, i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy jej obiecałam, że pomówię z ojcem i po świętach przyjmę ją do szkoły. Wszyscy wdzięczni, uszczęśliwieni i dziękujący tak naiwnie i serdecznie. W miłym i wesołym nastroju wróciliśmy do dworu. Nagle przez okno spostrzegłam dwóch żołnierzy z karabinami, którzy skierowali się prosto do bocznych drzwi; gdy wbiegła na korytarz, zobaczyłam przez oszklone drzwi, jak po schodach szli do górnych pokoi. Brrr! — tak żywo, tak plastycznie stanął mi przed oczyma przeszłoroczny napad bolszewicki: tak samo w czasie świąt, w tych samych drzwiach, na tym samym korytarzu.

Przywidzenie jakieś okropne! Zamknęłam drzwi od pokojów i posłałam chłopca, by ich zawrócił do kredensu. Pokazało się, że to petlurowcy, żądający wydania broni; mają spis, w którym wymieniono, że znajduje się u mnie strzelba i rewolwer (a naprawdę dał mi pan Żukowski strzelbę i rewolwer do przechowania). Żądali natychmiastowego wydania, w przeciwnym razie w całym domu będą robili rewizję. Szczęściem, zatrzymał ich Karol chwilkę w kredensie. Rewolwer wyrzuciłam w krzaki przez okno. Nic nie wiedzieliśmy, że Karol przywiązał strzelbę do pleców kanapy, która stała przy ścianie. Tymczasem, urządzając kaplicę wieczorem, pociemku, wyciągnęliśmy nieszczę-

sny mebel na środek drugiego salonu. Petlurowcy, nie mogąc doczekać się ani broni, ani starosty wioskowego, który miał zaświadczyć, że jej niema u mnie, znudzeni poczęstunkiem i miłą rozmową z Karolem, wtargnęli do pokojów, aby dokonać rewizji. Przywitałam ich miłym uśmiechem i zapewniłam, że broń miałam, ale wszystko zabrali bolszewicy i Austrjacy; trafiło im to do przekonania i wreszcie wydali mi kartkę z zaświadczeniem, że żadnej broni nie znaleźli. Dopiero po wyjściu żołnierzy spostrzegłam strzelbę, która na środku pokoju, przywiązana do kanapy, rzucała się każdemu w oczy. Jakim sposobem ani my, ani petlurowcy, którzy weszli do tego pokoju, jej nie spostrzegli, nie rozumiem. Jest niewidzialna ręka, co wzrok w biały dzień przysłania, a czasem ślepy krok nad przepaścią wstrzymuje.

Kijów cały zajęty jest przez petlurowców. Podobno, gdy wjeżdżał Petlura, pod nogi kwiaty mu sypano. Hetman uciekł.

29-go grudnia.

Wczoraj dostałam „Dziennik Kijowski“, którego już półtora miesiąca nie miałam w ręku. Trudno się zorientować w obecnej polityce: wojska polskie z Francji (a więc Hallerczycy) zajęły Odese. Była wielka bitwa (ale gdzie?), w której Polacy pobili petlurowców. Kijów zajęty przez Petlurę, ale pomimo tego wszystkich banków i instytucyj strzeże wojsko polskie. Koalicja zapowiedziała, że najmniejszą krzywdę, uczynioną żołnierzowi polskiemu, będzie uważała za obrazę względem

siebie. W Galicji zacięte walki: Polacy biją Rusinów. I co to wszystko ma znaczyć? Trzeba wierzyć, że coś dobrego z tego wyniknie, bo jeżeli Haller w tem bie-rze udział, to już nie da się prowadzić na pasku cu-dzych interesów politycznych.

A my tu tymczasem na trzeci dzień świąt urzą-dziliśmy szopkę. W salonie bardzo miłutko przybrana była scena: wszystkie firanki, kapy, kołdry i resztki sukien zmobilizowane zostały na dekoracje i kostjumy. Dzieciaki i ich rodzice już od samego rana oczekiwali; poczciwe babiny naznosiły nam znów kołaczy i kur, dziękując, że tyle starania i opieki dajemy ich dzie-ciom. Zdaje się, zaczynają rozumieć, czem jest uczci-wa, porządna szkoła polska. Szopka świetnie się udała, ułożona z fragmentów z Betleem, z kantyczek i z kołęd. Dzieciaki doskonale grały i pysznie wyglądały, uszmin-kowane sadzą, burakiem i mąką. Hanka była suflerem, pan Bagieński reżyserem i inspicjentem, a ja akompa-njowałam i prowadziłam chóry. Po przedstawieniu za-paliliśmy choinkę; dla starszych był poczęstunek z wi-nem (własnego wyrobu), dzieciaki dostawały cukierki i pierniki. Radość i zabawa doskonała. Młodzież uszczęśliwiona, starsi, też rozradowani, z uśmiechem przyglądali się zabawom dzieci; a my z rozczeniem patrzyliśmy i na jednych, i na drugich. Tak było miło, tak wszystko dobrze się udało, taki jakiś pogodny, bra-terski nastrój panował. Zapewne, świętych z nich od razu nie zrobimy, ale zawsze coś pięknego i dobrego tego dnia w niejedną duszę zapadło i zostanie tam na zawsze. Ileż tu zrobić można, trzeba tylko chcieć i móc.

31-go grudnia.

Ostatni dzień roku! — Aż strach, co ten nowy przyniesie, czy będzie jeszcze krwawszy i okropniejszy? czy dalej będzie włókł łańcuch niedoli i męczarni ludzkich? czy się co odmieni? czy zabłyśnie lepsza dola? — Ach, niema się co łudzić! Trzeba dalej wykuwać to okropne, ciężkie, nudne, szare życie. Czasem ręce opadają, poco to wszystko, poco? poco?

Wczoraj miałam depeszę od Franca, jest w Żytomierzu, a więc przynajmniej bezpieczny. Pyta się, kiedy wyjeżdżamy, czyli, że jest możliwość wyjazdu. On tam bliżej świata, może coś pewniejszego wie. O Boże, wyjechać, wyjechać, wyjechać!

2-go stycznia 1919 r.

Chwała Bogu, już Nowy rok przeszedł. Rok miął, nic dobrego nie przyniósł. Życie coraz nieznośniejsze i cięższe; tak strasznie smutno, nieznośnie, źle. Wszystko, co może być urokiem życia, odleciało, został tylko twardy, szary, ciężki obowiązek.

Wczoraj znów mieliśmy wizytę petlurowców. I to zawsze w święta, wtedy, kiedy jesteśmy weseli. Grałam, a Anuśka z panem Bagieńskim tańczyli; wtem te chamskie, brutalne twarze ukazały się we drzwiach. Niby to zawsze szukają broni; pozbyć się ich można tylko dobrym poczęstunkiem.

7-go stycznia.

Mieliśmy dziś awanturę: z rana przyjechało jedenastu petlurowców wprost do stajni. Odrazu skontro-

lowali wszystko: czy jest furaz, konie, uprząż, siodła. Potem wpakowali się do kredensu; jak najspieszniej kazałam dać poczęstunek, aby ich tylko zatrzymać, by do pokojów nie weszli. Upatrzyli sobie w stajni moją Falę i koniecznie chcieli ją zabrać; ledwie uprosiłam, tłumacząc, że stara, że im się na nic nie przyda. Musiałam długo prosić, zanim z łaski swej zgodzili się zostawić Falę, wzamian zaś wzięli tylko moją uzdeczkę, która tyle lat mi służyła, aż nakoniec w chamskie łapy się dostała. Miny mają zbójckie i bezczelne. Wszyscy w kurtkach kozackich, z baszłykami czerwonymi na ramionach; czapki baranie z „osełdecami“ — zupełnie watażki z czasów Chmielnickiego. A ponieważ czytamy teraz „Ogniem i mieczem“, więc się nam zdaje, że widzimy żywą ilustrację do tych krwawych opowieści, w których nieraz odnajdujemy zupełnie własną naszą dolę, własną historję.

Jeden z tych bandytów wydawał się przyzwoitszy. Gdy był zdala od swych towarzyszków, rozmawiał ze mną dobrą polszczyzną; widocznie jednak bał się swoich koleżków, bo unikał rozmowy na osobności, tamci zaś mieli go na uwadze i pilnowali, chociaż był między nimi najstarszy. Ciekawam, kto to taki? pewnie jakiś sługa z dworu polskiego.

Kazali sobie przysłać do Jampola furę siana i pojechali do Honorówki. Ale nie na długo dali nam pokój. Późnym wieczorem zadudniło, zatętniało na podwórzu; pokazało się, że to ci sami petlurowcy, zgrabwszy najpiękniejsze konie w Honorówce, powrócili do nas na noc. Gotowanie nagwałt kolacji, urządzenie

noclegu. Umieścili się w szkole. W świetle kopcącej lampki, porozwalani na ławkach, w czapkach, z nahajkami u pasa, z beczelnymi minami, do złudzenia podobni byli do jakichś towarzyszy Bohuna; i chyba niczem nie różniąc się od nich nazewnątrz, i psychologicznie niedaleko odbiegli od swych pierwowzorów. Takie same zwierzęta, żądne krwi i łupu, znęcające się nad swymi ofiarami ze straszmem, naiwno-dziecięcym okrucieństwem. Kiedy się tak przechwalali, jakto oni konie zabierali, a lud zgromadzony ręce do nich wyciągał, niby do zbawców; gdy mówili, jak myślą rozbić więzienie w Jampolu i politycznych więźniów wypuścić (siedzi tam jedynie 50-ciu złodziei); gdy łamanym ukraińskim, do niczego niepodobnym językiem wychwalali swe czyny, wywierali wrażenie głupich, ciemnych obłąkańców, którzy się bawią w Ukrainę. I tylko pogardę i niesmak wzbudzali, a jednocześnie wzrastało w człowieku poczucie własnej godności, tej pańskiej arystokracji ducha, pracy, tradycji i szlachetnej siły tylu pokoleń, która wsiąkła w każdą duszę polską i daje jej jakąś promiennosc i wyższosc, drażniącą wiecznie grube instynkty Rosjanina, Ukraińca, jak również junkierską zachłanność Prusaka.

Nagadawszy się z „braćmi Ukraińcami“ i życząc im dobrej nocy, wycofałam się wreszcie z tego miłego towarzystwa. Ale o śnie mowy być nie mogło; można było się spodziewać wszystkiego. Postanowiliśmy więc czuwać kolejno; ale skończyło się na tem, żeśmy całą noc wszyscy troje przesiedzieli, a Ukraińcy spali, jak zabici. Coprawda, i nas jakoś strach odleciał

zupełnie, i cały czas bawiliśmy się jak dzieci, pocieszając się wykradaniem z bufetu placuszków i kładąc pasjansa na różne intencje. Nareszcie nadszedł ranek. Jakoś spokojnie wstali, kazali sobie dać na śniadanie wina i zaczęli zbierać się do odjazdu. Jako uprzejma gospodyni, wyszłam na dziedziniec, aby ich pożegnać. Wszystko to siedziało na ślicznych koniach; każdy z beczelną fantazją wychwalał swego rumaka i wywijał nahajką. Gdym się przyglądała tym nahajkom strasznym, z kawałków grubej gumy zrobionym, jeden świsnął mi koło ucha i z dzikim uśmiechem powiedział: „to na urzędników w Jampolu“.

Jeden z bohaterów opowiadał mi, jak zabierali od Ceninowej w Kotiurzanach konie, i spytał, czy znałam jej rządcę, Szymańskiego, który tak strasznie gnębił lud nieszczęśliwy, bo było w szkodzie zajmował. Na zapytanie moje, co się z nim stało, odpowiedział ze wstrętnym uśmiechem: „a sobaki żyły“.

9-go stycznia.

Wczoraj jeździłam do Jampola. Każde położenie, każdy drobiazg przypomina tak żywo czasy hajdamaczyzny. Właściwie tu, na kresach, nic się nie zmieniło od tych dawnych, krwawych czasów. Kraj jest ten sam, szeroki, bujny, bezkresny; przyroda dzika, klimat fantastyczny, kapryśny, nie stosujący się ani do pór roku, ani do kalendarza; i ludzie też nieokiełznani, dzicy, ciemni, podobni do starych, okrutnych dzieci. I jak te bodjaki „perekotypołe“, gnane po polu wichrami

tak i oni powolni są na każdy podmuch ślepego instynktu.

Gdy wyjechałam na górę, mgła zdawała się nasuwać, jak ciężka, gruba zasłona; ze wszystkich stron widnokregu włókł się niezwykle ciepły, duszący tuman, tylko w dolinie Dniestru, w Jampolu i w Kosoucach, błyszcząły jakieś przedmioty, nie wiem, rzeki, kałuże, dachy, czy ściany, jak blachy srebrne, jaskrawo w oczy bijące wśród tego groźnego, ponurego zmroku. Z za pagórka zamajaczyły trzy bagnety, a potem wynurzyły się trzy postacie jeźdźców, dzikie sylwetki kozackie. I miałam zupełnie złudzenie, że jestem Heleną, Wołodjowskim czy Zagłobą, i w głowie szukam fortelów, aby wyjść szczęśliwie z tego spotkania. Pokazało się, że to znajomi petlurowcy, którzy już u mnie nocowali; wstąpiła we mnie fantazja Zagłoby — i minęliśmy się po rycersku nawzajem się pozdrowiwszy. Trochę dalej znów spotkałam pięciu z tej samej bandy. Lękałam się, czy nie w odwiedziny do dworu jada, ale okazało się, że pili tylko strasznie we wsi i wieczorem wrócili do Jampola. W Jampolu aż się roi od żółtych kozuchów i czerwonych baszłyków. Mieszkańcy są przerażeni i zdenerwowani.

Dostałam parę gazet z listopada, grudnia i stycznia. Po powrocie przeczytaliśmy je od deski do deski, ale prócz bolesnego chaosu, nic z nich nie mogliśmy wyciągnąć. Trudno się zorientować w tych chwytanych przypadkowo wiadomościach, w zupełnem oderwaniu od świata. Widać, że wszędzie dzieją się ważne rzeczy, ale jakie i co? W Polsce źle, socjaliści biorą górę; war-

chołów i krzykaczy pełno. Tylko opis otwarcia sejmu dzielnicowego w Poznaniu taki wzruszający, a potem triumfalny wjazd Paderewskiego z delegatami koalicji. Mam głęboką wiarę, że zdrowy, prawy duch narodu zwycięży, ale narazie strach pomyśleć, co się dzieje, i to w chwili tak ważnej, w chwili kładzenia podwalin pod odradzające się państwo, w chwili, gdy cały świat przygląda się, czyśmy dorośli do wielkiego zadania, które nas czeka. O Królowo nasza, broń kraj Twój, ocal Polskę, naród Twój, dotąd Ci wierny, uchron go od największej klęski — od przewrotnych idei, które powodują śmierć ducha. Boże, oświeć nas, umocnij, pojednaj. Tu niech się już dzieją wszelkie okropności, ale Polska nasza, ta ukochana, wymarzona Ojczyzna, niech kwitnie w pokoju i szczęściu. Niech będzie taką, jaką ją sobie każde prawe serce polskie wykołysało w snach tęsknoty.

17-go stycznia.

Ciągle jedno i to samo: szaruga, błoto nie do przebycia, niemożliwość porozumienia się ze światem. Siedzimy, jak w zawiązanym worku, w ogłupieniu i jednostajności i czasem zaczyna się wierzyć, że ta szara mgła nigdy się nie rozproszy, że ta ciężka nasza dola nigdy się nie zmieni. Jedyna różnaitość — to wizyty petlurowców, którzy wpadają prawie codziennie, napełdzą tylko strachu, ukradną coś i znikają. Zabrali mi biedną Fałę, ledwie udało mi się ją po kilku dniach odebrać wynędzniałą i kulejącą. Wynałazłam jej schronienie w starej oranżerji, i teraz, gdy jest alarm, tam

się ją odprowadza. Nocami stale strzelanina; czasem się zdaje, że tuż przed oknami, to też i śpi się jednym okiem. A rano, na dzieńdobry zawsze jakaś miła nowina: to sosny połamane, to okno wyjęte, to dobierano się do piwnicy, to kawałek muru wyrwano. Jest coś tak obrzydliwego w tem wszystkim, że nawet nie umiem określić wrażenia, jakiego doznaję, wysłuchując tych wieści. Chciałoby się na wszystko machnąć ręką, o niczem nie wiedzieć, nic nie słyszeć, ale, niestety, nie można. Więc resztkami sił trzeba coś przedsiębrać, porać się, udawać przynajmniej, że się człowiek broni i protestuje, oganiać się, jak od psów wściekłych.

Parę dni bawiła tu Marynia *). Czwooro nas się zebrało takich biedaków, krzywdzonych przez los. Ale młodość górę wzięła: śpiewaliśmy, dowodziliśmy, urządziliśmy przedstawienie kinematograficzne, jak dzieci jeździliśmy po pokoju samochodem z krzesel i, jak dzieci zaśmiewaliśmy się. — Ach, życia, ruchu, swobody, wesołości!

18-go stycznia.

Wizyty petlurowców są coraz częstsze; po kilka razy na dzień przychodzą, zawsze pijani.

Te dni zgniłe, bez słońca, ta rozpacz, beznadziejność, która resztki życia wysysa! — Tak mi strasznie żal Hanki. Żyjemy jak automaty, nic z siebie, ani z mózgu, ani z duszy wysnuć nie można. Spycha się

*) Panna Bogucka z Sewerynowki, po pogromie mieszkająca z rodziną w Jampolu.

godzinę po godzinie, dzień po dniu, aby prędzej do jakiegoś końca, ale do jakiego i kiedy?

Zamęczają mię chłopci ciągłymi prośbami o opał; dziwne to, że jeszcze przychodzą prosić. Odmawiać nie można, bo się tylko wrogów narobi, którzy i tak samowolnie pójdą rąbać; dawać wszystkim niema sposobu, trzeba więc lawirować, wykręcać się, politykować. I tak ciągle, i tak codzień! Doprawdy moje położenie jest już nie do wytrzymania. Wszyscy ziemianie siedzą sobie w miastach, ja jedna jedyna na olbrzymiej przestrzeni zostałam we dworze i muszę ten dwór prowadzić, utrzymywać wśród tych nieludzkich, nienormalnych warunków.

20-go stycznia.

Miałam dziś list od Franca z takimi dziwnymi wiadomościami, których się zupełnie nie spodziewałam: wyjeżdża do Warszawy, a właściwie już tam musi być. Z całego listu, który jest bardzo ostrożnie pisany, wiadać, że miał straszne przeżycia, z których ledwie cało wyszedł, i że teraz, ratując życie, opuszcza ten kraj. Pewna jestem, że, gdyby nie coś bardzo ważnego i groźnego, nie ruszyłby się stąd i nie porzucił wszystkiego. Oby tylko Bóg dał mu szczęśliwie na miejsce dojechać. Dziwnego doznaję wrażenia, tak mi czegoś strasznie i pusto... Trzeba będzie samej brnąć w coraz większem osamotnieniu, bo wszyscy wyjeżdżają; to prawdziwa emigracja Polaków z tego kraju. Co ja mam robić? Hankę trzeba jak najprędzej rodzicom dostawić, ale znowu jak Ojca i cały dom porzucić wobec tak

niepewnych czasów? A jak mi się bardzo, niewypowiedzianie chce wyjechać, ale właśnie dlatego boję się tego wyjazdu i zniewolić się muszę do siedzenia. Gdyby nie Hanka, stanowczobym się nie ruszyła, choćby tu zwarjować przyszło, choćby się na śmierć zamęczyć. Postanowiłyśmy z Hanką jeszcze dwa tygodnie cierpliwie czekać; może się coś wyjaśni, może się coś przełamie, jeśli nie, to wyjeżdżamy. Przecież teraz na świecie najważniejsze rzeczy się rozstrzygają; dziś rozpoczyna się kongres pokojowy w Paryżu; muszą porządek zaprowadzić i w tym kraju nieszczęśliwym. Tymczasem powracają tu zeszłoroczne bolszewickie czasy: socjalizacja ziemi, naturalnie bez wykupu, właścicielom zostawiają 30-ci dziesięcin; obliczyłam, że to właśnie stanowić będzie przestrzeń mojej biednej, ukochanej sadyby, przynajmniej to mi zostanie, jako relikwja, jako pamiątka najdroższych wspomnień. Ale z czego żyć?— Nie biorę tak bardzo do serca tych ukraińskich szelmostw i pewna jestem, że świat na takie głupstwa nie pozwoli, ale narazie może być bardzo ciężko. Gorsze jest to, co się dzieje w Polsce; ile z chaosu dziennikarskiego wyrozumieć można, walka partyjna się wzmacnia, tworzą się jakieś obrzydliwe, karykaturalne rządy.

21-go stycznia.

Wciąż to samo: grabieże, ciągłe pretensje, przykrości i nudzenie o opał. Staje się to już wkońcu komiczne. Wydają uniwersały, że ziemia „narodna”, zabierają wszystko właścicielom, a jednocześnie ten „naród” przychodzi żebrać u panów, których sam ogr-

bił. Tak już w tym nędznym ludzie łupiestwo, niewolnictwo i żebractwo są pomieszane razem.

Muszę opisać, jak przepędzamy dzień, bo tyle w tem naszym życiu jest komizmu. Rano ja daję hasło do wstawania, wołając Józię, która wpada, jak bomba, wysypując mnóstwo niesłychanych plotek, jakie zdążyła już nazbierać. Po śniadaniu Hanka i pan Bagieński idą do szkoły, a ja załatwiam różne sprawy gospodarskie, i interesy z chłopami; przyjmuję chorych, lub idę na wieś. Tymczasem Dziadunio, po odmówieniu wszystkich pacierzy, odbywa obowiązkową przechadzkę po wszystkich pokojach. Po obiedzie Hanka albo ja czytamy Dziaduniowi pocziwego Chodźkę z całych sił, jak najgłośniej, co jednak nie przeszkadza Dziaduniowi smacznie chrapać po kwadransie, a lektor-ka korzysta z tego, aby się wymknąć z pokoju. Gdy kajety szkolne są poprawione, zabieramy się do czytania Dostojewskiego, tak jakbyśmy jeszcze mało miały własnej katorgi i męki. Po podwieczorku, który pośpiesznie spożyć trzeba jeszcze przy dziennem świetle, nastaje szara godzina: pali się papierosy, trochę się gra na fortepianie, Dziadunio krąży naokoło stołu; czasem z rozpaczy się gimnastykujemy. Wreszcie wjeżdża lampa, a więc z radością zasiadamy do robót, a jedno z nas głośno czyta kochanego Sienkiewicza. To jest najmilsza chwila w dniu; ileż ukojenia i radości daje nam to czytanie. Teraz w wolnej Polsce pomnik powinni postawić temu niesłychanemu artyście i wielkiemu Polakowi.

Wszystkie nasze posiedzenia odbywają się w ja-dalnym pokoju, najcieplejszym. Dziadunio leży na ka-

napie i liczy, ile papierosów przez dzień wypalił. Ósma bije. Wchodzi Karol i ostentacyjnie zasypuje herbatę, (genjalnie przygotowaną ze skórek jabłkowych); znak to, że trzeba się zabierać ze stołu, bo czas na kolację; uciekamy więc z robotami i książkami pod piec. Wkońcu wjeżdża nieśmiertelna kaszka, obnoszona przez Karola z miną, godną co najmniej indyka lub majonezu. Po kolacji ciągnie znów do Kmicica, ale biedny Dziadunio potrzebuje się trochę wygadać, więc cierpliwie wysłuchujemy historii „o podkomorzynie“, o „panu Marszałku“, o czasach mikołajowskich i t. p. Wkońcu bije pół do dziesiątej, Dziadunio idzie spać, a my zabieramy się znów do gromienia Szwedów; z drugiego pokoju wtóruje nam głośny szept pacierzy, przerywany od czasu do czasu głuchem uderzaniem: to Dziadunio „telefonuje“ w ścianę do kredensu, aby Marjan szedł spać.

Za oknem słyhać dzikie odgłosy: ciężkie stąpania, pomrukiwanie, chrząkanie, uderzanie kijami i brzęk jakby kilofów: to stróże bezpieczeństwa, uzbrojeni przez Karola w drągi żelazne, dają znać o sobie, aby państwo byli spokojni, bo dopóki światło w pokojach się świeci, to i oni czuwają. W miarę jak dom układa się do snu, i za oknami słyhać coraz rzadsze stąpanie, aż wkońcu wszystko cichnie i milknie, a nad domem, i nad wszystkim, i nad całym światem — Bóg jedynie czuwa, najlepszy stróż.

Około 11-ej trzeba pożegnać Kmicica, Zagłobę i całe miłe towarzystwo i iść spać. Zapalamy więc małe lampeczki, i zaczyna się pochód: wśród szeregu

ciemnych pokoi posuwają się trzy postacie z bladym światłem w ręku. Powoli orszak się zmniejsza, i każdy do swojej celi się chowa.

Anuśka odprowadza mię; chciałoby się pogadać, wspominać dawne czasy, snuć plany na przyszłość, ale trzeba iść spać, aby jutro znów rozpocząć taki sam dzień, i tak zawsze jedno i to samo bez końca, bez końca...

25-go stycznia.

Tłukę się, jak ten ptak w klatce. Postanowiłyśmy z Anuśką stanowczo wyjechać 4-go lutego, aż tu zupełnie pociągi stanęły. Oszaleć można już tego stanu oczekiwania nerwy znieść nie mogą.

Utworzone są komisje, rekwirujące wszelkie zboże i nasiona. Miałam już taką wizytę: zaglądają do wszystkich kątów, zda się, z garnków chciwymi oczami wszystkoby pochłonęli. Łapówkami i najrozmaitszemi wykrętami udało mi się ocalić część pszenicy; szczęściem, że na strych nie poszli do nasion buraczanych. Ale i tak pewnie przyjdą inni.

Dziś znów była Msza św. To jedyna prawdziwa pociecha; zdaje się, że błogostawieństwo boże spływa na dom, koi, pociesza. W tej chwili ksiądz z Anuśką, z panem Bagieńskim i z całą szkółką poszli na wieś kolędować.

28-go stycznia.

Podobno na pewno są Francuzi w Wapniarce, obejmują linię kolejową. Boże mój, pojedziemy, czy nie pojedziemy?

Chodzą tu pogłoski, że od konfiskaty można ocalić majątek, przyjmując obce poddaństwo. Gdy będę w Kijowie lub Odesie, (bo niewiadomo, którądy jechać będziemy) muszę się dokładnie o tem dowiedzieć. Jak dziecko, jak szalona cieszę się tym wyjazdem.

Wczoraj do pana Bagieńskiego przyszedł jakiś miejscowy żydek z propozycją, aby mu udzielał lekcji tańca, i pytał ileby chciał wynagrodzenia za kurs miesięczny.

5-go lutego.

Jeździłyśmy z Anusią do Mohylowa. Pyszna była ta nasza wyprawa: rozbitym szarabanem, od którego nam trzy razy koło w drodze zlatywało, w obdartych futrach, wyglądałyśmy, jak żydówki, jadące na jarmark. W Mohylowie smutno i nastrój przygnębiający; panów zupełnie niema, a panie kryją się po jakichś norach i strasznie biedują. Z pałaców i dworów powypędzane, cisnąć się muszą w wilgotnych izdebkach, które od czasu do czasu zmieniać trzeba na jeszcze gorsze, aby zmylić ślad i bezpieczniej się ukryć.

Z powodu rekwizycji złota i srebra musiałam swoje srebro, które tu dałam do przechowania, przenieść i ukryć bezpieczniej. Przez ulicę trudno takie rzeczy nieść, bo zatrzymują i odbierają. Ubrałyśmy się więc w chustki i wieczorem z koszykami, naładowanemi srebrem przedelfilowałyśmy przez miasto wśród tłumów spacerującej hołoty ukraińskiej.

W Mohylowie dowiedziałyśmy się, że pociągi chodzą, więc wyjazd jest wyznaczony na sobotę. Robimy wszelkie przygotowania, ale ja nie wierzę jakoś w tę jazdę i w głębi serca pragnę, aby znów coś stało nam na drodze. Dziwnie! — Tak pragnęłam tego wyjazdu, a teraz, kiedy naprawdę zbliża się ta chwila, strach mi czegoś, strach i żal zostawiać Ojca biednego, dom, szkołę, chorych moich, służbę, słowem wszystkiego. Co właściwie jest moim obowiązkiem, czy siedzieć, czy jechać? Mam wrażenie, że beze mnie stanie się tu jakieś nieszczęście; poprostu wstyd mi wyjeżdżać. Gdyby nie Hanka, nie myślałabym teraz o wyjeździe, lecz czekała wiosny

Wczoraj miałam listy z Polski od Franca i Janiny, ale takie niewyraźne i nieciekawe. Wiem tylko tyle, że, jadąc stąd, siedzieli dwa miesiące we Lwowie z powodu walk z Ukraińcami.

Wczoraj żegnałam się ze wszystkimi w Jampolu. Byłam w szkółce, gdzie miałam przemowę do dzieci; tak mnie serdecznie dzieciaki żegnały. Boże mój, czy ja mam prawo opuszczać to wszystko? Żeby przynajmniej mieć pewność, że się prędko wróci!

7-go lutego.

Miałyśmy jutro jechać, odkładałam jednak wyjazd do niedzieli trochę z powodu śnieżycy, trochę z powodu niegotowych rzeczy, a naprawdę dlatego, aby choć o jeden dzień dłużej pozostać. Nie wiem, co mi się stało, ale jakiś niepokój, jakiś strach, jakieś niezdecydowanie mię ogarnia; zrobiłam się typową osobą

o słabym charakterze, która czeka, aby same wypadki popchnęły ją w tym lub owym kierunku. Gdyby mię kto wziął za kark i wypchnął z domu, gdyby mi przynajmniej kto szczerze i usilnie doradzał ten wyjazd! Oj, męczę się okropnie! Dziś w nocy znów obdarli resztki powozów, pomimo, że wszystko było pozamykane. Jakiemiś dziurami wciskają się jak szczury.

10-go lutego.

Pociągi stoją, bolszewicy wzięli Kijów i wraz z Chińczykami posuwają się. Francuzów nie było i niema. Może lepiej, że tu nas ta burza zaskoczyła, ale z drugiej strony taki strach o Hankę, powinnam ją odwiedzić. Niedoli końca niema; życie zbrzydło do ostatecznych granic.

Zima coraz straszniejsza: śniegi zasypują, mrozy cisną. Opał się kończy; co dalej robić, jeśli nie pozwolą rąbać? Myśl ciągle zajęta kłopotami domowymi: młyn stoi, mąki niema, krup brak; pasza się kończy. Niczego dostać nie można, wszystko trzeba zdobywać z największym wysiłkiem i trudem. Zarazy straszne panują: tyfus i hiszpanka naprzemiany. Ranki całe poświęcam chorym, odwiedzam chaty, gdzie całe rodziny leżą, i niema komu napalić, niema kto wody przynieść. Moja wizyta zawsze sprawia radość, a czasem naprawdę uda mi się pomóc i wyratować od śmierci.

Nie wiem, czy się zrobiłam taka leniwa? Chciałoby mi się uciec i daleko od domu odpocząć w ciszy i pogodzie.

15-go lutego.

Znów zupełne oderwanie od świata; głucho i złowrogo dokoła. Krążą plotki, że bolszewicy są w Wapniarce; może to jeszcze nieprawda, ale wcześniej czy później tu dojdą, a wtedy co robić? jak Hankę ratować? Tak strasznie mam głowę skłopotaną, że żadnej lepszej myśli wydobyć już nie mogę. Ciągły tylko strach: przed bolszewikami, petlurowcami, zarazami, wszami. Chorzy coraz więcej czasu mi zabierają; coraz lepiej poznaję ten nasz lud. W jednej chacie, o której wiem na pewno, że brała udział w pogromie, cała rodzina zarzekła się, że nawet nie patrzyli w stronę folwarku, pomimo że ja tej kwestji wcale nie podnosiłam i nigdy nie podnoszę. Nędzni ludzie, wstyd mi za nich! Dawno już nosiłam się z myślą urządzenia u siebie szpitala. Kiedyś omawiałam tę sprawę z tutejszym felczerem; on, aby mię silniej nakłonić do tej myśli, dodał, że wobec niepewnych czasów, ciągłych zmian rządu, dla mnie samej bezpieczniej będzie, gdy przez ten szpital zbliżę się do ludu. Jednakże nie myślę nikogo kokietować tym szpitalem. Jeżeli robię co dobrego, to poprostu z poczucia obowiązku, z litości.

18-go lutego.

Epidemja szerzy się okropnie; ani chwilki wolnej nie mam, jestem wciąż wzywana do chorych. Gdy rozjeżdżam po wsi malutkimi saniami, jednym koni-

kiem, zatrzymują mnie po drodze i ciągną do chat, abym choć popatrzyła na chorego. Pewnie ta wiara we mnie stała, że nie biorę pieniędzy; a felczerzy każą sobie porządnie płacić. Udało mi się paru ciężko chorych wyleczyć, wielkie to zadowolenie; zapomina się, że to tacy podli ludzie, żal ich, a do chorych nabiera się sympatji i przywiązania. Naturalnie, wszyscy są mi nadzwyczajnie wdzięczni, a o pogromie z oburzeniem wspominają — niewinne baranki!

Wczoraj znów była wiadomość, że Francuzi w Wapniarce; wierzyć się nie chce, ale gdyby tak było, możliwość jazdy znów się otwiera. Teraz już muszę się zdobyć na siłę i energję — wyjeżdżamy na pewno.

22-go lutego.

Naoczni świadkowie twierdzili, że widzieli Francuzów w Wapniarce i Mohylowie, że pociągi do Odesy chodzą. Znów byłyśmy zdecydowane jechać. Będąc wczoraj w Jampolu, dowiedziałam się, że to wszystko nieprawda i nikt nawet z pewnością nie wie, czy pociągi wogóle kursują. Rozpacz ogarniał! Ileż razy namnaczałyśmy już dzień wyjazdu. Bo żeby już nie było tej szarpaniny, żeby wiedzieć, że się siedzi albo jedzie! A tak dalek to już nerwów nie wystarczy.

A ci wszyscy ludzie tacy zaspani, zabłoceni, nic ich nie obchodzi. Ten wczorajszy Jampol wydał mi się jakąś rozpaczliwą, senną jamą, zalaną błotem, w której ludzie siedzą i najmniejszego nawet wysiłku nie robią, aby otrząsnąć z siebie pleśń, nudę i ślamazarność. Jakaś wschodnia powolność, coś wręcz prze-

ciwnego naturze i życiu. Wszędzie chodziłam, chcąc się czegoś dowiedzieć, ale ani na poczcie, ani w kasie skarbowej, ani w ziemstwie, ani wśród ludzi prywatnych nic mi powiedzieć nie umiano. Wszyscy siedzą ospali i ociężali, jak barany, na rzeź przeznaczone.

Jeździłam wczoraj głównie w sprawie szpitala, ażeby dostać w ziemstwie zatwierdzenie, oraz łóżka i pościel. Robią mi jeszcze trudności i dziwią się, że tak mało dają, bo tylko mieszkanie, opał i własną pracę; chcą jeszcze, żebym karmiła chorych — a przecież ja sama nie mam co jeść. Żądają więc, aby chłopci dali zobowiązanie na piśmie, że będą przynosić jedzenie dla swoich chorych. (Muszę przyznać, że dobrze znają swój lud, bo mnieby nawet na myśl nie przyszło brać na piśmie zobowiązanie, że np. matka nie zapomni o córce chorej w szpitalu, albo mąż o żonie). Chłopci nieufni boją się podpisywać na „bumadze“. A ja się poram, namawiam, podpędzam, aby to prędzej zorganizować, zupełnie tak, jakby mnie najbardziej obchodziło, by mniej ludzi na wsi umierało. Jest w tem coś pomyłonego.

24-go lutego.

Codzień jedno i to samo: jedziemy, odkładamy, oczekujemy, znów jedziemy, denerwujemy się.

Chłopci nieufnie odnoszą się do szpitala, podejrzewają, że albo ziemstwo, albo ja chcemy ich oszukać; nie mogą uwierzyć, żeby się robiło dobro dla samego dobra.

Wiosna! Rozpuściło zupełnie, błoto nie do przebycia; jakieś zgniłe, złowrogie powietrze, w którym

czuć pełzającą zarazę. Koni zdrowych nie widuje się; nawet moja biedna Fala sparszywała.

Podobno bolszewicy uderzają na Polskę. Modłę się tylko zarliwie i oburącz trzymam się krzyża, On jeden pozostał i góruje nad tym szarym odmętem podłości i niedoli, który zalał świat.

26-go lutego.

Znów kłódka od wozowni rozbita, skóra z patelni obdarta, uprząż zabrana, okna wybite. Lepiej niechby już odrazu wszystko zabrali, rozbili, rozgromili, ale nie to codzienne podkradanie się i powolne niszczenie. A zresztą, niech już sobie robią, co chcą, tylko niech ja o tem nic nie wiem. Byłam tak zdenerwowana, że cichutko wymknęłam się do ogrodu, tak, aby mnie nikt ze służby ani chłopów nie widział, i do obiadu siedziałam, obcinając i czyszcząc drzewa. Tak mi dobrze było, zapomniałam o podłościach i brudach, a towarzystwo kochanych, dobrych drzew uspokajało i koło. Ale trzeba było wrócić do rzeczywistości: sprowadzić starostę i milicję, aby poszukiwali złodziei; naturalnie, nic nie zrobią, nic nie znajdą; wzywam ich jedynie dla pozoru przyzwoitości.

3-go marca.

Szpital już otwarty. Trzy pokoje i kuchnia; na początek wszystko wygląda czysto i przyzwoicie. Mamy już paru chorych. Przypomniałam sobie, jakto przeszłego roku chcieli mię z mego domu wyrzucić, dach mi nad głową rozbierać; a teraz pod tym samym

dachem leżą ci sami ludzie słabi, niedołężni, z którymi co chcę zrobić mogę, jak z małemi dziećmi.

7-go marca.

Wczoraj jeździliśmy z Hanką na inspekcję szkółki sewerynowieckiej. Pomimo ogromnych trudności, niechęci i agitacji, jakoś ta praca oświatowa trwa i rozwija się. W Sewerynowce szkołka mieści się w rozgromionym dworze. Chłopi wypędzili właścicieli, pozabierali meble, zniszczyli ogród, a 'zato po burzy pogromowej państwo Boguccy, gdy tylko mogli znów rozporządzać swoim dworem, przedewszystkiem urządzili tam szkołę. Chłopi wdzięczni dziękują, ale jednocześnie rozmyślają, jaki państwo mają w tem interes.

Ks. Kasprzykowski *), którego widziałam w Jampolu, mówił mi, że inspektor objechał wszystkie szkoły, a teraz w Czerniowcach przygotowuje protokoły. Więc i to udało się jakoś, choć w niesłychanie ciężkich warunkach. Podobno Francuzi mają tu być pod koniec marca, ale postawili Ukrainie za warunek, aby prawo własności było wrócone. Powtarza się przeszłoroczna komedja.

Chodzą wieści, że przez Płoskirów można się teraz przedostać. Już nas te łudzące opowiadania nie wyprowadzają z równowagi. A może chęć wyjazdu osłabła pod wpływem czaru wiosny, który jeszcze bardziej przykuwa do ukochanych miejsc. Wczoraj, gdy-

*) Proboszcz z Czerniowtec, dzielny kapłan, który dotąd trwa na stanowisku.

śmy wracaty, był taki cudny wieczór: młody księżyc oświecał bezkresne, szare pola, wieńczone na horyzoncie girlandą kurhanów. Z doliny Dniestru i Murafy wznosił się opar i otulał w fantastyczne płaszcze i obłony dzikie jary, skały i nagie jeszcze drzewa. Tyle uroku i przedwiosennych, najwcześniejszych upojeń snuło się w powietrzu, i taka ta ziemia cudna, kochana, moja, bliska...

10-go marca.

Z Polski dobre wiadomości: Paderewski został prezydentem ministrów, ład i porządek wzorowy. To prawdziwa pociecha i nagroda. Jacyż oni szczęśliwi wszyscy, którzy tam są, w tej ukochanej Ojczyźnie. Mam wrażenie, że my jesteśmy jakimiś upośledzonymi dziećmi, które są tylko na mękę i walkę skazane, nigdy pociech i łaski ukochanej matki doznać nie mogą. A może jesteśmy, jak ci kresowi rycerze, którzy, niepomni nagrody, życie i trud nieśli w ofierze tu, na tych rubieżach, gdzie nigdy spokoju, nigdy pogody, nigdy normalnego życia zaznać nie można? Taki już nasz los. — Ale jakże ciężki!

16-go marca.

Słysząc strzelaninę od strony Besarabji, ale kto strzela i pogo? — Jakieś wojska zajmują Zmierzynkę i Wapniarkę, posuwają się naprzód, zostawiając za sobą wzorowy porządek. Ale nikt nie wie, co za wojska: czy bolszewickie, czy denikinowskie, czy greckie, czy francuskie? Tu się nic nie wie. I można tak całemi

latami siedzieć i nic nie wiedzieć, co się w drugim powiecie dzieje.

24-go marca.

Wciąż idą te tajemnicze wojska; są już w Mohylowie i w Czerniowcach, a nawet do Jampola kilku przyjechało, ale nikt nie wie, co to za jedni i czego chcą? Z Jampola urzędnicy pouciekali, panika, wszyscy zbałamuceni i nieprzytomni, ale niewiedomo dlaczego? Czy się trzeba bać, czy cieszyć? Na wszelki wypadek trzeba rzeczy i meble poukrywać, bo wojsko, choćby najlepsze, zawsze ma grabieżcze apetyty. Może to już ostatni akt tej tragedji?

26-go marca.

Byłyśmy w Jampolu. W dalszym ciągu nieświadomość zupełna. Idą bolszewicy; Zmierzynkę zajął Brusilow, Francuzi wycofują się z Odesy — ale naprawdę co się dzieje i co nas czeka, Bóg jeden wie. Lepiej już nie myśleć o tem, nie dowiadywać się i niczego nie pragnąć. Z zapamiętaniem pracujemy, aby jednej chwili nie mieć do zastanawiania się nad tem rozpaczliwem naszym położeniem; aby przytłumić wszelkie pragnienia, aby się nie rwać, nie szarpać, nie zrywać do lotu.

Pracy mam coraz więcej, ale to dobrze, bo nie mam czasu na nerwy.

Chaos zupełny, nikt nie wie, czyja jest ziemia, kto ma orać, kto siać. Ani rządu, ani prawa, tylko złodziejstwo się rozpanoszyło; jeden drugiego okrada, i coraz więcej band grasuje.

5-go kwietnia.

Bolszewicy idą, idą, ale ich wcale nie widać. A przecież na świecie coś się musi dziać, tylko my żyjemy w tym nieludzkim oglupieniu. Mnie już właściwie wszystko jedno. Dusza skurczyła się i zapadła w najtajniejsze głębie jestestwa. Stałam się, jak nakręcony manekin: wszystko wypełniam, o wszystkim myślę, ale sama jestem gdzieś poza tem, gdzieś daleko — sama nie wiem gdzie. Boże, żeby kto mię wyrwał z tego stanu! Tak mi jest strasznie ciężko! Żeby kto ujął się za mną, żeby kto obronił przed samą sobą, żeby kto się zaopiekował!

— — — — —
— — — — —

7-go kwietnia.

Wczoraj byliśmy w Jampolu na walnem zebraniu Pomocy Bratniej. Obrano mnie prezesem; chętnie pracować będę z tą garstką młodzieży; niewyrobite to, ale polskie, szczerze serca, pełne dobrych chęci. Początek to bardzo słaby, ale choć iskierka lepszego życia. Odpoczęłam tam, wśród nich.

10-go kwietnia.

O odbyła się Msza św. i ogólna spowiedź nasza i szkółki; dzieciaki moje kochane takie skupione i wzruszone, bo je przez dwa dni rekolekcjami kruszyłam.

Dziś jeździłam na organizatorskie posiedzenie przedstawienia, które ma się odbyć w Jampolu. Wszę-

dzie organizować, opiekować się, radzić, dopomagać, a nigdzie niema ludzi, od którychbym sama zaczerpnąć coś mogła. Co się ze mną robi! Już w niczem nie jestem podobna do dawnej siebie.

Jedna chora ofiarowała mi za wizytę 50 rs., abym oddała księdzu, by się za nią modlił, chociaż sama jest prawosławna; w trudnym byłam położeniu, jak jej to wytłumaczyć, że pieniędzy ani dla siebie, ani dla księdza nie biorę; wreszcie namówiłam ją, żeby poczekła, aż wyzdrowieje, wtedy sama ofiarę zanieśie. Ci prostaczkowie zawsze chcą mi płacić, zdaje im się, że moja praca wymaga koniecznie wynagrodzenia. Znoszą mi kury i jaja, a wczoraj dostałam pół worka buraków, bo się babina dowiedziała, że mi moje wykradziono. Wysłałam na jakiegoś kwestarza, czy żebraka.

14-go kwietnia

A więc bolszewicy są już naprawdę i zaczynają po swojemu gospodarować. W Honorówce wszystkich ograbili i znęcali się nad urzędnikami. Strach ogarnia, że i tu przyjdą. Trzeba się przygotować na wszystko.

Przyszedł dziś ^{do} mnie największy mój wróg wioskowy, Parfenij Wołk, z propozycją, ażeby mu dała kawałek ogrodu w dzierżawę. Zaczął przeproszać mię zato, że na „schodzie“ tak okropnymi słowami mię sponiewierał (bo on najwięcej na mnie napadał i na życie moje nastawał), że teraz czuje, jak źle zrobił; ale wtedy działał dla dobra ludu, dopiero zaś teraz zrozumiał, że cały ten przewrót złą drogą poszedł, że naprzód trzeba było dać ludziom oświatę, a potem

wolę. Pochwaliłam jego zbawienną zmianę poglądów i przyznałam, że oświata i kultura daje bogactwo i siłę, czego najlepszym przykładem jestem ja sama, która tyle od nich przecierpieć i wytrzymać mogłam dlatego jedynie, że mam rozum i serce, które mi każe z pobłażaniem patrzeć na krzywdy doznane i nie mścić się, choć miałam ku temu sposobność, gdy byli tu Austriacy. Na zapytanie, czy mu nie wstyd było tak samą, bezbronną kobietę i panią z domu wypędzać, odpowiedział, że robił to wszystko dla dobra ludu, a pani i tak ma pieniądze, więc niech sobie idzie, gdzie chce. „My was ne znały“ — zakończył — „naszego pana myby nie wyrzucili, bo on tu z dziada, pradziada siedział z antenatów“. Na to mnie już złość porwała! A toć ja z tego samego gniazda, z tych samych antenatów pochodzę! A znać, to wy mnie dobrze znali, bo tu już osiem lat z wami gospodaruję, a zresztą cała okolica i dalej trochę znają mnie i wiedzą, kim i jaka jestem. Na zakończenie jeszcze raz mnie przeprosił; ziemię mu, naturalnie, dałam, i rozeszliśmy się w zgodzie.

„Marto, Marto, kłopotasz się o wiele“. — Sam Bóg mówi, że nie można w kołowrotku codzienności zaprzepaszczać ducha; a ja nie mogę strząsnąć z siebie tych wszystkich spraw i kłopotów życiowych, które, jak roje natrętnych owadów, wysysają ze mnie ostatnią krew. Ach, wyjechać, wyjechać! To już nie pragnienie, to szalona tęsknota, jakaś rozpaczliwa nostalgia za ży-

ciem, za ludźmi... Tak, wyjechać! — A tu nawet do Mohylowa ruszyć się trudno.

16-go kwietnia.

Jampol pod grozą bolszewików, którzy urządzają ciągłe rekwizycje i pół miliona kontrybucji nałożyli na miasto.

Powtarza się przeszłoroczna komedia z ziemią: chłopi wszystko zabierają, a mnie z łaski swej zostawiają ogród i 40-ci morgów pola. Dałam 3 pudy pszenicy „chabara“ członkowi ziemskiej komisji, z tem, aby powstrzymał chłopskie apetyty w razie, gdyby chcieli mi odebrać i ten nieszczęśliwy kawałeczek; chociaż zdaje się, że to nie grozi, bo nie mają czem orać i czem zasiewać. Pilnuję, aby w ogrodzie każda grządka i każdy trawnik był zasadzony, bo możemy być pozbawieni wszelkich produktów żywnościowych.

Byłam na posiedzeniu Bratniaka; myślimy o obchodzie Trzeciego Maja.

19-go kwietnia.

Do Mohylowa nie pojechałyśmy na święta, choć miałyśmy to w projekcie; strach dom zostawiać i puszcząć się w drogę. Bolszewicy coraz gorsze gwałty czynią. Na drodze między Halzbijówką a Gruszką zabili Hańkową*). W Mohylowie strzelanina, nie puszczają do miasta. Niemija i Serebrja**) oblegają mia-

*) Żona byłego komisarza ukraińskiego.

**) Wsie najbliższe Mohylowa.

sto. Bóg ludziom rozum odjął, — może już będzie jakiś koniec. Żydki przebakują, że wojska polskie są w Kijowie.

20-go kwietnia.

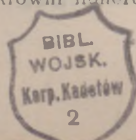
Pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych; nic się nie zmienia w naszej niewoli, i męka trwa dalej. Dziś raniutko jeździliśmy na rezurekcję. Cudny, wiosenny ranek, wszystko uśmiechnięte i radosne! Wśród świeżej zieleni oziminy czernieje coś na polu—to psy dojadają człowieka, którego bolszewicy zabili, i który parę dni leżał na hałzbijowieckim polu. Dawniej, gdyby się czytało podobny opis, wstrząsnąłby grozą; teraz mniej więcej obojętnem okiem patrzyliśmy na tę straszną, nieludzką okropność.

Podobno w Mohylowie Łotysze i Chińczycy buntują się przeciw bolszewikom. Naumyślnie zapisuję te wszystkie bajdy polityczne, aby, jeżeli przeżyję, mieć na piśmie dokument ludzkiej głupoty — no i swojej własnej.

22-go kwietnia.

Był tu Olszewski *) i przywiózł mnóstwo wiadomości z Odesy. Podobno w Polsce porządek, dobrobyt, raj. Z Niemcami doszło do porozumienia: oddali nam Śląsk, Poznańskie i Gdańsk. Czechów pobiliśmy. Wojska nasze wypierają bolszewików z Litwy. Żebyż to wszystko było prawdą! — Sprzymierzeńcy oddają

*) Urzędnik z cukrowni honorowieckiej.



Polsce całą Ukrainę, aż po Dniepr; wojska polskie powinny już być w Kijowie. Takie to wszystko cudne i takie bajkowe, że mimowoli snują się na ten temat marzenia: w maju przyjdą wojska polskie, tu ich witać będziemy, tu przyjmować! Nasze wojska zwycięskie, przynoszące pokój i zgodę! Boże, daj dożyć tej chwili!

Ale tymczasem żyjemy tem życiem obrzydliwym, pod terrorem band rozbójniczych, które wszechwładnie zapanowały. I nikt nie śmie w najmniejszej rzeczy sprzeciwić się chamskiemu złodziejstwu.

25-go kwietnia.

Przyjechało do wsi 25-ciu bolszewików, zwołują „schoď“; niewiadomo co będzie, bo chociaż chłopci są dla mnie dobrze usposobieni, ale na tem polegać nie można.

26-go kwietnia.

W Jampolu zupełny terror: aresztowania, rekwizycje, złodziejstwa. Widziałam, jak wywożono mnóstwo rzeczy z mieszkania, którego właścicieli nie było w domu. Jedna pani, pozostająca w dobrych stosunkach z bolszewikami, zapewniała, że mi nic nie grozi, że ogólnie między żydami i bolszewikami mam opinię wyjątkowej burżujki, która chorych leczy i sama pracuje. Oj, prawda, że pracuje, ale pomimo tego wkrótce bez grosza przy duszy zostanie. Kasa skarbową absolutnie nic nie wypłaca, dochodów żadnych nie mam. Z przerażeniem myślę, co będzie, gdy się za-

pasy zupełnie wyczerpią. Chwilowo ratuję się sprzedając nasion buraczanych, wywiezionych z Gruszki, ale trzeba to robić bardzo ostrożnie i potajemnie przed bolszewikami.

Chciałabym urządzić obchód 3-go maja; może da się uzyskać pozwolenie. Wczoraj naradzałam się w tej sprawie w Jampolu.

2-go maja.

Położenie moje zaczyna być coraz cięższe i nie-normalniejsze: właścicielką już przecie nie jestem, bo zostawili mi tylko dom i ogrody, a wydatki nic się nie zmniejszyły; dwór prowadzę taki, jak i dawniej, a ilości służby zmniejszyć nie mogę; bo tem niezmienniem dawnego trybu w tym dworze, jakgdyby nic się nie działo, tem właśnie nieustępowaniem, zdaje mi się, sugestjonuję otoczenie, które przyzwyczają się i wierzy, że panienska, tak jak dawniej, powinna w swoim dworze mieszkać. Ale jakimże wysiłkiem okupuję to pozorne utrzymywanie się na powierzchni otaczających mnie mętów. Skąd wziąć pieniędzy, jak nastarczyć, jak wydołać? Już mi ta codzienna twarda troska siadła na duszy, jak zmora, i ssie krew do ostatka.

Dziś w nocy burza zwała dwa ogromne drzewa; runęły, gruchocąc swych towarzyszy i otaczające krzewy; ten zakątek ogrodu wygląda teraz, jak cmentarzysko, a mnie się płakać chce, jak nad kimś drogim, zmarłym. — Uwzięło się na mnie wszystko!

Przez parę dni ukrywał się tu p. Żukowski przed chłopami koczkowickimi, którzy, z bandytą Kryworuczkim na czele, plądrują po okolicy i mordują inteligencję.

5-go maja.

Uzyskaliśmy pozwolenie i odbył się wieczór 3-go maja, ale w tak fantastycznych i nieprawdopodobnych warunkach, że muszę to dokładnie opisać. Ażeby zjednać sobie „towarzyszów“, w przeddzień uroczystości urządziliśmy próbę jeneralną, bezpłatną dla „krasnoarmiejców“; ale oni, znudzeni i oburzeni na bohaterów Bałuckiego, którzy, nie znając nowej etyki i form towarzyskich, po dawnemu, bogobośnie ubrani w tuzurki, z szacunkiem całowali panie w rękę, w czasie przedstawienia wyszli ostentacyjnie, ku wielkiemu zmieszaniu nieszczęśliwych aktorów. Na drugi dzień przed przedstawieniem zwrócił naszą uwagę niezwykły ruch w mieście. W klubie zebrała się cała nasza trupa, ale miny rzadkie i niepewne; dowiadujemy się, że bolszewicy urządzają rewizje i to przeważnie tylko w domach polskich. Niewiadomo co do wieczora będzie? — Ano, trudno, bilety rozprzedane, trzeba grać. Co chwila ktoś z klubu wybiega, bo się dowiaduje, że u niego w domu odbywa się rewizja, nieraz po raz drugi i trzeci powtarzana. Nastrój okropny: wszyscy podenerwowani i przerażeni; wielu tchórzów odbiera nam ducha i resztki energji, ale pomimo to nie rezygnujemy i gotowi jesteśmy grać. Publiczność powoli zaczyna się schodzić; aktorzy się

charakteryzują, czas zaczynać. — Nagle pokazuje się, że pierwszego amanta niema! Po długich poszukiwaniach dowiadujemy się, że w czasie rewizji, z powodu znalezionych u niego nabojów, został on aresztowany i zawieszony do więzienia. Rozpacz nas ogarnia, a na aktorach skóra cierpie. Panowie udają się do komendantów, naczelników, komisarzy z prośbą o wypuszczenie biednego chłopca. Wreszcie, po złożeniu kaucji i poręczeniu przez burmistrza, pożyczają nam biedną ofiarę na czas przedstawienia, z tem zastrzeżeniem, aby zaraz po ukończeniu swych obowiązków aktorskich wracał do więzienia. Dobrze i to! Więc grać będziemy! Sala się napętnia; tłumy bolszewickiej arystokracji oblegają bufet, a korzystając z zamieszania, objadają się na kredyt, z wielką krzywdą naszych szkół, na które dochód jest przeznaczony. Przy drzwiach wejściowych zaczyna robić się coraz tłoczniej: żołnierze pchają się i nie chcą zrozumieć, że to tylko wczoraj było za darmo, a dziś z biletami trzeba wchodzić; staczamy u drzwi prawdziwe walki, a dopomaga nam przywoity żydek Cukermann. Wkońcu rady sobie dać nie możemy; więc w parze z Cukermannem idziemy prosić pana komendanta, zwyczajnego draba, pogromczyka, rozpartego w pierwszym rzędzie, aby był łaskaw dać żołnierzy, którzyby pilnowali porządku. Pan komendant jest trochę „wstawiony“, więc bardzo uprzejmy. Natychmiast zjawia się dwóch kawalerzystów, którzy bagnetami zagradzają wejście i puszczają tylko z biletami. Parę razy omal nie przyszło do wielkiej awantury, bo żołnierze tłumem całym szturmowali do drzwi, a komendant wziął

sobie za punkt honoru zadość uczynić naszej prośbie; wreszcie jednak trzeba było część natrętów wpuścić dla świętego spokoju. Nareszcie zaczynamy. Miałam ogromną treść za biednych aktorów, zdenerwowanych i przerażonych, ale gdzie tam! — grali doskonale, śmiało, sprawnie. A chociaż tchórze rozpuszczają i za kulisami, i na widowni plotki, że nas wszystkich aresztować będą, że rzuca bomby, młodzież na scenie nie traci fantazji, a my na sali zabawiamy, jak możemy, bolszewików w czasie antraktów. Jeden z panów częstuje i upaja najgorszego szpicla; panny otaczają komendanta, ja częstuję go słodyczami i najuprzejmiejszymi słówkami; alkoholu wolę mu narazie nie dawać, już i tak wyparowało mu chwilowo ze łba bolszewickie okrucieństwo — jest zupełnie rozanielony: coraz czulszym wzrokiem spogląda na jedną panienkę, aż w końcu klepie mnie po ramieniu i mówi: „skazitie etoj czornieńkoj, cztoby priszła ko mnie“. W pierwszej chwili zgłupiałam, ale potem z najlepszą miną przyprowadziłam ową upragnioną panienkę, i w dalszym ciągu zabawialiśmy rozkosznego komendanta.

Przedstawienie skończone; brawa i okrzyki zachwyty; nawet „towariszczom“ podobało się tym razem. Teraz wychodzi na scenę Cukermann i prosi publiczność, aby wyszła, bo salę trzeba przewietrzyć i zamieść do tańca. I za chwilę następuje zmiana położenia: na scenę chroni się publiczność, która chce uniknąć ryzyka tańca, a na sali zaczyna się prawdziwe przedstawienie. Wielki świat jampolski puszcza się w tany, przeważnie Rosjanie, bo Polacy pomaleń-

ku się wycofują. Komendant nie odstępował swojej „czorniekiej“ i wytańcowuje z nią ciągle; zupełnie jakiś dziki Bohun, któremu się Laszka spodobała. Następnie krasnoarmiejcy tańczą „dżoga“. Z początku małe kółko, potem coraz większe; potem wielkie koło dzieli się na mniejsze, chłop koło chłop, jedni w czapkach baranich, drudzy z rozpiętymi koszulami; z rewolwerami u pasa, z taśmami naboju przez plecy, trzymając się za ramiona, tańczą wciąż wkoło dziki jakiś opętańczy taniec. Kurz podnosi się z podłogi i tumanem przyćmiewa dogasające lampy. Gdzie niegdzie błysnie tylko karabin lub rząd białych zębów z szeroko otwartych ust. A nad tem wszystkim, jak Mefisto z ogoloną głową i z odstającymi uszami, okrakiem siedząc na suflerskiej budce, Cukermann, żyd, ex-legionista, dyrygujący całą tą bandą!

Ubawiłyśmy się doskonale; naprawdę wieczór ten miał charakter nie rzeczywistości, ale jakiejś halucynacji, jakiegoś majaku, śnionego na tle dzisiejszych czasów i warunków. O 3-ciej wyniosłyśmy się i wśród straszego błota i ciemności dotarłyśmy do domu pani Boguckiej, gdzieśmy nocowały. Bolszewicy zapewniali, że w drodze nie spotka nas nic złego, i że patrole nie będą zaczepiały; rzeczywiście, bez przygód dotarłyśmy na miejsce. Panowie wrócili dopiero o 7-ej, zmęczeni i zziębnięci; skończyło się na tem, że krasnoarmiejcy zasadzili panów do mycia naczyń i podłogi, ledwie z trudnością udało im się wykręcić, obiecując gorliwym „towariszczom“, że potem przyjdą robić porządki.

6-go maja.

Leżałam przeziębiona, gdy naraz wpadł Karol blady, jak ściana, z wiadomością, że bolszewicy przyjechali robić rewizję. W jednej sekundzie byłam ubrana. Pokazało się, że mają rekwirować zboże, ale, zamiast iść do spichlerza, stoją koło domu i patrzą w okna na piętrze. Tam właśnie miałam schowane resztki pszenicy. Tyle tylko miałam czasu, aby posłać służącego, by odsunął szafę, którą były drzwi dla niepoznaki zabarykadowane; bolszewicy rzucili się na schody, ale ja już ich ze spokojną miną witałam i prowadziłam, tłumacząc, że dlatego tak oryginalny skład obrałam na zboże, ażeby je ukryć przed bandytami, ale zupełnie nie przed nimi. Uwierzyli, czy nie, mniejsza o to, ale pozory były uratowane. Względnie grzecznie się zachowali; upewniali mię, że tylko pszenicę zapiszą, a rewizji nigdzie robić nie będą. Tak, wielka to pociecha, ale ja znów zostanę bez ziarnka zboża. Okazało się, że Petryk nie wytrzymał i, gdy mu zagrozili, że go będą bili, zdradził, gdzie pszenica schowana.

8-go maja.

Przez dwa dni trwał pszeniczny dramat. Chłopi postanowili mię bronić i, gdy zjawili się bolszewicy i kazali dawać furmanki dla zabrania pszenicy, chłopi podwód nie dali. Potem przyszli do mnie z radą, abym zaraz jechała do Jampola i tam u wyższych władz prosiła o zwolnienie z rekwizycji. Dali mi od siebie świadectwo, że utrzymuję szpital, więc mam

wielkie ciężary i wydatki. Pomimo fatalnej pogody trzeba było jechać. Chodziłam od kancelarji do kancelarji; wkońcu jakiś młokos, komisarz rolnictwa, raczył mię przyjąć. Po długich targach i naleganiach zostawił mi 30 pudów. Chłopi, oburzeni taką grabieżą, bardzo poczciwie chcieli mnie bronić i przed nosem bolszewików między siebie rozebrać pszenicę, aby mi później oddać, ale bardzo słusznie nie zrobili tego, gdyż rozzłoszczeni bolszewicy mogliby mnie jeszcze gorzej szykanować. Dziś wywieźli tę niešťczęsną pszenicę. Chłopi naprawdę i szczerze mi współczują.

13-go maja.

Cała awantura! Halźbijówka przepełniona, istne obozowisko.

W sobotę wieczorem usłyszeliśmy nagle szaloną strzelaninę: Rumuni bombardują Jampol. Do północy huk był tak silny, że szyby w oknach drżały. Nad ranem zaczęli napływać uciekinierzy i w przeciagu paru godzin dwór i oficyny przepełnione były biedakami, którzy, przerażeni, piechotą, jak kto stał, po całonocnem siedzeniu w piwnicach, uciekli z Jampola. Co się działo przez tych kilka dni, trudno opisać. W oficynach, na korytarzach, w stajniach, w kuchni, w szkole całe rodziny z dobytkiem się schroniły. We dworze we wszystkich pokojach, na łózkach, na kanapach i krzesłach rozlokowali się do spania. Wszystko to trzeba było karmić, ponieważ zaś nie wystarczało naczynia, więc kolejno na trzy zmiany do

stołu zasiadali. Wieś przepelniona, na placach porozbijane namioty. Pełno tyfusowych, błagających o ratunek, a ja się rozerwać nie mogę; szpital i chorzy na wsi, i dom pełen; kłopotów — wyżej uszu. Po trzech dniach kanonada ucichła, i zaczęły krążyć najrozmaitsze wieści: że w Sorokach są polskie wojska, że lada chwila trzeba się ich spodziewać, że Francuzi idą od strony Odesy. Bolszewicy znów rozpuszczają wiadomości, że ogromne ich posiłki nadchodzą do Jampola.

Najgorsza i najbardziej męcząca była niedziela: obchodziłam swoich chorych na wsi. Byłam właśnie u córki Hańki, tego zartatego ukraińca, który rok temu, jako komisarz, ledwie raczył mnie przyjąć w swej kancelarji; teraz biedak w nędzy, żonę mu bolszewicy zabili, a jemu grozi ciągle areszt. Więc ten sam Hańko uprzedził mnie, abym wracała do domu, bo przyjechało jakieś wojsko; pędzę więc co sił i zastaję spacerujących już po pokojach bolszewików, ale tuż za nimi komitet wiejski i paru poważnych gospodarzy, którzy teraz stałe się mną opiekują i biorą w obronę. Bolszewicy przyjechali robić rewizję z powodu jakiegoś rządowego sukna, które jeden z uciekinierów miał tu skryć. Naturalnie jest to kłamstwo, które służy jedynie za pozór, aby móc nawiedzić dwór i samym coś ukraść. Ale im się nie udało, bo chłopci krok w krok za nimi chodzili. Poznawszy komendanta Kalińczuka, naszego przyjaciela z przedstawienia 3 maja, zwróciłam się do niego, z największą uprzejmością zapewniając, jak mi jest miło widzieć go w swoim domu. On łaskawie oznajmił, że mu się

tu bardzo podoba i że będzie często przyjeżdżał; z największym zapałem wyraziłam radość z podobnej obietnicy, korzystając zaś z chwili, gdy towarzysze jego nieco się oddalili, poprosiłam, aby przyjeżdżał, ale rewizji więcej nie robił; upewnił, że nie będzie, co najwyżej przyśle tylko po łóżko dla siebie, fotel bujający i fortepian, na którym w tej chwili wybębniął jednym palcem niesłychane fałsze. Najadłszy się, wkońcu wyjechali. Narazie ubyły nam z domu tylko nożyczki i jakieś drobiazgi z biurka.

Tego samego dnia odbywało się wesele mego szpitalnego felczera. Po obiedzie musiałam im urządzić przyjęcie we dworze. Była to wielka atrakcja dla wsi i uciekinierów jampolskich; ciekawy tłum, jak lawa, rzucił się na dziedziniec, łamiąc krzewy, tratując kwiaty; służba i ja musieliśmy staczać formalne bitwy, aby uratować nieszczęśliwe rośliny.

Wśród tego natłoku i zamętu dzieci uczą się w ogrodzie, aby nie przerywać nauk; odprawiamy nabożeństwa majowe, by się nie wykolejać i podtrzymywać ducha. A mnie mózg wysycha, czem nakarmić tę całą rzeszę? — Zapasy spiżarniane się wyczerpują, pieniędzy nie mam, a zresztą na wsi za drogie pieniądze nic dostać nie można. Ratują mnie moi pacjenci, którzy przez wdzięczność znoszą mi produkty. Od handlarki wieprzy, której dzieci wyratowałam z tyfusu, dostałam całą szynkę! Zarabiam więc nietylko na „chleb powszedni“, ale i na smakołyki.

Wczoraj znów zaczęła się strzelanina. Co chwila ktoś z Jampola przychodzi i przynosi nowiny, ale

niewyraźne. Rumuni wciąż strzelają, lecz Dniestru nie przechodzą; bolszewikom pomoc nie przybywa; wszystko w zawieszeniu, i może ta zabawa trwać tak jeszcze parę tygodni.

Wczoraj zjawił się tu Oparin, bolszewicki komisarz oświaty, najporządniejszy z nich wszystkich. Krytykuje bolszewizm, a sam się podaje za mienszewika. Przyszedł, aby się ze mną porozumieć w sprawie punktu żywnościowego dla uciekinierów. Dowiedziawszy się o wielkiej ilości chorych, postanowił urządzić punkt sanitarny w połączeniu z moim barakiem. Zarządzać punktem ma dr. Rohoziński, Rosjanin, który się tu ukrywa. Ponieważ jestem główną zarządzającą szpitalem, więc i lekarz wchodzi pod mój zarząd. Już wolałabym uniknąć tego zaszczytu i odsunąć się od wszystkiego.

Wczoraj wieczorem poszliśmy w stronę Jampola na górę, ażeby widzieć pękające szrapnele. Nastrój cudny i groźny: huk wystrzałów, odbijających się kilkakrotnem echem po jarach, błysk ognia, rozświetlający czarną, ponurą równinę, a tam na dole, w ogrodzie — odurzająca woń bżów i tyle śpiewających słowików...

14-go maja.

Dziś w nocy przyjeżdżali bolszewicy zabierać podwody od chłopów; naturalnie, nie omieszkali też odwiedzić i dworu. Najwyraźniej wynoszą się, ale czy uciekają, czy to tylko manewr?

17-go maja.

I znowu wszystko stanęło na martwym punkcie. Zapanowała głucha cisza. Rumuni postawili za warunek, aby bolszewicy do 15-go b. m. odstąpili o 50 wiorst od granicy. Jampol ewakuuje się do Tomaszpola, a my zostaniemy w zawieszeniu, bez żadnej władzy.

W Wapniarce chłopci powstali przeciw komunistom i rzną żydów; pewnie to samo będzie w Dzygówce, dokąd w czasie bombardowania schronili się wszyscy żydzi jampolscy.

Gromadka moich uciekinierów stopniowo się zmniejsza, zostają tylko chorzy i niedołęzni.

21-go maja.

Zimno straszne, rankami przymrozki, a w dzień deszcz leje. Wszystko się uwzięło na nas.

Położenie wciąż niepewne: bolszewicy nibyto się wynoszą, a jednocześnie sypią okopy w Jampolu.

Wczoraj i dziś odbywał się egzamin w szkółce. Cóż za porównanie z przeszłym rokiem: smutno, zimno, beznadziejnie! Boże! słońca dla duszy i ciał!

24-go maja.

Wojska bolszewickie wyszły z Jampola, pozostały tylko urzędy. Ogłoszono nowy pobór rekruta. Coś się więc przygotowuje, ale co? Czy my się kiedy prawdy dowiemy? Dziś dr. Macenko przysłał mi do szpitala chorego bolszewika. I poco to zrobił? Chyba na złość, bo przecież w szpitalu jampolskim jest

dość miejsca i opieki. Gdym zbliżyła się do jego łóżka, aby go zapisać i zbadać, wręczył mi ogromny pugilares, wypchany pieniędzmi mikołajewskimi, z prośbą, abym wzięła go na przechowanie. — Z obrzydzeniem odskoczyłam, bo mi się zdawało, że zobaczyłam krew na banknotach. Długo musiałam mu tłumaczyć, że pieniędzy na przechowanie nie wezmę, że najlepiej będzie, gdy odda towarzyszowi, który go przywiózł, ale on upierał się przy swoim. Nie wiem, czy chciał mnie potem oskarżyć, że mu część pieniędzy skradłam, czy może właśnie te dzikie dusze najwięcej mają zaufania i szacunku dla swoich ofiar? Naturalnie pieniędzy nie wzięłam.

26-go maja.

Wczoraj urządziliśmy popis, który odbył się bardzo uroczyście i wynagrodził smutny nastrój egzaminów. Dzieciaki dostały świadectwa i nagrody; deklamowały i śpiewały. Na zakończenie miałam przemowę, szczególnie do tych, które tego roku ukończyły szkołę. Choć otrzymały nagrody i pochwały, zalewały się łzami, tak im żal było rozstawać się na zawsze ze szkołą; a i ja byłam wzruszona, patrząc na ten pierwszy zastęp, nad którym pracowałam od A. B. C.; teraz śmiało, zwłaszcza kilka starszych dziewczynek, mogłam przedstawić, jako kandydatki na nauczycielki do szkół początkowych.

Dziś zjawił się we wsi Łampiga, drab ukraiński; agitował, aby rznąć żydów. Wśląd za nim przyje-

chało kilku bolszewików, poszukując go; ale, zdaje się, chłopci go ukryli.

Bolszewicy rozkazali cerkwie zapieczętować, popa ostrzyć, papiery cerkiewne zanieść do Jampola, wszelkich usług religijnych zaniechać. Chłopi oburzeni nie chcą słuchać.

27-go maja.

Łampiga zaniepokoił ogromnie bolszewików. Wczoraj zjechał tu cały personel bolszewicki ze wszystkimi komendantami i komisarzami, ażeby go wytropić. Znów byliśmy w strachu, czy nie nawiedzą dworu; biedny doktor Rohoziński parę godzin spacerował wśród najgęstszych zarośli ogrodu, aby przypadkiem nie wpaść im pod ręce. Ale jakoś skończyło się tylko na zgromadzeniu, na którym przemawiali dygnitarze bolszewicy, tłumacząc chłopom co to jest komuna; że pop i cerkiew nie są potrzebne, bo komuna jest bogiem i szczęściem ludzkości. Potem rozpytywali o mnie, aż dziwno, że dworu nie zaczepili. Nie czują się oni już tutaj tak bardzo pewni. A Łampiga ukrywa się podobno w Halźbijówce i zbiera chłopów przeciw bolszewikom; dobrze przynajmniej, że drab na draba idzie. Przybiegł dziś do mnie jeden chłop, z gorącą i natarczywą prośbą o pożyczanie mu puda pszenicy. Jakoś bardzo tajemniczo się wyrażał, że za parę dni będą zmiany, i że on koniecznie potrzebuje upiec na jutro „pałanyce“. Zdaje się, że moja pszenica poszła na uczczenie Łampigi; a niech je na zdrowie i niech tłucze bolszewików.

„Podobno“ w Jampolu utworzył się spisek z milicją na czele, żeby zrobić zamach stanu. Ktoś przekradł się z Sorok i opowiadał, że Rumunja „podobno“ nie myśli wcale występować; czeka, żeby tu Kołczak przyszedł; (no, to jeszcze z rok poczeka, bo on dopiero jest w Moskwie). „Podobno“ nasze wojska biją bolszewików pod Szepetówką, ma być też bitwa pod Płoskirowem. Wszystko tylko „podobno i podobno“ — wstrętne, ogłupiające! Ach, mieć choć jedną wiadomość taką, której na pewno można uwierzyć; a tu tylko plotki, chorobliwe baśni przerażonych, podnieconych mózgów.

Dziś byłam w ziemstwie, w sprawie szpitala. Lekarstw nie dają, pensyj felczerom i służbie nie płacą, a zamknąć nie pozwalają. — I rób, co chcesz! Gmach ziemstwa zniszczony pociskami, brudny, gruzami zawalony. Ledwie się dostałam do oddziału sanitarnego; tam teraz rej wodzi dr. Macenko. Jakże się ludzie szybko zmieniają! Rok temu, gdy leczył mnie na tyfus, był najporządniejszym człowiekiem, godnym zaufania i szacunku; teraz prawdziwy bolszewik z przekonania, a nawet formy zewnętrzne przejął od swych zwierzchników: gburowaty i szorstki, kazał mi na korytarzu czekać bardzo długo, nim raczył wreszcie napisać kwit na parę proszków dla szpitala. Typowe niewolnictwo moskiewskie: oburzał się na bolszewików, ale, gdy poczuł, że oni rządy w ręce wzięli, schylił pokornie kark, uznając w nowem „prawicielstwie“ boga, pana i łaskawcę.

29-go maja.

W Jampolu chodzą wieści, że buntują chłopów przeciw żydom. To samo mówili o dr. Rohozińskim, a ponieważ on teraz u mnie mieszka, a i Łampiga tu się zjawiał, wynika więc jasno, że należę do spisku przeciw bolszewikom. Na żydach skóra cierpie. A, niech się już dzieje, co chce.

30-go maja.

Mój dom stał się przytuliskiem i schronieniem dla wszelkiego rodzaju rozbitków, nędzy i chorób. Dziś zjechały dwie rodziny z całą furą dzieciaków: Ukraińcy, którzy się boją prześladowania bolszewickiego w Jampolu. Ciekawe, jak wszyscy garną się tu, do Hałzbijówki, z przeświadczeniem i ufnością, że ich tu nic złego nie spotka; a przecież jesteśmy tak samo bezbronni, jak i gdzie indziej. Wieczorem zjawił się p. Żukowski; uciekł z Jampola przed chłopami kaczkowieckimi, którzy z „czerezwyczajką“ chcieli go arestować. W Mohylowie dzieje się jeszcze gorzej: morderstwa i znęcania się okropne.

Zjawił się w Jampolu oficer z armji denikinowskiej, Polak, przystany dla zbadania położenia. Oby tylko uszedł rąk bolszewickich! Upewnia, że Kołczak i Denikin za półtora miesiąca tu będą; że zaprowadzą porządek wzorowy, płacą tylko złotem i srebrem; rozrzucają z aeroplanów bułki z ceną 3 kop. Mają przywrócić monarchję w Rosji.

Chłopi coraz bardziej się buntują przeciw bolszewikom; Winnica opasana powstańcami; całe wsie się uzbrajają.

W Jampolu Kryworuczka, ostatni szubrawiec, mianowany komendantem na czas przyjmowania rekrutów.

5-go czerwca.

W sobotę odbyłam egzamin w Jampolu, a w niedzielę popis. To takie wielkie zadowolenie, że, pomimo niestęchanie trudnych warunków, doprowadziło się rok szkolny do końca! Na popisie musiałam pałać mówkę i jakoś poruszyłam audytorjum, bo mówiłam z zapałem i przekonaniem, głównie zachęcając rodziców, aby oddawali dzieci do polskich szkół, bo przecież zbliża się czas wyzwolenia: będziemy mieli opiekę potężnego państwa polskiego; język polski zyska uznanie, a szkoły zdobędą prawa. Mówiłam, że już bliiska chwila, kiedy matka Ojczyzna przyjdzie do nas i upomni się o krzywdy swych dzieci. Ale czyż naprawdę przyjdzie ta chwila? — można zwątpić o wszystkim. Gdyśmy jechały na popis, na drodze strzelano do nas z rumuńskiej strony; kula trafiła w słup telegraficzny. — I jakże tu nie wierzyć w Opatrzność? Śmiałyśmy się, że nas Rumuni wzięli za bolszewicką kuchnię polową, bo istotnie nasz wehikuł niesamowicie wygląda. W niskim, obdartem pudle Hanka i ja — to kocioł; ztyłu na malutkiem, wysokim siedzeniu chłopiec — to komin; gdy się ten nasz zaprząg ukazał na trakcie, nie dziwota, że rumuńskim żołnierzom wydał się groźną machiną wojenną.

Przedwczoraj jeździliśmy na egzamin do Sewerynowki. Wracając, zmokliśmy do nitki; prawdziwa bieda zaczyna się do nas dobierać: zdychający koń, sznurki zamiast lejców, my pod straszną ulewą w cieniach i mocno zniszczonych „okryjbidach“ — niewesoło wyglądałyśmy. Ale wszystko to głupstwo, byle tylko mieć nadzieję, że będzie lepiej, że będziemy w Polsce. Tymczasem zaś położenie nic się nie zmienia; wciąż niepewność i nieświadomość. Co parę dni powtarza się bombardowanie Jampola; fala uciekinierów napływa, to znów wraca zbałamucona, przestraszona. Jampolanie uważają mój dom i ogród za swoją własność i daleko lepiej i pewniej się tu czują, niż ja sama. Pogoda wściekła, chorych coraz więcej; brak mydła i soli; nieznośnie, niemożliwie źle. Trzeba być w dalszym ciągu lekarzem, siostrą miłosierdzia, hotelarką, a coraz rzadziej panią domu.

10-go czerwca.

Jeździłam z p. Bagieńskim do Honorówki na egzamin. Przeważnie są tam dzieci urzędników fabrycznych, a więc mniej ciekawe. Zato szkółka ładna i porządna; nauczycielka bardzo dbała. Chciałabym ją wziąć do siebie na przyszły rok.

W kancelarji fabrycznej spotkałam Cukermanna i Oparina, którzy tylko co wrócili z Winnicy i przywieźli wiadomości, że Płoskirów i Kamieniec zajęte przez petlurowców. Cukermann pod sekretem zapewnia, że to Polacy idą z Niemcami. — W jaki sposób razem? Pojęcia nie mam.

Z Honorówki wyjechaliśmy o zmroku, koń nam zaraz ustał; wichura i deszcz szalony, parasol, nb. pożyczony, złamał się i tylko nagiemmi drutami najeżył się ku ulewie, która, drwiąc sobie ze wszystkiego, smagała nas nielitościwie; wyglądaliśmy, jak para żydków gałganiarzy, którzy z bogatemi trofeami podróżują na nowe śmietnisko. Ale, nie tracąc fantazji, głosem i batem zachęcając naszą szkapę, dowlekliśmy się w nocy do domu. Te eskapady nic nie psują humoru, tylko fatalnie wpływają na zdrowie. Mam wrażenie, że już docna jestem wyczerpana, że już więcej nie znajdę sił, że to są już ostatnie resztki, ale gdzie tam! zawsze się jeszcze znajdzie trochę paliwa, i motor, choć skrzypiąc, musi iść dalej.

Wszystkim się zdaje, że leczę chorych z zamiłowania; oj, myślą się bardzool... Robię to tylko z poczucia obowiązku i z litości, i to jest może cała moja zasługa. Gdyby mi życie pozwoliło robić to, com ukochała — hej, miły Bożel...

•
12-go czerwca.

Wczoraj jeździłam z Hanką na egzamin do Kaczówki. Te nasze wyprawy zawsze z przygodami się odbywają. Szkapę nam zakulała, a straszna ulewa prażyła całą drogę, nie mając litości nad naszą nędzą. Wlokłyśmy się noga za nogą, szczęściem, wysłano nam z domu na ratunek chłopskie konie. Gdyśmy ruszyły nowym zaprzęgiem, wydało nam się, że skrzydlate pegazy z szaloną szybkością unoszą nas w boską podróż — wszystko się ocenia przez porównanie.

Ale wróćmy do szkółki. Choć stawiało się mało dzieci, egzamin wypadł doskonale. Nauczycielka świetna i dzielna, że w takich warunkach wytrzymuje: odosobniona zupełnie, wśród samych chłopów, znanych bandytów; nawet katolicy tu niechętni, nie chcą jej karmić, więc i warunki materialne ma okropne, a pomimo to nie traci fantazji; dzieci doskonale uczy, a z chłopami się wyklóca. W szkole czysto, porządek, a ona sama jest wesola i pełna zapału. Ten duch polski tyle ma żywotności, zginąć nie może! Na dzikich pustkowiach i wśród ruin zakłada nowe życie, które wkrótce bujnym kwieciem wytryska ku słońcu. A naprawdę pracuje się tu wśród ruin. Kączkówka takie straszne robi wrażenie. Ten śliczny, stary dwór rozwalony zupełnie; olbrzymie, ciosowe kolumny potrzaskane czoła wryły w ziemię, zrzucone ze schodów, które wieki całe kamiennym podnóżkiem stopy ich podtrzymywały. Teraz gmach cały, jak po trzęsieniu ziemi: jedno straszne rumowisko. Wewnątrz powyszarpowane posadzki i sufity resztkami wiszących tynków skarżą się, jak okropne, wieczne otwarte rany. Tylko kawki gnieźdzą się w tem pustkowiu i smutnem, nieznośnem krakaniem dodają grozy i ponurości. Chodziłam po tych ruinach i, przypominając sobie, jak u staruszków *) bywałam, w którym pokoju na pogawędkę siadywaliśmy. — Ogród zapuszczony, a w sadzawce przed dworem baba prała brudne szmaty i rozwieszała je na szpalerach niegdyś strzyżonych.

*) Pp. Rakowscy.

14-go czerwca.

Od paru dni krążą uporczywe pogłoski, że zbliżają się Polacy z petlurowcami; są już podobno w Mohyłowiu. Wczoraj i dziś słyszeć w tamtej stronie wielką kanonadę — to nasi biją bolszewików! Wierzyć w to trudno, a jednak niepodobna nie wierzyć; człowiek się czepia tej nadziei, jak deski zbawienia. Mój Boże miłosierny! Żebyż to było prawdą! Polacy tutaj, jako zwycięzcy, ustanawiający porządek, silny rząd, którego wszyscy słyszeć muszą! Skończy się nasza poniewierka. Przychodzą polskie wojska cudne, zwycięskie. Zajeżdżają do Halźbijówki, a wśród szeregów widzę moich najbliższych; nasi wybawcy, opiekunowie, siła męska, której tak bardzo nam potrzeba! A może sam Haller się zjawi? Krążą już pogłoski, że on idzie. Jakie to byłoby cudne, żeby tu drugi raz zawitał! Wtedy, jako tułacz, ścigany i prześladowany, teraz jako zbawca i zwycięzca. I znowu byłby tu sztab, polska komenda, polskie obyczaje, polski duch! Boże, Boże, — sny, marzenia — a jednak ja się od nich opędzić nie mogę: wśród szarzyzny zajęć codziennych, wśród myśli, skąd dostać soli, siczki i t. p., zjawiają mi się obrazy barwnych, cudnych wojsk naszych, a wśród grających w słońcu proporczyków migają znajome, drogie, kochane twarze. — Może to halucynacje tonącego, który w ostatniej chwili ma widzenie cudnego raj, lub — w pustyni zbłąkanego przedśmiertna wizja zbawczej oazy z życiodajnym źródłem. — Bądź jak bądź coś ostatecznego musi nastąpić, albo nasza śmierć, albo wybawienie.

17-go czerwca.

Prawdy nie można się dowiedzieć o tych tajemniczych nadchodzących wojskach. Strzały, które było słyhać w Mohylowie, to podobno odgłosy walki bolszewików z chłopami, którzy powstają, ośrodek zaś tego ruchu jest w Gruszce. Ktoś z Winnicy przywiózł wiadomości, że Polacy mają zająć Wołyń i część Podola, tylko po Boh, a reszta ma być okupowana przez Francuzów i Anglików. Byłaby w tem dla nas gorzka ironja. Wpadł tu na chwilkę ksiądz, przerażony, że jest na liście bolszewickiej; podobno zapisany jest też p. Żukowski i wielu innych, których w razie cofania się bolszewicy zabiorą, jako zakładników. W Winnicy czerwony terror. Wyrobiłam sobie w Jampolu „bumagę“, że jestem pracującą w „zdrow-oddziale“, jako zarządzająca barakiem; zawsze takie świadectwo maskuje trochę moje burżujstwo. Dostałam też przepustkę do Mohylova, pod pozorem zakupienia lekarstw do szpitala. Chciałabym się tam dostać koniecznie, chociaż mi wszyscy odradzają, że droga niebezpieczna, i niewiadomo co mogę zastać w Mohylowie.

20-go czerwca.

Od paru dni zajęte jesteśmy zbiorem czereśni; ja z dziewczynkami na drzewie zrywamy, a Hanka w białym fartuchu, w białej chusteczce, z wagami w ręku, sprzedaje śliczne, różowo - bursztynowe czereśnie. Takie miłe zajęcia; bawimy się przytem świetnie w kupcowe; ale nie żartem się cieszę, że ten han-

delek zasili trochę moją rozpaczliwie pustą kabzę. Prowadzimy teraz życie pierwotne: o 5-tej z rana wstajemy, i na bosaka cały dzień praca w ogrodzie. To nam daje siły, spokój i równowagę.

21-go czerwca.

Wszystkie nasze nadzieje i oczekiwania na nic: Polaków nigdzie niema, a te alarmy spowodowały bandy. Francuzów i Anglików ani słyhu; Denikin i Kołczak też gdzieś przycichli, a zaraza bolszewicka rozłazi się coraz bardziej. W Mohylowie i w Winnicy Chińczycy w wojsku bolszewickiem z zamiłowaniem dokonywają egzekucyj nad „burżujami“. Panowie z Jampola, będący na liście bolszewickiej, chronią się wszyscy tutaj; przy najmniejszym alarmie, dajemy im sygnały, aby się chowali. Najczęściej ogrody chłopskie służą za ukrycie.

23-go czerwca.

Zupełnie tak, jak w zimie: to idą, to nie idą te jakieś tajemnicze wojska; to już są tuż blisko, to znów za górami. Z szalonej radości wpada się znów w bezdenną otchłań rozpacz; i tak ciągle, codzień, prawie co godzina. Nie widzę możności żyć już tak dalej. Warunki coraz cięższe, chleb dochodzi do cen bajecznych, a w oczach ludzkich czyta się chciwość i nienasyceenie. Pieniądze żadnej wartości nie mają; istnieje jedynie handel zamienny; za jeden funt soli płaci się dwa i pół puda kukurydzy. Krawcy i szewcy przyjmują robotę tylko za mąkę lub ziarno.

29-go czerwca.

Jeździłam do Mohylowa jednym konikiem, pożyczonym w Honorówce, maleńkim wózeckiem, naładowanym mąką, chlebem i słoniną. Szczęściem, zastałam ich całych i na miejscu. Stasia tylko i dzieciaki mizerne i chude, poprostu zawsze głodne. Biedne dzieciaki, jak się dowiedziały, że przyjechałam, aby je zabrać do Halzbijówki, radość była szalona, ale, niestety, krótkotrwała. Pod wieczór powstał w mieście alarm, i w nocy bolszewicy uciekli. Szczęście niestychane! Z godziny na godzinę oczekiwano wejścia wojsk (ale jakich?). Tymczasem pod wieczór bolszewicy znowu wrócili. Miasto się pocieszało, że nie mają gdzie uciekać, bo są okrążeni. I zaczęły się sypać orgje wiadomości; co godzina, niemal co minuta coś nowego: Polacy są już w Sulatyckiej *) — to wcale nie Polacy, tylko bandy petlurowskie; tor kolejowy popsuty, ależ nie! — Francuzi się zbliżają na opancerzonym pociągu; to Czechosłowacy są już na dworcu; w Jampolu Rumuni przeszli Dniestr; w Bronicy krążą bandy chłopskie. I tak wciąż wkółko, ludzie przednerwowani, zgnębieni wierzą wszystkiemu; łatwo przechodzą od rozpaczki do szalonej radości. Słychać ciągle strzały i tu, i tam, ale kto idzie i gdzie, i poco, niewiadomo. Zdaje się, że jakiś dur spadł na ludzi i opętał wszystkich, że szatan zaklął ten nieszczęsny kąt i zrobił sobie niesamowitą igraszkę z ludzkiego strachu, głodu, nędzy i okrucieństwa. Stasia

*) Ostatnia stacja kolejowa przed Mohylowem.

już była zdecydowana jechać, ale, gdy się zaczęły te strachy i alarmy, zabrakło jej odwagi. Mnie także chcieli prawie przemocą zatrzymać, abym poczekała parę dni na tych legendarnych Polaków, bym nie jechała na Bronicę, prosto w paszczę rozhukanego chłopstwa. Ale jakoś zdrowy rozsądek mnie nie opuścił; raniutko, przy pomocy Frasyny zaprzęgam konia, głowę zawiązałam kosynką na znak mej sanitarnej neutralności i, przybrawszy spokojną, obojętną minę, ruszyłam. Nic mi się nie stało, zupełnie spokojnie dojechałam do domu. Coprawda, gdyby mi kto parę lat temu zaproponował taką jazdę: samiutka, bez furmana, rozbitą taradajką czterdzieści wiorst wśród bolszewików i petlurowców, trochębym się zdziwiła. Teraz się człowiek nie zastanowi nad takimi drobiazgami. A śpieszyłam się do domu, bo przez te dwa dni mogło się Bóg wie co stać w moim uciekińskim pensjonacie.

Z powodu ostatnich alarmów znów przybyło mi niespodziewanych gości. Jakieś figury, których zupełnie nie znam, zjawiają się, ten na obiad, ów na kolację, tamten na nocleg, jeden na krótko, drugi na dłużej. Patrząc na tych ludzi, doznaję wrażenia, że to wszystko kandydaci na warjatów, a ja razem z nimi. Panowie, którzy się tu ukrywają, przeważnie chcą się przemycić na tamtą stronę; wynędzniałe to, wychudzone i zdenerwowane do najwyższego stopnia. Ucieszyłam się, spotkawszy w Mohylowie Tadzia Kosso-budzkiego; biedak, cały ten czas bolszewicki przemęczył się w Połtawszczyźnie, gdzie go aresztowano i chciano

rozstrzelać. Przedostał się tu jedynie poto, aby przez Dniestr uciekać do Rumunji. Już raz w Jarudze *) próbował, ale omal go bolszewicy nie złapali; dziś ma się przemycać w Mohylowie, niech mu Bóg dopomoże. Prosiłam go, żeby tam wszystkim naszym opowiedział, co się z nami dzieje, i żeby nas na miłość boską wyciągnęli z tego piekła.

3-go lipca.

Przyjechała Stasia z dziewczynkami; dzieci uszczęśliwione ze wsi. Mój Boże, co to za radość, że mogę im dać dach i pomoc. Dom mam przepelniony; musiałam niektórym moim lokatorom przypomnieć, że bombardowanie jest skończone, i moja pszenica też się kończy; okropnie to, niewypowiedzianie przykre, ale musiałam, bo wkrótce nie będę miała kawałka chleba dla Ojca i swoich. Wczoraj jeździłam na cmentarz, żeby uporządkować i kwiaty posadzić; zajechaliśmy z koniem aż do samego grobu; widocznie zaniepokoiło to Rumunów, bo świsnęła nam kula koło uszu. Rzuciliśmy się na ziemię, a przeczekawszy jakiś czas, zabraliśmy się do roboty. Ale Petryk był tak przerażony, tak mu się ręce trzęsły, że go odprawiłam do domu, a ukrywszy konia głębiej w trawie, swoje dalej pracowałam. Jeszcze było słyhać strzały, ale na mnie już żadnego wrażenia nie robiły; przecież Bóg i zmarli moi czuwali nade mną. Siedziałam tam ze trzy godziny; tak dobrze, tak cudownie było: koń się paś,

*) Miasteczko nad Dniestrem, niedaleko Mohylowa.

zaden furman, ani lokaj nie czekał i nie denerwował swoją obecnością. W niemej rozmowie ze zmarłymi czerpałam siły i spokój, wśród odurzającej woni ziół, które bogatym kobiercem pokryły cały cmentarz, że w nim toną mogiły i krzyże; i mieni się fioletem, karminem szafirowo-szmaragdowy, złotem przetykany płaszcz, który sam Bóg rzucił na prochy umarłych, by wśród ciszy i woni śniły o lepszym świecie. — Ale trzeba było wracać do rzeczywistości; trzeba było jechać do Jampola i dążyć ku domowi. Oj, a ta rzeczywistość taka obrzydliwa, taka ciężka! Koń, którego mi bolszewicy zamienili, karmiony tylko trawą, ustał mi na drodze, i musiałam cały czas wśród straszego upału iść piechotą i ciągnąć za uzdę nieszczęśliwe stworzenie. Na obdartym wózku trzęsła się konewka, ryskał*) i sapa**), a ja wracałam do domu jak prawdziwa wyrobница.

5-go lipca.

Niewiadome wojska zbliżają się; Mohylów, Jaruga, Czerniowce zajęte. Popłoch wśród bolszewików. Dziś mają w Jampolu rozstrzelać wiele ofiar.

6-go lipca.

W Jampolu moc aresztowanych, trzy osoby rozstrzelane. Znow Halcbijówka napełniła się zbiegami: w ogrodzie snuje się Hańko brudny, obdarty; dalej oficer

*) Łopata, okuta żelazem; szpadel (gw.). **) Graca, motyka (gw.).

petlurowski boso, z sapą na ramieniu, dalej jeszcze jakiś jegomość we wstrętnym, dziurawym szynelu. Wszystko to w przebraniach uciekało z Jampola; całą noc nie spali, paru przesiedziało na ganku, a Hańko z oficerem na strychu, na sianku przespali się doskonale. Dziś już bolszewików w mieście niema, a całe przedstawicielstwo ukraińskie powróciło do Jampola, i ma ująć rządy w swoje ręce. Można to nazwać „przewrotem halzbijowieckim“, gdyż wszyscy wybitniejsi jampolanie, którzy teraz stanęli u steru, całymi tygodniami ukrywali się u mnie.

7-go lipca.

Inteligencja wiejska urządziła przedstawienie amatorskie. Przed samym wieczorem przybiegli do mnie organizatorowie, zrozpaczeni, że w ostatniej chwili chłopci nie chcieli im dać szkoły na przedstawienie, z obawy, że ją zniszczą. Skończyło się na tem, że im pozwoliłam grać na ganku. Wystawili „Natałkę Połtawkę“. Aktorami byli: felczer, djacek, djakówny i jeszcze paru „hramotnych“ chłopców ze wsi. Grali, naturalnie, bardzo średnio, ale wyglądali malowniczo, pomimo strasznej ciasnoty i iście szekspirowskich dekoracyj, które się składały z porozwieszanych brezentów, na tle których kawałek papierowej ściany naśladował chatę, a kawałek wystrzępionej rogoży strzechę. Najlepsze było oświetlenie: baby i chłopcy po obu stronach kulis trzymali zapalone świece w taki sposób, że aktor zacząć mógł głową o wyciągniętą rękę; nieraz cały żywy lichtarz wyłaził na scenę, ku ogólnej radości. Wśród

rozpoczętej akcji przebiegali scenę chłopcy, niosący akcesorja, potrzebne za kulisami, co również wywoływało zachwyty i głośne brawa. Na ławkach, ustawionych przed gankiem, tłoczyło się mnóstwo widzów, wielu specjalnie przybyłych z Jampola, wielu uciekinierów, którzy jeszcze nie śmieli pokazać się w mieście, chociaż bolszewicy już wyszli, i oczekiwano petlurowców. A więc „chwila dziwnie osobliwa“: polityczny przewrót, a tu sielskie przedstawienie dla ludu, w którym koniecznie usiłują obudzić patriotyzm ukraiński, on zaś, niestety, nic nie rozumie i nie chce, prócz „ziemi, woli — no, i samohonki“*). Sami ci niešťczęśliwi pionierzy oświaty skarżyli mi się, że się z nich chłopcy śmieją, że im „nijakich spektakłów“ nie trzeba, że dziadkowie nie czytali, to i oni bez książek się obejdą.

Wszystko byłoby się odbyło bardzo pięknie, gdyby nie to, że mi wydeptali wszystkie kwiaty, a wino koło ganku obdarte doszczętnie.

9-go lipca.

Dostałam przez żydka wezwanie, abym się stała na brzeg Dniestru, gdyż ze strony rumuńskiej ktoś chce ze mną rozmawiać. Ucieszyłyśmy się szalenie: nareszcie styczność ze światem!

Z brzegu Dniestru zobaczyłam na tamtej stronie gromadkę ludzi, a gdy dałam znak chustką, wysunął się jeden naprzód; poznałam p. Krajewskiego, zaczął on z całego gardła krzyczeć przez wodę; drżałam, aby

*) Wódka.

Na ostatniej placówce.

każde słowo posłyszeć, aby się jak najwięcej dowiedzieć. Rzuciłam przez rzekę mnóstwo zapytań, i tu przynajmniej mój postawiony głos miał pole do popisu. Z krótkiej rozmowy, gdyż Rumuni długo przez rzekę flirtować nie pozwalali, nb. w języku rosyjskim, dowiedziałam się, że przedewszystkiem w Polsce jest dobrze, a następnie, że Franc przyjechał do Sorok, aby nas stąd wydostać. Obecnie jest w Bukareszcie i wyrabia dla nas pozwolenie przejazdu przez Rumunję. Co za szalone szczęście! — A jednak gdy się zbliża chwila stanowcza, opuszcza mię wszelka energia. Jak Ojca biednego zostawić? Pięć lat nie wyjeżdżałam stąd i poprostu nie wyobrażałam sobie rozstania z temi kątami.

11-go lipca.

Znów awantura! W nocy przyszło trzech panów. Uciekli, gdyż bolszewicy wrócili do miasta. Cały dzień spokojnie minął, dopiero pod wieczór przyszło jeszcze paru zbiegów, a raniutko doktor z wiadomością, że bolszewicy są już w mieście. Co chwila zaczęły się sypać coraz trwożliwsze wiadomości, aż wkońcu gruchnęło, że bolszewicy są już w Halźbijówce i kogoś zaaresztowali; jednocześnie przysłała bratowa doktora boso, przebrana za kucharkę, błagając, aby w tej chwili wyjeżdżali, gdyż straszne rzeczy dzieją się w Jampolu. W jednej chwili wyprawiłam wszystkich panów na Szańkow*) i kazałam nająć na wsi

*) Winnica za wsią.

konie dla wywiezienia ich. W ogromnym pośpiechu trzeba było zaopatrzyć biedaków w żywność, pieniądze i jakie takie dokumenty. Ponieważ koni długo nie można było znaleźć, poszliśmy więc jeszcze odwiedzić naszych wygnańców i dodać im trochę chleba i tytoniu. Obraz nadzwyczaj romantyczny: wśród pni olbrzymich osik snują się szare postaci w płaszczach i szynelach z podniesionymi kołnierzami; do nich podbiegają, jak duchy, panie w białych chusteczkach i fartuchach, dając na drogę przestrogi i ostatnie zapasy pakując po kieszeniach; a moja osoba w szalonym pośpiechu nieustannie pędząca na koniec sadu, gdzie z flegmą niczem niezachwianą chłop zaprzęga konie. Nareszcie wszystko gotowe. Wyjechali — chwała Bogu!

12-go lipca.

Niewiadomo co za jedni i skąd się wzięli ci bolszewicy; dziś zabrali z Halzbijówki dużo podwód, może znów myślą uciekać. Poprostu bandy bolszewickie i petlurowskie nawzajem jedną drugą gonią i wypędzają. Żadnych wojsk regularnych niema i żadnego porządku prędko spodziewać się nie można. Nadzieja na tak krótko błysnęła, i znów pogrążeni jesteśmy w mrokach.

13-go lipca.

Przybył do Jampola oddział marynarzy; grabią domy, aresztują, rozstrzeliwują; z inteligencji trzydziestu zabitych, między nimi znajomi. Tu, we wsi

wszyscy zwolennicy Petlury pochowali się i czekają tylko przyścia wojsk ukraińskich, aby sprawić rzeź żydom. Podobno Łampoga wpływ przepłynął Dniestr i przez Rumunję dostał się do Mohylowa; inni mówią, że Mohylów w rękach bolszewickich. Dlaczego Rumuni teraz nie strzelają i nie bombardują Jampola? — Jakaś okrutna płatanina i zagadkowość; to tylko wiadomo, że ludzie na ludzi polują, że nieszczęśliwe ofiary chowają się, uciekają, jak wypłoszone zajęce, a te bestje wyławiają ich, chciwie krwi ludzkiej, rozpasane. Lada chwila można się ich tu spodziewać, bo jak się załatwią z Jampolem, to tu mogą znaleźć najwięcej burzujów. Aż dziwno, że dotąd ich niema. I jeżeli odsiecz nie przyjdzie, na pewno nas ten los nie minie. Co robić? — Nic przedsiębrać nie można. Trzeba się zdać na Miłosierdzie boskie. — Co ten biedny Franc na tamtym brzegu robi?

14-go lipca.

Bolszewicy są we wsi; rozjeżdżają na wszystkie strony; zataczają działa na górze przeciw petlurowcom, którzy idą z Mohylowa. Spodziewać się trzeba najgorszych rzeczy.

17-go lipca.

Strzały z kulomiotów słychać dzień i noc, podobno petlurowcy tłuką bolszewików w Dzygówce. Doznaję prawdziwej rozkoszy, słysząc ten suchy, miarowy głos, jakgdyby się perełki toczyły. Prawdziwa to ulga dla nerwów; zupełnie jak w czasie parnoty

burza się nagle rozhula i pioruny wałą, a za każdym uderzeniem lżej piersiom oddychać.

18-go lipca.

Dziś wpadł tu oddział bolszewicki, a właściwie banda; kazali sobie dać jeść, dopytywali się, kto mieszka, ale jacyś niepewni i zdenerwowani. Zdaje się, że naprawdę ze wszystkich stron są okrażeni.

Pomimo tych wszystkich alarmów prowadzimy życie regularne: od wczesnego ranka pracujemy w ogrodzie; co niedziela odprawiamy nabożeństwo na ganku, bo do Jampola dostać się nie można; zresztą ksiądz się też gdzieś ukrywa. Po nabożeństwie czytujemy z dziećmi głośno. Te obowiązkowe zajęcia utrzymują nas jako tako w spokoju.

20-go lipca.

Lubię teraz niedzielę, zupełnie jak szewc. Śpi się dłużej (o ile bolszewicy dadzą), potem się człowiek pięknie uczesze i czystą suknię włoży. Rozumiem teraz doskonale publiczność niedzielną.

Wczoraj mieliśmy list od naszych uciekinierów. Siedzą w Mohyłowiu, biedują i niepokoją się o nas, bo tam straszne wieści krążą o Jampolu. Z polityki tak samo nic nie wiedzą, jak i my. Człowiek, który przyniósł ten list, leśniczy gruszyński, musiał się bocznymi drogami przekradać, aby się nie spotkać z bolszewikami lub petlurowcami, bo jedni i drudzy nie wzbudzają zaufania, nawet u chłopów.

22-go lipca.

Wczoraj wieczorem od bardzo, bardzo dawna pierwszy raz spacerowałam spokojnie po ogrodzie, tak jak to ongi bywało, dla samej przyjemności spaceru, dla nacieszenia się każdym drzewem i tem skupieniem i nastrojem — hej, rozkosz to wielka, na którą nie mam czasu sobie pozwalać.

Przed chwilą wrócili nasi zbiegowie. Bolszewików już niema, ale położenie wciąż jest niewyraźne; niema końca i wybawienia, a potrzeba wybawienia nagwałt!

Wioskowa inteligencja ukraińska, czyli synowie chłopscy, uczniowie z gimnazjum, przychodzą teraz do mnie na pogawędki naukowe, pożyczam im książki, tłumaczę wiele rzeczy, jednego z nich uczę po angielsku.

24-go lipca.

Wczoraj wieczorem zabrali mi, a właściwie ukradli petlurowcy Falę; robiłam starania, aby ją wydobyć, ale zdaje się nadaremno. Tak mi żal biednej mojej, kochanej wierzchówki! Co ja się na niej najeździłam — i to za dobrych, szczęśliwych czasów.

Boże, żeby można wyjechać! Zdaje się, żebym się ani chwili nie namyślała. Jestem umęczona i wyczerpana do ostatka.

25-go lipca.

Dziś przyniesiono list od Adama, który jest także w Sorokach. Obaj z Francem już trzy tygodnie

starają się o pozwolenie przejazdu dla nas, i oczekują odpowiedniej na ten przejazd chwili. Adam pisze, aby się przygotowywać, gdyż lada dzień będzie można jechać. O Boże, jakże ja Ojca i wszystko w niepewności zostawię? Taki mię strach ogarniał. Niechże się tu co stanie, tobym sobie całe życie nie darowała; — a tu jeszcze niejedno stać się może. Sama nie wiem co robić. — Zostać — a może nie będzie można się ruszyć całą zimę — na to naprawdę sił i nerwów nie wystarczy. Jechać — i zamęczać się niepokojem, że może nieobecnością swoją ściągnę nieszczęście na ten dom? Stoję na rozdrożu i tylko wierzę, że Bóg natchnie mnie dobrą myślą.

26-go lipca.

Bądź zdrow, holenderski śledziu! Już nie mam poco dręczyć się po hamletowsku: jechać czy nie jechać? Zbudziła nas straszna strzelanina, zdawało się, tuż nad głową. To bolszewicy z halzbijowieckiej góry ostrzeliwali petlurowców, którzy bohatercko uciekali z Jampola. Jampol znów w rękach bolszewików, w Halzbijówce jest ich pełno.

28-go lipca.

Wczoraj odbyła się wielka feta z powodu imienin Hanki. Przyszła cała szkółka, która odśpiewała piękne powinszowanie. Zeszło się też dużo dzieci uciekinierskich. Od moich lokatorów pożyczyłam gramofon, i na dziedzińcu zaczęły się tańce. Podwieczorek był wspaniały, gdyż nawet występowało kakao,

znalezione w czeluściach starej, spiżarnianej szafy. Az do wieczora trwały tańce i gry najrozmaitsze. Tak ładnie wyglądało to olbrzymie koło dzieciaków, a wśród nich my i cała służba. Wszyscy się rozochocili: stara klucznica z ogrodnikiem uwijała się w kotka i myszkę; Marjan uradowany na wyprzódki gonił się ze mną do mety; Frasya uszczęśliwiona, że jej „lis koło drogi“ nabił pleców; Hanka, umykająca wśród swych uczniów od gęstych razów pytki. Słowem, po demokratycznemu, a jednak wiało z tego rozsmianego dziedzińca starą tradycją umarłych dworków. Chyba nigdzie już takie popołudnia się nie odbywają. Nic nam nie przeszkadzało i radości nie psuło, że dookoła są bolszewicy, że wojna, że czerwony terror, że lada chwila grozić nam może rewizja, areszt, lub coś w tym rodzaju.

Dziś znów p. Żukowski po całonocnem wędrowaniu po jarach, przyszedł na dalsze chowanie się tutaj.

7-go sierpnia.

Wczoraj wróciliśmy z naszej nadzwyczajnej wyprawy do Mohylowa. Jechaliśmy przez Gruszkę, ażeby porozumieć się z chłopami co do zbiorów. Gdy się znalazłam na dziedzińcu gruszańskim, serce jak zwykle, ścisnęło się okropnym bólem. Ten kochany dom, witający nas pustką wybitych, ośleptych okien; podzięcałe glicynje i róże bezwładnie zwisają wzdłuż obdartych murów, a żywopłoty powyrastały w wysoką, zwichrzoną gąszcz. W pierwszej chwili łzy okropnego żalu cisnęły mi się do oczu, ale potem przyszło

dziwne jakieś, niewytłumaczone ukojenie: patrząc się na tę pustkę i głuszę, miałam uczucie, że to tylko chwilowe złudzenie i że tak, jak w teatrze dekoracja ruin, przesunie się, dając miejsce dawnemu, jasnemu, bujnemu życiu. Wrażenie to tak silnie mnie opanowało, że już nie widziałam realnej pustki i zniszczenia, a dawna, kochana Gruszka ze wszystkimi swymi mieszkańcami uśmiechała się jak przed laty. — Ale złudzenie się rozwiązać musiało wkońcu, gdy zaczęli schodzić się chłopcy, i trzeba było z nimi sprawę zbiorów omówić. Kwestja bardzo drażliwa i śliska, gdyż wobec tylu przewrotów w ciągu roku ani chłopcy, ani ja dobrze nie wiedzieliśmy, co do kogo należy. Postanowiłam iść prostą drogą. Z całą więc stanowczością oznajmiłam, że opierając się na przeszłorocznej umowie, gdy oddawała ziemię na wspólną pod posiew, żądam teraz mojej części. Objeżdżaliśmy pola, oglądając żniwa i każdemu gospodarzowi z osobna zapowiadając, aby mi sumiennie należną część przywiózł. Chłopcy pozornie się godzili, ale ostateczne postanowienie mieli mi oznajmić przez delegatów w Mohyłowiu.

Bardzo późno dobrnęliśmy do Mohyłowa, gdzie przez dwa dni zajęte byliśmy porządkowaniem rzeczy, które mam w najrozmaitszych miejscach pochowane. Trochę naładowałam na wóz, którym przyjechaliśmy, i odesłałam do domu, a sami powozikiem, który jeszcze tu ocalał, i końmi p. Jaroszyńskiej znów przez Gruszkę wracaliśmy do domu. W Mohyłowiu dowiedziałam się, że według prawa petlurowskiego obywatelom nic się nie należy z tegorocznych zbiorów.

rów; trzeba więc było spuścić z tonu i z chłopami rozmawiać dyplomatycznie. Ostatecznie stanęło na tem, że mi mają wrócić tylko nasienie, ale i co do tego nie mam wielkiej nadziei. Wszędzie w okolicy ani ziarenka nie chcą oddawać właścicielom, więc byłoby nadzwyczajne, gdyby gruszenie okazali się uczciwsi od innych. Po długich rozmowach z chłopami, zakończonych bardzo przyjaźnie i zgodnie, wyjechaliśmy nareszcie o 5-tej. Biedne konie, na bruku mohylowskim zagłodzone, odrazu za bramą ustały i wlokły się noga za nogą; nadobitek złego zaczął padać deszcz. Podnieśliśmy obdartą budę, a biedny p. Żukowski, który był furmanem, musiał iść piechotą i ciągnąć za uzdy zdychające szkapy, bo o własnej sile iść nie chciały. Wlekliśmy się więc tak wśród błota i ciemności, bo noc już zapadła, kradnąc snopki z pola, aby pokrzepić nasze rumaki, ale nie na wiele to się zdało. Chcieliśmy nocować w Michałowieckim lesie, zorientowaliśmy się jednak, że ranek w niczem nie poprawi naszego położenia, konie sił nie nabiorą, na to trzebaby czekać parę tygodni, więc lepiej sunąć dalej. Po drodze spotkana podwodę chcieliśmy zatrzymać i prosić o pożyczenie koni, ale chłop, spojrzawszy na nasz dziwny wehikuł, obarczony paczkami i pakunkami, w ciemnościach przybierający kształty fantastyczne, gadać z nami nie chcieli i uciekli co sił, biorąc nas pewnie za bolszewików lub innych rabusiów. Nie przypuszczali nawet, żeby „pany“ śmiały włóczyć się w powozie po trakcie, nocą. Choć położenie było rozpaczliwe, bo błoto coraz większe, a nocne

mroki coraz gęstsze, nie traciliśmy humoru, uszczęśliwieni, że nareszcie ktoś się nas przestraszył; i takiej fantazji nabraliśmy, że byliśmy gotowi stawiać czoło bandzie petlurowskiej lub bolszewickiej, których spotkanie groziło nam co chwila. Ale właściwie prócz fantazji nic nam innego nie pozostawało, bo o żadnej rejteradzie i schronieniu mowy być nie mogło. Po ujechaniu paru kroków musieliśmy przystawać na pół godziny; wtedy natychmiast zapadaliśmy wszyscy w drzemkę, wyczerpani beznadziejnym zachęcaniem naszych rumaków do biegu. Wkońcu pod lasem Bielańskim konie nam zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Po długiej naradzie postanowiliśmy, aby p. Żukowski wędrował piechotą do domu, który już był niedaleko, i przysłał nam konie; a my zostałyśmy na straży dobytku pod lasem, słynnym z napadów, z perspektywą spotkania bolszewików lub równie miłych petlurowców. Ale jakoś nie przyszło nam na myśl bać się. Drzemałyśmy, tonąc w głębokiej ciszy nocy; deszcz przestał padać, gwiazdy wyjrzały, mrugając ku nam przyjaźnie — powoli ich lśniące spojrzenia zaczęły blednąć; ptaszki leśne, budząc się ze snu, nawoływały się, a zimna, bujna rosa pokryła nas wilgotnym płaszczem. Czarne mroki szarzały, roztapiały się w świtanii. Z jaką radością powitałyśmy słońce, które olbrzymie wytoczyło się z poza lasu i zaczęło ogrzewać ziemię i nas drżące pod obfitemi rosami.

Wreszcie pod lasem ukazało się dwóch jeźdźców, to Marjan i Wańka przybywali z końmi. Wyprężono chabety, i prędko ruszyliśmy do domu. Ach, co to

za rozkosz, gdy konie nas ciągną, a nie odwrotnie!.. Przyjechawszy nad hałzbijowiecką górę, oniemiałyśmy z zachwytu. Cała dolina zasnuta była kłębamii tumanów, i tylko czuby drzew wystawały z tego morza mgły, kontrastowo czarne, sterczące, jak granitowe rafy. Z niewidzialnych chat, zatopionych w mgle, wily się wgórę słupy dymów, niby olbrzymie strusie pióra, chwiejące się nad cudnem, perłowem morzem. Ten widok był dostateczną nagrodą za zmęczenie i przykrości tej naszej podróży.

9-go sierpnia.

Wzbawienie się zbliża! Byłam w Jampolu u komendanta petlurowskiego (bardzo przyzwoity człowiek, aż dziwnie, że tacy w armii ukraińskiej się znajdują), który codzień jeździ na stronę rumuńską; dałam mu list do naszych panów, obiecał przywieźć odpowiedź. Podobno w tych ukraińskich wojskach znajduje się bardzo dużo denikinowców. „Samostijnej Ukrainy“ już niema, ma być sfederowana z Rosją niebolszewicką. Wczoraj wieczorem znów przeraziły nas strzały, ale pierwszy raz zwiastowały one coś dobrego. To Rumuni strzelali na wiwat z powodu stłumienia bolszewizmu na Węgrzech.

Dziś odbędzie się przedstawienie i przyjęcie na cześć komendanta rumuńskiego, który w odwiedziny przyjeżdża do Jampola. Ma być ustalona komunikacja przez Dniestr, a wtedy i panowie nasi będą mogli przyjechać; bądź co bądź my na pewno się tam dostaniemy. Już mię teraz nic nie wstrzyma! Muszę,

muszę zaczerpnąć innego powietrza, wyzwolić się z trybów tej, napozór małej maszyny, jaką jest mój dom, a która pochłania całą moją istotę. Wyjechać! móc żyć swobodnem, swoim życiem, a przede wszystkim pozbyć się myśli, skąd wziąć pieniędzy, chleba, soli, mydła — zapomnieć o tych nieustannych sprawach i kłopotach, które, jak kamień, ciężą na mózgu.

12-go sierpnia.

A więc wyjeżdżamy! Tak okropnie jestem tem zdenerwowana, że sobie rady dać nie mogę. Zdaje mi się, że popełniam jakąś zdradę, jakieś przewrót.

W niedzielę jeździliśmy do Jampola na posiedzenie. Gdyśmy przyszły do znajomych, przy wejściu do salonu gospodarz uprzedził nas, abyśmy były bardzo ostrożne, gdyż siedzi tam jakiś bolszewik. Wchodzimy — a to Franc! — Boże, co za radość zobaczyć go wreszcie! Ryzykując niesłychanie, przepłynął Dniestr i przyszedł do Jampola, aby się z nami zobaczyć. Jakże on się naraża i życie poświęca ten dobry, najlepszy chłopiec. Rzeczywiście wyglądał jak bolszewik: obrośnięty, w okularach, w brudnem ubraniu; w takim stanie nie zwracał na siebie uwagi i nie mógł być poznany. Ileż on nam rzeczy musiał opowiedzieć! — To tylko pamiętam, że Polska jest wielka, zjednoczona! — Sen, marzenie stało się rzeczywistością!

Jak ja tam przewodniczyłam na posiedzeniu, do prawdy niebardzo zdaję sobie sprawę. Wiem tylko, że miałam wiele spraw do załatwienia przed wyjazdem

i przed rozpoczęciem roku szkolnego.— Ale pachniało mi zawsze powietrze zachodu, swoboda!

Ponieważ Franc nie chciał jechać do Halzbijówki, aby obecnością swoją nie wywołać jakiej biedy, więc zostałam, aby z nim wieczór spędzić. Nazajutrz raniutko pobiegłam na cmentarz, aby się pożegnać ze swymi mogiłami. Cudnie tam, cisza, swojskość. Idąc przez cmentarz, brnęłam wśród pachnących ziół, które, nieknięte ludzką ręką, wykąpane w chłodnej rosie, błyszcząły świeżością barw i pachniały zawrotną aromatyczną wonią. Takie to wszystko nasze, te mogiły dobrze znane, ten widok, roztaczający się u stóp cmentarza, na dole pokręcona wstęga Dniestru, Jampol schowany w bujnej zieleni, dalej wzgórze, droga do Halzbijówki, a dalej jeszcze równa linja horyzontu; cały ten krajobraz tak charakterystyczny, tak bliski, tak mój; dusza jego we mnie, a moja w nim mieszka. — I od tego oderwać się trzeba; i przejść tę zaczarowaną linję Dniestru, z za której tak trudno o wieści i powrót.

Jutro wyjeżdżamy. Tyle mam spraw do załatwienia; trzeba dyplomatycznie wszystko przeprowadzić, i ułożyć, aby mój wyjazd nie miał złych następstw. O Boże, tak mi ciężko okropnie, tak ciężko Ojca zostawiać i tęskno za Nim, i tęskno za wszystkim.

22-go sierpnia. Lwów.

Jesteśmy w Polsce! Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę się jeszcze wczuć, wmyśleć w to wielkie szczęście!

Trzeba zanotować naszą niezwykłą podróż i wrócić choć wspomnieniem do ukochanej Halzbijówki. Ostatni dzień zeszedł na gorączkowym przygotowaniu i żegnaniu się ze wszystkimi i wszystkim. Zwołałam starszych gospodarzy, przyszło ich trzydziestu; oznajmiłam im, że na parę miesięcy wyjeżdżam do Polski, a choć czasy nie są jeszcze zupełnie pewne, wyjeżdżam z całym spokojem, gdyż dwór, Ojca, i bratową z dziećmi zostawiam pod ich opieką. Zapewnili mię, że będą czuwali nad wszystkimi i krzywdy żadnej nie pozwolą zrobić; rozumieją doskonale, że muszę odpocząć wśród innego świata i innych warunków, więc „jidty, panienko, i wertajty sia do nas szcasytywo“.

Wreszcie pod wieczór trzeba było wyjeżdżać; jakże mi ciężko było zostawiać biednego Ojca i rozstawać się z tem wszystkim, co mi tak w serce wrosło. W ostatniej chwili pożegnania tży połykałam i byłabym się rozpląkała na głos, gdyby nie wstyd przed służbą i chłopami, którzy wybiegli mię żegnać. W Jampolu, przyjechawszy na brzeg Dniestru, z ogromnemi bukietami róż, jedynem żywym, barwnem, wonnem wspomnieniem porzuconych kątów, dałyśmy znak chustką. Zaraz na tamtej stronie zrobił się ruch, i wkrótce łódka zaczęła się zbliżać ku nam. Ściskając nerwowo w ręku przepustki ukraińskie, wsiadłyśmy do łódki, oddając się pod opiekę Rumuna, który zaraz odbił od brzegu. Łódka szybko mknęła; brzeg podolski oddalał się, osnuwał w mgły, a mnie opanowała szalona radość, że wkońcu oswobodzone w świat ruszyć możemy, choć jednocześnie serce ścisnęło się silniejszym nad wszyst-

ko zalem i niepokojem o ten ukochany ką, w którym tyle przecierpiałam, gdzie życie przeorało mi duszę wszerz i wzdłuż, jak nigdzie indziej przedtem.

Na besarabskim brzegu wpadłyśmy w objęcia naszych panów, którzy przez dwa miesiące oczekiwali tu na nas w strasznym niepokoju.

Franc myślał, nie tylko o nas, bo jednocześnie, będąc w Bukareszcie, wyrobił pozwolenie przejazdu dla stu osób i teraz zajmuje się wydostawaniem tych nieszczęśników, tak jak i nas.

Nie odstępował nas oficer rumuński; nastąpiła rewizja i zabranie do cenzury każdego świstka pisanego, były to tylko ceremonje oficjalne, gdyż z powodu stosunków Franca władze rumuńskie były dla nas bardzo uprzejme. W Sorokach zetknęłyśmy się pierwszy raz ze słowem drukowanym; poczciwi nasi panowie zarzucili nasz pokój książkami, gazetami, ilustracjami. W głowie nam się mąciło od tylu pięknych i ciekawych rzeczy; ale, coprawda, niewiele trzeba było, aby nam zrobić przyjemność: parę kawałków mydła na wystawie żydowskiego sklepiku wprawiało nas w zachwyty; wszystkim cieszyłyśmy się, jak dzieci.

Po załatwieniu wszelkich formalności u władz wojskowych i policyjnych, wyruszyliśmy z Sorok do Belc, przebywając końmi duży szmat Besarabji. Rozkoszna to była jazda: cudnym, bogatym krajem jechałyśmy sobie spokojnie, wygodnie powozami, nie bojąc się, że nas bolszewicy napadną, albo konie ustaną, albo nawet deszcz zmoczy, bo gdyby i pogoda się popsuła, to kilkanaście troskliwych, kochających rąk otuliłoby nas płaszczami, bro-

niło od deszczu i wszelkiej niewygody. Jak to dobrze czuć, że ktoś bliski myśli i opiekuje się, że nareszcie mogą opaść i odpocząć te wciąż napięte struny nerwów.

W Belcach znów po nieskończeniu długich ceremonjach policyjno-wojskowych, pożegnawszy część naszej eskorty, bo Czesław i Stanisław Jaroszyński wracali do Sorok, wsiedliśmy do wagonu — do prawdziwego wagonu! Dzięki dyplomatycznym paszportom naszych panów, jazdę mieliśmy bardzo wygodną, co w Rumunji nie jest łatwą rzeczą.

W Czerniowcach uzmysłowiłyśmy sobie naprawdę, że państwo polskie istnieje: konsul polski i dość dużo oficerów naszych. Gdyśmy pierwszego zobaczyły, omal nie rzuciłyśmy się mu na szyję; ominęła go ta napaść, ale nie mogłyśmy się powstrzymać, aby go nie zaczepić i nie porozmawiać z „prawdziwym oficerem polskim“.

W Czerniowcach znów zmniejszyło się nasze grono, gdyż Franc wrócił na brzeg Dniestru, aby ułatwić przejazd Polakom, a my wyruszyliśmy dalej, ku granicom państwa polskiego. Po paru godzinach przejechaliśmy tę granicę. Nie umiem określić uczucia, jakiego doznałam w tej chwili. Jakieś cudne, nie-doścignione marzenie, które raptem przybiera kształt realny i staje przed nami żywe, jasne, uśmiechnięte. Ta ziemia polska wydała nam się tak piękna, jak tylko sen piękny być może, a droga i bliska, jak najwyższe ukochanie, jak wiara, jak treść najistotniejsza życia. Tu, we wskrzeszonej Polsce niebo wydało nam się jaśniejsze, trawa zieleńsza, drzewa w linjach szla-

chetniejsze, kwiaty wonniejsze. Chciało się skoczyć z wagonu i całować tę naszą ziemię polską! Tu wszyscy muszą być pogodni, szczęśliwi, dobrzy i serdeczni; tu niema miejsca na złość i podłość! Niestety, taką Ojczyznę można tylko w sercu swem wykołysać marzeniami. Rzeczywistość jest tylko rzeczywistością, a ludzie mniej więcej zwyczajni i mierni. Żał mi tych obrazów, malowanych tęsknotą, żał mi mego snu o Polsce. Ale jedźmy dalej; coprawda, nie tak to łatwo. Do Lwowa dobrnęliśmy po dwóch dobach jazdy. Trafiliśmy na chwilę zajmowania Pokucia przez Polaków; ruch pasażerski był zupełnie wstrzymany, spotykaliśmy jedynie pociągi wojskowe; na stacjach pełno żołnierzy i oficerów. Więc naprawdę jest Polska wielka, silna, z którą się cały świat liczy?

Przy zetknięciu się z urzędnikami i z obsługą polską uderzył mię, Niestety, tak jak i dawniej, zupełny brak uprzejmości, a jechałam przecież z kraju dzikiego; tam ludzie są brutalni, tu poprostu niegrzeczni.

Lwów. W restauracjach, w kawiarniach i teatrach pełno wojskowych polskich i zagranicznych. Myślałam, że po tyloletniej dziczyźnie, gdy się znajdę w ośrodku cywilizowanym, będę się czuła olśniona, albo co najmniej onieśmielona. Ale nic podobnego! Miałam wrażenie, że wczoraj tu byłam, w tem samem mrowisku ludzkim, z temi samemi typami, pochłoniętami mnóstwem interesów i interesików. Nic się nie zmieniło. A ja sobie marzyłam w swoim odosobnieniu, że te pięć lat walk światowych dokona szalonego przewrotu zewnętrznego i wewnętrznego; w wyobraźni

swojej kreśliłam jakieś olbrzymie przestrzenie na drodze ludzkiego ducha i kornie chyliłam się przed własną fantazją, czując się małą, zacofaną, przeżyta; tymczasem, ani na scenie, ani w książce, ani w salonie tego czegoś nowego, potężnego nie mogłam się dopatrzeć. Jedynie wojsko nasze wzrusza mię do głębi i zachwyca. Prawdziwa, wielka Polska żyje realnie w tych szarych mundurach, a równie silnie i pięknie w utęsknionych snach naszych dusz kresowych.

26-go sierpnia. Kraków.

W niedzielę przyjechaliśmy do Krakowa. Skończyła się ta długa, egzotyczna, beztroska podróż, męcząca, ale pełna uroku, tak jak każde dążenie. Teraz osiągnęłam cel swoich marzeń: jestem w wolnej, niepodległej Polsce. A marzenie odwróciło się i znów chce dążyć w przeciwną stronę, tam, do Halzbijówki...

27-go października. Soroki.

Znów jestem w Sorokach, tak blisko domu, a jednak dostać się tam nie mogę, bo mnie Rumuni na tamtą stronę nie chcą puścić. Przejazd jest surowo wzbroniony, i brzeg nadzwyczajnie pilnie strzeżony. Tułam się po tej Besarabji wśród błota, zimna i brudu i próbuję dostać pozwolenie, lub przeprawić się bez niego. Dwa miesiące temu byłam tu, jadąc do Polski — teraz wracam. Doznałam wielu wrażeń, wzruszeń, przeżyć. Lwów, Kraków, Zakopane, Warszawa. Szczególnie w Warszawie cieszyłam się, jak dziecko, odczytując na każdym rogu tylko polskie

nazwy ulic; każdy szyld, po polsku jedynie wypisany, rozczulał mnie; a cóż dopiero, gdy zobaczyłam jaki oddział wojska naszego, jadący ulicą, wtedy bez ceremonji biegłam razem z antkami, zahipnotyzowana furkotem barwnych proporczyków, co się do szarych murów zwycięskim blaskiem uśmiechały. Dziś to wszystko wydaje mi się snem, jednym z wielu, prześnionym w szarzyźnie i samotności.

Wśród nieprzeliczonej ilości znajomych stałam się bohaterką kresową; każdy chciał mnie widzieć, z moich ust usłyszeć dzieje przeżytej niedoli. Wszyscy prosili mię i zaklinali, abym nie wyjeżdżała, nie wracała dobrowolnie w paszczę bolszewikom. Ale żadna siła nie byłaby mię powstrzymała. A choć mi już teraz żal tego snu tęczowego, co mi się przez dwa miesiące majaczył, to jednak nie miałabym spokoju, gdybym teraz nie wracała naocznie się przekonać, że mój wyjazd w niczem nie skrzywdził ukochanych istot i kątów. Gdy się upewnię, że wszystko w porządku i bezpieczeństwie, ach, z jakąż rozkoszą znów przysnę w świat!

28-go października. Otaki.

Trzy dni przesiedziałam w Sorokach. Przy pomocy Olesia Walewskiego (wójta gminy polskiej), szturmowałam do wszystkich władz, ale nadaremno. Musiałam wrócić do Otaki; nie mam nadziei jednak, żeby i tu było lepiej. Po strasznem błocie, wśród dzikiego kraju, nocą ledwie dobrnęłam tutaj. Jedyni tu znajomi i opiekuni, to St. Jaroszyński, delegat re-

patryjacyjny, zastępca jego, Małecki, i sekretarz. Poczciwi dla mnie bardzo, radziby dopomóc, ale uwzięty się Rumuny i każą mi jechać do Kiszyniowa. Podobnej dziury, jak Otaki, chyba na świecie drugiej niema; błoto przeraźliwe, a jak na złość deszcz ze śniegiem sypie. U moich pocziwych opiekunów przenocować nie mam gdzie; wynaleźli mi norkę na mieście przy żydowskiej rodzinie; tuż obok, za niedomkniętymi drzwiami słycać szwargot żydowsko-moskiewski, przy akompaniamencie popijanej herbaty (tylko żydzi i Moskale umieją tak muzykalnie wciągać, wchłaniać „czaj“). A ja tu siedzę i gadam z moim wiernym, papierowym przyjacielem. Zapomnijmy o błocie, o rozpacziwem położeniu i jedźmy do Polski. Jakże to tam było? Miałam cudowne, niezapomniane chwile.

Przypadkiem dowiedziałam się, że major Malinowski urzęduje w sekcji Zjednoczenia na Zamku. A może to mój Hallerczyk? Nie namyślając się długo, z miejsca zawróciłam ku Zamkowi. Nieśmiało pukam do drzwi i z niepewnością wchodzę. A może to nie on? Ależ tak, on! tylko inny: elegancki, w ślicznym mundurze błękitnym, niepodobny do tego tułacza z Halźbijówki, z długą brodą, w obdarciem ubraniu i z rozpaczą w oczach. Teraz stał przede mną dygnitarz, z odznakami na piersiach, z czołem jasnym i pogodnym wojaka-zwycięzcy.

Przywitał mnie serdecznie, a ja mu powiedziałam, że przyszłam go zobaczyć i przekonać się, czy mnie i Halźbijówkę jeszcze pamiętają, gdyż po przyjęciu, a właściwie nieprzyjęciu przez generała Hallera w Kra-

kowie, gdzie mi ordynans odniósł mój bilet, mówiąc, że generał nie przyjmuje, sędzę, że teraz w sławie i w szczęściu zapomnieli o skromnej gościnie halzbijowieckiej i o mojej osobie. Obruszył się, twierdząc, że z generałem musiało zajść jakieś nieporozumienie, że w tych dniach przyjeżdża do Warszawy, a wtedy przekonam się o Jego pamięci.

Pewnego dnia, wróciwszy późno do domu, dowiedziałam się, że był u mnie z wizytą generał. Ogromnie byłam zasmucona, że mnie ominęła ta wizyta. Raptem — dzwonek — i wchodzi major Malinowski z prośbą od generała, abym zechciała przyjść do teatru, gdzie na mnie czeka. Myślałam, że oszaleję z radości! U drzwi teatru oczekiwał mię adjutant Łużewski, brat tego, który był w Halzbijówce.

Właśnie rozpoczął się antrakt, wchodzę i omal nie rzuciłam mu się w ramiona — mój kochany, mój dobry generał witał mię tak serdecznie, robił wyrzuty, dlaczego w Krakowie nie przyszłam do jego prywatnego mieszkania; przedstawia mi jakichś francuskich generałów, adjutantów i oficerów, których pełno w loży; wychwala moją dzielność, a ja nic nie widzę, nic nie słyszę, tylko patrzę się na tego naszego drogiego bohatera. Ocalał, przebył tyle i światu pokazał, czem jest Polska. Serce mi się kołacze w piersi, i czuję, że dopiero w tej chwili Ojczyzna zmartwychwstała we mnie już nie jako zewnętrzne wrażenie, ujęte wzrokiem czy słuchem, ale jako rzecz żywa, prawdziwa, którą duszą całą rozumiem, obejmuję, odczuwam. O wielkie, niepojęte szczęście! W tej

chwili rzeczywistość wskrzeszonej Ojczyzny stała się ciałem.

A tymczasem cały teatr nas lornetuje. Rosną ze szczęścia i radości: widzisz, skończyły się dni niedoli, jesteś w Warszawie z największym polskim bohaterem, którego znałaś tak biednym, tak nieszczęśliwym; a teraz jaki promienny, jaki kochany i spokojny w swej zasłużonej sławie. Boże, jaka ja byłam szczęśliwa! Jaka cudna nagroda za wszystkie męki i cierpienia! Nic nie widziałam ani słyszałam, jak na scenie Samson i Dalila odgrywali swe dramatyczne dzieje — przeżywałam własne uczucia i wrażenia radosne, silne, cudne!

Po teatrze pojechaliśmy do Europejskiego na kalację; wszędzie adjutanci czekają, wprowadzają, salutują. Gdyśmy weszli na salę, ciekawe spojrzenia wszystkich skierowały się na generała i na moją marną osobę. Przy stole z jednej strony mam generała Józefa Hallera, z drugiej gen. Stanisława Hallera, dalej major Malinowski, adjutanci i inni oficerowie; wkrótce przybiega pułkownik Żymirski; serdeczne powitanie i zapytanie, skąd, kiedy, jakim sposobem zjawiałam się w świecie żyjących. Więc siedzimy znów przy stole tak, jak kiedyś w Halźbijówce; wspominamy przebyte biedy. Musiałam im o sobie wszystko szczegółowo opowiadać; dopytywali się, czy po ich wyjściu nie miałam nieprzyjemności, gdyż byli bardzo o to niespokojni. Wśród rozmowy zgadało się o moim pamiętniku. Gdy się generał dowiedział, że spisuję wszystkie zdarzenia i wrażenia, chciał koniecznie, aby

mu przeczytać opis ich bytności w Halzbijówce i zaprosił mię nazajutrz do siebie z pamiętnikiem. Ten wieczór pozostał niezapomniany w mem życiu. Tak jasno, tak żywo odczułam dobrą dolę, która po tylu latach zapomnienia wróciła do nas i pozwoliła się sobą nacieszyć prawdziwą, obecną, całą.

Na drugi dzień popędziłam w Aleje do pałacyku Dziewulskich. Tu mię inaczej przyjmują, niż w Krakowie. Żołnierze grzeczni puszczają natychmiast, lokaj wprowadza do prześlicznego saloniku. Jakże to rozkosznie siedzieć w wygodnym fotelu, przyglądać się Fałatom, Pankiewiczom, Chełmońskim i wiedzieć, że za chwilę wejdzie polski, ukochany generał. Ale chwila czekania była długa, gdyż odbywała się konferencja z misją syberyjską. Przez uchylone drzwi słyszałam urywane zdania, między innymi, że Polska musi żądać jednakowych korzyści z tego kraju narówni z innymi państwami. Mój Boże, słyszeć to na własne uszy! Więc to nie halucynacja, nie tęskne sny — naprawdę jest Polska, liczy się z nami świat i szanuje. Nie obejmuję jeszcze tego rozumem, tylko uczuciem coraz silniej mi to w serce wrasta. Wreszcie wyszedł Generał. Zaczęła się gawędka, którą przerwało wejście pułkownika — nazwiska jego nie pamiętam. Po chwili ogólnej rozmowy pułkownik wykrzyknął: „Jakto, to może pani jest ową „kresową panną“ *). Odpowiedziałam, że tylko przez wrodzora

*) Hr. Fr. Potocki na podstawie moich opowiadań napisał artykuł w „Czasie”, pod tytułem „Kresowa Panna”.

skromność nie przywiozłam artykułu. Generał zrobił mi o to wymówkę i kazał czytać pamiętnik. Ogromną miałam treść; tak dziwnie mi było czytać generałowi o nim samym to, co pisałam jedynie dla siebie. Czy ja kiedy mogłam marzyć, że jemu, wielkiemu i sławnemu czytać to będę? Słuchał z uwagą, potakiwał, i widać że mu się to podobało. Gdym skończyła, dziękował i chciał wziąć sobie cały zeszyt, ledwie wytłumaczyłam, że to są tak osobiste bazgroty, że nikomu w ręce dać ich nie mogę. Uspokoił się dopiero, gdym go upewniła, że ich z sobą na Podole nie zabiorę. I widzisz, kochany przyjacielu, pierwszy raz zdradziłam siebie i ciebie; pierwszy raz pokazałam cię obcym oczom i część twej tajemnicy powierzyłam uszom ludzkim, ale jakim? — zaszczyt to dla nas obojga.

30-go października. Kiszyniów.

Nie ominął mię Kiszyniów! Władze pograniczne wymagały koniecznie podpisu komendanta rejonowego. Po okropnej drodze, wśród nieustającego kapusniaczku dojechałam do Oknicy, ale okazało się, że podpis komendanta jest niewystarczający, że muszę jechać do Kiszyniowa, do sztabu jeneralnego. Wsiadłam więc w nocy do pociągu i dobrnęłam do tej sławnej stolicy. Co za dziki kraj, cóż za okropne warunki komunikacji! Wagony brudne, poobdzierane, bez szyb; publiczność, składająca się jedynie z żydów i żołnierzy, gryzących bezustanku słoneczniki i opluwających

bez ceremonji łupinkami najbliższych sąsiadów. Tu oddałam się pod opiekę konsula polskiego, p. Cywińskiego, który zajął się mną nadzwyczajnie pocziwie; bez jego pomocy nie dałabym sobie rady. Posyłali nas od urzędu do urzędu, wszędzie robiąc okropne trudności; jako repatrjantka, która dwa miesiące temu przyjechała z Rosji, nie mam prawa przejeżdżać przez Rumunję. Chcieli odsyłać mię do Bukaresztu, ale jakoś wreszcie ulitowali się nade mną, i ten upragniony podpis otrzymałam. Muszę przejeżdżać przez Dniestr w Otakach; boję się teraz bardzo czy znowu władze ukraińskie nie będą mi robiły trudności w Mohylowie. W Warszawie zapewniano mię, że na Podolu już zastaną władze denikinowskie, wzięłam więc wizę przedstawiciela tego rządu, nie troszcząc się o Ukraińców. Tymczasem oni jeszcze siedzą, a szykanować mię będą na pewno z przyjemnością. A no, trudno, co Bóg da to będzie. Obrzydła mi już ta podróż do najwyższego stopnia; zdaje mi się, że tak wiecznie tułać się będę po tej dzikiej, brudnej Besarabji w chłodzie i w umęczeniu. A ileż mnie jeszcze czeka, i co jeszcze czeka? Może znów zamknie się okienko na wolność, może trzeba będzie całą zimę wysiedzieć na odludziu i w męce? Trudno, jechać musiałam, dojechać muszę, a jak trzeba będzie siedzieć, to i przesiedzę; przecież tam sens mego życia i treść najistotniejsza.

Hej, gdzie czasy warszawskie? Jakże wszyscy dla mnie dobrzy byli, jak serdecznie żegnali, prosili o powrót! Teraz, w tej samotnej tułaczce tem droższe mi są wspomnienia tych jasnych, ciepłych chwil, a tyle

ich było... Przed samym wyjazdem byłam na koncercie Michałowskiego. Grał Chopina; to już są ostatnie jego koncerty; staruszek, żegna się ze swoją sztuką. W grze jego czuć było niezwykle akcenty, wszystko, co najpiękniejsze ze swego talentu, dał tego wieczoru. Grał wiele rzeczy, które ja w odosobnieniu swoim brzdąkałam nieraz. Zakończył Marszem Pogrzebowym. Pobiegłam za kulisy i z najgłębszym wzruszeniem ucałowałam rękę wielkiego artysty. Staruszek poznał mnie i ogromnie się ucieszył. Z duszą pełną melodyj chopinowskich wyjechałam z Warszawy. Ten koncert, widzenie się z gen. Hallerem, Tatry i Wawel, to najsilniejsze, najcudniejsze wrażenia, które wywozłam z krótkiego mego pobytu w Polsce; nie mówiąc o ciągłym, nieustannym wzruszeniu na widok munduru polskiego, który mnie napełniał zawsze nowym zachwytem.

7-go listopada. Mohylów.

Nareszcie jestem w Mohylowie, alez ile przykrości i kłopotów miałam, nim się tu dostałam.

W powrotnej drodze z Kiszyniowa wykłócać się musiałam z dziką publicznością i jeszcze dzikszymi konduktorami; jedyny argument, który im trafiał do przekonania, to to, że jestem Polką i jadę z Warszawy. Wtedy z szacunkiem i uznaniem robili mi miejsce. Wśród zawiei śnieżnej i okropnego zimna dobrnęłam do Otak. Podpis ze sztabu zrobił swoje; władze pograniczne puściły mię, po rewizji rzeczy, której ofiarą padły mapy Polski, wiezione dla szkółek.

Wsiadam do łódki i uszczęśliwiona zbliżam się do tamtego brzegu. Przybijamy; jakaś wstrętna figura, komendant ukraiński, bierze mój paszport, a po przejrzeniu oznajmia mi, że mnie nie puści, gdyż nie mam wizy ukraińskiej. Kolana się pode mną ugięły, i pociemniało mi w oczach. Tłumaczę mu, że mnie tu każdy żydek i każdy chłop zna; kilku przewoźników na brzegu poznaje mnie i potwierdzają tożsamość mojej osoby. Proszę, aby mię zaaresztował i zebrał wiadomości o mnie, ale nic nie pomaga, nawet ze mną gadać nie chce, tylko każe wsiadać zpowrotem do łódki: „a to was syłóju wsadymo“. Płynąc zpowrotem, płakałam, a wiatr ze śniegiem mroził mi twarz. Rozpacz mię ogarnęła! Ale na brzegu rumuńskim trzeba było znów zdobyć się na energję i obmyślić jakiś sposób wybrnięcia z fatalnego położenia — przecie dojechać musiałam! Na szczęście, spotkałam dawnego sąsiada Gruszki, Rosjanina, który zaofiarował się przekonać niewzruszone władze ukraińskie i uzyskać dla mej niegodnej osoby zezwolenie na powrót do domu rodzinnego. Trzeba było tylko nato 500 rs. i dwie butelki konjaku. Po dwóch dniach oczekiwania w okropnem zdenerwowaniu, otrzymałam wiadomość, że władze ukraińskie łaskawsze są dla mnie, i że jechać mogę. Tym razem srogi komendant z uprzejmem obliczem, rozgrzanem konjakiem rumuńskim, pomógł mi wysiąść z łódki i po krótkiej rewizji pozwolił iść do miasta. A więc wędruję po dobrze mi znanym bruku mohylowskim, przebywając bezdenne kałuże błota. Zatrzymałam się w dawnym mieszkaniu Cze-

siów, gdzie wszystkie ich i moje rzeczy zostały pod opieką Werlingów, którzy tu zamieszkali. Ponieważ on jest oficerem ukraińskim, więc mam przez niego wiadomości o tutejszym aktualnym stanie strategiczno-politycznym. Chociaż wiadomości te wprost ze sztabu pochodzą, niewiele z nich sensu i orientacji wyciągnąć można. Ukraińcy cofają się przed Denikinem, który następuje, ale gdzie jest faktycznie, czy w Odesie, czy w Jampolu (a to chyba wielka różnica), niewiadomo. Jeszcze w Otakach słyszałam, że wojska denikinowskie są w Gruszcze, a więc pod Mohylowem, ale tu już trzy dni siedzę i nie mogę się dowiedzieć, kiedy wejdą. A wejdą na pewno, najlepszym tego dowodem są przygotowania armji ukraińskiej, rozpoczynające się od rewizyj i rekwizycyj; zabierają, co się tylko da: futra, ubrania, bieliznę, nawet damską. Wciąż się powtarza ta sama historia od dwóch lat: bandy złodziejskie zmieniają się co jakiś czas, a biedni, nieszczęśliwi ludzie w zupełnej nieświadomości jedynie łudzą się, że nadchodzi wybawienie, dawniej w postaci Francuzów, Rumunów i Polaków, teraz w postaci Denikina. Mam wrażenie, że wcale nie była tam, w świecie, w Polsce, i że wciąż kręci się to błędne koło wraz ze mną bez końca, bez końca. Czekam na konie z domu, po które depeszowałam, ale jeżeli tam jest Denikin naprawdę, to jeszcze nieprędko ich się doczekam; a już mi tak obrzydło siedzenie w zabłoconym, brudnym Mohylowie, takbym chciała już być w domu i zakończyć tę nieznośną podróż. A tam w Polsce, ruch, życie cywilizowane, radosnel... Mój Boże, czy

będę mogła tam powrócić? Czy znów ugrzęznę beznadziejnie w tym kącie, zapomnianym od Boga i ludzi.

8-go listopada.

Wciąż oczekuję koni, ale napróżno. Jeżeli tak dłużej potrwa, to się rozchoruję w tym brudzie i chłódzie; pół dnia siedzę skulona pod piecem i czytam „Dzieje Tristana i Izoldy“; dobrałam sobie odpowiednią lekturę na obecne warunki; ten cudny dramat miłosny, rozgrywający się między bandą denikinowców a ukraińców, wśród rozpaczliwego błota mohylowskiego. Biedne, kochające się serca, nie dla was tu miejsce, tu tylko nienawiść, zło i brud panują. Drugie pół dnia spędzam u poczciwej p. Jaroszyńskiej, która też bieduje w ciasnocie i niedostatku.

Dziś słychać było strzały, i wieźli rannych przez miasto, widać więc Denikin się zbliża. Ukraińcy coraz wyraźniej przygotowują się do ucieczki, bo teraz już na ulicy buty przechodniom ściągają; a uciekać niebardzo mają gdzie: Rumuni ich do siebie nie puszczają, pozostaje więc jedynie droga na Uszycę do Kamieńca, ale i tam się daleko rozpędzać nie mogą. Podobno „sławni kozaki“ bić się wcale nie chcą i przystają do Denikina. Obyż on przynajmniej zaprowadził ład i porządek.

10-go listopada.

Przez ostatnie dwa dni panika panowała wśród Ukraińców; mieli lada chwila opuścić miasto. Tylko co dowiedziałam się o nowej zmianie: Ukraińcy zostają, komendant był wzywany na tamtą stronę, gdzie

rozmawiał z przedstawicielami ententy, która uznaje Ukrainę, a Denikinowi każe się cofać. Wszystko to zakrawa na bajkę, ale dość na tem, że Ukraińcy zostają w Mohylowie, a ja wciąż nie mogę doczekać się koni.

11-go listopada.

Znów zmiana. Budzę się dziś z uczuciem okropnego przygnębienia; deszcz leje, wichura, zimno. Raptem wszczyna się straszna kanonada, z początku karabinowa, potem z kulomiotów; trwa to wszystko razem pół godziny. Denikinowcy zajmują Mohylów, Ukraińcy zaskoczeni zdradą Rumunji, nie mają gdzie uciekać. W mieście spokój. Widziałam na górze stojące placówki i przejeżdżające patrole; dziko to strasznie wygląda: twarze kałmuckie, w ogromnych baranich papachach, zaufania nie wzbudzają. Wszystko się zmienia, jak w kalejdoskopie; ciekawe, co będzie do wieczora? Jeżeli to naprawdę Denikin, to jest nadzieja, że dostanę się do domu.

15-go listopada. Czerniowce.

Po wielu trudnościach dopiero wczoraj udało mi się dostać do Czerniowiec. Straciwszy wszelką nadzieję doczekania się koni, zaczęłam czynić na własną rękę usiłowania jakiegoś wyjazdu. P. Werling wynalazł mi konie ukraińskie, które zapomniały w popłochu uciekające wojska, a które tu trzeba było ukrywać przed nowymi przybyszami. W sztabie oznajmiłam,

że swojemi końmi chcę wracać do domu, i dostałam przepustkę, konieczną w tej chwili, gdyż drogi zawałone są ciągnącym wojskiem. Pokazało się, że oddział, który zajął Mohylów, była to awangarda kozaków kubańskich, którzy wcale nie mieli zamiaru wchodzić do miasta, dopiero zachęceni popłochem ukraińskim zdecydowali się wejść tu w 300-ta koni. Do czasu przyścia głównej armji czuli się bardzo niepewni, a dla nadania sobie animuszu gromili i obdzierali, coprawda tylko samych żydów.

Całe miasto zmieniło wygląd: chorągwie ukraińskie zastąpiono rosyjskimi, na ulicach tłumy żołnierzy dzikich, obdartych, brudnych, ale rzecz dziwna: z przyjemnością patrzyłam na to, co dawniej napełniało mnie nienawiścią i wstrętem.

Wyjechałam wkońcu podczas okropnej niepogody, po bezdennem błocie, jakąś starą, roztrzęsioną patelnią, grożącą co krok rozsypaniem się; z woźnicą, wczorajszym Ukraińcem, który może mię w drodze zdradzić i z końmi razem ucieknie. Wybrałam drogę na Czerniowce, ażeby ominąć główny trakt, ale i tu spotykaliśmy dużo wojska, jednak wszyscy tak zabłoceni i przemęczeni, że nawet nikomu nie chciało się nas zaczepiać i o przepustki pytać.

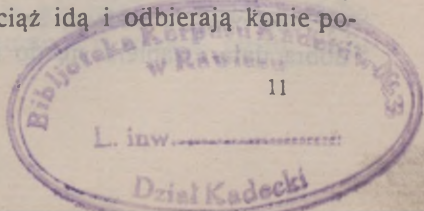
Pocziwy ks. Kasprzykowski zatrzymał mię tutaj jeden dzień, abym odpoczęła, a przytem skontrolowała szkółki i odwiedziła staruszkę p. Rokicką. Dziś rano byłam u niej; mój Boże, ile biedy i krzywdy na świecie! Wśród ogromnego, zapuszczonego ogrodu domek nędzny, obszarpany; zbliżywszy się, słyszę

dźwięki fortepianu, i to bardzo dobrą, artystyczną grę, to wnuczek staruszki, biedny chłopczyzna kulawy, zagrożony tuberkułami, wyjątkowo utalentowany, w tym zapadłym, w błoto rzuconym kącie, wygrywa tęsknoty swej chłopięcej duszy. Ogromna była radość z mojego przybycia; przywiozłam im listy od rodziny; musiałam opowiadać o Polsce, o wszystkim, o całym świecie.

Odwiedziłam też dwie szkółki; w jednej w czasie panowania Ukraińców był barak tyfusowy; już zdążono ściany wybielić, wyczyścić, wyprzątnąć, i dzieci znów się uczą. Z drugiej Ukraińcy chcieli dzieci i nauczycielkę wyrzucić, ale się odważnie postawiła, szkoły nie dała, lecz tylko jeden im pokój odstąpiła. Tak więc, pomimo ciągłego niebezpieczeństwa, pomimo, że pensje nauczycielkom nie są wypłacane, lub wypłacone z własnej kieszeni księdza proboszcza, pomimo, że w klasie ściany iskrzą się mrozem, dzieci chodzą do szkoły i uczą się. O, będę ja miała co opowiadać w Polsce, bo oni tam z trudnością wierzą, że w takich warunkach można jeszcze myśleć o nauce. Wszyscy się też ucieszyli niezmiernie, gdy im oznajmiłam, że przywiozłam trochę pieniędzy dla naszej Macierzy.

Dwór, który tu jeszcze doniedawna stał cały, Ukraińcy rozbili doszczętnie. Boże, co się dzieje w Hałzbijówce? Tu, choć tylko trzydzieści wiorst do domu, niczego się dowiedzieć nie mogę. Żeby już dojechać! Wojska wciąż idą i odbierają konie podróżnym.

Na ostatniej placówce.



15-go listopada. Halzbijówka.

Więc jestem, naprawdę jestem w domu! Nie mogę się nacieszyć, że znów otaczają mię te ukochane ściany! Ale dojazd z Czerniowiec nie był taki łatwy, i u brzegu omal nie utonęłam. Całutką noc sypał deszcz ze śniegiem, pomimo tego raniutko wyruszyłam. Po drodze nikogo nie spotykamy, bo psia pogoda. W Babczyńcach dowiaduję się, że kozacy tu plondrowali, żydków gromili, kilku uśmiercili, i poszli dalej. Nie mogę się jednak dowiedzieć, jaka jest władza w Jampolu i okolicy, a dopytywać się bardzo nie mam ochoty. Wojska nigdzie nie spotykamy, dopiero przy końcu miasteczka, z ostatniej chaty wybiega żołnierz i zatrzymuje nas. A no—trzeba stanąć. W pierwszej chwili nie mogłam się zorientować, czy to ukraińiec, czy denikinowiec, i nie wiedziałam, z jakiej beczki z nim sobie poczynać. Odrazu bardzo ostro kazał nam zawracać, twierdząc że nie mamy prawa jechać dalej, i że musi nas odstawić do Mohylowa. — Aha, przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia. Napróżno mu tłumaczę, że mam wizę na paszporcie, że mam przepustkę ze sztabu mohylowskiego, ofiarowuję pieniądze — jest niewzruszony, każe zawracać, a jeżeli nie chcę, to arestuje mię i każe kozakom pilnować. Ładna perspektywa! Uciekać nie można bo będzie strzelał, a zresztą błoto takie straszne, że ledwie stępa posuwać się można. Pod żadnym warunkiem zawracać nie chcę, a widząc, że mój srogi żołnierz jest pod dobrą datą i zabiera się do rewidowania kuferka, z za-

wartości jego ofiarowałam mu parę drobiazgów, co w połączeniu z pewną kwotą pieniężną uwolniło mię z pod niemiłej opieki. Z rozmowy z nim, która trwała godzinę, zrozumiałam, że właściwie żadnej władzy i porządku niema, a koło Jampola bandy wojska włóczą się samopas; to też raźniej mi się zrobiło, gdyśmy z gościńca zawrócili na boczną drogę. Już wśród swoich kochanych pól, prawie w domu. Ale im bliżej, tem większy niepokój i strach, co tam zastanę. Kapuśniaczek, który cały dzień mżył, nagle przestał; zachodzące słońce ozłociło ścierniska i niezżętą jeszcze kukurydzę. Na zachodzie czarnego nieba i kontrastowo odbijającego złota, które ukosem z poza ciemnego wału siało słońce na ziemię, zawisła jaskrawa tęcza i opasała niebo od krańca do krańca. To niezwykle zjawisko po listopadowej słocie napełniło mię otuchą, to jakby dobrotliwy znak nadziei z nieba. Ale we wsi jeszcze bałam się ludzi pytać, co słychać we dworze. Wkońcu wjechałam na dziedzińiec, służba wita mię uśmiechniętymi twarzami, więc wszystko dobrze — odetchnęłam swobodniej. Jakże byłam szczęśliwa i Bogu wdzięczna, że mnie wkońcu doprowadził i wszystko w swej opiece zachował. Biedny Ojciec, jak dziecko się rozplakał, witając mię; przez tych parę miesięcy nieobecności mojej postarzał się i zniedołężniał okropnie. Z największą radością wszyscy mię tu witają: i służba, i chłopi, i dzieci ze szkółki. Wszystko mi jest tu takie swojskie, bliskie, moje. Wpadłam zaraz w wir zajęć i drobnych kłopotów: w domu zimno, ciemno, a w spiżarni pusto; szkół-

ka nie puszczona w ruch, a na wsi moc chorych. Zaraz na drugi dzień zaczęłam swe zwykłe kursa po wsi. Chłopi z zaciekawieniem słuchają, co im opowiadam o Polsce i o ogólnej polityce. Zachwyceni są, że tak, jak im to obiecywałam, ich uczciwe zachowanie się względem mnie i ochronienie dworu będzie znane i opisywane w zagranicznych gazetach. Strasznie są z tego dumni. I nie skłamałam im, gdyż rzeczywiście jedna Angielka, korespondentka do pism, prosiła mię o wywiad i z moich opowiadań miała napisać artykuł dla zagranicy.

III.

19-go listopada 1919.

Dziś moje imieniny, smutne, biedne, dziwne.

Nie narzekam, dobrze mi jest mimo wszystko; cieszę się domem, a gdzieś w głębi przyświeca nadzieja prędkiego powrotu do Warszawy.

Tyle tu interesów i spraw majątkowych czeka na mnie, że nie wiem, jak i do czego się brać; dotąd niewiadomo, jaki rząd, jakie prawa. W Jampolu żadnej władzy niema. Chłopi zaczęli rąbać las.

Według prawa petlurowskiego należy się obywatelom zbiór z 5-ciu dziesięcin; tutejsi chłopi dali mi z 10-u dziesięcin, wielka to uprzejmość i łaska z ich strony...

Mój Boże, nie są tu miłe warunki, oj nie! po warszawskiej elektryce olejne kaganki, fabrykowane ze słoiczków od maści, z gałgankiem lub kawałkiem wa-

ty zamiast knota. Tylko na wielkie święta palimy świece, też domowej roboty. W pokojach zimno, drew z mego własnego lasu nie dają.

Byłam wczoraj w Jampolu, życie i praca zamarły tam zupełnie; szkółka ledwie wegetuje, inne parafjalne są nieczynne z powodu braku nauczycielek. Czuję, widzę, że ode mnie oczekują incjatywy, energji do nowej pracy. Tak być musi. Zacerpnęłam siły i radości w Polsce, trzeba się niemi podzielić.

Niedziela. 23-go listopada.

No, już moja maszyna puszczonej w ruch. Zwołałam dzieci na nabożeństwo, oznajmiając im, że od jutra zaczyna się szkoła. Dzieciaki uszczęśliwione, z iskrzącymi oczami słuchały moich opowiadań o Polsce i tak mi dziękowały, że powróciła tu do nich! Gdybyśmy mogli tu mieć jaką wyższą szkołę polską, progimnazjum albo szkołę rzemiosł; tyle się pracy marnuje; zdolniejsze dzieci po ukończeniu szkół elementarnych idą do wyższych rosyjskich.

Po południu — do Jampola; oczekiwała mię już w szkole cała nasza gromadka polska. Musiałam im wszystko opowiadać, com widziała i słyszała; był to prawdziwy odczyt. Tacy wszyscy zgłodnieli wiadomości i tacy spragnieni wyjazdu do kraju; musiałam ich trochę oblewać zimną wodą i przedstawić tak położenie, aby zrozumieli, że emigracja stąd do Polski nie jest wcale pożądana, że im będzie ciężko, a krajowi żadnego pożytku nie przyniosą; że musimy tutaj placówek naszych pilnować i trwać nadal. Jednocześnie

wszakże opisałam im Polskę piękną, silną, sławną, by wlać w te biedne serca otuchę i wiarę we wskrzeszoną Ojczyznę, by czuli, że mają opiekę silnego rządu nad sobą, że jest ktoś, kto się za nimi ujmie i nie pozwoli skrzywdzić. Powtarzałam kilkakrotnie pozdrowienie i słowa gen. Hallera, by trwali i nie tracili ducha. Mówiłam o cudnem wojsku naszym, o rządzie, sejmie, walucie, o agitacji bolszewickiej, o misjach zagranicznych, o szacunku i podziwie, jaki Polska wzbudza, o otwarciu uniwersytetu w Wilnie, o szkołach, sprawie agrarnej, kolejach, Śląsku, Galicji, o granicach Rzeczypospolitej. Słuchali mię z zapartym oddechem, chłonąc te wieści z kraju i ze świata.

Polska bieda, odcięta od pnia macierzystego, ale i polski duch!

Przywiozłam portrety Piłsudskiego, Hallera i Paderewskiego; każdy chciał dostać; i z taką miłością chyba nigdy te pocztówki nie były w kraju oglądane, ani z takim szacunkiem w drżących rękach trzymane.

Już mam dwie nauczycielki; (dzielne dziewczęta, z ochotą i zapałem biorą się do pracy), już urządziłam przedstawienie amatorskie w Jampolu, a w bratniaku mam mieć odczyt.

Wczoraj miałam niezwykłą prośbę: jeden z tutejszych chłopców, uczeń gimnazjum, przyszedł prosić mię o sztukę teatralną niemiecką. Ponieważ mam tylko Goethego, Schillera i paru klasyków, wybór był bardzo trudny. Wziął wkońcu Szekspira, którego mam po niemiecku. Chcą grać „Juljusza Cezara“, albo „Sen Nocy Letniej“. Będzie to chyba jedyne przedstawie-

nie w swoim rodzaju: Szekspir grany po niemiecku w Jampolu przez chłopców halzbijowieckich!

1-go grudnia.

Osadziłam już nauczycielkę w Sewerynowce. Ileż to się trzeba nagadać, natargować, nim się zdoła namówić tych ludzi na szkołę. Zachęcili się dopiero wtedy, gdy im oznajmiłam, że rząd polski daje pieniężną pomoc. Nic tak tych ludzi nie przeraża i nie zniechęca, jak to, że będą musieli choć drobną sumkę wyłożyć na utrzymanie szkoły. Coprawda, nie we wszystkich wsiach to się dzieje, np. w Olfanówce prezes kółka Macierzy wiejskiej, nadzwyczaj chętny, oznajmił, że jeżeli ludzie nie zgodzą się utrzymywać nauczycielki, on na swój koszt weźmie dla swoich tylko dzieci. Miałyśmy przynajmniej nagrodę obie z Marynią Bogucką za niesłuchanie fatalną jazdę do tej Olfanówki; konie ugrzęzły nam w błocie, tak, że musiałyśmy same ciągnąć i konie, i wóz. I tu też słuchano z radością i zaciekawieniem moich opowiadań o Polsce, z zachwytem oglądając wizerunki naszych wielkich ludzi.

W Warszawie radzono mi, abym się tu nie chwaliła, że od rządu polskiego przywiozłam pieniądze dla szkół, choćby z tego powodu, że władze tutejsze mogą to wziąć za jakąś propagandę ze strony Polski. Ja jednak wszędzie rozgłaszam, że rząd polski przysłał przeze mnie pieniądze, pozdrowienia i zachętę do wytrwania w polskości, inaczej te nasze nieszczęśliwe „Polaki“ do resztyby się zniechęcili; to im dodaje potrzebnego bodźca. Bo niestety niema już zapалу, tego

z przed trzech lat, gdyśmy zakładali Macierz, i nie można się temu dziwić; a jednak szkoły muszą istnieć, to jedyny nasz ratunek tutaj.

Wczoraj cały dzień w Jampolu porałam się z bratniakiem, porządkując papiery i kasę, którą prezes, wyjeżdżając, zostawił w wielkim nieporządku. Potem dla zachęty, wygłosiłam odczyt o Mickiewiczu, chodzi mi bowiem o to, aby sami sobie podobne odczyty urządzali. Przez wdzięczność obrali mię swoim prezesem. Jeszcze jedna godność i szarża więcej na mej biednej głowie. Muszę też reżyserować przedstawienie. Ja jedna mam trochę energii i umiejętności, więc się też do mnie wszyscy garną.

Przyjeżdżał ks. Kasprzykowski z wiadomością o przejściu wojsk denikinowskich przez Czerniowce; zdaje się, że mało się one różnią od bolszewickich. Denikinowcy wpakowali się na probostwo, plondrowali i gospodarowali, jak sami chcieli; wreszcie komendant zabrał dla siebie powóz. Gdy siostrzeniec księdza zaprotestował, kazał go aresztować i popędzić do Mohylowa; ledwie z drogi udało mu się umknąć. W czasie tej przymusowej podróży słyszał, jak żołnierz skarżył się oficerowi, że zmarł; ten z największym spokojem poradził mu, aby zdał kozuch z chłopą, którego podwodą jechali. A gdy żołnierz wyraził obawę, że chłop skarżyć się będzie, „zrób tak, aby nie mógł się poskarżyć“, odpowiedział oficer.

Chłopi, zmuszeni dostarczać wciąż koni, wozów i furazu, zniechęcili się już do „Onyki“ (tak nazywają Denikina). Pragną silnego rządu i porządku, a tu

ani jednego, ani drugiego niema. Wciąż idą wojska, obiecując silną organizację powiatu, ale kończy się tylko na obietnicach, a tymczasem ciemne elementy korzystają z bezładu i bezrządu; na drogach tworzą się bandy, które napadają, kradną, obdzierają. Chłopi, zmęczeni tem wszystkim, znów oczekują przyjścia Polaków, jako jedyne go wybawienia.

Krążą pogłoski, że Denikin dlatego nie zaprowadza tu swej władzy, że kraj ten mają zająć Anglicy i Polacy. Jakoby duży „desant“ angielski jest już w Odesie, a Polacy zajęli Kamieniec i Płoskirów...

Identycznie to samo, co przeszłego roku. O, jakież to śmiertelnie nudne. W mojem państwie też powtarzają się przeszłoroczne reminiscencje: chłopi niszczą las, służba się buntuje, roszcząc pretensje, których zaspokoić nie mogę, jak np. sprawienie nowych butów, podniesienie pensyj, smaczniejsze jedzenie, zachcianki burżujskie, od których już sama odwykłam zupełnie. Obsiadły mię te tysiączne sprawy dokuczliwie, ale trudno—sama tak chciałam. Pewnie, lepiej byłoby siedzieć teraz w Warszawie wśród światła, komfortu i swoich ludzi; a jednak nie żałuję, że postąpiłam tak, a nie inaczej. Ciężko, bo ciężko, okropnie, ale przecież, zobaczywszy Polskę, mogę teraz tu żyć i wytrzymać najgorsze. Nie zabraknie mi sił, gdy widziałam żywą, wskrzeszoną Ojczyznę moją.

2-go grudnia.

Wobec coraz większych szkód w lasach, szkód, nie krępowanych niczem, zdziwiła mię niepomału

dzisiejsza delegacja z Mironówki, która wystąpiła z prośbą o parę fur opału dla szkoły. Istna komedia! Proszą, a jednocześnie rąbią sami bezczelnie. Gdy im na to zwróciłam uwagę, powiedzieli, że istotnie 'większość chciała iść „samoprawnie“ rąbać, jednak starszyzna wolała przyjść prosić. Czułam doskonale, że, jeżeli nie dam, sami wezmą, wolałam więc wspaniałomyślnie ofiarować im ten opał, życząc dobrej nauki. Sądząc jednak z miny nauczyciela, „szczirego ukraińca“, będę sobie wygrzewać tem drzewem bandytów i złodziei.

Z każdym dniem przybywa mi roboty: trzeba sporządzać plany nauk dla szkółek, przygotowywać protokoły i księgi kasowe dla Macierzy. W mojej szkółce liczba dzieci wzrasta, chorych też nie brak, a przeplatane to wszystko nieskończonemi rozmowami i „ujadaniem się“ z chłopami w najrozmaitszych sprawach.

Do Jampola przyjechał „prawdziwy naczelnik powiatu“ i „prawdziwy komendant“ z ukraińskiego pułku kozaków Łubieńskich, ale z przekonania ma być denikinowcem, adjutant jego znów „szcziryj ukrajiniec!“ Co ta mieszanina ma znaczyć, do czego doprowadzi?

Znów ploteczki, że w Mohylowie nowe wojska i to podobno polskie. — POCO te plotki krążą? poco? nie wierzę w nie, nie chcę wierzyć. A jednak gdzieś tam w kąciku mózgu coś drga i porusza się niespokojnie.

Wczoraj byłam w Jampolu; kołatałam do naczelnika powiatu w sprawie niszczenia lasów. Nie uzyskałam nic, prócz obietnicy, że wkrótce z Odesy przy-

dzie silna władza i 200-tu żandarmów. Sądząc z obecnych, niewiele można się spodziewać z tych obiecanych. Mamy już nowy program agrarny Denikina: zostawiają obywatelom po 30-ci dziesięcin, a reszta dla chłopów za wykupem 200 rs. za dziesięcinę. Ładna perspektywa!

7-go grudnia.

Odbyłam objazd parafji Dzygowieckiej, ale zato dziś w łóżku leżę. Udało mi się wyciągnąć księdza na tę wyprawę. Pojechaliśmy naprzód do Honorówki. Nauczycielka tu świetna, szkoła doskonale postawiona, ma wszelkie ulepszenia, bo przy fabryce, ale dzieci mało; robotnicy fabryczni, element najobrzydliwszy, wołają dzieci swe posyłać do szkoły ukraińskiej, gdzie nauczyciel-agitator bardzo sprytnie ciemnych quasi-inteligentów umie na swoją stronę skaptować. Ciężka tu walka, bo każda zaczepka z naszej strony może poruszyć tę zmięję i ściągnąć „donosy“, a nawet spowodować zamknięcie szkoły.

Ponieważ najmowanie koni kosztuje bardzo dużo, miałam głupi pomysł proszenia fabrykę o furmankę; przecież ich parafję objeżdżam, niechże się czemkolwiek przyczynią do sprawy oświaty i pomogą mi. Na konie, które mi wkońcu z łaski dano, tak jakbym w swoim interesie i dla własnej przyjemności te przejażdżki po nieludzkim błocie odbywała, musiałam czekać do następnego dnia. Nazajutrz raniutko pojechaliśmy do Replaszyniec, gdzie już duch panuje inny. Chłopi natychmiast się zebraли, z radością słysząc, że szkoła

od roku nieczynna będzie znów wznowiona. Chętnie się opodatkowali i złożyli pieniądze; dziękowali za przyjazd, z radością i z zajęciem słuchając moich opowiadań o Polsce. Obiecałam im natychmiast przysłać nauczycielkę, i ruszyliśmy dalej do Felicjanówki. Tu szkoła już jest uruchomiona; chodziło tylko o zmianę nauczycielki, z powodu jakichś nieporozumień i niechęci. Tu nas też chłopie radośnie witali i przyjmowali. Stamtąd po szalonym błocie, na maleńkim szarabaniku, we czwórkę, bo nauczycielkę trzeba było przywieźć i odwieźć, dojechaliśmy do Honorówki; jasno jeszcze było, chciałam więc jak najprędzej wracać do domu, ale woźnica się zbuntował i pod noc nie chciał jechać; trudno — na cudzym wózku niema rady, musiałam nocować zła, zmęczona i głodna. Poszłam na chwilę do zastępcy dyrektora, aby mu za łaskawie udzielone konie podziękować. Duże mieszkanie, urządzone elegancko, doskonale ogrzane i oświetlone; na stole obfita zastawa po wypitym podwieczorku. Rządczyni w porządnej sukni, kwadratowa, dobrze odżywiana. Aż mi się śmiać zachciało! Takie państwo! I moja marna osoba, która przychodzi podziękować za łaskawie pożyczonych parę koni od czwórki, nota bene ślicznej i świetnie utrzymanej, pożądliwem okiem zerka ku stolowi na chleb i masło i nie wie, jak stanąć na dywanie w swych zabłoconych butach i wyszarzanem futerku, wytartem i wybrukanem po chatach chłopskich.

W domu czekało już na mnie moc interesów: i szkółka i próba, i czytanie, i aż do samego wieczora latanina i gadanina. Ciekawam, kiedy to się skoń-

czy? Czy będę mogła wyjechać i kiedy? Za mym powrotem wszystko tu na mnie czyhało i teraz, jak w kle-szcze, chwyciło ze wszystkich stron. Nie uda mi się wyrwać, czuję to; a tak szalenie, tak strasznie trzeba mi stąd się wydostać. Ten mój pierwszy wyjazd to nie był przecież odpoczynek, ani zaczerpnięcie kulturalnego, cywilizowanego życia, to był galop i chwywanie wszystkiego powierzchownie, po łebkach, z ogromnem zmęczeniem ciała i duszy. Teraz mi się należy choć dwa miesiące życia wśród dobrych, spokojnych, pięknych wrażeń; potrzebne mi to jest koniecznie dla duszy, dla ciała, dla całej istoty. A obecne moje życie jest tak strasznie twarde; czuję, jak się zdzieram doostatka; a najbardziej męczy ta samotność, to zupełne osamotnienie duchowe; nikogo, ktoby miał te same kategorie myśli i uczuć, co ja, któryby tak samo reago-wał na życie, na wypadki — no, bo inaczej nie może, bo ma to we krwi, w mózgu, w gatunku swej rasy. W domu jedynie biedny Ojciec, staruszek zdziecinnia-ły. Ciężko mi...

Ta przekłeta, (choć nie, bo nam Polskę dała), wojna, zamiast zrównać świat, jeszcze bardziej zaostrzyła różnice kastowe: dorobek pokoleń i wieków wyżej podniósł jasne czoło ponad brutalne chamstwo i wieczną tępotę.

Żeby się móc stąd wydobyć! Już dwa tygodnie minęło od czasu, jak p. Żukowski pojechał do Mohy-lowy sprzedawać pszenicę lipczańską; nie mam od niego żadnej wiadomości, a teraz tylko najgorszego spodziewać się można.

Przed chwilą przysły przywitać mię trzy kobiety z Mironówki, matki uczniów ze szkółki; naturalnie, nie obeszło się bez tradycyjnych kołaczy; zawsze mię wzrusza ta naiwna forma ofiary chleba, towarzysząca przy każdym obrzędzie, przy każdym objawie uczuć. Może ten zwyczaj teraz najlepiej daje się wytłumaczyć, bo o biały chleb, jak i o uczciwe serce jednako trudno. Moje poczciwe babiny przysły się dowiedzieć, czy dzieci z Mironówki mogą tego roku chodzić do szkoły; opowiadały, jak dzieciaki są stęsknione za nauką, nieustannie wspominają Anuskę i p. Bagińskiego, śniąc o mnie po nocach i z utęsknieniem wyglądając. Widać z tego wielkie przywiązanie do szkoły i do nas. Koniecznie chcą się uczyć po polsku, bo spodziewają się, że tu będzie Polska. Boże! Serce mi bije, gdy sobie pomyślę, jakby to mogło być... Ale tymczasem trzeba myśleć, żeby szkoła dobrze szła, żeby uroczystości świąteczne się udały, żeby dzieciaki nie miały rozczarowań.

10-go grudnia.

Wczoraj jeździłam do Podlesówki organizować szkołę. Prawdziwą miałam pociechę i przyjemność, gdy zeszło się wielu gospodarzy, wszyscy nieźle po polsku mówią; do szkoły odnoszą się nader chętnie i z wielkim zrozumieniem; od razu widać wpływ dobrego nauczyciela z Królestwa, który tu przez cały rok uczył. Fotografie Piłsudskiego i Hallera z rąk do rąk przechodziły w gorączkowym zaciekawieniu. Jeden

ze starszych z zapałem i przekonaniem mówił, że choć pod koniec życia, a jednak w wojsku polskim będzie służył. Jeden z młodszych służył w legjonach; nie wiem w jaki sposób został tutaj; bardzo nieśmiało mię poprosił, bym mu dała na własność fotografie naszych wodzów; biedne chłopczysko, taki był wzruszony, gdy chował w zanadrze pocztówki. Mój Boże, i to w zapadłym kącie, w takiej Podlesówce palą się serca polskie żywym, czystym płomieniem miłości Ojczyzny! Ach! przybywajcie tu prędzej, podsycajcie ten ogień, aby wkońcu nie zagaśł w beznadziejności i pustce...

A działo się to wszystko w tej samej Podlesówce, której mieszkańcy chcieli dwa lata temu księdza i prezesa komitetu obić, może nawet zabić. Dziś prezesem kółka Macierzy jest ów bolszewik, który wtedy najwięcej warcholił; teraz chętny i grzeczny. W jego chacie będzie szkoła i mieszkanie nauczyciela. Gdyśmy już skończyli narady, zbliżył się do stołu sędziwy staruszek z małym wnuczkiem na rękę; drżącą ręką wziął fotografie, pokazał je dziecku i, długą chwilę trzymając je przed oczyma, „zapamiętaj“, szepnął... Łzy staruszkowi świeciły w oczach, a i ja miałam ochotę ryknąć na cały głos. Ach, mieć teraz piśma, książki; gorączka mię ogarnia, aby działać, dopomagać, budzić, oświecać! A tu ma się ręce związane — tak mało można zrobić i z tak wielkim wysiłkiem. Że też nie mogłam nawieźć z Warszawy dużo książek, dużo obrazków, dużo orłów, dużo fotografii, dużo, dużo ducha polskiego!

Dostałam depezę, wzywającą mię w interesach do Mohylowa, a jednocześnie wiadomość o śmierci p. Jaroszyńskiej. Więc ta ostatnia tu matrona polska odeszła w lepsze światy. Rozgromiona, wygnana z domu, siedziała w Mohylowie i tam świeciła przykładem siły, energii i wytrwałości; każda bieda polska ratunek i pomoc w niej znajdowała. Z jej śmiercią utraciłam najbliższą osobę; łączyło nas, prócz dawnych, dobrych wspomnień, obecna wspólna niedola i jednakowe reagowanie na nią. Sama myśl, że tam w Mohylowie znajduje się jeszcze obywatelka Polka, która niezłomnie trwa, a choć ją wypędzili z domu na bruk nędznej mieściny, ofiarnością, energją, umiłowaniem zdobywa nowe placówki dla ducha polskiego, dódawała mi siły.

Jutro jadę do Mohylowa.

11-go grudnia. Mohylów.

Ledwie dostałam się tutaj, z winy leniwego, niechętnego chłopca, spóźniając się na pogrzeb. Pustką wiejące mieszkanie, z którego kondukt już wyszedł, ścisnęło serce boleśnie.

Wiadomości polityczne mogą do obłędu doprowadzić. Mówią, że Polacy doszli do Kamieńca i zatrzymali się. Petlura w Warszawie, a więc sojusz z Ukrainą trwa, może to jeszcze najlepsze. Mówią, że Denikin słaby, Niemcy mają mu dopomagać, ale tymczasem podtrzymują bolszewików. Denikin kokietuje Ukraińców, obiecując im wschodnią Galicję, (najłatwiej cudzem się rozporządzać). Ciągła niepew-

ność chwiejna i bezsensowna; dokądże tak będzie? czy się kiedy nasza dola ustali? czy już tak wiecznie będziemy od przewrotu do przewrotu wegetować? Tu się dowiedziałam naprawdę o właściwym programie agrarnym Denikina, zakreślonym na dłuższą metę. Majątki wracają do właścicieli; za ten rok chłopci powinni zapłacić po 200 rs. za dziesięcinę, a na przyszły piątą część urodzaju. Byłoby to wcale nieźle, ale czy ta władza się ostoi? Bolszewicy wciąż grożą, wielkie ich siły stoją między Kijowem a Żytomierzem.

Korzystając z chwilowego prawa, p. Żukowski jeździł do Lipczan i zdołał wydrzeć chłopom należne mi zboże. Wysiedział się tam dwa tygodnie, nim dokonał tego czynu bohaterskiego, wśród okropnych warunków, z narażeniem życia, gdyż rozjuszeni chłopci chcieli go zabić.

14-go grudnia. Mohylów.

Siedzę tu i robię interesy: sprzedaję zboże, targuję się o lasy, ujadam się z żydami, smaruję łapy urzędnikom, bo bez tego ani rusz! Szalenie mię to męczy; ani się na tem znam, ani umiem, ani mam ochotę, ale trudno — muszę. Byliśmy na zebraniu „Chliborobów“, którzy, korzystając z antraktu denikinowskiego, znów chcą się organizować i coś przedsiębrać. Cóż za porównanie z przeszłorocznym zjazdem. Zebrało się nas niedobitków 10-ro, reszta albo uciekła, albo na tamtym świecie. Ja byłam jedyną kobietą; kiedy opowiedziałam, że z pomocą p. Żukowskiego zabrałam z Lipczan pszenicę, a jeszcze mamy wziąć

kukurydzę, że majątków moich nie opuszczam, że rządę się jak dawna właścicielka, wszyscy byli zdumieni; ich już opuściła wszelka energja i odwaga, ja jedna wciąż się jeszcze poram, nie poddając się zniechęceniu.

Okropny jest ten Mohylów: zaraza straszna; ulicami ciągną pogrzeby jeden za drugim; w każdym domu, w każdym mieszkaniu po kilku chorych; ratunku żadnego; lekarstw niema. Jakaś kraina zatracona, skazana na zagładę.

16-go grudnia. Halźbijówka.

Wczoraj rozbita i zmęczona wróciłam do domu. Jechaliśmy przez Gruszkę, i przed samą wsią złamała się oś; trzeba było zatrzymać się dłużej dla wyszukania wozu; przez ten czas poszłam do dworu, aby krwawić serce dawnymi wspomnieniami i obecnym widokiem, jakże okropnym?! Mój biedny, kochany dwór, który do tej pory przynajmniej pozornie nie robił wrażenia ruiny, teraz świeci okropnemi ranami. W paru miejscach dach jest wyrwany i wypitowane belki, odrzwia i futryny powyrywane. W ogrodzie to samo brutalne zniszczenie: całe klomby drzew powycinane; kamienne ławki i stoły, przy których kilka pokoleń bawiło się i wzrosło, podruzgotane w kawałki. I poco i naco? Przebrzydły, wstrętny motłoch! Mój Boże, i to już trzeci rok jeżdżę tak do tej opustoszałej Gruszki, wszystkiemi możliwemi sposobami utrzymując choć pozory życia, aby to ukochane miejsce nie zamieniło się w pustkę, w grób, aby kiedyś mo-

gło zakwitnąć i ożyć. Może już w tym roku, może na przyszły? Tymczasem lata płyną za latami, a każda moja tam bytność coraz bardziej rozkrwawia mi serce; coraz większy żal, smutek, zmęczenie ogarnia. I wczoraj resztkami energii starałam się zapobiec dzikiemu zniszczeniu. Najęłam stróżów, aby pilnowali domu i ogrodu; rozporządzam się wciąż jeszcze, jako prawowita pani. Staroście ostro rozkazałam, aby czuwał nad porządkiem i zabronił rabunku. Chłopom zapowiedziałam, aby mi oddali nasiona pszenicy mojej, którą przeszłego roku były pola zasiane; o należnej mi części ze wspólki nawet nie warto wspominać. Ech, co mi tam pszenica, co mi wszystko, kiedy pamiętki moje drogie, kiedy życie moje w gruzy się rozsypuje.

19-go grudnia.

Niech już kto z moich przyjedzie, niech mi pomoże, niech mię wyrwie stąd. Tak strasznie dokucza mi brak swoich ludzi; stałam się kastową arystokratką, a może byłam nią zawsze? Tylko teraz jasno i dobitnie to czuję. Potrzeba mi koniecznie otoczenia z mojej sfery, z moją kulturą, wychowaniem, tradycjami. Przytem nędza materialna również coraz gorzej dokucza. Posępny szereg pokoi, zupełnie nieopalonych, przez które ciągle muszę przebiegać! Jedyne oświetlenie, to kopcące kaganki, od których nos jest czarny, jak komin. Bardzo mało rzeczy wzięłam z Warszawy i teraz poprostu nie mam w czem chodzić; w tej ciągłej dreptaniu po błocie buty już zdałam.

Ogarnia mię niepokój i coraz większe pragnienie wyjazdu, może właśnie dlatego, że czuję niemożliwość wyrwania się: pociągi chodzą fatalnie, a może nawet już stanęły. Ach, żeby ktoś mię wyrwał, namówił, zmusił do wyjazdu! Sama się nie ruszę, choćby nawet droga była swobodna. A Ojciec? Czyż miałabym sumienie zostawić go samego?

21-go grudnia.

Poco ja tu przyjeżdżałam? Poco dobrowolnie wróciłam do tego więzienia, z którego tak trudno się wyrwać? poco zamurowałam się w tym grobie, poco, poco? Tak — a gdybym nie pojechała, tobym się znów tak szalenie męczyła, niepokoiła, tęskniła... Takie już moje przeznaczenie.

W polityce znów gmatwanina, której ogłupiające echa do mnie dochodzą. Kołczak i Denikin jakoby ustąpili; Niemcy mają pomagać Rosji, z zamiarem wspólnego uderzenia na Polskę. Właśnie to, czego się najwięcej w Polsce obawiano. Ile w tem prawdy? kto nam w takim razie dopomoże, co z tego wyniknie? Pewnie nowa wojna wszechświatowa. Ja już nie mam sił, nie mogę, nie mogę! Znów odcięcie, osamotnienie i niewiedomo, na jak długo.

Dziś otrzymałam wiadomość, że rzeczy, które miałam złożone w Mohylowie u p. Łaskiej, wykradli bolszewicy. Znów ubywa część drogich, bezpowrotnych pamiątek. Wszystko z ukochanej przeszłości ginie i oddala się; zostaje szare, bezwzględne życie, bez żadnej miękkości, bez radości, bez uroku... Czuję, jak

moja natura wciąga się w to powoli: twardnieje skóra i dusza. Dziś też dowiedziałam się, że pieniądze za las, z takim trudem i mozółem zdobyte, niewiele są warte, gdyż tysiące karbowańców w jednym papierku wcale nie mają kursu, a ja tego mam tyle! Jak na jeden dzień, to dosyć.

23-go grudnia.

Miałam depezę od Todzia z Kamieńca; pojechał do Warszawy. Teraz już wszyscy moi po tamtej stronie — ja tu sama jedna...

24-go grudnia.

Przy wigilji siedziało nas troje biedaków: Ojciec starowinka przywłókł się na wieczerzę do pokoju ja-dalnego, zgrzybiały, zdziecinniały, biedny mój staruszek. Panna Zofja *), też wygnanka, w obcych stronach, w obcym domu, rzucona gdzieś na przepadłe...

Poco te święta? Jeszcze gorzej szarpią nerwy, rozdierają duszę. Jedyną dobrą ich stroną jest to, że zmuszają wspominać o oddalonych, tak jak zaduszki o zmarłych. Dziś pewna jestem, że wszyscy moi przy łamaniu się opłatkiem pomyśleli o mnie; więc czułam koło siebie te ich drogie myśli dotykalnie, siłą swej tęsknoty materjalizowałam je w żywe istoty. Byli tu ze mną żyjący i zmarli. I to jedyna radość, jedyna moja pociecha w tej chwili.

*) Nauczycielka w mojej szkółce, która poprzednio pracowała w Honorówce.

Ubrałyśmy w szkole choinkę dla dzieci. Wszędzie wlecze się za mną smutek okropny, nieznośny.

29-go grudnia.

Chwała Bogu, odbyła się już „feta“ jampolska. Jak mię to wszystko męczy; zadaję sobie prawdziwy przymus, ażeby się tem zająć. Ale trzeba, trzeba robić ruch wśród tej garstki Polaków i zbierać trochę pieniędzy na szkołę. Wysiedziałam się trzy dni w Jampolu, by dopilnować ostatnich przygotowań; każdy drobiazg musi się o mnie oprzeć. Pewna jestem, że i beze mnie wszystkoby się dobrze udało, ale mój autorytet jest potrzebny, dodaje życia, energii i zachęty. W czasie przedstawienia rozrywać się musiałam na wszystkie strony: za kulisami reżyserować, zaglądać do bufetu, na sali z każdym się przywitać i miłe słówko powiedzieć. Wszystko się przyzwoicie i dobrze odbyło: i przedstawienie, i tańce, pomimo że na sali było wielu Rosjan, a w bufecie dużo butelek. Przypomniało mi się ostatnie moje przedstawienie z bolszewikami, to znowu z denikinowcami. Zawsze te nasze fety odbywają się wśród nienormalnych, egzotycznych, naprężonych stosunków. Tym razem dużo było oficerów w przyzwoitych mundurach z epoletami. Kiedyż będą ułani polscy? Tymczasem sala klubowa na cześć nowoprzybyłych przybrana była rosyjskimi chorągwiemi i bohamazami ich bohaterów. Zdjąć nie wypada, a wśród tego prawosławia nie było miejsca na nasze znaki. Na budce więc suflerskiej powiesiłam dużego Orła wśród dwóch chorągiewek amarantowych.

Bardzo się to podobało oficerom rosyjskim — nie wiem tylko, czy na długo, bo zaczynają krążyć wieści najrozmaitsze. W ciągu tego wieczoru można się było nasłuchać wielu opowiadań: że Polacy zajęli Płoskirów, Uszycę, idą na Wapniarkę, Koziatyn, Zmierzynkę; że Niemcy z Rosjanami robią zgodę przeciw Polakom, którzy ustępują z Kamieńca; dalej, że bolszewicy zajęli Kijów, że w tych dniach wybuchnie powstanie chłopskie; a na końcu gruchnęła wieść, że władze denikinowskie uciekają z Mohylowa, ale niewiadomo przed kim. Jeden z oficerów został natychmiast wezwany na dyżur przy telefonie. Wszyscy przerażeni; mężczyźni naradzają się, gdzie i jak uciekać. Naturalnie, trzeba oczekiwać najgorszego; przygotowana już jestem na bolszewików, tylko nie mogę się jeszcze z tą myślą oswoić: znów to piekło, znów zupełne odcięcie. Skąd ja sił wezmę?

30-go grudnia.

Nowe wiadomości, tym razem cudne jak sen, sen, który się ciągle w upragnieniu gorącym przewija. Nasi zajęli Koziatyn, Zmierzynkę, Winnicę i mają okupować po Boh i Murafę. Jeśli to prawda, Halzbijówka zostałaby; nieobjęta, jakaż straszna ironja losu. Ale teraz nie chcę o tem myśleć; żyję tylko wielkiem szczęściem, że nasi są już blisko, a choćby tu nie doszli, to sama myśl, że są niedaleko, dodaje sił i otuchy. Z Mohylowa władze wyjechały na rozkaz Denikina, który działa podobno w porozumieniu z Polaka-

mi, a opowiadania o przymierzu z Niemcami to prowokacja żydowska.

Jeżeli Halzbijówka zostanie po tej stronie, nie spoczne, tylko pojedę do Warszawy błagać, aby Halzbijówkę włączono. „To się nazywa mieć tupet“ — niejedenby sobie pomyślał. Co mi tam, chyba zasłużyłam na to, aby mię Ojczyzna przygarnęła. Babskie rozmowanie! No tak, ale przecież czasem i polityka powinna się powodować sercem, coby jej nawet z pewnością tylko na dobre wyszło.

Przed chwilą pisałam list polecający do Hallera dla Brunickiego *), który chce się przekraść do wojska polskiego. Mam wrażenie, że Haller jest niedaleko — może i tu będzie? Boże, w głowie mi się mąci, tak już się odwykło od szczęścia. Strach myśleć, aby nie spłoszyć tego, co ma być realną prawdą, co już się prawdą staje i wchodzi w nasze mroczne życie.

31-go grudnia.

Skończył się sen; krótko się śnił, bo był za piękny. Tu zły los nie da się nawet ludzi szczęściem. W Jampolu panika, władze denikinowskie uciekają; bolszewicy idą z Wapniarki. Z Mohyłowem zerwana komunikacja, ale kto miasto zajął, niewiadomo. Nikt nic nie wie, panika ogólna. Ludzie, jak matolki, jak manekiny, rzucają się w jedną lub drugą ostateczność pod wpływem bezkrytycznie słuchanych plotek.

*) Ofcjalista mój.

I cóż ci denikinowcy zrobili? Jak dzieci na zabawę, poubierali się w mundury ze szlifami, ale władzy swej ustalić, ani na stanowisku się utrzymać nie zdołali; nawet nie pofatygowali się dowiedzieć, skąd jakie wojsko nadchodzi, czy bliskie niebezpieczeństwo, a teraz na łeb, na szyję uciekają. W takim Jampolu od epoletów aż błyszczało, ale karabinów okazało się 40, z których 10 popsutych, a wszystkich nabojów 20. Naturalnie, że z taką załogą trudno myśleć o obronie miasta.

A mimo wszystko coś się czuje w powietrzu, jakieś radosne nadzieje wstrząsają sercem; przeczuwa się bliskość naszych wojsk — idą, na pewno idą. Pomimo rychłych prawdopodobnie odwiedzin bolszewików, nie jest mi straszno. Chłopi ustawicznie powtarzają, że idą „pańskie legjony“.

3:go stycznia.

Zaczął się nowy rok, lecz nic dobrego nie wróży. Wszystko z obrzydliwą tożsamością powtarza się i kręci wkółko z kalendarzową dokładnością. Tak samo, jak przeszłego roku, zaczynamy styczeń od Ukraińców; w Mohylowie Galiczanie, w Jampolu Łampiga*) panuje. Mężczyźni, Polacy i Rosjanie, pouciekali. Wszystko tak samo, tylko niedola moja coraz gorsza, osamotnienie coraz boleśniejsze, a sił coraz mniej. Bogu dzięki, że przynajmniej ukończone wszystkie fety świąteczne, które przerywają więzienną mo-

*) Awanturnik ukraiński.

notonję codziennych dni, jeszcze jedynie znośną formę życia w obecnych warunkach.

Na Nowy Rok odbyło się przedstawienie naszej szkółki; dzieciaki nadspodziewanie dobrze grały inscenizowany „Powrót Taty“, oraz żywy obraz z deklamacją i ze śpiewami. Pomimo zmęczenia, kłopotu i wysiłku nerwów ma się takie wielkie zadowolenie, gdy się patrzy na tę kielkującą polską kulturę, która się tu tak szybko rozwija. Wszystko odbyło się tak, jak przeszłego roku, i ludzie ci sami przyszli, jak zwykle z kurami i z kołaczami. W czasie Mszy św. dzieci śpiewały, ja akompanjowałam te same kolędy; ci sami ludzie, te same modlitwy, tylko Hanki niema, tylko samotniej i smutniej.

Po Mszy odbył się obrządek, jakiego chyba jeszcze nigdy w tym domu nie było: przejście prawosławnej na katolicyzm. Cała awantura! Jest to biedne, nieszczęśliwe stworzenie, które z powodu nędzy sześć lat przesłużyło u popa i przeszło na prawosławie. Wkońcu zwróciła się do mnie z prośbą o posadę. Ponieważ brak mi nauczycielek, i wyboru niema, postanowiłam zrobić z niej znów katoliczkę i Polkę. Po pewnym czasie udało mi się uporządkować jako tako popowski chaos w tej nieszczęśliwej głowie i skłonić do powrotu na łono kościoła katolickiego. Skruszona wysłuchała Mszy św. a potem uczyniła akt powrotu do katolicyzmu i przysięgę. Może mię popy otrują albo powieszą, ale odczuwam zadowolenie ogromne. Dobrze, że się to cichutko odbyło i że nie rozniesie się po okolicy, iż polska nauczycielka świeżo z pra-

wostawia na katolicyzm przeszła: byłoby wielkie zgorzienie. Coprawda, stracha mam, jaka się okaże, i czy to nie szpieg popowski, ale trudno, muszę ryzykować: nauczycielek potrzebuję, a wyboru nie mam. Przeegzaminowałam swoją neofitkę; umie dostatecznie, tylko utonęło wszystko w sosie moskiewskim; dałam jej książek, niech sobie przypomina; a ponieważ dziadek jej był po powstaniu zesłany na Sybir, mam nadzieję, że duch przodka ożywi nieszczęsną wnuczkę i wypłoszy wszystkie popowskie i djabelskie herezje. We środę wiozę ją do spowiedzi, a stamtąd prosto na posadę.

Ale wracam do opisu naszych uroczystości. Wieczorem po przedstawieniu choinka i poczęstunek, a potem zabawa i tańce. Zaprosiłam młodzież z Jampola; przyjechał pełen wóz; pocziwe biedaki, spragnione jakiejś rozrywki, jakiegoś oderwania się od codziennej udręki. Robiłam, co mogłam, aby było wesoło; graliśmy i tańczyli. I choć pozornie dwór halz-bijowiecki rozbrzmiewał gwarem i zabawą: w oficynach przy gramofonie, w oświetleniu świeczki ludek z czeladką wywijali; w salonie (strasznie zimnym), oświetlonym lampką kopcałą, przy dźwiękach rozstrojonego fortepianu, wytańcowywali niby państwo. Żyjemy! jeszcze nas słychać! Razem wzięwszy — bieda z nędzą.

5-go stycznia.

O tęsknoto moja, o męko moich obecnych dni!
Cięży mi moja samotność, mój twardy los. Nerwy

rozklejają się coraz bardziej, pozornie tego nie widać, ale jest coś nieuchwytnego, jakies nieopanowanie, jakies rozwianie całej istoty. Stanęłam na martwym punkcie: mózg jałowuje w martwocie. Nic nowego ze swego umysłu wykrzesać nie mogę; wysychają źródła mej duszy, a ja w ciągłym oczekiwaniu patrzę, jak biegą dni, miesiące, lata. Sama już nic poradzić nie mogę. Jak trzeba, by mię ktoś stąd wyrwał przemocą, bom wrośnięta, zaklęta i własną się wolą nie ruszę, tak samo musi ktoś wstrząsnąć moją istotą duchową, obudzić z tego letargu, z tej wiecznej tymczasowości, w której trwam z zapartym oddechem lata już całe. Ach, jakbym chciała jechać, jechać do ludzi, do swoich, póki jeszcze czas, póki jeszcze nie obumarłam zupełnie i nie stałam się obca sobie i wszystkim.

W Jampolu Ukraińcy, w Tomaszpolu Denikinowcy, w Barze Polacy, czyli strategia i polityka w kratkę.

Wyczerpana jestem i zmęczona, a pomimo niedzieli odpoczynku nie mam. Rano nabożeństwo, potem rekolekcje i przygotowywanie dzieci do spowiedzi świątecznej. Po południu przyszła nowonawrócona, trzeba z nią jak najwięcej obcować, przyswajać ją, aby znów nasiąknęła duchem polskim.

W Petraszówce chłopci zrobili samosąd nad bandą złodziei; dwóch chłopów i babę wywlekli na wygon, ukamienowali i ciała wrzucili do jaru. Jakies czasy pierwotne, pogańskie. Ludzie dziczeją; i zbrodnie, i wymiar sprawiedliwości straszne, obrzydliwe.

8-go grudnia.

Dwa dni spędziłam w Jampolu; spowiedź dzieci, szopka w szkółce jampolskiej — przykład halzbijowieckiego przedstawienia obudził tutejszą śpiączkę. Nazajutrz posiedzenie bratniaka, jakieś ruchliwsze; nabierają ochoty i zapału do pracy te stare, niewyrobione dzieci. Kasowy rezultat przedstawienia zachęcił wszystkich; zebraliśmy 18000 rs. na czysto — to świetnie! Urządzamy więc różne zapomogi i fundacje. Zaraz po zebraniu wsiadłam na bryczkę i popędziłam z nauczycielką do Dobranki. Tu znowu te same przemówienia, zachęty, czułości, już napamięć znam to wszystko. Żebyż choć jaki rezultat tych jazd i trudów pozostał. Mój Boże, gdyby przyszli Polacy, ten nikły napozór zasiew naszej Macierzy dałby cudny, bogaty plon, bo tylko hasła potrzeba, aby tu polskość rozkwitła w całej pełni i śmiałości. Późno wracałam do Jampola. Wieczór był cichy i ciepły, jak na wiosnę; nad Jampolem słońce zachodziło jaskrawo, wyrwało się z uwięzi chmur i zalało świat złotem swych promieni; utonęłam w tem złocie wzrokiem, ustami, całą duszą. Stoczyło się potem za widnokrąg, oblewając niebo purpurą blasków. Przy rozgorzałem niebie kładły się na ziemię głębokie, wąskie cienie; cały Jampol i Dniestr tonął w fioletowej mgłę; tylko na płynących krach Dniestru krwawą luną odbijały się niebiosy. Dojeżdżałam właśnie do cmentarza: te same luny zapaliły się na lśniącej powierzchni czarnych granitów i gorzały, jak lampy mistyczne, jak tajemne

pozdrowienie umarłych wśród żałobnych fioletoów mgie-
i pomroków.

10-go stycznia. Mohylów.

Przyjechałam tu trochę dla interesów, trochę dla zacerpnienia pewnych wiadomości; ale ani jedno, ani drugie mi się nie udało. Życie zamarło; ludzie, jak zaczarowani, z zapartym oddechem, z zamartem sercem oczekują czegoś — wszystko zawisło na jednej, wyciągniętej, naprężonej strunie, w którą ma uderzyć nieubłagany bieg wypadków. A teraz martwota — cicho — nasłuchujemy, kiedy zabrzmi złoty róg. Ale zamiast tego upragnionego głosu, szczeka, wyje istna kakofonja plotek ogłupiających, szarpiących, wicherzących ostatnie resztki zdrowego rozsądku. Więc do-
wiadujemy się, że bolszewicy ku Zmierzynie ciągną z Kijowa, gdzie obowiązkowo jedną osobę w rodzinie mordują; że lada chwila tu będą; że Polacy na pewno są w Uszycy, ale się nie posuną dalej. Inna plotka twierdzi, że Polacy cofnęli się z Kamieńca. Chłop takiś przyjechał z Jajtuszkowa*) i przysięga, że widział tam wojsko polskie. Inni mówią, że Zmierzynka zajęta przez Ukraińców, że bolszewicy z Ukraińcami w zgodzie i Winnicę im oddają. Polacy w De-
rażni**), bolszewicy w Kotiurzanach***) i t. d. bez końca możnaby wypisywać te brednie, wytwory cho-
jej wyobraźni, strachu, cierpienia, męki i słabości.

*) Miasteczko o 50 wiorst od Mohylowa. **) Miasteczko w pow. Łatydzowskim. ***) Wieś o 40 wiorst od Mohylowa.

Jedno tylko z tego wyciągnąć można, że wcześniej czy później albo Polaków, albo bolszewików spodziewać się trzeba. Narazie panuje w Mohylowie 40-tu galiczanów, którzy, korzystając z zamieszania, kradną, ile się da. Rozbili składy z cukrem; ludność rzuciła się i rozdrapuje te zapasy; służąca, która mi tu służy, jest właścicielką 20-tu pudów cukru. Ulice, jak śniegiem, posypane białym kryształem.

Była depesza od St. Jaroszyńskiego z Kamieńca, brzmiąca: „Niedługo będziemy“. Nikt tej depezy nie widział i nie czytał, podobno jej łeb skręcili na pocztę, tylko telegrafista się wygadał; może zmyślił tę wiadomość przez litość, albo dla sportu, dla amatorstwa puszczania plotek. (St. Jaroszyński, jako delegat polski do komisji repatrjacyjnej, po wyjściu denikinowców najwięcej był narażony, ale siedział spokojnie dziesięć dni, a gdy już wkońcu na każdym kroku groziło mu niebezpieczeństwo, najspokojniej poszedł sobie na stację, z białym orłem przy mundurze, wsiadł do pociągu i pojechał do Kamieńca).

Jedyny skutek mojej tu jazdy to przeniesienie resztek rozgrabionych rzeczy od p. Łaskiej w miejsce bezpieczniejsze. Któryż to już raz taką przeprowadzkę odbywam? wreszcie skończy się to smutne zajęcie, bo nie będzie co chować; topnieje gdzieś to wszystko, niszczy się, przepada.

Wczoraj powstała panika, bo na dziś wieczór zapowiedziano bolszewików. Chcąc się upewnić, chodziłam sama na dworzec, ale i tam nic nie wiedzą; głu-

choła, martwe oczekiwanie. Ludzie znalazłi się do ciągłych, wstrząsających wiadomości, jak do morfiny lub papierosów.

12-go stycznia.

Tak już postanowiłam: pod koniec tygodnia posyłam do Mohylowa po wiadomości pewne i decydujące, które ma St. Jaroszyński przysłać z Kamieńca. Jeżeli Polacy idą, jadę zaraz, jeżeli przyjdą bolszewicy, zostaję i już nie łudzę się żadnym wyjazdem, bo oszaleję chyba. Boże, jak ja strasznie chcę wyjechać! Gdy jestem w Mohylowie, zdaje mi się, że, abym tylko do domu wróciła, zaraz będę mogła w drogę wyruszyć; a gdy przyjadę do domu, czuję, ile niewidzialnych a nierozzerwalnych nici wiąże mię i nie puszcza. Dziś miałam próbkę, w jaki sposób plotki rosną i kto je rozsiewa. Jadąc z Mohylowa, spotkaliśmy na trakcie jakiegoś kupca żydka. Naturalnie, wzajemne rozpytywanie o wiadomości z bliższej i dalszej polityki. Żydek z tajemniczą miną zwierzył mi, że we Francji rewolucja, mówił mu to jeniec, którego spotkał na drodze... Ujchawszy kilka wiorst, spotykamy owego jeńca; a więc znów postój i gawęda: rzeczywiście, wraca z Francji; opowiada, że wszędzie dobrze i spokojnie. Rozpytuję naumyślnie, aby wyciągnąć z niego ową rewolucję; odpowiada, że we Francji spokój, rewolucji być nie może, a jeżeli takie wieści krążą, to wierutne bajki. Przeklęte żydy, ich to robota rozsiewanie kłamliwych, depresyjnych wieści.

13-go stycznia.

Żyję w okropnem naprężeniu; czuję, że musi się stać coś przelomowego: albo szczęście wymarzone, albo ołchłań i beznadziejna męka. Nerwy naprężone do ostatecznych granic; czy w nie błogostawiona, czy przeklęta wieść uderzy — pękną, czuję, że ni radości, ni bólu przenieść już nie jestem zdolna. Nie mam już wcale sił ani do walki, ani do szczęścia, ani do życia. Wieści złe wciąż nadchodzą, o Polakach głucho, i tylko siłą nadziei, siłą olbrzymiego pragnienia utrzymuję w sobie wiarę w ich przyjscie, przyciągam ich, wołam o cud!

15-go stycznia.

Bolszewicy w Tomaszpolu, Wapniarka w rękach denikinowców!

Odpadła wszelka chęć, wszelkie pragnienie. Tak niedawno rwałam się całą istotą do wyjazdu, do życia; wierzyłam w cud, oczekiwałam cudu. W jakiejś gorączce, w szalonym naprężeniu rwałam się tam, do nich, serce wyrywało się z piersi i biegło naprzeciw nich drogą nadziei i oczekiwania. Dziś wszystko mi jedno. Przyszła jakaś tępa obojętność; nie warto się szarpać — niech się dalej wlecze to życie — czy prędzej, czy później — wszystko jedno...

19-go stycznia.

Mohylów zajęty przez bolszewików, a właściwie przez bandy chłopów z Niemiji i Serebrji. Dziś „so-

wiecka włość“ zapanowała w Jampolu, z Lutym, szewcem jampolskim, i Kryworuczką na czele. Wszystko co do joty to samo, co przeszłego roku. Boże, zlituj się! Wierzę w dobry koniec naszej sprawy; wierzę, że przyjdą Polacy, bo są na pewno w Uszycy, ale kiedy to nastąpi? Pewnie dopiero na wiosnę; jak wytrzymać te bezdennie wstrętne stosunki, jak trwać w tej udręce codziennej, każdogodzinnej?... Wczoraj odbyło się w bratniaku zebranie literackie; chcąc obudzić trochę zainteresowania do języka rodzinnego, zaproponowałam, by każdy, kto czuje się na siłach, napisał jakąkolwiek rzecz. Naturalnie, zebrało się niewiele osób, a rękopisów jeszcze mniej. W szkółce przy ciemnej lampce odczytywaliśmy te nasze utwory. Jakże skromna i uboga była ta „biesiada literacka“. Ale początek zrobiony; pisząc i słuchając skromnych płodów własnych talentów, ludzie zapominają trochę o strasznej niedoli, choć na chwilę otrząsają roje płotek, które im wysysają mózgi.

21-go stycznia.

Jeździłam na inspekcję szkółki w Dzygówce; marnie to tam wprawdzie idzie, bo mało dzieci, ale zawsze idzie. Okropny jest widok rozbitego dworu; sterczą obdarte mury wśród wyciętego parku; przyszła mi biedna pani Jaroszyńska na myśl — wszędzie groby, ruiny, śmierć i pustka. To nasze złote Podole, kraina słońca, radości i bogactwa, stało się przeklętym kątem, od którego się życie odwróciło. Zamarło wszystko w trupim zastoju; kruki i wrony nad puste-

mi polami żałobne pieśni kraczą, po miastach głód, epidemja, nędza; i tylko zbrodnie chyłkiem za opłotkami się przesuwają, rechocąc z szatańskiej uciechy. Kraina opuszczona od Boga i ludzi. I mnie się czasem zdaje, że przez ludzi opuszczona. Nikt z moich bliskich nie stara się jakim sposobem porozumieć ze mną, przestać mi jaką najbliższą wiadomość, którąbym się karmić mogła, jedno słowo, któreby zapadło iskrą życiotwórczą w serce. Modłę się, czekam... Cośkolwiek, jakiś znak pamięci, echo nadziei — przyślijcie mi! Nic — głusza i pustka — wszyscy zapomnieli. Bóg chyba jeden pamięta... Wracając z Dzygówki, zajechałam do Honorówki, aby sprawę szkoły i nauczycielki uregulować. Bezład tam zupełnie; administracja uciekła, a zostało kilku durniów, którzy sobie rady dać nie mogą z całym sztabem rozdrzeczonych robotników. Szkoła zagrożona brakiem opału, a nauczycielka brakiem pensji. Wymogłam, co się dało, i zapewniłam los szkoły, organizując komitet opiekuńczy, składający się z urzędników i robotników fabrycznych; ale czy na długo?

22-go stycznia.

Przyjechało dwóch chłopów z Gruszki, przywożąc ową pszenicę, która mi się należała. Co się nagle stało, że tak gorliwie wypełnili moje zlecenie i to teraz, gdy bolszewickie rządy znów nastały, i gdy jestem wobec nich zupełnie bezbronna? Jednocześnie prosili, abym im sprzedała chatę dworską, na co odpowiedziałam, że nic sprzedawać nie mogę, nie wiedząc,

czy jestem prawnie właścicielka. „A co z dworem“? zapytałam — „Joho wże nema“ — odpowiedzieli. Pokazuje się, że w czasie świąt chłopci zniszczyli go doszczętnie. Boże, czemu to takie okropne, poco to konanie, na lata rozłożone? To biedne, ukochane domisko moje przetrwało tyle, aż wkońcu wstrętne, chciwe, chamskie łapy rozniosły, rozszarpały to rodzone gniazdo moje.

Podobno ksiądz Kasprzykowski uciekł do Uszycy razem z honorowieckimi urzędnikami. Jeżeli tak zrobił, miał w tem swój cel i plan; najmocniej wierzę, że ten czcigodny kapłan powróci, albo nieobecnością swoją więcej przysporzy dobra i błogostawieństwa Bożego; ale jednocześnie ciężko pomyśleć, że znów ubył jeden z tych niewielu, rozsianych na olbrzymiej przestrzeni. Coraz smutniej i puściej!

Polacy za Uszycę podobno się nie posuną, a więc co będzie? A no nic! Zjedzą nas bolszewicy, i nawet nikt o nasze kości się nie upomni, bo to nie leży w planach polityki koalicyjnej. Żal, gorycz zalewa serce, za dużo nagromadziło się zła, niedoli. Ale jeżeli ta męka i ofiara jest potrzebna dla Ojczyzny, daj nam ją, Boże, godnie do ostatka dni naszych przetrzymać.

23-go stycznia.

Byłam dziś w Jampolu, gdzie zastałam ciekawe stosunki. W przeciągu dwóch dni zdążyła być rada sowiecka, która ustąpić musiała Ukraińcom, ci zaś na wieść, że idą z Mohylowa bolszewicy, uciekli. Teraz

Jampolem zawiadnęło dwudziestu bolszewików. Wszystko steroryzowane i w strachu obumarłe.

Z Mohylowa otrzymałam list, od którego moje życie zawisło; tyle się tylko dowiedziałam, że Polacy są w Uszycy; to wiele, ale dla mnie za mało. Przeszłego roku postanowiłam, że, gdy dostanę się do kraju, pojedę do Częstochowy; w czasie mojej krótkiej bytności nie było na to czasu. Tym razem, jeżeli Bóg mi ocali ten najdroższy ką, a mnie doprowadzi do Ojczyzny, piechotą pójdę Paniencie Częstochowskiej podziękować za opiekę i błagać o dalszą łaskę.

26-go stycznia.

Czuję, że oszaleję, że nerwy, stargane na strzępki, zaczną brać górę nad wolą i spokojem. Zdaje mi się, że jakieś potworne, złe ręce porwały mię i okręcają ciągle wkółko, ciągle po tej samej drodze aż do zatracenia czucia.

W niedzielę w Jampolu zapanował znów radosny nastrój: Polacy przyjdą na pewno! Ta garść bolszewików — to bandy, które nie mają gdzie się podziać, ściśnięte między wojskami naszemi a denikinowskiemi. Pełna radości, znów zaczęłam marzyć o wyjeździe, obmyślając, kiedy to może nastąpić; jak zabezpieczyć dom i ojca, ażeby im nic nie groziło. Dziś przyjechał ksiądz z kolędą i z wiadomością, że Polacy wyszli z Uszycy, cofając się po Zbrucz. Może to nieprawda, ale znów jestem podcięta, chora na duszy i na ciele. Jakieś zawory w mózgu trzeszczą, pękają, rozsadaż chybą czaszkę, pod którą kotłują kłęby bez-

ładnych myśli: dlaczego ksiądz Kasprzykowski uciekł?... co mam jutro dzieciom mówić z katechizmu?... czy Zbrucz zamarznięty?... Gwiazda mego życia już dawno zagasła, a to, co w okno zagląda, to widmo takie samo, jak i ja; moje życie umarło, w szklaną trumnę złożone — niedokończony poemat. Czy każdy człowiek nosi z sobą swą duszę?... Czy może są dusze, obłąkane wieczną tęsknotą, które opuszczają swą ziemską powłokę; tu ruszają się tylko puste po nich manekiny? Mam silne dreszcze i gorączkę, w której majaczy mi się Bóg wie co... Czy w Polsce taka sama zima? Czemu jutro się napali? czemu ta obrzydliwa, twarda, zamarznięta gruda? czemu niebo ołowiane, czemu ołów wszędzie, w rękach, w nogach, w sercu, w mózgu? Wyć z rozpacz, szlochać z bólu...

27-go stycznia.

Wczoraj przyjechał Iwaś z Gruszki. Opowiada, że ze dworu już tylko mury sterczą. Matko moja, ostatnie ślady twojej pracy na ziemi giną. Dom twój pocziwy, kochany, co w swych murach dzieciństwo moje kołysał, co rozbrzmiewał młodością moją, tętniącą i szumną, jest już tylko zeszpeconym grobem.

Iwaś opowiadał, że chłopci w czasie świąt dzień i noc obdzierali dom; ogłuszający był huk pił i siekier, bo zrywali deski, belki i wiązania.

Te dzikie szakale obgryzły, obszarpały wszystko, zostawiając tylko nagi szkielet murów. Pewnego wieczora, gdy taka banda na pawilonie pierwszego piętra zrywała dach, nagle od strony cerkwi ktoś strzelił;

jedno ciało ludzkie runęło bezwładnie na ziemię, a plugawie mrowie rozpierzchło się wśród ciemności, zostawiając trupa, co, jak pies, zdechł przy obgryzanych kościach. W kimś obudziło się serce i zawrzało oburzeniem. Nie wiem, kto to był, ale błogostawię rękę, co ten strzał wypuściła.

29-go stycznia.

Nowe plotki, nowe wieści: Polacy cofnęli się do Prutu, Denikin też cofa się na Don, Odesa się ewakuuje. Sprzymierzeńcy odstąpili zupełnie i nie myślą pomagać, a bolszewicy, wspierani przez Niemców, biorą górę. Szepetówkę odebrali Polakom. W Rumunji bolszewizm lada dzień ma wybuchnąć — nie mogę, nie mogę już wyliczać tych okropności. Tylko zło, tylko niedola, tylko krzywda naokoło; a tych parę jasnych miesięcy w Polsce — to igraszka losu, który wydobył mię z tej toni niedoli, aby tem głębiej i straszniej pograżyć.

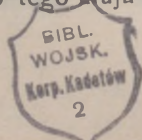
Przyjechał kupiec leśny, żądając zwrotu pieniędzy, bo chłopci w Gruszcze i w Lipczanach zabronili mu dotykać się lasu, stróżów wypędzili, a sami rąbią i niszczą. Musiałam, oczywiście, pieniądze oddać. Mój Boże, z taką radością je zbierałam, myśląc o jaśniejszych chwilach, a teraz nawet na życie mieć nie będę, bo drożyzna straszna, a dochodów żadnych nie mam. Chłopi wszędzie zabrali się do ponownych pogromów, Gdzie jeszcze były resztki budynków, roznoszą, lasy i ogrody w pień wycinają. Powtarza się rok siedemnasty, tylko dzieło zniszczenia odbywa się

z większą dokładnością i systematycznością; znać w tem silną agitację. Ile zła ten Denikin narobił, zaprzepaścił kraj zupełnie.

Wczoraj jeździłam do Kaczkówki, by tam założyć szkołę. Znowu cały dzień męczącej wędrówki po fatalnej drodze, znowu czekanie, zbieranie, proszenie, aby raczyli się zebrać; byłam tak zmęczona i rozgniewana, tak mi obrzydło to społeczne poranie się, że zarzekłam się tego jeżdżenia. Ale jak się trochę ludzi zebrało, jak się zaczęło od serca rozmawiać, jak zobaczyłam ich zasłuchane twarze, gdy im o Polsce mówiłam, i radość, gdy się dowiedzieli, że szkołę opłacać będę z zapomogi rządowej; gdy wreszcie pomyślałam, że znowu się stworzy małe ognisko oświaty polskiej, to i o trudach, i o gniewie, i o przykrości zapomniałam. Zawsze ta sama historia!

31-go stycznia.

Po raz setny zastanawiam się, dlaczego ja tu zostałam, gdy moi wszyscy są tam? Właściwie powinno to być dla mnie ulgą, że już się o nich nie potrzebuję niepokoić, że im nic nie grozi, ale jednocześnie tęsknota i poczucie krzywdy są takie bolesne. Przedtem choć okropnie było, jednak czułam dokoła bliskich i równych sobie, którzy przeżywali to, co ja, żyli tą samą męką. Choć odosobniona w swoim dworze, wiedziałam, że gdzieś w pobliskim miasteczku, w sąsiednim powiecie są nieszczęśliwe serca, co czują tak, jak ja. Był jakiś podział niedoli. Teraz cały ciężar, ogrom cierpienia całego tego kraju zwałił się na moje ramio-



na. Sama jestem, samiutka. Ta pustka, ta głusza odejmuje wszelki ludzki charakter mojej męce, która staje się czemś oderwanem od życia, czemś potężnym, wiecznym, niezależnym zupełnie od biegu dni ludzkich.

2-go lutego.

Jeszcze się poram z lasem, korzystając, że chwilowo rządy w powiecie jampolskim objął ukraiński komisarz, Łampiga. Trafiliśmy do niego łapówką, i obiecał posłać do Gruszki dwudziestu kozaków, by zabronili chłopom rąbać las, a żyda zpowrotem osadzili. Szlachetny dygnitarz władzy sowiecko-ukraińskiej dostanie dwieście rubli od każdej dziesięciny zrąbanej. Ciągłe ta sama historia, tylko z coraz gorszymi ludźmi ma się do czynienia i w formach coraz marniejszych.

Przeszłego roku, choć parszywą, ale własną szkapą po chorych jeździłam; teraz przysyłają po mnie, bo koni nie mam, kaloszy również, a buty już dziurawe.

5-go lutego.

Tak mi się marzy czasami: 'chciałabym się otoczyć pięknymi obrazami... niech to będą niewielkie pejzaże, gdzie ciche dworki drzemią, a naokoło bzy kwitną, lub śmieją się rozkwitłe jabłonie... niech będzie w nich dużo słońca, dużo pogody i cichy, błogosławiony spokój... niech czuję, że w ich wnętrzu żyją dobrzy ludzie...

Chce mi się tańczyć — ach ruchu, rytmu!

Opanowała mnie jakaś żądza wyrzucenia naze-
wnątrz uczuć i myśli: po nocach pisuję, a o szarej go-
dzinie wygrywam niestworzone melodje.

Żyję wśród bogactw nieprzebranych: w nocy ką-
pałam się w roztopionem srebrze księżyca, a na prze-
budzenie świt wyzłocił mi cały pokój. Takie cuda!
Jasno mi i trwożnie na duszy. Oczekuję czegoś,
coś się stać musi — zmiana, ruch, życie — czuję już
wiosnę.

7-go lutego.

P. Żukowski donosi, że z lasem gruszczańskim
nic zrobić nie można: Łampiga wziął łapówkę, ale
kozaków nie wysłał, a tymczasem chłopci rąbią las
i ogród. Nie mam już sił i energji do walki, wszystko mi
jedno. Podobno Polacy są w Zmierzynie; w nic nie
wierzę; nie chcę się cieszyć, łudzić, nie chcę nic wie-
dzieć. Przez tych parę dni tak mi dobrze było, bo ja-
koś przycichły wszelkie wiadomości. Trochę uspokoi-
łam się i oddaliłam od tego obłędu dręczących plo-
tek. Ach, zapaść się w jakiś stan odrętwienia, zob-
jętnieć na wszystko, niczem się nie przejmować, żyć
w spokoju i rezygnacji.

11-go lutego.

Przyjeżdżali dziś chłopci z Gruszki, aby ze mną
omówić sprawę wydzierżawienia ogrodu. Dziwne po-

mieszanie pojęć: kradną, niszczą z całą zawziętością, a równocześnie nagłe skrupuły co do rozporządzania się „pańską własnością“. Słuchając ich opowiadań o spustoszeniu, jakie się tam dokonywa, postanowiłam pojechać do Gruszki; może moja obecność coś powstrzyma, uratuje szczątki. Ale siły mnie opuszczają na myśl, że trzeba będzie oglądać ruinę mego ukochanego domu; mój Boże, mury — już tylko mury!

Nie umiem znaleźć słów na określenie okropnego stanu zniechęcenia, obrzydzenia, w jakim się znajduję. Ciągłe obcowanie z chłopami; ciągle i jedynie mieć tylko do czynienia z ciemnotą i podłością.

12-go lutego.

Oby już prędzej, choćby do śmierci, byle do jakiegoś końca! Codzień te same jęki i skargi wypisuję, bo codzień jednakowe, a właściwie codzień obrzydliwsze staje się życie. Wiecznie w brudzie, w chłodzie, pustce i szarzyźnie; wiecznie będę proszki ważyć, maści rozcierać, marznąć w ręce i jeździć do zawszonych chorych w brudnym, obdartem futrze, które ze wstrętem każdym razem nakładam. Znów biegania po chorych od rana, a czasem i w nocy; zmęczenie okropne: ach, żeby się zamęczyć na śmierć! Chcę krzyczeć, że mi się krzywda dzieje! Ale jaka krzywda? — świadomie i dobrowolnie wybrałam swój los. Słyszysz? nie przymus, ale twoja własna wola tu cię trzyma; umiję z godnością cierpieć, kiedyś taką drogę wybrała.

13-go lutego.

Dziś pięć i pół lat upływa od śmierci mej matki; taki kawał czasu, a ja się wciąż jeszcze do sieroctwa swego przyzwyczać nie mogę. Czasem zdaje mi się, że ten okropny okres trwa wieki i jedynie ze śmiercią się zakończy, tak jak radosne, beztroskie życie z matką moją najukochańszą poszło w grób.

Odesa w rękach bolszewików. Denikin się cofa. Bolszewicy w Mulafie i Rachnach; cofają się przed Polakami, którzy ich pobili pod Barem. Nic już nie wiem, ani cieszę się, ani smucę, w nic nie wierzę.

16-go lutego.

Byłam w Gruszce. Od trzech lat walczę ze śmiercią i wciąż tylko nowe ruiny widzę dokoła. Mojej biednej Gruszki już niemal Pierwszy raz przy wjeździe do wsi stary dwór nie powitał mnie tak, jak dawniej białością swych wysokich ścian. Dopiero dojechawszy do bramy, która, wyrwana ciężarem żelaznych zębów wryła się w ziemię, zobaczyłam sterzące obdarte mury. Ganku, tego ślicznego wesołego ganku — ani śladu. Dach zerwany, sufity zwalone, posadzki, klatki schodowe, futryny — wszystko, co z drzewa i z żelaza, wyszarpane ze ścian. Trudno się zorientować w rozkładzie; ja, któraby tam ślepa trafiła i poznała każdy kącik, teraz błdziłam wśród ruin i płakałam wraz z temi ścianami, które szmerem osypujących się rumowisk szepcą jakieś straszne, po-

zagrobowe litanje. Płakałam, a łzy padały na strzaskane kamienie, wsiąkały w rumowisko. Nic na świecie nie ginie — niech tam łzy moje zostaną! Ogrodu też poznać nie mogłam: luki, olbrzymie tysiny, puste place tam, gdzie dawniej szumiąca dostojna gęstwa; nawet kochane sosny, przez Mamę sadzone, które razem ze mną rosły, powycinane lub połamane. Jedynie stare świerki — samotne olbrzymy, zostały na tem cmentarzysku, jak pomniki grobowe. Chamska, tępa, plugawa drapieżność wszystko tu zbezczeszczyła, zniszczyła.

Na folwarku jeszcze gromady szakali dogryzały resztki ofiary. Stałam w drzwiach śpichlerza, w którym banda chłopców i stary dziad wypitowywali belki. Nie poznali mię narazie. „Boże pomahaj“ — powiedziała ze spokojną ironją; jeden podziękował, ale w tej chwili poznali mię i, rzuciwszy robotę, uciekli. Och, ten ich krok przyśpieszony, tchórzowski, wstrętny! Wołałabym, żeby mnie byli kamieniami obrzucili. Jeden stary tak był zajęty wydłubywaniem deski z muru, że całej tej sceny nie zauważył i w dalszym ciągu oddawał się swej robocie. Dopiero gdy stanęłam nad nim, zorientował się w położeniu i zaczął ze współczuciem ubolewać nad dworem. Gdy zwróciłam jego uwagę, że przecież sam w tej chwili przyczynia się do zniszczenia, podrapał się w głowę, ogtępiałym wzrokiem spojrzął na siekiere: „Wsi berut, to i ja tożę“ i, zabrawszy kawałek odłupanego drewna, odszedł. Poszłam do stodoły, właściwie do pustych murów; dwie baby były tam mocno zajęte obra-

bywaniem resztek słupów. Jedna spostrzegła mnie, wysypała prędko drzazgi i, porwawszy pusty worek, zaczęła uciekać. Krzyknęłam na nią, żeby została, że chyba nic złego nie robi, ale widać było w moim głosie coś takiego, że wołała nie zawracać. Druga z zapamiętaniem rąbała. Zaproponowałam jej, żeby poszła do drugiego budynku, tam jeszcze można całe belki wypitować. „De ja hodna piłowaty, panienska mene znaje, szczo ja słabosilna“. Odeszłam ze wstrętem, była to dawna moja pacjentka, którą leczyłam przez dłuższy czas.

Obeszłam wszystkie kąty, niegdyś śliczne, wesołe, teraz tragiczną pustką ziejące. Gdy mi doniesiono, że dwór i ogród zniszczony, tworzyłam sobie w wyobraźni straszny widok; ale rzeczywistość przeszła o wiele moją fantazję.

Las prawie zupełnie zrąbany; chcąc wyciągnąć choć trochę pieniędzy, powiedziałam staroście, aby wytłumaczył chłopom, by mi za las w formie kupna zapłacili, o ile potem nie chcą płacić dziesięć razy większej kary. Już nad sobą nie mogłam panować: powiedziałam im, że są wściekłe psy, że prędko skończy się ich panowanie, a wtedy ja się za nimi już wstawiać nie będę, tak jak przedtem za czasów austriackich. Mówiłam, nie zważając na nic, czując, że ten stan dłużej trwać nie może; albo niech oni poczują naszą władzę, albo niech mnie zabiją, i niech się skończy już ta okropna komedia, w której muszę utrzymywać się w roli pani wśród rozbestwienia i zupełnej przewagi chamskiej.

Jakże się wszystko zmieniło! Zajechaliśmy do Iwasia; córka jego, która była dziewczyną w kredensie, teraz przyjeżdża parą pysznych koni z mężem najmować salę w szkole na przedstawienie amatorskie; sama jest główną aktorką, a mąż reżyserem trupy amatorskiej w Kosach *), która przez sezon zimowy zabawia się, dając gościnne występy w sąsiednich wsiach. Ślicznie to napozór — lud się cywilizuje; ty!ko cywilizacja to sztuczna i powierzchowna, nie oparta na żadnych podwalinach kultury moralnej.

19-go lutego.

Ksiądz Kasprzykowski powrócił! Dzięki Ci, Boże, że są jeszcze serca apostołskiej mocy i poświęcenia, i że ja w te serca mogę wierzyć. Przywiozła mi te wiadomości nauczycielka z Czerniowiec, którą mam instalować w Babczyńcach. Ksiądz był w Kamieńcu; wszędzie tam dużo wojsk naszych; śliczne, silne, dobrze umundurowane i rwące się naprzód. Działają w porozumieniu z Petlurą, któremu pozwolono robić werbunek w Galicji Wschodniej; ma on tu przyjść i robić porządek, a w razie, gdyby sobie nie dał rady, pomogą nasi. Więc jest wszelka nadzieja, że przyjdą na wiosnę. Wszędzie tu pełno emisariuszów polskich, którzy przebiegają nasz kraj i organizują wojska — niby ukraińskie. Polacy posunęli się i zajęli Kuryłowce. Wszyscy oczekują naszych wojsk, a chłopci porządnie się boją. Często teraz odwiedza mnie pop, by zasięgnąć

*) Pobliska wieś.

wiadomości, kiedy przyjdą wojska polskie — to jedyne wybawienie! Czasem drobne rzeczy stają się nagrodą za olbrzymie cierpienia; tak mnie to cieszy i raduje, kiedy pop z zatroskaną miną pyta o nasze wojsko, od którego czeka ratunku. To są drobiazgi, ale dają chwile olbrzymiej przyjemności.

Dziś przyjechał delegat od ludzi gruszańskich z oznajmieniem, że zgadzają się na kupno lasu i na moje warunki i za parę dni przyjadą z pieniędzmi robić kontrakt. Coś mi się podejrzana wydaje ta szybkość i łatwość, z jaką się na wszystko zgodzili. Albo im moja przemowa w związku z ostatnimi wiadomościami strachu napędziła, albo to jakiś sprytny manewr. Za parę dni wszystko się rozstrzygnie. Boże mój, a jeżeli przyjdą Polacy, i będą pieniądze, to jadę! jadę! Znów nabieram sił i energii, poto pewnie, aby za parę dni znów się pogrążyć w rozpacz.

W tych dniach pani Plejewska jedzie końmi do Kamieńca, a stamtąd do Polski. Dam jej list; tak się cieszę, że przynajmniej będę mogła napisać do nich, i że może oni to moje pisanie przeczytają. Ale dlaczego nie odzywają się dotąd?

20-go lutego.

Wczoraj panika w Jampolu z powodu zbliżania się armji bolszewickiej. Dziś Ukraińcy uciekli, bo nadchodzą denikinowcy.

21-go lutego.

Cała awantura! Rano zjawiło się paru urzędników ukraińskich, uciekających z Jampola przed bol-

szewikami. W parę godzin potem sypnęła się cała chmara wojsk; w pierwszej chwili myślałam, że bolszewicy; pokazało się, że to armja Denikina, uciekająca przed bolszewikami; podzielona na trzy kolumny, sunie do Mohylowa z żonami i z dziećmi. Nie wygląda to na armję, ale na gromadę uciekinierów. Sami nie wiedzą, gdzie idą, co z sobą zrobią? Jedni mówią, że idą do Kijowa, drudzy, że z Polakami się łączą przeciw bolszewikom. Wkońcu wygadali się, że pędzą ich bolszewicy, że nie mają gdzie uciekać; jedyna nadzieja, że ich Polacy wpuszczą w swoje granice, albo rozbroją, albo pozwolą organizować się i formować na nowo. Sami się przyznają, a zresztą widać, że są zupełnie zdemoralizowani i zdezorganizowani. Zgubiła ich starszyzna, która piła i hulala, a przez ten czas żołnierze uprawiali się w bolszewizm. Wstrętne gangrena, a przecież to kwiat narodu rosyjskiego. Rozbitki zupełne, idą naoslep; jeżeli ich Polacy nie przyjmą, pozostanie im tylko — kula w łeb. Idą zebrać naszej łaski! Ach, co to za przyjemność słyszeć ich z pokorą i niepewnością mówiących, czy ich Polacy przyjmą i co z nimi zrobią? Z prawdziwą radością pocieszałam ich, że takich, jak oni, Polacy nie potrzebują. I obyż mieli ten rozum, obyż tej zaryzy nie wpuszczali! Niech już lepiej to wszystko tu zostaje i rozkłada się do reszty, niech przepada — nie mam dla nich żadnych uczuć, prócz pogardy.

Wież przepelniona: naturalnie, napchało się tego mnóstwo do dworu z kobietami i dziećmi, a ponieważ wszędzie zimno, więc oddałyśmy im swoje pokoje,

a same ścisnęłyśmy się w jednym. Ta ciżba brudna, wymęczona, głodna, ogromnie wdzięczna była za przyjęcie, ale nałogi moskiewskie wylażyły; w pokoju, w którym spały dwie oficerowe, przepadł zegarek... Wolę bolszewików, bo przynajmniej kradną otwarcie i z zasady.

Dziś nakarmieni i wyspani ruszyli dalej. Po chwili zjawił się oddział kozaków, należący do armji Denikina, i również pędzący naoslep w ucieczkę. Dwóch przyszło do dworu; twarz jednego wydała mi się nadzwyczaj znajoma; po chwili przypomniałam sobie, że był on z oddziałem ochronnym kozaków w Gruszcze w czasie pogromu, wtedy, kiedy chłopci spalili im konie. Doskonale sobie przypominam; to ten sam, który mię szturchał, żebym więcej pieniędzy dawała, i najlepszego konia z czwórki mi zabrał, a biednemu p. Duszyńskiemu groził, że się z nim po kozacku rozprawi. I teraz ten sam miał bezczelność pytać się, czy w Gruszcze są jakie konie, bo jemu należy się za spalone, a p. Duszyński winien mu jeszcze siedem tysięcy rubli. Oto „nachał“ moskiewski! jacyż oni wstrętnei, czy zwycięzcy, czy zwyciężeni, marni, niscy, podli! Ani szczęście, ani niedoła nie potrafi już w tych duszach wykrzesać iskierki szlachetności.

Co z nimi Polacy zrobią? Trzeba się teraz przygotować na ciągle niepokoje, bo wślad za nimi mogą przyjść bolszewicy, a zresztą i pobyt samych obrońców honoru i ojczyzny nie obiecuje nic dobrego. Pewnie się rozlecą zupełnie i bandami będą grasowali po kraju. Dziś w Jampolu rozgromili żydów i paru zabili; w Kamionce wyróżnęli podobno dużo.

22-go lutego.

Dziś nowi goście — galiczanie, którzy w czasie zajęcia Ukrainy przez Denikina przyłączyli się do niego, a teraz zmykają pod opiekę Polaków. To jest przecież przyjemność niesłychana widzieć tych naszych zaciekłych wrogów: Moskali i Rusinów galicyjskich, jak idą uderzyć w pokorę i prosić nas o łaskę. Jeden z oficerów tak się dziś odezwał: „Podobno Polacy biorą Galicję Wschodnią, a wzamian pozwalają Petlurze formować wojska; a niech już i tak będzie, byle tu była Ukraina, i byle był spokój“. Więc już rezygnują z Galicji, wzięwszy dobrze w skórę.

Wprosili się, naturalnie, do dworu; ci przynajmniej bez bab, przytem jacyś przyzwoitsi od tamtych barbarzyńców wschodnich. Jeden z ordynansów jest jak giermek z obrazu Matejki: pucułowata twarz, okolona płową czupryną, i siwe szelmowskie oczy; taki musiał być Rzędzian. Nazywa się Włodek — no, i to przecież lepiej i sympatyczniej brzmi od Wołodi.

Jestem pod wrażeniem pogrzebu jednego biedaka, ojca moich uczniów. Ratowałam go, jak mogłam, ale starowina umarł. Nędza tam straszna, matka i siedmioro dzieci chorych; jedno najzdrowsze, co ledwo nogami włóczy, obsługuje całą chatę, bo z rodziny ni sąsiadów nikt nie przyjdzie pomóc. Mieści się to wszystko w zimnej, brudnej, maleńkiej izdebce; i ciało zmarłego dwie doby tam spoczywało. Musiałam zająć się pogrzebem, bo nie było komu o tem pomyśleć. Serce się kraje, i łązy mnie duszą, kiedy tam

idę. A jednak w śmierci tego biedaka tyle jest prostoty, nie tak jak u bogacza, którego pompa i cały rynsztunek żałobny oddziela odrazu od żyjących, czyniąc zeń rzecz obcą, a śmierci nadając wyraz grozy i okropności, których w rzeczywistości wcale niema. Tu prostota i szczery smutek, ale bez przerażenia. Na tym samym tapczanie, na którym chorował, leżało ciało jego, przebrane jeno w czystą, zgrzebną koszulę. Zamiast szeregu gromnic przyświecał mu dzień i noc olejny pełgający kaganek. Na ziemi w kącie zgarnięte narzędzia szewskie, a pod piecem i za piecem cała gromadka jego skulona, splakana w gorączce i bólu. Nim poszedł do ziemi, do ostatniej chwili był ze swoimi, ze swą pracą i nędzą, jak za życia. Potem uboga trumna, złożona na sanie, zaprzężone w woły, bo nikt koni nie chce dać w obawie przed wojskiem, które je rekwiruje. Gromadka bab i my ze szkółką poszliśmy za trumną, odprowadzając ją kawałek drogi, a potem ubożuchne sanie z wołkami i poganiaczem wlokły się przez błotnistą drogę na daleki cmentarz.

24-go lutego.

Wczoraj jeździłam instalować nauczycielkę w Babczyńcach. Trochę późno, ale cóż robić; kandydatek mi brak, a wszelkie porozumienie i jazdy tak strasznie są utrudnione.

Po drodze spotykaliśmy mnóstwo fur, powracających z Mohylowa, dokąd chłopci odwozili Denikinowców; wszyscy zmarznięci, przestraszeni, klną i okólnymi drogami wracają do domu, by się nie spotkać

z wojskiem. Wielu pozostawiało wozy i, byle konie uratować, w nocy puciekąco, chcąc uniknąć dalszej przymusowej jazdy.

Zajechałam do domu Buderaskich, którzy w babczyńskim zaścianku mają mir i szacunek największy; wśród tej schłopiałej szlachty są to jedyni inteligentni i przyzwoici ludzie. Sanie zatrzymały się przed dworkiem z nasuniętą nisko strzechą. Białe kolumny podpierały niewielki ganek, na który w tej chwili właśnie wyszedł staruszek w kożuszku, podpasanym rzemieniem; siwa barankowa czapka, z fantazją nabakier włożona, łączyła się z siwą brodą, okalającą czerstwe oblicze. Gdyby nie stare, pocziwe wyblakłe oczy, cała postać młodzieńczym ruchem rysowała się na tle białych ścian. W pierwszej chwili miałam złudzenie jakiegoś starego sztychu, który, ocalony z gruzów i ruin, tu mi się majakiem przed oczami snuje. Skąd tu, w kraju bolszewików i rezunów, grottgerowski powstaniec wita mię w pochyłych drzwiach swego starego dworku? Wrażenie moje nie było złudzeniem, ani halucynacją. Był to naprawdę powstaniec z 63 roku. Ani długie lata cierpień, ani męka obecnych przeżyć nie zdołały zatrzeć w tym staruszkcu charakterystycznych cech minionej epoki bohaterstwa i żałoby.

Starowina rozgadał się ze mną. Opowiadał o powstaniu, o bitwach, zwycięstwach, klęskach. Jako wywiadowca Rózyckiego, przejeżdżał przez Słobódkę Murakowską; zsiadł, aby konia napoić; jakaś baba dała znać do wsi; zaraz dwóch chłopów, uzbrojonych w widły i cepy, napadło na niego, ale, że był

dobrym strzelcem, dwoma strzałami z rewolweru oswoił się. Opowiadał o bitwie pod Miechowem, w której brał udział i, pokazując rękę swą, chudą i trzęsącą, mówił: „Widzi pani? ta ręka ścinała głowy moskiewskie, choć nie byłem bardzo silny!“ Bóg dawał moc. „Ach, cóż to był za zapal!“ I z błyszczącymi oczyma pytał mię: „Kiedy przyjdą nasi? Żeby ich jeszcze przed śmiercią zobaczyć! Jeszczebym poszedł razem z nimi, jeszczebym się na coś przydał!...“ Potem opowiadał, ile razy bolszewicy go niepokoiili, jak kradli i grabili; i ze łzami, jak dziecko, skarżył się, że mu szablę i gitarę zabrali. Zna całą moją rodzinę; prababka moja do chrztu go trzymała; z dziaduniem korespondował. A nie byle kto go rodził! Z dumą, pokręciwszy wąsa, oznajmił mi, że matka jego — Ossolińska. Z powodu prześladowań za czasów W. Ks. Konstantego musiała ukrywać się pod cudzem nazwiskiem, a wkońcu wyszła za jego ojca, wychowańca Liceum Krzemienieckiego.

Cała zasluchana, byłam pod urokiem tego starszka; zdawało mi się, że śnię jakąś fantastyczną historję. Tu, w zapadłym babczyńieckim kącie ten starzec nad grobem, żołnierz nieudanego powstania, wychekujący z niegasnącą wiarą i miłością na zwycięską armję polską, owianą tym samym duchem przez wieki, lata i pokolenia!...

A ze szkołą, jak zwykle, uporałam się po długich gadaniach. Jak wszędzie, jak zawsze to samo zainteresowanie się Polską i oczekiwanie wojsk naszych.

Wróciwszy do domu, zastałam moją neofitkę z Olfanówki, która bardzo dzielnie tam się sprawuje; oprócz szkoły, którą prowadzi, miewa odczyty i czytania dla starszych. Przyjechała po książki; widać, że jest zadowolona, a ja ogromnie się cieszę, że ją wyrwała z łap popowskich.

25-go lutego.

Groza wojny w całej ohydzie: cofające się wojska grabią nie tylko miejscową ludność, ale wzajemnie się obdzierają i łupią; nędza je żre, zaraza dziesiątkuje. Przesłano mi z Jampola żołnierza denikinowskiego; osiemnastoletni chłopiec, od trzech tygodni chory na tyfus. Po drodze obdarli go, nawet dokumenty zabrali; ledwie to dowlokło się do Jampola, a stamtąd wygodni ludzie odesłali go tu znów piechotą. Serce się kraje, gdy się patrzy na tę biedę; jak on mógł zająć, kiedy na nogach utrzymać się nie może? Nie wiem, co z nim zrobić; wszędzie zimno, nie mam go gdzie przytulić. Oddałam go do chłopca sąsiada; posyłam mu jedzenie, a tam za piecem przynajmniej mu ciepło.

Dziś w nocy wyjechali galiczenie, uciekając przed bolszewikami, którzy im na pięty następują. Są już pod Jampolem, jutro można się ich tu spodziewać. Co nas od nich czeka? może nadchodzą ostatnie nasze godziny? Człowiek, otchłań przepłynąwszy, u brzegu tonie; może i my mamy zginąć, nie doczekawszy się naszych, którzy są tak blisko.

Równocześnie kilkanaście gatunków wojsk kręci się po kraju: denikinowcy, galiczenie, kozacy dońscy,

bolszewicy z Niemcami, miejscowi Ukraińcy. Każda banda zabarwiona swoim, specyficznie własnym nastrojem, każda czego innego chce. I z tem wszystkim Polacy mają porządek robić!

26-go lutego.

Zjawiała się dziś do dworu banda żołnierzy; z pozoru wyglądali na bolszewików, a podawali się za denikinowców. Jeden miał epolety i mówił po rosyjsku, reszta nie miała żadnych odznak i rozmawiała po ukraińsku; poznałam między nimi dwóch chłopców z Halzbijówki. Mieli papier od jampolskiego komendanta ukraińskiego (więc mieszanina wszystkiego razem) z rozporządzeniem, abym im wydała słomy i owsa. Krew się we mnie burzyła, kiedy te hadjuckie smarkacze z arogancją się do mnie zwracali. Gdy się dowiedzieli, że przechowuję denikinowca, poszli go odwiedzić; na tem się skończyły te odwiedziny, że go obili, ostatnią koszulę zdarli i znaleźli przy nim papiery bolszewickie. Bóg raczy wiedzieć, kto on jest i kto oni w tem pomieszaniu gatunków ludzkich? Więc opiekuję się, karmię i leczę bolszewika; może jutro towarzysze jego mnie zabiją? — Trudno. — Biedak! Żal mi go! Dziś także przyprowadzono mi człowieka z gubernji Czernihowskiej. Denikinowcy kazali mu się wozić przez pięć miesięcy, wkońcu zabrali wóz, konie i buty, a on choiy na tyfus przywłókł się tutaj. Umieściłam go u drugiego chłopca.

27-go lutego.

Wczoraj przyjechało znów kilku żołnierzy z wczorajszej bandy z żądaniem wydania słomy, owsa i żyta. Zachowanie się ich było bardzo podejrzanę; kazali sobie w jadalnym pokoju podać obiad; coprawda, wyprosiłam ich do szkoły. Na moje zapewnienia, że owsa i żyta nie mam, powiedzieli, że sami poszukają. Czując, że to pachnie czemś niedobrem, posłałam po starostę. Tymczasem dwóch z bandy pojechało na wieś, a dwóch dobrze podpitych zostało na podwórzu, pilnując naładowania słomy na fury. Gdy przyszedł starosta z kilku ludźmi, i gdy mu powiedziałam, o co chodzi, zaprotestował energicznie, na co żołnierze hardo odpowiedzieli, że nikt nie ma prawa mieszać się do nich. Jeden zmierzył się z karabinem do chłopów, ale szczęściem wypalił w powietrze. Wtedy chłopci, rzuciwszy się, rozbroili ich, furom pustym rozkazując wracać. Za chwilę powrócili dwaj starsi, a widząc, co się dzieje, krzyknęli: „Bij, pad stienku!“ i, wyskoczywszy z szarabanu, chwycili za karabiny. W mgnieniu oka chłopci się rozproszyli, ja też ukryłam się w domu. Cisza nastąpiła grobowa, a gdy po chwili wyszła na podwórze, jakby kto wymiótł ani żywego ducha, tylko czterej bolszewicy, chwilowi zwycięzcy, przechadzali się spokojnie. Czulałam, że jestem zupełnie na ich łasce, bo chłopci i służba pouciekali; należało więc dojść do jakiegoś porozumienia. Gdy się zbliżyłam, zaczęli tłumaczyć, że mają papiery, że są przy władzy, a z wsią potrafią

się rozprawić. W tej samej chwili rozległo się dzwonienie na alarm w Halźbijówce, a wnet potem na Białej. W pierwszym momencie ani ja, ani żołnierze nie zrozumieliśmy, o co chodzi; wprędce jednak zaczęli schodzić się chłopi. Ci, którzy przed chwilą zmykali, teraz w gromadzie z pewnymi minami okrzyki żołnierzy, żądając papierów. Dokument, posiadany przez bolszewików, nie zadowolił ich; brakło na nim pieczęci. Tymczasem napływały coraz większe gromady; cała Halźbijówka i Biała zbiegły się na wieść, że „panienkę grabią“. Baby, starcy, dzieci, uzbrojone w kije i łopaty, cisnęły się coraz bardziej dokoła żołnierzy, którzy, steroryzowani przez tłum, pozwolili się rozbroić. Czując coś strasznego w złowrogim pomruku tłumu, przekładałam staroście, aby jak najprędzej żołnierzy zaaresztował i zamknął. Ale starosta z roztargnieniem słuchał moich słów, coraz chciwszem okiem spozierając na swoje ofiary. Wtem ciężka pięść spadła na głowę jednego z żołnierzy, a potem posypały się razy z przekleństwami, rykami i wyciem nieludzkim. — Polały się pierwsze krople krwi. Chciałam wyrwać nieszczęśników z pośród tłumu. Starszy żołnierz instynktownie zbliżył się do mnie i, nadržając miną, prosił o trochę wody, by się obmyć ze krwi; chciałam go nieznacznie wysunąć i wepchnąć do domu, ale zazdrosny tłum rzucił się na swą ofiarę i wciągnął go zpowrotem. Wszczął się piekielny hałas; głucho uderzenia kolby o ciała ludzkie, chrzęst kamieni, gruchocących kości; jęki i przyspieszony, chrapliwy oddech przyczajonej w tłu-

mie bestji ludzkiej... Nie wiem, co się ze mną działo; chciałam przekrzywić gwar, ale mi serce w gardle uwięzło, że głosu dobyć nie mogłam; biegałam od jednego do drugiego, płaczem, groźbą, gniewem, z jakąś ostateczną rozpaczą błagając, aby zaprzestali; ale spozierały na mnie błędne oczy z tępym wyrazem okrucieństwa; odpychały mnie jakieś ręce i w tej samej chwili te same ręce, zaciśnięte w pięści, spadały na krwawą masę drgających ciał. Czułam, że słowa moje odbijają się o martwe drewno, że prędzej wrzuciłabym kamienie, co, rzucone z okrutnej celnej dłoni, jednak czasem szczydziły nieszczęśliwej ofiary i chybiały. Tymczasem rozjuszony tłum wywłócił żołnierzy z podwórza przed dwór i ze zwierzęcem — nie! — z ludzkim okrucieństwem znęcał się nad temi bezkształtnymi bryłami błota i krwi; gdy który zdawał się już konać, bili go, dopóki nie podniósł się na chwiejące się nogi, a wtedy ciężkie uderzenia kolby i kijów gnały go przed siebie w bezprzytomnym szale, aż znów łachmanem krwawego ciała zarył się w rozmieszane błoto.

Życzliwsi chłopci i służba brali mię pod ręce, wyciągali z tłumu, prosili, abym poszła do dworu i nie patrzyła na to wszystko. Ale mnie też szła jakiś ogarnął; biegałam wśród krwawego tłumu, gdzie jeszcze ludzki wyraz na twarzy się malował, prosiłam, błagałam o litość; resztkami sił i przytomności tłumaczyłam, aby ich zabrano stąd, aby zamknięto. Nic nie słyszeli, jakgdyby im wzrok i słuch krew zalała. Jeden tylko stelmach Jakób, gdym do niego podeszła, w okrop-

nym płaczu ręce bezradnie załamał. Taka mu jestem wdzięczna za te łzy!

Cztery drgające ciała ludzkie leżały rozrzucone po całym dziedzińcu: jedno na chodniku przed moimi oknami; drugi się wczółgał na schody ganku, szukając ukrycia; inni leżeli w błocie bezwładnie. Tłum z obojętną pogardą patrzył na swoje dzieło, z okrutnym rechetem kopiąc drgające szczątki nogami.

Byłam bez sił, bez czucia, bez przytomności, bez woli. Tłukłam się wśród tłumu, sama nie wiedząc poco, dlaczego i o co proszę; złowrogi pomruk odpowiadał moim prośbom, brutalnie odpychano mię z pogardą. Aż wreszcie jakieś poczciwe ręce ujęły mię silnie, wprowadziły do domu, zamykając za mną drzwi. Ciemny zmierzch już zapadał, gdyśmy usłyszały cztery strzały — dobito nareszcie ofiary pod srebrnym świerkiem, przed oknami mego sypialnego pokoju. Ciała obdarto, nagie złożono na wóz i wyrzucono do jaru. Wszystko działo się na dziedzińcu, przed dworem, a trwało od trzeciej do ósmej.

Jakiś wstręt i bunt, coś, co wypowiedzieć trudno, a co piersi i gardło rozsadza, wstrząsało całą istotą. Boże! przecież tak psa wściekłego zabić nie wolno. I to się nazywają chrześcijanie, ludzie, którzy niby Boga wyznają? Nie mogę się uspokoić, nie mogę! Próżno mi tłumaczą, że to byli bandyci, że znaleziono przy nich dużo klejnotów. Dobrze — ale choćby byli najokrutniejszymi zbrodniarzami, tak zabijać nie wolno! Wszystko buntuje się w człowieku przeciw temu bestjałskiemu barbarzyństwu. Próżno mi hadjuki

tłumaczą, że zrobili to w swojej i mojej obronie, że żołnierze kradli na wsi, a teraz chcieli zrobić pogrom dworu; nie mogę ścierpieć widoku tych katów. Wstręt, wstręt taki okropny przejmuję. Ach uciekać gdzieś na koniec świata od tych ludzi, od tych miejsc, zbroczonych krwią!

28-go lutego.

Wczoraj rano, obudziwszy się, a właściwie po całonocnem niespaniu wstawszy, podeszłam do okna. Petryk właśnie zasypywał popiołem kałużę krwi pod świerkiem. Na chodniku kamiennym rozmazana krew, ściana pod oknem biblioteki zbryzgana krwią; na korynienach winogrodu dokoła ganku sople zastygłej krwi. Wszędzie krew i krew! Widzę ją dokoła, czuję smak i zapach.

29-go lutego.

Mam wrażenie, że to był jakiś okropny sen, który mi się śnił, że naprawdę tego wszystkiego nie było, ale krwawe ślady, które występują z pod tającego śniegu i błota, przypominają o okropnej rzeczywistości.

Dziwne jednak, jak to wszystko ode mnie odbiegło: narazie zdawało mi się, że z tem wspomnieniem żyć nie potrafię. Byłam tak zdenerwowana i wstrząśnięta; myślałam, że oszaleję. A dziś wszystko to ode mnie się oddaliło. Okropne sceny, postaci nieszczęśliwych ofiar zamazały się w mej pamięci, zupełnie tak, jakby cała ta potworna scena zdarzyła się kiedyś przed laty, i tylko blade wspomnienie z niej zostało. Nie umiem sobie wytłumaczyć, czem się to dzieje? Może

po tak strasznem, wstrząsającym wrażeniu nastąpiła reakcja i zupełne ogłuszenie? Teraz tylko odczuwam obrzydzenie i wstręt. Wczoraj przyjeżdżał naczelnik milicji spisywać protokół. Pierwszy raz w życiu robiłam zeznania. Był przy tem starosta i kilku chłopów. Opowiedziałam wszystko tak, jak było, w słowach najkrótszych i najprostszych. Zeznania pozostałych nie były tak proste; mówili prawdę, ale bardzo upiększoną: że żołnierze rozpoczęli kanonadę na bezbronny lud, choć w rzeczywistości tylko jeden wystrzał mieli czas dać; że byli zupełnie trzeźwi, tymczasem dwóch było porządnie pijanych. Naturalnie muszą tak mówić, aby uniewinnić całą wieś, ale te kłamstwa wobec czterech zabitych, którzy się już bronić nie mogą, takie są wstrętne, takim obrzydzeniem, ohydą napełniają duszę! W protokóle napisano, że żołnierze mieli zamiar rozgromić dwór, a ludzie zabili ich w mojej obronie. Chociaż pewna jestem, że wieś miała z nimi swoje porachunki i nie z miłości dla mnie zadali sobie tyle fatygi, ale faktem jest, że zabili ich u mnie; po okolicy już się rozniosło, że mnie dwie wsie bronią i nie dopuszczają krzywdy zrobić; sami chłopi uwierzyli w to głęboko i w razie jakiegoś powtórnego napadu będą się czuli obowiązani bronić mię nadal. Ja im też tłumaczę, że śmierć złączyła dwór i wieś, a krew przypieczętowała przymierze.

Były to podobno skończone łotry, awangarda bolszewicka; cała ich sotnia znajduje się w Jampolu, gdzie wiadomość o ich śmierci przyjęto z ulgą. Tu już także byli znani, bo kradli we wsi, a potem skra-

dzione rzeczy sprzedawali. Co najboleśniej, że u jednego z katolików mieli swój skład.

Teraz mi się tłumaczy mała scenka, którą miałam w tych dniach z tym bolszewickim współnikiem. Spotkawszy go, spytałam, czemu nie przysyła dzieci do szkoły; wiem przecież, że kupił synowi nowe buty, więc i ta wymówka upada; na to hardo odpowiedział mi: „A co oni w tej szkole się uczą, buty tylko darmo drą“. Krzyknęłam na niego, że mi łaski nie robi, gdy się jego dzieci uczą, ale wobec takiego gadania, nie przyjmę ich wcale do szkoły. Odburknął coś jeszcze, ale odeszłam prędko; tak mi było przykro, że mało się nie rozplakałam. Teraz rozumiem jego zachowanie: te nieszczęśliwe buty, o których wspomniałam, musiały być kupione u bandytów. A kto wie, może on należał do zmywy, bo ciągle kręcił się koło dworu?

1-go marca.

O tej porze miałam powracać do domu po ziemię, cudnie spędzonej w Polsce, oj dolo, dolo!

Chłopi są oburzeni, zem bronila tych żołnierzy. Wybaczą mi to jedynie, przypuszczając, zem działała pod wpływem obawy przed zemstą. Nie dopuszczają myśli, by proste uczucie ludzkości, kazało mi sprzeciwiać się ich barbarzyństwu. Nikczemny strach usprawiedliwia mnie w ich oczach, ale najprymitywniejsze uczucie litości mogłoby mię zgubić. „Ii szcztja szczo bojała sia.“ O przekłete, nieszczęsne i barbarzyńskie dusze! chce mi się krzyknąć im w oczy, do jakiego stopnia ich nienawidzę, ale nie można, boć to

moi obrońcy, którym wdzięczność moja się należy. O straszna ironjo wypadków!

Przyjeżdżał tu wczoraj sotnik pobitych żołnierzy; bardzo delikatnie zwracał się do chłopów, a ci ostro zapowiedzieli mu, żeby więcej takich nie przysyłał do wsi, bo ich taki sam los spotka jak tamtych. Oznajmili, że wtedy będą dawać rekruta i zapisywać się do kozaków, gdy będzie zrobiona „przeczystka“ w wojsku i wszyscy złodzieje wystrzelani. Dokuczyło narazie i chłopom; ostro się stawiają; wsie zorganizowane; w razie jakiegoś gwałtu — sygnał, i jedna drugiej przychodzi na pomoc.

Gdy się jednak zastanawiam nad całą tą awanturą, widzę, że doprawdy Opatrzność Boska czuwa nade mną; jeżeli tu zbierała się szajka, aby rozgromić dwór, to teraz im na długo odpadnie ochota.

3-go marca.

Dokoła tylko zabójstwa, nieszczęścia, choroby i śmierć; jakieś morze niedoli i zła, któremu zapobiec nie można, a w którym wszystko powoli się pogrąża. Dziś umarło dziecko u Antoszyńskich; ojciec ich zmarł niedawno; chłopcy chorzy bez nadziei, a ja już nic poradzić nie mogę, nie mam lekarstw na ten wściekły tyfus powrotny, a zresztą żadnych lekarstw wogóle już nie posiadam.

Oficjalne władze bolszewickie już od paru dni są w Jampolu; zachowują się dziwnie przyzwoicie. Przysyłali na śledztwo w sprawie ostatniego zabójstwa. Paru gospodarzy i starostę zabrali do Jampola

na „dopros“, ale chłopci stawiali się równie ostro i śmiało, jak tutaj. Powiedzieli, że to byli złodzieje bandyci, których cała wieś znała. „A czto wy etu „pa-nienku“ tak kochajete?“ zapytał komisarz. „My ii ne kochajem, ałe ona nam potribna, bo liczyt słabych“. Na tem się śledztwo skończyło. Kazali tylko oddać broń i rzeczy zabitych. Opowiadał mi tę rozmowę jeden z indagowanych. Ciekawam, czy będą i mnie niepokoiili?

Wiadomości ze świata mam jedynie od chłopów, którzy odwozili denikinowców; niektórzy z nich byli aż w Kamieńcu. Każdy co innego mówi: że Polacy cofają się; że, przeciwnie, w Uszycy bardzo ich dużo i biją się z bolszewikami; że przepuścili denikinowców i rozbrajają ich; że cofają się, pobici przez bolszewików. Naturalnie, niewiele jest w tem wszystkim prawdy, ale nerwy rozklekotane dają się wodzić w jedną i w drugą stronę, szarpią się doreszty — a, nie mogę już! Jeżeli kto jeszcze o mnie pamięta, niech przychodzi, niech zabierze mnie stąd, z tego piekła...

IV.

5-go marca.

Wiosna! radosna! cudna! W ciągu paru dni zrobiło się ciepło: wiatr marcowy zwał resztki śniegu, wysuszył błoto; słońce dopomogło i tak prędko zrobiło się pięknie — inaczej. Zima w jednej chwili ustąpiła, nawet się nie ociągała, nie walczyła, jak to in-

nych lat zwykła czynić. Przepadło jej wspomnienie, a wraz z pleśnią, brudem i chłodem rozwiało się brzemie niedoli — w każdym razie stało się lżejsze. Jakaś nadzieja, otucha wstępuje w serce; a doprawdy już tak dużo nagromadziło się zła. Żyłam tylko wrażeniem grozy, smutku, wstrętu i przygnębienia. Zbiegły się wszystkie okropności naraz: zamordowanie czterech bolszewickich żołnierzy i śmierć u Antoszyńskich, gdzie obraz nędzy, brudu, trupów serce mi rozdzierał, a zaduch i swąd olejnego kaganka prześladował na przemian ze wspomnieniem zapachu krwi, przelanej przed memi oknami. Te pogrzeby, z takim wysiłkiem urządzone, rwanie desek ze strychu na trumny; prośzenie, jak o łaskę, by ktoś wykopał dół, by ktoś zawiózł ciało... Zaledwie dziś odbył się ten pogrzeb.

Reszta chorych trochę lepiej. Do tego trzeba dodać prawdziwe czy fałszywe pogłoski o cofaniu się Polaków i rzeczywistą bytność bolszewików w Jampolu, by zrozumieć otchłań przygnębienia i niedoli.

Ale zabłyśnięto słońce, powiał ciepły wiatr, i lepsze wiadomości przyniosł. Polacy się nie cofnęli, wytlukli bolszewików pod Zmierzynką; część armji denikinowskiej wcielili jakoby do swojej. Bolszewicy jampolscy także nie tacy straszni: są to tylko bandy warchołów tutejszych, uciekających przed regularnem wojskiem ukraińskiem.

Wszystko się naraz odwróciło, i nastąpiła jakaś żywiołowa reakcja w naturze i we mnie. Dosyć ohydy, okropności i smutków; chcę piękna, radości, pogody! Żądza wolności rozsadza mi piersi. Ach, lecieć

tam do życia, do swoich! Jak dziecko, biegam po słońcu i śpię bezustanku. Ale jednocześnie serce mi truchleje — dlaczego moi najbliżsi nie starają się porozumieć ze mną.

8-go marca.

Bolszewików coraz więcej napływa; idą nibyto na Kamieniec, a tymczasem grabią, co się da. Z Gienia Boguckiego w biały dzień buty na ulicy ściągnęli. W Jampolu ustala się ich władza, wsie już przepełnione nimi; dotąd u nas jeszcze ich niema, ale lada chwila mogą przyjść.

Dziś dostałam „przykaz“ od rewkomu, aby dać trzy firyki ziela do ubrania sali na uroczystość Szewczenki, czyli że są to wojska rosyjskie w połączeniu z ukraińskimi — najpiękniejszy „melanż“, jaki tylko istnieć może. I moje drzewa mają iść na upiększenie ich idjotycznych uroczystości.

Chorych coraz więcej przybywa, całe chaty leżą; nie mam już czem leczyć, a w aptekach dają fałszowane lekarstwa. Pełno konających — chodzę tylko od chaty do chaty i szarpię nerwy doreszty. Wieczorami oplakuję każdego mego zmarłego pacjenta; serce boli, naprawdę fizycznie boli. Nie mam już sił, jestem zupełnie bezradna.

Zabrałam się do czyszczenia drzew, wykradam sobie te jedyne chwile odpoczynku i spokoju.

10-go marca.

Masy bolszewików płyną nieprzerwanie przez Jampol; po trakcie sunie bez końca sznur armat i ja-

szczyków z nabojami. Wszystkie wsie zapchane woj-
skiem; jedną Halzbijówkę cudem omijają, przyjeżdża-
jąc tylko po produkty, których moc biorą. Zmierzyn-
ka, Winnica podobno w ich ręku; przez Szarogród cią-
gną główne ich siły. Wszędzie ta okropna plaga, ta
straszna czerń się rozplywa i, jak morze, zalewa kraj.
Te niezliczone masy ciągną pod Uszycę. Boże mój!
Czy nasi dadzą im radę? Strach i niepokój szarpia.
Taka ogromnie ważna i doniosła chwila. Ważą się lo-
sy Polski, a nawet całej Europy. To moment równy
Wiedniowi, ale czyż Bóg da podobne zwycięstwo?
Mam taką silną wiarę w nasze wojska, że nic mię nie
przerazają te barbarzyńskie rozbestwione masy. Tak
jak przed wiekami Polska stawiała czoło hordom ta-
tarskim, tak i dziś pokona dziksze od tamtych, a plu-
gawsze wojska bolszewickie. Jeżeli myśli i pragnie-
nia czyje mogą coś zaważyć na losach wypadków, to
ja, nie mogąc inaczej, myślą wylatuję tam, do was,
żołnierze nasi, nieśmiertelny puklerzu kultury!

Już mi zbladły zupełnie sprawy osobiste. Może
pociski armatnie rozbiją ten dom, może go rozszarpia
dzikie ręce? Mniejsza o to, niech ginie, niech wszyst-
ko idzie na ofiarę. Boże, tylko daj zwycięstwo, daj
zwycięstwo dobrej sprawie!

Jak tu żyć długo w takim niepokoju i nieświa-
domości. Chciałabym lecieć tam do nich, zginąć pod
gradem kul, ale choć raz przedtem zobaczyć nasze
zwycięskie siły.

Czy nasi są przygotowani do tej strasznej walki?
Co się dzieje w kraju? Czy spokój od strony Niemiec?

Co się dzieje w całym świecie? Nic niewiadomo!
O gdybyż można nieustannie, na klęczkach, dzień i noc
modlić się i w tem gorącym błaganiu zapamiętać się
aż do chwili zwycięstwa — lub śmierci!

11-go marca.

Przyszli dziś bolszewicy, kazali otworzyć wozow-
nię i zabrali patelnię; napróżno prosiłam i protestowa-
łam, nic nie pomogło. „Nam nużna pod kulemiot“. Na wieść o bolszewikach we dworze przyszło zaraz
paru ludzi, a jednocześnie przyjechali po mnie do cho-
rego. Zebrała się gromadka, która zaczęła obstawać
za mną i energicznie bronić wózka; ale już sama uśmie-
rzałam chłopów, aby się nie wywiązała jaka awantu-
ra: wojska pełen Jampol, stan wojenny! Gdy stałam
z bolszewikami na podwórzu, zbliżyła się do mnie kobieta
i, pocałowawszy w rękę, prosiła, abym poszła do chore-
go. Zwracając się do mnie, mówiła „panienko“. Bolsze-
wicy aż zazgrzytali zębami, gdy się do mej ręki pochy-
liła. „Kakaja ona, panienska“! „ona wam towarzyszcza“. A potem zaczęli miotać przekleństwa na denikinowców,
że się tak okrutnie obchodzą z ludem, że męczą, ob-
cinają nosy i uszy; (ciekawam, kto ten djabelski po-
czątek zrobił?). „Ta praklata inteligencja i burżuazja!“
Stałam, milcząc. Chłopi też słuchali, bo i cóż mieli
robić? Dopiero gdy bolszewicy wyjechali z patelnią,
posypały się złowrogie pogróżki i przekleństwa. „Nic
my teraz zrobić nie możemy — mówili — bo oni na-
stupajut” i u nich wielka siła, ale jak będą odstepo-

wał; no, to my im pokazemy!“ Więc ogólna jest wiara w klęskę bolszewików!

Pod wieczór przyszli inni żołnierze i zabrali drugi powozik. Chciałam, by ludzie napisali prośbę, aby mi patelnię oddano, jako że jest potrzebna do wozenia chorych. Chłopi zgodzili się napisać taką prośbę i pójść z nią do Jampola. Ale się zaraz rozmyślałam. Poczemu? Nicby to nie pomogło, oni są teraz tutaj panami. Dziś w nocy moi zaufani chłopcy zabierają i ukryją u siebie resztę wehikułów, pszenicę, zapas cukru i krowę, bo na pewno ci zbóje jutro przyjdą i coś zabiorą. Dziś rozmawiałam z jednym chłopcem, który, jak się sam wyraził, zajmuje się polityką; otóż twierdzi on, że w przeciągu paru tygodni bolszewików już nie będzie, że ich Polacy na głowę pobiją. Wśród chłopów jest ogromny szacunek dla Polski, jako dla jednego z potężniejszych państw, i zachwyty dla naszego wojska.

Podobno już się biją. Żeby coś wiedzieć, żeby wiedzieć! Serce mi pęknie z niepokojem!

13-go marca.

Byłam dziś u chorego na tyfus, który tylko co wrócił z Uszycy, gdzie odwoził denikinowców. Opowiadał z zachwytem o naszym wojsku; jaki porządek, jaki ład, jakie umundurowanie! Z Uszycy zabrali go Polacy do przewiezienia telefonu do Niemirowa; straszne tam podobno wrą boje, huk armat nieustanny. Wiadomość, że nasi są w Niemirowie, ogromnie mnie ucieszyła — widocznie posuwają się naprzód. Pod

Barem też bitwy. Bolszewicy płyną bez przerwy, ale jakoś już się tem nie wzruszam.

15-go marca.

Znów miałam wiadomości od człowieka, który woził denikinowców. Polacy z kozakami dońskimi pobili bolszewików, zabrali trzydzieści armat i posunęli się o dwadzieścia wiorst od Uszycy. Obyż to była prawda! Chociaż trudno jest przypuszczać, aby chłopi na korzyść Polaków kłamali. Bolszewicy rozpuszczają pogłoski, że pobili Polaków i sto wiorst ich popędzili, ale to kłamstwo bezczelne! Przechodzą teraz przez Jampol ukraińscy bolszewicy, „borotbiści“, a jeszcze mają iść kacapi. Istna wędrówka narodów; straszne mrowie tego plugastwa sunie; ale nasi pobijają ich, na pewno pobijają. Boże, daj doczekać tej chwili! W takim napięciu nerwów długo wytrwać nie można.

16-go marca.

Nie mam słów na wyrażenie swej ogromnej tęsknoty. Zdaje się, że mi coś piersi rozsadza, to coś, co się całą mocą, istotą moją wrywa tam, do nich, do Polski. Jakie dzikie stanowisko teraz zajmuję! Czem ja właściwie jestem? Niewolnicą i sługą, która lawiruje wśród ciągłych nienormalności, aby utrzymać aureolę swej „pańskości“. Ale właściwie to ja się już panią wcale nie czuję. Z łaski pozwalają mi tu mieszkać, z łaski dzieci chodzą do szkoły, z łaski chorzy mię wzywają, z łaski toleruje mnie życie. Czuję się otoczona i skrzępowana ze wszystkich stron.

Straciłam miarę, co mogę, a co nie jest w mojej mocy; co moje, a co nie moją własnością? Z nieśmiałością chodzę, oddycham, myślę, nie wiedząc, czy i ta dziedzina jest mi jeszcze dozwolona.

Chwilami ogarnia mię rozpaczliwy strach: a może Polacy wcale tu nie przyjdą? Gonię już nietylko resztkami nerwów, resztkami sił, ale i resztkami zapasów. Prócz mąki, nie mam absolutnie nic w spiżarni. Drożyzna szalona, a ja pieniędzy nie mam. Nasionami buraczanemi, które sprzedaję, opędzam drobne wydatki. Jeszcze takiego niedostatku nigdy nie cierpiałam. Teraz już nie odmawiam, gdy mi chorzy za moje wizyty dają jaja; przynajmniej mam coś posilniejszego dla Ojca i dla biednych Antoszyńskich, którzy literalnie nie mają co do ust włożyć.

18-go marca.

Miałam dziś znów wizytę kilku bolszewików. Tym razem poszukiwali kogoś, który miał nieszczęście czemś im się narazić. Zdął się ukryć, oni zaś przyszli do dworu, oskarżając mię o przechowywanie „buntowszczyka“ i żądając wydania go. Weszli do pokojów, szukając go; zaglądali wszędzie, do wszystkich kątów. Weszli do pokoju Ojca. „A eto kto?“ — „Mój Ojciec“. — „Jak się nazywa?“ — „Tak, jak i ja“ — „A ty jak?“ „Zaleska“. — „O to jest mnoho pamieszczykow Zaleskich!“ wykrzyknął jeden. (Możeś, drabie, którego z nich obdzierał lub zabijał!). Potem, spojrzawszy na Ojca, powiedział: „U nas już by dawno taki „starik“ w jarze leżał“. — O niktzemne,

potworne zwierzęta! Szczęściem, że Ojciec głuchy, mało słyszy; bolszewików nic się nie boi, a gdy odbiera te nieproszone wizyty, tylko ich mierzy pogardliwym wzrokiem z całym spokojem.

Na stole leżał list, który napisałam do Mohylowa, pytając o wiadomości, list, pisany w tonie swobodnym, bez wielkiej miłości dla bolszewików. Jeden z nich pochwyił go i udawał, że czyta. Miałam chwilę wielkiego niepokoju, ale, nadrabiając miną, rozmawiałam z innymi, nawet nie zwracając uwagi na taki „drobiazg“. Bogu dzięki jednak, bałwan nie umiał czytać, gdyż położył list zpowrotem. Gdyby choć parę słów zrozumiał, inaczejby się to wszystko skończyło!

W trakcie tej wędrówki, w jadalnym pokoju zwrócił ich uwagę sztych, przedstawiający wjazd Sobieskiego do Wiednia: „Smatri, Sasza, eto Bohdan Chmielnickij“. — Wychodząc, zapowiedzieli Marjanowi, że tutaj jest raj, i że przyjdą z oficerami tańczyć w salonach. Winszuję!

19-go marca.

Z rana wsunął się przez okno p. A. po nocy, przebytej u chłopca; za najmniejszym alarmem przez to samo okno uciekał, aby się skryć w figarni, która, cała obłożona słomą, stanowi doskonałe schronisko. Chodziłam tam do niego na rozmowę; z pod sterty słomy wydostaje się tajemniczy głos, niby ducha pokutującego. A gdy biedak gramolił się ze swej kryjówki na wolność, wyglądał, jak dziki mąż, który, pó-

czuwszy wiosnę, z legowiska zimowego wydostaje się na zieloną trawkę.

Przed wieczorem, za ledwie p. A. z figarni przyszedł do domu, zjawiło się dwóch bolszewików na ganku. Czem prędzej wybiegłam do nich i, zagadując, starałam się jak najdłużej przed domem zatrzymać, aby dać czas biednemu człowiekowi do ucieczki. Pokazało się jednak, że to nic groźnego: są to tylko agitatorzy, którzy jeżdżą po wsiach, urządzają wiece i zbierają składkę t. zw. „niedziela frontu“. Przyjechali z Bandyszówki, gdzie obecnie stoi sztab. Ponieważ byli to oficerowie o przyzwoitszym wyglądzie, zaprosiłam ich na kolację, podczas której blagowałam, ile się zmieści: że jestem doktorem, że kończyłam uniwersytet w Lozannie, że dyplomy zabrali mi bolszewicy w czasie napadu, i t. d. Z wielkim szacunkiem zaczęli mnie tytułować doktorem; jak na bolszewików, to jeszcze wcale przyzwoicie. Wkońcu wzięłam na odwagę; posłałam po p. Żukowskiego i opowiedziałam wczorajsze zajście. Oburzyli się ogromnie, twierdząc, że żołnierze nie mieli prawa do nas się czepiać; ubolewali, że pod nazwą bolszewików kryje się tyłu bandytów i złodziei. Niemniej srebro kazałam pochować, a kwaśne mleko jedliśmy drewnianymi łyżkami. Typowi studenci, zapalone głowy, ideowcy. Wierzą w komunę i rozczulają się, jak to kiedyś dobrze będzie na świecie. Dumni są, że Rosja zrobiła początek, że zgniotła swych przeciwników i stała się potężna (!). Opowiadali różne epizody z walki, w których podnosili bohaterstwo swoich, ale ani razu nie

wspomnieli o Polakach, zupełnie jakby nie walczyli z nimi i głównie z nimi. Chwalili się, że od denikinowców zabrali tyle złota, że teraz mogą niem przepłacić Anglję i Francję. Zachwycali się, jaki to raj teraz w Piotrogradzie i w Moskwie, i z zalem stwierdzili, że komuna jeszcze na całym świecie prędko w życie nie wejdzie, narazie to tylko marzenie.

20-go marca.

Zapowiedziany wiec odbył się bardzo skromnie; mało ludzi się zeszło i obojętnie słuchano panów oratorów, którzy w gorących słowach rozbudzali sympatję dla krasnej armji, grzmiąc na wrogów i burżuazję. Po przemowach chłopci zapytali, gdzie jest właściwie front? Odpowiedziano, że w Kamieńcu. „Jakże to może być, kiedy Polacy Bar wzięli i są w Kuryłowcach?” — Na to zamilkli panowie agitatorzy. Wieczór znów z nami spędzili, ale sami przyznają, że wiec niebardzo się udał, a kwesta jeszcze gorzej. Zebrali 500 jaj i 40 rs. Proponowali chłopom, aby podpisali rezolucję, w której pełno było gorących uczuć solidarności i współczucia dla krasnej armji; ale chłopci odmówili, natomiast napisali swoją rezolucję, w której tylko formalnie wzmiankują, że: przyjeżdżało dwóch agitatorów bolszewickich, że był wiec, że zebrali tyle a tyle — a o sentymentach ani słowa! Mądre chłopcy! Bolszewicy zasypali wieś proklamacjami w rosyjskim i ukraińskim języku; proklamacje te są pisane znacznie przyzwoitszym stylem, spokojniejsze i nie takie

bezczelne, jak poprzednie. Z tego wszystkiego widać, że źle z nimi.

21-go marca.

Wczoraj raniutko wyjechali agitatorzy, zostawiając mi całą plikę broszur i proklamacyj, o które prosiłam, z karteczką tej treści: „Doktor! my wczera obieściliśmy Wam dat literaturę, sewodnia astawiam jej Wam. Oczeń błagadarny za wsię i izwiniam za bezpakojstwo“. Obaj się podpisali. Jak na bolszewików, to bardzo pięknie i uprzejmie. To są pierwsi przywoici bolszewicy, z którymi dotychczas miałam do czynienia. Coprawda, lepiejby było, aby już wszyscy byli potworami; im więcej będzie inteligentnych podtrzymywać te zwyrodniałe ideje, tem trudniejsza z nimi sprawa.

22-go marca.

Coraz cudowniejsze wieści nadlatują. Tak dobre, że aż lęk ogarnia, iż znów się rozwieją: Polacy przerwali front bolszewicki i dążą do linii kolejowej ku Wapniarce. Mają już być koło Czerniowiec. Bolszewicy z Jampola zabierają się. Zbliża się więc to wielkie, upragnione szczęście! Gdy było dalej, zdawało mi się, że przyjść musi, i oceniałam je doskonale; teraz nie mogę uwierzyć w rzeczywistość tej chwili; obawiam się, aby coś nieprzewidzianego nie stanęło mi na drodze. Gdy mi mówią, że Polacy tak blisko, cieszę się, lecz nie zgłębiam i nie obejmuję samego faktu. Tylko wieczorem przy modlitwie, gdy błagam Boga o speł-

nienie tego cudu, czuję, że ziścić się on może, i wzruszenie mnie ogarnia tak silne, że serce zaczyna tłuc się gwałtownie, w uszach szumi, w głowie się mąci... O Boże, jakże ja ich wyczekuję, jak wymodlam to ich przyjście!

23-go marca.

Wczoraj na „schodzie“ chłopi postanowili zabrać cały Szańków: ogród, pole, las i rozebrać pod sadyby. Zapisało się bardzo wielu amatorów i mają nagwałt dzielić, bo, jak sami na schodzie wołali, trzeba się śpieszyć, gdyż niewiadomo co będzie. Co za pierwotna, niska psychologja! O ile nie chodzi o ich zysk, wtedy potrafią być uczciwi i zyczliwi, ale, gdy poczują, że można coś skorzystać, porzucają wszelkie względy. Wprawdzie nie wszyscy są tacy, i najporządniejsi, a właściwie najbogatsi sprzeciwiają się temu projektowi. Prawdopodobnie dlatego, że wiedzą, iż się im i tak nic nie dostanie. Jakież obrzydliwe i wstrętne to morze niskich instynktów i pojęć!

26-go marca.

Oczekujemy w strasznym zdenerwowaniu i napięciu, oczekujemy! Boże, a jeżeli nie przyjdą? Boję się, sama nie wiem czego, ale serce mi zamiera w niewytłumaczonym lęku. Może się ich nie doczekam? a może ja osobiście dowiem się o czemś okropnym? o kimś z moich bliskich? Plotki wciąż krążą, jedna drugą zbija. Chłopi zbałamuceni sami nie wiedzą co robić. Zbierają „schody“, naradzają się. Sta-

roście, który jest mi bardzo życzliwy, udało się odłożyć sprawę Szańkowa na tydzień. Przyszedł pytać się mnie, czy za tydzień będzie jaka zmiana — czy przyjdą Polacy? Ach, gdybym mu mogła powiedzieć na pewno, że tak.

Wczoraj, w czasie mojej bytności w Jampolu, znów przychodzili bolszewicy do dworu. Dopytywali o p. Żukowskiego, o mnie i z wielkiem zainteresowaniem badali, dlaczego dwór stoi, dlaczego ja w nim mieszkam. Karol im tłumaczył, że, ponieważ chłopów leczę, więc oni mnie bronią i nie dają krzywdy zrobić; na dowód opowiedział, jak to Biała i Halźbijówka zbiegły się i zabiły żołnierzy, którzy się czepiali do dworu. Usłyszawszy to, bolszewicy z pośpiechem zjedli podany im posiłek i wynieśli się czem prędzej. Ale dwór i moja osoba są im ciągle solą w oku. Codziennie podobno przychodzą do starej pani Żukowskiej w Jampolu, dopytują się gdzie syn, kiedy wróci, a potem rozmowa schodzi na mój temat: jak to się stało, że dwór stoi, i że ja jestem żywa, że mieszkam spokojnie, że tyle mam służby? Kiedyś jeden zauważył: „Chatia ana nie kapitalistka, no wsio taki s fasonom“. Nie wiem, co będzie dziś, nie wiem, co nas spotka jutro, ale tymczasem przygotowuję przedstawienie amatorskie z mojej służby. Mam zamiar urządzić to przedstawienie w przewodnią niedzielę w Jampolu. Nadzwyczaj śmieszni są ci moi aktorzy; gra Marjan, lokaj, Petryk, ogrodnik, i parę starszych chłopców i dziewczynek ze szkółki.

27-go marca.

Zdrowie mi się psuje, coraz bardziej serce mi dokucza: boli, piecze, to gwałtownie bije, to znów słabnie i dusi. Czuję to moje biedne serce nieustannie; doznaję wrażenia, że pozrywały się nici, które utrzymywały je w równowadze, a teraz zawisło na jednej niteczce, jak liść na łodydze, i tak jak liść, wydane jest na podmuchy, które niem nierówno szarpia. Na każdą wieść dobrą czy złą czuję, jak coś dziwnego dzieje się ze mną: po żyłach przepływają naprzemian fale lodowate, a potem piekące, jak ogień. Tęsknota i to ciągle oczekiwanie dobijają mię wkońcu. A najwięcej męczą te drobne, niekończące się przykrostki, ta parodia gospodarstwa, ten ciągły brak najpotrzebniejszych rzeczy. Ale co tam! — Dziś pierwsze fiołki zakwitły!

28-go marca.

Palmowa niedziela. Gdzieś na świecie wesoło i radośnie, tutaj głusza, po której błąka się tylko echo dziwacznych plotek. Mówią, że bolszewicy mają oczyścić Ukrainę; żydzi twierdzą, że bolszewicy prowadzą moc jeńców — kłamstwo! — i że ma dojść do porozumienia między bolszewikami a Polakami. Ciekawam, jakie może być „porozumienie“, kto kogo ma zrozumieć? Gdy jest wściekła bestja to się ją tłucze na śmierć i koniec na tem, albo się ginie od jej wściekłych ukąszeń. „Porozumienie“! — Tylko w żydowskich mózgach mogła się urodzić taka myśl potworna.

4-go kwietnia.

Nigdy nie czułam się tak osamotniona i nigdy nie tęskniłam tak do jakiejś swojej duszy. Ach, zobaczyć kogoś z nich! Oni tam wszyscy razem, a ja odgraniczona nieprzebytym, zaczarowanym murem, zatracona, zaprzepaszczona. Po spowiedzi i Komunji św. spokój zapanował w mej duszy, ale ból i smutek nie ustąpił. Wszystko, co się zdarzy, pochodzi z ręki boskiej, więc dobre jest i błogosławione, niemniej jednak czasem tak strasznie bolesne.

Zamęczam się pracą fizyczną, i to chyba ratuje mnie od szaleństwa. Przez cały ten tydzień pracowałam ciężko w ogrodzie, wszystkie drzewa od czubka do korzenia oczyściłam własnoręcznie. Błogosławiona praca, a jeszcze praca wśród cudnych, dobrych, kochanych drzew. Poza tem wszystko stanęło na martwym punkcie. Polacy się nie posuwają. Zacznie, nieświadomość! Tylko szmer niesamowitych plotek z ust do ust przebiega: delegacja polska w Zmierzyniece pertraktuje z bolszewikami; bolszewicy zajęli Kamieniec, na ruskie święta nie będzie tu śladu bolszewików, Niemcy bolszewikom pomagają. Wzrusza się ramionami, a jednak się słucha.

Chłopi stropieni nie zabierają się do Szańkowa, nawet nie biorą się do moich kapustników, o które w zimie walki staczali. Najwyraźniej na coś czekają.

Dziś byłam na rezurekcji. Cudny był ranek: księżyc w pełni zachodził, a jednocześnie wspaniałe, złote słońce wtoczyło się na sklepienie bez chmurki i pierwsze promienie rzuciło przez otwarte drzwi kościoła

na grób Chrystusa. „Idziesz, Boże, o słońce, ty złociste, ślesz swe promienie hen, w przestworze, Twe głosy wiekuiste!...”

Kiedyż słońce złociste, kiedyż słowo boże wejdzie i rozraduje serca nasze utęsknione?!...

6-go kwietnia.

Znowu jakieś pocieszające wieści, jakby podawane okruszyny chleba zgłodniałemu, jakby krople wody umierającemu z pragnienia. Podobno między Zmierzynką a Niemirowem ciągłe boje, Polacy górą. Przez Jampol wciąż przechodzą posiłki bolszewickie, ale oni sami mówią, że wkrótce będą powracali. Będąc w kościele, zaszłam do księdza, gdzie właśnie było śniadanie pożegnalne dla mieszkającego na plebanji komendanta. Nastąpiła jakaś serja dodatnich typów bolszewickich; naprzykład, ten komendant: miły, wesoły, robi wrażenie dobroduszości. Wręcz uprzedza, ażeby chować, co się da, bo, gdy będą uciekać zpowrotem, zaczną się straszne grabieże. O sobie opowiada, że jest synem oficjalisty Branickich z Białejcerkwi. Wychowywał się na Sybirze; tam go zaskoczyła wojna; dostał się do niewoli austriackiej, gdzie zrobili z niego „szczyrego ukraińca”; potem bił się z Polakami, jako galiczanie, a teraz jest u bolszewików. Na zapytanie dlaczego? odpowiedział: „Bo miałem dwie siostry, które musiałem stąd wywieźć, a teraz sam jeszcze muszę się wycofać”. W tej przesławnej armji mnóstwo jest takich „gorliwych”, którzy tylko wzdychają, aby się wyzwolić. Na zapytanie moje, o co właściwie bolszewikom

chodzi, odpowiedział: „Bolszewizm to taka choroba: kto umarł, ten prawdziwy bolszewik, a kto wyzdrowiał — to i chwala Bogu“. — Na śniadaniu tem było kilku Rosjan cywilnych; razem z ukraińcem-bolszewikiem mówili z wielkim szacunkiem i uznaniem o Polakach, a wkońcu pili zdrowie komendanta, życząc mu, aby jak najprędzej wracał, czyli żeby bolszewicy byli jak najprędzej pobici.

7-go kwietnia.

Moja sława doktorska rozchodzi się po całej okolicy. Wczoraj przyjeżdżali po mnie aż z Neczejówki. Po zbadaniu staruszka, który, zdaje się, jedynie na starość jest chory, (u mnie chorzy zaczynają się dopiero od 40° gorączki), żona jego przyniosła miód, chleba i wiśniaku; zaczął się poczęstunek — odmawiać nie można, a najgorzej z pić; naprzód baba z brudnego kieliszka do mnie przepiła, potem ja, zamknawszy oczy, w ostatecznej desperacji do dziada, dziad do baby, i tak trzy kolejki z rzędu; uf... Tyle było prawdziwej wdzięczności i szczerzej, poczciwej naiwności w przymuszaniu do picia i do jedzenia, żem zapomniała o brudzie. Ledwie zdołałam się wyprosić od dwustu rubli miłokojewskich, które mi stary koniecznie w rękę wtykał. W powrotnej drodze syn zabawiał mię rozmową na temat polityki: Polacy biją bolszewików, mówił, inaczej być nie może; bolszewików przepędzą, i sami przyjdą tu porządek zrobić. Ale kiedy, kiedy to będzie? Choć ciągle rozsądkiem tłumaczę sobie, że prędko to nie może być, lecz w głupich marzeniach spodziewam

się ich codzien, co chwila — nie mogę tym szalonym myślom zabronić, aby nie roily napróžno. Pracuję szalenie, to cały mój ratunek.

9-go kwietnia.

Już na pewno Zmierzynkę zajęli Polacy! Chłopi wręcz mówią o klęsce bolszewików. Starosta zwięrzył mi się, że chce się zrzec swego urzędu, z obawy, aby go Polacy nie prześladowali, jako komisarza sowieckiego; zapewniłam go, że, o ile Polacy przyjdą, to ja będę świadectwa dawać o tutejszych ludziach i nie dozwolę, aby porządny jakąś krzywda się stała. Jakże się wszystko kręci wkółko. Więc teraz znów chłopi będą się ubiegali o moje łaski.

Aeroplany wciąż latają, coś się dzieje, coś się stać musi! Już nasi są podobno w Jaryszowie.

10-go kwietnia.

Można jakiegoś szalu dostać! można stracić zdrowie, nerwy, rozsądek, wszystko! Polaków wcale niema w Zmierzynce, ani w Jaryszowie. Ktoś widział jeńców polskich w Tomaszpolu. Ci opowiadają, że w jednej chwili Polacy zgnetliby bolszewików, tylko Ententa nie pozwala się posuwać naprzód. Zupełnie to samo, co przeszłego roku. A, szatańska polityka! robota przeklętych żydów; od nich całe zło pochodzi. Tyle mam nienawiści w sobie... już nie mogę... już nie mogę...

11-go kwietnia.

Otrzymałam wiadomość z Mohylova, że moje rzeczy u p. Łaskiej bolszewicy opieczętowali. Jutro

jadę, aby coś jeszcze ratować. Ciągłe to samo, wółko, bez zmiany od paru lat. Że mi się też chce jeszcze porać z tem wszystkim! A jednak z przyjemnością jadę dla ruchu, dla samej walki, dla jakiegokolwiek akcji, tak mi ta bierność dokuczyła. Zaufany człowiek z tajnej policji uprzedził znajomego, abym się miała na baczności, gdyż zrobiono na mnie „donos“, że urządzam w szkole zebrania polskie i rozpowiadam, że Polacy blisko. I jedno, i drugie prawda. Ale ja już nic sobie z tego nie robię — al' wszystko mi jedno!

18-go kwietnia.

Istna epopeja! Tydzień takiego zmęczenia, że ledwo żyję. Wybrałam się do Mohylowa, zaopatrzona w dokumenty od rewkomu wiejskiego i od doktora powiatowego, że jako siostra miłosierdzia jadę po lekarstwa. Wydobyłam z ukrycia konia, kupionego od denikinowców, i we dwie z Frasyną, gdyż żaden mężczyzna nie chciał jechać, puściliśmy się w drogę ku wielkiemu podziwowi chłopów, którzy uważali to za szalone ryzyko. Przez całą drogę nie spotkałyśmy nikogo. Dopiero koło Mohylowa widzimy ciągnące obozy, żołnierzy konno, piechotę, na wozach, na bosa-ka. Nie zwracając na nas bliższej uwagi, dopytują się gwałtownie o drogę do Jampola. Najwyraźniej ucieczka! Z jakąż rozkoszą napawałam oczy widokiem zmieszanych żołnierzy, niosących czasem broń, czasem uprząż, czasem buty, lub pełny worek. Sunęło to wszystko wzdłuż drogi nieprzerwanym sznurem. O jak-

że mi serce biło, gdym wjeżdżała do Mohylowa; może już są Polacy, może ich zaraz zobaczę? Ale zobaczyłam tylko resztę bolszewików, w popłochu zbierających rzeczy, szukających koni. W ciasnych, głuchych uliczkach kryli się chłopci z podwodami, w obawie, aby ich nie zarekwirovano; uważałam także, że lepiej będzie przeczekać w zaułku, aby, jako „siestrica“, notabene, posiadająca konia, nie być wciągniętą do rejterady. Po godzinie wszystko się uspokoiło. Miasto zaległa radosna cisza. Wieczorem spodziewano się Polaków.

Wieczór nadszedł, ale Polacy nie! Natomiast zaczęły się pokazywać obmierzłe postacie bolszewickie. Wrócili z dobrymi minami, opowiadając, że Polacy cofnęli się, a oni znów idą na front. Jest w tem wszystkim coś piekielnego, coś niezrozumiałego, czego nie mogą wytrzymać żadne nerwy. Podobno nasi zadali straszną klęskę bolszewikom, wytłukli dziesięć tysięcy, zabrali sztab, armaty, lecz pomimo tego cofnęli się. Znów zupełna nieświadomość, znów męka. Bolszewicy w Mohylowie rozpanoszyli się w najlepsze zpowrotem.

Po przyjeździe pobiegłam dowiedzieć się o los biednych swoich gratów: wiolonczela opieczętowana, bo oni utrzymują, że to „basy“, a basy trzeba rekwirować. Stamtąd popędziłam do mieszkania, gdzie jest schowana największa ilość gruszańskich rzeczy. Trafiałam właśnie na rewizję: Przewracali w kufrach, w których była porcelana, książki i dywany, i wszystko skrupulatnie zapisywali. Poszłam do komendanta, pro-

sząc, aby nie zabierali moich rzeczy, jako ich pracującej urzędnicze. Dwa dni biegałam po wszystkich możliwych kancelarych: od komendanta do rewkomu, stamtąd do „socjalnego ubezpieczenia“, stamtąd do „żyliszcznego oddziału“. Wszędzie godzinami trzeba wyczekiwać wśród figur okropnych, zbójceckich mord i bab—żydowic z czerzwyczajki. Doprawdy, musiałam sobie zadawać gwałt, aby łaźić po tych instytucjach; takie obrzydzenie, strach i odraza ogarnia! Wreszcie oznajmili mi, że mam niedostateczne papiery, że trzeba potwierdzenia tożsamości mojej osoby z rewkomu jampolskiego. Wróciłam więc do domu, by nazajutrz raniutko pójść do Jampola; tam znowu wędrówka od jednego zbója do drugiego. Nareszcie otrzymawszy wszystko, pod wieczór wróciłam; do samej nocy chodziłam po chorych, a raniutko hajda na wózek! Zachęcone bezpieczną drogą, wzięłyśmy z sobą dwa worki nasion buraczanych na sprzedaż, ażeby przynajmniej zarobić na tej udręce. Ujechałyśmy z połowę drogi, gdy zatrzymało nas dwóch konnych żołnierzy. Ponieważ byłam z czerwonym krzyżem i w pełnym rynsztunku siostry miłosierdzia, zapytują: „Z koho połka? — „Ujezdna“ — odpowiadam. „A czto wieziotie“? — „Eto etoj żynki“ mówię, wskazując na Frasynę, która, przygotowana już w domu, objaśnia, że wiezie swoje nasiona na sprzedaż. Chwała Bogu, puścili nas, i szczęśliwie dojechałyśmy do Mohylowa. Znow zaczyna się moja wędrówka po piekle urzędów. Wzięłam sobie do pomocy znajomą osobę, która służy u nich, bo ze swoim językiem rosyjskim

daleko nie zajadę. W rewkomie kazano mi przedstawić paszport, którego nie miałam, (mam, owszem, ale polski, upoważniający do przejazdu przez Rumunję). Był to wybieg, bo papiery, które przedstawiłam, były zupełnie wystarczające. Zwróciłam się do przewodniczącego rewkomu; ten kazał sobie urzędnikowi opowiedzieć, co to za rzeczy. Z jakąż lubością słuchał, że tam są dywany, piękna porcelana i książki polskie. Cała więc udręka nadaremna! Rzeczy na pewno zabiorą; tyle tylko zrobiłam, że inne, jeszcze nie zapisane, lepiej poukrywałam, a wielkie lustro w srebrnej oprawie i ścienny zegar Boule zabrałam z sobą. Ryzykantka ze mnie, co się zowie; denikinowskim koniem polska „pomieszczycza“ z drogocennymi rzeczami jedzie traktem w czasie, kiedy nikt nie śmie nosa pokazać na drodze. To też, ledwie wyjechałyśmy na główną ulicę, najadłam się porządnego strachu. Jakiś żołnierz z karabinem zatrzymał nas, prosząc, by naczelnika milicji podwieźć do Bronicy; ano, trudna rada, co będzie to będzie! Dwóch drabów uzbrojonych siadło na wóz. Najgorzej się bałam, by mi lustra nie rozgnietli. Frasy na więc siadła z tyłu, broniąc dostępu do lustra i zegaru, a ja powoziłam. Żeby mnie kto z moich dawnych znajomych zobaczył na tym wozie jednokonnym, w stroju „siostrycy“, mającą po bokach dwóch drabów z karabinami! Okazali się nieszkodliwi. Przez drogę zabawialiśmy się rozmową. Obie z Frasyną blagowałyśmy ile się zmieści, że Frasyński mąż w Halzbijówce jest ciężko chory, że to jej koń, którego „siostrycy“ pożyczyła, aby przywieźć lekar-

stwa dla chorego. Ja od czasu do czasu dziwnie wdzięcznym głosem poganiałam konia „wpierod“ niewiele, żeby jemu trafić do przekonania, ile tym dwom rosyjskim figurom. W Bronicy, grzecznie podziękowawszy, zsiadli, a my bez przygód dojechałyśmy do domu.

Tu nie miałam ani chwili odpoczynku; nogi mnie tak bołą, że chyba okuleję. Wczoraj pół dnia ratowałam kobietę, która się powiesiła. I poco ja to robię?

19-go kwietnia.

Zaczynam powoli małą agitację. Chłopi rozjuszeni są na bolszewików, że im konie rekwirują, a gdy komu się uda przemyścić soli, odbierają. To też przy każdej sposobności im przypominam, że cierpią brak soli, mydła, nafty i to z powodu bolszewików, od których niczego dobrego się nie doczekają. Teraz tylko konie rekwirują, ale potem w braku burżujów, zabiorą się do nich, chłopów. Hadjuki delikatnie wypytują mnie, co będzie, jak przyjdą Polacy? Zaręczam im, że Polacy żadnych represyj nie robią, że pod ich panowaniem wszystko dobrze, a ziemią rozporządzą się sprawiedliwie. Od tygodnia zaczęły się na wsi straszne pożary, najwyraźniej ktoś podpala. Boję się ciągle o dwór.

Na naszym froncie boje przeważnie są przerwane, i jakoby toczą się układy. Mińsk w rękach bolszewików.

Taka cudna wiosna, drzewa tak baśniowo kwitną, myślałam, że o tej porze choć trochę będzie radości.

22-go kwietnia.

Podobno ludzie przejeżdżają z Kamieńca do Mohtylova, bo przez front łatwo można dostać się. Czemu nikt nie dowie się o mnie, czemu choć jednego słówka nie przyśle? czy zapomnieli, czy uważają mię za przepadłą?

Jestem tak wymęczona, że ledwie nogami włożę. Chwili spokoju nie mam: od świtu do nocy na nogach. Do wszystkich rozkoszy przybyła jeszcze obawa pożaru. Susza straszna, podpalić tak łatwo. W nocy kostnieję z niepokoju, a gdy dzień się uczyni, dziękuję Bogu, że noc minęła.

Coś się tam musi dziać, musi być jakaś przyczyna powstrzymania ofensywy; ale co się dzieje, co, co, co? Jesteśmy oddzieleni ścianą, przez którą prze-dostać się nie może żaden głos. Za tą ścianą równie dobrze może być raj i szczęście, jak tragedja i żałoba.

Krążą ohydne, głuche pogłoski, że Niemcy są w Warszawie. W tych okropnych czasach każda potworność zdarzyć się może. Osobiste nieszczęście, wszystkie niedole i męki tego kraju jeszcze przeżyć zdołam, ale niech tam w ojczyźnie będzie dobrze i szczęśliwie. Och, ten okropny szarpiący niepokój, ta nieświadomość, co się dzieje. Byle wiedzieć, że żadne nieszczęście w kraju nie wstrzymuje pochodu naszych wojsk!

Tu się wytwarzają stosunki coraz fantastyczniejsze. Chłopi zabierają pole, przeznaczone dla mojej służby; dzielą sobie kawałki na sadyby i to bez pośrednictwa

komitetu lub gromady; kto chce, wychodzi, i gdzie chce, zabiera. Nikt nawet jednym słowem sprzeciwić się nie śmie z obawy pożaru. Chłopi są steroryzowani i podenerwowani okropnie. Dziś, będąc u chorego, trafiłam na naradę matadorów wiejskich. Chcą postanowić na „schodzie“, aby po 9-ej wieczór nikt nie miał prawa chodzić po wsi. Ma być wybierany kolejno patrol z 20 ludzi, którzy będą pilnować wszystkich dróg. To postanowienie ogłoszą oficjalnie w Jampolu, aby się wszyscy do niego stosowali. Przynajmniej będzie można spać spokojnie; i nie będę miała takiego stracha o biednego Miłabędzkiego *), który tu u mnie ukrywa się od wojska; jako oficer, jest powołany, i bolszewicy go szukają.

Dziś niedziela; słyszę wciąż skrzywienie otwieranej furtki; pełen ogród hadjuków. O, jak mię to wszystko denerwuje!

26-go kwietnia.

Była dziś u mnie powieszona z podziękowaniem i z czterdziestu jajami. Jednak to robi wrażenie, widzieć kogoś naprawdę uratowanego przez siebie od śmierci. Ta kobieta była już martwa, a teraz tak się cieszy odzyskanem życiem i tak mi jest wdzięczna. Opowiadała mi, jak to było; powodem jej rozpaczki była kłótnia z mężem, który przez dwa lata był dla niej bardzo dobry, a teraz za namową matki zaczyna ją bić. Stara historjal Biednej kobiecie ulżyło, kiedy się wygadała. Potem

*) Mieszkaniec Jampola.

przyszła Kołomyjowa, żona największego bogacza, którego spalili. Naturalnie opowiadała mi o swoim nieszczęściu, ale zadziwiła mnie jej pogoda i spokój, z jakim to wszystko mówiła. „Wszystko mogą spalić, a ziemi nie spalą“. A gdy wiozła trochę mąki od brata, przejeżdżając koło swego pola, radowała się, że takie zielone i piękne. Gdym ją chwaliła za tę pogodę ducha i ufność, ona mi na to: „A panienska jaka? Ty-le przeniosła a „ne podałasiasia“. Te proste spokojne słowa sprawiły mi prawdziwą przyjemność. Potem zaczęła ubolewać nad wszystkimi panami, którzy już tak dawno są bez dachu, jak oni teraz. „Ale ony ne splat“ dodała pełna wiary i pewności, że przyjdą tu upomnieć się o swoje i porządek zrobią. Ja, niestety, tracę już tę wiarę.

Stoi przede mną wiązanka cudnych świeżych konwalij. Czy jest co piękniejszego nad wiosenne białe kwiaty? Cieszę się pięknnością tych drobnych wonnych dzwoneczków. Drobiazgi i chwilki stanowią może nie wartość, ale istotny urok życia.

27-go kwietnia.

Całą noc dziś nie spałam, a potem widziałam w nocy coś niesamowitego. W pokoju było jasno od księżyca; otworzyłam oczy i zobaczyłam postać, a właściwie cień szary, który od drzwi przesunął się do ściany i zniknął. Odrazu poczułam, że to coś niezwykłego; ale patrząc, nie bałam się wcale, dopiero potem zaczęło mi bić serce. Teraz mię to zupełnie strachem nie przejmuje; może to był jaki dobry duch

— Zmarli moi; wiem, że śmierć postawi kres mojej tęsknocie, więc czekam cierpliwie; ale tych żywych, z którymi powinnam być razem, a fatalność rozdziela nas, tych chciałabym zobaczyć jeszcze przed śmiercią.

28-go kwietnia.

Bolszewicy rozpędzili jarmark w Jampolu, nie puszczają nikogo, poustawiali kulemioty; podobno ma przyjść Tiutiunik z Tomaszpola. Przyjechał żydek z Mohylowa i opowiada ze szczegółami, że bolszewicy zupełnie zostali pobici pod Jaryszowem; wczoraj Polacy weszli do Mohylowa; naprzód wywiad, potem automobile a potem piechota. Kázali magazyny potwierać. Spokój i porządek. Tak się szalenie boję, że to nieprawda, że znów przyjdzie jakaś przecząca wiadomość. Nie mam siły na tę szarpaninę, serce się tylko tłucze bezładnie, obłądnie.

1-go maja.

Maj, a Polaków jeszcze niema. Oszalała plotka wygrywa sobie dzikie sarabandy na naszych nerwach i o nic się nie troszczy. Plecie byle co, gdzie co podsłucha, doda, przekręci i puszcza dalej, aby tylko oszalałamić ciągle ogłupiałe nasze mózgi, które we wszystko wierzą, bo straciły własny sąd i kryterjum. Polacy cofnęli się z Mohylowa; przed chwilą znów wiadomość, że zajęli Jarugę. Bolszewicy od trzech dni w Jampolu siedzą na wozach; niewiadomo na co czekają; czy może nie mają gdzie uciekać, czy może spodziewają się posiłków? Tomaszpol zajęty przez galiczan.

Coraz gorsze zdziczenie i jakaś groza pierwotnych czasów osiadła nad naszym zakątkiem. Wczoraj w nocy znów znaleziono podpalony lont na podwórzu jednego gospodarza. Posądzenie padło na Justyka *), wywlekli go z chaty, bili w nieludzki sposób; zamknęli w kozie, a w parę minut bez sądu i dowodów zastrzelili jak psa. Że Justyk nic dobrego to pewne, ale i sędziowie jego wstrętni, potworni...

2-go maja.

Wczoraj przyszedł ojciec i brat ukrywającego się Miłabędzkiego, by go odwiedzić. Coprawda niebezpieczeństwa niema, bo bolszewicy stropieni, ale tem bardziej nie trzeba im się teraz nasuwać pod łapy. Biedni ci Miłabędzcy, chłopcy wciąż ukrywać się muszą, a staruszek biedę ostateczną klepie. Że wszyscy ogromnie uzdolnieni muzykalnie, więc przygrywają swojej nędzy. Poczcwi, chcieli mi się wywdzięczyć za opiekę, więc staruszek fotografował ojca, drugi kleił meble i reperował potłuczone graty, trzeci przygrywał na skrzypcach, akompanjowałam mu.

Trwoga, niepokój, zdenerwowanie, męka gdzieś odpływa, a na duszę schodzi błogosławieństwo sztuki.

5-go maja.

To wielkie upragnione szczęście zbliża się! Nie mogę określić, jakich teraz doznaję uczuć. Zdawało mi się, że, gdy nadejdzie ta chwila, oszaleję z rado-

*) Dawny mój służący.

ści, a teraz jestem zupełnie spokojna, nawet, przeciwnie, jakiś lęk ogarnia przed tem niewiadomem, które nas czeka. Bo żyjemy wciąż w nieświadomości — do ostatniej chwili.

Wczoraj przyjeżdżał do Jampola rekonesans petlurowski.

Czy przyjdą tu Polacy? jaki jest ich stosunek do Ukrainy? co tutaj będzie? co się dzieje w Polsce? co się dzieje z moimi? — nic nie wiem. Bliska jest, chwila, kiedy zastona spadnie, i o wszystkim się dowiem. Lękam się tej chwili.

6-go maja.

Maj — taki cudny, taki wymarzony — klasyczny maj! Księżyc, słowiki i bzyl! Przez tych kilka dni urządziłam sobie nokturny, łąząc po moim ogrodzie, który wydał mi się jeszcze cudniejszy, jeszcze więcej bajkowy, więcej tajemniczy. Prawdę mówił Słowacki, że jest chwila, kiedy się wszystkie słowiki rozjęczą... Niekoniecznie dusze muszą wtedy płakać i przebaczać sobie, ale, o ile są samotne, muszą doznawać rozkoszy w pięknie natury, które nasuwa myśli o życiu bez końca. W promieniu księżycy, w śpiewie słowika, w lustrzanej tafli wody — wszędzie znajduje się odbicie wieczności, wszystko o wieczności mówi. I to jest takie wielkie, olbrzymie, niezmacone szczęście, jak sama wieczność. Bo szczęście na ziemi, to tylko świadome odczucie wieczności, która na nas czeka.

7-go maja.

Są już wszędzie, są, tylko ich jeszcze nie widać. W Jampolu galicjanie; dziś mają przyjść Polacy. Ży-

dzi powiadają, że do Borówki razem z wojskiem przyjechali Mańkowscy i Sobańscy. Dlaczego moich niema? Podobno ma być Ukraina, z hetmanem Petlurą, okupowana na 30 lat przez Polaków. Wszystkie te wiadomości posiadam od Marjana i Leontja sadownika.

Wczoraj jeździłam na egzamin do Dzygówki. Wszystko się dobrze odbyło. Zpowrotem zmokłam do ostatniej nitki. Czeka mnie tych jazd teraz dużo.

10-go maja.

Ileż zmian przez tych parę dni! W sobotę przyjechał Franc.

Franc przyjechał ze Starokonstantynowa swojemi końmi, bryczką z furmanem. Jak to dziwnie brzmi! Z chwilą jego przyjazdu jestem w kraju, mur zginął, jestem ze swoimi. Zło minęło i nie wróci... Franc tyle, tyle naopowiadał mi cudnych rzeczy: Polska rośnie, potężnieje. Cud jakiś, bajka wciela się w kształty, staje się życiem. I Franca bajka też w rzeczywistość się zmienia: od dziś jestem jego narzeczoną.

11-go maja.

Tyle wrażeń, szczęścia, radości—w głowie się mąci! W Jampolu rozklejono odezwę Naczelnika Piłsudskiego o mianowaniu Petlury hetmanem Ukrainy. Dziś

z wielką paradą sam Petlura wjechał do Jampola. Ogromnie żałuję, że go nie widziałam, ale właśnie wtedy miałam egzamin w szkółce. Petlura miał mowę, w której wyraźnie powiedział, że ententa Ukrainy nie uznaje, a całą tę sprawę oddaje do rozporządzenia Polsce. Ukraina jest więc zupełnie na łasce Polaków. Co to za szczęście widzieć, jak cała ta hołota zgina kark przed naszą władzą. A wstrętne to i dzikie okropnie; zupełnie po azjatycku wyglądają; kozacy z osełdcami, a szczególnie pułk czarnomorski: z długimi ogonami czarnymi, oszytymi srebrnym galonem, zupełnie jak karawaniarze.

Od wczoraj słychać wciąż strzelaninę: Tiutiunicy biją bolszewików w Kaczkówce i Olfanówce. Jediną rzeczą ciężką i przykrą, jest to, że nasze wojska bohaterskie, te najdroższe — i one jednakże grabią! Franc opowiada, że w jego Eljaszówce, jak zresztą w całym Starokonstantynowskiem, co ocalało od bolszewików, to od ręki Polaków niszczeje. Okropne to! Taki wstyd przed tutejszymi chłopami...

12-go maja.

Po dwudniowej strzelaninie najechało tu pełno wojska — tak zwana Petlurowska armja, składająca się z kozaków kubańskich, denikinowców, tiutiuników, galiczan — zbierana drużyna, niewyraźne włóczęgi i rozbitki wojenne. Zajechali do dworu i bardzo niegrzecznie kazali dać sobie mieszkanie dla ludzi i koni. Pasażerka mnie wzięła, więc się postawiłam ostro; i takeśmy się pokłócili, że komendant obrażony wyjechał! Ja się tem mało przejęłam, ale panowie są w obawie, żeby

nie wynikły z tego jakie nieprzyjemności. A co mi tam! Niech się chamy uczą dobrego wychowania, jeśli chcą, żeby ich świat cywilizowany uznał.

Wczoraj ten sam komendant, doktor i setnik byli u mnie na kolacji.

Dziwne figury; mówiące niby po ukraińsku, a gdy więcej się ożywią, wpadają zaraz w rosyjski. Setnik—typowy rezun z obrazów Brandta: tępa, dzika twarz, głowa wygolona, z długim kosmykiem czarnego osiedca. Czuć, że zionie nienawiścią do Polaków; ciągle to podkreśla, że na Ukrainie będzie dopiero wtedy dobrze, kiedy obcy nie będą gospodarowali — i z takimi Polska chce się zadawać!

13-go maja.

Wczoraj starszyczna, uraczywszy się denaturatem, przyszła przede mną wylewać swe przyjazne uczucia względem państwa polskiego. Otoczyli mię dokoła, a tak zionęli wstrętnym alkoholem, że omal nie zemdlałam w tej atmosferze. Musiałam wysłuchać czulej przemowy popa, który coś po pijacku bełkotał, głaszcząc z zadowoleniem swój wydatny brzuch. Jeden z oficerów, nastrojony na minorowy, sentymentalny ton, zalił mi się, że musi służyć w bandzie partyzanckiej, on, który był obywatelem rosyjskim, miał przyzwyczajenia arystokratyczne, a teraz z chamami obcuje.

14-go maja.

Chłopi są rozgoryczeni na tę bandę tiutiunicką, która objada całą wieś, i z upragnieniem oczekują Pola-

ków, jako uosobienia ładu i spokoju. Dawniej i ja tak wierzyłam. Dziś obawiam się tej chwili i zupełnego rozczarowania. Teraz gdy przychodzą do mnie chłopci na skargę, mówię im, że to banda, po której nic lepszego nie można oczekiwać, ale gdy skarżyć się będą na wojsko polskie — na nasze wojsko — co im powiem?! Kozacy ogród mój zamienili w pastwisko, na którym gospodarują jak chcą. Chłopi, których tu trzymają z podwodami, też cisną się do ogrodu i niszczą okropnie. Opędzam się na wszystkie strony, ale rady sobie dać nie mogę. Wczoraj jeden z tych przygodnych złodziejów ubawił mię ogromnie. Rznął sobie w najlepsze trawę szablą. Gdym się zaczęła na niego gniewać, nie stropił się, ale nie przerywając sobie roboty, powiedział mi, że już trzy dni tu go trzymają, pozywienia dla koni i dla siebie dostać nigdzie nie może, i dodał z wesołą miną, że, gdybym była na jego miejscu, tobym to samo zrobiła. Ma słuszność. Roześmieliśmy się oboje, a on dalej kosił szablą, znalazł ją na drodze, i kłął kozaków, co się zmieści.

W Jampolu rozwieszono komunikat o wzięciu przez Polaków Kijowa i Krzyżopola, oraz o oficjalnem przyłączeniu Tiutiunika do armji polskiej.

Galiczanie na to mruczą złowrogo. Jeden z nich, który tu często przychodzi na pogawędkę, a robi wrażenie więcej zrównoważonego, nie miota przekleństw nienawiści, lecz z bólem mówi o tem morzu krwi, które nas rozdzielało. Ojca i brata zabili mu Polacy, wspomina o tem jedynie ze smutkiem. Przyszedł dziś z drugim oficerem; grałam im trochę, co ich uszczęśliwiło.

Snadź im także obrzydło to żołnierskie życie, pełne bezwzględności i krwi.

16-go maja.

W piątek odwiozłam Franca do Czerniowiec, gdzie rozstaliśmy się. On powrócił do Krzemieńca do swej pracy w starostwie; ja pojechałam do Babczyniec na egzamin w szkółce. Parę dni pobytu Franca były to dla mnie po wielu latach chwile prawdziwego odpoczynku i spokoju, jasne, pogodne. Przy pożegnaniu ułożyliśmy nasz plan na przyszłość: ponieważ ja natychmiast jechać nie mogę, gdyż jeszcze mam dużo roboty ze szkółkami, a wreszcie chciałabym się doczekać tu ustalonego porządku, więc dopiero za dwa tygodnie do Polski pojadę. Tak spokojnie dziś o tem piszę, a tak niedawno wydawało mi się to niedościżnionem marzeniem. Na lato wrócę tutaj, a we wrześniu nasz ślub w Krakowie.

.....

W domu zastałam tiutiunikowców, gospodarujących po swojemu. Napisałam do komendanta jeszcze raz ze skargą, zwracając uwagę, że takie zachowanie nie przystoi im teraz, gdy połączyli się z armją polską. Widać ten argument poskutkował, bo przystał straż, która nikogo do ogrodu nie wpuszcza.

Miałam dziś wizytę „Mamy Atamanowej Tiutiunikowej“, która mieszka u popa i przyjechała zwiedzić park. Względnie przyzwoita, wychowanka instytutu Maryjskiego, po ukraińsku źle mówi, po dłuższej roz-

mowie bezwiednie przechodzi na rosyjski. Opowiadała mi, ile trudów i niebezpieczeństw przeżywała razem z oddziałem, wymigującym się w Chersońszczyźnie od wojsk bolszewickich. Kozacy ją kochają i słuchają tak, jak atamaniana. Typowa banda partyzancka, hajdamaki ukraińskie, te same co za wojen kozackich. Odważne, dzikie, ciemne natury, których żywiołem jest wojna, pochód i rabunek. Z atamanką przyjechał komendant i paru oficerów, cała śmietanka tiutiunicka. Dowiedziałam się, że komendant czuł się na mnie obrażony głównie o to, że, gdy pierwszy raz zajechał, dałam mu skromną kolację i bez wina.

18-go maja.

Jeździłam do Replatyniec na egzamin; moja denikinka znarowiła się i zupełnie iść nie chciała; może tem wyrażała protest, że należną jej trawę z ogrodu zjadali nieproszeni goście, dość że musieliśmy popychać bryczkę, aby ją zachęcić do bohaterских wysiłków; ponieważ zaś, jako furmana, wzięłam starego kucharza, więc dość opornie wiodła nam się jazda. Wróciłam napół żywa z tej wycieczki. Ledwie zlaźła z wózka zgłodniała i zmęczona, musiałam załatwić pełno interesów: żona oficera przyszła z wizytą; jakiś galiczanin prosił o pożyczenie książek; inny oficer przyszedł, ot tak tylko na pogawędkę. Z każdym trzeba „bałakać“ tem dzikiem narzeczem ukraińskomoskiewskiem i udawać przyjemną.

Wyjście do ogrodu jest teraz dla mnie prawdziwą przykrością: pomimo straży, ukraińcy łążą i niszczą,

a gdy im zwracam uwagę, hardo odpowiadają. Kiedyż ja się ich pozbędę? I pomyśleć, że wszędzie jest dobrze, wszędzie są Polacy, tylko w naszym nieszczęsnym kącie te dzikie bandy się rozsiały! Kiedyż już z ludźmi będę miała do czynienia? Wczoraj przyszła wiadomość, że Polacy galiczan rozbijają; ci zioną nienawiścią i nie wiedzą, co z sobą zrobić. Widziałam, że oficer przemawiał do zgromadzonych żołnierzy, ale co uradzili, nie wiem. Jaki jest naprawdę stosunek Tiutiumnika do naszej armji — też niewiadomo. Wszyscy przyczepiają sobie białe opaski, podobno na rozkaz polski. Atamanka przyjeżdżała do mnie z prośbą o żółtą i niebieską bawełnę, gdyż musi wyszyć oznakę na białej opasce dla męża. Gdy przyjechał Franc, zdawało się, że niedola poszła już sobie od nas, a radość zostanie. Teraz znów utonęło wszystko w nieświadomości i oczekiwaniu. A najgorszy ten niepokój o nasze wojska! Czy nie za daleko się zapędziły? Zaszły tyły bolszewikom, są w Kamionce i mają iść na Odesę. Taki strach ogarnia; przecież otoczeni są dokoła dzikim, nieprzyjaznym żywiołem; przedewszystkiem chłopci, którzy na tyłach mogą robić powstanie, bolszewicy, bandy ukraińskie, galicjanie, którzy wciąż agitują przeciwko nam! Czy nasi podołają temu wszystkiemu? Zawsze te nieszczęsne Kresy były naszą niedolą i zagubą, aby i teraz coś złego stąd nie wynikło. Znów przynoszą mi drażniące wiadomości, że w naszej armji szerzy się tyfus, że pod Kijowem zginęło 12 tysięcy, że tu na froncie nasi się cofnęli. Nie wierzę temu, nie chcę wierzyć. To kłamstwo!

12-go maja.

Wczoraj miałam dziki pomysł zaproszenia Tiutiuniczki; przyjechała z dzieckiem, komendantem i z gospodarzem wojskowym; siedzieli do późnego wieczora. Zabawiałam ich, jak mogłam, grałam i po ogrodzie oprowadzałam, ale wkońcu o czem tu z takimi gadać? Tiutiuniczka zapłonęła do mnie wielkim afektem; na pożegnanie ucałowała mnie z dubeltówki. Byłabym przystała jeszcze na drugi raz, byle się jej przedzej pozbyć. Ponieważ kształciła się w Warszawie, więc żywi wielki podziw dla Polaków. Wszyscy oni czują teraz mores i szacunek dla nas; cała ta hołota wpatrzona jest w armję naszą, jak w wyrocznię. Dziś do Jampola przyjechał generał Zakrzewski, kontroler wojska polskiego, oglądać tutejszy front. Wszystko więc od naszej dyrektywy zależy. Podobno armja nasza przeszła już Dniepr. Boże, aż się w głowie mąci — to prawdziwy sen o potędze, sen cudny, wspaniały!... Najpiękniejsza święta sprawiedliwość dziejowa dopełnia się w naszych oczach. Ach, kiedyż ja będę mogła wyjechać? Czuję, że wszystko to się opóźnia, bo dopóki tiutiunikowcy stąd nie wyjdą, domu zostawić nie mogę. Jestem tak przedenerwowana, że mi się zdaje, iż z tej gmatwaniny wojennej nigdy nie wybrnę; co chwila boję się jakiegoś wypadku, który mi znów drogę do Kraju odetnie i pograży zpowrotem w samotności i niedoli. O nie daj tego, Boże!

22-go maja.

Wczoraj przyjechała madame Tiutiunik (znowu!) w asyście dwóch adjutantów, by zabrać mię na spacer.

Z namowy Karola, który bardzo przezornie przewidywał, że moje siodło może im się bardzo podobać, skłamałam, iż siodło mi przepadło, i wskoczyłam na ich męskie. Trochę się bałam, czy podołam w jeździe z kozakami, ale pysznie mi się jechało. Ach, jak dobrze na koniu, choćby w towarzystwie bandytów tiutiunikowców. Pani atamanowa nie ma pojęcia o jeździe, wygląda, jak żaba, a w klusie trzyma się za łęk siodła. To też nie dotrzymywałam jej towarzystwa i pojechałam naprzód z jednym z adjutantów; ona zmęczona wkrótce zawróciła, a my pomknęliśmy dalej. Chłopi przystawali zdumieni i z pewnością zgorzzeni, że „panienka“ z takimi bandytami się zadaje. Ale „panienka“ myślała tylko o przyjemności siedzenia na koniu, przyjemności, należytnej jej po wszystkich utrapieniach i mękach, którym końca niema i końca nie widać, bo nie myślą stąd wyjeżdżać, przeciwnie, coraz lepiej tutaj się rozgaszczą. Dlaczego wszędzie są Polacy, tylko ja muszę „ujadać“ się z dziczyzną i chamstwem? Mam wrażenie, że znów zapadam się w otchłań, znów zostaję sama, rzucona na pastwę wypadków, jak w niewoli. Bytność Franca wydaje mi się snem, tylko zaręczynowa bransoletka to jedyny znak widomy, łączący mnie z tamtym światem.

24-go maja.

Obrzydła mi już docna ta banda, to zbiorowisko różnych obieżyświatów: żołnierze Niemcy, wiedeńscy, pożyczają ode mnie niemieckie książki; siostra miłosierdzia — Czerkieska, jak sama o sobie mówi, „docz

Kaukaza“; są nawet Chińczycy, nie mówiąc już o rdzennych Rosjanach. W tej armji ukraińskiej najmniej prawdziwych ukraińców. Wszyscy też mało się wzruszają „wielką, samostijną“ Ukrainą i niebardzo w nią wierzą.

Wczoraj był dzień gromów armatnich i niebieskich; na froncie bezustanku jwałili, a niebo, zasnuwane czarnymi chmurami, odpowiadało. Taki groźny dialog między niebem a ziemią doskonale działa na nerwy. Z powodu Zielonych Świąt byliśmy w Jampolu, gdzie miałam nadzieję zobaczyć Polaków, ale do tego zatraczonego kąta nawet porządne wojsko nie zagląda. Jednakże zapowiedziany jest przyjazd komendanta polskiego.

Wczoraj powstała w Jampolu panika; nikt właściwie nie wie, kto tak strasznie strzela: Polacy, Rumuni, bolszewicy, czy tiutiunikowcy? Słowem, w dalszym ciągu trwa ogłupiający stan nieświadomości. A ja myślałam i wierzyłam, że nasi przyjdą, i wszystko w jednej chwili odmieni się, jak w bajce!...

25-go maja.

Ponieważ Petryk stawał do mobilizacji, cały dzień nie wychodziłam z ogrodu, pilnując rozkwitających moich ukochanych róż i wypędzając konie kozackie. Dwa razy biegałam do komendanta, wkońcu przyprowadziłam go do ogrodu i pokazałam, co się dzieje. Kazał wypędzić konie i bramę zabić; ale rozkazy te dawał bardzo delikatnie. Przyznał mi się, że połowę kozaków wartoby wystrzelać, bo to są bol-

szewicy, z którymi starszyzna rady sobie dać nie może. Są zrozpaczeni, że nie idą na front, bo zupełnie już nie mają co jeść, i, jak się sam wyraził, jeżeli tu jeszcze tydzień posiedzą, pozdychają z głodu. Jest rozporządzenie od naszych władz, aby nie iść dalej, tylko trzymać front. Pewnie się takie położenie przedłuży w nieskończoność, i ja przez całe lato nie będę mogła się ruszyć. Ach, żeby wiedzieć, jaki jest plan naszego sztabu! Co począć? wyjeżdżać, rzucając wszystko, czy jeszcze czekać?...

28-go maja---

Cudna, wyjątkowa wiosna. Wszystko kwitnie, niby w hołdzie, niby w oczekiwaniu triumfu i chwały, a tymczasem tylko łapy chamskie, brutalne niszczą piękno mego ogrodu. Więc już sama ścinam przedwcześnie nierozwinięte pąki, niech lepiej nie żyją, niżby rozkwitać miały dla tego bydła. Gdybym mogła z moimi drogimi podzielić się czarem tej niezwykłej wiosny!— Na drugą taką długo trzeba będzie czekać; a tymczasem marnieje wszystko, i ja marnieję. Jestem już wyczerpana bronieniem mego biednego ogrodu, a uwzięłam się i każdą gałązeczkę, każdy drobny kwiatek chcę ochronić od zagłady. Co krok, na każdej ścieżce spotykam tych zbójów, którym staram się trafić do rozsądku i prośbą czy groźbą odwieść od bezmyślnego niszczenia. Kiedyś zatrzymałam trzech tak pijanych, że nawet aromaty mego ogrodu nie mogły przygłuszyć bijącej od nich woni samogonki. Musiałam długo z ni-

mi pertraktować; jeden pochodził z Peczary i twierdził, że był budowniczym u Potockich; pewnie glinę woził lub wapno rozrabiał. Na wspomnienie hr. Fr. Potockiego zębami zazgrzytał; pewnie pierwszy sumiennie i z przekonania grabił Peczarę, a teraz ja z taką kompanją muszę uprzejme rozmowy prowadzić!

Przez parę dni walczyłam o Petryka, którego chcieli wziąć do wojska; udało mi się uwolnić go na miesiąc. Chwała Bogu, bo zmarnowałby się chłopiec w tej bandzie, a przytem potrzebny mi jest teraz do przedstawienia, jako główny aktor. Prawdziwe utrapienie mam z tym teatrem; trupa moich nowicjuszków spragniona jest występu, a tu w tym rozgardjaszu tak trudno coś zorganizować. Ukraińcy szykanują nas i klubu nie chcą odstąpić na jeden wieczór. Wogóle nienawiść do Polaków rośnie coraz bardziej, podsycana umiejętnie przez agitację. Jeden z Ukraińców mówił mi, że galiczanie nienawidzą Polaków tak dalece, że twierdzą: „gdy nie będziemy mogli walczyć orężem, to studnie zatruchać będziemy“. Podłe, niewdzięczne dusze! Cóżby było z tą nędzną Ukrainą, gdyby nie Polacy? Dawnoby ich bolszewicy zjedli i strawili. Ale oni wołają zgubę z rąk bolszewików, niż ratunek z rąk polskich. Podobno rząd nasz daje teraz amunicję i umundurowanie dla czterdziestu ośmiu tysięcy rekruta, którego mają powołać. Tu odbywa się pobór; wogóle Hałzbijówka stała się centrum wojskowem; w Jampolu nie chcą siedzieć, bo tam trudniej o żywność, i boją się bolszewików. To też wszędzie pełno tego okropnego żołdactwa. Dzień i noc ryki rekrutów — istna zmore!

Co za okropna ironja! Przyjechał Franc, zajaśniała nadzieja; zdawało się, że będzie lepiej, że wyjadę, że odpocznę; a tymczasem zostałam znów sama, wyczerpana do ostateczności, jedynie z myślą, jakby mogło być dobrze. Doprawdy, to starostowanie Franca to ofiara nasza dla Ojczyzny; ale tak być musil

31-go maja.

Pracowite były te ostatnie dni. W piątek poszłam do „atamanszy“, prosić ją, czyby nie zabrała z sobą autem panny Zofji do Kijowa. Niespodziewanie zastałam tam Tiutiunika. Z początku wydał mi się gburem nieokrzesanym, ale po dłuższej rozmowie poznałam, że jest bardzo sprytny i inteligentny, o silnej energii i niepowszedniej indywidualności. Nie ma nawet wyglądu kozacko-bandyckiego; niski, rudawy blondyn, o niebieskich bystrych oczach, krótko ostrzyżony, robi wrażenie raczej Niemca-kolonisty. Rozmawialiśmy długo; przy końcu wypowiedziałam parę okrągłych frazesów, że mi jest przykro, iż u mnie nie mieszkają; i że wobec krótkiej bytności jego w Halźbijówce (rzeczywiście, ciągle siedzi on na froncie), nie będę mogła ugościć go u siebie. Jakież było me zdziwienie, gdy w godzinę po moim powrocie, wśród okropnego deszczu zajechali Tiutiunikowie ze sztabem i z adjutantami. Nagwałt skleciło się jakąś kolację, no i do późnego wieczora musiałam zabawiać całe to towarzystwo. Z Tiutiunika chciałam coś wyciągnąć pewnego o położeniu ogólnem i o stosunku do Polaków. Przynajmniej otwarcie i poprostu mówi, że jedynie mus polityczny zbliża

Ukraińców do Polaków, ale że wieczna nienawiść ich dzieli; że im obecne położenie niewsmak, bo Polacy zagarniają wszystko w swoje ręce. Przyznaje, że Ukraińcy jedynie bić się umieją i potrafią obce żywioły wypędzić ze swych granic, ale utworzyć rządu, zaprowadzić porządku i administracji absolutnie nie są w możności. Szowinista krańcowy: wszystko mu jedno, jaka będzie Ukraina: republikańska, monarchiczna czy komunistyczna, byle była. Z takimi sprzymierzeńcami niewesoło!

W niedzielę ostatecznie urządziłam przedstawienie; moja domorośla trupa z amatorami jampolskimi odegrała dwie komedyjki. Ileż przedtem było do zwalczenia kłopotów, trudności i przykrości! Zarzekam się, że już nigdy tych szopek w Jampolu urządzać nie będę. W sobotę była jeneralna próba, wróciłam do domu późno, a nazajutrz raniutko wstałam, by odwiedzić swoich chorych. Musiałam przytem kokietować i pertraktować z doktorem wojskowym o uwolnienie jednego chłopca ze wsi. Jakoś zapał patryjotyczny niebardzo się udziela ogółowi. Dziwna kombinacja: synowie Ukrainy udają się do mnie, abym im pomagała wykręcać się od służby w szeregach ojczystych. Po konferencji z doktorem, w ciągu której przekonałam go, że chłopak jest prawie ślepy na jedno oko (wzrok ma lepszy od sokoła) i że do armji ukraińskiej nie powinno się brać takich kalek, popędziłam do Jampola i tam byłam bezustanku na nogach aż do dziś rana. Sama sobie się dziwię, skąd biorę siły, ale nawet nie czuję się bardzo zmęczona.

Sądny dzień z tem przedstawieniem: nic nieprzygotowane, wszyscy bezradni i zdenerwowani; Ukraińcy do ostatniej chwili sali dać nie chcieli, a potem przed samem przedstawieniem usiłowali popsuć elektryczność. Musieliśmy się skarżyć komendantowi i to w dosyć ostrej formie. W czasie przedstawienia amatorzy jampolscy boczyli się na moją demokratyczną trupę; moi chłopcy ze szkoły, upojeni niezwykłością położenia, zaczęli dokazywać i nie słuchać, słowem, dezorganizacja i rozstrój za kulisami zupełny; musiałam więc i inteligentów, i prostaczków opamiętać, do porządku doprowadzić i wziąć w łapy energicznie. Reżyserując, ogromną miałam treść, zupełnie zresztą niepotrzebną, bo moi nowicjusze grali swobodnie i śmiało. Po skończonem przedstawieniu, jak zwykle, rozpoczęły się tańce. Z jakąż radością i wzruszeniem spostrzegłam na sali oficera polskiego. Nareszcie! Nareszcie — zobaczyłam żywy dowód tak długo oczekiwanego szczęścia. Więc są naprawdę! to nie złuda, nie fałszywa bajka, podawana z ust do ust! Widzę na własne oczy mundur polski! Bez chwili wahania zbliżyłam się do niego, zaczynając rozmowę, aby się upewnić, że to nie złuda optyczna, że pod tym mundurem polskim bije polskie serce, płynie polska krew. Rozmawialiśmy bardzo długo; chciałam się dowiedzieć, jakie są plany strategiczno-polityczne; bo, jako instruktor wojskowy przy sztabie ukraińskim, musi on być wtajemniczony we wszystko. Ale na moje gwałtownie sypiące się zapytania odpowiadał wymijająco, uśmiechając się tylko; widać, bawił go

ten mój nagły i trochę naiwny atak! Dowiedziałam się jedynie tego, w czym się już mniej więcej sama orientuję: że Polacy dają Ukraińcom swobodę urzędzenia swego kraju ale, ponieważ ci na pewno się nie urządzą, więc ster wezmą Polacy w swoje ręce. Przegadaliśmy całą noc, a nad ranem zatańczyliśmy na pożegnanie walca, takiego prawdziwego zachodniopolskiego. W Jampolu, w klubie ukraińskim, ja—tańcząca z oficerem polskim! Obraz trochę fantastyczny.

Ostatnia wyszłam z sali z dwoma Miłobędzkimi, którzy, mając do pomocy jeszcze dwóch grajków, stanowili orkiestrę na naszym wieczorze. Poszłam odwiedzić ojca ich, który biedaczysko chory jest na tyfus. Mały pokoik, zasypany fotografjami, instrumentami muzycznymi, narzędziami; na ścianach pełno obrazów, starych makat, suchych wieńców — prawdziwe mieszkanie biedaków-artystów. Przez małe okienko weszło tylko co zbudzone słońce i jasnym światłem zalało ubogą nędzę i artystyczny nieład tej małej izdebki; ozłociło szare warstwy kurzu na dawno nieruszanych gratach, popieściło złotem wspomnieniem zeschnięte wieńce kwiatów i padło na twarz chorego żółtką i kochaną, jak te szare liście, jak te stare strzępy, a w tej chwili rozpromienioną radośnie na mój widok: szeleszcząc jedwabiami (choć popękanymi), w modnym kapeluszu (choć z przed czterech lat), wniosłam tu trochę radości i pociechy. Rozczuleni chłopcy na pożegnanie ofiarowali mi cudny pęk operlonych rosą róż, które tam pod ubogiem okienkiem królewsko rozkwitły. Ze snopem kwiatów, ze świe-

zością w duszy, nic niezmeńczona, poszłam przez uśpiony jeszcze Jampol, potem przez rozdzwonione pieśnią skowrończą pola; przez wieś, budzącą się do życia, weszłam do ogrodu. Panowała tam jeszcze cisza wczesnego poranka. Nie włączyli się żołnierze, ani chłopci. Ale połamane gałęzie, poniszczone moje najpiękniejsze lipy i klony skarżyły się i opowiadały, jak, korzystając z mojej nieobecności, kochany ludek rabował mój ogród, aby na chwałę Bogu i sobie na radość umaić izby i chaty. Usiadłam na ławce, bo jakiś ciężar gniótł mię ku ziemi. I uczułam nagle straszne, przygnębiające znużenie tej nocy.

2-go czerwca.

Na froncie było podobno źle: na prawem skrzydle bolszewicy przyłapali naszych i dużo wyrznęli, wskutek czego i lewe skrzydło też musiało się cofnąć. Ale zło jest naprawione, i nasi znów się posuwają. Moja banda siedzi i siedzi. Przesuwają się najrozmaitsze typy i figury; jednych trzeba bawić, z drugimi się kłócić, innych zapraszać, a jeszcze innych wypędzać. Nie mam czasu dla siebie, odkąd zrobiły się tu zupełne koszary. Widziałam przywiezione dziesięć fur umundurowania i butów dla rekrutów; czy to warto, czy nie szkoda, aby ten motłoch nosił polskie orły na guzikach?

Jestem przemęczona do ostateczności; chodzić nie mogę, a przecież chodzę cały dzień.

4-go czerwca.

Co za szalona radość! Wróciłam z kościoła z Bożego Ciała i nie zastałam wojska. Nagle wyjechali

do Mironówki, a tu ma przyjść oddział Wdowiczenki. Ale narazie jest cisza, jest spokój, jestem znów wreszcie u siebie. Z tem mrowiem żołdactwa Halzbijówka była mi obcą i nieznośną; teraz znów jest moją, kochaną; każdy krzak się prostuje, drzewo każde ze swobodą wyciąga ramiona, każdy kwiat się uśmiecha; i witamy się wzajemnie uszczęśliwieni.

Piłsudski był w Winnicy — tak blisko! Oznajmił że, dopóki porządku nie będzie, wojska nasze nie wyjdą z Ukrainy.

Smoleńsk wzięty. Wciąż szlakiem zwycięskim idziemy dalej, rośniemy w moc i siłę. Żeby się tylko los nie odmienił. Za piękne to, za bajkowe!

5-go czerwca.

Jako damę do towarzystwa mam teraz Gomolińską, która, biedactwo, w czasie wakacyj nie ma gdzie się podziać, więc wzięłam ją do siebie.

Ceruje wspomnienia moich pończoch i zanudza mnie historjami o popach. O gdybym mogła wyrwać się stąd, wyjechać! Cały mój los zależny jest teraz od frontu, a tam nic stanowczego się nie dzieje. Tiutiunik się cofnął; Wdowiczenko nie przyszedł; w Jampolu niema żadnych wojsk. Cisza, choć woddali słyszać silną strzelaninę.

6-go czerwca.

P. Żukowski pojechał do Gruszki, odbierać swą nieszczęsną pszenicę. Chłopi początkowo nie chcieli dać, ale sam widok przejeżdżających paru żołnierzy wystarczył, aby natchnąć ich rozsądkiem i dobrą wolą.

Z frontu wieści niewyraźne; nasi stoją wciąż na miejscu. Artylerja Wdowiczenki poszła na front. Grasuje tam oddział kawalerji pod dowództwem Marusi, której brat na wojnie zginął, a ona zajęła jego miejsce.

Jakiś nerwowy, zabobonny lęk mię ogarnia, przed czem, nie wiem sama.

8-go czerwca.

Jest mi źle, nieznośnie! Tylu mam bliskich: rodzinę, znajomych, przyjaciół, narzeczonego — i jakgdyby jakiś urok na mnie ciążył, zawsze oni wszyscy tam daleko, a ja zawsze tutaj sama. Taka jestem zmęczona i wyczerpana! Chwilami, doznaję wrażenia, że mózg mię boli. Nieraz, pomimo wysiłku, nie mogę sobie przypomnieć, co było wczoraj.

11-go czerwca.

Byłam w Mohylowie w nadziei, że się dowiem czegoś stanowczego; ale i tam położenie niewyraźne: wojska polskie wyszły z Mohylowa, został tylko komendant Kulwieć, który upewnił mię, że nic groźnego niema, jedynie manewry strategiczno-taktyczne. Ale panika zaczyna się już szerzyć i swoje gońce-plotki puszczać między ludzi: front przerwany, Polacy wycofują się z Podola i inne tym podobne banialuki krążą, które nie mają sensu, a które osłabiają ducha. A jednak wojskowi dopuszczają możliwość, że chwilowo bolszewicy zajmą Mohylów. Jeden z oficerów radzi mi nie opuszczać teraz domu. A ponieważ ruch pasażerski na dwa tygodnie jest wstrzymany, pojechałam się z myślą prędkiego wyjazdu.

13-go czerwca.

Dziś niedziela, prawdziwa niedziela odpoczynku. Nie poszłam piechotą do Jampola, nie nudził mnie żaden chory; na wsi cicho, nikt wyjątkowo po ogrodzie nie łązi. A więc odpoczywam, rozkoszuję się spokojem; siedzę sobie wygodnie w fotelu przed cudnym krzakiem ponsowych róż, z numerem „Myśli Niepodległej“, zdobytej w Mohylowie. Co za burzujstwo! Co chwila odrywam oczy i patrzę w niebo takie błękitne, takie głębokie; wciągam aromat lip i patrzę, patrzę na moje drzewa, krzewy, kwiaty — na wszystko. Jak ja szalenie tę Halźbijówkę kocham! Jak mężczyzna kochający nie może się dość nacieszyć wdziękiem ukochanej kobiety, i zawsze jest ona dla niego nowa, cudna, odświeżająca, zawsze jej pragnie; choć ją ma całą, zawsze mu mało: — tak i ja te wszystkie cuda otaczające chłonę i kocham, i nie mogę się nigdy czarem ich nacieszyć.

14-go czerwca.

Zmierzynka zajęta przez bolszewików... Ukraińskie wojska się cofają... Front polski przerwany... W Jampolu oczekują bolszewików. Niech i tak będzie! — Wszystko mi jedno!

Oby tylko nie zwiądnął ten bukiet białych piwonij, który od paru godzin stał się treścią moich myśli, taki cudny, taki niepokalany w śnieżnej białości. A jak umrze ten mój przyjaciel — to wtedy co? — jest jeszcze złoto rozkwitłych lip, jest jeszcze bogactwo purpurowych róż — tyle nieprzeliczonych wartości,

tyle kroci drobnusieńkich cudów, z których każdy z osobna jest przecież piękniejszy i ważniejszy, a potęgą swą górujący nad zmienną koleją zdarzeń bieżącej chwili! — Wszystko mi jedno!

15-go czerwca.

Pod Berdyczowem front przerwany. Chłopi mówią, że Polacy cofają się wszędzie bez boju. Co to ma znaczyć? Przecież niemożliwe, żeby nasza armja tak bez planu się zaawanturowała, a potem cofała?! Musi w tem być jakaś myśl, jakaś kombinacja. Boże, miłosierdzia, opieki Twojej tam, na linii bojów!

W naszym kącie popłoch zupełny; choć front się jeszcze trzyma na dawnym miejscu, w Olfanówce i Podlesówce, ale kozacy grupkami i w pojedynkę zmykają, po drodze zachodzą do dworu, prosząc o jakieś pożywienie. Rekruci przeszli na stronę bolszewików. Śliczna armja i dziwny patriotyzm: rekrut ucieka do nieprzyjaciela, a stary żołnierz zmyka na tyły. Z Jampola, kto może, wyjeżdża.

17-go czerwca.

Wczoraj cały dzień było słycać dalekie strzały armatnie, a dziś pukanie kulomiotową bardzo blisko. Bolszewicy musieli zająć Jampol. Jestem już zupełnie zrezygnowana; niech się tu z nami stanie, co przeznaczone, niech tylko Polska moja umiłowana nie zachwieje się w swej potędze, w swym jasnym pochodzie ku sławie. A już tę sławę zaczyna szarpać ciemna, podła nienawiść, rozpuszczać potworne, niesłycha-

ne wieści: że bolszewicy są w Winnicy i Zmierzynie, że Niemcy wkroczyli do Polski. Najwyraźniej galiczanie wymyślają te brednie, aby osłabić ducha i zupełnie zniechęcić ludność do Polaków. Wiem doskonale, że to nieprawda, a jednak, żyjąc w tem zupełnem odcięciu, dokąd tylko groźne pogłoski dochodzą, gdzie jedynie wiarą moc swego ducha podsycać muszę, boję się, że duch upadnie, a wiara zginie.

Zaczęłam znów przebrzydłą robotę pakowania i chowania rzeczy.

W tej chwili miałam wiadomość, że dziś z rana weszli bolszewicy do Jampola, a w parę godzin potem wyszli, niewiadomo gdzie i pogo?

Służba chodzi napół przytomna; Frasyńska chce uciekać i błaga, żebym tu nie zostawała; Karol wręcz mówi, że, jeżeli bolszewicy przyjdą, to dostanie pomieszania zmysłów. Cóż w takim razie powinno się dziać ze mną? Ale już opanowałam się zupełnie, a choć ciało mdłe, ale duch śmiało patrzy niebezpieczeństwu w oczy. Przygotowana jestem na najgorsze; bolszewicy pewnie mnie oszczędzać nie będą; aby się tylko nie znęcali—nie mam nawet żadnej broni, ażeby sobie życie odebrać. Niewiadomo, co za chwilę będzie.

Tak gorąco proszę Boga, aby dał siły memu Francowi przeżyć to wszystko, choćby najgorsze — on stoćroć biedniejszy ode mnie.

19-go czerwca.

Cisza zupełna! W Jampolu niema żadnych wojsk. Ukraińcy się cofnęli, a pogłoski o odstępowaniu Po-

laków potwierdzają się. Kijów w rękach bolszewików. Musiało więc zdarzyć się jakieś wielkie nieszczęście w kraju. Uwierzyć jeszcze w to nie mogę. Czy to możliwe, aby nasi byli tak nieprzewidujący? Przecież wojna z Czechami oddawna wisiała, Niemcy też zawsze niepewne, a, idąc tutaj, wiedzieli, że zapuszczają się do kraju nieprzyjacielskiego i że będą otoczeni niechęcią i zdradą. Więc co, co się dzieje? — Jakiś rozpaczny niepokój szarpie duszę. A tu, jak na złość, lato, tak jak i wiosna, cudne, bogate. Wszystko kwitnie i owocuje z jakąś rozrzną obfitością. Lipy całe stoją w wonnem złocie, a pszczoły wypełniają ule po brzegi. Krzaki Krimsonki okryły się ognistym rumieńcem i zdala błyszczą amarantem przelanej krwi. — Czy na darmo? — Maréchal Niel pospuszczały złote głowy, ociężałe królewską wonią, a pióra strzępiaste piwonij wesela się śnieżną białością przy poważnych kielichach lilij. Jabłonie i grusze uginają się pod ciężarem owoców, to samo brzoskwinie, a krzaki porzeczek, obsypane mnóstwem jagód, goreją jak pochodnie, ustawione wzdłuż ulicy. — I naco to wszystko i dla kogo?

20-go czerwca.

W Jampolu rewkom już panuje, a z nim terror. Czy jeszcze przeżyję ten raz?

23-go czerwca.

Znów słychać strzelaninę; chłopci mówią, że Ukraińcy biją bolszewików pod Czerniowcami. Opowiadają

też, że Polacy pogodzili się z Niemcami, że powracają na front i biją znów bolszewików. Jak w tych chłopskich mózgach wszystko łatwo i prędko się zmienia, bezmyślnie jak w bajce.

Znów zaczynają chłopci gospodarować w lesie: wypasają wszystko doszczętnie, a co najprzykrzejsze, że między nimi jest mój najstarszy uczeń, który odgrażał się leśnikowi, że go zabije, a „panienkę“ bolszewicy jak nie zabiją, to i tak w jednej kłoszuli zostawia, „a las nasz“. Dziś w lesie spotkała mię przykreść: zgubiłam bransoletkę od Franca. Stałam się ogromnie zabobonna, więc wierzę, że mnie coś złego spotka.

28-go czerwca.

Chodziłam do Jampola, aby się czegoś dowiedzieć, ale nikt nic nie wie; widziałam tylko fury bolszewickie, gotowe w każdej chwili do wyjazdu; dowodziłoby to, że są tu tylko chwilowo. Polacy nie cofają się. W Zmierzynce podstawa operacyjna naszych wojsk.

2-go lipca.

Przyszedł ktoś ze znajomych i wysypał moc wiadomości, od których w głowie się mąci: Polacy odступują, nie, zaczęli ofensywę; do Mohylowa przybyły dwa pułki nasze — ale w Mohylowie są bolszewicy; Tiutiunik pod Odesą, a jednocześnie bije bolszewików w Kaczówce. Rumunja pod presją Ententy, która zagroziła jej odbiorem Besarabji, wypowiada wojnę bolszewikom. Do Mohylowa przybyły tanki polskie i pociski rumuń-

skie, i naraz to wszystko się cofnęło, a Polacy odstąpili za Uszycę. Nareszcie, że między pierwszym a czwartym lipca nastąpi coś decydującego. Chyba najlepszy polityk nicby z tego wyrozumieć nie mógł, a cóż dopiero ja. Zdałam się na wolę bożą i już żadnych nadziei dla tego kąta, ani dla siebie, nie żywię. Oby tylko w Polsce dobrze się działo. Tu nigdy spokojnego życia nie było i nie będzie; wieczne Kresy na pograniczu Wschodu i Zachodu; wieczny obóz i pole walki.

3-go lipca.

Moja sadzawka w noc księżycową jest istnym cudem. W dzień nie przedstawia nic nadzwyczajnego. W świetle księżycy powiększa się i pogłębia przepaściście. Drzewa wyolbrzymiałe zstępują do wody, gdzie tworzą zaczarowany, daleki kraj, bez końca w głąb nieśmiertelną idący, w którym i ja tonę i zaprzepaszczam się, aż dusza, zapomniawszy wszystkiego, czuje się prawie szczęśliwa. Kto wie? Może to właśnie jest jedynym szczęściem, którego ja jeszcze na ziemi doznać mogę? wyzwolenie moje znów się oddała, tęsknota się zwiększa — i taka sama, taka bezgranicznie sama jestem! Czuję, że tępieję, mózg jałowuje aż do obłądki. Plotki mnie denerwują, a głusza, jaka obecnie panuje, przeraża. Bolszewicy w Mohylowie. A gdzie Ukraińcy, gdzie Polacy? Co się na świecie dzieje?

8-go lipca.

Wczoraj urządziłam ponowną wyprawę do lasu po bransoletkę. Zabrałam całą służbę i p. Żukowskiego,

ale, naturalnie, nic nie znaleźliśmy. Łudzono mnie, jakoby jakiś pastuch znalazł kiedyś w lesie złoty łańcuszek. Zaczęliśmy więc szukać pastucha — nadaremnie, bo każdy co innego mówi, wykręca się, albo kłamie. Objechaliśmy wszystkie pastwiska, rozpytując każdego pastucha; obeszliliśmy wszystkie chaty; p. Żukowski urządził nawet poczęstunek z samogonki, aby wydobyć języka. Ale niczego dowiedzieć się nie można było. Albo rozniosła się wiadomość o mojej zgubie, i na ten temat fantazja ludowa osnuła parę cudownych znalezin, albo może kto naprawdę znalazł i nie chce oddać. Dziwne, ale ten drobiazg stał się dla mnie talizmanem, związanym z dziejami mego kraju i z moją własną dołą. Teraz jestem pewna, że będzie źle i coraz gorzej.

Polacy wycofują się zupełnie, a bolszewicy umacniają swoje rządy; fakt ten, że wojska nasze były, że ja sama rozmawiałam z polskim oficerem, wydaje mi się snem, który się zakończył straszną, pełną ironji rzeczywistością. Właśnie dziś dwa miesiące minęło od przyjazdu Franca. Mój Boże, jakże wtedy było dobrze! jaka wiara, jaka pewność w przyszłość i siłę kraju; jakie plany naszego osobistego, ludzkiego szczęścia!

9-go lipca.

Czułam się dziś tak osłabiona, że nie miałam siły wstać, ale otrzymany list, ostrzegający o rewizji, ściągnął mię z łóżka. Zerwałam się co prędzej, aby schować resztę dokumentów i papierów. Boże wielki, po raz który ja to robię? Żebyż przynajmniej zmienił się rodzaj mojej męki! Jakiś rozpaczliwy bunt opętuje duszę.

W okolicach Krzyżopola *) zaczęło się już rozstrzeliwanie Polaków. W Jampolu mają się zacząć rozstrzeliwania. Cały kraj zalany bolszewikami. A chłopci dla różnaitości opowiadają, że Polacy zdobywają Petersburg.

12-go lipca.

Biedny mój przyjacielu, powierniku jedyny! Oto muszę cię chować w głębokiem ukryciu i tylko do pisania wydobywać z powijków starej poszewki, w którą jesteś zaszyty, aby w każdej chwili móc się dostać na łono Frasyny. Oczekuję tej rewizji i chowam, co tylko może wzbudzić podejrzenie. W rewkomie zdecydowano zrewidować dom hałzbijowiecki, a utwierdziło mię jeszcze w tem mniemaniu spotkanie, jakie wczoraj miałam w Jampolu. Doktor Macenko szedł z tym samym komisarzem, z którym w Mohylowie ujadalam się o swoje meble. Szczęściem, doktor tytułował mnie „siostricą“, ale pewnie dowie się, jakiego to rodzaju „siostrica“. Znając zaś moje rzeczy z Mohylowa, zechce i tu na miejscu skontrolować, czy jest co jeszcze do rekwizycji i wywiezienia. Wróciłam z Jampola ostatecznie zgnębiona, tem bardziej, że wiadomości są fatalne: Polacy cofają się wciąż; powiat staro-konstantynowski zajęty przez bolszewików, którzy dochodzą już i do Kamieńca. Co z Todziem, co z Francem?!

W kraju podobno zmiana gabinetu. Żebym wiedziała, co się tam dzieje.

*) Stacja kolejowa na linii Wapniarka — Odesa.

14-go lipca.

Powoli wchodzę w coraz bliższe stosunki towarzyskie ze wsią. Przychodzą na pogawędkę: syn popa, syn mego sadownika, nauczyciel ukraiński; spacerujemy po ogrodzie, a potem ofiarowuję im kosze malin, własnoręcznie zbieranych. Trzy razy na tydzień mam lekcję angielskiego z tutejszym chłopem, nadzwyczaj zdolnym, który tego roku kończy gimnazjum. Panny dżakówny przychodzą po różne porady artystyczno-teatralne; słowem — wszystko w porządku, zadowoleni wszyscy — tylko się pytam: co ja w tem wszystkim robię?

Asystowałam przy wypompowywaniu wody z mlecza pacierzowego jednej dziewczynce ze szkoły, która ma meningitis. Ledwie namówiłam rodziców, aby sprowadzili doktora, którego, coprawda, ja opłaciłam. Może źle robię, bo starzy to źli ludzie, na mnie wygadują, w lesie pasą, za bolszewikami ciągną, ale żal mi było biednej dziewczyniny, dobrej i posłusznej uczennicy. Rodzice, których syn prorokuje mi, że zostanę w jednej koszuli, pewnie się dziwią, jaka „panienka ćurna“ — ale mniejsza o to.

15-go lipca.

Znów oficjalnie mówią, że Kijów odebrali Polacy. Niczemu nie wierzę, niczem się nie cieszę, niczego dobrego się nie spodziewam, a pragnę go całą duszą, jak zbawienia, jak ratunku, jak życia lub śmierci. Czuję się tak strasznie osłabiona, że aż mnie to samą

przeraża; poprostu jestem ciężko chora; nogi mi wstręt-
nie puchną. Chłopi coraz częściej wzywają mnie do
okolicznych wsi; muszę się wytrząsać na wozach, któ-
rych sam widok odejmuje mi resztkę sił i zdrowia.

17-go lipca.

Wszystko się skończyło. Nie mam już czego
oczekiwać; do śmierci tu takie niewolniczo-wegetacyj-
ne życie prowadzić będę.

Wciąż uważałam ten okres wojenny, jako prze-
ściowy, wciąż na coś czekałam. Trzeba sobie wkoń-
cu wytłumaczyć i przyzwycząić się, że to jest właśnie
samo życie moje, które się już nie zmieni. Dopóki
jestem w ruchu i przy pracy, myśli nie tak dokuczają,
ale teraz popuchnięte nogi i brak sił nie pozwala du-
żo się ruszać. To jest najgorsze; nie mogę leżeć, nie
mogę czytać, nie mogę spokojnie myśleć. Ach, ta zgu-
biona bransoletka!

Polacy wciąż się cofają. Są cierpienia okropne,
a tem okropniejsze, że stałe, rozwlekłe, bezsilne i bezna-
dziejne. Jak ja mogę żyć, jak wlec ten dzień po
dniu?

19-go lipca.

Bolszewicy w Galicji! Polacy wszędzie się cofa-
ją. Rozpacz mię ogarnia; wieczorem, gdy klęknę do
pacierza, resztki sił mnie opuszczają, i beczę jak małe
dziecko. Jakżebym inaczej osobiste cierpienie zno-
siła, gdybym wiedziała, że w kraju dobrze się dzieje!
Czuję, jak serce, mózg, nerwy mnie bolą; czuję, jak

cierpienie moralne niszczy moją istotę fizyczną. Niepokój o Ojczyznę naprawdę mnie zabija.

Bolszewicy coraz lepiej się tu zagospodarowują, umacniają swe rządy. Doktor wczoraj powiedział mi, że miał jechać do Warszawy, ale poczeka, bo już niedługo z „sowiecką władzą“ tam będzie. Bezczelna gadzina! na którą nie powinnam zwracać uwagi, a jednak rozdrażniło mię to okropnie.

22-go lipca.

Jestem zupełnie zabita na duszy, jedynie to cudne lato utrzymuje mię przy życiu. Jak jabym teraz istnieć mogła bez słońca? Z rozpaczą myślę o jesieni i o zimie — nie, nie! nie wytrzymam, nie — chcę, nie mogę! Znów przerażająca samotność, monotonia codziennych dni, szary ciężar tych samych obowiązków: otwieranie szkótek, zachęcanie do nich, ale już nie wiem czem, bo nikt nie uwierzy, że przyjdą, że wrócą. Nie mogę już, bunt, rozpacz zalewa duszę, serce w gardle dusi i łka.

Znów plotki, że Polacy z Czechosłowakami zajęli Kijów, jednocześnie, że cofają się za Kamieniec z powodu rozkładu w armji. Boże, błagam, żebrzę o prawdziwe wiadomości z Kraju, bo oszaleję, nie wytrwam! Ta bajeczna wiosna z wojskiem polskim, z cudnemi nadziejami, z dumnym szerokim rozmachem w świecie triumfalnych wyzwolin, co rozbrzmiewały pieśnią skowrończą, pobrząkiem złotych pszczoł, słońca gorącą radością i biednych serc ludzkich powitalnem biciem! Ta wiosna z przyjazdem Franca, z pogodną

myślą o własnym losie, gdzież ona?... Może to naprawdę był sen, czy oczarowanie, które ze zgubieniem magicznego łańcuszka rozwiąło się na wieki, zostawiając tylko ból, gorycz i tęsknotę; może cudną zjawą, która na chwilę zaigrała z nieszczęsnym więźniem, wtrącając potem w jeszcze gorszą przepaść niedoli.

Poco, poco te nasze wojska szły tutaj — a! żeby wiedzieć!

25-go lipca.

Miałam list od Todzia z przedmiesiączną datą, przywieziony przez żydka z Kamieńca. Cały list błagający, ażebym wyjeżdżała jak najprędzej. Najwyraźniej uciekinierzy stąd muszą rozpuszczać tam okropne wieści o tem, co się tu dzieje; widzę to z tonu listu, pełnego przerażenia i niepokoju. Biedacy! jak oni muszą bać się o mnie! Gdybym mogła ich zawiadomić, że mi nic nie grozi i że jestem bezpieczna! Todzio najwyraźniej pisze, że położenie jest beznadziejne, nie ma się tu czego spodziewać na przyszłość — wszystko skończone. Gdy Todzio ten list pisał, Kamieńcowi jeszcze nic nie groziło; teraz niema już tam nikogo, wszyscy puciekali, kościoły popieczętowane — głusza i trwoga, jak wszędzie.

Tu wciąż plotki krążą, że bolszewicy we Lwowie, że czerwona armja wkroczyła do Królestwa; inni wyobrażają sobie, że Polacy za dwa tygodnie tu wrócą. Jakoby Ententa kazała oddać Galicję Ukraincom. W Polsce grozi rewolucja. Piłsudski ustąpił. Grabski prezesem ministrów. Te wiadomości, bezmyśl-

nemi wargami powtarzane, bolą mnie, szarpia, a jednak słucham, bo cóż mam robić?

26-go lipca.

Żydek przyniósł plotkę, że Polacy z Rumunji przeprawili się do Bender. Bronię się od tych idjo-tyzmów, a jednak pomimowoli jaśniej i raźniej na duszy! Biedne serce ludzkie, czepia się cienia nadziei, aby potem runąć w jeszcze głębszą przepaść.

27-go lipca.

Znów żydek przyniósł wiadomość, że wielkie siły polskie stoją nad Zbruczem; że tym frontem dowodzi Foch, że wielu oficerów francuskich weszło do armji naszej. Coś tam musi być, jakaś minimalna część prawdy, coś tam się musi dziać.

W Jampolu rozpoczęto gwałtowne rewizje i rekwizycje — to dobry znak!

29-go lipca.

Otrzymałam wiadomość, że rzeczy moje w Mo-tylowie zarekwirowano; jutro więc jadę. Jestem pewna, że tym razem nie uda mi się nic ocalić, i tak mi żal tych pamiątek, tyle lat z wysiłkiem bronionych od zagłady! Dziś chodziłam do Jampola po przepustkę; co-raz więcej kosztuje mnie każde zwrócenie się do tej jaskini łotrów. Ze strachem myślę o jutrzejszym Mo-tylowie; znów przeżywać te same upokorzenia, ponie-wierać się po tych samych urządach i kancelarych. Wiecznie ten sam brudny, pusty pokój, w którym skra-

dzione piękne, dostojne meble stoją porozstawiane z drażniącym bezsenssem. Na brudnych, obdartych ścianach ciężkie stare lustra, krzywo powieszzone, zdają się w ciągłym wysiłku prostować linje swych szlachtetnych ram; najwyraźniej im też obrzydło odbijać w swych przezroczach tępe, chamskie, pokraczne figury, bo zasnęły się gęstą warstwą kurzu i pajęczyny. Na gobelinach i skórach rozsiadają się dygnitarze sowieccy, a w kącie zawsze obowiązkowo grupa szpiegów, konszachtujących z członkami czerezwyczajki. Dziś znajdowała się tam jedna wstrętna żydowica, o wyrazie zwyrodnienia i zwierzęcości, która mnie od stóp do głów lustrowała, przyglądając się specjalnie moim biednym warszawskim lakierkom, które jedynie datą swego istnienia sięgają w „praklatyj staryj reżim“, ale wyglądem są już nawskroś proletarjackie. I dobrowolnie leżę w ich łapy! Nie mam już sił i odwagi, a jednak trzeba coś robić.

Przez tych parę tygodni szarpałam się tylko wewnętrznie, ale osobiście nie miałam żadnej styczności z bolszewikami, którzy najwyraźniej zapomnieli o mnie. W cudach przyrody topię rozpacz i smutki, czerpiąc wzamian siłę. I naprawdę po burżujsku pozwalam sobie na różne zbytki. Wstaję ze wschodem słońca i dosłownie kąpię się w rosie; spożywam mnóstwo cudnych owoców, którychby się nie powstydział królewski stół. Dzień mi upływa na zwykłych zajęciach, ale każdą wolną chwilę spędzam w hamaku, aby rozprostować obolałe nogi. Noce takie cudne, miękkie, ciepłe, więc sypiam też w hamaku, który tak wisi, że

księżyc całą noc spogląda mi w twarz i opowiada mi swoje srebrne bajki; a gdy się zmęczy ten stary marzyciel, gdy, blednąc, zaryje się w ogrodowe gąszcze, natychmiast słońca ukośne promienie na twarz mi padają i całują świeżą, różową pieśczętą. Werweny i lewkonje od zmierzchu aż do ranka kołyszają mię oddechem swej woni. Et, bajka; jedyny wielkopański zbytek, na który sobie, z przeproszeniem, psiakrew, pozwałam. Tylko czasem chrapanie pocziwej Frasyny, która pod drzewem na materacu, jak wierny cerber, mnie pilnuje, przypomina mi, że prócz kwiatów są na ziemi ludzie, wojna, bolszewicy, niedola, łzy i tęsknota.

5-go sierpnia.

Białystok, Białowieża, Osowiec wzięty, Warszawa się ewakuuje. W Kraju musi być rewolucja. Boże, daj śmierć, bo przecież tego przeżyć niema sposobu. Chwilami nie wierzę, ale gdzie nadzieja, któraby podtrzymała moją wiarę? Rozpaczl rozpacz! Polska bolszewicka, w Warszawie rząd moskiewsko-żydowski! Boże, czemu nas tak karzesz?

Wczoraj wróciłam z wyprawy do Mohylowa. Cała ta droga była jedną męką. Zaraz przy wjeździe do miasta rzuciły mi się w oczy czerwone plakaty z wiadomością, że Osowiec wzięty. Wszelka energia, wszelka chęć do życia odpadła, a jednak trzeba było coś przedsiębrać. Zaczęło się więc chodzenie i szukanie sposobu uratowania moich gratów. Dosłownie przez pięć dni od szóstej z rana do dziewiątej wieczór biegałam po różnych urzędach, znajomych żydkach, my-

szuresach hotelowych, którzy przez pamięć na dawną znajomość wtedy, gdy brali dwadzieścia kop. napiwku, teraz, jako wielkie figury rządowe, łaskawie raczyli ze mną rozmawiać. Poruszyłam wszelkie sprężyny, aby tylko wyrwać z zaguby te biedne pamiątki, które, zdaje mi się, w zetknięciu z tem byłem bolszewickiem ożywione zostały ludzkim czuciem i cierpią nad swoją niedolą i upokorzeniem. Meble na składzie wszystkie zapisane, a część wywieziona już na dworzec. Paki ze szkłem i porcelaną w mieszkaniu Czesia skonfiskowane i zabrane. Dowiedziałam się, że część wywieziona, a część znajduje się w tutejszej stołówce sowieckiej. W kryształach z herbami będą moczyć gęby krasnoarmiejcy! Jednak zawzięłam się, aby uratować te graty; zdaje mi się, że coś świętego, jakieś resztki naszych tradycji, naszego ducha, zakłętego w tych martwych przedmiotach, wydzieram z rąk świętokradzkich. Poszłam do rewkomu ze skargą, że jako „sowieckiej służaszce” nie mieli prawa zabierać rzeczy, więc teraz proszę o oddanie pięciu kufrów ze szkłem i porcelaną. Z początku przyjęto mnie bardzo grzecznie. Przewodniczący uprzejmie zaprosił: „sadies, siestrica”. Mój opuszczony wygląd z kosynką na wylizanych włosach musiał mi nadawać trochę semickiego wyglądu, który wzbudzał w nich zaufanie i sympatję. Dopiero po przeczytaniu aktu konfiskaty, w którym brzmiało, że rzeczy zabrano od „pamieszczycy” z mieszkania jej brata, który uciekł z Polakami, znikły czułe miny i ustąpiły miejsca tępej nienawiści. Gdy im tłumaczyłam, że rzeczy są moje, że jestem na służbie, że nie myślałam

uciekać, powtórzył dobitnie, że brat mój uciekł do armji polskiej, i tak na mnie popatrzył, że wolałam nie przedłużać tej miłej rozmowy i tak bezcelowej. Ale nie dałam za wygrane i przynajmniej meble postanowiłam uratować. Znalazłam sobie jakiegoś adwokacynę, Rosjanina, który służy sowietom, ale nie z przekonania, i zna doskonale miejscowe stosunki bolszewickie. Razem zaczęliśmy ponowną wędrówkę po wszystkich „komchozach“, „żyłiszcznych“ atdiełach, „politbiurach“, „proświeszczenia i narodnawo razwiesienja atdiełach“. Wkońcu mój pokątny doradca doszedł do wniosku, że jedynie łapówką da się coś osiągnąć. Byłam przerażona i obawiałam się, że mnie prezes „politbiura“ zaaresztuje za wsunięcie mu w łapę tysiąca pięciuset rubli; ale on je bardzo szybko i zgrabnie pochwycił, schował i wtedy zaczął po przyjacielsku rozmawiać, radząc, abym wszystkie meble zapisane, które jeszcze znajdują się na składzie, wywiozła, a on obiecuje nie posyłać tam więcej i zapomnieć o nich. Uzbrojona w „bumagę“, która brzmiała, że „sowieckoj służaszczej, siestricy takiej to, pozwala się wywieźć jej rzeczy do Jampola“, wyszłam uradowana, rozmyślając, jakim sposobem przewieźć i zapakować te nieszczęśliwe resztki. Posłałam Frasynę do Halźbijówki po podwoły, a sama usiłowałam jeszcze wydobyć meble, zabrane na dworzec. Poszłam więc tam, ale dowiedziałam się, że pojechały już z klubem krasnoarmiejskim. Moje kochane fotele, malowane przez Mamę, stare kanapy gruszańskie, mahoniowe stoły teraz służyć będą tej obrzy-

dłej kanalfi! Lepiej, żeby je byli chłopci porozbijali! Wracalam zgnębiona. Południowe słońce niemilosier- nie przepalało mi głowę, owiazaną nędzną kosynką; czarna zniszczona suknia obciążała ramiona, płacząc się nieznośnie dokoła nóg, które spuchnięte i obolałe ledwie wlokły się po rozpalonym bruku; dziurawe pan- tofle bez pończoch słabo izolowały od żaru ostrych kamieni, których każda nierówność sprawiała mi do- tkliwy ból. Wreszcie poprosiłam żydka przejeżdżają- cego z platformą butelek piwa, aby mnie zabrał. Ła- skawie wskazał mi miejsce obok siebie na koźle. Po- dróżując tak przez długie ulice mohylowskie, zaba- wialiśmy się rozmową. Żyd zapytywał o wiadomości polityczne; nie wychodząc ze swej roli, powiedziałam mu obojętnie, że już prędko władza sowiecka będzie w Warszawie. „Daj Boh“ — mlasnął Żyd. A żeby cię jasny piorun spalił!

Doczekawszy się trzech podwód z Halzbijówki, zaczęliśmy ładować meble na wozy. Ciężka to była praca, w ciągłym oczekiwaniu, że lada chwila przyjdź może „obysk“ i złapać nas na gorącym uczynku, gdyż pomimo pozwolenia naczelnika „politbiura“, in- ny dygnitarz, albo nawet sami żołnierze mogli mieć apetyt na te rzeczy i nie pozwolić na wywiezienie ich. Znosiliśmy po małej drabince wielkie, staroświeckie meble, ciężkie lustra, które, ukryte na strychu przez trzy lata, broniły się od zachłannej chciwości brutalnych łap. W najwyższym pośpiechu naładowawszy trzy fury, wyruszyliśmy w drogę. Usadowiłam się na fotelu, spiętrzoną dość wysoko na innych sprzętach, i z te-

go bocianiego gniazda spokojnie przyglądałam się przechodniom ulicy. Przedefilowaliśmy przez całe miasto a tak bezczelny był nasz pochód, że liczne patrole nie myślały nawet o zatrzymaniu, sądząc, że to jakaś rekwizycja szpitalna, w czym utwierdzał ich mój czerwony „chrest“ na ramieniu. Dopiero w Bronicy milicja zatrzymała mnie, ale, zobaczywszy pozwolenie, puściła nas dalej.

Ach, ten Mohylów! otrząsam się ze wstrętem na wspomnienie tych kilku dni, tam spędzonych. Niby w obrzydliwej wizji czarne, dziwne tłumy przelewały się przez ulicę; zapach bardzo dobrych perfum mieszał się z wyziewami potu, czosnku i samogonki, wytwarzając duszącą, nieznośną atmosferę, w której rozbrzmiewały rozpasane rechoty dziewczek, śpiewy żołnierzy i szwargot wymalowanych, wystrojonych żydowic. Ani jednej twarzy ludzkiej, ani jednej uczciwej postaci. Przeciskałam się wśród tego tłumu trwożnie i pośpiesznie, bo zdawało mi się, że to ohydne morze zalewa mię, dusi, unicestwia.

Polacy wszyscy wyjechali; zostało parę osób, które nawet nie wychylają się na ulicę z powodu panującego terroru. Za niebaczne słowo, za najmniejsze posądzenie — areszt. Spotkałam jednego dnia w śródmieściu znajomego żyda, który miał wyrobić mi u komendanta miasta zwolnienie od rekwizycji, zaczęłam więc rozpytywać go o rezultat jego starań. Lecz on przerwał, uprzedzając, że będziemy prowadzić rozmowę o pięknej pogodzie, upałach... W środek banalnych zdań rzucał po jednym słowie, zdając mi relację

z obchodzącej mnie sprawy. Trzeba mieć zawsze przygotowany temat rozmowy, gdyż szpiegi na ulicy nagle rozłączają i każdego z osobna pytają, o czym się mówiło; jeżeli odpowiedzi się nie zgadzają, aresztują.

W domu zastałam popłoch z powodu wizyty urzędników bolszewickich, którzy oglądali mieszkanie. A wszystko już mi jedno, niech biorą, niech mnie aresztują, niech rozstrzelają. Przed oczami tańczą mi wciąż czerwone litery: „Osowiec wzięty, krasna armja o 50 wiorst od granicy pruskiej, Białystok wzięty, krasna armja o 12 wiorst od Warszawy“.

6-go sierpnia.

Owi urzędnicy bolszewicy przyjeżdżali z delegacją winnicką w celu wyrzucenia mnie z domu i zarekwirowania całego mieszkania. W każdej chwili oczekuję ich powtórnej wizyty. Niech mię siłą wyrzucają; sama się nie ruszę.

7-go sierpnia.

Warszawa wzięta — nie, nie, nie wierzę! a jeżeli uwierzę, to zwaruję.

Wczoraj miała się odbyć w Jampolu uroczystość na cześć zwycięzców bolszewickich i urządzano już łuki triumfalne z napisami: „da zdrowstwujeť sowieckaja Polska“ — (że mi pióro nie pryśnie, kreśląc te świętokradzkie słowa!). To nieprawda! Boże, zmiłuj się! to tylko dopust Twój, który się zakończy naszym zwycięstwem. A jeżeli nie, jeżeli to prawda, to znaczy, że idzie panowanie Antychrysta i koniec świata.

9-go sierpnia.

Dotąd jeszcze uroczystość jampolską się nie odbyła. Czekają. — Znow chodziłam do Jampola po przepustkę. Doktor Macenko, od którego brałam świadectwo, z najradośniejszą miną zaczął mi wyklądać swoje projekty, że dwór i ogród zabiera na przytułek dla dzieci. Chce uprzedzić komisarza Lutego, który w porozumieniu z delegatami winnickimi projektuje tam urządzać kancelarię powiatową, a mnie wyrzucić i do czarnej roboty do Jampola zabrać. Doktor względniejszy, gdyż chce mnie zrobić zarządzającą „przyjutu“. I opowiada mi to z obojętną swobodą, jakby rozchodziło się o obcięcie paznogci jakiejś trzeciej osobie. Na zakończenie dodał: teraz dom i pani własność sowiecka; możemy panią zmobilizować i wysłać na front“.

Trzeba więc przygotować i wszystko mądrze obmyśleć: o ile chłopci za mną obstaną i nie dadzą dworu, nic z tego nie będzie. Trzeba to przedstawić w takiej formie, że dwór i wszystkie meble są własnością chłopską, a wieś pozwala mi mieszkać. Może od chłopów nie będą odbierali.

12-go sierpnia.

Znow jeździłam do Mohylowa, ale tym razem jazda nie była tak straszna. Człowiek oswaja się ze wszystkim, nawet z bolszewickimi mordami. Na wyjeździe, żyd z młyna uprzedzał mię, abym nie jechała, bo droga bardzo niebezpieczna. Ale gdy raz co postanowię, to wykonam, i zawsze jest dobrze. Od-

razu, wjeżdżając do Mohylowa, poczułam inny nastrój; mniej tego plugastwa włości się po ulicach, miny mniej pewne i jakiś gorączkowy niepokój objawia się we wszystkim. Po mieście przebąkują o rychłym wystąpieniu Rumunji. W cichych zaułkach zbierają się gromadki ludzi i szepcą sobie pocieszające nowiny: że „rewtrybunał“ i „politbiuro“ wyjechały już, że wszyscy komisarze nocują w wagonach, że pewnie wkrótce opuszczą miasto. W gazetach niema wzmianki o Warszawie i Osowcu. Lwowa łajdaki nie wzięli wcale, a pod Buczaczem nasi wygrzmocili ich porządnie. Na dworcu nie widać długich szeregów wagonów, naładowanych kradzionymi rzeczami, stoi tylko jeden „broniewik“; dowód wyraźny, że boją się czegoś ze strony Rumunji. Chodziłam, aby własnymi oczami przekonać się o położeniu. Ach, jakże inny był mi powrót z dworca od poprzedniego! Choć w tej samej sukieneczynie, w tych samych podartych butach, szłam pewnym, sprężystym krokiem, uśmiechając się do słońca, którego gorące promienie tym razem nie dokuczały mi wcale. Szłam z podniesioną głową, każdemu przechodniowi bezczelnie patrząc w oczy i pogwizdując odniechcenią, aby dać upust szalonej radości, co mi piersi rozsadzała. Adwokatuszka, mój tajny doradca, zaprosił mnie na „czaj“. Czarna to figura, i boję się, aby sobie nie przywłaszczył mego fortepianu, który u niego przechowuję. Grałam na tym moim biednym, kochanym fortepianie, na którym przygotowywałam się do Michałowskiego, który tyle lat przestał w moim niebieskim buduaru gruszańskim. Grałam długo jakieś

beżładne melodje, jakieś modlitwy, jakieś hymny dziękczynne, błagalne o potwierdzenie, o wzmocnienie budzącej się nadziei.

16-go sierpnia.

Wszystko stanęło w strasznem oczekiwaniu; wiadomości z frontu niema żadnych. W Jampolu tak samo, jak i w Mohylowie przebąkują o rychłem wystąpieniu Rumunji i wycofaniu się bolszewików. Każdy dzień spycha się wysiłkiem naprężonych nerwów w nadziei, że to może już ostatni, może przedostatni — ale chyba wkońcu tchu zabraknie. Doktor Macenko wspólnie z jakąś bolszewiczką, dawną nauczycielką jampolską, robią ostatnie przygotowania do zajęcia dworu. Rozgłaszają o „przyjucie“ halźbijowieckim, jako o fakcie dokonanym, chodzą po Jampolu i, czy kto chce, czy nie chce, zapisują dzieci do siedmiu lat, aby je tutaj zwieźć pod moją opiekę. Ładna perspektywa! pełno zasmarkanych żydziaków, rozkładających się po salonach halźbijowieckich, a ja ocierająca im noski i z macierzyńską pieczołowitością czuwająca nad wzrostem przyszłych komunistów! Tak to sobie idyllicznie przedstawia doktor, ten zakuty moskiewski doktryner. Ja tymczasem uprzedziłam starostę, aby w razie przyjazdu tych państwa zebrał gromadę, przyszedł do dworu i mówił tak, jak go nauczyłam. Przedstawiłam chłopom cały ciężar, jaki spadnie na wieś z chwilą założenia „przyjucu“, żywienie i utrzymywanie całej bandy żydziątek. Pozamykałam wszystkie

pokoje i klucze oddałam staroście. Będziemy jadać na ganku, i tylko jedno wejście zostanie otwarte.

20-go sierpnia.

Piszę na świstku, musiałam mój dziennik schować gruntownie, gdyż jestem teraz alarmowana co dnia. Mój stary przyjaciel mieszka u Marjana w kominie, zaszyty w worek wraz z papierami i rachunkami Macierzy, moim pasportem polskim i z wielu innymi drogiemi pismami, które chciałabym uchronić przed ciekawością niepowołanych.

Przedwczoraj, ledwie pierwszy świt zaróżowił szyby, wpadła Frasyńska do pokoju: „Bolszewiki idą“! W jednej chwili rzuciłam się do poduszki, pod którą leżały moje bazgroły i, wpakowawszy je na Frasynę, kazałam budzić p. Żukowskiego, sama fartuch szpitalny na siebie — i czekam. Kucharz dał znać na wieś; zaczęli się ludzie schodzić. Na mój znak, dany przez okno, chyłkiem po jednym starali się zbliżyć, aby się ze mną porozumieć, ale za każdym razem wyrsał jak z pod ziemi żołnierz, energicznym ruchem karabina odganiając moich sprzymierzeńców. Nakoniec zjawił się komendant czerezwyczajki, żyd Kin, bardzo uprzejmie oznajmił, że muszą zrobić rewizję w poszukiwaniu szpiega rumuńskiego, który się tu ukrywa. Dowiedziałam się, że cały ogród jest także otoczony żołnierzami, a mój sadownik zaaresztowany. Zaczęło się szukanie owego szpiega, przyznać muszę, że, jak na bolszewików, dość względnie i przyzwoicie. Kin bardzo uprzejmie przeproszał mnie za „bezpakojstwo“,

a jednocześnie bardzo pilnie, łakomym wzrokiem przyglądał się meblom i książkom w bibliotece. Po skończonej rewizji popijaliśmy herbatkę, zabawiając się miłą rozmową, jako ludzie dobrze wychowani, wyżsi ponad drobne zajścia, które nas przecież z równowagi wyprowadzić nie mogą. Na moją prośbę, wypuścili biednego sadownika, który był jedynie dla efektu zaarrestowany, i pożegnawszy się, pojechali. Na pozór wszystko w porządku, ale czułam, że to tylko preludjum do dalszych odwiedzin. Zaczęłam więc natychmiast pakować książki, które specjalną ich uwagę zwróciły, a nawet wywołały okrzyk, że książki powinny być własnością biblioteki narodowej. Workami wynosiliśmy je na wieś do zaufanych gospodarzy. Zdarzyła się tu komiczna scenka, którą, pomimo zdenierwowania i przygnębienia, szczerze się ubawiłam. Mój uczeń angielskiego, dowiedziawszy się o mej niedoli, przybiegł ofiarować też swoje usługi, ale, ponieważ szalenie się bał, aby kto donosu nie zrobił, że przechowuje moje książki, oznajmił, że przyjdzie późno, tak, aby go służba nawet nie widziała. Gdy już wszystko ucichło i „psy się uspiły“, usłyszałam skrzypnięcie furtki i cichy trzykrotny gwizd, odpowiedziałam podobnym i, prędko narzuciwszy szlafrok, wyjrzałam oknem. Pod murem stał młodzieniec, który mnie po angielsku przywitał, zamieniwszy parę słów przyspieszonym szeptem; wydźwignęłam na okno przygotowany worek z książkami i zsunęłam mu na plecy. Młodzieniec, uginając się pod ciężarem, zniknął w ciemnościach.

Następny dzień upłynął mi jeszcze na pakowaniu, chowaniu, przenoszeniu, usuwaniu, ukrywaniu — przebrzydłe, nikczemne zajęcie. Domu nie opuszczałam ani na chwilę, czujna na każdy turkot i skrzypnięcie bramy.

Wczoraj wyszłam na chwilę, odetchnąć do ogrodu, i właśnie wtedy zjechali oczekiwani goście. Zastałam w domu kilku drabów, którzy, zapytawszy się, czy jestem „gramotna“, pokazali mi rozkaz, podpisany przez Kina, na wydanie biurka, łóżka i czterech foteli. Natychmiast przyszedł starosta, i wedle tego, jakieśmy się umówili, nie chciał otworzyć pokoi, twierdząc, że wszystkie rzeczy należą do wsi, i nikt nie ma do nich prawa, ale gdy starszy z bandy marynarz huknął na niego, załął się i wpuścił ich do pokoju. Zabrali wymienione rzeczy; moje kochane dobre biurko, przy którym tyle chwil przesiadałam, które zna najskrytsze moje myśli i zwierzenia, przy którym tak dobrze mi się pisało, zabrały zbiry na wóz i postawią w jakimś pustym brudnym pokoju na wysługi zbrodni i ohydy. Doznałam okropnego wrażenia, jakgdyby trumnę z drogimi zwłokami wynosili. W pokoju została nieznośna pustka, tak dobrze mi znana: pustka zmarłych istnień, zniszczonych pamiątek.

Przed furą, na którą ładowano rzeczy, zebrała się gromadka chłopów, i zaczęli dość energicznie protestować przeciwko krzywdzie, jaka się „panience“ dzieje. Wtedy marynarz wystąpił z gwałtowną oracją; jak śmiało mnie nazywać „panienką“ i kapelus, jak przed „ikoną“, zdejmować?! Gdyby ta „panienka“ nie była dogodną dla ludzi i nie wystugiwała się leczeniem wsi,

toby „pulu w łob połuczyla, tak jak wsi praklaty pany“, którzy naród męczyli i ciemnieżyli. Nie mogłam już dłużej wytrzymać! Krzyknęłam, przerywając mu, a że mam głos dobrze postawiony, a pasja mną trzęsła, grzmiałam więc na całe podwórze; p. Żukowski i Frasy na suknię mnie ciągnęli, ale już nie panowałam nad sobą i krzyczałam, że nie ma prawa tak mówić, że nie wie, kto ja jestem, więc niech się nie odzywa; że jeszcze o wojnie słuchu nie było, a już zajmowałam się medycyną, skończyłam kursa, miałam świadectwa i leczyłam całą wieś. Że czuję się zupełnie bezpieczna wśród swoich ludzi, z którymi żyję w przyjaznych stosunkach i którzy mnie nie od dziś znają. Marynarz przycichł i zaczął grzecznie się tłumaczyć, że przeciwko mnie nic nie ma i o mnie nie chciał źle mówić, tylko że nie mam prawa mieć tak dużo mebli. A te barany chłopcy porozdziawiały gęby, stoją i milczą. Cośnecoś jeszcze któryś bąknął, ale widok karabinów, rewolwerów i bomb, któreimi żołnierze ostentacyjnie manewrowali, odebrał im resztki odwagi. Pewna jestem, że, gdyby chłopci energiczniej byli zaprotestowali, bolszewicy odeszliby z niczem; po ich zachowaniu się i pośpiechu widać było, że niepewnie się czują. Dopiero po ich wyjeździe chłopci zaczęli deliberować, że mogli nie dać. Chciałam skorzystać z tego nastroju i namówić starostę, aby zwołał „schod“, na którymby wszyscy stanowczo zdecydowali nie dawać więcej bolszewikom mebli. Ale starosta przerażony wykręcał się i ociągał. Widząc, że prawica się chwieje, postanowiłam działać z lewicą; posłałam po



kilku prowodyrów, niespokojnych duchów wsi i użyłam całej swej wymowy, aby ich przekonać, że mają obowiązek i honor bronienia mnie; że, ponieważ starzy gospodarze tchórzą, na nich liczę, jako na odważnych i życzliwych. Tłumaczyłam, że wstyd byłoby dla wsi, gdyby z pod nosa im moskiewscy żydzi zabierali meble, które oni przez tyle lat ochraniali, które są własnością albo moją albo wsi, ale nikogo więcej. No, a co najważniejsze, obiecałam dużą nagrodę za opiekę. Przejęli się bardzo doniosłością powierzonego im zaufania i prosili, abym była spokojna, bo bronić mnie będą. Ciekawam, czy dotrzymają?

21-go sierpnia.

Dziś posłyszałam strzał, skoczyłam z radości — ale na tym jednym strzale się skończyło. Cisza i głusza zupełna. Nawet i plotkom dokuczyło wahać się między ludźmi; przyczały się gdzieś na miedzy, nie śmiejąc przerwać ciszy, złotej słońcem. I te tchórzliwe żałobnice — jędze strachu, co uderzają w trwogi dzwon, lubując się przyśpieszonym biciem nieszczęśliwych serc; i te szalone, niebaczone przekory, co złudą, banialukiem, bezsenssem karmiąc ludzi, cieszą się z ich wykrzywionych twarzy rozpaczonym grymasem zawodu — przysiadły wszystkie. Groteskowe oblicza zwróciły ku słońcu, grzejąc efemeryczne, nieistniejące ciała.

23-go sierpnia.

Dzisiaj dzieci przyniosły mi ostatnie ploteczki, bo już tylko dzieci plotkami się zajmują, a jednak ich wysłuchuję. Zosia z targu przyniosła wiadomość, że

w Rybnicy są Rumuni, a w Kamińcu Polacy. Zapisuję to, choć wiem, że nieprawda, ale sam fakt utrwalenia na papierze tych nieuchwytnych szelm, jakimi są plotki, robi mi przyjemność.

24-go sierpnia.

Ukraińcy cofnęli się w Karpaty; bolszewicy od Bukowiny ciągną na Rumunję. Dostałam gazetę bolszewicką, ale nie mam sił czytać tego paskudztwa.

Teraz ani ja, ani wieś spokoju nie mamy; każdej chwili wpadają bolszewicy, by robić rewizję, to rekwirować zboże, to zabierać broń. Ten sam, co poprzednio, marynarz zapowiedział chłopom, że kto nie odda broni, temu sam wobec całej wsi w łeb palnie. A te barany słuchają i znoszą!

Dziś wieczorem wpadła Frasyňa, donosząc, że pod murem w ogrodzie czai się jakaś podejrzana figura; pokazało się, że to biedny X., unikając poboru do wojska, chciał się schronić do mnie, ale, widząc, co się tu dzieje, chciał wracać do domu, z obawy, aby swoją obecnością mnie nie narazić. Ponieważ deszcz lał, i pioruny waliły, zabrałam go do domu; przesiedział całą noc w kredensie; biedak ma silny bronchit a już od kilku dni nocuje w lasach i jarach. Dziś jeszcze nie było żadnej wizyty; za każdy dzień, za każdą godzinę spokojną Bogu dziękuję.

25-go sierpnia.

Nowoobрани starosta wiejski z całym komitetem przyszedł zaprezentować się i objąć opiekę nad

dworem. Sprawdzili ilość mebli według spisu, obeszlą wszystkie pokoje; skorzystałam z otworzonych salonów i zasiadłam do mego kochanego fortepianu; chłopcy oczy wytrzeszczyli i z zainteresowaniem się przysłuchiwali. Ale trzeba było pokoje zamknąć, klucze oddać staroście i znów niewiadomo na jak długo rozstać się z najmilszym przyjacielem. Urządziłam chłopom wspaniałe przyjęcie ze stoniną, „czajem“ i z samogonką; wzajem świadczyliśmy sobie, pijąc swoje zdrowie. Zaręczali, że bronić mnie będą i żadnej krzywdy zrobić nie pozwolą. Samogonka musiała podnieść temperaturę serdecznych uczuć i rycerskości — ale dobre i to!

Do Jampola przybyły znaczne siły wojskowe, może nareszcie coś decydującego nastąpi.

27-go sierpnia.

Moja towarzyszka niedoli, p. Zofja, przyjechała, wycierpiawszy niemało. Pod Kijowem trafiła na cofanie się wojsk polskich; przeszła dwa razy front, wreszcie zaaresztowano ją, jako szpiega. Przez miesiąc męczono ją w czerezwyczajce, indagowano, grożono rozstrzelaniem, namawiano na służbę bolszewicką, łudzono obietnicami i straszono mękami, aby tylko wyłudzić jakieś kompromitujące zeznania. Polak Dzierżyński i tak zwany krwawy Kowalski najbardziej ją męczyli na „doprosach“. Siedziała w Łukjanowskiem więzieniu w lochach, gdzie, prócz złamanego krzesła, żdźbła słomy nie było na kamiennej posadzce, a zapach trupów prześladował do obłądu. Nie

rozumiem, jakim sposobem wypuścili ją oprawcy ze swych szponów, bo wszelkie pozory były przeciwko niej, a zresztą oni się z tem nie liczą, zwłaszcza względem Polaków. Cudem prawie ocalała i nawpół żywa, bez pieniędzy, dobrnęła tu zpowrotem. Niepocieszające wieści mi przyniosła: cały kraj zalany bolszewikami; widziała tylko cofające się wojska polskie. Nie był to odwrót dla względów strategicznych, ale wywołany koniecznością. To znaczy, że w Kraju i w armji jest źle. Nieprzeliczone mnóstwo bolszewików gonilo nasze cofające się wojska; cały wschód dziką hordą runął na Polskę. Łudziłam się jeszcze, że my tu nic nie wiemy, że dochodzą nas wieści naumyślnie przesadzone i mylne. Teraz rozwiąta się ta reszta złudzeń. Trzeba więc skończyć z tymczasowością i oczekiwaniem, trzeba przystosować możliwie życie do obecnych warunków, jednocześnie mądrze i świadomie broniąc się od zupełnej zagłady i zatracenia. Więc znów, pozbywszy się wszelkich złudnych marzeń, trzeba wziąć swój krzyż na ramiona, pochylić kark pod ciężkie jarzmo i iść w to szare, nędzne, wrogie życie.

Szkoły wszystkie mają być zarejestrowane i przechodzą na koszt rządu. Macierz jako taka nie utrzyma się, ażeby więc ratować nasze szkoły, muszą je zarejestrować, a nauczycielki wysłać na nauczycielskie kursy komunistyczne, które się teraz odbywają w Ścianie*). Zasady komunizmu i mądrości nowej pedagogiki są tam wykładane; szkoły mają być zreorganizo-

*) Wleś o 40 wiorst od nas.

wane według nowego systemu; religja wraz ze wszystkimi jej zewnętrzными wyobrażeniami absolutnie wyrzucona. I ja w taką djabelską moc oddaję moje szkoły! Nie wiem, jak postąpić? Przecież na mojej odpowiedzialności została ta gromada polskich dzieci i te biedne nauczycielki. Ale wyboru nie mam. Albo zamknąć zupełnie szkoły i skazać drobiazg na zupełne zdziczenie a nauczycielki na śmierć głodową; albo lawirować z władzami bolszewickimi, pozornie podporządkować się ich dyrektywie, a naprawdę prowadzić dalej rozpoczętą pracę w myśl własnych przekonań z Bogiem i Ojczyzną. Niełatwa to sprawa i bardzo ryzykowna, ale mam nadzieję, że nam się uda.

29-go sierpnia.

Radość, otucha, zyciel Polacy tłuką bolszewików!
Odparli ich od Brześcia, Chełm odebrali! Idą znów
naprzód! Boże!

Ale najbliższa rzeczywistość wciąż jest ciężka i niewesoła. Przyniósł mi starosta „zajawienie“, aby doktorzy, felczerzy i siostry miłosierdzia stawili się w Jampolu do mobilizacji. Może to już mój ostateczny koniec? bo niepodobna, aby o mnie „zdrowodzień“ zapomniał. Jedyne ratunek wtedy, jeżeli chłopci podadzą prośbę o zwolnienie mnie z powodu, że jestem im na wsi bardzo potrzebna. Zaczęłam już akcję w tej sprawie.

1-go września.

Polacy front przerwali! Łuck odebrany! Na naszym froncie są już w Uszycy; w każdym razie komunikacja z Kamieńcem na pewno przerwana. Boże! gdybyż to była prawda nieodwołalna! Zatraciłam zdolność cieszenia się. Boję się dobrych wiadomości, które tyle razy kończyły się bolesnym rozczarowaniem. Boję się też szczęśliwej rzeczywistości; bo jeżeli wrócą tu Polacy, a Franca między nimi nie będzie?

W tym czasie miał odbyć się nasz ślub; tymczasem nie wiemy nawet wzajemnie, gdzie się gonić myśłą: czy na ziemi, czy w zaświatach.

Wczoraj wezwano mnie na Komisję. Gdy przysłałam, zawiadujący komisją, uprzedził mię, że mogę nie stawać, gdyż zapisana jestem tylko w „zdrowaddiele“ a w wojskowej komisji nie. Skorzystałam z tego skwapliwie, wynosząc się co prędzej.

2-go września.

Odbył się „schod“, zwołany w celu namowy chłopów do kopania okopów we Flemendzie, ale amatorów niema. W Komargrodzie powstał bunt chłopski, wysłani żołnierze odmówili strzelania do chłopów. Część budiennowców przyłączyła się do Wrangla, czyli ze wszystkich stron przyciskają bolszewików.

Żyję w ciągłym niepokoju, co robić ze szkołami. Posłałam parę nauczycielek na te idjotyczne kursy i podałam spis naszych szkół do zatwierdzenia w „pro-

świtaddiele“. Czy dobrze zrobiłam? czy pomoże to cośkolwiek? W strasznem zdenerwowaniu i zbałamuceniu traci się chęć do czynu i wszelką wiarę.

6-go września.

Z Jampola powróciłam ostatecznie zgnębiona: wciąż areszty, rewizje, wywożenie więźniów. Wiadomości o Brześciu i Uszycy nie potwierdzają się; przeciwnie, podobno Polacy znów się cofają. Jednocześnie jednak utrwała się ogólne bezpodstawowe przekonanie, że bolszewicy wkrótce wyjdą stąd, ustępując przed Polakami. Czy wiarę tę utrwalają gorące nasze pragnienia, czy może podświadome przecucie?

Przyszły już słoty i chłody jesienne. Jak dalek trwać w ciemności długich wieczorów, w chłodzie, samotności, z tęsknotą i rozpaczą w sercu? Ostatni sprzymierzeńcy: słońce i zielono-pstra świta jego opuszczają mnie powoli. O jakże się boję tej jesieni i ciemności!

Wczoraj zakończyły się kursy nauczycielskie. Roztrząsano tam głębokie zagadnienia pedagogiczne i dawano genialne rady praktyczne w zastosowaniu do obecnych warunków, np. trzeba, by dzieci pisały odrazu bez linii i kratek, które krępują indywidualność. Inny półgłówek radzi, aby dla braku papieru zastosować system starożytny i pisywać na woskowych tabliczkach (jeden funt wosku kosztuje obecnie 1000 rubli!). Przy każdej, choćby najmniejszej szkole musi być dodatkowy oddział rzemieślniczy. Na nieśmiałą czyjaś uwagę, że najmarniejszy rzemieślnik będzie brał za na-

uczanie przynajmniej 5.000 rubli miesięcznie, brzmiała odpowiedź dumna i godna, że „właść“ sowiecką stać na utrzymanie dwóch nauczycieli, nawet przy szkołach, złożonych z dwudziestu uczniów. Cudownie! Ale tymczasem mają pobierać po trzy tysiące miesięcznie sowieckimi śmieciami. A chociaż szumnie ogłaszano, że nauczanie jest bezpłatne, każde dziecko musi dać pud zboża. Na kursach było przeszło 200 nauczycieli i nauczycielek; wszystko to głodne, bose, obdarte, dotąd odziewane i karmione jedynie absurdami komunistycznymi. Spisu mego nie zatwierdzono, musiałabym pójść osobiście do „proświtadziełu“ i domagać się tego, co by tylko sprawę popsuło, gdyby się dowiedzieli, że „bywszaja pomieszczycza“ i burżujka kieruje polskimi szkołami. Usuwam się więc oficjalnie zupełnie, a nauczycielki same rejestrować będą swoje szkoły, zostając pod tajnym moim kierunkiem.

Wszędzie po wsiach odbywa się silna agitacja ukraińska przeciw naszym szkołom.

8-go września.

Jeden z urzędników uprzedził mię, że w tomasz-polskiej cukrowni żołnierze wykryli mnóstwo cennych rzeczy, pochowanych w kryjówkach; zachęceni tą zdobyczą, postanowili dokładną rewizję zrobić w Honorówce i u mnie.

12-go września.

Coraz uporczywsze krążą wieści, że Polacy się zbliżają; wczoraj nawet mówiono, że Bar zajęty, że sły-

chać strzały armatnie. Ach, jak te wiadomości, które się nie sprawdzają, męczą okropnie! Mówią, że bolszewicy w tych dniach opuszczą Jampol, że w Kietrosach *) kopią okopy i tam się cofną, O gdybyż to było prawdą! Pomimo, że sobie najsurowiej tego zabraniam, ciągle warjackie marzenia się roją: gdy Polacy przyjdą, gdy Franc przyjedzie!

Pozwalam sobie na zbytek snów przyjemnych, ale to już jest poza mą wolą i świadomością; nie odpowiadam więc i nie mam obowiązku rachować się za nie z zawistnym losem. Codzień jeżdżę we śnie do Warszawy, żyję tam, żyję przyjemnem, kulturalnem życiem: jeżdżę i chodzę po ulicach, mam pełno interesów, bywam w teatrze, czytam książki, odwiedzam znajomych, a nawet o dentyście nie zapominam.

Jak ja bezgranicznie tęsknię! Żyję w ciągłym stanie półsnu; cała moja istota duchowa, prawdziwa, zapadła w letarg, z marzeń i złud-sennych złożony. Zewnętrzna istota funkcjonuje machinalnie, podtrzymywana pracą fizyczną i ciągłym ruchem, ale myśli są rozpierchłe, nieobecne, i napróżno chciałabym je skupić.

Co będzie, jeżeli położenie nie zmieni się do zimy — co wtedy? Ogarnia mię jakiś lęk dziecinny, bezgraniczny. O, gdybyż jaki koniec już przyszedł! Z obojętnością myślę o śmierci, a nawet z ulgą; jedynie wspomnienie Franca i Hanki ciążyłoby mi w chwili konania.

*) Wieś o 80 wiorst za Jampolem.

14-go września.

Powstania chłopskie szerzą się coraz gwałtowniej; koło Zmierzynki wystąpiły liczne bandy przeciw bolszewikom. Może z tego powodu była strzelanina, i rozeszła się plotka o Polakach w Barze. Odwoziłam dziś do Replaszyniec nauczycielkę nową, którą udało się zatwierdzić, choć nie była na kursach. Dziwna jest teraz moja rola pokątnego doradcy i tajnego organizatora szkolnictwa. Rodzice i nauczycielki zwracają się do mnie siłą przyzwyczajenia i zaufania; a prawda! mam jeszcze pieniądze w kasie Macierzy, któremi dopełniam szczupłe pensje bolszewickie. Właściwie sama już nie wiem, czem jestem. Te idjotyczne warunki wyzuły mnie z prawdziwej mojej istoty. Ni to obywatelka, ni to pani; ni doktor, ni siostra miłosierdzia, kierownik szkół, robotnica w ogrodzie — wszystkiego potrochu, a właściwie nic. Ani to, ani owol! Dom ni by mój, ale kluczy od niego nie mam; meble — moja własność, ale nie śmiem stołka przenieść z pokoju do pokoju. W tym chaosie zgubiłam siebie. Czy kiedy odnajdę?

16-go września.

Ksiądz przysłał mi jakiegoś biedaczynę, Polaka z Odesy; który chciał się dostać do Polski; bolszewicy w drodze go zaaresztowali. Z więzienia w Winnicy uciekł, w Mohylowie wpływ przepłynął Dniestr, ale go Rumuni natychmiast zpowrotem odesłali. Sprzedał wszystko, co miał, nawet buty i teraz w jednym podartem ubraniu na nagim ciele tuła się biedac-

two bez nazwiska i dachu. Obawiam się trochę, czy to nie szpieg; ale nie mogę odprawić chłopaka, który w dodatku chory jest na dyzenterję. Chyba szpieg byłby w lepszym stanie. Boję się, aby bolszewicy nie wytropili go tutaj; wtedy finis ze mną, z domem, ze wszystkim. Oficjalnie udaje Rosjanina, rozmawiamy po rosyjsku. Chciałabym mu dać wszelkie wygody, ale nie mogę, aby się przed służbą nie wydało, kim on jest. Traktuję go, jako zupełnie prostego człowieka, i gram komedję, że jestem ogromnie zła, nie będąc pewna, czy to nie jaki szpieg, ale z drugiej strony nie zaręczę, czy naprawdę tak nie jest. Ciągłe tylko udawać, kłamać, bać się, kryć!

Frasyna wróciła od siebie z Lipczan, przywołując mi złe wiadomości. Wszędzie bolszewicy silni i pewni siebie. Polaków niema w Kamińcu, a front koło Lwowa. Trzeba się przygotować na bolszewicką zimę. Żyjemy zupełnie bez światła; mam jeszcze kilka szabówek, które chowam dla Ojca; biedny staruszek coraz bardziej niedołąźnieje. Nauczyłam się pociemku ubierać i wykonywać wszelkie czynności toaletowe. Wieczorami chodzę z zamkniętymi oczyma, bo nie mogę znieść tej czarnej otchłani, która mię otacza.

Chodziłam wczoraj do Flemendy do chorego; pogalopowałam tam z ochotą, mając tajny projekt zaagitowania wśród ludzi, aby zrobili podanie o szkołę, która z powodu braku nauczycielki i funduszków dotąd nie była czynna. Tłumaczyłam im, że znajduję nauczycielkę i zajmę się wszystkim, aby tylko „objawili“ władzom chęć otworzenia szkoły; ale chłopci

steroryzowani nie chcieli o tem słyszeć. Coprawda, Flemenda, jako wieś nadgraniczna, najwięcej jest napastowana przez bolszewików. Musiałam więc dać pokój wszelkim namowom, tem bardziej, że działałam nieoficjalnie, mogę więc łatwo z powodu tego wszystkiego coś oberwać. Bolszewicy zażądali od Halźbijówki: 6 pudów zboża z dziesięciny; 18 tys. jaj, 25 pudów masła, 40 pudów miodu i nie wiem już ile przędzy. W tej chwili odbywa się „schod.“ Zdaje się, że odmówią; ale okropnie się boję, że, gdy bolszewicy ich przycisną, przestraszą się i dadzą wszystko. Hadjuka jest tchórzem podszyty. Jeżeli chłopci nie zaczną się buntować, to ostatnia nadzieja przepada.

20-go września.

Zjawił się nareszcie wczoraj doktor Macenko ze swą kochanką. I ja, i wieś przyjęliśmy ich według wyżej powziętej taktyki dyplomatycznej. Doktor z całą pewnością siebie, z godną miną gospodarza domu i pana położenia oznajmił mi, że mnie rekwiruje i mianuje „zawiedujuszczą pryjutem“, zaczynając odrazu zaznajamiać z planem swego przedsięwzięcia. Ma to być żłobek dla dzieci od pierwszego dnia urodzenia do czterech lat życia. W dwóch mniejszych salonach mają być sypialnie; w większym — sala zabaw, w innych pokojach — najrozmaitsze ubikacje; my z ojcem dostaliśmy łaskawie dwa małe pokoiki. Ze spokojem, z miną skupioną, przejętą ważnością swojej roli, słuchałam wywodów, a zapytywana, jako współpracowniczka, dawałam zbawienne rady.

Skąd wziąć produktów? — Naturalnie od chłopów! — Skąd krów? — od tych samych chłopów! — Skąd paszy? — no, pewnie, że ze wsil — Skąd służbę i pielęgniarki? — Ano, zarekwirujemy baby wiejskie.

Obrzydliwą perfidją muszę się ratować, ale to jest jedyna broń, jaka mi pozostała wobec strasznej zachłannej siły i bezprawia. Pobudzone apetyty doktorskie zwrócą się do chłopów z żądaniem niestłachanych ofiar na rzecz komunistycznego przytułku; wiemy, jak chłop na takie propozycje reaguje, i jak odważnym i mężnym się staje, gdy chodzi o całość jego kieszeni! A mnie w to graj!

Przykro mi i głupio, że muszę oszukiwać człowieka, któremu zawdzięczam życie, gdyż ten sam doktor Macenko dwa lata temu z poświęceniem i największą sumiennością ratował mię w tyfusie. Nic to mu jednak nie przeszkadza torturować mię dziś moralnie, i gdybym stanęła otwarcie na zawadzie jego planom bolszewickim, sprzątnąłby mnie ze spokojem. A przecież tak niedawno był to jeszcze człowiek ze zdrowym, uczciwym sądem! Takie metamorfozy i z dobrą wiarą skoki łbem w przepaść może wytrzymać tylko dusza moskiewska, a właściwie nie dusza, tylko doktryna, która jej miejsce zajmuje.

Zachowałam spokój i pogodę podczas całej rozmowy i wizytacji domu. Na zakończenie, doktor z rozbijającą naiwnością prosił mię, ażebym miała mowę, zachęcającą chłopów do pomagania i wspierania „przyjaciół”. Obiecałam, a jakże!

Właśnie zesła się cała gromada chłopów na wezwanie doktora; coprawda, posłał on tylko po starostę, ale chłopci, pamiętając moją radę, stawili się w jak największej ilości. Wyszliśmy na ganek. Towarzyszka doktora, która przed chwilą z pewnością siebie i z wyrazem złośliwej radości szastała się po salonach, zobaczywszy liczną gromadę, której postawa onieśmiała jej społeczne zapęły, siadła w kącie na ławce, zasuwając się w cień winogrodu. Dobrze, że bab nie było, bo na pewno dostałoby się coś tej kapłance i apostołce wszelkich miłości i miłosierdzia.

Ja zeszałam z ganku i, zmieszawszy się z tłumem, zaczęłam w myśl poleceń doktora przekładać każdemu z osobna, że musi dostarczyć mleka, ehleba i różnych delikatesów dla żydziaków jampolskich. Przesuwałam się wśród gromady, rzucając słowa, które jak iskry padały na przygotowany grunt. Doktor tymczasem głosem trochę niepewnym zaczął orację, ale za ledwie doszedł do drażliwej kwestji pomocy wsi, chłopci przerwali mu, oznajmiając kategorycznie, że nic nie dadzą, że dwór jest ich własnością i urzędzą w nim, co sami chcą — może szkołę rzemiosł; ale podrzutków żydowskich nie myślą hodować. Posypały się drwinki i żarciki, przerywane co chwila rubasznym, gromkim śmiechem. Jakże dobrze znałam ten gruby śmiech na całe gardło, bezlitosny, chłoszczący, jak bicze. W tej chwili nie bolał mnie on, przeciwnie, brzmiał mi nutą przyjazną, zapowiedzią ratunku i pomocy. Biedny doktor musiał przerwać swą przemowę, a chcąc ratować położenie, zapowiedział, że w niedzielę znów

przyjedzie w nadziei, że się chłopci opamiętają i namyślą. Odpowiedziały mu głośnie śmiechy i głuche pomruki. Mam wrażenie, że tu się więcej nie pokaże.

Nie wiem, czy doktor Macenko jest tylko zacietrzewiony, czy podły. Z najwyższym bowiem oburzeniem mówił ze mną o chłopach, którzy ośmielają się dom zamykać i rozporządzać nim, jak swoją własnością, gdy tymczasem dom i wszystko, co się w nim znajduje, a po części nawet i właścicielka należą do rządu. Tłumaczył mi to z całą naiwną bezczelnością, jakgdyby nie wiedział i nie widział, że wchodzi tu w grę najświętsze moje uczucia i prawa niezaprzeczalne!

Chłopów najbardziej boli i obraża, że chciano im żydowskie dzieci na kark zwieźć. Jeden z gospodarzy, po rozejściu się wszystkich, w osobnej pogawędce ze mną jeszcze swe oburzenie wylewał, kończąc: „A rozwierstka panienko, dla koho ide? moskol ni czołowik jajec ne ist, paniw nema, wydno szczo żydiw majem hodowaty“.

21-go września.

Na gościńcu ktoś widział pięć wozów z rannymi, jadącymi z Mohylowa do Jampola. Pokiereszowały ich wojska Wdowiczenki, który idzie na Mohylów. Ludzie twierdzą, że słychać było z rana silną kanonadę, ja sama słyszałam wystrzał armatni, ale już niczemu nie wierzę, nawet własnym uszom, które tyle razy grzmoty brały za wystrzały.

Powstanie wszędzie się szerzy: w Mohylowie, Babczyńcach, Kamionce. Nareszcie! Co teraz będzie? Pomijając już wszelkie uczucia, sama ciekawość wystarczyła-by, aby człowieka wyprowadzić ze wszelkiego spokoju i równowagi.

Wrangel ma iść w głąb Rosji, a Polacy tu. Czy to prawda? czy drugi raz sen się powtórzy? i będzie trwał? — nie zniknie tak przelotnie, tak boleśnie, jak pierwszy? — O Boże, nie chcę myśleć, nie chcę rozumować. Niczego nie pragnę, a jednak wszystkiego się spodziewam.

22-go września.

Wiadomości o Wdowicence i zajęciu Mohylowa są fałszywe; było tam tylko powstanie chłopskie, które zlikwidowano prędko. Pocztmistrz jampolski powiedział mi w wielkiej tajemnicy, że przyszła z Winnicy depesza cyfrowana z rozkazem ewakuowania Jampola. Gdybyż to była prawda! Jedno jest tylko pewne, że powstania chłopskie się szerzą. Wyczuwam coś także między moimi chłopami: do czegoś się przygotowują. Przede mną nawet najzaufańsi się kryją, ale z rozmów daje się wychwycić coś nieokreślonego, niewyraźnego, co jednak mnie, znającą moich hadów nawylot, zastanawia nieraz.

23-go września.

Jestem chora; położyłam się do łóżka; nie wstanę, niech się co chce dzieje. Frasyna tłumaczy i odpędza tłumy chorych, którzy oblegają drzwi od gar-

deroby. Nie chcę nic słyszeć, o niczem wiedzieć. Chwilowa pauza w mojej codziennej wirówce; koło kieratu stanęło. Jaka cisza! Czuję tylko zamęt w głowie, w duszy, w sercu. Skłębione myśli szturmem uderzają o skołatany mózg — a, gdybym je wyrzucić mogła za drzwi, jak Frasy na chorych!

25-go września.

Od trzech dni trwa tutaj „prazdnik“, jakiego jeszcze wieś nie pamięta. Dzień i noc rżnie muzyka; do mych uszu dochodzą głuszące ją wrzaski i śpiewy i tylko urywany pisk męczonych skrzypiec, oraz miarowe uderzanie bębna, wybijającego takt jakichś zawrotnych trambulantek. Czasem rytm się zmienia na równiejszy i spokojniejszy; domyślam się, że nastąpiła zmiana tańca, i że łagodny, upojny walc kołysze bezmyślne, sztywne, kręcące się, jak marjonetki z „Wesela“, chłopskie pary. Doprawdy, że w tańcu chłopskim jest coś z hipnozy, z obrządkowego somnambulizmu: nogi mogą wyprawiać najdziwaczniejsze, najszybsze pas, figura cała pozostaje sztywna, jakgdyby przylepiona do ruchomej podstawy, lecz nie mająca z nią nic wspólnego. Hadyka nie odczuwa istoty tańca; nie przenika go harmonja i rytmika całego jestestwa, płynna, muzyczna linja ciała. U niego tańiec polega jedynie na mniej lub więcej skomplikowanym dreptaniu nóg.

Ach ten bęben! prześladowuje mnie! Jego głuche, miarowe uderzenia do złudzenia przypominają mi trzepanie futer i dywanów. Zamykam oczy: rozcią-

gnięte między sosną i akacją długie sznury, na których zwisają szeregi dach, karakułów, kozuchów, baranic — cisza wiosenna — młode słońce swawolnie wplątuje się w długie zjeżone włosy lub ześlizguje się wesoło po lśniącej powierzchni reniferowych skór — wtem głucho uderzenie płoszy kochanego zbytnika — to Karol wymierza skórobicie zimowym potworom o! zupełnie tak, jak w tej chwili — raz, raz, raz!

Znów zaczęli wrzeszczeć niemiłosiernie. Cała wieś rozbrzmiewa krzykami, bo też cała wieś dzień i noc pije naumór, wszyscy, baby, starcy, dzieci, wszyscy piją. Żegnają koniec jakiegoś okresu, który, według ich mniemania, w krótkim czasie ma się zmienić. Takiego „prazdniku“ już więcej nie będzie, mówi chłop i wraca do kieliszka.

26 go września.

Obawiam się radości! Ciągłe słychać strzały; w okolicach Dżuryńa i wapniarki znów grasuje Tiu-tiunik. W Mohylowie niema już bolszewików: wczoraj do Jampola przyszło ultimatum z Rumunji, aby w dwadzieścia cztery godziny odsunęli się o czterdzieści wiorst od Dniestru. Kasa skarbową wyjechała już do Tomaszpola. Dziś zabrali czterdzieści podwód z Halzbijówki, potrzebnych im do przeprowadzki. Podobno Polacy idą razem z Węgrami, Czechami, Rusinami i Rumunami, czyli tak zwana Mała Ententa. Czy to prawda? Bolszewicy podobno ze wszystkich stron są okrążeni, nie mają gdzie uciekać. Czyżby naprawdę nadchodziło już wybawienie? a, co najważ-

niejsze, czy naprawdę wojska nasze tu idą, aby kłamać ujadaniom całej kanalji ukraińsko-moskiewskiej; aby pokazać światu, że silna, potężna, zwycięska a sprawiedliwa jest Polska.

Ojczyzno moja! wracasz więc ku nam, ku dzieciom swym zapomnianym; wstępujesz na własne rodzonne pola, zarosłe chwastem i bodjakami, lecz wierne ci i oddane; w poszumie gęstych burzanów odwieczną Twą sławę nieustannie szemrzące. Ojczyzno moja! powracasz!

27-go września.

Najwiarogodniejsi chłopcy zapewniali mnie wczoraj, że bolszewicy nagwałt wynoszą się z Jampola, wywożąc wszystko, a na bulwarach kopią ogromne doły, do których będą wrzucać rozstrzelanych. Nad ranem rozeszła się wiadomość, że Jampol wolny od bolszewików. Pojechałam w te pędy, aby odwożać swoje biurko. Pokazało się, że to wszystko nieprawda. Siedzą i nie myślą wyjeżdżać, część tylko swych urzędników przenieśli do Tomaszpola. Przedwczoraj była panika z niewiadomych przyczyn, ale dziś już się uspokoiła. Mohylów w ich ręku, niektórzy twierdzą, że i Kamieniec; komunikacja z Winnicą, Odesą, Kijowem nieprzerwana.

Chodziłam oglądać owo straszne miejsce kaźni na bulwarach. W moich oczach zakopywano do owych dołów — wysokie słupy gimnastyczne dla uczniów. Naprawdę byłam bardzo rozczarowana. A niechby już strzelali, zakopywali i uciekali. A choć-

bym sama miała w takim dole leżeć, niechby i tak było, byleby to plugastwo wyniosło się stąd, byle stało się zadość prawdzie i sprawiedliwości.

28-go września.

Sprawiłam memu biednemu „Władimirowi“ po-
stoły ze skóry cielęcą, które kiedyś u mnie zdechło.
Chłopiec uradowany, przynajmniej nie marznie i nie
kaleczy sobie nóg; gorzej będzie z zimowym przyo-
dziewkiem, bo doprawdy nie wiem, skąd i co dla niego
wynajdę. Portjery wszystkie i baranice poszły na
ubrania dla służby. Taka już moja fantazja pańska,
że lubię przybierać swą dwornię w pstrą i fantastycz-
ną liberję, zwyczajem księżniczek średniowiecznych.
Frasyna, spowita w fałdy starej kotary, statecznie
i z godnością nosi złoty ramaż na tle ciemno-pąso-
wem. Spódnica trochę sztywno się układa w niepo-
słusznych fałdach, ale to tylko nadaje stylowej powa-
gi całemu kostjumowi. Sokołowska, urągając chłodom
jesiennym, okrywa się nadal bukietami pompadurowych
muślinów, zdartych z gościnnego parawanika; zato
dziewczynki swoje poubierała w kolorowe plusze por-
tjer, na których długoletnia praca moli wyrzeźbiła
dziwne arabeski i hieroglify. Kucharz paraduje w ko-
stjumie, sfabrykowanym ze starej derki, która, w bra-
ku grzbietów końskich, zdegradowana została do roli
ludzkiej okryjbiedy. Śmiałością swych kratek Grze-
gorz rywalizować mógłby z najbardziej angielskim
dzentelmanem. Jeden Petryk spokojem i dystynkcją
swego „garnituru“ odbija od pstrej malowniczości me-

go dworu. Ale bo też dostał piękne, piaskowe sukno z dwóch fartuchów od sani; oblamowane one były czarnem, długim futrem; tę drogocenną częśćkę z łupów zostawiłyśmy sobie na bambosze zimowe, które na nasze obolałe, spuchnięte, odmrożone nogi będą doskonałym przyodziewkiem, zwłaszcza gdy innego niema. Wszystko to pięknie, ale jak ja przezimuję tego biednego chłopaka? W co go ubiorę i gdzie go ukryję w razie rewizji? Zima dla takich nędzarzy, jak my, to naprawdę groźny, zły i niepoczciwy wróg.

Chciałabym wyrobić „Władimirowi“ miejsce agenta-kontrolera w tutejszym młynie. O ileby się to dało przeprowadzić, wraz z miejscem dostałby „bumagę“ bolszewicką — i położenie byłoby uratowane.

29-go września.

Wszystko mię denerwuje do najwyższego stopnia: panna Zofja przypięła już kokardę amarantową i uczy dzieci komedyjki na przyjazd Polaków!.. P. A. obmyśla już wyprawę do Gruszki i Lipczan po odbiór zboża. Karol oczekuje z dnia na dzień „pana Dorożyńskiego“.

Irytują mnie oni tem bardziej, że przecież w mem sercu powiewa wciąż amarantowy zwycięski sztandar; przez myśl przesuwają się nieustannie gospodarskie kombinacje na przyszłość; a każdy turkot, każdy nieznaną przybysz przyśpiesza bicie zmęczonego serca, które, gwałtowną falą krwi tłukąc w skroniach, w uszach, w gardle, pyta, czy to nie list? — Ciągłym wysiłkiem woli tłumię tę warjacką pozaświadomą pracę mózgu

i serca. To też bezcelowe rozmowy, ostentacyjne przygotowania, ba, nawet skrawek barwnej wstążki drażni mnie i przeraża. Poco uprzedzać wypadki? — „Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy, nie myślmymy nawet o niem...” Ach, jak to trudno!

1-go października.

Niepewność, nieświadomość, oczekiwanie: wyjdą — zostaną? Na naprężonych strunach tych dwóch wyrazów pani Plotka drażniącą ręką wygrywa niesamowite kakofonje.

Polaków tu niema, front pod Lwowem. Dziś była wiadomość, że bolszewicy nie myślą wyjeżdżać z Jampola, a za chwilę przyjechała doktorowa Czerska z Dzygówki upewnić się, czy ukryję jej męża w razie wyjścia bolszewików. A wyjście to jest spodziewane lada chwila: doktor miał list od żydków z Uszycy, że pod rządem Polaków bardzo im dobrze; że toczy się walka pod Koziatynem, a Wrangel z pod Birzuły dąży.

3-go października.

Wszelkie oczekiwanie zmiany jest złudzeniem, którem sama siebie tumanię. Takich zmian radykalnych, takiego odwrócenia czarnej karty na białą w życiu nie bywa. Los każdego człowieka, jak i poszczególnych narodów czy krajów, toczy się po drodze, wytkniętej przez charakter, usposobienie, okoliczności i warunki — wszystko to razem wytwarza specyficzną atmosferę, owo zaczarowane koło, z którego

jedynie śmierć wyrwać jest w mocy. Nikomu i niczemu z drogi swego przeznaczenia zawrócić ani zejść nie wolno. Nie ucieknie się od losu, tak jak nie ucieknie się od duszy własnej, od najrodzeńszego płodu swoich wnętrzności. Nie przemalujemy ścieżki naszego życia, bo jest bezbarwna, jedynie cień naszej istoty pada na jej nicość; jeżeli przeświecili go pryzmat pogody i jasnego zadowolenia, radością miękkich barw uśmiecha się ścieżka; jeżeli wieczna walka niezaspokojonych dumań towarzyszy naszemu cieniowi, posypią się na nią czarne mroki, krwawe błyski i łzy szare. Kraj ten ukochany, z niepowściągliwym rozmachem dalekich horyzontów, ociekających purpurą krwawych zórz, z bogactwem bujnej, samorodnej ziemi, z żywiolową tęsknotą stepowych wichrów, bijących skrzydłami o krawędzie wschodu i zachodu — sam ten kraj nosi w sobie zadatek niepewnej doli, nieskrystalizowanych przeznaczeń. A żem jest najrodzeńszą jego córką, więc jednakowa nam dola!

4-go października.

Nastaly znów noce księżycowe. A z nimi samotne nokturny moje. Gdy dom cały zaśnie, wykradam się cichutko do ogrodu, i tu zaczyna się bajka. Drzewa przybierają kształty fantastyczne, wykręcając dziwacznie olbrzymie konary; inne, spowite w promienie księżyca, stoją nieruchome, wysmukłe i proste, jak świetlane kolumny ze srebra. Miękkie kłębuszki puszczyków obsiadają gałęzie. W ciemnych zakamarkach błyszczą żółte oczy sów. A jasną poświatę prze-

rzyna czasem bezszmerna czarna błyskawica nietoperzowych skrzydeł. Na pachnące rabaty werweny opada biała rosa; z gąszczów jakiś ptaszek przez sen zakwili; a po ścieżce, oblanej poświatą księżycą, przechadza się jeź, szeleszcząc złotem opadłych liści. Sadržawka zasnęła i marzy srebrne sny w nieruchomej głębi. A z poza niebios świetlistej otchłani nad wszystkim czuwa Bóg wielki i dobry.

6-go października.

Wciąż uporczywe pogłoski, że bolszewicy ustępują. Obozy ich cofają się przez Borówkę i Tulczyn, a Wapniarka przeładowana jest zbożem, cukrem i innymi rzeczami, które nagwałt wywożą w głąb Rosji. Podobno są okrażeni, i jedyna wolna droga pozostaje im przez Chrystynówkę. Skąd się wzięły wojska francuskie, angielskie i polskie (?), zrozumieć nie mogę, i obawiam się, że są to jedynie fantastyczne brednie domorostłych strategików, których bujna wyobraźnia nie ma granic, ani fizycznych niemożliwości. Więcej wydają mi się prawdopodobne wiadomości z bliższych okolic: że Tiutiunik w Bogatynce*), powstanie w Klembówce, a oddział regularnego wojska ukraińskiego zajął Babczyńce. Gdybyż choć to prawdą było. Czy ja ich kiedy zobaczę? Czy Franc przyjedzie?

8-go października.

Chodziłam dzisiaj do Jampola sprawdzić te pogłoski. Niestety! ów piękny oddział w Babczyńcach

*) Wleś o 30 wiorst od nas.

okazał się bandą, utworzoną przez jakiegoś Doroszenkę. Wielkie powstanie w Klembówce składa się z piętnastu ludzi. Nie wygląda więc to wszystko poważnie i groźnie, ale dobrze, że choć jakkolwiek ruch antobolszewicki się objawia.

Wracając do domu, spotkałam na drodze dwie fury, pełne bolszewików; już zdaleka słyszałam, jak między sobą pytali, wskazując na mnie: „Eto ana?“. Trochę mi się ciepło zrobiło, ale przekonawszy się, że na wozach niema mebli ani aresztowanych, raźnie i spokojnie szłam dalej. Mijając mię, przyglądali mi się bardzo i jeszcze z tyłu słyszałam za sobą wzajemne upewnienia: „Da, da eto ana“. W domu dowiedziałam się, że przyjeżdżali po łóżka szpitalne, przyjął ich starosta z gromadą ludzi i zapowiedział, że łóżek nie dostaną; prosili jeszcze o stoły, ale, dostawszy kategoryczną odmowę, odjechali z kwitkiem, dopytując się tylko bardzo ciekawie o „uprawlajuszczaho“, który ukrył się w ogrodzie, i o „haziajkę“, którą spotkali na drodze. Obawiam się bardzo, że to był tylko wywiad, po którym nastąpią dalsze wizyty.

9-go października.

Wczoraj na wsi powstał alarm. Kilku bolszewików przyjechało robić rewizję u Leontja, mego sadownika; jednocześnie syna jego, ukraińskiego nauczyciela, zaaresztowano w Jampolu, zarzucając mu udział w powstaniu Klembowieckim. Rewizja trwała bardzo długo. Przerzucano wszystkie rzeczy, przeglądano każdy świątek papieru, z pieca wygrzebano pieniądze i te natych-

miast skonfiskowano; rzeczy zostawiono, tylko je szczegółowo spisano. Dostały się do tego spisu, między innymi, moje dywany i sukno z gabinetu, które tam dałam na przechowanie. Na skutek wrzasku baby, która darła się nieludzkim głosem, gdy jej pieniądze zabierano, zbiegło się dużo ludzi, ale nikt nie śmiał stanąć w obronie pokrzywdzonych, pomimo, że żołnierzy było tylko trzech, i rewolwery w łapach im się trzęsły. Hadzuki steroryzowane zupełnie; a zresztą całą energję i odwagę wyczerpali na pogromy dworów, teraz jak barany dają się rżnąć. Po wyjeździe żołnierzy zebrali „schoď” w kwestji bronięcia się i niedopuszczania do podobnych rewizyj, ale pewnie na niczem stanęło.

Do Białej przyjechał oddział inżynierski z Mohylowa; bolszewicy uciekają podobno do Rybnicy, gdyż, jak sami twierdzą, są okrażeni. Przez kogo, gdzie, jak?— Pewnie znów jakieś bałamuctwo, które jutro odwołają.

10-go października.

Dziś młóci u mnie maszyna — wielkie zbiory z pięciu dziesięcin! Gdyby się bolszewicy zjawili do dworu, mieliby odrazu czterech gotowych do aresztowania: p. A., który się w Jampolu pokazać nie może, a noce spędza codzień w innej chacie; właściciel maszyny, od wiosny mieszkający w Halzbijówce, jako dyrektor świeżego powietrza, unikając spotkania z bolszewikami, w poprzedniej swej roli urzędnika z Honorówki; biedny „Władymir“, nadal bez miejsca i nazwiska, o którego istnieniu bolszewicy nawet nie wiedzą; wreszcie „podzienny“ chłopiec, petlurowiec,

niedawno zbiegły z więzienia bolszewickiego. Gotowy to łup w postaci „kontrrewolucjonerów“ i „sabotażników“ dla chciwych apetytów bolszewickich. Ryzykanci jesteście, ale tem się tylko wygrywa.

11-go października.

Bolszewicy siedzą i siedzieć będą. Po kilku dniach niepewności i pocieszającego ruchu, wszystko wróciło do dawnego. „Zasiedli na dobre. Wczoraj rozklejono depeszę, głoszącą, że z Polakami zawarto „piemirje“, z czego są uszczęśliwieni.

Nawet już nie tęsknię; patrzę na życie i ludzi, jak z tamtego świata — z obojętnością umarłych. Z całym egoizmem i zapamiętaniem proszę Boga, abym już naprawdę umarła. Oby tylko godnie dojść do ostatecznego kresu — boję się sama siebie — jakiś bunt huczy w podwalinach duszy straszną burzą i na zimne wargi rzuca bluźniercze słowa. Boże! zlituj się, Boże!

12-go października.

Zima coraz gorsza, opału nie mam. Sztywnemi rękoma, z popękana skórą, muszę badać i opatrywać chorych. Codzień robię opatrunki biednemu „Władymirowi“, któremu od zimna robią się rany na nogach; wszy po nim łążą, a ja nie mam w co go przebrać. Sama też jestem zupełnie obdarta; z jakąś zawziętą cierpliwością ceruję ostatnie dwie pary pończoch, które z powodu pstrokacizny cer i łątek zatraciły zupełnie pierwotny kształt i barwę. Mydła niema, wypraszać trzeba u Żydów jakiś wstrętny preparat łojowy, który

z łaski swej udzielają wzamian za wielkie ilości mąki, orzechów lub jabłek. Nie mogę już! Ciężkie sny mnie męczą, zwiastując złe wiadomości, ale czyż mogą być inne?

A gdzieś tam na świecie ludzie żyją spokojnie w czystości i w ciepłe, z radością i pogodą, wśród swoich; czują się ludźmi, czują się tem, czem są; — a ja? — beczę, jak dziecko.

Czemu cierpienie jest bez granic, a szczęście i radość mierzone i wazone?

14-go października.

Biegałam znów do Jampola. Pod pozorem najrozmaitszych interesów chodzę właściwie po wiadomości, ale mi wstyd przed samą sobą, bo wiem przecież, że się nie dowiem niczego pewnego i prawdziwego.

W przymierze z Polakami nikt nie wierzy; a sami bolszewicy mówią, że muszą ustąpić z Ukrainy. Przymierzam, że takie ultimatum Polacy im postawili. W Winnicy bolszewików na pewno niema; ze Zmierzynki wywożą, co tylko się da, nawet szyny. Zarząd gubernjalny z Winnicy przejechał do Hajsynia. Do Jampola znów zjechał „rewkom“ z Płoskirowa i Mohylowa. Dziwne zbiorowisko ludzi. U pań Boguckich zamieszkał pewien oddział wojskowy, składający się z dwudziestu ludzi, wśród których jest trzech Polaków, dwóch Węgrów, a komendant Francuz i to niebyle jaki — nazywa się Condé, a i wygląd ma europejski. Widziałam, jak przejeżdżał w ślicznym powozie, wysoki, szczupły, o ściągłych rysach, z krótko przystrzyżoną szpakowatą

brodą. Miałam prawdziwe zadowolenie i odpoczynek, patrząc się na tę do ludzi podobną postać, ale z drugiej strony wołałabym, aby już tylko same bydłeta należały do społeczeństwa bolszewickiego.

Ilnicki wciąż się kręci po okolicy. Niema co pokładać nadziei w takich indywiduach, i trzeba się przygotować, że przez całą zimę bandy naprzemian z bolszewikami będą się tu ścierać.

Zdobyłam w Jampolu kawałek mydła i dwie cienkie podeszwy dla Petryka za 2500 rubli mikołajowskich. Wciąż mam głowę zajętą, w co ubrać, jak przekarmić całą moją gromadkę.

Pokoje wciąż pozamykane, więc komunikacja przez podwórze, a mrozy już się do nas dobierają. Niema czem palić, niema czem świecić, ani w co się ubrać, ani obuć. Dosłowna i niezaprzeczalna nędza! I w duszy też nędza i chłód. Mózg działa automatycznie, i tylko czasem, jak ukłucie sztyletu, odzywa się straszna tęsknota. Nie jestem już nawet zdolna myśleć o Polsce, o nich, o życiu — może to i lepiej, bo przychodzi powolne skamienienie, małe stępienie, z którym lżej.

18 go października.

Wczoraj, idąc do Jampola, spotkałam swego ucznia, Leśnika, który teraz służy u bolszewików; wysypał mi całą moc wiadomości: że pokój na pewno zawarty, granice Polski: Dźwina, Wilejka, Ostróg, Korzec i Zbrucz. Tutaj ma być wolna Ukraina sowiecka. Rozpocznie się natychmiastowa wymiana jeńców. Polska

ma odzyskać wszystkie straty od początku wojny. A więc wszystko skończone? — Trzeba się pogodzić z tym strasznym, potwornym stanem?

Dochodząc do Jampola, byłam tak przygnębiona, że ledwie nogami wlokłam. Raptem w mieście zobaczyłam dziwny ruch: pełno fur, rekruci wychodzą, konni przebiegają w popłochu ulicę. Poszłam do znajomych i tam, ku najwyższej radości, dowiedziałam się, że dziś w nocy bolszewicy się spakowali i wyjeżdżają na łeb na szyję. Przy mnie zabierali telefon z mieszkania państwa Żukowskich. A zabierajcie wszystko, byle prędzej, precz stąd! Niech ślad wasz tu zaginie, niech pamięć o was przepadnie.

Wysłałam znów na ulicę, aby napawać oczy tym rozkosznym widokiem. Rzeczywiście, pakują się, wyjeżdżają.

Moje meble zostają; powiedzieli gospodarzowi, że oddają je na jego opiekę, do czasu ich powrotu. Ha — może być, że jeszcze wrócą — a może wcale nie wyjadą?

Podobno Mohylów i Czerniowce zajęte przez Petlurowców; w Kamieńcu powstanie. Ale czy to idą Polacy, czy tylko sami Ukraińcy — nic niewiadomo. Moje nerwy już tego nie wytrzymują; chce mi się śmiać i płakać, a chwilami ogarnia mię zupełna apatia.

19-go października.

Popędziłam dziś znów do Jampola zobaczyć, jak wygląda miasto wyzwolone, oczyszczone od śmie-

cia. Boże! — nie wyjechali! Rozpakowują się zpowrotem. Właściwie nikt nic nie wie, co się dzieje czy to tylko chwilowe zatrzymanie, czy na dobre zostają, czy może nie mają którądy uciekać. Kancelarje wszystkie wywiezione, (ale urzędnikom kazano stawić się do roboty, choć niema żadnej. Czereszyczejka i inne oddziały wyjechały zupełnie, ale został rewkom i wojenkom.

Bolszewicy opowiadają, że Polska zawarła z nimi pokój; że petlurowcy uznani są za bandy, którym Polacy nie pomagają, a nawet na tyłach mają ich bić, równie jak Wrangla. Czyli z tego wynika, że Polacy bolszewikom mają pomagać. Jest w tem coś potwornie niewiarogodnego, a jednak, jak we wszystkim, znajdować się musi jakaś minimalna część prawdy.

Wciąż słyhać strzały; bitwa z Ukraińcami pod Czerniowcami. W Halźbijówce spodziewany jest „karatielnj atriad“ za niedostarczenie rekruta. Wszyscy się boją, a jednocześnie spodziewają jakichś wielkich, radosnych przemian. Mnie już ani jedno, ani drugie uczucie poruszyć nie jest w możności — skamieniało wszystko.

21-go października.

Wczoraj wyszli z Jampola bolszewicy!

Otworzyliśmy z wielką radością salony; wśród wesołych okrzyków, zaczęliśmy wydobywać meble z tyłomiesięcznego ukrycia, okurzać je i rozstawiać na dawnych, dobrze im znanych miejscach. Zdawało się, że te martwe sprzęty dzielają naszą radość i, uwol-

nione od kurzu i pajęczyn, swobodnie wyciągają szlachetne swe kształty, z lubością przeglądając się w taflach czystej już posadzki. Nagle panika na wsł! Chłopi z dzygowieckiego jarmarku uciekli w popłochu, wołając, że bolszewicy grabią, zabierają konie, ściągają buty. Honorówka i Busza znów zajęte przez so-wiety. Jest obawa, że wrócą i grabić będą. Dużo w tem pewnie chłopskiego strachu, ale bądź co bądź noc niepewna. Drzwi się nagwałt pozamykało; i zno-wu, skuleni i cisi, czekamy wiadomości i zmiłowania bożego.

22-go października.

Chłopi, którzy odwozili bolszewików do Wap-niarki, opowiadają, że wszystkie wsie po drodze są ograbione doszczętnie; w Wapniarce stacja ogołocona, nawet dach z budynku zerwany; żtato stopy worków ze zbożem piętrzą się w olbrzymie sterty i gniją pod gołem niebem. Nie mają dostatecznej ilości pociągów, aby wywieźć te bogactwa. Wyjeżdżając z Jampola, powyłamywali drzwi i okna w ziemstwie i zabrali z sobą. Zabitych szesnaście osób.

Przed kim uciekają, kto idzie, na czym to się skoń-czy? nic niewiadomo. Chłopi pocieszają się bajką, że „henerał Foch wyjechał iz Kamińcia w nasz stonon“. — Foch, jak Foch, ale to daje do myślenia, że naprawdę wojska francuskie idą tutaj.

Miałam dzisiaj dziwny sen: stałam nad sadzaw-ką i naraz ujrzałam na niebie tłum postaci greckich, grupujących się, jak na starożytnym fryzie, w rzeźbio-

ne, klasyczne pozy. Najwyraźniej był to jakiś taniec hołdu i uwielbienia. Spojrzałam w inną stronę nieba i zobaczyłam wspaniałą, olbrzymią postać wojownika greckiego; srebrna zbroja grała błyskami na jasnym niebie, ciężki hełm grzbietem metalowym piętrzył się nad głową, opadając na kark; postać oparta była na długim mieczu. Bił od niej tajemniczy blask niebieskiej zjawy, wiało chłodem przed wiekami kutego marmuru, a jednocześnie czuć było tętno żywej krwi, bijącej pod zbroją. Wiedziałam na pewno, że jest to zapowiedź końca wojny, symbol pokoju. Patrzyłam, a usta moje szeptały dziękczynne słowa błogosławieństwa.

W tej chwili dano mi znać, że do Jampola powrócili bolszewicy.

23-go października.

Żadne zbawcze wojska nie idą, a ten alarm, który się wszczął, spowodowały bandy ukraińskie, jakich tu mnóstwo się włości. Masy wojsk, ciągnących ku Wapniarce, to nie była ucieczka, ale dyzlokacja na front wranglowski.

Pokój, którym tak się chwala bolszewicy, staje się coraz bardziej prawdopodobny. Polacy zajęli swe granice, a tu niech się dzieje co chce! Będą znów bandy niszczyły ten nieszczęśliwy kraj, będzie jedna drugą goniła, wypierała, tak jak dawniej, tak jak przed wiekami. Żaden jęk tej ukochanej ziemi usłyszany nie będzie. Ona jest jedynie terenem dzikich zapasów, walk awanturniczych, przemarszów, pochodów, chwilowych zwycięstw, długich klęsk. Czyż nigdy macierz

nie przytuli jej do siebie i miłującą a sprawiedliwą ręką nie obetrze zdrojów łez i krwi, któremi ocieka?

Każda godzina, każda minuta ciąży mi głazem i wydaje się ostatecznym kresem, poza który nie mam siły i odwagi iść dalej.

24-go października.

Zrozumiałe jest teraz to pośpieszne wywożenie i grabienie przez bolszewików. Wielkorosyjscy bolszewicy wychodzą stąd, zostawiając pole działania sowieckiej Ukrainie. Polska do tutejszych spraw wcale nie ma się mieszać; petlurowcy sami idą; podobno są niedaleko; front w Doroszówce o dziesięć wiorst; teraz jest chwilowe zawieszenie broni na dziesięć dni.

Wszystko mi jedno. Jestem już tylko cieniem i parodją dawnego człowieka wolnego, pewnego siebie i śmiałego. Zdobyć się na bohaterstwo można, ale trwać w niem lata całe, to ponad moje siły.

Jakaś szalona, opętańcza tęsknota zalewa duszę — dochodzi do zenitu. Tęsknię za krajem, za Francem, za drogimi, żywymi, za umarłymi; tęsknię za ludźmi, za życiem, za spokojem, za czystością, za kulturą, za uśmiechem, za swobodą; tęsknię za przeszłością, tęsknię do przyszłości. W obecnej chwili nie ma mnie — przerwało się czucie — nie istnieję!

27-go października.

Żydek, przybyły z Mohylowa, opowiadał mi, jak tam teraz dobrze: wojska ukraińskie się posuwają; linja frontu: Petraszówka, Trościaniec, Busza. Tak blisko!

Wojska petlurowskie są wzorowe, doskonale umundurowane, niepodobne do poprzednich oberwańców. Czy to możliwe? Wszędzie porządek, ład, spokój. Między Mohylowem a Otakami kursuje prom. Boże! droga do Europy! Wielu uciekinierów popowracało z wojskiem petlurowskim. Czy kto z moich przyjedzie? O Francu boję się myśleć; wiem, że go nie zobaczę, bransoletki niema!

28-go października.

Chodziłam do Jampola z wizytą do moich mebli w czerezwyczajce. Biedaki, stoją obdarte i sponiewierane wśród stosów śmieci, najwyraźniej zdziwione tem wszystkim, co je spotkało. Z prawdziwą miłością gładziłam swe biedne biurko, doznając fizycznego bólu na widok obdartego sukna, oraz licznych blizn i szram, które mu brutalna ręka zadała. Wychodząc, spotkałam żołnierza w ślicznej czapce koloru bordo, z sukna, zdartego z mojego biurka. Włóczy się jeszcze trochę tych zbójów, tak zw. frontowe części. Miasto — jak wymarłe; mieszkańcy, nauczeni smutnem doświadczeniem, siedzą cicho po domach. Jedyne kilka czerwonych czapek kręci się niepewnie po ulicach. Urzędy puste; przez wybite drzwi i okna wpada wiatr, szleszcząc obdartymi na ścianach proklamacjami i gmerając w nieprzebytych stosach śmieci.

29-go października.

Zimno i ciemno, mroźna wichura wyje, prosząc śniegiem. Stańto, zamarło wszystko. Jest mi strasznie

smutno. Złe przeczucia nie odstępują, a złowrogie sny trapią po nocach: jakieś kościoły ponure z katakumbami i grobami, na ołtarzach świece gromniczne i tłum żałobny po nawach się snuje. Już mi nie wyżyć w tem wszystkim! Pewna jestem, że coś złego się stało, drżę o mego Franca. Ale niech już się dowiem prawdy, niech się skończy męka!

30-go października.

Wczoraj wieczorem baba, moja pacjentka, w największej tajemnicy przyszła mię uprzedzić, abym się pilnowała i uciekała do Rumunji, gdyż słyszała od samych bolszewików, że mają mię sprzątnąć; chodziła do komendanta prosić o oddanie ciała syna, którego bolszewicy, jako petlurowca, rozstrzelali, i tam właśnie ją zapytano; „Czoho wy tak za tiu panienku obstajete?“ Gdy im tłumaczyła, że „panienka“ wszystkich leczy i po nocach nieraz do chorych się zrywa, odpowiedzieli: „No wże ne dołho budety neju tisztyty sia“. Pocziwa babina szczerze prosiła, abym się pilnowała i ratowała ucieczką. Posłałam zaraz po dwóch moich przyjaciół z partji wiejskiej „biednoty“. Jeden z nich to syn Parfenja, który dwa lata temu dybał na moje życie i od czci i wiary odsądzał, a teraz syna mi przysyła, aby mię od bolszewików bronił. Całą noc nie spałam. Wciąż jedno i to samo powtarza się, rok za rokiem, z małemi zmianami. Obrońcy moi zabawiali mię wiadomościami politycznemi: z Polską pokój zawarty, bolszewicy mają oddać trzy nasze gubernje, a może nawet po Dniepr, po Czarne morze! Petlurowców bol-

szewicy biją, a Polacy rozbrajają, (jakoś mi się to nie widzi, bo skądże ci oberwańcy mają umundurowanie i broń?). Pomimo tego wyrażał się hadjuka z wielkim szacunkiem i uznaniem o Polakach. To dobry znak!

W lesie bielańskim zakopane są armaty bolszewickie, a tymczasem w Babczyńcach, czyli na froncie, bolszewicy z petlurowcami w największej zgodzie piją, po weselach razem chodzą i pewnie razem grabią, bo to jest teren, na którym mogą się najłatwiej i najlepiej porozumieć. Do dziesięciu dni mają bolszewicy stąd ustąpić.

1-go listopada.

Do kościoła pójść nie mogę; zimno jest takie, że z odmrożonemi nogami nie doszłabym, a końmi nikt nie pojedzie z obawy rekwizycji. Dziś znów znajomy żydek uprzedzał mię, abym się pilnowała, gdyż bolszewicy chcą mnie uwieźć z sobą. Teraz są takie mrozy, że na pewno te bosiaci w nocy nie przyjdą, ale każdego ranka Bogu dziękuję, że jestem żywa i w domu. Niepokój o Franca, ta okropna dręcząca zmora złych przeczuć nie opuszcza mnie ani na chwilę. Tak długo żyć nie można! A tu wciąż zupełna, beznadziejna głusza—tylko mróz trzeszczy nad ludzką nędzą i niedolą.

2-go listopada.

Zaduszki. Szaro, ciemno, głucho, rozpaczliwie. Prawdziwe zaduszki serca mego, gdzie wszystko pogrzebane i martwe. Właściwie dzień ten nie powinien

być wcale smutny; to dzień cichy, spokojny, łączący nas z ukochanymi zmarłymi, którym przynosimy wiecznie żywą miłość naszą w pamięci. Prawdziwie straszne Zaduszki dzisiaj święcę, kiedy żywi drodzy są mi, jak umarli, kiedy rozdzielił nas nieprzebyty mur okropnych, nienawistnych zdarzeń, gorszy, niż milczenie śmierci. I mam wrażenie, że naprawdę śmierć stoi między nami, że albo oni mnie już pogrzebali, albo sami pomarli, bo ich żywej myśli nie czuję przy sobie. Nie mogli być na cmentarzu; te okropne warunki nawet od grobów mię odrywają. I samotne są dziś moje ukochane mogiły, tak jak i ja jestem samotna.

3-go listopada.

Dziś dopiero rozpoczynamy szkółkę. Gdzie mój dawny zapał, gdzie wiara, gdzie siły? Dawniej prowadziłam sama szkołę i na wszystko wystarczyć musiałam; teraz mam p. Zofję, a na parogodzinne zajęcia w szkole zdobywam się z wysiłkiem i przymusem. Okropne chłody odbierają mi resztki energii. Znów to morze zimna, ciemności i rozpaczliwych wysiłków bez cienia nadziei, bez promyka radości.

5-go listopada.

Zjawił się tu jeden z urzędników jampolskich, przerażony, zziębnięty, nawpół przytomny. Bolszewicy aresztują wszystkich miejscowych urzędników i wywożą. Kto może, ratuje się ucieczką. Ten biedak dwie noce spał w jarze przy 16-tu stopniach mrozu.

Chłopi oczekują wciąż Ukraińców, ale dotąd bolszewicy nie cofają się; przeciwnie, napływa ich coraz więcej. Dziś przyszło tu ich trzech z chęcią zamieszkania we dworze; nie wiem, co odwiodło ich szczęśliwie od tego zamiaru. Po wsiach rekwirują wciąż zboże, nie myślą więc uciekać.

Termin zawieszenia broni upływa w poniedziałek; albo bolszewicy ustąpią, albo zaczną się znów walki. Codzień odsuwa się data tego decydującego dnia. Piszę o tem, czekam, mam nadzieję, wiarę, a jednocześnie coś z głębi głucho się odzywa, że jeszcze za miesiąc, za dwa, za pół roku tak samo pisać będę, z dnia na dzień oczekując: — i włosy mi się jeżą z przerażenia! Przecież to prosta droga do oblężania!

6-go listopada.

Wypogodziło się nagle: dni jasne, słoneczne, a noce wyiskrzzone, migotliwe. Godzinami całemi siedzę skulona pod piecem. W oknie stoi noc gwiazdzista, błyszcząca — patrzymy na siebie w głębokiej ciszy. Tonę myślami i wzrokiem w głębiach nieba i śledzę gwiazdy, które nieznacznie się przesuwiają. Nieraz, gdy się ocknę z zadumy, gwiazdki, która nisko przez konary drzew do mnie mrugała, szukać muszę wysoko, wśród tłumu światełek, jakie się dokoła niej zapaliły. Nigdy jeszcze niebo nie było mi tak bliskie, jak teraz. Podczas tych nocnych godzin tyle myśli przesuwają się przez mózg, ile tych gwiazd przepłynie przez ramy okna na wysokim niebie. Opędzam się, jak mogę, lecz marzenia tłumem oblegają,

szturmują i, jak mary potępięcze, dopraszają się realnych kształtów.

Po gwiaździstym szlaku płynie myśl moja ku Polsce, do was przychodzi, koło was staje. Cicho — śpijcie — to nic — ja żyję — tylko duch mój obłąkany przyszedł skonać wśród was.

7-go listopada.

Słysząc blisko strzały armatnie. Ludzie mówią, że w Jarudze przeprowiło się wojsko rumuńskie. Coś się może ruszy, coś zmieni.

Przyszedł starosta uprzedzić mię, abym nie nocowała w domu; nie chciał mówić, na czym opiera swe niepokoje, ale radził, abym bardzo się strzegła przez te dwa dni. Mogłabym nocować u chłopów, ale nie chcę nadużywać ich gościnności i zaufania. Co ma mnie spotkać, niech już mnie spotyka tu, we własnej chacie, na wiernej placówce. A co Bóg przeznaczył, to i tak nie minie!

8-go listopada.

Od rana słysząc strzały armatnie i kulomiotowe. Aż na duszy lżej, gdy zagrzmie działo; może wystrzał zmiotł kilku bolszewików! Oby jak najwięcej ich trupów padło, oby każda kula niosła im śmierć i zagładę! — Boże! ja się o śmierć ludzką modłę!

Gdzie moje uczucia chrześcijańskie? — Niema ich, wyszły w długiej męce. Bolszewik to dla mnie nie bliźni, to gorzej, niż dziki zwierz, to zły duch!

Front blisko: Petraszówka, Doroszówka.

Dziś jeszcze zabierają bolszewicy ze wsi zboże i bydło. Czy cofną się, czy też będą stali na miejscu? Tak nas zło obsiadło, że strach spodziewać się czegoś dobrego.

9-go listopada.

Bolszewicy znów posuwają się naprzód; wojska przybywa coraz więcej. Mironówka i Jampol przepęt-nione. Polacy wcale nie walczą, tylko Ukraińcy sami, a z tymi bolszewicy prędko dadzą sobie radę. Nie minie ich zagłada, tylko dlaczego to się tak długo ciągnie? — Niech już cios ostateczny uderzy, byle prędszej. Okropnie się boję, że bolszewicy się tu rozlokują, zajmą dwór, a że niema czem palić, będą rąbali ogród. Dziś już przyjeżdżali po powozy i szarabany; we dworze niema żadnych pojazdów, ale u chłopca wynaleźli mój ostatni powozik, ukryty tam w stercie słomy.

Chłopi wciąż mię uprzedzają, abym się miała na bacności. Wszystko mi jedno, aby się tylko nie znę-cali, choć pewnie i to mnie nie minie. Dziej się wo-la boża. Panie, daj śmierć, ale oszczędź ponieważkil Gdybym przynajmniej miała brauning!

10-go listopada.

Znów od samego rana słyhać huk armat, aż szyby drżą. Podobno bolszewicy popędzili Ukraińców aż za Jarugę, a zato ci wyparli bolszewików z Tro-ściana. Odzywam, gdy słyse strzały, ten potężny huk sprawia mi fizyczną ulgę. Wczoraj byłam, jak w gro-bie, nie mogłam się uwolnić od straszego wrażenia zupełnej zagłady.

11-go listopada.

Strzały słyszeć jeszcze; to dodaje sił do życia.

Dziś miałam wizytę dwóch bolszewików; przyjechali po kwiaty na pogrzeb komendanta, zabitego na froncie. Opowiadali, że biją Ukraińców, że posunęli się o trzydzieści wiorst. Ludzie z Petraszówki twierdzą znów, że to nieprawda, że front stoi w miejscu.

W Jampolu grabieże w całej pełni; najwięcej czepiają się Boguckich, jako byłych obywateli; moje położenie nie jest więc bardzo przyjemne; wciąż ostrzegają mnie ludzie, abym się strzegła. Cóż mogę robić? Oddałam się pod opiekę bożą i czekam spokojnie swej doli.

12-go listopada.

Boże Wielki, Boże Miłosierny, dzięki Ci gorące, stokrotne! Franc mój żyje, był tu o piętnaście wiorst od Halzbijówki; trzymam w ręku list od niego, a właściwie zmięty świstek, w którym pisze, że wszyscy moi zdrowi, Hanka była w czołówce, Todzio w wojsku. O kraju, o polityce ani słowa, ale domyśleć się można, że Polska do spraw ukraińskich się nie miesza. Najwyraźniej pokój z bolszewikami zawarty, bo Franc pisze, że, o ile zostaną tutaj, to oficjalnie z Polski będzie się starał przyjechać, a więc wojny niema.

Prawdziwe zrządzienie boże, że właśnie przedwczoraj wracała Frasy na z Lipczan; w Mohylowie spotkała Franca, który już tam dwa tygodnie siedział,

czekając na możliwość dostania się przez front do mnie. Wreszcie w niedzielę wybrali się razem do Jarugi, trafili na bitwę i z pod gradu kul musieli się cofnąć do Gruszki. Wobec zwycięstwa bolszewików i szybkiego ich pochodu, Franc musiał zawrócić do Polski. Biedne moje chłopczysko! Tyle dla mnie poniósł trudów, tyle przeszkód przełamał, i wkońcu prawie u celu, o dwanaście wiorst od Halzbijówki, nie zobaczywszy mię, zawrócić musiał na miejscu, odbywać olbrzymią drogę powrotną, z jedyną zdobyczą, wiadomością, że jeszcze żyję lecz z tym samym niepokojem, tęsknotą, udręką. Biedny mój, drogi chłopcze! Oby tylko szczęśliwie wydobył się z tego piekła; dopiero wczoraj miał wyjechać z Mohylowa. Boże, czuwaj i osłaniaj jego kroki!

Gdy Frasyne weszła do pokoju, nie domyślając się niczego, ucieszyłam się bardzo, że już wróciła i szczęśliwie przebyła front. Dopytywać się zaczęłam, co słychać, gdzie petlurowcy, kto kogo bije? A ta z największą flegmą odpowiada: „Ale, proszę pani, kogo ja widziałam!“ Odrazu byłam pewna, że Franca, ale, chcąc ukryć wzruszenie, zapytałam kogo? Frasyne z całym spokojem wyciąga zwinięty w gałeczkę list Franca, z za pazuchy garść karmelków, dwa mydła, bryłę soli i opowiada, jak się z panem Dorożyńskim przypadkiem w Mohylowie spotkała. Że ją wtedy Franc miał ochotę uściskać, nie dziwię się, bo i mnie w tej chwili chęćka brała przycisnąć do ust wierne, pocziwe ręce, które mi z serca udrękę zdjęły, przynosząc dobre wieści.

No i ta Frasyńska wczoraj Franca widziała! Opowiada, jak pan wygląda, co mówi? — „Pan w chłopskim kozuchu, obrośnięty, jak bolszewik, że trudno poznać, a mówił, że do paniątki z drugiej strony przyjedzie.“ — No gadaj, mów dalej! — I znów od początku słucham opowiadania Frasyńskiej, jak się spotkali, jak razem jechali, jak kule im koło uszu świstały, jak pan patrzył w stronę Hałzbijówki; jak trzeba było zawracać zpowrotem, jaki pan smutny był, gdy tę kartkę pisał, jak kazał pozdrawiać, obiecał, że znów przyjedzie; jak siadł na wóz, zacinając konie wśród luku zbliżających się strzałów.

Słuchałam, słuchałam, a serce trzepotało się mieszanymi uczuciami radości, lęku, szczęścia i śmiertelnego niepokoju.

13-go listopada.

Wczorajszymi wiadomościami oszołomiona, cieszyłam się bezgranicznie po warjacku, a dziś nadchodzi przygnębienie. Z ciemnych zaułków duszy wypęła niepokój, rośnie, olbrzymieje i kamieniem opada na serce. Urok zgubionej bransoletki oplątuje myśli chorym, złym czarem. Tak blisko był mój biedny chłopiec, i nie mogliśmy się zobaczyć. Teraz strach, niepokój rośnie z każdą chwilą. Czy zdążył wyjechać, czy w drodze go nie dognano? Kiedy będę miała znak życia od niego? Kiedy się dowiem, co się z nim stało? Wieko mej trumny zamknęło się znowu na niewiadome miesiące głuszy, rozpacz i niepokoju. Boże, zlituj się nad nami! Ufam, wierzę w cudowne miłosierdzie Twoje.

16-go listopada.

Czemu Franc nie napisał mi nic o Polsce? Tutaj w pokój nikt nie wierzy; nawet żydki tajemniczo się uśmiechają, a chłopci wręcz mówią, że to niemożliwe, aby „takie wężkie hosudarstwo, jak Polska, zakluczyła mir z bosiakami“.

Znów ploteczki kursują, że bolszewicy za Kamieńcem, a Polacy w Murafie i Kopajgradzie. To tylko pewne, że w Mohylowie straszne represje z powodu pomocy, udzielonej przez mieszkańców Ukraincom w chwili zbliżania się bolszewików. Czy Franc zdążył wyjechać? Ten nieustanny niepokój krew mrozi w żyłach.

17-go listopada.

Odpada mnie ochota do wszystkiego; zbrzydły mi nawet szkoły. Cztery lata tu się pracuje uczciwie, z oddaniem, z miłością, i jakiż tego rezultat? Że najstarszy uczeń z mojej szkoły nie przychodzi na lekcje, ale zato rąbie dęby w moim lesie.

Jednak moi chłopci bywają czasem bardzo przyzwoiici. Dziś w nocy przybiegł starosta z kilku chłopami uprzedzić, że bandyci grasują wpobliżu, i dowiedzieć się, czy mi nic nie grozi. Rzeczywiście, w dzień było dwóch podejrzanych osobników; kazali sobie dać jeść, rozglądali się na wszystkie strony, a potem szybko odjechali. Nawet bolszewicy ścigają ich, jako bandytów. Muszą to być jakieś ptaszki ponad zwykłą miarę, gdy zdołali zaniepokoić nawet tych arcybandytów.

22-go listopada.

W sobotę obchodziliśmy moje imieniny nadzwyczaj uroczyście. Szkółka przygotowała mi szereg niespodzianek. Gdy weszłam do salonu, przywitały mię dzieciaki, odświętnie ubrane, ugrupowane bardzo malowniczo wśród zielonych girland barwinku. Począwszy od najmłodszego, każde recytowało powinszowania wierszem, skomponowane na ten dzień przez p. Zofję. Skończywszy, wychodziło z grupy i składało mi w podarunku koszyk własnej roboty, w którym znajdował się jeszcze nieraz dodatkowy „od serca“ podarunek, a więc najrozmaitsze robótki, bochenek chleba, parę kawałków cukru, „pałanycie“ z harbuzem, moja ulubiona potrawa demokratyczna, ser, w ślicznej kobiałeczce ułożone na mchu jaja. Gdy się skończyły powinszowania, byłam zasypana najrozmaitszej wielkości, kształtu i piękności koszyczkami, zapasami spiżarnianemi — i wzruszona do łez. Zapal imieninowo-koszykowy tak się wszystkim udzielił, że nawet p. Zofja, Petryk, Marjan, Frasyna obdarowali mię koszyczkami własnej roboty; niektóre naprawdę śliczne, niektóre wyplatane nieudolnie rączkami wstępniaków, w niesfornej plątaninie zaledwie przypominające kształt koszyka; ale dla mnie są one wszystkie równie drogie, a dla twórców ich równie piękne, jak poprawne dzieła starszych dzieci. Po skończonych powinszowaniach dzieciaki odegrały dwie komedyjki, również układu p. Zofji. Pocziwa istota, tyle myśli, starania i serca włożyła w dzisiejszy dzień. Po południu przyjechał wóz, pełen młodzieży jampolskiej.

Po krótkiej chwili debatów politycznych i żalów nad własną dolą, zaczęliśmy na pociechę tańczyć. Przez kilka godzin z zapamiętaniem wywijaliśmy; stańczyłam się jak podłotek, ale dobrze mi to zrobiło.

23-go listopada.

Przyjeżdżały dwie nauczycielki z Felicjanówki i Replaszyniec z prezesem wiejskiego kółka Macierzy na narady do mnie. Skarżą się biedne, że mrą z głodu, bo wieś nie dostarcza im należnych produktów. Ludzie znów tłumaczą się ciężkimi czasami; rzeczywistość, w tych dwóch wsiach przez miesiąc cały była podstawa tyłów frontu bolszewickiego, wyobrażam więc sobie, jak wieś objedzono i zniszczono. I tak dziwić się trzeba, że ci ludzie szkoły utrzymują wobec terroru bolszewickiego i nieprzyjaznych Ukraińców.

W jedynych dwóch parafjach, z którymi mam obecnie styczność, czynnych jest osiem szkółek; na te wściekle warunki to i tak nieźle. Mam nadzieję, że w dalszych parafjach choć część istnieje. Teraz mam jeszcze pieniądze na opłacenie nauczycielek, ale gdy fundusik Macierzy się wyczerpie — co wtedy? A no, trzeba będzie jakoś łątać, szkoły muszą iść. W Dzygówce ukraiński komisarz oświatowy nie chciał dać nauczycielkom moim poświadczenia i swego pozwolenia, które jest teraz obowiązkowo potrzebne i dla szkół polskich; namawiał jedną, aby się przyłączyła do szkół ukraińskich pod jego zwierzchnictwem. Na to mu odpowiedziała, że mają tylko jedną władzę nad sobą. — „A! może p. Zaleska?” — spytał ironicznie. — „A tak” —

odpowiedziała. „No i cóż, wypłaca wam pensje, i to, zdaje się, mikołajowskiemi?...“ Widać wiadome jest, że pieniądze mikołajowskie z Polski dla Macierzy przywozłam. Jeżeli bolszewicy dadzą mi pokój, to naprawdę będzie w tem cudowna opieka i łaska boska. Muszę koniecznie odwiedzić te szkółki, bo moja bytność podnosi ducha i dodaje otuchy nauczycielkom.

Ilość moich przybranych synków powiększa się; już mam drugiego takiego „Władymira“. Przeprowadziła mi go moja pacjentka z Jampola, do której uciekł od bolszewików z Mohylowa. Wszędzie go poszukują, więc, naturalnie, jak w dym do mnie, bo Hałzbijówka zawsze jest uważana jako miejsce najbezpieczniejsze, nietykalne dla tych zbrojów. Biedny chłopiec, nie wiem co z nim robić. Przyszło mi na myśl, aby mu dać miejsce nauczyciela w Podlesówce, ale nato potrzeba jakichkolwiek świadectw bolszewickich, które zdobyć musi z wielkimi ostrożnościami.

Co ma Bóg dać, to się zawsze stanie. Jeden z moich pacjentów, inteligent wiejski, powiedział mi kiedyś: „was, panienko, tylko medycyna uratowała“. Na pewno ma słuszność. Gdy spojrzę w przeszłe swe życie, najwyraźniej widzę logiczny bieg wypadków, który już wtedy się układał, przygotowując obecne położenie. Rozbawionej, rozpieszczonej, pełnej aspiracji artystycznych, skąd przyszło mi do głowy przed laty chodzić na kursy samarytańskie, odbywać praktykę w klinikach, studjować książki medyczne? Zapewne, był to owczy pęd i moda, ale moda, która u mnie lata trwała, przeradzając się w sumienną pracę i po-

ważny obowiązek. Przecież na długie lata przed wojną sława moja „doktorska“ znana była w okolicy, ambulatorjum zaś moje w Gruszcze przepełnione chorymi, dla których znajdowałam zawsze czas i pomoc, pomimo kpinek i śmieszków mego otoczenia. To moje „doktorowanie“ nie było jakąś szlachetną pozą, jakimś „spędzaniem czasu“ wiejskiej panny. Nie, robiłam to nieraz z przymusem i z wysiłkiem, jako rzecz konieczną i poważną; może już wtedy nieświadomie pracowałam nad ocaleniem siebie i najdroższych dla mnie miejsc.

24-go listopada.

Byłam dziś na Mszy św. w dzień imienin Mamy. Z jakąż ja ulgą myślę teraz, że Jej tu niema, że Bóg zabrał Matkę moją ukochaną z ziemi do lepszego świata, skąd wzrokiem nieśmiertelnej mądrości spogląda na bieg dni naszych. Śmierć! Ileż pociechy i radości zawiera to słowo — jedyna, prawdziwa nagroda za trud walki ziemskiej. Walka moja jeszcze nie jest skończona, nie ustąpię tak prędko i nie zrezygnuję tak łatwo.

Bolszewickie gazety bredzą, że Piłsudski podał się do dymisji z powodu sprawy litewskiej. Upewniają o pokoju z Polską, choć jednocześnie Żeligowski nad Desną zachodzi tyły bolszewickie.

30-go listopada.

Wczoraj wróciłam z Mohylova, a jechałam tam ze strachem i zamartwieniem sercem. Przyszedł chłop z ustną wiadomością od Stefanowiczów, abym natych-

miast przyjeżdżała do Mohylowa. Pewna byłam, że Franca spotkało jakieś nieszczęście. Całą drogę modliłam się gorąco, odpędzając straszne zmyry, nasuwające się w okropnych, realnych obrazach. Franc w czerezwyczajce, wzywają mię, abym się pożegnała — nie — poruszę całe miasto, halźbijowieckich chłopów sprowadzę, wyblągam, wyrwę mojego biedaka — za późno! — oddają mi martwe ciało. Ach, Boże miłosierny, byle prędzej dojechać, byle dojechać! — Słońce nielistopadowe świeci na niebie bez chmurki, rozkosznie grzeje i wlewa do duszy trochę otuchy, promyk nadziei. Potem wytoczył się ogromny, srebrny księżyc i w zastępstwie słońca głaskał mię swe mi promieniami. Doprawdy, że te światła niebieskie były mi ogromną siłą i pomocą w tej niekończącej się drodze.

Mohylów — oby prędzej! — nie, oby nigdy nie stanąć przed domem S'efanostwa. — Już. — Zeskakuję z wozu. „Gdzie Franc?“ — „Pan Franciszek pojechał ze sztabem petlurowskim“ — „Boże, dzięki Ci!“ — Wstyd płakać — nie można się przecież rzucić staruszkom na szyję, choć oni i tak widzą, co się ze mną dzieje.

Po chwili przychodzi rozważa, że jeszcze niema się czego tak cieszyć. Franc wyjechał jedenastego wieczorem ze sztabem ukraińskim, który do ostatniej chwili nie wiedział, co się dzieje na froncie; dopiero gdy bolszewicy następowali na pięty, zebrał się do ucieczki. Za Jaryszowem petlurowcy zostali dognani i prawie do nogi wycięci. „Pan Franciszek musiał

ocaleć, bo miał dobre konie“. Ech, co tam konie, chyba Bóg rozkazał aniołom swoim cudownie z matni go wyprowadzić.

Staruszkowie wezwali mię, aby oddać list Franca; bali się go oddawać nawet najzaufańszemu pośląncowi. Po pierwszym oszołomieniu i przywitaniach, wygramolił się staruszek z tajemniczą latarką na strych i wydobył list, ukryty pod dachem. Staruszka przez ten czas rozkładała przede mną liczne skarby, które mi Franc zostawił: czekolada, prawdziwa szwajcarska! pasta do butów (zapomniał biedaczek, że ja już dawno nie mam co czyścić), świece i kilka zeszytów (piszę w tej chwili na polskim papierze), paczka mikołajowskich pieniędzy, kilka złotych monet—już dawno nie byłam tak bogata! Moje dobre, drogie chłopczykol

Wiadomości z kraju takie dobre, radosne. W sierpniu ocalała Warszawę młodzież szkolna, księża i ochotnicy. Serce napełnia się dumą, że jestem Polką, że należę do tego cudownego, bohaterskiego narodu. Ten sam duch, co za czasów potopu szwedzkiego, i ta sama cudowna opieka Matki Przenajświętszej Częstochowskiej. Wszyscy tam biegli błagać ją o ratunek i pomoc — i wysłuchiwała. Czy dane mi będzie kiedy dziękować za wszystko u Jej cudownego obrazu?

Jesteśmy teraz silnem państwem, choć jeszcze niejedna sprawa pozostaje nierozstrzygnięta i niezałożona, jak np. litewska i śląska.

Gdym odpięczętowała list Franca, wypadł z koperty bilet; biorę, czytam: „Jenerał Józef Haller przez jej kuzyna przesyła wiele serdeczności i podziwu dla

jej dzielności“. Jestem dumna i szczęśliwa, że ten nasz wielki bohater nie zapomniał o mnie. Swoją drogą, czuję w tem sprawkę Franca, który, wiedząc, jaką to dla mnie będzie radością, przypomniał pewno Generałowi moją osobę i podsunął myśl napisania biuleciku. Franc pisze, że to on, Haller, w chwili krytycznej uratował Polskę; o jakże ja go kocham zato! prawdziwie polski, chrześcijański rycerz; czuje się w nim to proste serce, które cuda stwarzać potrafi. Jakżebym chciała go zobaczyć, ucałować błogosławioną rękę, co moją Ojczyznę osłoniła przed zagładą. A tymczasem dzięki ci składam, drogi nasz rycerzu, za tych kilka słów, przysłanych wygnance, które są dla niej prawdziwym skarbem i relikwią w odcięciu i osamotnieniu.

1-go grudnia.

Będąc teraz w Mohylowie, doznawałam wrażenia pewnego uczłowieczenia się zwierzęcia bolszewickiego. Ubrani porządnie, wygląd mają przywoitszy i nietyle zwyrodniałej tępoty na twarzach. Są to przeważnie Wielkorusi, spokojniejsi i nie tak rozjuszeni. Grabią przeważnie Żydów, to też ci masami emigrują do Rumunji. Żołnierze otwarcie mówią, że mają dosyć wojny, że chcą się tylko rozprawić z Żydami i z komunistami. Mam głębokie przeświadczenie, że skończy się to wszystko rozkładem armji i pogromem Żydów. I Franc też pisze, że tej zimy spodziewany jest przewrót w Rosji.

2-go grudnia.

Przyjechało kilku bolszewików w poszukiwaniu mieszkania dla pogranicznej straży, złożonej z 60-ciu żołnierzy. Zdumiona byłam ich zachowaniem się; zupełnie to inny gatunek, bardzo już zbliżony do prawdziwego człowieka. Oficer nawet czapkę zdjął, wszedłszy do pokoju, nie pchał się bez pytania i w drzwiach przepuszczał mnie pierwszą. Wyjechali niezdecydowani, a w chwilę potem przybiegł starosta z radosną nowiną, że wynieśli się na Białą. Coś się dzieje najwyraźniej; trakt mohylowski zapchany wojskiem, przez Jarugę sunie też niezliczone mnóstwo. Chłopi mówią, że uciekają przed Polakami. Mohylów już oczyszczony! O Boże wielki, czy wróci tu Franc?

Modłę się całą duszą, taką mam ufność w miłosierdzie i głęboką wiarę, że, choćby się stało co nieodwołalnego, Bóg cudownie może wszystko odmienić i powrócić, a otoczenie pozostanie w nieświadomości zarówno nieszczęścia, jak i cudu. Bóg przecież wszystko może, tylko trzeba Go błagać, ciągle błagać z niezachwianą wiarą i ufnością.

3-go grudnia.

Zwalił się do nas obóz bolszewicki. Pozajmowali pokoje, stajnie, wozownie, słowem — wszystko. Co chwila nowi przyjeżdżają, trzeba się targować, wykryć; cały dzień przenoszenie, chowanie, strach, męka. Chcieli koniecznie zamieszkać w salonach, ale im wytłumaczyłam, że zamarzną. Zajęli więc górne pokoje gościnne, a w czerwonym salonie postanowili

urządzić teatr. Mam już zaproszenie na pierwszą naiwną; tom się doczekałał ale bo też naiwną gram bezustanku, rozmawiając z nimi wesoło i z uprzejmym uśmiechem ich witając. Wśród bezmyślnej rozmowy staram się wyciągnąć z nich prawdę i wybadać, jakie jest położenie. Mówią, że całą zimę tu przebędą, jako straż pograniczna; że pokój z Polską pewny, granica na Zbruczu. Wrangel i Petlura zniesieni. A jednak wojska wycofują i w rozpędzie przyznają się, że nie wiedzą, jak długo będą mogli tu pozostać. Choć z żalem, muszę jednak przyznać, że są o wiele przyzwoitsi, niż wszyscy poprzedni; zachowują się spokojnie i solennie obiecują, że grabić nie będą.

Starszyczkę zaprosiłam na obiad. „Naczchoz“, Andrej Iwanowicz jest wykształcony i dobrze wychowany, profesor historii słowiańskiej na uniwersytecie moskiewskim, typowy idealista, wierzący w zbratanie Słowiańszczyzny, w spokój i zgodę. Wojny z całym jej aparatem nie znosi. A równocześnie o bolszewiźmie mówi z zachwytem, o świetnym ustroju, jaki panuje w Rosji, a w przyszłości niedalekiej uszczęśliwi cały świat. Nieraz jednak wyrwie mu się coś tak niebolszewickiego, że trudno się zorientować, kim on właściwie jest.

Drugi, to już typ wulgarniejszy, ale nie „nastojaszczyj komunista“. Chyba jedyną oznaką jego bolszewickich przekonań jest śliczna bekieszka, na pewno zagrabiona na Polaku, i piękne pierścionki podejrzanego pochodzenia. Bądź co bądź wszyscy razem są jeszcze znośni; oby się tylko na tem skończyło.

Przyjeżdżał dziś ks. Longin, ograbiony przez bolszewików; jednak nie zawahał się przyjechać, pomimo dróg, zawałonych wojskiem, ażeby wręczyć mi list Franca. Biedak mój drogi próbował wszelkimi drogami dostać się do mnie. Był w Czerniowcach i tam widział się z księdzem, któremu dał list do mnie. Stare wiadomości, w niczem nie łagodzące mego obecnego niepokoju, ale zawsze mi raźniej; mam wrażenie, że kontakt jeszcze zupełnie nie zerwany.

4 go grudnia.

Pułk, który zjechał do Jampola, a u mnie rozlokował obozy, składa się przeważnie z rozbitków denikinowskich i machnowców, nie są więc oni zajadłymi bolszewikami i z przekonanią ciążą ku starej Rosji. Bardzo obiecująca jest ich taktyka w Jampolu. Na przedstawieniu w klubie powstała awantura, w czasie której zaaresztowano agenta „osobaddiełu“, „wojenkoma“ żołnierze chcieli bić, krzycząc, że mają dosyć tych tchórzów, co siedzą na tyłach i tylko ludność grabią. Antagonizm między wojskiem a cywilnymi urzędnikami jest ogromny. Starszyna wojskowa z pogardą odzywa się o komisarzach, szpiegach, czerezwyczajkach i t. d. Wiem to wszystko od naszego „naczchoza“, który zupełnie szczerze rozmawia z nami. Twierdzi, że wkrótce w Rosji będzie car, że przewrót wisi na włosku, że wojsko w większej części nie solidaryzuje się z komunistami. Gdy się zapali w rozmowie, ze szczerem obrzydzeniem wstrząsa się na myśl zniwelowania ludzkości do jednego poziomu.

Widać, jak daleki mu jest i wstrętny ten wyidealizowany przez bolszewizm proletarijat.

Kłopotów i przykrości mam bezliku; oddałam im całe oficyny, a więc szkółkę musiałam wynieść, i obecnie tłoczmy się w garderobie i na korytarzu. Dzieciaki uszczęśliwione są nowością, ale my z p. Zofją ledwie sobie radę dać możemy w tej ciasnocie i nieporządku.

Piece w gościnnych pokojach dymią; boję się, aby ich nie wykurzyły na dół, co byłoby mniej przyjemne. Biedny „Władymir“ chory, ale może to i lepiej oznajmiam wszystkim, że jeden z moich „służaszczych“ chory na „tif“, a to go chroni od wszelkich indagacyj, no i bardzo ostudza amatorstwo długiego zamieszkiwania we dworze.

Dziś zjawił się z Białej, bo i tam pełno jest wojska, komisarz od prowiantury wojskowej, bardzo niesmaczna figura. Przedewszystkiem napadł na mnie, że nie mam prawa leczyć i odbierać chleba biednym, gdy sama jestem tak bogata. Spytałam, skąd ma przeświadczenie o mojem bogactwie? Odpowiedział, że przecież widzi mnóstwo drobiu i stada indyków, przechadzające się po dziedzińcu. Roześmiałam mu się w nos na to jego genialne spostrzeżenie, dodając, że, jeżeli pana doktora z Białej bardzo niepokoi mój dobytek, mogę zaprosić go na ucztę z dwóch kur, jedynej mojej własności; stada drobiu, które spacerują po moim dziedzińcu, należą do chłopów, moich sąsiadów, a przejęte duchem wolnościowym, włożą na moje podwórko. Następnie komisarz

z prawdziwą bezczelnością moskiewską zaczął się dopominać o mieszkanie dla siebie. Tłumaczyłam mu, że już wszystko zajęte jest przez jego towarzyszy, a gdy z niedowierzaniem rozglądał się dokoła, zniecierpliwiona otworzyłam nagle drzwi do pokoju Władymira, ukazując chorego na tyfus. Trochę mi serce biło, czy nie zapyta go: „a gdzie waszi dokumenta?” Ale on w strachu przed zaraźliwą chorobą czem prędzej wyniósł się z korytarza, i mam nadzieję, że pozbyłam się go raz na zawsze.

6-go grudnia.

Żeby choć chwila spokoju! Dziś przyjeżdżał komendant pułku w asyście kilku oficerów. Wciąż te procesje po domu, spozieranie we wszystkie kąty łakomym wzrokiem, rozporządzanie się, jak u siebie. Ta nieszczęśliwa moja domina w oczy kłuje i zaostrza apetyty nawet, jak na bolszewików, dość powściągliwego tego pułku. Podobno krążą podania o bogactwach, jakie dwór halźbijowiecki rzekomo zawiera. Już mię uprzedzano, że ma się odbyć u mnie rewizja. Zupełnie szczerze wypowiedziałam moje obawy pod tym względem Andrejowi Iwanowiczowi. Upewnia mię, abym była spokojna, że nic podobnego się nie stanie. Dziwny człowiek ten Andrej Iwanowicz; przy obiedzie bywa komunistą, przy kolacji monarchistą, a czasem wznosi się ponad wszelkie partje i programy polityczne i, jako wyznawca futuryzmu, wywodzi teorie tego nowego prądu, które jednak w ustach jego nabierają bardzo dużo cech bezwzględności bolszewickiej. Jego futuryzm

prześlągnięty jest wschodnią przesadą i nieproporcjonalnością, która bardzo łatwo zmienić się może w chorobliwą potworność. Jaki ten Wschód jest nam jednak obcy i daleki! Mam wrażenie, że kiedyś walka z bolszewizmem przerodzi się poprostu w walkę zdrowej kultury zachodniej z genialną nieraz, ale zawsze histeryczną potęgą Wschodu. Polska, jak zwykle, stać będzie na przełomie dwóch światów. Rosjanie twierdzą, że w Polsce bolszewizm bardzo łatwo się zaszczepi i wkrótce wybuchnie rewolucja. Tak, rewolucja może być, nawet krwawa i straszna, ale przeminie, jak burza, jak ciężka choroba, którą naród siłą zdrowego organizmu zwalczy, by rozkwitnąć tem pełniejszym życiem. Stan chronicznego rozkładu możliwy jest tylko w Rosji, gdzie wiecznie w parze iść będą: świętość obok wyuzdania, chińskie okrucieństwo przy naiwnej łagodności i żydowski fanatyzm z tępą, leniwą obojętnością. Niezrównoważenie w tym lub w przeciwnym kierunku, a wszystko zaprawne mongolskiem pojmowaniem życia.

8-go grudnia.

Nie ma się co łudzić; bolszewicy nie wyjadą ani za tydzień, ani za dwa; urządzają się tutaj na dłuższy pobyt; całą zimę pewnie tu przesiedzą, a współzycie z nimi staje się ciężkie, nie do zniesienia. Wprawdzie do domu, prócz starszizny, nikogo nie wpuszczam, ale zato w oficynach panują niepodzielnie żołnierze. W kuchni pełno krasnoarmiejców; grzeją się, wyłapują wszy i zaglądadają do garnków. Spizarni nie można

otworzyć, bo się tam zaraz cisną, wykradając chleb i z pożądliwem oburzeniem spoglądając na burżujską mąkę. Wstaję więc raniutko, gdy jeszcze ta banda śpi, i wtedy z kucharzem i Frasyną gospodarujemy cichutko: doi się krowę, chowa mleko czem prędzej, piecze się chleb, a zapasy, przeznaczone na obiad, wsuwa się jak najszybciej do rondli i na ogień, bo jedynie wysoka temperatura wrzątku zabezpiecza potrawy przed chciwymi palcami krasnoarmiejców.

Straszny miałam kłopot z meblami, przywiezionymi z Mohylova, które złożyliśmy w jednym końcu strychu, zabiliśmy ścianą z desek, resztę zaś strychu nad wielkim czworobokiem oficyn nabiliśmy słomą. Ale pierwszą rzeczą, naturalne, było dobranie się żołnierzy do tej słomy, która tak prędko zaczęła znikać, iż z przerażeniem obliczyliśmy, że za parę dni dotrą i obnażą prowizoryczną ścianę, która z pewnością pobudzi ich ciekawość, a wtedy nietylko meble, ale cały dom może paść ofiarą ich dzikiej zemsty; żołnierze bowiem tutejsi wciąż opowiadają, że cō na wierzchu, tego nie ruszą, ale schowanemu nie darują. Co więc robić, gdzie ukryć, jak wynieść, czem upozorować przechowywanie ogromnej ilości mebli z wielkiego dworu gruszańskiego? W nocy wynosić nie można, gdyż stoją patrole, a zresztą najmniejszy ruch w budynku wśród nocy wzbudziłby podejrzenie. Szczęściem, meble złożone były nad starą spiżarnią, mającą wejście na strych. Wybrawszy porę, kiedy panował wśród żołnierzy największy ruch, kiedy kręciło ich się pełno po korytarzu i na dziedzińcu, Marjan z Petrykiem zamknęli

się w spiżarni; wypitowali deskę w suficie i po jednemu spuścili wszystkie meble do spiżarni. Namęczyli się poczciwcy okropnie, gdyż ciężkie stoły mahoniowe, kanapy, ogromne lustra trzeba było spuszczać z największą ostrożnością, ażeby nie rozbić, a co gorsza, nie narobić zbyt wielkiego hałasu. Pewnie, że nie jest to skrytka bezpieczna, gdyż w każdej chwili mogą kazać otworzyć starą graciarnię, ale bądź co bądź nie jest to tak kompromitujące, jak schowek na strychu.

9-go grudnia.

Słusznie bolszewicy boją się tak tyfusu: straszliwa ta choroba grasuje wśród nich; codzień po kilku zachorowuje. Leżą w kuchni pokotem; ja nie mam czasu ani możności leczenia ich; niech ich zabierają do jampolskiego szpitala. Zachorował też „dielowod“, ów właściciel pięknej bekieszy. Leczył go bielański szarlatan, ale widać z małym skutkiem, gdyż dziś prosił, abym go odwiedziła. Leży w bibliotece. Gdy weszłam, omal nie padłam od straszego zaduchu, który tam panuje. Moja kochana biblioteka żółto-biała, ledwie ją poznałam w obłokach machorki i w kopcii swędzącej lampki bez szkła. Po zbadaniu chorego zaczęła się rozmowa z „towarzyszami“, znajdującymi się w pokoju. Między nimi żydek-komunista, Duchownyj, wyłożył mi cały program mądrości komunistycznych, powtarzając co chwila, jak to będzie pięknie w niedalekiej przyszłości. Wywierało to wrażenie, że nietylko mnie, ale sam siebie przekonywał i utwierdzał w wie-

rze tego przyszłego dobra, hipnotyzując się bezmyślnie wciąż powtarzanemi słowami. Wysłałam z czadem w gardle, w głowie, w duszy.

10-go grudnia.

Dziś ten sam Duchowny oprowadzał mię po czytelnicy, którą sobie urządzili w naszej szkółce. Na stołach stopy gazet i broszur rosyjskich i ukraińskich; na ścianach, na miejscu obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, wizerunków królów i map polskich, które przeźornie wynieśliśmy stamtąd, porozwieszane agitacyjne proklamacje i ohydne karykatury bezczeszczące księży i szlachtę. Wybiegłam prędko, gdyż czułam, że nie wytrzymam i zedrę te szmaty papieru ze ścian. Wszystko się w człowieku burzy, kipi, a wszystko zdławić trzeba ostatecznym wysiłkiem woli. Poco? dlaczego? Tu już niema walki, to już tylko znęcanie się obrzydliwego losu nad bezbronną ofiarą. Co mi pomogą rozpaczne słowa, buntownicze okrzyki duszy? Wiem, że jarzma tego nie zrzucę, i może to jest jedyna konsekwencja mego życia: pomimo wszystkiego dotrwać w niem do końca. A więc jutro na pewno pójdę znów odwiedzać chorego „dielowoda“, wykładać własną słomę dla krowy, klepać z dziećmi tabliczkę mnożenia w ciasnym korytarzu i głowić się, jaką potrawę wymyślić, aby wyszło jak najmniej słoniny.

Na górze w gościnnym pokoju stukają buty bolszewickie, jak młoty, wbijające gwoździe w obolały, nieszczęsny mózg.

11-go grudnia.

Plotek, jak w kotle djabelskim; jedna drugą goni, jedna drugą zbija. Chłopi uparcie twierdzą, że Polacy idą, a przez Rumunję dąży Petlura i Kiereński na czele krzyżowców, idą na świętą wojnę przeciw bolszewikom. Ci zaś twierdzą, że są zwycięzcami wszędzie i że ostatnio posłali ultimatum Rumunji, aby do 15-go oczyściła Besarabję. Już przestraszona Rumunja pośpieszyła wypełniać rozkazy i zaczęła ewakuować brzegi Dniestru, gdy raptem odechciało się bolszewikom i Besarabji, i wojny. Andrej wygadał się dziś, że pewnie niedługo opuszczą te strony, a o aneksji Besarabji nie wspomniał, ja mu też nie przypominałam. Zresztą wszystko mi jedno, niech mówią, co chcą, niech w przechwałkach podbijają cały świat, wysłucham wszystkiego cierpliwie, aby tylko się wynieśli jak najprędzej ze swojemi zdobyczami, kłamstwem i nikczemnością.

Jednak chłopi mają, choć przekręcone i przesadne, ale dobre wiadomości. Bolszewicy sami się przyznają, że Kiereński i Skoropadzki napierają na nich. W każdej, nawet najbezcenzuralniejszej, fantastycznej plotce tkwi pewien atom prawdy i możliwości.

Żołnierze służbę mi buntują; dobrze, że jeszcze dotąd pocziwa moja służba ze szczerem oburzeniem wszystko mi powtarza, ale, gdy te draby dłużej tu posiedzą, to codzienne obcowanie ze złem zrobi swoje.

Wśród wieczornych rozmów w kuchni często „pamięszczica“ jest niewyczerpanym tematem ich uwag i pretensyj. Dlaczego mieszka we dworze i trzyma tyle

służby? To im bardzo sprytnie wytłumaczył kucharz: że my tu dawno, gdy im się jeszcze nie śniło, urządziliśmy komunę; „my jej nie służymy — powiada Grzegorz — tylko mieszkamy razem z nią; wszystkie produkty mamy wspólne, a te dwie krowy, to jedna Sokołowskiej, a druga moja. „A czemuż to pamieszczica sama nie gotuje?“ — „A bo ona nato czasu nie ma; my jej gotujemy, a ona zato naszych chorych na wsi leczy“. Jeden z nowo przybyłych żołnierzy wystąpił kiedyś z przemówieniem, w którym namawiał służbę, aby mię porzuciła, jako burżujkę. Na to moi poczciwcy najspokojniej powiedzieli, że nie służą, pensyj żadnych nie biorą, są współwłaścicielami i wspólnie ze mną pracują. Kiedyś Frasy na opóźniła się z praniem i rozbudzeni krasnoarmiejcy ze zgorzeniem przyglądali się cienkiej bieliźnie, miotając przekleństwa i gromy świętego gniewu na hafciki i przeklęte zbytki burżujskie. W odpowiedzi Frasy na wydobyla z balji i rozpostarła im przed oczami koszulę, coprawda ozdobioną już tylko we wspomnienia haftów i koronek, ale zato obfitością łątek i dziur świadczącą wymownie o obecnym stanie finansowym jej właścicielki. Gdy bolszewicy stali nad balją, stropieni trochę tym widokiem, Frasy na energicznie strzepnęła mokrą sztuką bielizny i zabrała się do prania. Odświeżeni lekkim prysznicem, odeszli w pełnym zadowoleniu, zupełnie udobruchani.

12-go grudnia.

Była depeza do jampolskiego rewkomu, z urzędową wiadomością, że Polska żąda oczyszczenia Ukrainy,

a więc pokój nie jest zawarty. Podobno Wrangel i Ukraińcy idą przez Rumunię. Przyjechał oddział saperów, kopią okopy w Klembówce, coby znaczyło, że spodziewają się jakiegoś ataku od strony Wapniarki. Wszystkie te wieści są głuche i niepewne, więc się domyślać i samemu kombinować trzeba; a ponieważ pragnie się wyzwolenia, więc też zawsze na swoją pociechę człowiek wygrzebie jakąś iskierkę i żyje tem błędem, znikomem światłem.

13-go grudnia.

Na bramie rozlepiono wezwanie do „poślednij barby“ przeciw Petlurze i Wranglowi. Dobry to znak! Żydzi z całą pewnością twierdzą, że na żądanie Polski bolszewicy mają ustąpić z Podola i Wołynia.

15-go grudnia.

Nie wygląda wcale, aby się mieli zabierać. Znów wszystkie nadzieje zamarły.

Dziś przyjeżdżał pomocnik komendanta z delegatami żołnierskimi; odbyli długą kontrolę, a potem przyszli do nas na obiad. Tak nieokrzesanych typów jeszcze nie widziałam! Gdym weszła do pokoju jadalnego, siedzieli przy stole w czapkach; na moje ogólne powitanie żaden nic nie odpowiedział, dopiero, gdym stanęła nad jednym i dobitnie powtórzyła, że witam ich u siebie, domyślili się, że trzeba wstać i ukłonić się. Przez cały czas obiadu rozmawiali między sobą o wojskowych sprawach organizacyjnych, z czego wyrozumiałam, że nie myślą się stąd ruszać,

ale przeciwnie, ustalają się na dobre. Po załatwieniu swych spraw zwrócili się do mnie z dobrodusznym podziwem, że ocalałam dom i zdołałam się w nim utrzymać. Dziwili się, że nie uciekałam ani przed chłopami, ani przed bolszewikami, a na pożegnanie z uznaniem powiedzieli: „No, wy chabraja żeńszczyzna“. Wogóle bolszewicy raczą mię tolerować, a nawet przyzwyczajają się do nazw, przypominających burżuiską moją przeszłość. Mają też coraz większe zaufanie do mojej wiedzy doktorskiej. Dziś wpadł na korytarz „tawariszcz“ żydek z zapytaniem, czy „zdieś Panienska nachodit sia“, a potem prosił, abym odwiedziła chorego towarzysza. Mam już nawet przyjaciół między nimi, a najzyczliwszy jest ordynans Wasil, dziwne biało-płowe stworzenie, mówiące jakimś zakazanym językiem, którego nikt zrozumieć nie może; tyle tylko mogłam uchwycić, że mówi zawsze do mnie *ty*, z takim samym bezpośrednim odruchem, jak do siostry lub do matki, którą tam gdzieś na dalekiej północy zostawił. Uśmiecha się przytem spojrzeniem swych siwych oczu, wyblakłych, mętnych, jak to zimowe niebo jego ojczyzny, a dobrych i pięknych, jak każde niebo północy czy południa, jak każda uczciwa dusza ludzka. Wykrada drwa ze składu wojskowego i cichaczem przynosi je do kuchni.

17-go grudnia.

Codzień zapraszam na śniadanie sotnika, który ma dozór nad żołnierzami i nad całym ich gospodarstwem na podwórzu. Karmię go słoniną, poję herba-

tą, a on tymczasem codziennie po tem uprzejmem śniadaniu buntuje mi Marjana i łaje go zato, że służy. „To my trzy lata wojujemy nato, aby panowie jeszcze byli! — mówi — tyle świata zesłiśmy i nigdzie „pamieszczków“ nie widzieli, a ta siedzi we dworze i tyle służy trzyma“. Dziś zawołał matkę Marjana i kazał jej syna ze służby zabrać. Drażni i korci ich okropnie moja osoba, gotowi nowy front utworzyć, aby tylko zniszczyć tę „pamieszczicę“.

Pocziwi moi ludziska wykładają się i wykręcają, jak mogą, ja udaję, że nic nie wiem — i w dalszym ciągu popijamy herbatkę, prowadząc salonowo-neutralną rozmowę o silnych mrozach, zamarzniętem błocie i o przeszłorocznem słońcu.

18-go grudnia.

Po raz nie wiem który przeczytałam list Franca. Co tu się ludzić? Przecież najwyraźniej pisze, że pokój jest zawarty. A my wciąż słuchamy plotek i budujemy zamki na lodzie. Ale jeżeli pokój zawarty od dwóch miesięcy, dlaczego Franc nie przyjeżdża, albo się nie odzywa? Mój Boże, co się z nim stało?!

20-go grudnia.

Woziałam wczoraj szkótkę do spowiedzi, że zaś wszystko to, obdarte i bose, nie mogłoby dojść piechotą, więc wymościłam wóz słomą i, jako pogotowie, jechałam ztyłu, zabierając naprzemiany bardziej zmarzniętych i zmęczonych. Kochane moje dzieciaki! Gdy klętko to wszystko przed kratkami do Komunji

św., utworzył się obraz dziwnie groteskowy. Jedno w długim palcie ojcowskim mocije się ze zwisającymi rękawami; drugie zawija się w ciasną świtkę, zakrywając starannie w obliczu wielkiego ołtarza dziury na majteczkach; tam maleńka figurka ginie zupełnie w fałdach obfitej spódnicy matczynej, choć, ta, związana pod pachami, jeszcze poważnym trenem spływa na schodki prezbiterjum; kulą się nóżki w pożyczanych pantoflach i dla rozgrzewki ocierają się o siebie bezradnie; Franek dumnie paraduje w moich zakopiańskich kapciach, cudem dotychczas wymigujących się przed apetytami bolszewickimi; ale zato brat jego, gdy ukląkł, świeci nieobecnością wydeptanych podeszew, w całych napozór butach.

Przyszły do Ciebie, Chryste, dzieci polskie, ukłękły pokorne, przynosząc Ci swą nędzę w darze.

Puściliśmy dzieci na dwa tygodnie. Cieszymy się z p. Zofią z wakacyj, bo rzeczywiście w takich warunkach strasznie to ciężka praca.

Tutejszy nauczyciel ukraiński z komitetem „kombiedy“ przyszedł uprzedzić mnie, abyśmy wszystkie szkolne papiery miały w porządku, gdyż ma przyjechać instruktor na kontrolę. „Kombieda“ obiecała, że się dla mojej szkółki wystara o należne jej drwa. Prawdziwy z nas proletarjat, kiedy już nami „kombieda“ się opiekuje. Porządne i poczciwe są moje hadjuki.

21-go grudnia.

Rumunja ma wystąpić 25-go; bolszewicy kopią okopy wzdłuż Dniestru, zmobilizowano stąd 50 ciu

chłopów do tej roboty. Są tacy, którzy się przysięgają, że Polacy w Zińkowie. Wszyscy spodziewają się przewrotu w Rosji na 1-go stycznia.

W nic nie wierzę. Żyję w bolesnem odrętwieniu. Stoję na jakimś rozstaju, a tęsknoty moje rozbiegły się po dalekich drogach, ku żywym i ku umarłym. Pobiegły w rozbieżne drogi świata, a wślad za nimi poszła dusza, serce, czucie, wszystko — został tylko cień mojej istoty, przykuty do martwego punktu, odejść nie mogąc ani do żywych ani do umarłych. Oj doloż ty moja!

22-go grudnia.

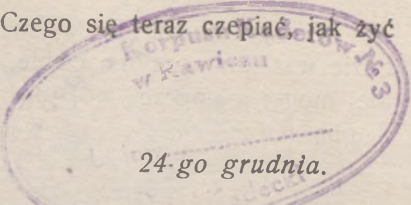
Dziś ratowałam zaccadziatego w łazience „nacchoza“. Usłyszawszy krzyk, wbiegłam na korytarz, gdzie leżał zemdlony, a nad nim bezradni i obojętni „tawariszcze“. Gdym go ocuciła i doprowadziła do przytomności, bardzo był wdzięczny, a „tawariszcze“ z uznaniem powtarzali, że gdyby nie ja, byłby umarł. Mam pewne zadowolenie, że w rękę moją było życie jednego z nich. Leczę też i pielęgnuję „dielowoda“, który leży bez żadnej innej pomocy, gdyż bolszewikom wszystko jest jedno, czy ich „tawariszcz“ żyje, czy zdycha.

23 go grudnia.

Dziś po południu dały się słyszeć strzały. Ogarnęła mię szalona radość. Boże mój, już nareszcie coś się robił Tymczasem bolszewicy utrzymują, że to powstanie w Besarabji, i stąd ta strzelanina. Ostat-

nia nadzieja znika. Czego się teraz czepiać, jak żyć bez nadziei?

Jutro wilja.



24 go grudnia.

To już czwarta wilja, którą w tak dziwny sposób spędzam, odcięta od świata, zatruta tęsknotą. Świąteczny nastrój odczuwa się jedynie w tem, że wir codziennych zajęć zmniejszył się trochę, a zato tem mocniej, tem straszniej uciska duszę smutek, kamieniem dusi, przywala piersi, że tchu nie staje.

Dziwna była ta dzisiejsza wieczerza nasza: Ojciec, tak niedołężny starowinka, że ledwie z naszą pomocą przywłókł się ze swego pokoju do stołu; Gomulińska, która piechotą przydreptała w takie zimno z Olfanówki; Władimir w nowem ubraniu ze starych kołder szpitalnych, rozmawiający przez cały czas po rosyjsku, gdyż wobec gadulstwa Gomulińskiej strach odkryć tajemnicę, kim jest. Jeżeli byłaby choć trochę spostrzegawcza, to z jego pocziwych niebieskich, zażawionych oczu wyczytałaby mogła, co się dzieje w tem niemem, tułaczem sercu polskiem. Jakże my wszyscy razem bardzo biedni byliśmy przy tej wieczerzy! Aby zabić myśl, rozproszyć ciężkie milczenie, siadłam do fortepianu; już tak dawno nie grałam. Palce błądzą, wydobywając tony, nie mające żadnego sensu muzycznego, splątane w jakiś krzyk rozpacz, wyplakują na klawiszach ból, którego wypowiedzieć nie mogą żadne słowa.

Co wy robicie, drodzy moi? Wiem przynajmniej, gdzie was szukać; tylko ciebie, Franc, nigdzie znaleźć nie mogę; chłopcze mój drogi, gdzie jesteś, co się z tobą stało?

25 go grudnia.

Wczorajszą noc czuwałyśmy w domu, gdy Sokołowska i Frasyna z bolszewikami jeździły na pasterkę. Zabronić nie było racji, ale wolałabym mniej tych bolszewickich czułości względem mego fraucymery. Jeden z nich pisuje listy z oświadczeniami do Frasyny, a ponieważ ona jest „niehramotna“, więc Władymir służy za sekretarza w tej miłosnej korespondencji. Uprzedzam Frasynę, aby się miała na baczności, ale co z babami poradzić! Uszczęśliwione z „asysty“, tłumaczą mi, że niewinnym flirtem bronią mnie i dwór od pogromu i nieprzyjemności. A no, trzeba im wierzyć.

O ironjo! Jedyne życzenia, jakie dziś odebrałam, były od bolszewików. Andrej Iwanowicz z Duchownym, wyświeżeni, wypięknieni przyszli po europejsku złożyć wizytę świąteczną. Zaprosiłam ich na obiad, a choć siedzieli w szynelach, spożywając codzienny barszcz z kaszą, nastrój był uroczysty i wykwinny.

26-go grudnia.

Byłyśmy w Jampolu, potem u państwa Żukowskich na obiedzie, który znów musiałyśmy spożyć w towarzystwie bolszewików. Tak, świąteczny ruch towarzyski, miła rozmowa, wesołe ożywienie, choć serce

wyje z rozpaczyl Komendant miasta i jego adjutant, którzy u pp. Ż. mieszkają, zapewniłi nas, że w tych dniach rozpocznie się wojna z Rumunją. Ogłoszona jest ogólna mobilizacja.

Ruch nadzwyczajny, rozrywka po rozrywce, jedna miłsza od drugiej. Dziś wieczór musiałyśmy być na przedstawieniu ukraińskim w szkole halźbijowieckiej, na które otrzymałam uroczyste zaproszenie. Gdybym była wiedziała, że każde przedstawienie teraz rozpoczynać się musi odśpiewaniem internacjonalu, za nic nie byłabym poszła. Raz wszedłszy, musiałam słuchać i stać, choć łuny wstydu i wściekłości biły na twarz.

A wejście na salę teatralną nie jest tak łatwe, jakby się zdawało, chociaż odbywa się wszystko systemem wyższej taktyki, nadzwyczaj uproszczonym. Eskortowane przez dwóch organizatorów wieczoru, przeciskałyśmy się przez tłum, oblegający dokoła szkołę. Dostawszy się do zamkniętych drzwi, jeden z przewodników tłucze w nie kułakiem, krzyząc: „Kiryło wicziniaj!” Na to hasło podwoje się otwierają. Popychane przez liczny tłum niezaprozonych gości, którzy za naszymi plecami chcą dostać się do środka, wpływamy na salę. Tu panuje jeszcze gorszy tłok, niż na podwórzu. Opiekunowie nasi kułakami i głóśnem krzyżeniem: „dajte dorohu!” doprowadzają nas do pierwszych krzesel, dla nas zarezerwowanych. Siadamy, ale to nas wcale nie zabezpiecza od możliwości utracenia krzesła i równowagi pod naciskiem stłoczonego, zięjącego potem tłumy. A więc znów rozpaczliwe wołanie naszych patronów: „publika, nazad!”. Wreszcie

kurtyna się podnosi; domorośli aktorzy grają więcej niż naiwnie jakąś straszną bombę aktualną p. t. „Barba z miecztoju“. Widzowie, uszczęśliwieni, śmieją się, czy jest z czego, czy nie, robią głośne uwagi, przeszkadzając aktorom; nastrój cudowny, ogólne zadowolenie, hałas pomieszanych głosów widowni i sceny, a nad tem wszystkim górują rozpaczliwe wykrzykniki gospodarzów sali: „tiszel“ „ne łuskat’ siemiuszki“ „publika, spokojno!“

28-go grudnia.

Podobno pokój nie jest zawarty, a bolszewicy przygotowują się do wojny z Polską. Chłopi rozbierają tor kolejowy, ażeby uniemożliwić wywóz zboża.

Najgorsze jest to, że mimo wszystko żyje się nadzieją, której świadoma nikłość tak strasznie szarpie, tak wyczerpuje!

30-go grudnia.

Pracy mam coraz więcej, epidemja tyfusu powrotnego, którą tu przywieźli bolszewicy, rozszerza się wśród nich i na wsi. „Diełowod“ wyzdrowiał, zato „naczchoz“, który przeniósł się do popa, jest chory. Do mnie ma takie zaufanie, że nie chce wzywać lekarza wojskowego, ja go muszę leczyć. Biegam tam dwa razy na dzień, z ogromną tremą, aby nie skompromitować swej wiedzy i zaufania, jakie we mnie pokładają. „Naczchoz“ jest strasznie kapryśny i imaginatyk. Przy najmniejszym pogorszeniu przysyła po mnie. Gdy pierwszy raz wezwał mię w nocy, nie chciałam

iść; wtedy napisał list do „diełowoda“, prosząc, aby ubłagał mnie, żebym go ratowała, gdyż on tylko mnie ufa. List kończył się rozporządzeniem, aby natychmiast zaprzęgnięto dla mnie konie i „czto by kuczer nie rugała się“. W ciemną noc, ślicznym powozem wiedeńskim, zagrabionym w Galicji, jechałam przez wieś w towarzystwie „diełowoda“, który dla pewności i mego bezpieczeństwa trzymał w ręku rewolwer. Wjeżdżając w bramę, zawołał do woźnicy: „Tawariszcz, zajeżaj charaszo, czto by pannie było udobno wysiesti“. Parę razy w nocy mię wzywano i z podobnemi honorami wożono.

Wczoraj nareszcie „nacchodz“ miał kryzys; całą noc przesiedziałam przy nim porządnie zdenerwowana, gdyż cała odpowiedzialność spada na mnie; a wczorajszej nocy było z nim naprawdę źle. W chwilach, gdy się chory uspokajał i zasypiał, wychodziłam do sąsiedniego pokoju i w towarzystwie popa, córki jego i „diełowoda“, przy ogarku olejnym siedzieliśmy wśród głębokiej ciszy nocnej. Przez zmęczony mózg przesuwaly się obrazy jasnych, wesołych pokoi, ozdobionych świecznikami i kwiatami; wykwintne toalety, dźwięk dalekiej, subtelnej muzyki. Mamy drogie oczy, wodzące za mną rozkochanym wzrokiem, w promieniach którego żyłam szczęśliwa, wypieszczona, wykochana.

31-go grudnia.

Wczoraj przyjeżdżała z wizytą żona komendanta, wstrętny, bolszewicki babsztyl, manifestująca swe wol-

nomyślne przekonania z beczelną arogancją, do jakiej tylko kobieta jest zdolna. Mężczyzn jeszcze znoszę, ale baby są ponad moje siły.

Mam nowe utrapienie: w dzygowieckiej szkółce była rewizja, znaleziono portret Hallera, Piłsudskiego i Paderewskiego; nauczycielkę zaaresztowano; na zapytanie, skąd ma te kartki, bardzo sprytnie odpowiedziała, że kupiła je w czasie pobytu wojsk polskich. Powieźli ją do Tomaszpolskiej czerezwyczałki na „dopros“. W żaden sposób ratować jej nie mogę, przeciwnie, trzeba cicho siedzieć, bo pewnie podobny los i mnie wkrótce spotka. Boję się, aby na tym „doprosie“ za dużo nie powiedziała i mnie ostatecznie nie skompromitowała, chociaż teraz to już wszystko jedno; nie tu, to gdzie indziej znajdą ślady mojej działalności. Przecież zeszłego roku objeżdżałam oficjalnie wszystkie szkółki, opowiadałam o Polsce, o rychłym wybawieniu, płaciłam rządowemi pieniędzmi, rozdawałam portrety i orły. Siedzieć teraz w czerezwyczałce, brrr! — tak zimno! Rozesłałam do wszystkich szkótek polecenie, aby się miało na baczności i popalono te nieszczęsne kartki.

P. Zofja, jako oficjalna nauczycielka tutejszej szkółki, otrzymała całą plikę książek ukraińskich i instrukcyj. Język ukraiński ma być wykładowym, a dopiero w trzecim roku dopuszczono do nauki język polski, jako przedmiot, czyli jest to skasowanie szkół polskich. Niebardzo się tem jednak przejmuję; dzieci doskonale znają język ukraiński, więc obawy niema w razie inspekcji i kontrolerskich egzaminów; książki „proświtaddielu“ przysłane leżą na stole porozrzucane, jako

dekoracja ochronna, na którą dzieci w czasie lekcyj z pogardą spoglądają; tak się zresztą dzieje w każdej naszej szkole.

Co chwila spodziewać się trzeba rewizji i aresztu. Wszystkie podejrzane papiery ukryliśmy. Musiałam się rozstać z warszawskim zeszytem. Piszę teraz na pojedynczych kartkach, które po zapisaniu chowam w skrzyni z mąką.

Bolszewicy mają się zabierać na pewno; Kamieniec już wolny, Mohylów się ewakuuje, a Polska żąda oczyszczenia Ukrainy aż za Dniepr. Co z tego wszystkiego będzie: czy Ukraina z Petlurą pod protektoratem Polski, czy sowiecka Ukraina, związana z sowiecką Rosją? W urzędach bolszewickich coraz więcej Ukraińców zastępuje Wielkorusów. System zostaje ten sam, tylko zaprawiony sosem ukraińskim. Chłopom się to nie podoba. Skrobią się po łbach i żałują, że „bat’ce Petlurze“ nie pomagali w czasie ofensywy listopadowej. Oj, kapuściane łby chłopskie, gdybyście byli wtedy na tyłach bolszewickich urządzili powstanie!

V.

1-go stycznia 1921-go r.

Pierwszy dzień nowego roku upłynął. Nie mam żadnych nadziei, żadnych projektów, żadnych marzeń, ani pragnień. Będzie się włócił ten rok, jak i poprzedni, w tęsknocie, w męce i szarpaninie. I tak zawsze i tak ciągle, aż do końca dni moich.

Mój los tak mię daleko odsunął od wszystkiego i rzucił poza ramy życia. Gdzieś tam na świecie to życie huczy, śpiewa, dźwięczy, mieni się radością, weselęm. — Musi być ładnie i wesoło na świecie...

Powtarzam sobie te słowa, ale one już nic mi nie mówią. Staram się uzmysłwić sobie, jak to wygląda radość, jak smakuje szczęście, ale nadaremnie! Jak człowiek, który, utraciwszy wzrok, nie może odczuwać rozkoszy barw i cieni, tak i ja zatraciłam zmysł wszelkiej radości i pogody. A jednak niewidomy tęskni za światłem i jest nieszczęśliwy. — A ja — a ja!

Jeden z żołnierzy, chłop galicyjski, przyszedł mi złożyć życzenia noworoczne. Starym zwyczajem obsiał mnie i cały pokój zbożem, a potem zasiadł i zaczął mi opowiadać wspomnienia wojenne i spostrzeżenia nad życiem żołnierskiem: jak to oni grabili w Galicji i jak niszczyli dwory i pałace, jak potem cofali się w panice i w nieładzie. Jak obecnie wszyscy mają już dosyć wojny i wojska, jakie kłótnie straszne powstają wśród żołnierzy; jak tu oczekują na oddział Marusi, który, tak samo jak Machno, pod hasłem anarchizmu tłucze bolszewików; jak to oni czekają, żeby podeszła bliżej, by się móc z nią połączyć. Długo opowiadał, kpiarsko, wesołemi oczyma wodząc po pokoju i potrząsając kulasami przestrzelonych nóg. Biedne stworzenie, błazen pułkowy, na krzywych kolanach podrygujący wesoło, a przebiegła natura ukraińska przyczaiła się w nim i śmieje się dobrodusznie w nos bolszewikom i polskim panom, i samemu sobie. Na pożegnanie nasypałam mu śliwek i orzechów do wysokiej bolszewickiej

papachy, którą uszczęśliwiony wpakował zpowrotem na głowę, powtarzając jeszcze na progu: „sij się rody sia“. Komu się ma siać i komu rodzić.

2-go stycznia.

Urządżyliśmy dziś choinkę dla dzieci z wielkimi trudnościami i nie tak uroczyście, jak lat poprzednich. Wyparci zewsząd przez bolszewików, cisnęliśmy się w pokoju jadalnym. Tam ustawiliśmy choinkę, ubraną przez Władymira arcydziełami ze słomy i z bibulek, skrętnie zbieranych z kolorowych podszewek starych kopert, dawnej mojej burżujskiej korespondencji. Dzieciaki naśpiewały się, a potem wytańczyły doskonale. Co chwila tylko ogarniała mię obawa, aby jacyś pijani „tawariszezi“ nie wtargnęli, chcąc się przyłączyć do naszej zabawy.

3-go stycznia.

Coś się dzieje, ruch jakiś wśród naszych bolszewików; mają w tym tygodniu wyjść. Oczekiwaliśmy tej chwili, jak zbawienia, jak szczęścia, a tymczasem nie jest to ostateczne wycofanie się ich z tego kraju, tylko poprostu przeformowanie brygady na pułk. Przenoszą się do Mojówki, a mobilizacja trwa w dalszym ciągu. Kamieniec pozostaje nadal w rękach bolszewików. Polaków niema nigdzie. W nieskończoność ciągnie się ta sama niedola. Więc wołałabym już, żeby to ci sami tu siedzieli, wiedząc z doświadczenia, że każda zmiana jest tu zawsze i tylko zmianą na gorsze.

5-go stycznia.

Nowa przvkrość: tutejszy wiejski oświatowy „krużok“, zachęcony pierwszym przedstawieniem, postanowił urządzić szereg widowisk i zabaw w szkole, do których potrzebny jest mój fortepian. Zjawił się dziś u mnie naczelnik „politproświty“, podejrzany włóczęga, obecny zły duch wsi, i oznajmił bez ceremonji, że zabiera mój fortepian do szkoły. Nic mu na to nie powiedziałam, ale, wyszedłszy z pokoju, rozszlochałam się na dobre. Nie mogę już nad sobą panować, za dużo tego wszystkiego! — Uspokoiwszy się, posłałam po wiejski rewkom, czterech zaufanych moich ludzi, którym całą rzecz wyłuszczyłam. Wysłuchali uważnie i solennie zapewnili, że mogę być spokojna o fortepian; nie dopuszczą do przewiezienia, nie dadzą podwód, które i tak dosyć mają „zamoroki“ z rekwizycjami wojskowemi. W najwyższym oburzeniu powiedzieli, że szkołę zamkną i nie puszczą tam młokosów, aby znów pobili szyby, jak na poprzednim przedstawieniu. Nie czas teraz myśleć o przedstawieniach i tańcach — mówili — kiedy takie ciężkie, niepewne życie, gdy przemarsze wojsk i rekwizycje gnębią ludność. Z lekceważącą nienawiścią odzywali się o tym „franci, przybłudi“, któremu postarają się obrzydzić częste wizyty i mieszanie się do spraw wiejskich. Uspokojona trochę dobrym nastrojem mojej partji, czekałam co dalej z tego wyniknie. Nazajutrz zjawiła się znów ta podejrzana figura, istny błazen: w „briczeczach“, w wyłożonym żakiecie, frakowej kamizelce i czerwonym fon-

taziu przy gumowym kołnierzyku. Ponowił swoją prośbę o fortepian, rozwodząc się nad programem koncertu, w którym miał wziąć udział biedny Miłobędzki, jakaś aktorka jampolska, a *clou* wieczoru miał stanowić on sam w roli baletnika, tańczącego różne modne tańce. „Al“ — wykrzyknęłam w zachwycie, przysłuchując się z zainteresowaniem długim wywodom przebrzydłego indywiduum, które dość wyraźnie dawało mi do poznania, że fortepian dać muszę, gdyż osoby pojedyncze nie mają prawa posiadać na własność tak zbytkownych przedmiotów. Wysłuchawszy go do końca z czarującym uśmiechem, przyznałam mu słuszość, wyjaśniając tylko, że fortepian dawno już nie jest moją własnością, lecz wsi, i o wydaniu go może decydować jedynie wiejski „rewkom“. Niebardzo mu się podobał taki obrót rzeczy, ale poszedł do „rewkomu“. Po jakimś czasie zjawił się prezes „kombiedy“ z miną zafrasowaną, tłumacząc, iż ów błazen zagroził, że, o ile dobrowolnie nie przywiozą fortepianu, da znać do „osobadielu“, i fortepian zabierze do Jampola. Nie będąc pewna, kto na wsi zwycięży, w ostatniej rozpaczy zaproponowałam, aby u mnie w salonie odbył się ten wieczorek, chcąc bezwarunkowo nie dopuścić do ruszenia fortepianu. Wtem wpadł członek artystycznego „krużka“ bardzo zmieszany, z wiadomością, że przedstawienie odłożone, bo gospodarze słyszeć o niem nie chcą. A, chwala Bogu! moja partja zwyciężyła! Wtedy z miną niewinną powtórzyłam swą propozycję urządzenia wieczorku we dworze, która została przyjęta z najwyższą wdzięcznością i uznaniem dla moich

dobrych chęci względem muz proletarjackich. Jutro ma się odbyć ta szopka. Miłobędzki i ja mamy przygrywać hadjuczkom do tańca; soliści jakoś stracili fantazję i natchnienie i wyjechali z Halzbijówki. Boję się bardzo, aby mi ten komedjancki potworek nie narobił przez zemstę „donosów“ i nie sprowadził nieszczęścia. Oby tylko uratować fortepian, mego drogiego przyjaciela!

6-go stycznia.

Święta ruskie, więc wieś i wojsko rzuciło się na moje biedne świerki; każdy uważa za swój obowiązek, za najdoskonalszy wyraz świątecznej radości oszpecić drzewo, złamać parę gałęzi, które, uszedłszy kilka kroków, bezmyślnie rzuci w błoto. Bramy wszystkie porozwalane, trawniki wydeptane przez ludzkie buty i zryte przez świnie, których całe stada łążą po bezbronnym ogrodzie.

7-go stycznia.

Nareszcie obóz bolszewicki wyjechał; zostało tylko kilku maruderów, dosyć podejrzanych. Wyjeżdżając, obóz zabrał mi amerykańkę, poczciwy, biedny powozik, który chowałam, jak drogą pamiątkę; odkąd sięgnę pamięcią, zawsze Matka moja jeździła nim na spacer. Mam to na oczach jak z pod ganku gruszańskiego rusza szpaczkami, a za nią my na patelni, na szarabanach sadowimy się wesoło i gwarnie. Wszystko minęło, jak sen, tylko ta mara rzeczywistości obecnej prześnić się nie może. Nie mam już sił na to co-

dzienne umieranie potrochu, po kawałeczku. Proszę o śmierć, by nie patrzeć na tę śmierć, co mi z rąk, z duszy brutalnie, z wyrafinowanym okrucieństwem wydiera wszystko od drobnych błahych pamiątek, aż do samej treści, do sensu życia. Jasno widzę: wszystko musi zatonać w tem morzu brudu, chamstwa i nikczemności; ale jeżeli tak być musi, czemu odrazu wszystko nie przepadło wraz ze mną? Czemu mnie los ocalił nato jedynie, aby rozciągać godzinę konania na całe lata?

Miesiąc temu myślałam, jak o chwili wybawienia, o wyjściu bolszewików. Dziś jest mi ono obojętne najzupełniej. Ci wyjdą, przyjdą inni, może gorsi, a potem znów inni, i tak bez końca, bez wytchnienia, bez nadziei.

Do Jampola zjechała już 12 ta armja — ciągle przemarsze wojsk — cofanie się, natarcie — krwawa, idjotyczna zabawka! Ach, i do tego to niebo takie szare, mokre, brudnel...

9-go stycznia.

Reszta maruderów wyjechała dzisiaj; oddychamy swobodniej, chociaż tyle zniszczenia dokoła pozostawili po sobie. Całemi dniami pili i dawali upust swej dzikiej radości w barbarzyńskim znęcaniu się nad bezbronnemi, martwemi przedmiotami. Na pożegnanie zaczęli strzelać do mego kochanego, kamiennego dziada, zdobiącego basen. Gdy się o tem dowiedziałam, pomimo błagań służby, pobiegłam do ogrodu.

Wywaliwszy drzwi od oficyny, kilkunastu pijanych drabów wtoczyło się na balkon i, wzięwszy so-

bie za cel kamienny basen, strzelało do niego z karabinu maszynowego. Gdym nadeszła, już boczny dziedzielnik był rozbity i boleśnie spozierał na mnie jednym okiem kamiennym, które pod wpływem cierpienia, licznych ran, zerwanych policzków i czoła, nabrało żywego, ludzkiego wyrazu. Zatrzęsłam się, ale z uśmiechem i swobodą zaczęłam żartować, mówiąc, że to cel niedobry, że szkoda kamiennego, brodatego „stariczka“. Oni rechotali, upewniając, że to nic nie znaczy, że to tylko statua, a szkoda była wtedy, gdyby tak w kogoś, ot np. we mnie trafili. Ja w dalszym ciągu dowcipkowałam, że, jako doktor, zrobiłabym człowiekowi opatrunek, i byłby zdrowy, a rozbitemu kamieniowi nie mogę nic poradzić.

Kipiało we mnie, ale stałam wciąż pod balkonem, zastaniając sobą basen i uśmiechając się do tych zbójów. Miałam trochę lęku, że nabiorą chętki zmierzania się do żywego celu, ale najwyraźniej mój pogodny, nie schodzący z twarzy uśmiech hipnotyzował ich i obezwładnił. Przeszli strzelać, a po chwili wycofali się z balkonu. Stałam jeszcze długo przy moim biednym, pokiereszowanym starym przyjacielu.

10-go stycznia.

Cudny wiosenny dzień, jasno, cicho, jak to bywa w kwietniu, kiedy ziemia, schnąc, paruje, a wydeptane ścieżki w oczach wyrastają z zimowej pleśni i błota. Znowu jakiś okres się przesilił, i nastąpiła zmiana w całym nastroju naszego ciasnego życia. Skończył się ten rozpaczliwy miesiąc błota, mgieł,

zupelnej głuszy, zołdackiego gospodarowania i współzycia z nimi. Pootwieraliśmy okna, wypędzając zarduch i wspomnienie bolszewików. Tak ciepło! — w sukniach biegamy po ogrodzie; i zrzuciwszy z karku straszłą zmorę, cieszymy się, że słońce świeci, że dni są dłuższe, że ma się już ku wiosnie, i dobre wieści, jak jaskółki, przylecą do nas ze świata.

Żydki stanowczo twierdzą, że bolszewicy oczyszczają Podole, a Polacy posuwają się od Płoskirowa. Boże mój, gdzie jest Franc? Ta myśl, jak obłąkany ptak, trzepoce mi się w duszy nieukojnie, bez przestanku, wciąż zamierając w nieświadomym lęku.

Wieczorem, gdy wracałam od chorych, tak było cudownie! Płonący amarant zachodu zapalił rozlane stawki w chłopskich ogrodach, że zdawały się napełnione przezroczystym, stojącym ogniem, odbijając w sobie olśniewająco białe pnie brzoź i osik. Coś mistycznego, tajemniczo radosnego drgało w różowym powietrzu. — Przedwiośnie! — powiało zachodem, zapachniało Polską.

Wiem, wrócą jeszcze zadymki, mrozy, wrócą bolszewicy, niedola przygniecie jeszcze ciężiej umęczone barki, ale za tę dzisiejszą radość różowego nieba, co się pogodą przejrzało w duszy mojej, dzięki Ci, Boże!

VI.

14-go stycznia 1921 r.

Na wsi walka i kłótnie: bogaci gospodarze oburzeni są na „kombiedę“, że rządzi się, jak sama chce,

na niekorzyść bogaczy, że rej wodzi na wsi; z jakąż pogardą i z wysokości swego gospodarskiego stanu odzywają się o „parszywoj bosocie“. A „bosota“ znowu zionie nienawiścią do bogaczy i teraz, dorwawszy się chwilowo do władzy, radaby wydrzeć ziemię od gospodarzy, bo jej jeszcze za mało dworskiej. Jeden na drugiego wilkiem patrzy, a tak jedni, jak i drudzy żale swe przede mną wywodzą, jako przed osobą neutralną, a mogącą wniknąć przeszłością swą w położenie jednych — terażniejszym zaś stanem proletarjackim w głodne apetyty drugich. Ze szczerem więc zrozumieniem wysłuchuję obu stron. Jedynie w uczuciu niechęci do bolszewików wieś zapomina osobistych waśni i solidaryzuje się najzupełniej. Coraz częstsze i obfitsze rekwizycje zboża z dniem każdym zwiększają tę niechęć i niezadowolenie. Chłopi coraz śmieiej mówią o szerzących się powstaniach, o bandach Marusi i Machny, które szarpią i niepokoją bolszewików. Na linii odeskiej podobno banda zerwała tor, przerywając komunikację.

20-go stycznia.

Mam dziś prawdziwą pociechę i radosną niespodziankę! Przyjechał ks. Longin w towarzystwie delegatów z Gomolówki, która to wieś domaga się koniecznie szkoły i prosi o mianowanie nauczycielki. Niesłychane, bajkowe! W terażniejszych czasach to wyodrębnienie katolików, zupełnie jasne, świadome poczucie polskości i śmiałe garnięcie się do kultury naszej! Natychmiast pojechałam do Jampola, i uda-

ło mi się znaleźć nauczycielkę. Po otrzymaniu wszelkich świadectw i obowiązkowych instrukcyj z „proświt-addiełu“ pojedzie ona do Gomolówki. Ci kochani ludzie zapewniają jej pełne utrzymanie i małą pensyjkę; Bóg ich chyba natchnął tą błogosławioną dobrą wolą, bo fundusik Macierzy już się wyczerpał.

No, i tak to my sobie pod nosem bolszewików, wśród piekła demoralizacji i dezorganizacji zakładamy szkołę polską! Cieszę się nią więcej, niż tamtymi dawnymi. To takie najmłodsze dziecko, wbrew wszelkiej logice i nadziejom urodzone, symbol niezgaśłego, niezabitego, wiecznotrwałego życia, które się tylko przyczaja pozorną śmiercią, ale błyska wciąż i tli.

21-go stycznia.

I tu mam też niespodzianą pociechę. Laśnik przyniósł mi swoje tłumaczenia ukraińskie Tetmajera, Kasprowicza i innych poetów, których cały worek oddałam mu w ową noc pamiętną. Zdolny bardzo chłopak; przy mej niewielkiej pomocy nauczył się po polsku, wnika doskonale w ducha naszego języka i bardzo trafnie ocenia utwory, nieraz trudne i poważne. Zachwycony jest literaturą polską, zaczytuje się w moich książkach. A widać, że zdrowe, bogate życie, zamknięte w polskim słowie, obudziło szlachetniejsze porwy w tym ukraińskim chłopcu. Zwierzył mi się, że chce zawiązać kółko literackie z tutejszych chłopców trochę bardziej oświeconych i wpływać nietylko w sposób oderwany na ich umysł, ale dawać im podstawy kulturalno-etyczne: wytłumaczyć im „ot np. żeby cho-

dzili sobie po panienki ogrodzie, ale spokojnie i cicho, nie ruszając kwiatka żadnego, ani nawet listka, i doprowadzić ich do tego, aby w tem właśnie znajdowali najwyższą radość i przyjemność“.

22-go stycznia.

Władze bolszewickie coraz mocniej się tu utrwalaają i poczynają sobie po swojemu gospodarować. Na Białej zarekwirovano jednemu gospodarzowi sieczkarnię, drugiemu inne jakieś narzędzia i kazano im się „rozpisać“, że oddali to dobrowolnie; gdy zaś chłopci nie chcieli się zgodzić, zaarrestowano ich i zabrano do Jampola. Zdaje się, że ten drobny wypadek przyśpieszy tu powstanie, bo chłopci odgrażają się coraz śmielej i czekają na ostateczną odpowiedź z Jampola. Do wszystkich okolicznych wsi porosyłało gońców z zawiadomieniem, aby na dane hasło wszyscy stanęli pod bronią. Nie wierzę ja w nic wielkiego, ale niech się już dzieje co chce, aby się tylko coś działo.

23-go stycznia.

Powstanie narazie zażegnane, ale zato wiadomości takie dobre! Podobno Polacy z Francuzami są w Płockirowie?! Pod koniec lutego mają rozpocząć ofensywę... Każda taka wiadomość uchyla trochę wieko mej trumny, by potem jeszcze silniej je zatrzaskać z upadkiem złudnych nadziei.

27-go stycznia.

Niepokój o Franca zabiera mi wszelkie siły. Boże, żeby choć słówko, żeby wiedzieć przynajmniej, iż żyje!

Jak człowiek sam przez się mało może; wszelkie usiłowania, dążenia niczem są i nic nie zaważą na szali nakreślonych przeznaczeń. Żeby nie wiem jak natężyć myśl, wolę, nie poruszy się śrub, nie przesunie toru, po którym pędzi potworna maszyna naszego przeznaczenia, pchnięta niewidzialną ręką w danym kierunku; i miazdzy ona na swej drodze rozpacznie rzucone przez nas pragnienia, wysiłki nasze, czyny, serca. — Pędzi bezwzględna, straszna...

29-go stycznia.

Życie moje musi się tu w męce zakończyć; darmo się łudzić jakimś jasnym szczęściem, które gdzieś z od dali mi się uśmiecha.

Gdy się komu los tak zapłacze, jak mnie, to już go rozplątać niesposób — trzeba potargać wszystkie nitki. — Tak, nitki się rwą, ale czemuż odrazu wszystkie nie pękły?

Znów nędza zagląda nam w oczy. Hrywny przestały zupełnie kursować, a to są jedyne pieniądze, jakie posiadam. Mikołajowskie, przez Franca przysłane, wyczerpały się; niema za co kupić soli lub mydła.

Głusza, oddalenie, zatrata! Poco ja znosiłam tyloletnią mękę, ochraniając ten kąć ukochany? Nato, aby teraz wszystko to przeszło w ręce hadjuków i bolszewików. Czemuż odrazu mnie nie rozgromili? Jeden cios straszny — i koniec — wszystko lepsze, niż roz wlektę, powolne konanie. Dawniej sił mi dodawała myśl, że ocalam coś, co znów w pięknie i miłości zmartwych wstanie. Teraz bronię jedynie trupa, którego ciało wcze-

śniej czy później rozszarpia kruki i szakale. Rola moja tu już jest skończona, męka bezcelowa. Ach, przedtem ta męka, śmierć nawet drogaby była, bo wierzyłam, że bronię czegoś, co powinno żyć wiecznie. Teraz czas i potworne warunki zamęczyły mi to moje ukochanie, i jestem, jak ta obłąkana matka, co w ramionach kołyszze martwe ciało dziecka.

Jest mi nieznośnie, okropnie, bo tracę sens życia, celowość cierpienia mojego.

31-go stycznia.

Przyjechał agent z „goskontory“ rekwirować lodownię, którą chłopci obowiązani są nabić dla potrzeb urzędników bolszewickich. To mnie najmniej wzrusza, i tak lodownia stoi pusta i bez użytku. A hadjuczki, gdy się pomęczą dla wygody sowieckiej „własti“, tem bardziej nienawidzić ich będą.

Gorsze to, że zostałam dziś złajana przez leśniczego zato, że śmiałam brać drzewo z mojego lasu. Grozi, że zrobi protokół i poda do „osobaddiełu“. Tego tylko brakowało!

Delegaci, którzy powrócili z powiatowego zjazdu z Tomaszpola, opowiadają, jak energicznie i bezwzględnie zabiera się rząd sowiecki do chłopów. Żli, upokorzeni, kiwają znacząco głowami, powtarzając: „ce dołho tak ne może buty“. Jedna za drugą rekwizycje chleba, drobiu, jaj, masła it. p.

Lasy i ogrody przechodzą na własność rządu, chłopom nie wolno ani gałązeczki ułamać. Ocalałe z pogromów budynki też przechodzą do rządu.

Jest rozkaz, aby chłopci znieśli „chołodne rużja“ t. j. widły, cepy, topory i kosy; najwyraźniej boją się powstań, które dokoła wybuchają. Prócz Machna i Marusi, grasują po naszym kraju: Łychyj, Zabołotnyj, Polowaja Błocha, która w tych dniach w dzuryńskim lesie poturbowała bolszewików.

W każdej wsi ma być ustanowiona specjalna komisja do wyławiania dezterterów.

Na zapytanie delegatów, czy pokój zawarty, odpowiedziano, że z Polską pokój zawarty, ale niepodpisany. Co to wszystko znaczy, czem się to zakończy? W takich warunkach tylko hadjuka, albo ospała dusza moskiewska wytrzymać może, ale nie człowiek cywilizowany, normalny, myślący.

3-go lutego.

Znów uzbierałam garść plotek: W Galicji podobno formuje się armja, zapewne ukraińska. Skoropadski jakoby znów wypłynął; Niemcy mają mu i tym razem pomagać. Jaka jest w tem wszystkim rola Polski? Jeżeli zawarła pokój, dlaczego pozwala na swoim terenie formować się wojskom ukraińskim; jeżeli myśli wojować, dlaczego tak ślamazarnie zabiera się do tego? Czemu nie wyzyskuje chwili tak odpowiedniej, jaka jest obecnie?

4-go lutego.

Nadspodziewanie wszystko się ruszyło. Hasło dała Honorówka, która odmówiła „razwiorstki“ *) i wy-

*) Podatek w zbożu.

pędziła ze wsi bolszewików. W Białej i w Halzbijówce dzwony biją na alarm od samego rana. Pochwycono Terentiego, towarzysza przeszłorocznych zabitych tu drabów; wtedy wymknął się był z rąk chłopskich i dostał dowództwo karnego oddziału. Miał tyle przeczności, że się nigdy nie pokazywał w Halzbijówce, gdzie miał chatę i żonę. Dziś, przejeżdżając drogą, wpadł w ręce chłopów, którzy go rozstrzelali pod wielką osiką, tuż koło mojej bramy. Rok temu z rąk tych samych chłopów, na tem samem miejscu, zginęli jego towarzysze. Teraz spotkało go to, co mu się słusznie należało. Ten doraźny sąd, dokonany na figurze rządowej, uważają chłopi, jako rzucenie rękawicy bolszewikom. Teraz już się cofnąć nie można, trzeba iść dalej.

5-go lutego.

Wczoraj cały ranek przyglądałam się przygotowaniom wojennym. Paradnie to wyglądało: koło banku gromady chłopów, uzbrojone w widły, kije, rzadko który w karabin. Na małych koniach chłopskich galopuje konnica, na czele pędzi Y. z rewolwerem u boku, z podniesioną szablą. Co chwila przybiegają ordynansi, piętami zachęcając leniwe szkapy do fantazji kawaleryjskiej. Dzwony biją, baby wrzeszczą, trąbka bojowa gra. Jeden chłop drugiego wypycha, ale wielu się wymyka i chyłkiem opłótkami wraca do domu.

Wyruszyli nareszcie; zaczerniła się góra licznymi postaciami; poszli dalej, na równem polu zniknęli

z oczu. Na wsi cisza grobowa. — Wtem warknął kulomiot, a po chwili zaroilo się na górze od powracających pędem bojowników. Dość długo trwała strzelanina, w czasie której oswoili się chłopci z hukiem, a nabrawszy animuszu, zachęceni bojowym zapałem Y. znowu wyruszyli. Na czele maszerował mój Marko w oberwanej świtce, w postołach, uzbrojony w widły od gnoju, ale z miną tak marsową i skupioną, że pozazdrościłby mu niejeden wytrawny wojak. Władimir też poszedł w wystrzępionej kurteczce, też w postołach, z gołemi rękami, tylko z zapałem w rozbawionych, dzieciennych oczach.

Tym razem nie powrócili tak prędko. Strzały coraz rzadziej się odzywały, tymczasem zaczęły nadlatywać niewiadomo jaką drogą i przez kogo rzucone wieści, że Jampol okrażony, że bolszewicy uciekli, a chłopci opanowali miasto, pomimo oporu Żydów. Zwycięstwo! Po paru godzinach jednak wróciła bohaterka armja „biściom“, odwracając się poza siebie, czy bolszewicy jej nie gonią. Pokazało się, iż rzeczywiście chłopci weszli do Jampola, a bolszewicy wycofali się pod cmentarz i zaczęli okrażać miasto. Wtedy nasze chłopki, chwyciwszy kto co mógł w opustoszałych urzędach i składach, dalejże w nogi. Na wsi powstała panika, znów bicie w dzwony; chłopci, spuściwszy nosy, czekali odwetu bolszewickiego. W jednej chwili zrodziła się nawet pogłoska, że idą i co piątego będą rozstrzeliwać. Nastrój zupełnie niemły. Zjawili się wkońcu i nasi bohaterowie. Władimir, z karabinem w ręku, zdobytym w cekhauzie, z oczami

roziskrzonemi zdał raport, jak to po zajęciu miasta pobiegł odrazu na stację telefoniczną i zatelefonował do Dzygówki, chcąc się dowiedzieć, czy i tam jest powstanie. Odezwał się komisarz bolszewicki, a więc objaśnił „tawariszcza“, że i w Jampolu wszystko cicho i w porządku. Potem wybiegł na miasto, a zobaczywszy, że chłopów już niema, sam zaczął rejterować. Opowiadał z żalem, jak chłopstwo szło nieporządnie i tchórzliwie, bez żadnej komendy i organizacji; odrazu widać w tym chłopcu skauta i Polaka.

Oczekiwanie bolszewików lada chwila denerwowało i trzymało w napięciu całą wieś. Pod wieczór jednakże przysły z Michałówki posiłki, 500 chłopów rośliwych i śmiałych. Znowu więc duch lepszy wstąpił w naszych wojowników. Całą noc trwał ruch obozowy; głucho szmery, tupoty gromadkami chodzącej warty, nawołującej się wśród ciemności. Ranek przyniósł pomyslny obrót sprawy chłopskiej. Dano znać z Jarugi, że komendant rumuński obiecuje dostarczyć amunicji. Natychmiast więc jeden z najmędrszych gospodarzy halzbijowieckich pojechał pertraktować z Rumunami.

W szkole mam już dwóch jeńców bolszewików. Obawiam się, aby moi chłopkowie nie chcieli sobie założyć we dworze głównej kwatery.

Cała awantura chłopska mało mnie przejmuje, gdyż nie wierzę, aby mogła mieć następstwa poważniejsze. Niech się żydzi, chłopci, bolszewicy nawzajem mordują, wszystko mi jedno, aby mnie tylko dali święty spokój. Zatraciłam już zupełnie wszelkie uczucia ludzkie. Gdyby przynajmniej to powstanie umożliwiło mi

pojechać do Sorok choć na jeden dzień. Wysłałabym depeszę, doczekała się odpowiedzi i przynajmniej wróciłabym tutaj z jakąś pewną, prawdziwą wiadomością.

6-go lutego.

Halzbijówka jest ośrodkiem powstania; tu się znajduje sztab, nie wiem tylko, z kogo się składa. Ogłoszono mobilizację od 18 do 40 lat.

Bolszewicy zostali naprawdę wyparci z Jampola, uciekających przyłapali kaczkowieccy ludzie. W Tomaszpolu, w Babczyńcach, na całym naszym obszarze — powstanie. Do Jarugi przyjechał pułkownik petlurowski. W Jampolu ogłoszono rząd narodowy.

Chłopi wprawiają mię w zdumienie; wczoraj, zajmując Jampol, nie urządzili pogromu, nawet nie ograbili Żydów. Zapowiedzieli między sobą, że ktoby zaczął grabić, natychmiast będzie rozstrzelany. Z ich strony to coś niesłychanego.

W szkole naszej znajduje się już pięciu jeńców, z których dwóch ma być rozstrzelanych. Z naszych ludzi poległo trzech.

Krążą już legendy na temat bolszewików. Opowiadają, że przez pewną wieś w Kijowszczyźnie przechodziło dwóch bolszewików, a zobaczywszy światło w jednej chatce, weszli, myśląc, że wytropią spiszek powstańczy. Tymczasem w chacie była tylko jedna kobieta, której kazali przygotować sobie wieczerzę; posiliwszy się, zasnęli. Nazajutrz zbudziło ich olśniewające światło, w kręgu którego siedziały przy stole trzy postaci. Jeden z bolszewików strzelił, ale kula, odbi-

szy się od sufitu, potoczyła mu się pod nogi. Wtedy jedna z siedzących postaci głosem tajemniczym spytała: „Wirysz w Boha?“ — „Nie“ — odpowiada bolszewik. Po trzykrotnem zamienieniu podobnych zdań, bolszewicy zaczęli uciekać, ale tuż za progiem chaty zapadli się po pas w ziemię. Dokoła nich kałuża krwi krzepnie. Już kilka dni tak siedzą w ziemi, a gdy ludzie chcą ich odkopać, krzyczą, aby zostawili, bo ich własne ciało krają łopatami. Taka jest wiara ogólna w to zdarzenie, że dwóch deputowanych z Hałzbijówki jedzie na miejsce oglądać ten cud. Zaczną się teraz mnożyć takie opowiadania, które, dyskredytując ostatecznie bolszewików, będą zagrzewały nienawiść chłopów i wiarę, że sam Bóg cudownym sposobem objawia swój sprawiedliwy gniew. Może się zacząć wojna święta; może to naprawdę początek stanowczego końca, może?

Jestem zupełnie wykolejona, tak zresztą jak i wszyscy dokoła; do żadnej roboty wziąć się nie mogę, a dla zabicia czasu czytam „Trędowatą“. Teraz wierzę, że wszystko jest na coś potrzebne, że każda rzecz na świecie, nawet płody Mniszchówny, znajdują swoje miejsce i czas. Trzeba było aż tak niesamowitych chwil, ażebym z ochotą wzięła do ręki dwa przeraźliwie grube tomy i w chwili, gdy hadjuki robią powstanie, utonęła w romantycznych przeżyciach hrabiów i księżniczek, rozkoszując się ultraarystokratyczną atmosferą pałaców, salonów i oranżeryj. Niech Pan Bóg daje zdrowie Mniszchównie, ale niech mi już oszczędzi chwil w życiu, w których jedyną ucieczką będą jej dzieła!

7-go lutego.

Co z tego wyniknie? Co chwila inne wiadomości, które stosownie do swej treści obniżają lub podnoszą odwagę chłopską. W danej chwili zapanowała zniżka. Słychać strzały armatnie, bolszewicy napierają na Babczyńce. Rumunja nic jeszcze nie dała. Chłopi chcieliby od niej pomocy tylko w formie amunicji i broni; wojska się boją, aby razem z niem nie wróciły pany.

8-go lutego.

Babczyńce wzięte, bolszewicy ostrzeliwują Mironówkę. Huk armat wydaje się tak bliski, jakby strzały padały już na Hałzbijówkę. Chłopi w panicznym strachu nie myślą już o obronie, a jedynie każdy z osobna o ratowaniu życia. Nikczemny, niewolniczy naród! Nieprzeliczone plotki, twory grozy i strachu, osłabiają ducha do reszty. Opowiadają, że bolszewicy, gdy wchodzi do wsi, każą wszystkim chłopom bardzo porządnie się ubrać, potem wyprowadzają ich na pole, tam rozbierają i potem pędzą do Tomaszpola. I chłopi spokojnie opowiadają to sobie i równie spokojnie dadzą się wyłapać, wyniszczyć — barany! przed najmniejszą siłą płaszcą się i poddają.

Przychodziła dziś do mnie Żydówka z prośbą, abym w czasie bombardowania pozwoliła się jej schować do lochu. Wszystko możliwe. Ale co wtedy robić? Biedny Ojciec jest tak chory, że absolutnie ruszyć Go z pokoju nie można, a przecież w razie bombardowania dwór pierwszy padnie ofiarą. Bądź co bądź chłopi są teraz więcej narażeni niż ja, to też zabieram od nich nagwałt

pochowane rzeczy i książki. Rzucam to wszystko jakkolwiek, byle gdzie; jedynie wszystkie ważniejsze papiery w blaszanej skrzynce zakopałam w ogrodzie.

W tej chwili wrócił oddział Y., który jeździł na pomoc Kościcy; tam chłopci lepiej się trzymają, nie myślą się poddawać i nawet tutaj mają przysłać pomoc. Animusz znów wstąpił.

20-go lutego.

Nie mogłam pisać; ciągły strach rewizji, nieustanne wizyty najrozmaitszych figur bolszewickich uniemożliwiały pisanie. Dziennik mój cały zakopany, a tych kilkanaście świstków, zwiniętych w cienki rulonik, ukryte było w dziupli starej gruszy. Dziś dopiero odważyłam się wydobyć je stamtąd.

Ileż to się przewinęło zdarzeń i ludzi przez te dwa tygodnie! Trzeba sobie po porządku przypomnieć.

Na drugi dzień po powrocie oddziału Y. strzały armatnie umilkły. Mironówka została zdobyta. Ciśsza śmiertelna zapanowała na wsi; każdy oczekiwał swego losu. Naraz zaczęły ścigać olbrzymie tłumy powstańców z Jampola i z okolicznych wsi. Postanowiono nie czekać bolszewików, ale samym rozpocząć „nastuplenie“. Wkrótce zaroilo się na zboczach, ciągnących się ku Mironówce. Nieprzeliczone tłumy sunęły w nieładzie, w nieporządku, krzykiem zachęcając się do marszu. Gdy podeszli pod Mironówkę, przywitały ich strzały armatnie, a ogień kulomiotowy prażył tyły gromady skłębionej, uciekającej w panicznym strachu. Wkrótce wieś napełniła się zdemoralizowanym tłumem

zbiegów z pola bitwy; wielu zostało po drodze, znacząc krwawymi śladami szlak bezmyślnych ofiar tej nieodłącznej walki. Nastał dzień sądu; wieś kipiała, wrzała w panicznym oczekiwaniu, w bezmyślnej złości, w obłędzie.

Pod wieczór dały się słyszeć znów wystrzały, i na widnokręgu ukazał się łańcuch żołnierzy, zbliżających się powoli do wsi. Na ten widok paru mądrzejszych chłopów chwyciło chleb, sól, zawiesiło jakąś szmatę na kiju i wyszło na drogę, czekając na przyjazd starszyzny. Jak mi sami potem opowiadali, nie byli pewni, czy od nadjeżdżających bolszewików nie dostaną szabliami po łbach. Ale komendant przyjął łaskawie chleb, kazał zwołać „schod“ i wydać natychmiast prowodyrów. Wieś była ocalona. O tem wszystkim we dworze nic nie wiedzieliśmy. Widząc, że bolszewicy okrążają wieś łańcuchem, byliśmy przygotowani na najgorsze. W Ojca maleńkim pokoiku zebraliśmy się wszyscy ze służbą, pewni, że pierwszy impet furji bolszewickiej uderzy na dwór. Noc już była ciemna, gdy dało się słyszeć straszne kołatanie do drzwi. Szepnęłam Frasynie, aby poszła otworzyć, ale biedna dziewczyna nie miała siły ruszyć się z miejsca. Wtedy, wzięwszy olejny kaganek, wyszłam do sieni, otworzyłam drzwi. Zaledwie zdążyłam klucz przekręcić, wtoczyło się kilkanaście postaci, które, przy niepewnym płomyku olejnym, kołysanym wichrem z dworu, nabierały fantastycznej, okrutnej grozy, spotęgowanej jeszcze wściekłymi wrzaskami. „A, boicie się, drzwi od pa-mieszczycckiego dworu pozamykali, dusza w was się

trzęsie“. Choć naprawdę dusza we mnie dygotała, zdobyłam się na spokój, zapraszając ich do dalszych pokojów i tłumacząc, że nikt się tu żołnierzy nie boi, bo, mając z nimi ciągle do czynienia przyzwyczailiśmy się do nich. Ciepła, spokojna atmosfera jadalnego pokoju, w którym za chwilę ukazał się nieodzowny „czaj“, zbawiennie wpłynął na walkę i mrozem rozjuszonych żołnierzy. Rozejrzawszy się po wszystkich kątach, oznajmili, że tu będzie mieszkało „naczalstwo“. Doskonale! Zabraliśmy się więc do urządzania prowizorycznej sypialni, gdyż tylko jadalny pokój, jako opalany, był możliwy do zamieszkania. Po chwili zjawił się sztab, w liczbie ośmiu ludzi. Spojrzawszy na nich, prawie się uspokoiłam. „Kambryk“, „Naczpołk“ i adjutanci nie mieli wyglądu specyficznego bolszewickiego, wywierali wrażenie ludzi inteligentnych, i zwierz nie czał się w ich spojrzeniu.

Przez cały wieczór i następny ranek odbywało się badanie i sądzenie aresztowanych, których duża ilość tłoczyła się na dziedzińcu, spędzona i pilnowana przez żołnierzy. Nadspodziewanie łagodnie postąpiono z powstańcami. Czterech tylko głównych prowodyrów zaaresztowano i odesłano do Tomaszpola. Resztę wypuszczono swobodnie, bez bicia i znęcania się. Wieś zobowiązała się znieść broń i zapłacić kontrybucję. Na drugi dzień z rana wezwana byłam na indagację. Spotkałam się we drzwiach z popówną, która przyszła ze skargą na żołnierzy, że wczorajszej nocy rozbili im cały dom. Sami sobie winni, gdyż pop przed wejściem bolszewików

uciekł do Jampola. „Kombryk“ zadawał mi pytania, zapisując starannie moje odpowiedzi w notesie. Dawno tu mieszkam? czem się zajmuję, gdzie przedtem mieszkałam? — „W drugim majątku moim, Gruszcze“. — Tu chwila pauzy, i zdumiony, badawczy wzrok, utkwiony we mnie. Nie wiem, co go tak zdziwiło? Może to, że „bywsza pamieszczica“ szerokich włości teraz w tak nikczemnym, chudopacholskim stanie wiedzie uparty żywot. Czy nigdzie nie wyjeżdżałam? Kłamię bezczelnie, że nie, choć może oni już wiedzą, że rok temu byłam w Polsce. Czy się wczorajszej nocy nie bałam? — „Naturalnie, że bałam się, słysząc tak blisko strzały armatnie; lękałam się, aby mi domu w czasie bombardowania nie zrujnowano.

A dlaczego nie uciekałam tak, jak pop? „Bo nie mam zwyczaju uciekać z własnego domu, gdy mi nic w nim nie grozi!“ Podziękowali mi, pożegnali i pojechali. Byłam naprawdę zdziwiona, że tylko na tem się skończyło.

W godzinę po wyjeździe sztabu zjawił się „osobadzieł“ na dwóch nabitych wozach, z Kinem na czelu. Zrobiło mi się zimno. Ale wybiegłam naprzeciw, witając, jak dobrego znajomego, ze śmiechem wspominając letnie „niedorozumienie“. O, jakże ja się bałam, czy i dziś nie przyjechali w sprawie jakiego „niedorozumienia“. Ale pokazało się, że zajechali tylko z niewinną myślą pożywienia się w powrotnej drodze do Jampola po czterodniowym wygnaniu.

Przy stole rozmawialiśmy, naturalnie, o powstaniu. Kin uniewinnił chłopów, zwalając całą winę na

agitatorów i inteligencję. Myślałam, że, wymawiając to słowo, spojrzy na mnie znacząco i groźnie, ale patrzył obojętnie, jak na zwykłego „tawariszcza“. Najwyraźniej nie zalicza już mnie do inteligencji szkodliwej. Na końcu rozmowy obojętnie zapytał, czym się nie bała? Wzruszyłam obojętnie ramionami; czego? i dlaczego?

Na drugi dzień znów się zjawili; nie wiem, jakie mają tajne zamiary, ale są nadzwyczaj dla mnie uprzejmi: przepraszają za „bezpakoństwo“ i dziękują za częstunek.

Od tej pory prawie codzień mamy wizyty tego rodzaju, a chociaż szczęśliwie się kończą, wiele nerwów kosztują.

Powstanie hałzbijowieckie zlikwidowano, ale chłopcy obawiają się represyj i rewizyj. Prawie każda chałta zakopuje swój dobytek w tajemnicy przed sąsiadem. Ja też przez cały ten czas poświęcałam się temu szlachetnemu zajęciu chowania, ukrywania, zakopywania, wynoszenia; że zaś częsta praktyka w tym zakresie doprowadziła nas do doskonałości, więc wynajdujemy genialne a nowe schowki, na jakichś niedostępnych stryszkach, do których tylko Petryk, jak kot, bosemi nogami po dachu łażąc, luftami starych kominów dojść może.

Jednakże bolszewicy muszą się czuć niepewnie, bo z powstańcami obchodzą się wszędzie łagodnie, spychając całą winę na inteligencję.

Ale pomimo jaskrawych proklamacyj, głoszących, że lud nic niewinien, tylko inteligencja i burżuazja



podłemi intrygami buntuje go przeciw bolszewickiemu rządowi, jakoś jednak do tej biednej inteligencji nie zabierają się po swojemu i narazie zostawiają nas wszystkich w spokoju.

Nie mało kłopotu miałam z moimi bohaterami. Marko przez jakiś czas, jak dziki zwierz, mieszkał w kamieniołomach, o zmierzchu tylko podchodząc do kuchni na żer. A widać strach mocno go grzał, skoro nie zamarzył tam w czasie ostatnich silnych mrozów. Powoli zaczął się oswajać i przy domu kręcić, tylko na lada alarm znikał w jednej chwili, ulatniał się jak kamfora... nie wiadomo gdzie i jak. Teraz już opanował zupełnie swe nerwy i ze spokojem olimpijskim powrócił do zwykłych swych zajęć. Znów typowa jego sylwetka kroczy obok beczki z wodą, niesamowitemi ruchami i głosem zachęcając niewzruszonego osła do ciągnięcia. Poczciwe widły, które miały ociekać posoką bolszewicką, wróciły do gnoju i pewnie sobie chwala, że ominęła je hańba zetknięcia się z nikczemnym ścierwem ludzkim.

Z biednym Władimirem gorzej się stało. Nie zdążył uciec do Rumunji, jak to zrobili Y. i Marjan. Powłóczywszy się więc parę dni po wsiach, wrócił do Halzbijówki. Trzymać go we dworze byłoby za ryzykowne i dla niego i dla mnie, przechowywał się więc na wsi, a parę dni temu, dobrawszy sobie takiego samego rozbitka Polaka, jak on sam, z którym się w czasie powstania spotkał, wyruszył biedak z nim razem piechotą do Polski. Żegnałam go z prawdziwym wzruszeniem, błogosławiąc, jak syna, na tę straszną drogę.

Pieniądzy nie miałam, by go zaopatrzyć, w ostatniej jednak chwili przypomniałam sobie, że mam zaszytych w ubraniu parę monet złotych, które mi kiedyś Franc przysłał; z pośpiechem wyprułam jedną i, znacząc mu krzyżyk na czole, dałam na drogę. Może mu przyniesie szczęście. Obyż ich Bóg doprowadził szczęśliwie do kraju!

W czasie tych niepokojących dni halzbijowieckiego powstania miałam jeszcze inne kłopoty i przykrości. U Antoszyńskich dzieci rozchorowały się na śmiertelną gripę. Dano mi znać, kiedy jedna dziewczynka już nie żyła, a chłopiec konał. Lekarstwa żadnego dostać nie można, ani posłać po lekarza — wszędzie walki, a nikt poza wieś jednym krokiem nie odważy się wysunąć. Robiłam co mogłam, aby go uratować, ale, niestety, nic nie pomogło. Płakałam szczerze za tym chłopczyną, najzdolniejszym uczniem i najlepszym dzieckiem w mojej szkole. Śmierć upodobała sobie tę ubogą chatkę; na tym samym tapczanie, na którym przeszłego roku leżał ojciec, spoczywały teraz dwa małe ciała. Dziecinne twarzyczki uśmiechały się tak prawdziwym swobodnym uśmiechem, że zdawać się mogło, iż dla figlów tylko położyły się obok siebie, udając umarłych. Takby się zdawać mogło, gdyby nie ten sztywny, wyprężony ruch „na bacność“ wobec majestatu śmierci.

Podobnie jak przeszłego roku, zająć się musiałam pogrzebem, z największym wysiłkiem przewyciężając trudności w oddaniu biedactwom ostatniej posługi. Trumny odprowadziła Sokołowska do Jampola i tam dwa dni czekać musiała, zanim stróż cmentarny zdecydo-

wał się wykopać dół. Pocziwa kobieta staczała z nim prawdziwe walki, prośbą i groźbą skłaniając go do roboty; pieniądze, nawet duża suma tysiąca kierenek, niebardzo go wzruszały.

W parę dni potem umarła matka; znów to samo, ta sama walka i kłopoty z potwornymi warunkami, znów daremne wysiłki z mej strony, aby dopomóc biednemu ciału, które się prosi o pogrzeb chrześcijański, o schowanie w łonie poświęconej ziemi. Mrozy straszne, ziemia zamarzła na kość; żadną sumą, ani żadną prośbą nie udało się nam skłonić stróża cmentarnego. Ksiądz, proszony przeze mnie o interwencję, też nic nie mógł wskórać. Wreszcie wynalazłam tutejszego chłopca, który się zdecydował wykopać dół, ale po paru godzinach powrócił, zniechęcony ciężką i twarłą robotą. Trzy dni minęły. Chłopi radzili mi ciało pochować tu, na cmentarzu prawosławnym, ale się zawzięłam i postanowiłam czekać zmiłowania bożego. Zjawilo się ono w postaci—bolszewików..., których komisja gubernjalna do mnie zjechała. Postanowiłam prosić ich o pomoc, opowiadając o strasznych nieszczęściach tej rodziny i o kłopotach swoich z pogrzebem. Natychmiast napisali rozkaz do „rewkoinu“, z rozporządzeniem, aby stróż wykopał za darmo grób na cmentarzu polskim. Posłałam znów Sokołowską z ową kartką; wróciła po paru godzinach rozpromieniona. Pomimo wzrastającego mrozu, dół został wykopany nadzwyczaj szybko. A pocziwa Sokołowska pytała z triumfującym uśmiechem spoconego stróża: „widać cud się zrobił, i ziemia od wczoraj rozmiękła“?

A tak, cud, jak tyle innych, które dokoła nas wciąż się dokonywają. Chrystus nie odszedł w dalekie królestwa i nie zatrzasnął niebieskich wrót za sobą. On tu wśród nas na ziemi wciąż przebywa, tylko trzeba Go umieć znaleźć.

21-go lutego.

Owa komisja gubernjalna objeżdża całą okolicę, wstrząśniętą powstaniem; rozpatruje przyczyny zatargu, uspokaja wzburzone umysły, czyli miękko, kocia łapką stara się ugłaskać straszego, nieświadomego jeszcze swej siły wroga. Póki czas jeszcze, otumanić go, okłamać i chwycić w ostre kleszcze swych pazurów!

Sześć charakterystycznie rosyjskich figur, godnych pióra Gogola, weszło do pokoju. Na wstępie oświadczyli, że są spokojnymi ludźmi, którzy nic złego nie zrobią, i obawy wzbudzać nie powinni. Śliczny rząd, którego członkowie muszą takimi zastrzeżeniami rozpoczynać prezentację! Najstarszy, to prokurator sądowy, Moskwicin brodaty, mówi dużo z dobroduszną jowjalnością, kryjącą wschodnią przebiegłość, jaka migocze w skośnych oczkach. Zabawiał mię opowiadaniem o córce swej, jedynaczce, która jest baletnicą w Szwecji.

Drugi — przedstawiciel „wojennoho proświeszczenia“, o przyzwoitej powierzchowności, z wyrazem zniechęcenia na zmęczonej twarzy, zniechęcenia do wszelkiej „idiejno-partijno-komunisticzeskoj“ szopki. Zobaczywszy poduszki i koce, które im przygotowałam na nocleg, radził, aby je dobrze schować przed

zołnierzami, których się teraz pełno włóczy po okolicy.

Trzeci—to przedstawiciel „krestian i raboczych“, młody; wysmukły chłopiec, z długimi jasnymi włosami i szczerem spojrzeniem błękitnych oczu, zdradzających łagodną, słowiańską duszę, przez złośliwą omyłkę wciągniętą w piekło szatańskiej roboty.

Dalej „zawiedujuszczij choskontora“, zwykły cham rosyjski. Jeden członek czerezwyuczajki, żydek strzyżony, golony, delikatny, z pierścionkami na palcach, i wreszcie ostatni—instruktor rolniczy, kreatura odrażająca. Podaje się on niby za Polaka, ale fatalna polszczyzna, zarywająca rusko-galicyskim narzeczem, i nazwisko Stańczuk zdradzają raczej Ukraińca. Z nienawiścią w głosie przytaczał epizody z ostatnich walk w czasie cofania się bolszewików, gdy księża polscy zbierali wojsko i szli naprzód, trzymając w jednej ręce krzyż, a w drugiej karabin. Serce mi rosnęło, słuchając tego opowiadania. Musiał zauważyć błysk szczęścia w moich oczach, bo zaraz, śmiejąc się, dodał, że jak tylko takiego klechę złapał, to zaraz pod ściankę prowadził.

Cały wieczór zabawialiśmy się podobną pogawędką. Gdy tylko rozmowa schodziła na temat polityki, zaczynali się między sobą kłócić, prowadząc niekończące się, nudne dysputy; każdy wywodził swe teorie, swe programy, pogląd ze swojej „principjalnoj toczki zrenja“. Typowi manjacy, doktrynerzy, zacieźrzewieni teoretycy, robiący doświadczenia i eksperymenty polityczne. Kiedy przerywałam ich dysputę,

twierdząc, że do niczego nie doprowadzają czcze słowa, a rezultaty ich teoryj widzimy dokoła w zniszczonym kraju, w głodzie i nędzy, jednogłośnie krzyczeli, że to wina nadużyć rządu i rozprzężenia wojska. Ciekawam, kto się do tego przyczynił, jeżeli właśnie nie ich urojone teorie, nieprzystosowane w niczem do życia realnego?

Nazajutrz odbył się wiec, na którym pokolei przemawiali, potępiając bunty, karcąc nieposłuszeństwo względem prawowitego rządu, wstydząc chłopów za ich postępowanie. W pięknie-szumnych słowach wykładali zasady komuny, obiecując wkrótce raj na ziemi i zachęcając chłopów, aby się zapisywali do partji komunistycznej. Chłopi pokornie, z uważnemi minami słuchali, w kułak poza plecami się śmiejąc.

Po ukończonym wiecu dygnitarze przyszli na obiad, z śmiechem opowiadając o chytrej głupocie „chachłów”. Zaledwie zaś wyjechali, przyszli chłopci opowiedzieć mi wrażenia z wiecu; śmiejąc się mówili: „Ot, chytre kacapy, jak to oni słodko mówią, jak zachwalają tę swoją komunę, no, nas nie nadują”. Pokaże się, kto będzie się śmiał ostatni.

22-go lutego.

Dopiero dziś dowiedziałam się od starosty, że gubernjalna komisja nakazywała chłopom pilnować dworu; na spisie moich mebli, który znajduje się w kancelarji wiejskiej, napisali uwagę, że chłopci nie mają prawa wydawać nikomu żadnych rzeczy, chyba tylko wtedy, gdyby przyszedł rozkaz z rządu guber-

njalnego z Winnicy. Komitet wiejski dla formy skontrolował, czy meble stoją na swoim miejscu, a ponieważ od czasu oddania ich pod opiekę wsi kilkanaście razy przenosiłam je z miejsca na miejsce, chowając i usuwając z przed oczu ludzkich, więc chłopci nie mogli dorachować się wszystkiego. Przechodzili szybko z jednego pokoju do drugiego, uśmiechając się nieznacznie. Poza tem komitet dostał upoważnienie aresztowania każdego krasnoarmiejca, włóczącego się samopas, i kontrolowania dokumentów.

Zdawało się więc, że będziemy teraz mieli spokój i bezpieczeństwo. — Ale gdzie tam! — Wczoraj wieczór zjawili się dwóch pijanych żołnierzy, którzy wystąpili z pretensją, że jakoby przechowuję „banditów, buntowuszczyków“. Szukali rzekomo ukrytych po wszystkich pokojach. W mojej sypialni rozsiedli się na dobre, dogadując każdemu przedmiotowi, który im pod oczy się podsuwał, najgorzej dostało się szczoteczkom do zębów i do paznokci, emblematom burżuizmu. Kolałki nie chcieli jeść, dopóki nie spróbowałyśmy każdej potrawy; widocznie obawiali się, że chcemy ich potruć. Nareszcie późnym wieczorem poszli spać, ale my we trzy z Frasyną całą noc prawie oka nie zmrzłyśmy.

Dziś z rana znowu przyjeżdżali kwatermistrze oglądać mieszkanie dla pułku kawalerji, który ma tu przybyć. Potem przyjechał karny oddział z Babczyniec, mający zbierać kontrybucję; proste, gburowate chamy. Ledwie ich rozlokowałam, zjawili się do kompletu kilku agentów z czerezwyczałki z zamiarem rekwirowania jakichś wehikułów. Oprowadziwszy ich

po wszystkich wozowniach, ledwie zdołałam przekonać, że już nic nie posiadam.

Co chwila wbiegają jacyś żołnierze to po poradę lekarską, to w chęci zamieszkania; z każdym trzeba uprzejmie pomówić i każdego nakarmić. Do tego wszystkiego zjawił się jeszcze człowiek z Gomołówki po książki do szkoły—wybrał sobie też porę! Dom zamienił się w hotel, w przechodnią karczmę; od świtu do nocy przyjmujemy, usługujemy, karmimy i odprawiamy tych najrozmaitszych wojskowych, którzy niewiadomo skąd się biorą, gdzie idą i czego naprawdę chcą.

Nadomiar wszystkiego biedny Ojciec bardzo chory; a Karol Antoszyński, którego zabrałam z tej chaty, przez śmierć opanowanej, kona w szkole; z każdej wolnej chwili korzystam, aby go ratować — nie dam go śmierci.

Młyn zamarzył, nie mam mąki, olejnie zapieczętowne; kury pozdychały, nie mamy sami co jeść, a tu trzeba jeszcze karmić tę całą najezdniczą zgraję.

23-go lutego.

Oddział, który się obecnie rozkwaterował, zapewne długo tu posiedzi, bo chłopci nie tacy skorzy do płacenia kontrybucji, a bolszewicy ostrych środków względem wsi nie chcą stosować; czekają cierpliwie, aż oznaczona ilość 500 pudów będzie zebrana.

Ulokowałam „kamandirów“ w bibliotece. Te nieszczęśliwe książki, od chłopów przyniesione, w oczy

ich kłują. Popieczętowałam szafy i blaguję, że to komisja gubernjalna nałożyła pieczęcie.

Oddział sanitarny nowoprzybyłego pułku chciał się ulokować we dworze. Doktora, który przyjechał rekwirować mieszkanie, oprowadzałam po wszystkich pokojach, zwracając mu uwagę, że, chociaż miejsca jest dużo, ale niema czem palić. „A dlaczego nie rąbie się tych drzew?” spytał, wskazując przez okno moje ukochane jesiony. Zauważyłam, że przecież trudno wycinać drzewa koło domu. „Nu, pamieszczikow nie-tu, tak cztoż!” Zamilkłam, aby się nie zdradzić. Poczciwe chłopcy tak przekonywająco twierdzą o mojem doktorstwie, o mojej wielkiej pracy, że bolszewicy nie dopytują się już o przeszłe moje życie. A zresztą w ich ciasnych mózgach pojęcie „trudziaszczaho czelowieka” nie może się pogodzić z pojęciem „pamieszczika” i „burżuaja”. W ich mniemaniu kultura i majątek wyłączają wszelką możność i chęć pracy. Zresztą takie pojęcie jest zupełnie zrozumiałe w narodzie rosyjskim, leniwym z natury, który uważa pracę za karę, a nie za błogosławieństwo. Zasada bolszewizmu polega na tem, aby zmuszać każdego do pracy; na zachodzie to niepotrzebne, bo tam wszyscy ludzie dobrowolnie, z radością ponoszą życiowy trud twórczej pracy.

24-go lutego.

Szpital ulokował się na wsi; nie wiem, co tak szczęśliwie wpłynęło na zaniechanie projektów doktora. Może się wkońcu dowiedział, że ten „powiatowy dok-

tór“ to jednocześnie właścicielka sadyby. Może uważa, że będzie miał za dużo kłopotu z wyrąbywaniem ogrodu? A może sumienie obudziło się w tym człowieku, i żal mu się zrobiło prastarych drzew i ich wiernej stróżki.

Ku niesłychanej naszej radości opuścili też dwór „kamandiry“ i przenieśli się na wieś. Spodziewali się, że znajdą tu wszelkie wygody; tymczasem pokoje zimne, a co najgorsza, kuchnia bardzo skromna, codzień barszcz, kasza i chleb czarny, który kłuł ich proletarjackie ząbki. Ostatecznie wystraszyła ich mamałyga, którą naumyślnie kazałam podawać dwa razy dziennie. Ze zdziwieniem patrzyli, jak z apetytem zawijałyśmy duże porcje tej naszej krajowej potrawy. A potem pytali gospodarza, do którego się wynieśli, czy to możliwe, żeby „pamieszczica“ tak podle żyła i nie miała mięsa i wina?

25-go lutego.

Ocalony z pogromu gruszański fortepian przewiozłam jeszcze na wiosnę do Jampola i umieściłam u znajomych. Dowiedzieli się o tem amatorzy cudzej własności, i dziś zjawiła się zarządczyni jampolskiej ochronki z prośbą, a właściwie z żądaniem, abym oddała im ten fortepian. Choć z żalem, musiałam się na to zgodzić. Opowiadała mi o ochronce, w której mieści się 50-ro dzieci. Apropozycja bardzo słaba, dzieci mrą na tyfus i chorują na cyngę; ale „spektakle“ odbywają się bardzo często. A teraz postanowiono uczyć dzieci gry na fortepianie i tańca. Praw-

dziwy obłąd chamstwa, które się dorwało do „pańskich wytrybeńków”.

26-go lutego.

Pograżyłam się w zupełnej niedoli i tylko niedoli oczekuję. Nic dobrego stać się już nie może. Ach, gdyby przynajmniej nie marznąć w pokojach i mieć mydło do prania. Karolowi lepiej, to prawdziwa moja pociecha.

Ogłoszono znów mobilizację; podłe chłopcy, jeden drugiego wydają i to w parę dni po wspólnym wysiłku powstańczym. Do takiej nikczemności zdolni są chyba tylko Ukraińcy.

27-go lutego.

Przyjechała „rewtrojka” dla skontrolowania sprawy kontrybucji, w asyście trzystu żołnierzy. Wszystko to na wsi się mieści, a do dworu nie zagląda.

Idąc do chorych, miałam dziś zabawny widok. Na placu przed kancelarją oddział krasnoarmiejców mustruje się i ryczy pieśni; młodzież wiejska z kwaśnymi minami przygląda się temu zdaleka; a chłopcy i baby ciągną ze wsi, pędząc byczki, świnie, owce, niosąc kury, jaja, itp. na kontrybucję. Ale jednak udało się chłopom wykręcić od połowy kontrybucji. Urządzili wspaniałe przyjęcie dla „rewtrojki”, na którym nawet moje jabłka miały honor występować. Wynikiem tej uczty było zmniejszenie kontrybucji. Rządy i hasła się zmieniają, ale specyficzno-narodowy charakter łapownictwa niezmienny tkwi i poci-

chutku działa. Dziś cały dzień wiece i niezliczone mowy; liczni mówcy w słowach napuszonych wychwalają sowiecką „właść“, nawołują do spokoju i posłuszeństwa. A naczelnik „rewtrojki“, Worobjew, zakończył swe przemówienie w tym sensie: „Opowiedzcie się wyraźnie, czy chcecie Petlury, czy Komuny, tylko nie róbcie powstań przeciw rządowi“. Odpowiedź łatwa, ale niebezpieczna, więc ją też chłopci przełknęli z ostatnim łykiem samogonki, wychylonej na pożegnanie „prawielnej rewtrojki“. Jeden z mówców zachęcał chłopów do pracy oświatowej, proponował urządzenie teatru we dworze. Chłop, który mi to opowiadał, nie szczędząc rządowi drwin, zakończył: „Manut nas tiatrami, zabierają od nas chleb, a nam każą spektakle przedstawiać“. Jaki rozumny!

28-go lutego.

Wieś przepętriona jest żołnierzami, do dworu przychodzą po poradę lekarską. „E ty, tawariszcz doktor, posawietuj mienia“. Z porad moich są bardzo zadowoleni, i widać one im pomagają, bo mam coraz więcej pacjentów. Często też przychodzą podejrzane figury, które niewiadomo czego chcą; mamy się więc bardzo na baczności. Skrytki wydoskonaliśmy jeszcze. Kilka dziupli w moich starych kochanych gruszach służą na drobiazgi i ulotne kartki. Rzeczy większe chowamy do figarni. Przyzwyczailiśmy się już nawet i do takiego położenia, i z całym spokojem robię swe codzienne zapiski pod bokiem bolszewików, a p. Zofja spisuje wspomnienia z czerezwyczejki.

Cieniutko skręcamy kartki i chowamy do dziupli, a takeśmy się rozzuchwaliły, że czasem niedokończone kartki, które trzeba było przed nocą schować, na drugi dzień wyjmujemy z powodu oszczędności papieru, do końca maczkiem zapisujemy i znów chowamy. Pocziwe, stare drzewa służą nam teraz za biurka; i jak dawniej otwierało się na kluczyk zamkniętą szufladę, tak teraz biegnie się po śniegu do ogrodu, długo kołuje dla zmylenia śladów w różne strony, aż wkońcu z wiadomego pnia wydobywa się potrzebny papier. Tak, można się do wszystkiego przyzwyczać, tylko powoli człowiek twardnieje, głuchnie, kamienieje.

Mam wrażenie, że ten skrawek ziemi, na którym leży Halzbijówka, kataklizmem jakimś oderwany został od reszty ziemi i błądzi gdzieś, wśród bezkresnych mórz ciemności i okropności. Odpływam coraz dalej; cały świat zostaje tam, na dalekim brzegu, który błękitnieje i w mgły się zasnuwa. I nie wiem dobrze, czy to ja odpływam w krainę śmierci, czy to tam już wszyscy pomarli? — Oj tęsknoto, okropna tęsknoto, która jesteś, jak to morze bezkresne, po którym płynie łódź moich przeznaczeń! O tęsknoto moja biedna, ty nawet już skarżyć się nie umiesz, wszelkie skargi ludzkie zamarły ci na zbielejących wargach, co z obłądnym uporem szepcą tylko słowa błagalnej modlitwy: Miłosierdzia Pani! skróć męki moje i ożyw tęsknotę moją, ogrzej ją Twem tchnieniem, niech płacze, niech łka, niech woła, niech krzyczy, lecz niech nie stoi niema, z załamanemi rękoma, jak posąg kamienny na własnej mogile! Wstrząśnij nią, niech zrzu-

ci lodowaty pólśen, który ją ścisną żelazną obręczą martwoty i milczenia, straszniejszą nad ból, nad żywe cierpienie. Niech krew moja w gorących kroplach sączy się do ostatka w ofiarnej tęsknocie, lecz nie dozwól, Panie, by zakrzepła w kamiennym uścisku niemego bólu, który w przerażeniu swem ni skonać, ni żyć nie może.

— — — — —
1-go marca.

Oj pracowicie mi się zaczyna marzec!

Członkowie tutejszego kółka artystycznego z zafrasowaniem minami oznajmili mi, że przyszli obejrzeć lokal na teatr. Tłumaczyli się, że zmuszają ich do tego bolszewicy i grożą aresztem, jeżeli przedstawienia nie będzie. Ponieważ dwór do chłopów należy, i nie chcą oni tu dopuścić założenia innej instytucji, wolę, niech już sobie grają we dworze. Pokazałam im salony, zastrzegając sobie jednak przyzwoite zachowanie się publiczności. Do zarządu kółka należą przeważnie moi przyjaciele. Ci, przypomniawszy sobie publiczność, zmarmotnieli, jęli nagle wynajdywać w salonie różne braki i postanowili wreszcie urządzić salę teatralną — w stajni! — Bogu dzięki!

Natychmiast zabrali się do porządkowania tego... nowego przybytku sztuki; z bolszewikami niema żartów, za cztery dni sala musi być gotowa. Odrywa się więc ludzi od zajęć gospodarskich i spędza tutaj do wywożenia gnoju, zabierania żłobów, urządzania sceny.

Chłopi źli, klną „bosiacki“, żydowski rząd, który odrywa gospodarza od robót wiosennych i każe mu służyć komedjantom. Rozgoryczeni, kpią jeden z drugiego: „Bierz za łopatę i wyrzucaj gnój“. „E, kiedy on łopatę zgubił w lesie Mironowieckim“. Inny znowu dogaduje: „Tak, pracuj „diadku“ koło sceny, nie zasiejesz chleba, ale przyjdiesz się spektaklu na jeść“. Śmieją się, że bolszewicy kontrybucję naznaczają, stosownie do ilości zębów w widłach, któremi wojowali przeciwko nim. Cztery zęby — 4 pudy pszenicy, dwa — 2 pudy, a kto szedł z kijem to jeden pud!

Delegat „wojskowoho proświeszczenia“ przyszedł oglądać roboty przy teatrze. Obraziło go stajenne spostonowanie proletarjackiej sztuki i kazał się prowadzić do dworu. Po długich, a chytrych manewrach moich przyjaciół, udało nam się jednak wytłumaczyć mu, że stajnia jest najodpowiedniejsza na teatr. „Ale we dworze założymy czytelnię i salę do wieczorynek z tańcami“ — zawyrokował. Chłopi z półuśmieszkami potakiwali, że w lecie wszystko to ślicznie urządzą, poczem wielki pionier oświaty zwrócił się do mnie z propozycją, abym się zapisała do ich żołnierskiej trupy, gdyż mają kłopot z kobiecemi rolami. Odpowiedziałam, że z rozkoszą wzięłabym udział ale, niestety, za mało znam język rosyjski. „To nic nie szkodzi“ odpowiedział z łaskawem pobłażaniem. Gdy wychodzili, Leśnik zatrzymał się wtyle i, pokazując mi oczami bolszewickiego iluminata, szepnął z najwyższą pogardą: „Podłakiej“.

Ledwie pozbyłam się tego natręta, gdy zjawilo się trzech żołnierzy, pytając o „doktorszę“. Przysłał ich komendant z oficjalnymi imiennymi blankietami, abym ich zbadała i zaopiniowała, czy „godni do strojewoj służby“. Byłam naprawdę w niemałym kłopotcie. Ubrałam się w chałat, wzięłam wszystkie swe narzędzia lekarskie i z poważną miną zaczęłam badanie, jednocześnie w rozmowie starając się wyciągnąć, co im dolega, bo jakąż ja diagnozę nieszczęśliwa postawić mogę trzem chodzącym i napozór zdrowym żołnierzom. Pokazało się, że jeden choruje na krwotoki kiszek; prosił, abym w uwagach napisała, by go odesłano do szpitala. Chciałam się wykręcić i proponowałam mu, aby się udał do lekarza powiatowego w Jampolu, ale on z całym przekonaniem twierdził, że musi moją rezolucję na piśmie pokazać komendantowi, a wtedy dostanie „odpusk“ do szpitala. A no, wypełniłam wszystko w blankietach, a co będzie, to będzie.

Pod wieczór przybiegł Leśnik z alarmującą wiadomością, że w Jampolu bolszewicy urządzą dom komunistyczny, do którego rekwirują meble, obrazy, kandelabry, książki i t. p. Poczciwy chłopiec przybiegł uprzedzić mię, abym chowała, co się da. Mebli ruszyć nie można, bo spisane i przez komisję skontrolowane, ale zerwałam z szaf święte, nienaruszalne pieczęcie, które sama naprędce dla bolszewików przylepiałam; teraz te pieczęcie mogły być za słabym argumentem, więc wolałam nieszczęśliwe książki zabrać i znów poukrywać w różnych kątach i zakamarkach.

2-go marca.

Przychodzili chłopci z komitetu z urzędowym blankietem do spisywania inwentarza gospodarskiego. Spisali wszystkie połamane siewniki, pługi i brony, które po pogromie folwarku kiedyś na mój dziedziniec przyciągnęli. Stało to tu dwa lata na śniegu i deszczu, aż doczekało się honoru służenia rządowi sowieckim. Najwyraźniej będą urządzać rządowe gospodarstwa, i potrzebne im są dworskie rozgrabione inwentarze. Od chłopów mają zabierać żywy remanent zagrabiony, ależ który chłop dotychczas ma jeszcze pańskiego konia lub wołu? Dawno zaprzepacił, zmarnował, nie wyciągnąwszy korzyści ani dla siebie, ani dla nikogo z tego pańskiego, skradzionego dobra.

Chodzą wieści, że bolszewicy są zewsząd okrażeni i nie utrzymają się tu dłużej nad dwa tygodnie. Nie wierzę temu, a zresztą, każdy dzień wydaje się teraz rokiem, a więc dwa tygodnie to taki strasznie długi kawał czasu. Co się do tej pory stać jeszcze może? Jedyna pociecha to wiosna, która już naprawdę zagląda. Będzie jeszcze rozmaicie, ale ma się przynajmniej ku ciepłu i światłu.

Tęsknota moja jest straszna, jak ból, jak choroba. Przyzwyczaiłam się do niej tak, jak do chronicznego cierpienia, i stała się już ona wieczną moją towarzyszka. Nie pozwalam sobie na żadne marzenie, boję się nawet myśleć o lepszej przyszłości, która

nigdy się już pewno nie rozjaśni. Przecież wszystko konsekwentnie musi się dokonać: gdy wóz zacznie się toczyć z pochyłości, musi zjechać aż do samego dołu. To tylko w bajce los nagle odmienia się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, i czarna karta życia zmienia się na białą.

7-go marca.

Nadzwyczajny jest stosunek między chłopami a bolszewikami; niewiadomo, kto z kogo kpi. Opowiadali mi chłopci o wczorajszym zjeździe powiatowym w Jampolu. Worobjew ofiarował wszystkim obecnym bilety na wieczorne przedstawienie. Chłopów nie nęciła wcale ta przyjemność; z kwaśnymi minami zaczęli się wymawiać, że muszą wracać do domu, że od rana jeszcze nic nie jedli. Wtedy naiwny Worobjew zaprosił ich na obiad do sowieckiej stołowni, oni zaś, zjadłszy obiad, pouciekali do domu. Paru tylko padło ofiarą komedjanckiej manji bolszewickiej, i przesiedzieć musieli na przedstawieniu, jak za pańszczyznę.

Przyjechała do Halzbijówki trupa wojskowa; nie podobało im się bardzo, że teatr jest w stajni; jutro mają grać. Okropnie się boją, aby cała ta banda obdartusów nie zamieszkała we dworze. Co gorzej, Worobjew zapowiedział, że zjedzie tu na letni sezon. Ten mój nieszczęśliwy dom zmieni się na komunistyczną „dację”. Widać, że czasem najszczerza, gorąca ofiara służy jedynie podłemu, nikczemnemu błazeństwu.

Czasem się zastanawiam, czy ja mam prawo zostawać tutaj, w tej poniewierce.

8-go marca.

Wczoraj odbyło się przedstawienie. Chłopi, chcąc pozbyć się jak najprędzej nieproszonych głodomorów, którzy im na karku siedzą, energicznie zabrali się do sceny, i w parę godzin wszystko było gotowe. Przyszło paru delegatów prosić mię o meble, gdyż scena musi mieć „burżujskiej wid“. Widać skromnie wyobrażają sobie tych burżujów, gdyż zadowolili się stołem i krzesłami ze szkółki oraz łóżkiem ze szpitala. Gdy, jak zwykle przed snem, odmawialiśmy codzienną koronkę do Opatrzności, zastukał Petryk, zawiadamiając, że bolszewicy chcą się ze mną widzieć. Dyrektor trupy z honorową asystą przyszli prosić mię na przedstawienie, dodając, abyśmy wzięły ze sobą krzesła, gdyż tłok, i niema gdzie siedzieć. A no, cóż robić? — trzeba było iść.

W stajni tłum, zaduch, dym od kaganków olejnych. Na miejscu zerwanych żłobów ułożona jest scena; na przeciwległej ścianie w żłobach, których nie zdążono usunąć, porozsiadały się chłopaki wiejskie, przebierając dla uciechy nogami po głowach zbitego tłumu, który co chwila falował od ściany do ściany i zpowrotem. Przeciskając się przez te zbite masy chłopów i żołnierzy, doznałam nieokreślonego uczucia wstydu na myśl, że to dawne mieszkanie szlachetnych zwierząt, że to miejsce, gdzie stała moja wypieszczona Fala, moje kochane szpaczki, tak jest teraz sponiewierane, zohydzone. A chociaż koni tych

dawno nie było, czułam się upokorzona przed ich wspomnieniem.

W jakiejże roli byłam tutaj ja, która dawniej co rana śmiałym krokiem wchodziłam, pełna fantazji, pewności siebie, spokoju? Dyrektor poprowadził nas blisko sceny, pytając, czy mamy krzesła? Odpowiedziałam mu, że, stosując się do demokratycznych zwyczajów, będziemy stały, jak wszyscy, na co on jednak nie przystał i zrobił nam miejsce na ławce, obok panien djakówien.

A więc słuchamy bolszewickiego przedstawienia w Halźbijówce, w dawnej mojej stajni. Mroczno, zaduch nie do wytrzymania, hadjuki cisną się ze wszystkich stron, na scenie rzucają się bolszewicy. Ma się wrażenie jakiegoś piekła, ale nie snu, nie koszmaru, tylko realnego piekła, które jest i na zawsze zostanie. Siedzimy przytulone do siebie, zgubione, zatracone w tym steku prostactwa, trywjalności, zaduchu: przytulamy się do siebie coraz mocniej, takie biedne, takie bardzo biedne!

Na scenie rozgrywa się dramat dwóch braci: jeden monarchista, drugi rewolucjonista. Po długich tyradach, w których sobie wymyślają wzajemnie, anarchista ginie na barykadach, a „zołotopagonszczyk“ na trupie brata strzela sobie w łeb. Gdzie tu sens moralny, gdzie zwycięstwo zdrowej, młodej idei? Niema go — są tylko trupy. Ta nędzna, tendencyjna sztuka zupełnie bezwiednie przedstawiła dokładny obraz Rosji. Wszędzie i zawsze zaprzeczenie życia, nad wszystkim śmierć, rosyjska, głucha, trupia śmierć, z której nie ma zmartwychwstania.

Potem nastąpiły tańce solowe, śpiewy chóralne i kuplety. W jednym z nich wyśmiewano ostatnie powstanie głupich „banditow“, którzy się zbuntowali. Opisywano, jak to sowieckie wojska zbiły powstańców, ile trupów leżało, jak w więzieniu „buntowszczyki“ w skórę biorą. Każda zwrotka kończyła się szalonym, łądackim śmiechem, który kuplecista rzucał w twarz słuchającym chłopom, ale żaden nawet nie drgnął; wybałuszyli oczy i słuchali, a nawet byli i tacy, którzy wtórowali śmiechem dowcipnemu aktorowi. Wczorajsi powstańcy! Na zakończenie „politruk“ wyszedł na scenę i powiedział mowę mniej więcej tej treści: wszystko dzieje się jak najlepiej pod władzą „sowiecką“, jakże więc chłopci powinni być szczęśliwi i wdzięczni tej władzy, choćby np. za rozkosz dzisiejszego wieczoru. Coprawda, „sowiecka właść“ wszystko teraz od chłopów zabiera, bo sama nic nie ma, ale chłopci powinni dopomagać wojsku, które, przez trzy lata wojując, zniszczyło „proklatych burżujów“, pokazało, że nie tylko „proklate pany“ mają prawo bawić się; ale że teraz proletarjat będzie używał, jak np. dzisiaj, urządzając teatr w tem „proklatom gniłom gnieździe“. Nabrzmiałe dziką nienawiścią słowa sztucznym dysonansem tłukły się w biednej mojej stajni; odbite od twardych belek dębowych, kołatały się wśród ogłupiałych słuchaczy. Siedziałam spokojna, nieporuszona, w uszach mi tylko szumiało „proklata, proklata“, i zaczęłam szukać w pamięci, czy czemkolwiek zastąpiłam na potępienie, na nienawiść. Nie, ani ja, ani poprzednicy moi w stosunku do ludu tego nigdy ni-

czem nie zawinili. Spokojne spojrzenie utkwiałam w si-nej twarzy mówcy, miotającego się na scenie. Patrzy-łam wzrokiem twardym, jak te wiekowe belki, od któ-rych odbijały się bezsilne, złe słowa.

Po chwili przedstawienie było skończone. Wsta-łyśmy i, poprzedzone życzliwymi pozdrowieniami chło-pów, precyzyjnie przeszłyśmy przez tłum na dziedziniec.

9-go marca.

Jeszcze nigdy nie było tyle wron, co tego roku; całymi chmurami zlatują na ogród. Obsiadają akacje koło muru; czarne ich masy okrążają dom, niby ża-łobnym wieńcem, rozpiętym na wysokich konarach nagich drzew. Niemile to robi wrażenie, choć widok naprawdę niezwykły. Dlaczego czarne ptaki żałobą opasują mój dom?

10-go marca.

Dziś zarobiłam w Mironówce trzy kury, dawniej śmiałabym się z tego, teraz stanowi to naprawdę po-moc w mojej kuchni. Mam przynajmniej dla Ojca pożywienie. Teraz za pieniądze dokupić się nic nie można. Nie kursują ani pieniądze sowieckie, ani „kie-renki“, jedynie jeszcze ludzie łakomią się na mikoła-jowskie i to o ile są nieuszkodzone.

Dostałam pozwolenie od leśniczego powiatowe-go na zrabanie kilku fur drzewa z mego lasu, ale to jeszcze niedosyć; trzeba, aby zezwolił na to miej-scowy leśniczy, pilnujący okolicznych lasów. Jest to prosty chłop z Białej, ale bardzo przejęty funkcją dy-gnitarza sowieckiego. Wezwałam go do siebie, aby

uzyskać owo pozwolenie. Stosując się do obecnej mody, tytułowałam go z całą powagą „tawariszcz“. Hadjuka miał śmiesznie zakłopotaną minę, gdy go posadziła w fotelu na ganku i z przesadną uprzejmością podawałam mu herbatę, potem kornie prosząc o łaskawe pozwolenie na zrąbanie paru drzew w moim lesie. Chłop wkońcu nie wytrzymał, wstał, pocałował mię w rękę: „Panienko, jakij ja wam tawariszcz? Ja przecież doskonale wiem, że las panienki, ale własn' każe służyć i pilnować“.

. 12-go marca.

Wczoraj było znów przedstawienie, tym razem miejscowego kółka chłopskiego, na cześć Szewczenki; grali jakąś nędzną komedyjkę tego autora, grali fatalnie. Musiałyśmy znów cały wieczór odsiedzieć w stajni, nie chcąc obrażać dobrych chęci miejscowych artystów. Siedząc na tem drugim przedstawieniu wśród chłopów i bolszewików, wysłuchałyśmy powtórnie idjotycznej oracji jakiegoś „tawariszcza“, który w naiwnych dziejach wiejskich kochanków, prześladowanych przez ojca-pijanicę, wynajdywał głęboko ukryty cel rewolucyjny. Otóż, patrząc na te wykoślawione karykatury życia, miałam jednak okropne, przygnębiające wrażenie czegoś nieodwołalnego, czegoś skończonego. Ci apostołowie zła i brzydoty zostaną już tu, wyjąłowią wszelkie dziedziny życia, zapuszczą trujące korzenie. Chłopi po jakimś czasie pogodzą się z nimi, poddadzą się niewolniczo. Ale co ze mną będzie? Nie widzę tu miejsca dla siebie.

14-go marca.

Chodziłam do Jampola, a w czasie mej nieobecności był tu Majmuszyn *); oglądał wszystko. Z teatru niezadowolony, kazał chłopom wywalać ścianę, aby powiększyć salę. We dworze postanowił urządzić ochronkę. Chłopi wytłumaczyli mu, że dwór jest im potrzebny na czytelnię i na klub dla ich kółka artystycznego. Dzisiaj z chłopami urządziłam nagwałt tę czytelnię. W czerwonym salonie porozstawiane są stoły, na których piętrzy się moc bibuły bolszewickiej; pomieliśmy trochę gazety, aby miały wygląd przeczytanych. W salonie zielonym mają się odbywać próby teatralne. Wszystko to „na niby”, dla bolszewików, bo chłopom ani w głowie pakować się do dworu. Pocziwi ludziska, naprawdę szczerze i życzliwie są dla mnie usposobieni; ale gdy im tak ciągle będą wmawiać, że to ich i mają prawo się rządzić, to wkońcu uwierzą. Teraz jeszcze jedynie dla niepoznaki, dla zamantestowania swych praw przed bolszewikami kontrolują roboty w ogrodzie, odwiedzają dwór. Ale wkońcu przyzwyczajają się do tych nowych quasi obowiązków. Moja rola jest do najwyższego stopnia przykra; jeszcze lawiruję, aby utrzymać się na tej linie, na której jak akrobata muszę zachowywać równowagę, ale czuję, że wkońcu linka pęknie.

Chłopi mię uprzedzali, że Majmuszyn dopytywał się o moją szkołę, chce skontrolować, czy nie uczę czasem ukraińskich dzieci katolickich po polsku. Chło-

*) Komisarz jampolski.

pi radzą mi, abym się zapisała do wiejskiego „krużka“ i jakikolwiek czynny udział w nim brała, bo bolszewików bardzo drażni, że, jako inteligentka, nie łączę się z wiejskim proletariatem. Chłopi podsuwają mi myśl zorganizowania przedstawienia z dzieci ukraińskich, „szczoby tak harno przedstawiały, jak waszi polski dity“. Zdaje się, że to im samym zachciewa się „pańskich spektaklów“. Chociaż jest trzech nauczycieli na wsi, nic sami nie potrafią zorganizować.

24 go marca.

Biedny mój Ojciec nie żyje! Tydzień temu skołał. Wierzyć mi się jeszcze nie chce, że tego cichego, dobrego staruszka, że naszego kochanego Dziadunia niema. Tak pragnęłam utrzymać Go przy życiu do czasu przyjazdu rodzeństwa. Bóg nie dał. Codzień biedne Ojczyisko spodziewało się przyjazdu lub listu od dzieci i skierował całą swą utęsknioną miłość na mnie, jedyną, która Mu pozostała.

Gdyśmy wrócili z cmentarza, ogarnęła mię w domu pustka. Choć Ojciec całymi dniami leżał, nie wychodząc z pokoju, to jednak myśl i troska o Niego wypełniała mi serce. Teraz pustka grobowa wszędzie. Nie odzywa się dzwonek Dziadunia, niema komu opowiadać na dzieńdobry, jaka jest pogoda i jak się spało? po obiedzie niema komu czytać ulubionego Chodźkę, niema ukochanej ręki, która na dobranoc znak krzyża kreśliła ze słowami błogosławieństwa: „Panie Boże Wszchemogący, racz udzielić córce mojej, Elżbiecie, tu stojącej, możliwego zdrowia i pomyśl-

ności w tem tak ciężkiem jej obecnem życiu". Niema mego biednego, drogiego Ojca!

27-go marca.

Wielkanoc! Jakaż smutna! Strasznie, nieznośnie i coraz puściej i smutniej. Teraz, gdy nie mam się kim opiekować i dla kogo tu żyć, postanowiłam wyjechać. Nic tu nie wywalczę, niczego się nie doczekam.

Dlaczego tego cichego, niedołęznego staruszka tak strasznie brak? Przecież nieraz bywały dni, że ledwie na chwilę miałam czas wbiec do niego; czasem w natłoku zajęć tylko na dzieńdobry i dobranoc wpadałam; ale zawsze czułam, że w tym domu jest ukochana istota, co myślą najczulszą mię otacza. Od moich zajęć śpieszyłam zawsze jak najprędzej do domu, by być przywitana radosnym uśmiechem, wywołanym moją obecnością, aby się ogrzać w promieniach miłującego wzroku. Ojciec czuł, że jestem jego jedyną opieką i naprawdę podporą jego niedołężnej starości, a ja w Ojca wkładałam całą miłość samotnego serca mego i tę potrzebę ciągłej myśli, starania, opieki i troskliwości, którą jedynie Jego mogłam otoczyć. Prócz zwykłej miłości rodzicielskiej, łączyło nas jeszcze uczucie wspólnej niedoli i świadomość, że jesteśmy ostatnimi rozbitkami, rzuconymi w próżnię, więc też tem silniejszą miłością staraliśmy się tę próżnię wypełnić. Nigdy najmniejszej skargi nie słyszałam z ust Ojca, chociaż wiem, że nieraz bardzo cierpiał. Zawsze pogodny leżał cicho godzinami całemi, zatapiając się we wspomnieniach jasnej młodości i całego życia.

A snadź wspomnienia te były bogate i piękne, kiedy wystarczały na opromienienie ciężkich dni terażniejszych.

Zwyczajem starych osób, Dziadunio lubił opowiadać dawne dzieje; ileżto się nasłuchiłam najrozmaitszych historyj z czasów uniwersyteckich w Petersburgu, gdzie Ojciec za ukrywany odpis „Dziadów“ był areztowany. Ile ciekawych epizodów z licznych podróży, związanych ze wspomnieniem sławnych naszych ludzi: w Rzymie Makryna Mieczysławska, ks. Kajsiowicz; w Brukseli — Leleweł; w Paryżu świetne resztki całej naszej emigracji; a wizyta Liszta w Czarnostrowiu *) i w Wodyczkach **). Sławne powiedzenie, gdy, zapytany, kogo uważa za największego muzyka współczesnego, odpowiedział: „Comme compositeur c'est Chopin, comme virtuose c'est moi“, lub gdy kazał zaprezentować sobie małego Zygmunia, „que je lui souffle mon talent“; wybory w Kamieńcu w 63 r. z marszałkiem-sybirakiem Sanguszką; przebogate, bujne życie szlachty kresowej, którą Dziadunio znał doskonale, a mając wyborną pamięć, każdego rodu koligację umiał wyprowadzić. (Jedynym żalem, jaki żywił do mnie przez całe życie, było to, że brak mi pamięci do związków rodzinnych).

Nietylko gawędziarskie epizody z życia lubił Ojciec wspominać, ale przeczytane książki cytował z największą dokładnością. Całą swoją liczną bibliotekę miał w głowie. Nieraz o tej bibliotece ze łzami wspo-

*) Rezydencja Przeddzieckich.

***) Dom rodzinny Ojca.

minał. Ani jeden tom nie ocalał z rąk chłopskich. Umarł wygnany, ograbiony, do trumny złożony w starciu, zniszczonem ubraniu. Ale pomimo tego ubóstwa, majestat śmierci okrył Go tym nieuchwytnym, a jednak tak silnym wyrazem pańskości i szlachetnej rasy! I dziwne, nie umiem tego nawet określić, ale wobec zwłok Ojca i ja, jak dawniej, poczułam się tu panią i właścicielką tego domu, do którego nikt nie ma prawa, tylko Bóg, tu, w tej ciszy, przy marach najdroższych silnie i wyraźnie przemawiający wiecznie żywą swą obecnością.

Na katafalku, wśród palm i świec leżał Ojciec, w salonie, spokojnie i bezpiecznie odpoczywając po trudach życia. Jasny uśmiech na pogodnej twarzy witał licznie odwiedzających chłopów, co przyszli się pomodlić u zwłok pana. I żadna komuna, żadne sowieckie rządy nie śmiały zaprzeczyć, że tam we dworze „stary pan umarły leży“.

Młodzież jampolska wyniosła trumnę, którą za bramą złożono na prosty wóz. Dzieci ze szkółki szły naprzód z wieńcami; dwa rzędy chorągwi nieśli starsi gospodarze, dalej gromadka sług i chłopów, a za trumną ja sama, taka strasznie sama.

Po drodze bolszewicy salutowali, mijając kondukt, a w Jampolu tłumy na ulicy przyglądały się z uszanowaniem pogrzebowi może ostatniego pana na kresach.

28-go marca.

Wczoraj wieczorem odbyło się posiedzenie członków tutejszego „krużka“. Sama ich zaprosiłam, ażeby

od czasu do czasu tu się zbierali dla umotywowania choć pozornie „klubu“, który się tutaj rzekomo znajduje. Trzy godziny wysiedziałam w towarzystwie dwunastu hadjuczków, przeważnie uczniów, smarkaczów, których w niedawnej przeszłości wypędzałam za szkody w ogrodzie. Teraz poroziadało się to wszystko, ćmiło papierosy i raczyło mię tytułować „Jelisaweta Sigizmundowna“. Jedyne dwaj nauczyciele i Leśnik zabierali głos z miną tak skupioną i doniosłą, jakgdyby rozstrzygali losy Europy, a tu chodziło jedynie o następne przedstawienie i o rozszerzenie sali według instrukcji Majmuszyna.

Uprzedzona przez Sobkę, przedewszystkiem zapisałam sobie i p. Zofję na członków kółka, a potem podniosłam kwestję przedstawienia dziecięcego. Myśl się podobała, i prosili, abym się tem zajęła.

Ofiarowałam im potem ozdobne wydanie dzieł Szewczenki, które miałam w bibliotece, dodając, że podobno „tawariszcz“ Majmuszyn miał pretensję, że nie mam w szkółce portretu Szewczenki — mam dzieła jego, to chyba więcej znaczy, niż sam portret. Książka wzbudziła zachwyty. Widać, że ci „szczyry ukraińcy“ nigdy takiego wydania dzieł swego pieśniarza nie widzieli i dopiero z polskich rąk je dostali.

Nareszcie o wpół do pierwszej zamknęliśmy posiedzenie; wynieśli się. Rozejrzałam się po swym salonie: tu, gdzie niegdyś panowała atmosfera wysokiej kultury, rozbrzmiewała uduchowiona, artystyczna gra, ja z wiejskimi smarkaczami, wczorajszymi rezunami, przy olejnych kagankach obraduję nad teatrem

ukraińskim... Nie, nie, dosyć mam tego wszystkiego; wyjeżdżać stąd, uciekać... To jest obniżenie, to jest upodlenie duszy własnej. Dopóki mi groziło niebezpieczeństwo, śmierć — sił mi nie zbrakło, lecz teraz, gdy muszę biernie ustępować, co krok abdykować, poddawać się rządowi tłumy z udanym spokojem i uprzejmością, nie mogę!

30-go marca.

„Pryjut“ już mi nie grozi. Chłopi założyli protest, wobec którego „rewkom“ obiecał, że nie będzie się sprzeciwiał „narodnoj“ woli.

Krążą wciąż niesłychane orgje plotek: Trocki zabity, Lenin przepadł, porozumienie bolszewików z mien-sze-wikami. Pokój z Polską na pewno zawarty. Wojna europejska wisi w powietrzu. Zagranicą sława Petlury, jako bohatera narodowego, rośnie i rozbrzmiewa, porównywiają go do Kościuszki. (Czy ta zagranica taka głupia, czy taka podła?)

4-go kwietnia.

Zjechały obozy i rozlokowały się tak samo, jak w zimie. Jest to straż pograniczna; obiecują, że może i pół roku tu posiedzą. Zachowują się nadspodziewanie przyzwoicie; ale sam widok tych szarych, brudnych żołnierzy wyprowadza mię z równowagi. Usunęłam się zupełnie, właściwym zaś gospodarzem jest Sobko; do niego zwracają się z każdym drobiazgiem; on postanawia, ile stołów i krzesel wydać do kancelarji; on z kluczami chodzi i wyznacza im pokoje.

Trzeba było znów zaasekurować się przed nowymi gośćmi. Każdy pokój został ochrzczony i dostał nalepioną na drzwiach etykietkę, mającą bronić wstępu nieproszonym i niepożądanym figurom. Jadalnia ma napis „Polskaja trudowaja szkoła“; salon — „chata czytelnia“; biblioteka — „repetitornia“; napis na pokoju p. Zofji ogłasza nazwę i zawód swej lokatorki: „Uczitelnica trudowej szkoły sieła Gałzbijewki“; mój pokój — „doktorsza sieła Gałzbijewki“. Zrobił się dom prawdziwy komunistyczny. Za radą i przy pomocy Sobka zdjęliśmy wielkie lustro, którego dotychczas z powodu ciężaru nie ruszałam z salonu. Na miejsce lustra trzeba było zawiesić obrzydliwy czerwony plakat, opiewający, że „po trupach włościan, robotników, starców i dzieci idzie baron Wrangel, by przywrócić na nowo panów i obywateli“. Ilekroć przechodzę przez salon, olbrzymie czerwone litery skaczą mi do oczu, zastępują drogę; za każdym razem — to jest przynajmniej dziesięć razy na dzień z wielką uwagą i skupieniem odczytuję obmierzły napis. Na cały głos muszę przesyłabizować każde słowo dobitnie, wyraźnie, muszę się przekonać, że to nie złudzenie, nie halucynacja, ale prawda realna, fakt, że własnymi rękami muszę ozdabiać ściany swego domu w podobne napisy. I myśl z szybkością błyskawiczną przebiega dzieje tych kilku lat i wyciąga wnioski: aha, więc to tak, więc to jest wynik mych wysiłków i zmagań. Nieraz dobra chwila minie, zanim się wczuję, i uwierzę w obecne swe życie. Stoję, jak wryta, jak martwa, nie słysząc, co się dokoła mnie dzieje. Coraz częściej łapię się na

tych przystankach, na tych stacjach bolesnych rozpa-
miętywań.

Nic mię już nie cieszy, nie obchodzi; patrzę obo-
jętnie na fiołki, na białe gałęzie kwitnących krzewów.
A zresztą wiosna w tym roku jest brzydka, jak moje
życie obecne: szara, zimna, konająca. Zima była bez-
śnieżna, a dotąd nie spadła ani kropla deszczu; kurz po-
krywa ziemię anemiczną, wyschniętą, z pozorami życia.

7 go kwietnia.

Wczoraj dostałam list od Stefanowicza, z Mohy-
lowa, pisany trzy miesiące temu, w którym donosi mi,
że Franc dojechał szczęśliwie do Starokonstantynowa.
Boże dobry i wielki, dzięki Ci! Stare to i niedokładne
wiadomości, ale przynajmniej mam ten spokój, że mój
biedny chłopiec żyje, że mu się w tej strasznej po-
droży nic nie stało.

10-go kwietnia.

Ci nowoprzybyli bolszewicy są zupełnie przy-
zwoici; jestem zdumiona ich zachowaniem się spokoj-
nem i ludzkim. Żadnego kłopotu, ani specjalnie bol-
szewickich przykrości od nich nie mam, tyle tylko, co
od każdego innego wojska europejskiego, któreby się
tu rozlokowało. Nietylko starszyzna, ale i prości żoł-
nierze są to ludzie, z którymi po ludzku dogadać się
można. Wielu z pośród nich zupełnie otwarcie wypo-
wiada się przeciw bolszewizmowi; i nie krępując się,
zupełnie wyraźnie mówią, że czekają tylko nadejścia
jakichkolwiek wojsk, aby porzucić szeregi bolszewickie
i przejść na stronę przeciwną.

Polskość nietylko ich nie drażni, lecz wzbudza sympatję i szacunek. Jeden np., tak zwany „kaznaczej“, zachwycony jest śpiewami dzieciaków ze szkółki; każe sobie powtarzać niektóre piosenki, a gdy dzieciaki, przestraszone i nieufne, nie chcą śpiewać, zapewnia je i uspokaja, aby się nie bały. Anulka, najmłodsza uczennica, za prześpiewanie „Jeszcze Polska nie zginęła“ dostała w nagrodę 250 rs.

Parę razy zapraszałam starszyczkę na obiad. Z rozmów politycznych niewiele się dowiedzieć można, bo oni sami wiedzą niewiele. Twierdzą tylko, że pokój z Polską nie jest jeszcze bardzo pewny. Podobno Polska żąda 30-tu milionów złotych, a gdy bolszewicy chcieli płacić biżuterją i przedmiotami, rząd nasz odrzucił, zapowiadając, że zapłaty rzeczami grabionemi nie przyjmuje. W tem miejscu moi bolszewicy kiwają smutnie głowami w powątpiewaniu, czy Rosja zdoła zebrać tak wielką sumę bez pomocy kradzieży. Polska żąda też odszkodowań za pogromy. Musi więc dziać się u nas dobrze, i musimy czuć się pewni, kiedy stawiamy takie warunki. Jednocześnie opowiadają, że Anglja bardzo pomaga Rosji i że na licznych okrętach przysyła towary. Niestychane, jeśli prawdziwe!

Chłopi wciąż uparcie twierdzą, że Kamieniec jest w rękach polskich, że słyhać zbliżające się strzały.

12-go kwietnia.

Z bolszewikami coraz lepsza komitywa. Niedawno prosiłam żołnierzy, bawiących się w „gorodki“ (rodzaj kręgli), aby przy zabawie nie wydeptywali mi trawni-

ków. Obiecali i dotrzymują, tylko w granicach ulic rzucają drewniane klocki. Gdym ich zato chwaliła, odpowiedzieli z dumą: „my petrogradzka publika“. Przypuszczam jednak, że to nie zasługa stolicy, lecz poprostu duch czasu się zmienił, i ludziom dokuczyciu wkońcu być ciągle zwierzętami.

„Nacchoz“ to przyzwoity i dobrze wychowany człowiek, student z Piotrogradu. Z zachwytem opowiada, jak tam teraz wesoło, jak dobrze, jak panie ślicznie się ubierają, jakich wyszukanych perfum używają. Gdy go zapytałam, czy to właśnie w Rosji nazywa się komuną, odpowiedział mi z lekceważącym uśmiechem, że i przy komunie, o ile kto ma pieniądze, może się dobrze urządzić i używać życia. „Nacchoz“, Władymir Siergiejewicz, uważany jest w całym pułku za zagorzałego komunistę, a jednak w rozmowie z obrzydzeniem nadmienia o „griaznym proletariacie“. Przez postów prosił mię o pozwolenie jadań razem z nami obiadów i kolacyj, gdyż nie może już znieść towarzystwa swoich kolegów bez wychowania i o niskim poziomie umysłowym. Naturalnie, zgodziłam się. Z początku zachowywał się bardzo przyzwoicie, ale potem przyszedł parę razy tak pijany, że ledwie się na nogach trzymał, i dopiero przy pomocy Frasyny udało nam się go z jadalni wyprosić. Spotkawszy go potem, w ostrych słowach wyrzucałam mu niestosowne zachowanie się, prosząc; aby nas uwolnił od podobnych scen. Bardzo przeproszał i obiecał, że nigdy w stanie nietrzeźwym nie będziemy go widziały. Nie zauważyłam żadnego zażenowania, ani wstydu; przeciwnie,

mówił o upijaniu się, jako o rzeczy koniecznej, niezbędnej w obecnem jego życiu. Twierdził, że przed wojną wódki do ust nie brał, że obchodziła go tylko sztuka, namiętnie lubił teatr, teraz zaś ostatnią koszulę zamieniłby za samogonkę, aby utopić w niej „taszkę“.

14-go kwietnia.

Sława moja lekarska i w tych nowoprzybytych wzbudza zaufanie, i mam już między nimi dużo pacjentów. Jeden z nich po odbytej konsultacji prosił mię, abym mu dała flanców, gdyż chce założyć ogródek koło chaty gospodarza, u którego mieszka; potem o pożyczanie książek, a w dowód wdzięczności sięgnął do kieszeni i wsypał mi do chałata garść słoneczników, tłumacząc się, że niczem innem nie może mi zapłacić. Jest to pierwszy mój zarobek od bolszewików, naprawdę bardzo dla mnie miły; dany był szczerze, jako prosty odruch ludzkiego uczucia wdzięczności. Coś się w tych ludziach budzi, coś przemienia.

„Komandirsza“ jampolska wybierała się do mnie na letnie mieszkanie. Gdy raz zobaczyła mię u p. Boguckiej, u której mieszka, po mojem wyjściu wyraziła się o mnie napół z podziwem, napół z pogardą: „czto u niej wid kak u carycy“. A gdy kiedyś Marynia zapytała ją, kiedy wybierze się do Hałzbijówki, odpowiedziała z całym przekonaniem, że, ażeby tam jechać, trzeba mieć białe pantofle, i dopóki takowych nie będzie miała, pokazać się u mnie nie może. Mam nadzieję, że w naszym pocziwym Jampolu białych pantofelków tak prędko nie znajdzie.

16-go kwietnia.

Jakiś niepokój daje się odczuć wśród bolszewików; są zdenerwowani, naradzają się, nocami nieustannie wyjeżdżają konne patrole. Sami mówią, że pewnie tu długo nie posiedzą, ale dlaczego, dowiedzieć się trudno. Może ten niepokój spowodowany jest licznymi bandami ukraińskimi, które po okolicy grasują? Żydki utrzymują, że znów grozi wojna z Polską. Polska jakoby zażądała, aby do 9-go maja bolszewicy cofnęli się aż do granic 72-go roku. Gdybyż to była prawda! W gazecie rumuńskiej wyczytałam, że cała Rosja jest w ogniu; powstanie kronsztadzkie wcale nie stłumione, a w połowie maja spodziewany jest przewrót.

Musi być zmiana, jej zapowiedź czuć wszędzie, nawet wśród samych bolszewików daje się odczuć wykojenie i rozprężenie zupełne.

Wczoraj wypadło mi być w Jampolu; pisarz kancelarji, widząc, że się wybieram piechotą, zaproponował mi uprzejmie wspólną jazdę. Nie kazałam się długo prosić i w jednej chwili znalazłam się na wozie, rada, że moje biedne pięty trochę odpoczną. Całą drogę zabawialiśmy się rozmową, którą mój towarzysz rozpoczął od wstępu mniej więcej w tym sensie: że w tej chwili, jadąc razem ze mną, czuje się naprawdę człowiekiem, którym już oddawna nie był, gdyż, jako krasnoarmiejca, ani społeczeństwo, ani on sam siebie za człowieka uważać nie może. Dopiero takie towarzysztwo, jak moje, uczłowiecza go. W pierwszej chwili

wzięłam to za ironję lub prowokację, ale, spojrzawszy w jego pocziwą twarz, oblaną rumieńcem zakłopotania, zrozumiałam do jakiego stopnia tym ludziom zbrzydło zdziczenie, w którym trwają lata całe. Oczywiście dowodu, jak wielka jest tęsknota za czemś lepszym i wyższym, dostarcza mi zachowanie się nowoprzybyłego oddziału. Wszyscy, od najmłodszego żołnierza do starszyny szukają pozorów, aby się do nas zbliżyć, porozmawiać, w formie jak najgrzeczniejszej, z pełnym szacunkiem i uznaniem. Widać, jaką przyjemność sprawia im fakt, że my chcemy z nimi rozmawiać; przytem nie wahają się uznać wyższości naszej duchowej i społecznej, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, których drażniła ona niewypowiedzianie.

20-go kwietnia.

Bolszewicy dostarczają nam wszelakich wrażeń. Dziś z rana usłyszałam wystrzał rewolwerowy w pokoju gościnnym, pobiegłam na górę i zastałam w pokoju „nacchoza“ jego ordynansa, leżącego bez oddechu i kropli krwi w twarzy, a „zawchoza“ i drugiego towarzysza bladych również, stojących bezradnie w osłupieniu. Pokazało się, że, bawiąc się rewolwerem, jeden z nich niechcący wystrzelił, kula utkwiała pod obojczykiem. Docuciwszy się biednego Miskę, kazałam sporządzić nosze i zanieść rannego do szpitala jampolskiego. Przestraszeni „tawariszczi“ wypełniali moje rozkazy, słuchając mnie więcej, niż starszyny, która w tej chwili podporządkowywała się

też mojej komendzie. Doznawałam prawdziwego zadowolenia w dyrygowaniu nimi. Głosem energicznym dawałam krótkie rozkazy, które jak najszybciej i najdokładniej wypełniano.

21-go kwietnia.

Mój znajomy, mający stosunki w „ziemielnym otdielie“, wyrobił dla mnie urząd zarządzającej „sowchozem“ hałzbijowieckim, czyli, że zarządzać będę swojemi własnymi ogrodami i winnicami. Bardzo to dla mnie wygodne, bo, będąc urzędnikiem bolszewickim, jestem zabezpieczona od wszelkich nieprzyjemności. Mogę się rządzić u siebie, jak chcę, dla pozorów tylko zwracając się do władz. Choć mianowana z ramienia bolszewików, ale znów jestem panią u siebie. Wszystko mi jedno, jakie zachować trzeba formy i oficjalne ceremonje, byleby tylko ocalić mój kąt i żeby istota rzeczy, żeby duch, panujący tu z pokolenia w pokolenie, został ten sam, niezachwiany.

Głusza wciąż jednak, wiadomości ciągle są niepewne i sprzeczne. Chłopi utrzymują, że Polacy są w Uszycy; bolszewicy twierdzą, że Kamieniec w ich ręku. Jakaś jałowa apatja na wszystko padła wraz z tumanem kurzu, który się podnosi z wyschniętych pól, jak widmo groźnej przyszłości; gnany smalącym wiatrem, ściele się on po ziemi, przystaniając wszystko suchym, duszącym tumanem. Trawniki popalone, ziemia popękała w szerokie rozpadliny. Od roztopów ani jeden deszcz jeszcze nie spadł. Jakaś widmowa wiosna idzie z pozorami życia, nieśmiała, kłamiwa,

bezzadostna, tak jak i wszystko dokoła mnie i we mnie samej.

22-go kwietnia.

Z gazet rumuńskich wiadomo, że Anglja, Rumunja i Polska zawarły traktaty handlowe z bolszewikami, a więc wojny być nie może; natomiast jakoby Polska prowadzi wojnę z Niemcami o Śląsk.

Wczoraj zaczęłam próby z rusińskimi dziećmi, przygotowując je do przedstawienia, które ma się odbyć w pierwszych dniach maja. Chciałam, aby mi tutejsi nauczyciele dali jakieś sztuczki, z którychbym mogła wybrać coś odpowiedniego. To żądanie napęliło ich zdumieniem, „piesy dla ditej, u nas takich sowsim ne maje“. — „A więc jakże chcecie, abym przedstawienie z dziećmi urządziła?“ — „Nechaj panienska robit, jak sama chce, panienska ce łutsze znajut“. A no, nie było rady. Przetłumaczyłam i inscenizowałam naszego poczciwego „Kopciuszkę“. Nauczyciele, którym dałam role do przepisania, byli zachwyceni, tylko prosili mię, abym zamieniła nazwę „korolewicz“ na jakąś inną, bardziej demokratyczną. Ochrzciałam mego bohatera „łycarem“, nie mogłam przecież pozwolić, aby „sowieckij komisar“ zakochał się w ślicznym Kopciuszkę, i ażeby scena miłosnego zachwytu z królewskiego balu przeniesiona została na wiec agitacyjny.

Och, ta próba z hadjuckimi dziećmi, siłą mi narzuconą! Ja tak wszystkie dzieci kocham, że wszelka praca nad niemi sprawia mi przyjemność; i tu cie-

szyłam się, patrząc na szczerze wysiłki małych bączków, które niezgrabnymi nóżkami wytupywały fantazyjny taniec w scenie baletowej. Wyczuwałam buziaki, rozgrzane z przejściem wypowiedzianą tyradą.

26-go kwietnia.

W niedzielę przyszedł tu p. Słowikowski, dyrektor banku z Piotrogradu; od czasów rewolucji wraz z żoną tuła się po całej Rosji, nie mogąc się wyostać z tego piekła. Rzeczywiście, jakieś fatum prześladowuje nieszczęśliwych ludzi. Wreszcie w Odesie postyszeźli, że w Jampolu można się przepawić do Rumunji; zjechali tu i oczekują z dnia na dzień możliwości przejazdu. Zdumiona byłam i zachwycona, zobaczywszy p. Słowikowskiego; wyglął ma zupełnie europejski: buciki oczyszczone, owijacze, starannie okręcone dokoła nogi, pepitowe briczezy, czysty kołnierzyk i krawat, z fantazją zawiązany. Jakim cudem urządza się, aby mu bezkarnie uszła ta zachodnia staranność w ubiorze, pojęcia nie mam. Widok jego wprowadził mię w stan zachwytu: równie chyba silnego doznałam, patrząc na arcydzieło pendzla, czy dłota.

Jakto? — Tu jeszcze, u nas, moje niegodne oczy oglądać mogą prawdziwą pepitę, moją ulubioną kratkę i buciki, niewyszłe z fasonu, na pewno rodem z Warszawy! Miałam też prawdziwą rozkosz, słuchając jego czystej polszczyzny, gdyż p. Słowikowski jest królewakiem i nie zatracił rodzinnego akcentu.

Przyniósł ze sobą gazety rumuńskie, w których wyczytaliśmy warunki pokoju. Bolszewicy zwracają

30-ci milionów w złocie, wszystkie skradzione biblioteki, muzea i zabytki nasze, a z terytorjów: zachodnią część Wołynia. Co to znaczy, i gdzie naprawdę będą te granice?

Przyjeżdżali po mnie ludzie z Gomolówki, prosząc na popis i egzamin. Naturalnie, w tej chwili się wybrałam. Choć bolszewicy nas gnębią, zacieśniają zakres naszej pracy, choć nas Ukraińcy z nienawiścią szpiegują, jednak ten duch polski jeszcze się kołace w tych zakątkach zaprzepaszczonych, zatopionych w morzu nienawiści i zła!

Gdy weszłam, izba przepelniona była rodzicami, którzy z dumą spoglądali na swoje dzieciaki, wyczesane i przystrojone odświętnie; nawet dwoje przebranych było za parę krakowiaków, która odegrała małą scenkę z przyśpiewkami i deklamacjami. Po popisie jeden z chłopów zaproponował, ażeby przez wdzięczność dla nauczycielki zebrać zaraz składkę i kupić jej jakąś „chudobyne”. Z czapką w ręku obszedł izbę, a po skończonej kweście wysypał na kolana wzruszonej i zawstydzonej nauczycielce cały stos papierowych banknotów; zauważyłam, że było dużo między niemi dziesięcio i dwudziestopięciorubłówek mikołajowskich. Poczciwa i sumienna dziewczyna w zupełności zasłużyła na ten dar, płynący ze szczerych, prostych serc. Pożegnawszy całą tę kochaną gromadkę, wyszłam naprawdę wzruszona.

Nauczycielka opowiadała mi wrażenia swoje ze zjazdu nauczycielskiego w Tomaszpolu, który się odbył niedawno. Nauczyciele Ukraińcy i bolszewicy oskar-

żali szkoły polskie, że się rządzą samodzielnie, a nauczycielki, że się odosobniają. Zwłaszcza komisarz „narobrazu“, haliczanin Hoc, napadał z całą zajadłością na nasze biedne szkolnictwo, a zakończył swoje przemówienie słowami: „Trzeba się mieć bardzo na baczności, bo tam, gdzie jest szkoła polska i polska nauczycielka, zaraz się tworzy polska republika“. Nie mógł nam większego komplementu powiedzieć.

Wróciłam późno do domu; na podwórzu kręcili się chłopi, stajnie oświetlone, aha! — „spektakl“. Żołnierze jęli się rozpytywać mego furmana, kto i dokąd jeździł? na co on im ze spokojem odpowiedział, że „doktorszę“ przywiózł od chorego. Za zaproszenie na spektakl uprzejmie dziękuje, zawraca pomaleńku i popędza chude szkapiny w powrotnej drodze do poczciwej Gómólówki. Odprowadziłam go błogosławiącym wzrokiem aż do bramy, a potem, wymówiwszy się zmęczeniem od natarczywych zaprosin, poszłam do dworu. Ciemno we wszystkich pokojach, cisza głęboka, tylko od czasu do czasu dolatuje od stajen gwar wychodzącej w czasie antraktu, rozbawionej publiczności.

27-go kwietnia.

Z „naczechozem“ ułożyły się zupełnie znośne stosunki; gdy jest pijany, nie pokazuje się, oddając się na gorze nastrojom „taski i skuki“. W stanie trzeźwym chciwy jest muzyki, o którą prosi codziennie, specjalnie o Chopina. Niedawno zaproponował, ażeby fortepian przenieść z pokoju jadalnego do salonu, obecnie „chaty-czitalni“, a gdy zauważyłam, że trzeba

na to pozwolenia chłopów, którzy tu są właściwymi gospodarzami, uśmiechnął się ironicznie i przez zaciśnięte zęby syknął: „Nu, niechby nie pozwolili, jażby się z nimi rozprawił“. Zwróciłam mu uwagę, że, jak na komunistę, to trochę za energiczny odruch względem proletariatu.

28-go kwietnia.

Zjawił się ni stąd ni zowąd mój krzywy Quasimodo z zimowych obozów bolszewickich. Opowiada, że uciekł z wojska w Humanu i prosto do Halzbijówki zmierzał, bo mu się tu bardzo spodobało. Nawet na takie ciemne, proste natury czar mego zakątka wywiera wpływ magnetyczny, coprawda, tym razem wzmożony domieszką erotyczną, gdyż mój krzywulus oznajmił mi, że w tej chwili idzie z oświadczynami do trzech sióstr, starych panien Kowalikówien. „Może mnie która zechce“ powiedział z determinacją i, nasunawszy nabakier czapkę, ruszył rażnym krokiem. Myślałam, że dowiem się od niego jakichś nowin ze świata, ale nie umiał nic powiedzieć, prócz tego, że Galicję omijał jak najdalej, bo tam Petlura rozpoczął mobilizację.

Dziś otrzymałam pierwszy papier, zaadresowany: „Zawiedujszcza galzbijewskimi sadami“; chodziło tylko o pożyczanie dla drugiego „sowchozu“ siewniczka ogrodniczego. Ogromnie mnie bawi ten nowy mój urząd, to już drugi, który pod rządami sowieckimi oficjalnie piastuję.

30-go kwietnia.

Wysłałam list i depeszę przez żydka, który jechał do Sorok. Boże Miłosierny, żeby choć słowo od

nich mieć, a z drugiej strony, tak się boję tej odpowiedzi!

Głusza beznadziejna, straszna głusza! Przebakują tylko o przewrocie mienszewickim, który ma nastąpić w całej Rosji, ale kiedy to będzie? A zresztą, cóż nam z tego przyjdzie? Pokój między Polską a bolszewikami wyłączył wszelkie możliwości, wszelkie nawet łudzenie się jakąś możliwością wybawienia. Wszystko skończone, trzeba to sobie jasno, twardo i ostatecznie powiedzieć. Tyloletnia praca, męki i zmagania się są daremne. Rola moja tu już się skończyła, nie mam co dłużej robić. Broniałam tego zakątka całą siłą, kosztem życia własnego, nie tylko dlatego, że jest mi drogi, jako coś żywego, najdroższego, jak uosobienie najświętszych, najukochańszych wspomnień, ale jednocześnie broniłam tu czegoś więcej: chciałam przechować nietkniętą formę naszego dawnego życia kresowego, chciałam utrzymać tu, w tym domu swoim żywe tchnienie nieśmiertelnego ducha i tradycji, które, wygnane ze zgliszcz i ruin, zbiegły się i skryły pod mój biedny dach, czekając chwili, kiedy sprawiedliwość dziejowa powoła je znów do życia i czynu. Myślałam, że mój dom będzie tą przystanią i kolebką, będzie pierwszym etapem dla powracających rozbitków. Tyle lat złudzeń i marzeń... Myślałam, że dom mój będzie tą skałą, sterzącą wśród potopu, na której zazielenieje pierwsza gałąź oliwna. Tak, skała oparła się zalewowi, przetrwała huragan, ale pustynne morze zalewa ją dokoła, i żaden bratni głos nie odpowie jej wołaniu; osamotniona, żyjąc sztucznem, oderwanem życiem, skazana

jest na powolne konanie, aż wkońcu zamieni się na wyschlą mumję, na zabytek muzealny, na szcztątkową pamiątkę dawnego tu życia. — Ach, okropne!

Takie straszne bankructwo! Jakto, i wszystko na darmo? I ta silna, gorąca wiara, co mi dawała moc trwania tu przez tyle lat, stawiając czoło męce, cierpieniu, zagładzie, wbrew logice samej, według obračunków której dawno już powinnam była zginąć? Wszystko na darmo: i wiara moja, i miłość, i poświęcenie!

„Naczchoz“ wybiera się do Kamieńca; pojedziemy z nim razem; tam podobno łatwo można się przez granicę przedostać. Obecność moja tutaj już nie jest potrzebna. Niszczycielski pęd już minął. Ustanowiony tu „sowchoz“ osłania sadybę przed apetytami chłopskimi, a znów opieka chłopska broni domu od rekwizycyj bolszewickich. Nic tu już moja osoba ani znaczy, ani może. Ojca niema, opiekować się niema kim, czuwać niema przy kim. Jeszcze tylko te szkoły moje, te moje ostatnie, biedne szkoły polskie!...

1-go maja.

Już po egzaminie i popisie naszej szkoły. Dziś odbyła się loterja na rzecz biednych Antoszyńskich. Dzieciaki, a nawet i starsi uradowani są wygraniem fantami, któreśmy z p. Zofją fabrykowały przez całą zimę, tworząc z rozpaczliwych gałganów jeszcze coś w rodzaju torebek, chusteczek, krawatów i t. p.

Bolszewików i chłopów ogarnął istny szal teatralny. Z powodu pierwszego maja w każdej wsi i w Jam-

polu odbywają się dziś obowiązkowe przedstawienia „Marata“, potem wiec, przemowy i obchody.

U nas w stajni trzy dni z rzędu będą trwały widowiska: 2-go ma grać trupa żydowska, a 3-go przedstawienie dziecięce.

Mam prawdziwą przyjemność wojowania z bolszewikami; niedawno ukradli mi sześć kół od starych, prababkowskich karoc, których dotąd żadne chciwe łapy nie mogły ruszyć z miejsca. Zrobiłam straszną awanturę i póty kołatałam do wszystkich bolszewików i wstydziłam ich, póki kół, którymi już wozili beczki z wodą, nie przytoczyli mi zpowrotem na podwórze. Ogromnie jestem dumna z tego triumfu, pierwsza to rzecz, którą mi się udało wywojować i wyrwać z ich rąk. Sześciu bolszewików jeden za drugim rękami toczyli wielkie, staroświeckie, masywne koła. Jak symbole nowoczesnej Fortuny, wjechali na podwórze, ustawiając pod murem nieudaną zdobycz; miny mieli markotne i niepewne, a ja uśmiechałam się nieznacznie do starych, dostojnych kół. Może na ich zardzewiałych szynach odmiana jaka się przytoczy? Może wraz z ich obrotem przekręciło się tajemne koło fatalnych wypadków? Może zła doła, co okrakiem na niem siedziała, stoczyła się w przepaść na złamanie karku, może się jeszcze co odmieni? może — może — ?

Wczoraj robiłam próbę jeneralną z dziećmiakami w kostjumach. Widownia napchana była ciekawymi bolszewikami, którzy przyszli krytykować i oceniać. Żadne ciężkie roboty nie byłyby mi naprawdę cięższe, niż to napozór nic nieznaczące przedstawienie. Zacisnęłam

zęby i z całym spokojem starałam się reżyserować dzieci.

Jeszcze raz przekonałam się, jak marne, jak nic niedające są szkoły ukraińskie. W programie ułożyłam, że po „Kopciuszku“ dzieci deklamować będą przy żywych obrazach, a potem chórem śpiewać; przygotować to miał nauczyciel. Otóż na dzisiejszej próbie pokazało się, że tylko jeden chłopiec umie dwa marne wiersze, i tylko jedną piosenkę śpiewając, notabene fatalnie. Jeżeli śpiew, do którego Rusini mają wrodzone zdolności i zamiłowanie, tak marnie w szkółce stoi, cóż mówić o innych przedmiotach?

2-go maja.

Imieniny Ojca — nie mam już o kim myśleć, o kogo się kłopotać.

Idę do kościoła, potem na cmentarz, i to wszystko.

Gdzie jest Franc, co robi, co myśli? Czy się jeszcze kiedy zobaczymy? Czy będziemy mogli Panience Częstochowskiej razem podziękować za ocalenie i połączenie?

3-go maja.

Po powrocie z Jampola zastałam pełno spacerowiczów, a na ganku trupę żydowską, oczekującą na jakieś locum, aby się móc charakteryzować i przebierać. Nie było rady, musiałam ich wpuścić do dworu; rozlokowali się w jadalni wśród pisków, wrzasków i okrzyków radości. Banda ta składa się przeważnie z żydów jampolskich; jest też między nimi kokotka war-

szawska, obecnie kochanka komendanta bolszewickiego. Śliczne towarzystwo!

Pozamykałam drzwi od salonu, w którym dziewczynki ubierały ołtarzyk majowy. Zeszli się domownicy i szkółka; rozpoczęliśmy, jak zwykle, nabożeństwo majowe. Od czasu do czasu głośne śmiechy i wykrzykniki plątały się ze słowami litanji do Najświętszej Panny, ale nie zdołały zmylić równo, łagodnie płynącego rytmu; obcem echem rozpływały się wśród ciszy salonu, gdzie z pęków bżów, oświetlone dwiema woskowymi świecami, uśmiechało się do nas słodkie oblicze Panienci Częstochowskiej. Jakiś powiew dawny, swojski, rodzimy, błogosławiony przebiegał wśród nas, a siła jego była tak wielka, że zatopieni w modlitwie, zapominaliśmy o żydowskich aktorach, o bolszewikach, o wszystkim.

Po przedstawieniu żydowice podziękowały mi za gościnę, a na pożegnanie zostałam zaproszona przez pannę Makler, abym ich odwiedziła w Jampolu. A więc mam już dwie pierwsze wizyty do złożenia: u doktorostwa, a właściwie felczerostwa, podejrzanego pochodzenia, z Białej, którzy mnie zaszczytili swą wizytą, i u Żyda, pokątnego doradcy w Jampolu. Wyjeżdżając, zostawiły na stole czułe i bardzo niedwuznaczne kartki do „naczchoza“. O Boże, i co ja wśród tego wszystkiego robię? I w co się mój dom obrócił?

Gdy się uspokoiło, gdy już ostatni hadjuka wyszedł z ogrodu, siadłam do fortepianu; grałam z jakimś rozpaczliwym zapamiętaniem. Godzina po godzinie mijała, noc czarna za oknami i noc w pokojach;

zaciskałam silnie powieki, aby te czarne mroki nie sączyły mi się przez oczy do duszy i tonęłam w powodzi dźwięków, jak w kąpeli ozywczej, wyzwalającej z brudu, z nikczemności, nędzy, która nas otacza dokoła.

W kącie, zwinięta w kłębuszek w rogu kanapy, siedziała p. Zofja. Nie widziałam jej, tylko czułam, że i jej dusza na skrzydłach dźwięków wyzwala się z niedoli, z niewoli...

4-go maja.

Nareszcie skończyły się te uroczystości. Trzy dni mieć u siebie w domu przedstawienia bolszewicko-chłopskie — to można oszaleć! Wczoraj na zakończenie odbyło się dziecięce widowisko, które się udało wcale nieźle. Dzieciaki, wymustrowane na licznych próbach, grały śmiało i dobrze. Największy zachwyty wzbudził żywy obraz „Wiosna“, ale skutek tych wszystkich piękności był taki, że w sukni mojej, w którą ubrana była wiosna, okazało się po przedstawieniu pełno wszy. Prawdziwa hadjucka wiosna!

Złośliwy zbieg wypadków sprawił, że właśnie na 3-go maja musiałam z rusińskimi dziećmi się zabawić i uroczystości dla nich urządzać. My, Polacy, niczem nie mogliśmy uczcić tego narodowego święta. Jedynie przy majowym nabożeństwie odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę“ ku wielkiemu zdumieniu żołnierzy, przysłuchujących się ciekawie i zagląających przez okna.

Okazje do Kamieńca są coraz częstsze. „Naczchoz“ namawia, aby z nim jechać i zupełnie otwarcie doradza nam przejście tam przez granicę i wyjazd. Gdy możliwość tego wyjazdu staje się tak bliska i realna, znów brak mi odwagi, i siły mię opuszczają. Porzucać te ukochane, bezbronne kąty, które tyle lat osiadałam, broniłam!

Do Kamieńca pojedę; z p. Zofią razem przejdę granicę i na pierwszej stacji zadepeszuję do swoich, doczekam się odpowiedzi i znowu tu wrócę. Bez wiadomości o nich żyć nie mogę i nie wytrwam tu dłużej; a gdy się upewnię, że są zdrowi i cali, że mój biedny Franc żyw, doda mi to siły do dalszego trwania. Przecież wkońcu wybawienie przyjdzie.

5-go maja.

Odbyliśmy naradę z kontrabandzistą, który obiecuje przeprowadzić Słowikowskich we Flemendzie. Ma on tu współnika, w chacie którego zeszlismy się potajemnie. Okrężnemi drogami, każde z osobna, dostaliśmy się na umówione miejsce. Gospodarz w sieni pilnował, aby kto niepożądany nie wszedł, a my w izbie radziliśmy przy zasłoniętych szczelnie oknach. Sienkiewicz, typowy kontrabandzista, który śmiało mógłby służyć za bohatera do jakiejś „Carmen“, zaczął się drożyć niesłychanie. Za przewiezienie dwóch osób zaciął trzydzieści tysięcy rubli mikołajowskich; po długich targach spuścił na siedemnaście, twierdząc, że robi to tylko na prośby „panienki“, która mu kiedyś córkę na oko wyleczyła, a potem jemu dawała pro-

szki, po których wyzdrowiał natychmiast. Stańło natem, że w sobotę ma ich przepawić, gwarantując wszelkie bezpieczeństwo dla tych, którzy jadą, i dyskrecję względem nas, którzy zostajemy.

P. Słowikowski bierze moje listy i depesze, obiecując, że je zaraz wyśle. Przyrzekł mi też, że, gdy będzie w Warszawie i w Krakowie, pójdzie do moich i opowie im wszystko o mnie. Sama myśl, że oni wkrótce będą mieli wiadomości o mnie przez osobę, która tu w Halzbijówce była, która mnie na żywe oczy widziała — elektryzuje mię. Mam wrażenie, że się teraz coś przełamie i odmieni. Z takim napięciem nerwów oczekuję, sama nie wiem czego. Mam niezłomną wiarę, że Franc coś zrobi, aby mnie stąd wyrwać. Teraz nie mam siły zakazać sobie myślenia, że tak będzie. Dawniej odsuwałam od siebie marzenia, teraz wciąż żyję myślą o przyszłości — i tak się boję, tak strasznie boję.

7-go maja.

Dziś rok od czasu, jak Franc przyjechał; Boże mój, czy ja się go kiedy doczekam? Lata za latami uchodzą, a ja wciąż żyję w tymczasowości. Jedyną treścią życia jest rozpaczliwe oczekiwanie. Wypacza to duszę, charakter, całą indywidualność zmienia. W niczem nie jestem podobna do siebie. Jakieś wyciosane z drewna stworzenie, twarde, grube, bez polotu, bez myśli, z jedynym ćwiekiem w głowie: oczekiwanie! — Życie obecnie jest nieprawdopodobną komedią, a wypadki wytwarzają położenia tak śmieszne, jakby się bawiły

z ludźmi; a zasady, ideje, przekonania, prawa pomieszane są beładnie, jak rupiecie w dziadowskim worku obłąkańca.

Dostałam pozwolenie na pasanie swego bydła w lesie. Leśnik wypędził moje biedne krowy, a dwóch innych przyszło robić mi wymówki. Bez żadnych tłumaczeń pokazałam im pozwolenie, w którym jasno wypisane, że jestem „sowiecką służaszczą”. Poskrobały się hadjuczki w głowy i, przeprosiwszy mię, odeszły, szepcząc między sobą: „Szo ce maje buty?”. — Słusznie się dziwicie, bo i ja sama mam ochotę kogośkolwiek zapytać: co z tego wszystkiego wyniknie?

Tymczasem nastąpiła zmiana ról: chłopi prześladowani są, jako burżuje i kułaki, a ja — skromny proletariusz na służbie!

W jampolskim „sowchozie“ urzędnicy są wszyscy miejscowi i mniej więcej znajomi. Dla zaciśnienia przyjaznych stosunków wszelkie chropowatości smaruję miodem i zasypuję orzechami, co okazuje się bardzo dobre w skutkach. Np. mego znajomego chcieli zmobilizować w Jampolu do publicznych robót: napisaliśmy podanie, że wobec nawału pracy potrzebuję buchaltera do halzbijowieckiego „sowchozu“.

Podanie zostało przyjęte, a mój znajomy jest zabezpieczony od wszelkiej rekwizycji.

8-go maja.

Mam list od Franca! Boże, jak ci dziękować za Twoją dobroć!

Czułam, miałam prawie pewność, że wczoraj coś się miało stać. Tydzień temu śniło mi się, że przyjechał żołnierz polski i mówił, iż za tydzień przyjadą Polacy, a gdym mu nie wierzyła, dobitnie i najwyraźniej powtarzał: za tydzień, na pewno za tydzień. Obudziłam się z dźwiękiem ostatnich wyrazów w uszach. Wyśniona data wypadła właśnie wczoraj, czyli na rocznicę przyjazdu Franca. Taka jestem szalenie szczęśliwa! Wiem, że wszyscy moi zdrowi, żywi i że mój Franc blisko; ta myśl napełnia mię taką radością, że nawet niebardzo ukrywam się ze swem szczęściem; niech ludzie słyszą mój wesóły śmiech, niech patrzą mi w twarz i niech widzą, jak promienieję swobodą, młodością, życiem! Niech się domyślają, czego chcą.

Wczoraj po obiedzie, gdy jak zwykle grałam memu audytorjum, złożonemu z „sowchoza“ i pp. Słowi-kowskich, Frasy na oznajmiła mi, że jakiś człowiek chce się ze mną widzieć; ach, tyle tych chorych ciągle przychodzi, trzeba go prędko przyjąć, a potem wracać kończyć chopinowskiego poloneza. Ale chory jakoś nie skarży się na żadną dolegliwość, tylko wydobywa z czeluści baraniej czapki małą karteluszkę i z tajemniczą miną mi ją podaje. Gdy zobaczyłam pismo Franca, krzyknęłam tak głośno, że tylko bardzo naiwni nie domyślili się, co spowodowało to niezwykle zachowanie się moje. Ledwie się powstrzymałam, aby nie uściśkać pocziwego, brudnego chłopka.

Franc w kilku słowach pisze, że czeka na mnie na tamtym brzegu, aby mnie wywieźć, że wszystko dobrze, że w kraju panuje ład i porządek. Ale jeżeli przy-

jechał wykradać mię przez Rumunję, to znaczy, że legalnie nieprędko będzie można wyjechać, a co za tem idzie, i wrócić tu. Więc porzucić to wszystko na niepewne, na niewiadomo jak długo? Stoję na rozdrożu. Czuję, że to ostatni raz los mi się uśmiechnął, i, jeżeli teraz nie połączę się z Francem, to już wszelkie ziemskie szczęście przepadło na wieki. Ale z drugiej strony jakże mam porzucić ten ką? Gdy wyjadę, wszystko może przepaść, to, co mam najdroższego, najświętszego, dla czego poniosłam już tyle ofiar. Życie Franca i swoje trzymam w ręku: albo z nim jechać, albo zakopać się tu na wieczną ofiarę.

10-go maja.

Wyjazd pp. Słowikowskich opóźnił się; Sienkiewicz kręci, każe czekać, nie wyznacza stanowczego terminu, a to czekanie takie okropne. Podobno śledzony jest przez „osobatdieł“, nic teraz zrobić nie może, ani się tu pokazać. Całe nasze towarzystwo zdenerwowane jest do najwyższego stopnia, poczawszy od samej gospodyni, a skończywszy na Gomulińskiej, która parę dni temu przyszła, węszy, że coś się dzieje: skąd się wzięli Słowikowscy, czemu p. Zofja stara się o urlop, czemu ja wspominam o dłuższym wyjeździe do Mohyłowa na odpoczynek. Jej wrodzona ciekawość, podniecona tajemniczością, myszkuje na wszystkie strony, ale z tego kłębka poplątanych, drgających nerwów nic wyciągnąć nie może. Pp. Słowikowscy z każdym dniem oczekują Sienkiewicza, który teraz jest panem ich życia i śmierci; on biedak siedzi całymi dniami na

ławce i ćmi fajkę, ona snuje się po pokojach, pogodną miną nadrabiając niepokój wewnętrzny. P. Zofja już jedną nogą, a w każdym razie całą myślą jest w Polsce, a więc obecna, ale nieprzytomna. Mój stary przyjaciel, którego wtajemniczyłam w list Franca i w mój prawie pewny wyjazd, chodzi smutny, przygnębiony, pod ciężarem odpowiedzialności, jaka spadnie na niego po moim wyjeździe. „Naczchoz“ czuje pismo nosem, ale ma tyle taktu, że udaje, jakby się niczego nie domyślał; zabawia panie rozmową, śpiewem i paśjan-sami. Całe to niesamowite towarzystwo zalewam tonami swej muzyki, tłukąc w klawisze bez przytomności, bez opamiętania, aby tylko zabić czas, aby ogłuszyć nerwy, aby czemkolwiek się zająć, bo przecież do żadnej roboty wziąć się nie mogę.

· 11-go maja.

Franc tak blisko! czeka na mnie! uciekać, wyjeżdżać jak najprędzej! O Boże, ale jakże porzucić, jakże odjechać, czem upozorować swój wyjazd? Wszystko mię tu trzyma, jak kleszczami; pod żadnym pozorem urlopu nie mam prawa dostać, ani jako „panienka“, ani jako „doktór“, ani jako „zawiedujszcza sowchozom“, ani jako „gospodyni domu“, ani wkońcu, jako „Lila Zaleska“. Nie wolno mi stąd wyjeżdżać. Przychodzi mi na myśl, aby teraz zaraz ze Słowikowskimi jechać, zobaczyć się z moim chłopcem, z nim się wspólnie naradzić, co czynić i jak czynić! Już tracę zdrowy sąd, liczę na rozum i pomoc Franca; muszę się z nim rozmówić, a potem dopiero coś postanowić.

Sienkiewicz wybrnął z niebezpiecznego położenia i to bardzo sprytnie: opłacił się bolszewikom i nie tylko jest bezpieczny, ale został mianowany głównym leśniczym nad pbrzeżnemi lasami; cały więc brzeg jest w jego ręku i może robić co chce. Wczoraj cały Jampol rozbrzmiewał od pijatyki, jaką tam sprawił urzędnikom „osobatdiełu“, racząc ich konjakiem rumuńskim. Jest nadzieja, że teraz będzie nas mógł z łatwością przeprowadzić.

14-go maja.

Nareszcie zjawił się Sienkiewicz, jako triumfator, pewny siebie, z protekcyjną miną. Obiecuje przewieźć dopiero w poniedziałek, gdyż obecnie ma swoje osobiste sprawy do załatwienia; zwierzył się komuś, że chodzi tu o bardzo złożone sprawy miłośno-matrymonjalne. W rozmowie ktoś nieostrożny wygadał się, że kładłyśmy kabałę na intencję pomyślnego wyjazdu. Gdy się o tem dowiedział Sienkiewicz, spokoju mi nie dał, prosząc o kabałę. W pokoju jadalnym, przy spuszczonej roletach i zamkniętych na klucz drzwiach obsiedliśmy stół w towarzystwie dwóch kontrabandzistów, gdyż Sienkiewicz przyszedł ze swoim współnikiem. Wtajemniczona w sprawy sercowe naszego wybawcy, plotłam mu o miłości blondynek, zazdrości brunetek i intrygach szatynek; a widać musiałam utrafić dobrze, gdyż był rozanielony i dziękował mi z rozczuleniem; ale mimo to wcale nie-anielską sumę zaśpiewał za mój przejazd tam i zpowrotem: 12-cie tysięcy mikołajowskich! A ja za ledwie

uczułać mogę 1 — 4-ry tysiące. Chce mi się beczeć, jak dziecku, z powodu braku pieniędzy ręce mam związane. Co teraz robić? jak jechać i czy jechać? przecież od tego mego kroku zależy całe nasze życie.

19-go maja.

Wczoraj wyjechali Słowikowscy; dziś przychodził Sienkiewicz zdać mi relację z całej wyprawy, która udała się szczęśliwie. Franc ma już o mnie wiadomości; jutro powinnam mieć od niego list. Jak się rozstrzygną losy moje?

Przebąkują znów o wojnie z Polakami; podobno sztab z Kąmieńca wychodzi.

22-go maja.

Upragnionego listu niema i niema; zato wczoraj przyjechało dwóch żydków aż z Kamionki specjalnie z listem Franca, w którym pisze on, że przysyła po mnie ludzi, aby mnie wywieźli. Wysłani byli trzy tygodnie temu; wtedy jeszcze biedny Franc nic nie wiedział, co się ze mną dzieje. Biję się wciąż z myślami co robić: jechać, czy nie? Co będzie, jeśli tu się co ziego stanie? — Na samo przypuszczenie możliwości jakiegoś nieszczęścia ogarnia mię przerażenie; ale przeraża mię też myśl, że Franc może odjechać beze mnie, a ja tu znów sama zostanę w tem morzu obrzydliwości na niewiadomy czas rozdzielona z moim chłopcem, który po tylu trudach i usiłowaniach znów odjedzie z niczem, tęsknotę tylko i smutek zabierając ze sobą! Ach, nie, nie chcę tego! — A więc co robić? jak po-

stąpić, jak wybrnąć ze straszego rozdarcia? Czekam jeszcze...

24-go maja.

Dziś na grobie sadziłam kwiaty. Cmentarna ci-sza zawsze wlewa do mej duszy jasne, pogodne uko-
jenie; i tym razem u stóp mego białego krzyża zna-
łażam uspokojenie i powzięłam stanowczą decyzję: jadę.
Pewna jestem, że tu się nic złego nie stanie. Jeżeli
do tej pory ostało się to wszystko, czyż moja w tem
zasługa? Cóż za naiwna zarozumiałość! Ani moja,
ani żadna ludzka siła nic tu poradzić nie mogła; trze-
ba było cudownej opieki boskiego miłosierdzia, sil-
niejszej nad wysiłki ludzkie i nad złość szatana. A je-
żeli dotąd białe skrzydła anielskie osłaniały tę moją
siedzibę od zagłady, ufać powinnam i ufać muszę, że
i nadal strzec ją będą, że w wyrokach boskich ocale-
nie tego zakątka jest postanowione i zapisane. Może
ofiara moja potrzebna była do wypełnienia tych wy-
roków, ale Bóg dobry czyta w mem sercu i ujmie
brzemienia ponad siły, ponad możność, ponad wy-
trwanie.

Od dawnego czasu pierwszy raz mam spokój
w duszy.

Rozmówiłam się z jednym z moich wiejskich przy-
jaciół w sprawie mego wyjazdu; obiecał mi czuwać nad
domem przez te dwa miesiące, a ja stanowczo wrócę po
upływie tego czasu. Do tej pory musi się przecież coś
zmienić, musi się wyjaśnić to niewyraźne położenie. Po-
stanowiłam na mocy świadectwa lekarza uzyskać urlop

dwumiesięczny w „sowchozie“. W urzędowaniu zastępować mię będzie p. Żukowski. Na mocy tego świadectwa muszę dostać w „osobatdiele“ przepustkę do Kijowa. Oficjalnie wszyscy będą wiedzieli, że jadę na kurację, tylko parę osób wtajemniczonych będzie w prawdziwy cel mojej podróży. Ten sam proceder p. Zofja przejdzie w „proświtodiele“.

26-go maja.

Listu niema i niema; taka straszna niecierpliwosc ogarnial Z każdym dniem, z każdą godziną powiększa się pragnienie wydostania się stąd; a tak się boję, że te słabe nici, których się oburącz czepiamy, zerwą się, że nieprzewidzianie fatum wykopie przepaść, która mię znów oddzieli od Franca, od świata, od zycial

Wczoraj „naczchoz“ z towarzyszem „kazanaczem“ przyszli pod dobrą datą, nie zanadto, ale właśnie tyle tylko, aby rozwiązać ich języki i nastroić na zupełną szczerość. Opowiadali, że w wojsku rozłam zupełny, dezercja się wzmaga; bezpartyjni z coraz większą nienawiścią patrzą na komunistów, w których łonie jest taka demoralizacja, że członek członka musi szpiegować, śledząc przeniewierstwo i zdradę. A mimo to wschodnia bezwładność zdecydować się nie może na zrzucenie jarzma terroru, pod którym gorzej teraz jęczy, niż dawniej pod caryzmem. Gdy zapytałam, dlaczego nie robią przewrotu, odpowiadają, że brak im organizacji, że bez obcej interwencji rady sobie nie dadzą. A Franc mi pisze, że pokój z Polską stanowczo zawarty; jak nasz rząd może z tym rozkładającym

się trupem pertraktować? Dotąd łudziłam się, że to niemożliwe.

Moi bolszewicy też potwierdzają wiadomość pokoju, ale nie wierzą w jego trwałość. Byli tak dziś rozochoceni i usposobieni lojalnie, że po skończonym obiedzie zaczęli śpiewać „Boże cara chrani“. Musiałam ich prosić, aby swój monarchiczny entuzjazm wylewali poza obrębem mego domu.

Podobno w nadwołżańskich gubernjach utworzył się nowy rząd, z jakimś Antonowem na czele. Ma być zwołana konstytuanta i komuniści od władzy odsunięci. Pewnie to znów jakaś kaczką, których już tyle było. Trudno uwierzyć, do jakiego absurdu dochodzą biedne mózgi ludzkie, pozbawione wszelkiego kierownictwa, i co za nielogiczne brednie krążą.

28-go maja.

Wczoraj otrzymałam króciutką kartkę od Franca, już po widzeniu się ze Słowikowskimi; długi list wysłała przez Sienkiewicza, a teraz nalega jedynie na mój wyjazd. Tak, to już postanowione, przesądzone: Wyjeżdżam! Mam już świadectwo lekarskie (szczęście, że są tacy doktorzy, którzy przez pryzmat słoika miodu odnajdują ciężką chorobę w zdrowym organizmie), za parę dni będziemy miały urlop i przepustki.

Wyjeżdżam! — Powtarzam sobie ten wyraz, który czasem uśmiecha się ku mnie pełnią różowych radości, czasem żałobny cień na serce rzuca, czasem, jak uwolniony ptak, pod niebo śmiałym lotem szybuje; czasem nietoperzowem skrzydłem niepokoju w głowie

łopoce. Tam mój biedny chłopiec z bezprzykładną miłością i wiernością wyciąga ku mnie ramiona, w których znajdę szczęście, spokój i opiekę. Tu moje ukochane, ocalone gniazdo czeka bezbronnie na dopełnienie swego losu.

Moja Halzbijówka, jakby urokiem swych czarów chciała mię zatrzymać przy sobie, ustroiła się we wszystkie piękności: puchem rozkwitłych gałązek, szmerem drzew i taflą marzącej wody zdaje się skarżyć, że ją opuszczam, że jej się dzieje krzywda. Wtedy mam wyrzuty sumienia, jakgdybym coś zdradzała, jakgdybym dla osobistych względów porzuciła coś, czemu wiernie służyć powinnam. Boże, miłosierdział Nie wymagaj ode mnie ofiary nad siły. Tyle razy ocaliłeś cudem ten kąt, niechże cud Twego miłosierdzia przedłuża się nadal. Nie karz mię, Boże, za chwilę słabości— chociaż nie! to nie jest słabość, to nie jest kapitulacja. Idę wciąż dalej drogą mego serca, po której głos Twój, Boże, mię prowadzi, idę wytyczną linią swych przeznaczeń z wiarą, że do spełnienia Twej woli dojsć mi pozwolisz.

Wyjeżdżam, ale to nie ucieczka, to nie przeniewierstwo własnemu losowi. Nie uciekałam, choć śmierć wisiała nade mną; nie wyjeżdżałam, choć nieraz mogłam wyjechać. Teraz idę po szczęście dla Franca i dla siebie.

30-go maja.

Dziś odbyłam ostatni egzamin w szkółce jampolskiej; wszystkie prace doprowadziłam do końca roku szkolnego. W jesieni mam nadzieję rozpocząć je zno-

wu, ale może w innych warunkach, z lepszą wiarą i świeżymi siłami.

Znów zakotłowało się, jak w ulu, a pogłoski o rozpoczętej wojnie z Polską brzęczą nad uchem i nasuwają mimowolne refleksje: a może — a może.

31-go maja.

Posyłam codzień do Sienkiewicza, aby ten upragniony list Franca otrzymać; ale Sienkiewicz z flegmą prawdziwego kontrabandzisty nic sobie nie robi z mojego niepokoju; na moje ciągle nalegania odpowiada, że do tej pory nie przeprowadził się na tamten brzeg, gdyż był zajęty konkurami w Dzygówce. Przypuszczam, że moja kabała przyczyniła się bardzo do tych jego matrymonjalnych poczynań. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i spokojnie czekać, dopóki przepowiednia moja choć w części się nie spełni. A żebyż prędzej jasnowłosa Podolanka go zdradziła i aby szukał pociechy na łamym brzegu w objęciach czarnobrewnej Rumunki.

Moi bolszewicy coraz bardziej się cywilizują i nieraz wprawiają mię w zdumienie. Zakwitły cudne piwonje wzdłuż ścieżki, prowadzącej do sadzawki; po obu stronach strzępiły się pierzasto — różowe krzaki, bramując uliczkę dwoma rzędami puszystych, wonnych, jasnych wałów. Naturalnie, na te bezbronne puchy rzucili się „tawariszczi“, i każdy chodził z zatkniętą w butonierce olbrzymią piwonją, która, wyrwana z tłumnego grona towarzyszek, traciła lekkość swych kształtów; na tle szarej „gimnastiorki“ stawała się wulgarną,

chamską dekoracją. Nie mogłam ścierpieć takiej poniewierki moich kwiatów, poskarżyłam się „naczchowitzowi“ na żołnierzy, a ten mi zupełnie serjo zaproponował, abym napisała ogłoszenie, wzbraniające rwania kwiatów. Bez wielkiego przekonania zabrałam się do zatykania na dwóch krańcach uliczki kartek, na których widniał napis: „Praszu nie rwat ćwietow“. O dziwo! na drugi dzień zauważyłam, że krzaki nie pociemniały od ubytku kwiatów, a olbrzymie butoniery znikły z mundurów żołnierskich. Zastosowałyśmy ten sam system do furtki ogrodowej, której „tawariszczi“ nigdy nie zamykali. Odkąd wywiesiłyśmy wykaligrafiowaną prośbę, dał się słyszeć dobrze mi znany skrzyp zamykanej furtki. Ten europejski system kulturalny niewszędzie jednak dał się zastosować. Biedne czereśnie na dojrzewaniu w dolnym ogrodzie padły ofiarą apetytów żołnierskich. Tu więc użyłam innej taktyki: raniutko, zanim zgraja rzuci się na drzewo, łamiąc gałęzie, uprzedzamy ich i same zrywamy owoce, a potem pełne kosze ofiarowujemy „tawariszczom“. W ten sposób ocalałam drzewa i swój honor, jako dobrowolnie sama rozdająca własne owoce. Parę razy zdarzyło się, że „tawariszczi“, rozpędziwszy się po swój łup, zastali nas na drzewach; wtedy z całą uprzejmością zapraszałam ich bliżej, sypiąc do czapek zerwane owoce. Idylla ta zabiera nam nieraz dużo czasu, ale ratuje sytuację, wprowadzając tylko w zdumienie żołnierzy, którzy nie mogą pojąć, dlaczego „doktor“ lubi tak łązić po drzewach. W ten sam sposób ocalałam róże, które w całej królewskiej krasie rozkwitły na ra-

batach. Robiąc codzienny przegląd każdego krzaka, zrywam wiązanki i ofiarowuję krążącym dokoła „tawariszczom“, tłumacząc, że nie żałuję im kwiatów, tylko proszę, aby sami nie rwali, gdyż nie rozumieją, jak trzeba się z różami obchodzić. Tak to plebsowi trafiło do przekonania, że teraz nawet dzieci wiejskie, zamiast zakradać się o zmroku i obdzierać nieszczęśliwe krzaki, przychodzą wręcz do mnie i proszą o ofiarowanie paru kwiatów; uzbrojona w sekator, ścinam żądane róże, korzystając ze sposobności, aby wraz z wonią i czarem żywego kwiatu jakieś dobre słowo, jakaś żywa prawda weszła pod ciasną łepetynę.

4-go czerwca.

Nareszcie mam oczekiwany list! Dziś o szarym świcie usłyszałam pukanie do okna; stał tam Sienkiewicz, na wszystkie strony bacznie się rozglądając; z tajemniczym uśmiechem oddał mi list Franca i obiecał, że w tych dniach nas przeprawi.

Franc przysłał mi traktat pokojowy, z którego nic pocieszającego nie wywnioskowałam. Widać ze wszystkiego, że Polska słaba, pokój zawrzeć musiała, a nas oddać na ofiarę, jako cenę tego nieciekawego pokoju. O wojnie nie może nawet być mowy.

Taka gorycz zalewa mi serce! Boże Wielki! Wszyscy porzucili! Matka-Ojczyzna się wyparła — i ja, ostatnie żywe świadectwo naszych tu praw i trwania odejdę.

Przedwczoraj jeździłam do Mohylowa. „Naczchoz“, widząc, że zawsze piechotą drepę do Jampola, bardzo uprzejmie ofiarował mi konia obozowego na wszelkie

moje wycieczki. Wielka to grzeczność z jego strony, że i na tak daleki dystans nie odmówił mi koni i swego ordynansa. Puściliśmy się więc w drogę we dwoje. Gdyby mi to kto dwa lata temu zaproponował! Nie myślałam, że można podróżować w zgodzie z krasnoarmiejcem. Wańka niczem nie różnił się od każdego innego furmana; wszelkie moje życzenia wypełniał chętnie i uprzejmie, i, gdyby nie szaro-zielona, brudna, wyłożona „gimnastiorka“, gotowam była zapomnieć, że podróżuję z bolszewikiem, któremu nieraz musiałam ducha dodawać, gdy, po pustym trakcie jadąc, rozglądał się trwożliwie, czy gdzie przypadkiem nie trafimy na bandę.

W Mohylowie uporządkowałam i zabezpieczyłam resztkę moich rzeczy, które tu zostały; robię to więcej z nałogu i zupełnie automatycznie. Odpadła mię energia i ochota do wszystkiego, jeżeli Halźbijówka nie ma być taką, jak była — moją.

Wracając, zajechałam do Gruszki z pożegnaniem. Ile razy jestem w tem nieszczęśliwym, ukochanem miejscu, zawsze ból straszny ściska mi serce. Są widoki, do których oko przyzwyczaić się nie może, są smutki, które dręczą zawsze świeżym, nieukojonym bólem i wywołują bunt w poczuciu krzywdy, jaka się stała. Chodząc po rumowiskach ukochanego dworu, doznawałam dziwnego uczucia, jakbym to ja sama siebie widziała po śmierci w grobie, rozpadającą się w proch; bo naprawdę tam jest mogiła mojego młodego, najpiękniejszego życia. Wśród ruin pokoje wydają się małeńkie, i trudno się w nich zorientować. Zatrzymywa-

łam się na miejscach, gdzie stał fortepian, moje biurko, gdzie Mama malowała, gdzie ja deklamowałam, i uzmysławiałam sobie to, co było przed laty, a co teraz w gruzach pogrzebane i zielskiem poroście. Ogród zniszczony do niepoznania. Olbrzymie świerki, popodcinane, zatraciły dawny kształt wyniosłych piramid; mniejsze świerki i sosny z pościnanymi wierzchołkami, klomby wycięte w pień.

Sami chłopcy nie wiedzą, co z ogrodem robić i jak go bronić od ostatecznej zagłady. Radził się mnie komitet, czyby nie było dobrze sprowadzić zpowrotem starego ogrodnika Dmochowskiego, aby jako tako sad do porządku doprowadził. Naturalnie, pochwaliłam ten projekt.

Trzeba będzie założyć tutaj „sowchoz“, taki sam, jak w Halzbijówce, z Dmochowskim na czele, to jeszcze jedyny sposób uratowania tych resztek. Przychodzili chłopcy z prośbą, czy pozwolę dwóm odbudować na teatr, a w jednym skrzydle parę pokoi dla mnie odrestaurować. Nie wiem, jak oni sobie tam wyobrażają to moje mieszkanie i jaką rolę mi przeznaczają? Nic mi innego nie pozostało, tylko zgodzić się na projektowaną odbudowę, a w myśl poczynań demokratycznych zapisać się do miejscowego kółka artystycznego.

5-go czerwca.

We wtorek wieczorem wyjeżdżam! Robię ostatecznie zarządzenia i przygotowania. Wierzyć mi się nie chce, że to już tak prędko nastąpi; czuję zamęt w głowie i jakieś odurzenie; myślę, że to samo odczuwać

musi więzień, po kilku latach wypuszczony na wolność.

Wszystkim jest już wiadomy mój wyjazd przez Winnicę do Kijowa.

Pomimo opieki „Zawchozu“, postanowiłam wdzierżawić sad chłopom, ażeby mieć przeciwwagę wobec władz bolszewickich, i aby w razie jakiegoś przewrotu lub upadku „sowchozów“, mój ogród nie został rzucony na pastwę bez żadnej opieki. Jest to przewrotna, obrzydliwa polityka, ale inaczej tu istnieć nie można. Chłopi dadzą łapówkę ze swej strony jam-polskiemu „sowchozowi“, a wtedy ten nieoficjalnie zezwoli na kupno sadu przez wieś. Wybrałam do tej wspólki przedstawicieli ze wszystkich wiejskich partyj, ażeby być zagwarantowaną na wszelki wypadek. A więc bierze w niej udział przedstawiciel solidnej kontrrewolucji, „szczyryj ukrainiec“, „bywszyj komunista“ i bolszewik, prezes „kombiedy“. Dziś ich wszystkich zebrałam na wspólną naradę. Mój ogród stał się terenem pojednania wszelkich partyj, a widoki pięknego urodzaju pogodziły zupełnie zagorzałych antagonistów. Ja zaś jestem zagwarantowana ze wszystkich stron; zjednałam sobie ich wdzięczność, gdyż dzierżawa mego sadu jest oddawna celem aspiracyj wszystkich gospodarzy halźbijowieckich.

Oznajmiłam chłopom, że wyjeżdżam, oddając zaś im ogród, a powniekąd i dór pod opiekę, jestem spokojna, że się nic złego nie stanie. Z jednej strony p. Żukowski, z drugiej chłopci, z trzeciej bolszewicki „sowchoz“ czuwać będą nad moją biedną siedzibą.

6-go czerwca.

Jutro jedziemy! Odpadł mię jakoś wszelki strach o mój ką. Bóg nie dopuści żadnego nieszczęścia — byłaby to zanadto krwawa ironja. Wczoraj przyjeżdżało moje „naczalstwo“ z powiatowego „sowchozu“. Oglądał ogrody, udawał, że kontroluje, a właściwie patrzył, czy łąpówka, wzięta w naturze, w owocach, będzie smaczna. Życzył mi szczęśliwej drogi i prędkiego powrotu; obyż tak był!

Wszyscy jednogłośnie mówią o wojnie. Ale ja jestem dobrej myśli. Jeżeli pokój, to wkrótce będzie otwarta granica; jeżeli wojna, to nasi im skórę wytrzepią i będą tu prędko.

Z powiatowego „sowchozu“ dostarczyli mi kos. Jakież było moje zdziwienie, gdy na kosie zobaczyłam wizerunek Kościuszki na tle kosynierów, z napisem: „Kościuszko-kosa“. Jaką drogą dostają się takie rzeczy? czy kontrabandą, czy naprawdę legalnie? Bądź co bądź to fantastyczna kombinacja: bolszewickie gospodarstwa, używające polskiej kosi, i to jeszcze z takim napisem! Poczekajcie, jeszcze temi kosami łby wasze ścinać będziemy!

7-go czerwca.

Jestem nawpół przytomna, odrętwiała, ogłuszo-
na. Wszystko już było tak dobrze ułożone. Po po-
łudniu miałyśmy wyruszyć, jak zwykle korzystając
z uprzejmości „naczchoza“, bolszewickim koniem do
Jampola, gdyż tam niby miałyśmy nocować, a na
drugi dzień rano do Wapniarki jechać, w rzeczywiście-

ści zaś miałyśmy o zmroku przekraść się do Flemendy, gdzie na umówionem miejscu czekali nas kontrabandyści. Już z chłopami, bolszewikami i ze służbą pożegnane komedje odbyłam, już kuferki na wóz pakują, gdy wtem wbiega zadyszany jeden z wtajemniczonych włóścian z wiadomością, że przed chwilą Sienkiewicz został aresztowany. Jakby mi kto obuchem w głowę dał! Co robić? Chyba się i płakać. A jednak trzeba zachować spokojną minę i, jakgdyby nic nie zaszło, pożegnawszy się, pojechać do Jampola i dopiero po jakimś czasie zpowrotem przyjechać do domu. Cała ta wyprawa miała w sobie coś tak okrutnie idjotycznego, że nawet złościć się, nawet rozpaczać nie miałyśmy siły. Wróciwszy, znów trzeba było nową komedję odegrać, wykładając się przed bolszewikami, że Żyd, który obiecał mi na drogę pożyczyć pieniędzy, jeszcze ich nie przygotował i nie może określić, na kiedy je będzie miał. Och, ta kolacja z „naczchozami“, którzy ze współczuciem wypytywali, a jednak czuć było w ich głosie, że się domyślali właściwego celu nieudanej naszej wyprawy. Biedny mój Franc, jak okrutnie musi się męczyć i niepokoić! Co teraz będzie? — Nie wiem, nie mam pojęcia.

8-go czerwca.

Sienkiewicz został aresztowany z rozporządzenia „osobatdiela“; żołnierzowi, który go aresztował, wyrwał karabin i, nim się ten opamiętał, wyskoczył oknem; biegnąc po drodze i rozbierając się, miał jeszcze tyle przytomności umysłu, że wyjął z ubrania moją kartkę

do Franca, którą mu dałam parę dni przedtem, i krzyknął znajomemu chłopu, aby mię uprzedził. Po drodze strzelano do niego, ale zdołał szczęśliwie przepłynąć Dniestr. Cała pociecha w tem, że biedny Franc dowie się o wszystkim i będzie spokojny, że nie wpadłam w ręce bolszewików. Najwyraźniej Opatrzność boska czuwa nad nami; pokazuje się, że na Sienkiewicza miał „osobadiel“ czatować tego wieczora, i tylko przypadek zrządził, że go wcześniej przy brzegu zobaczono i schwytano. Ale co teraz będzie? Nie widzę wybawienia. Jeszcze się łudzę nadzieją, że może Franc z Sienkiewiczem coś wymyśli; może dadzą znać, ale jakże się stąd wydostać, kiedy wraz z Sienkiewiczem zaaresztowano wszystkie łódki. Nie ma ratunku, ogarnia mię jakaś czarna, beznadziejna rozpacz. Trzymałyśmy się resztkami sił do wyjazdu, teraz zupełny upadek ducha. P. Zołja formalnie chorą i żółto-zieloną, ja momentalnie schudłam. Napadła nas dziwna śpiączka: aby tylko spokojnie usiąść, zaraz nasuwa się jakiś półsen z majakami i snami, zupełnie tak, jak za czasów pogromów. Do żadnej roboty absolutnie wziąć się nie mogę, usiedzieć na miejscu też nie mogę. Halzbijówka jakaś mi obca i daleka, tamta strona też daleka, a ja gdzieś zostałam w pustce, w zawieszeniu.

9-go czerwca.

A jednak trzeba coś przedsięwziąć i szukać deski ratunku. Zaczęłam znów potajemne narady z moim zaufanym. Sienkiewicz tu nie wróci, gdyż zaareszt-

wali go Rumuni i wywieźli do Kiszyniowa; został tu tylko jego współnik, młody chłopak, który może nas przeprowadzić; ma jutro przyjść umówić się ze mną. Wiem, że bardzo ryzykuję, gdyż po awanturze z Sienkiewiczem brzegi są pilnie strzeżone; wszystkie łódki zarekwirowane, została tylko jedna maleńka, chwilowo zatopiona. Nie mam pojęcia, jak przewieźć swój dziennik, „czerezwyczajkę“ p. Zofji i wszystkie papiery Macierzy, bo, gdyby nas z tem złapali, to śmierć pewna, a bardzo możliwe, że złapać mogą. Ale mnie już nic nie wstrzyma, z taką tępą rozpaczą i martwością żyć dalej niepodobna.

Znów wszczynają się niepokoje i dziwne wieści krążą: w Mohylowie ranni bolszewicy; Machno i Tiu-tiunik tłuką ich koło Szarogrodu. Nasi gotują się do wyjazdu; konie osiodłane i fury zaprzężone. Podobno Petlura przez Dniestr wkrótce tu przybędzie. Sami bolszewicy przebąkują, że Kamieniec w rękach Polaków, i że wkrótce się stąd zabiorą. Namawiają, żeby wstrzymać wyjazd i doczekać się zrealizowania tych pięknych zapowiedzi; p. Zofja nawet zachwiała się w swej ochocie do jazdy, ale mnie już nic nie wstrzyma. Zbieram ostatki energii, aby nie poddać się urokowi tych wieści i namowom całego otoczenia. Muszę wyjechać! — Zatykam uszy, nie chcę nic słyszeć. Muszę wyjechać! — To jedno teraz wiem i rozumiem.

10-go czerwca.

Przed chwilą był tu chłopaczek, współnik Sienkiewicza; oznajmił, że wszystko gotowe; straże są prze-

kupione, i dziś wieczór można się przeprowiać. Natychmiast się zdecydowałam. Dziennik mój, jako najbardziej kompromitujący, oddałam chłopcu, który przed wieczorem będzie na tamtej stronie. Dziś po południu wyjeżdżamy. Czy tam dojedziemy? — Niewiadomo, ale w każdym razie nie wrócimy tutaj. Żegnaj, najukochańszy kątku na świecie!

23-go czerwca. Czerniowce.

Od dziesięciu dni jestem razem z Francem w drodze do Polski. Czuję się taka oszołomiona tem wszystkim, co się dzieje: wyjazd, koniec niewoli, w bliskiej przyszłości ślub, Polska...

W sobotę po południu, jak było postanowione, wyjechałyśmy, odegrawszy te same komedje, co poprzednio. Dostawszy się do Jampola, przeczekaliśmy do zmroku, a gdy się zaczęło ściemniać, wyruszyliśmy w powrotną drogę, zmierzając do Flemendy. „Naczchoz“ i tym razem ofiarował nam konia, a wynalazłszy jakieś zajęcie dla Wańki, oddał lejce w ręce jednego z moich zaufanych. Pewna jestem, że się domyślał całego naszego przedsięwzięcia; niech mu Bóg nagrodzi jego dyskrecję i uczciwość.

Zaraz na wstępie, wyjeżdżając z miasta, spotkałiśmy Kina, który, nie domyślając się niczego, bardzo uprzejmie nam zasalutował. Ale na złodzieju czapka gore, więc i we mnie serce zamarło, gdyśmy go mijali i, ledwie zdołałam kiwnąć głową, uśmiechnąwszy się jakimś niesamowitym skrzywieniem ust. Wyjechawszy z miasta, natknęliśmy się znów na całą naszą

kancelarję obozową, która zdążyła na wieczorne przedstawienie. Nie było możliwości tłumaczenia tej naszej dziwnej wieczornej jazdy w przeciwnym kierunku; więc przywitawszy się i pożegnawszy bezczelnie, pojechaliśmy dalej. Na trakcie mieliśmy jeszcze jedno spotkanie, mianowicie z Gromowem na czele konnego rekonesansu, który codziennie objężdża rejon halzbijowiecki, tropiąc przemycających się. Ale i ten z najuprzejmniejszą miną uklonił się i pomknął dalej. Nie zatrzymuje się, nie arestuje? — Ale może przysłać pogoń. Była chwila, kiedy chcieliśmy skrócić z traktu na prawo do Halzbijówki i dać za wygraną wszystkiemu; ale w decydującej chwili postanowiliśmy ryzykować do ostateczności. Wszystko jedno czy tu, czy w domu mają zaareztować; a jeżeli nam się uda przemycić, to zaufany jakimś tam kłamstwem miał upozorować nasze nocne włóczenia się po trakcie. Skręciliśmy więc na lewo, na boczną drogę ku Flemendzie. Okolica ta jest najbardziej strzeżona przez bolszewików, gdyż bezpośrednio przytyka do wsi, znanej z przemysłnictwa. Jechaliśmy więc stępą, dla przyciszenia turkotu, z zapartym oddechem, rozglądając się na wszystkie strony. Raptem tuż przed końmi wyrasta czarna postać — Pokazało się, że to poczciwy sprzymierzeniec Sienkiewicza na nas oczekiwał, aby doprowadzić do umówionego miejsca spotkania z kontrabandyzistami. Ale, dojechawszy pomimo zupełnej już nocy, nie zastaliśmy nikogo. Chłop poszedł więc do wsi na zwiady, a my dobre pół godziny musieliśmy w polu przede wsią przeczekać. Było to pół godziny, ale

tylko na zegarku; dla nas, którzy każdej chwili mogliśmy wpaść w ręce przejeżdżającej tu często kontroli „osobadnieu“, wydało się to wiekami, i z całej przeprawy ta chwila była dla mnie najcięższa. Wieczór był cudny, gwiazdzisty; cisza tak głęboka i zupełna, że najmniejszy szmer traw, wywołany powiewem, wydawał się kontrastowo silnym odgłosem, a w naszych przedenerwowanych, przemęczonych mózgach huczał tętentem licznych kopyt i kroków pogoni.

Wreszcie zjawili się nasi wybawiciele; z największą ostrożnością tobołki nasze biorą na plecy (a nie mały tam był ciężar, gdyż, prócz dziennika, wywoziłam półtora puda suchych konfitur, które zeszłego roku smażyłam na powitanie naszych; śmieszne to, ale nie chciałam zostawić tych przysmaków, które przygotowywałam wtedy z taką miłością, z taką radością). Ostatnie pożegnanie z pocziwym, zaufanym człowiekiem, ostatni krzyżyk nad Halzbijówką, migocącą światełkami w głębokim jarze i ruszamy w pochód, spuszczać się z największą ostrożnością ze stromego zbocza ku wsi. Podróż ta nie była łatwa, gdyż, omijając wszelkie ścieżki, musieliśmy się spuszczać prosto z pieca na łeb po ruchomym żwirze, którym całe zbocze jest pokryte. Nareszcie zsunęliśmy się w głęboką rozpadlinę, i to był pierwszy etap naszej wyprawy. Jeden z kontrabandzistów poszedł zbadać, czy wszystko w porządku i czy można bezpiecznie spuścić się do wsi; dwóch zostało przy nas. Siedzieliśmy cicho, zapatrzone w cudną głąb gwiazdzistego nieba, w srebrną wstęgę Dniestru, który w tej chwili, jak prawdziwy Rubikon, toczył przede mną swe fale tajemnicze.

Po chwili czekania, zjawił się wywiad z dobrą nowiną, że wszystko w porządku i że dalej można się posuwać. Teraz szliśmy jeszcze ciszej, skradając się wśród opłotków, popod śpiące chaty, z rozpaczą uciśzając rozszczekane psy, które, węsząc jakąś nieczystą sprawę, ujadały niemiłosiernie. Wkońcu jeden, drugi mur przebyty — i znajdujemy się w dużym chłopskim ogrodzie, przytykającym do Dniestru. Tu znów postój. Lokujemy się pod rozłożystym drzewem i w cieniu jego opiekuńczych gałęzi doznajemy uczucia bezpieczeństwa i spokoju, jak dzieci, które, schowawszy się w ciemny kącik, pewne są, że już ich nikt nie znajdzie. Nasz wywiadowca, który znów poszedł na zwiady, powraca z oznajmieniem, że trzeba będzie dłużej poczekać, gdyż jedyną łódkę, która była schowana, ktoś ukradł, a nasz główny przedsiębiorca poszedł znaleźć jakąś inną. Gdzie i skąd mógł ją wyszukać, mało mię w tej chwili obchodziło. Czułam, że się muszę przedostać na tamtą stronę, jeżeli nie łódką, to w bród. A tymczasem utonąłam w czarze cudnej podolskiej naddniestrzańskiej nocy. Nad nami konary czarnych, w ciemności wyolbrzymiałych drzew, przez które prześwieca dalekie, gwiaździste niebo. Cisza — czasem tylko gdzieś pies zaszczeka, spóźniona fala zaszemrze po kamykach, zmęczony słowjk zachłyśnie się jeszcze ostatnim trelem — czasem które z nas westchnie lub poruszy się. Dziwna rzecz, jak tych kilka godzin, spędzonych w niebezpieczeństwie, w strasznym napięciu nerwów łączy i zbliża ludzi Ci trzej kontrabandyści, szepczący z nami tajem-

niczo i oczekujący każdej minuty, zarówno jak i my, swego losu, stali się dla nas w tej chwili najbliższymi; zapomniało się o różnicach stanowiska, wychowania, sfery, narodowości; wobec niebezpieczeństwa staliśmy się wszyscy tylko ludźmi, na śmierć i życie związanymi spiskową tajemnicą.

Czas mijał, gwiazdy coraz rzadziej zaglądały pod nasze liściane sklepienie; psy uspokoiły się i zwyczajem wszystkich stróżów usnęły twardym snem nad ranem; woda tylko mamrotała coś niestrudzenie miękkim, pieśzcotliwym szeptem. Nagle wśród ciszy dał się słyszeć głos przepiórki, i w tej samej chwili wśród nas zaczęły się odzywać liczne głosy przepiórcze, a wkrótce wśród krzaków zamajaczyła postać naszego przewodnika. Oznajmił, że wszystko gotowe i najwyższy czas jechać. Ponieważ zdobyta łódeczka była to dziurawa „duszo-hubka“, więc tylko po jednej osobie można było się przeprowiać. Namówiłam pierwszą p. Zofję: niech już jak najprędzej wydostanie się z tej niewoli; jeżeli nie uda się drugi raz obrócić łodzią, moim losem jest zostać na tym brzegu. Poszli. I znów cisza; słychać tylko szmer tajemniczy, który jedynie ja i moi dwaj towarzysze chwytają czujnym uchem — już doszli do brzegu — już wsiadają — odbili. Po kwadransie czekania znów dał się słyszeć przyciszony głos naszej przepiórki. Przedzieramy się z największą ostrożnością przez nadbrzeżne krzaki, tłumiąc oddech w piersiach, gdyż w sąsiednim ogrodzie baszkiry pasą konie, a kto wie, czy działa jeszcze błogostawiony wpływ samogonki? — Może się już pobudzili? — Jesteśmy na brze-

gu. Cudny, ukochany Dniestr w całej swej okazałości płynie u mych stóp. „Rzeko moja rodzinna“, tak bliska, a tak niedostępna! — Wsiadam do małej łupinki; sadowię się na własnym neseserze, który do połowy kąpie się w wodzie, pokrywającej dno łódki. Przewoźnik umieszcza moje ręce i nogi w odpowiedniej pozycji dla utrzymania równowagi — i ruszamy.

Spojrzałam w niebo, takie szerokie, olbrzymie, bezkresne i odetchnęłam pełną piersią — na wolności, na swobodzie!

Płyniemy bardzo prędko; oddala się i zamazuje brzeg mój drogi, rodzony, brzeg łez i cierni, tęsknoty i męki, ale tem droższy, tem więcej mój. Ostatnie pożegnanie, ostatni krzyżyk, skreślony w stronę mojej biednej Halzbijówki. — Dobijam do drugiego brzegu, gdzie życie, świat i miłość czeka na mnie!

18 go lipca. Kraków.

Stara mroczna katedra lwowska, oświetlona jedynie woskowymi świecami, które z głównego ołtarza rzucają ciepłe, miękkie blaski na złote blachy ołtarza Królowej Korony Polskiej.

Dźwięki pięknej, organowej pieśni kołyszają się jeszcze pod sklepieniem i mieszają ze słowami naszej przysięgi. Powaga szarych, strzelistych murów i garstka kresowców, co, jak najbliższa, wspólna, wygnańcza rodzina, zbiegli się tutaj, są świadkami naszego związku. Boże, błogosław naszemu nowemu życiu; pozwól wrócić do tej ziemi ukochanej, od wieków krwią polską przesiąkniętej, myślą polską owianej; pozwól wrócić do

tych porzuconych gniazd, w których jedynie, pomimo cierpień, prześladowań i znoju, możemy znaleźć radosne szczęście. Pozwól nam wrócić do domów naszych, tam żyć i tam pracować!


Gdyśmy wstali od ołtarza, złączeni na zawsze boskim błogosławieństwem, przez mgłę wzruszenia, która mi oczy zasłaniała, na tle jasnej poświaty, co słonecznym promieniem przebiła mroki kościelne, zobaczyłam postać rycerską, stojącą na środku prezbiterjum. „Generał Haller“ — szepnął mi mąż. Podeszliśmy, aby jeszcze raz ucałować tę rękę, która nas w przededniu ślubu ojcowiskiem błogosławieństwem witała. Ten krzyż, ręką bohatera na czole mi skreślony, uścisk iście rodzicielski — jest mi tak drogi, tak święty, jakby Ojczyzny całej dobrotliwe przygarnięcie.

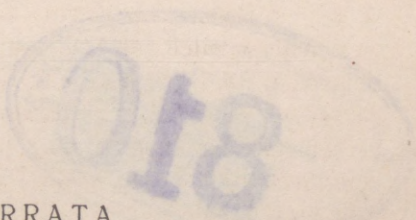
Niewiele pamiętam, co się później działo; wiem tylko, że wpadałam kolejno w otwarte ramiona, że ścisnęły mi dłoń szczerą, serdeczną rękę, i słyszałam słowa gorących, pocziwych, najlepszych życzeń i przywitań od kochanych naszych kresowców.

A teraz jest mi dobrze, jasno i szczęśliwie z chłopcem moim w wolnej Polsce i z rycerską wizją najukochańszego wodza naszego tam, w szarych murach lwowskiej katedry, która pamięta niejedne walki kresowych zmagañ bohaterskiego ducha Polski.

Finn
7832

KONIEC.





ERRATA

Str. 185 wiersz 17 *jest:* 3-go stycznia,
 " 189 " 1 8-go grudnia,

powinno być:
3-go stycznia 1920 r.
8-go stycznia.





9845/1.